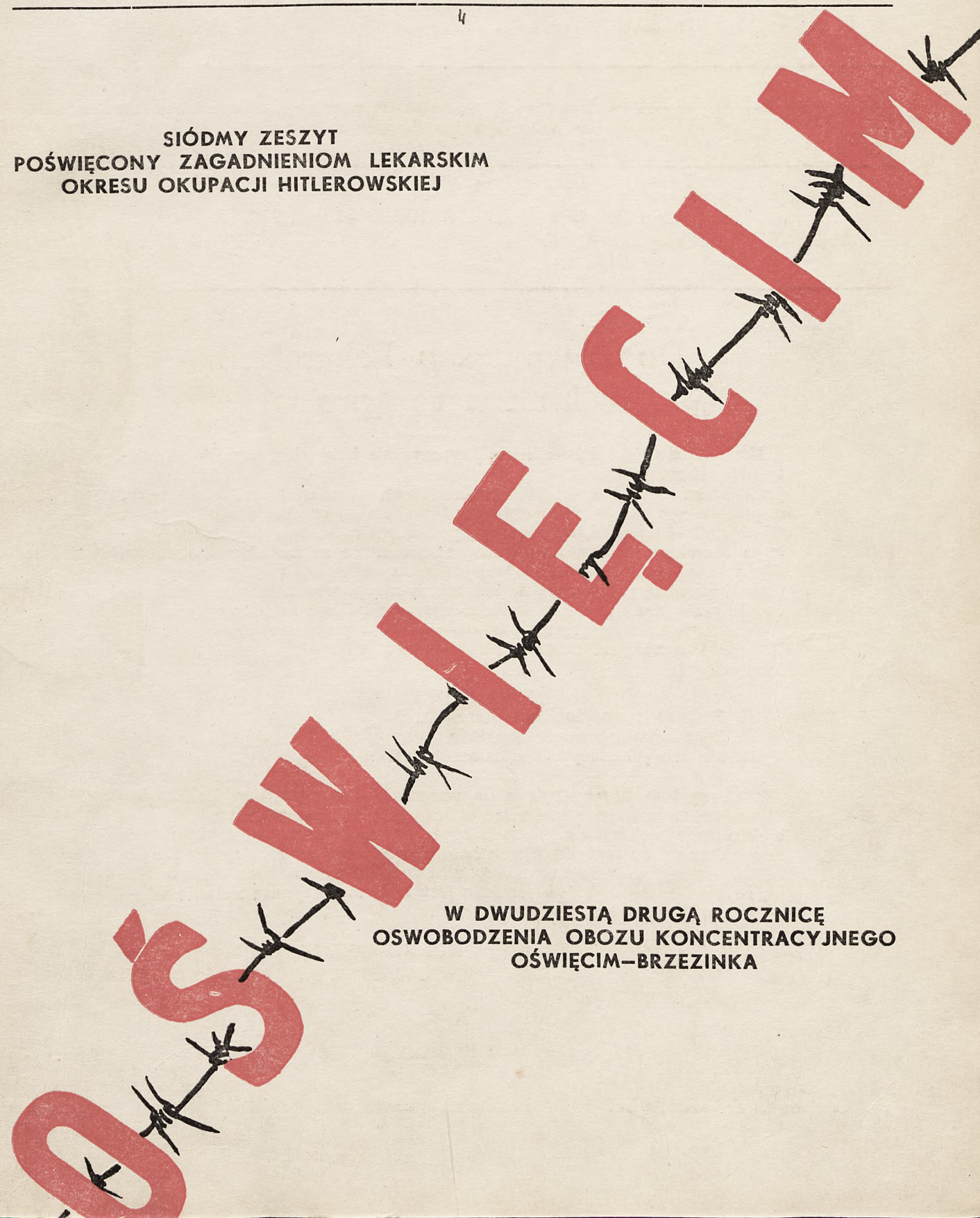
ROK XXIII SERIA II KRAKÓW Nr 1 1967

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

4

SIÓDMY ZESZYT
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM
OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ



W DWUDZIESTĄ DRUGĄ ROCZNICĘ
OSWOBODZENIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO
OŚWIĘCIM–BRZEZINKA

Komitet Redakcyjny: Prof. dr J. Chlebowski (Białystok), prof. dr M. Górski (Gdańsk), prof. dr W. Fejkiel, prof. dr J. Kowalczykowa, doc. dr J. Kobiela, prof. dr W. Mikułowski, prof. dr T. Tempka, doc. dr W. Wcisło (Kraków), prof. dr S. Liebhart (Lublin), prof. dr J. Grott, prof. dr W. Markert (Łódź), prof. dr K. Gibiński (Rokitnica), prof. dr E. Gorzkowski (Szczecin), prof. dr W. Orłowski (Warszawa), prof. dr E. Szczeklik (Wrocław)

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego: Prof. dr J. Bogusz

Redaktor naczelny: Prof. dr med. Bronisław Giędosz, Z-ca redaktora naczelnego: Doc. dr Włodzimierz Ostrowski
Sekretarz Redakcji: Lek. Adam Wajdowicz

Adres Redakcji: Kraków, ul. Czysta 18, tel. 339-47
Wydawca: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich — Warszawa, ul. Długa 38/40

Do Towarzystw Lekarskich w kraju i za granicą

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego podjął inicjatywę naukowego opracowania zagadnień lekarskich związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji, hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a przede wszystkim największego i najstraszliwszego obozu zagłady, Oświęcimia-Brzezinki, osławionego pod oficjalną nazwą *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*. Uważając to zadanie za moralny obowiązek, stwierdzamy jednocześnie, że powyższa tematyka ma wielką wagę naukowo-badawczą dla wszystkich dziedzin medycyny oraz poważne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób ofiar obozów koncentracyjnych.

Towarzystwo nasze zainicjowało dotychczas prace nad następującymi tematami, z którymi zapoznało środowisko lekarskie w serii odczytów i artykułów:

I. Badania psychologiczno-lekarskie,
II. Zagadnienia prawno-lekarskie,
III. Materiały historyczno-dokumentarne.

Towarzystwo nasze apeluje do wszystkich Towarzystw Lekarskich w kraju i za granicą o podjęcie podobnych inicjatyw we wszelkich specjalnościach lekarskich, a zwłaszcza o zainteresowanie tą tematyką młodych naukowców. Będzie to hołd złożony rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości wymordowanych w hitlerowskich obozach, a jednocześnie jest to humanistyczne zadanie właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

KRAKOWSKI ODDZIAŁ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

ROK XXIII SERIA II KRAKÓW Nr 1967 1

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

Siódmy zeszyt
poświęcony zagadnieniom lekarskim
okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem

Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

Zredagowali:

Prof. dr Józef Bogusz
Doc. dr Antoni Kępiński
Dr Stanisław Kłodziński
Mgr Jan Masłowski

Biblioteka Jagiellońska
1001243599

100596
II 23(1367)

TREŚĆ:

Bogusz J.: Słowo wstępne . . . 2

DZIAŁ NAUKOWY

Saller K.: Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie . . 13
Milčinski J.: Kryzys etyki lekarskiej . 30
Glińska A.: Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia 37
Gawalewicz A.: Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej . . 45
Dzięcielska-Machnikowska S.: Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników 48
Kępiński A.: Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy 52
Sznajder T.: Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji 61
Zabłotniak R.: Białostocka służba zdrowia w czasie okupacji hitlerowskiej 63
Łyskanowski M.: Los psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej . . 64
Kiełkowski R.: Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie . . . 68
Münch H.: Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim 79
Półtawska W.: Stany hipermnezji napadowej. (Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich") 89
Krzywicki J.: Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim 94
Kempisty C.: Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego . . . 96
Schwann-Pawłowska J.: Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego) 98
Dominik M.: Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety 102

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

Beardwell-Wieleżyńska M.: Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu 105
Wlazłowski Z.: Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen 112
Kłodziński S.: Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia 122
Jezierska M. E.: Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 r. 126
Jezierska M. E.: Zagadnienie małych obozów 127
Pospieszalski K. M.: Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny 128
Tycner H.: Grupa doktora Franciszka Witaszka w wielkopolskim ruchu oporu . . 131
Misiewicz J.: Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim 147
Biberstein A.: Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską 156
Seweryn T.: Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej 162

WSPOMNIENIA

Garnuszewski Z.: Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki 184
Wesełucha P.: Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen 192
Hałgas K.: Z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. (Wspomnienia lekarza) . . 197
Piekut-Warszawska E.: Dzieci w obozie oświęcimskim. (Wspomnienia pielęgniarki) 204
Lorska D.: Z pobytu w Oświęcimiu . . . 206
Kączkowski Z.: Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego 208
Makowski A.: Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie . . 212
Grenda J.: Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu . 223
Lorenczuk W.: Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu . . 224
Müller T.: Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego 225

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

Dominik M.: Dr Halina Jankowska . . . 229
Kłodziński S.: Dr Dorota Lorska . . . 236

OCENY

Lingens E.: Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskich 242
Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966 . . 244
Treść poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego" poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu okupacji hitlerowskiej . . . 259

JÓZEF BOGUSZ Kraków

Przewodniczący Krakowskiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

Słowo wstępne

Siódmy zeszyt „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji ukazuje się, jak poprzednio, w kolejną, dwudziestą drugą rocznicę oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka.

Wydawnictwo nasze przybrało charakter stały. Pierwsze trzy zeszyty (1961, 1962 i 1963) wyszły jako dodatkowe zeszyty specjalne (nr 1a). Od zeszytu czwartego zostały one włączone do zwykłego cyklu miesięcznika „Przeglądu Lekarskiego" jako pierwszy, styczniowy zeszyt w rzędzie 12 zeszytów.

Niechaj będzie mi wolno na początku w imieniu zespołu redakcyjnego dać wyraz głębokiemu żalowi z powodu przedwczesnej śmierci prof. dra *Jana Sehna*. Prof. dr *Sehn*, dyrektor Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, pełnomocnik Ministra Sprawiedliwości do spraw ścigania zbrodniarzy hitlerowskich, zmarł nagle 12 grudnia 1965 r. we Frankfurcie nad Menem w czasie przygotowań do drugiego procesu oświęcimskiego. Wyjątkowy znawca zagadnień zbrodni hitlerowskich, prof. *Sehn* był dla nas oparciem i drogowskazem w naszej pracy redakcyjnej. Jako znakomity prawnik prostował nasze błędne ścieżki, hamował subiektywizmy, a jego erudycja, połączona z trzeźwym i obiektywnym wartościowaniem zjawisk, była dla nas nieocenioną pomocą. Dzięki jego wielkoduszności korzystaliśmy *larga manu* z zasobów jego doświadczenia i wiedzy. Był nie tylko autorem znakomitych artykułów opublikowanych w naszych zeszytach („Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych", 1961, nr 1a; „Sprawa oświęcimskiego lekarza *SS, J. P. Kremera*", 1962, nr 1a), nie tylko wygłaszał referaty na dorocznych, tradycyjnych, uroczystych posiedzeniach Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, organizowanych w dniach rocznicy oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, ale był także autorem niektórych, nie podpisanych przez siebie świetnych opracowań. Tak np. w zeszycie szóstym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1966, nr 1) opublikowany został artykuł pt. „Wyrok frankfurcki", zawierający znakomicie opracowany, nie podpisany komentarz wprowadzający, sentencję wyroku i wyjątki z uzasadnienia wyroku, dotyczące 4 lekarzy i 3 tzw. sanitariuszy. Dziś, kiedy prof. dr *Sehn* już nie żyje, nie popełnię niedyskrecji, jeśli podam, że autorem tego świetnego komentarza był zmarły prof. *Sehn*. Jego bezpośrednim kontaktom i inspiracjom zawdzięcza niniejsze wydawnictwo liczne artykuły (np. *Alberta Schweitzera* w zeszycie szóstym, nr 1 z r. 1966, *Janeza Milčinskiego* i *Hansa Müncha* w niniejszym zeszycie i inne).

Wydanie tego zeszytu odbyło się więc w zmienionych, daleko trudniejszych warunkach, gdyż pozbawieni byliśmy nieocenionej pomocy Zmarłego. W zeszycie poprzednim (szóstym) opublikowane zostało wspomnienie pośmiertne o prof. *Sehnie* pióra *Mieczysława Kiety*, sekretarza generalnego Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego. Tu składamy ponownie wyrazy hołdu pamięci nieodżałowanego Przyjaciela i Współpracownika.

W „Słowie wstępnym" do poprzednich zeszytów wielokrotnie rozpatrywaliśmy zagadnienie potrzeby i celowości niniejszego wydawnictwa. Należy tu ponownie podkreślić: nie dla nurzania się w martyrologii, nie dla rozpamiętywania doznanych krzywd ani dla podtrzymywania uczucia mściwości wydawnictwo to jest potrzebne. Naród winien mieć mocną, twórczą postawę i jasne spojrzenie w przyszłość, a kult cierpiętnictwa może osłabiać. Ale wydawnictwo jest potrzebne po to, 1) by zebrać dane naukowe dotyczące następstw okresu wojny, co ma także praktyczne znaczenie w leczeniu tych następstw, 2) by zebrać i utrwalić dane historyczne, 3) by z przeżyć wojennych wydobyć aspekt etyczno-moralny i wartości humanistyczne.

Czytelnicy podkreślali często w rozmowach z nami, że uważają za najważniejszy ten trzeci motyw: wydobycie wartości ludzkich z „okresu pogardy", z okresu odczłowieczenia człowieka. W niniejszym zeszycie znajdą czytelnicy kilka artykułów poświęconych tym zagadnieniom. Już tu chcę zwrócić uwagę na artykuł profesora *Sallera* z Monachium, będący „rozliczeniem" czołowego antropologa NRF z narodowosocjalistyczną, obłędną teorią rasizmu, dalej — prof. *Milčinskiego* z Lublany (Jugosławia) na temat kryzysu etyki lekarskiej. Zresztą zagadnienia natury etyczno-moralnej przewijają się mniej czy więcej prawie we wszystkich artykułach (*Glińska, Gawalewicz, Dzięcielska-Machnikowska, Kępiński, Lingens* i inni).

Kontynuując edycję kolejnych zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", zespół redakcyjny nie opierał się na jakimkolwiek precedensie wydawniczym. Należało stworzyć zarówno nową metodę zbierania materiałów, jak i metodę ich redagowania. Ta ostatnia została już opisana w „Słowie wstępnym" do poprzednich zeszytów. Co do zbierania materiałów, system pracy zespołu redakcyjnego „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" tym się różni od pracy redakcyjnej w innych periodykach, że

nie opierał się nigdy na doborze materiałów od ustalonego zespołu autorów. Dowodem na to jest teka redakcyjna, w której nieomal nad objętością tekstów przeważa objętość rozsyłanej korespondencji. Zarówno informacje — zresztą dość skąpe — z bibliotek państwowych o zawartości archiwów, listy wysyłane do nie znanych nam autorów, na których nazwiska natrafialiśmy we wzmiankach, przypisach, recenzjach zawartych w kilkuset czasopismach krajowych i zagranicznych, jak i własne poszukiwania dokonywane ze strony członków redakcji były sumą potencjalnych źródeł, które nakłaniały nas nawet do usilnego zachęcania tych osób, jakie nie chciały już wracać — po 20 latach — do minionej, tragicznej przeszłości, do spisania swych wspomnień.

Starając się eliminować opisy bardziej znanych faktów, już w piśmiennictwie opisanych, usiłowaliśmy przede wszystkim uzyskać teksty w zakresie tych tematów, które po latach nie będą możliwe do odtworzenia. Dlatego nie ograniczamy tematyki zeszytów do prac naukowych *stricto sensu*. Uważamy, że wspomnienia są bardzo ważną warstwą historiograficzną; nie tylko nakłaniają one naukowców do drążenia nie zbadanej tematyki, ale same te teksty, będące potwierdzeniem faktów, popierają później uogólnienia naukowców, bądź je weryfikują. Tę samą rolę pełni też literatura piękna. Nikt dzisiaj, dysponujący nawet wynikami powojennych badań naukowych, nie jest w stanie usunąć poza nawias nauki takich świadectw przeszłości, jak np. prozy *Zofii Nałkowskiej* czy *Tadeusza Borowskiego*. Dążyliśmy więc do jak najszerszego uwzględnienia źródeł, traktując nasze zeszyty nie jako ostatnie słowo, ale jako materiał źródłowy dla następnych pokoleń.

Przystępując do omówienia tekstów zawartych w niniejszym, siódmym zeszycie specjalnym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", zdaję sobie sprawę z tego, że artykuł wstępny jest tym rodzajem tekstu, który z reguły czyta tylko niewielu. W wypadku naszego cyklu „Słowo wstępne" zawiera jednak materiały, o których informacji nie znajdzie się w poszczególnych pozycjach zeszytu, a to 1) dane o genezie artykułów, 2) informacje o autorach, 3) redakcyjne wyjaśnienie okoliczności, które by daną publikację zbyt obciążyły przypisami.

Tego rodzaju więc technika edytorska w wypadku publikowanych przez nas nowych pozycji dotyczących okupacyjnej tematyki lekarskiej zapewnia autonomię tekstów, nie obciążonych koniecznymi wyjaśnieniami, a nadto wzbogaca ich zaplecze informacyjne i — co bardzo ważne — nie pozwala na uszczuplenie takich wiadomości o tekstach, które umożliwiają niezbędną ocenę oraz wskazują na źródła poszerzenia tematu.

Część publikacji — to skróty obszerniejszych całości. Ograniczeni objętością zeszytu, wychodziliśmy z założenia, że lepiej jest skrócić obszerny tekst, aniżeli kosztem jego publikowania zrezygnować z miejsca na zasygnalizowanie kilku różnych tematów. Zresztą skróty były weryfikowane przez autorów.

Dużo materiałów uzyskaliśmy znów od autorów, którzy nakłonieni przez nas do podjęcia żmudnych nieraz opracowań pojawiają się w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" po raz pierwszy. Obok nich są autorzy, którzy spontanicznie przysyłali teksty. I w przyszłości oczekujemy takich materiałów, jest bowiem jeszcze wielu lekarzy, dysponujących nawet gotowymi już rękopisami.

W związku z tym należy podkreślić, że dla naszych zeszytów potrzebne są przede wszystkim teksty ściśle łączące się z tematyką lekarską minionej wojny, poruszające zakres zagadnień jeszcze zbyt mało uwzględnianych lub w ogóle dotychczas nie podjętych (służba zdrowia w partyzantce, w mniejszych obozach koncentracyjnych, w mniejszych więzieniach, w zapomnianych szpitalach itp.). Dużym ułatwieniem w pracy redakcyjnej jest, jeśli autorzy przysyłają prace napisane na maszynie, z podwójnym odstępem (30 wierszy na 1 stronie) i 4-centymetrowym marginesem, ujęte zwięźle, rzeczowo, bez zbędnych komentarzy, z dokładnymi i sprawdzonymi danymi (imiona, nazwiska, daty, przypisy bibliograficzne, ścisłe opisy zdjęć itp.).

Miło nam stwierdzić, że wśród autorów artykułów zawartych w tym zeszycie jest 10 profesorów wyższych uczelni, 6 autorów z zagranicy (dwóch z NRF, po jednym z Wielkiej Brytanii, Austrii, Jugosławii, Izraela). Inni autorzy pochodzą z wielu miast naszego kraju. W zeszytach 1—7 „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" 117 autorów opublikowało swoje prace, w tym 12 autorów z zagranicy i 26 profesorów uczelni wyższych. Te siedem zeszytów liczy łącznie 1072 strony druku. Z radością zauważamy, że z roku na rok rozszerza się liczba autorów oraz miast i krajów, z których autorzy pochodzą.

Zachowaliśmy podział prac przyjęty w poprzednich zeszytach: 1) dział naukowy, 2) dział historyczno-dokumentarny, 3) wspomnienia, 4) sylwetki zasłużonych lekarzy, 5) oceny.

Dział naukowy otwiera praca autora z Niemieckiej Republiki Federalnej, napisana dla naszego pisma, mianowicie „Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie" profesora dra *Karla Sallera*, dyrektora Instytutu Antropologii i Genetyki Ludzkiej Uniwersytetu w Monachium. Rozprawa ta stanowi wydarzenie wielkiej wagi.

Naprzód kilka słów o autorze. *Karl Saller*, urodzony w 1902 r., wyznania ewangelickiego, studiował medycynę i nauki przyrodnicze w Monachium, gdzie uzyskał tytuł doktora medycyny i doktora filozofii (*rer. nat.*). W 1927 r. został habilitowany jako docent antropologii uniwersytetu w Kilonii, a w 1928 r. uzyskał habilitację z zakresu całej anatomii, łącznie z antropologią, w Getyndze. Poglądy *Sallera* zaczęły pozostawać w coraz ostrzejszej sprzeczności z „nauką" rasizmu narodowego socjalizmu. Wniosek wydziału lekarskiego uniwersytetu w Getyndze o nadanie *Sallerowi* tytułu profesora został odrzucony, wydano zakaz rozpowszechniania czterech jego książek, wresz-

cie w 1935 r. odebrano mu prawo nauczania. *Saller* pracował odtąd jako praktykujący lekarz. Drugą wojnę światową przeszedł od pierwszego do ostatniego dnia, początkowo jako lekarz oddziału wojskowego, później w służbie szpitalnej. Jako „politycznie niepewny" nie był awansowany na oficera. W Karyntii dostał się do niewoli amerykańskiej. Z końcem 1945 r. został dyrektorem szpitala i kierownikiem oddziału wewnętrznego w Stuttgarcie. Nastąpiła jego rehabilitacja w uniwersytecie w Getyndze. Od 1947 r. pracuje w uniwersytecie w Monachium, gdzie też w 1948 r. zostaje profesorem antropologii.

W 1961 r., a więc w 16 lat po upadku Trzeciej Rzeszy opublikowana została jego książka pt. *„Die Rassenlehre des Nationalsozialismus in Wissenschaft und Propaganda"* (Progress-Verlag, Darmstadt). W przedmowie do tej książki pisze *Saller,* że miałby wszelki powód, aby książkę napisać wcześniej. Ale jako pierwsze zadanie po wojnie uważał przygotowanie nowego wydania „Podręcznika antropologii" (założonego przez *Martina*). Niewątpliwie także podświadomie wstrzymywało go od rozważenia tematu również odpychanie wszystkiego tego przerażającego, co działo się na tym polu w Trzeciej Rzeszy. Powstała jednak na nowo aktualność tego tematu. Okazało się, że kwestie rasowe są co prawda zepchnięte i schowane, ale bynajmniej nie przezwyciężone. I choć gorzkie i niemiłe są te rozważania, uważał za swój obowiązek przedstawić narodowosocjalistyczną naukę rasizmu, aby pobudzić na nowo dyskusję i dojść do konkluzji koniecznych dla przezwyciężenia i tej strony niemieckiej przeszłości. Początkowo sądził on — fałszywie, jak się okazało — że któryś z antropologów Trzeciej Rzeszy, którzy powrócili po upadku tejże na swe stanowiska, zdobędzie się na publiczne uznanie błędności teorii rasizmu. Ale nikt nie zdobył się na to. Wobec coraz liczniejszych sugestii wskazujących na konieczność dokonania rozrachunku zdecydował się sam napisać tę książkę.

Czytamy dalej w przedmowie do książki, że autor jej nie chce bynajmniej grać roli faryzeusza. U siebie samego samokrytycznie dostrzega błędy. Wychowany w rodzinie o tradycjach nacjonalistycznych, częściowo antysemickich, sam w swych najmłodszych latach hołdował tym poglądom. Dopiero później, pod wpływem profesorów uniwersytetu przyszła zmiana zapatrywań. Przyznaje, że początkowo jego opozycja wobec narodowego socjalizmu nie była tak bezkompromisowa, jak później, po objęciu władzy przez *Hitlera*. Należał *Saller* do tych optymistów, którzy uważali wiele celów narodowych socjalistów, zwłaszcza te na polu nauki o rasach, za tak bezsensowne, że oczekiwali, iż zostaną one zaniechane, gdyby narodowi socjaliści mieli stać się odpowiedzialni za dalsze losy Niemiec. W czasie wojny było dla niego jako Niemca czymś niesłychanie deprymującym, że uważał za konieczne czynić wszystko, aby Niemcy wojnę przegrali i aby w ten sposób pozbyć się hańby narodowosocjalistycznej i móc przyzwoicie na nowo zacząć przyszłe życie. Ułatwiała mu przetrwanie okoliczność, że jako lekarz mógł nie tylko działać negatywnie, ale mógł także aktywnie pomagać. Krytyka *Sallera* jest tym ostrzejsza, że wielu uczonych pozostało bezkrytycznych wobec narodowego socjalizmu i popierało ten kierunek także wówczas, kiedy oczywiste się stało, do czego on zmierza, a jego, małego prywatnego docenta pozostawiło samego swojemu losowi, kiedy podjął walkę.

W owych czasach można było, zdaniem *Sallera,* przez właściwą postawę jeszcze wiele zmienić i wielu następstwom zapobiec, gdyby nie to, że zbyt wielu „rycerzy koniunktury" także w uniwersytetach postawiło na narodowy socjalizm i zdradziło sprawę dla kariery. Zastrzega się *Saller,* że jego książka nie ma być wyrzutem, gdyż wyrzuty wobec historycznych wydarzeń są bezcelowe. Ma ona jedynie ułatwić wyciągnięcie nauk na przyszłość. Książka poświęcona jest młodzieży, która domaga się rozliczenia z prostytucją nauki, jaką narodowy socjalizm uprawiał w minionych latach. *Saller* jest obecnie jedynym antropologiem w uniwersytecie niemieckim, który stał w opozycji do narodowego socjalizmu.

Piszący te słowa miał sposobność zetknąć się z prof. *Sallerem* w jesieni 1965 r. w Fleury-Mérogis pod Paryżem w czasie konferencji *FIR* (*Féderation Internationale de Resistants*). Poruszony ofiarowaną mi tamże przez niego wspomnianą wyżej jego książką, w której widać ideowe rozliczenie uczonego z NRF z hańbiącą teorią rasizmu narodowych socjalistów, zaproponowałem prof. *Sallerowi* napisanie artykułu dla „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Taka jest geneza niniejszej rozprawy prof. *Sallera.*

W rozprawie swej autor stara się dojść do zalążków i genezy narodowosocjalistycznego mordu rasowego i „urojenia o bohaterstwie w narodowym socjalizmie". *Saller* prowadzi czytelnika od najdawniejszych czasów powstania i rozwoju antysemityzmu, przedstawiając poszczególne etapy na przestrzeni wieków. Prześladowania Żydów początkowo tłumaczono motywami wyznaniowymi. Później wystąpił motyw narodowy i rasowy. Pojęcie „rasa" w odniesieniu do ludzi po raz pierwszy poruszył francuski antropolog, lekarz i filozof *François Bernier* w 1864 r. *Joseph Arthur de Gobineau,* jeden z twórców rasowo-antropologicznego kierunku w socjologii, w swym głównym dziele pt. „Eseje o nierówności ras ludzkich" (*„Essai sur l'inégalité des races humaines"*, 1853—1855) wprowadził pojęcie rasy białej (aryjskiej), najdoskonalszej, za której przedstawicieli uważał Germanów. Jego teorię rozwinęli m. in. *H. S. Chamberlain* i *A. Rosenberg.*

Tu, według *Sallera,* narodziła się urojona teoria o bohaterstwie szczególnej, germańsko-aryjskiej rasy i przybrała kształt narodowego socjalizmu. *Bismarck* wypowiadał zdania przypominające rasizm, idące w kierunku germańsko-niemieckich urojeń o bohaterstwie. W dalszej części pracy *Sallera* znajdzie czytelnik na-

der ciekawe uwagi o profesorach niemieckich. Rasowo-naukowe pojęcia wprowadził prof. *E. Fischer* z Freiburga, później dyrektor instytutu antropologii (Kaiser Wilhelm Institut Berlin-Dahlem). On od 1909 r. wykładał o znaczeniu rasy nordyckiej. Nazwany został „uznanym wodzem antropologii" (hitlerowskiej). Nie przeszkadzało to, że po bankructwie narodowego socjalizmu *Fischer* został (w r. 1952) mianowany członkiem honorowym Niemieckiego Towarzystwa Antropologicznego. Zdaniem *Sallera,* objawiała się uniżona gotowość niemieckich uczonych do współpracy z *Hitlerem.* Trzonem byli antropolodzy. Tylko pięciu antropologów wyłączyło się z tego nurtu: prof. *Weidenreich* z Frankfurtu nad Menem i doc. *Münster,* którzy wyemigrowali, doc. *Saller,* któremu odebrano prawo nauczania za krytykę, wskutek czego podał się do dymisji i żył dalej jako lekarz praktykujący, prof. *Weininger,* zwolniony z powodu małżeństwa z Żydówką i prof. *Merkenschlager,* zwolniony przez ministra rolnictwa *Darrégo* i osadzony w obozie koncentracyjnym.

Czytelnik znajdzie dalej ciekawy obraz dzisiejszej sytuacji w uniwersytetach NRF. Ci sami uczeni, którzy gloryfikowali *Hitlera* i pomagali mu, po wojnie znaleźli się na katedrach uniwersyteckich. Autor dochodzi do konkluzji, iż „nic dziwnego, że wobec wynurzeń «uczonych» i rzekomych niezależnych doszło w końcu do obłąkańczych ekscesów narodowosocjalistycznego mordu rasowego tak samo, jak do nordyckiego urojenia o bohaterstwie". Aberracje umysłowe doprowadzały do najbardziej nonsensownych sformułowań, jak ustępy cytowane w artykule *Sallera,* a opublikowane w *„Neue Grundlagen der Rassenforschung"* (1933) przez dra *H. Gaucha,* zatrudnionego w urzędzie „wodza chłopów Rzeszy" (*Reichsbauernführer),* ministra *Darrégo.* Warto, by czytelnik szczegółowo zaznajomił się z przytoczonymi przez *Sallera* „wywodami" *Darrégo* na temat roli kobiet, małżeństwa, potomstwa, „wysokiej pani" (*Hohe Frau*) itd.

Nie jest możliwe ustalenie ogólnej liczby masakrowanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Ale jakże słusznie podaje tu autor: „Charakterystyczny jest spór w okresie powojennym w Niemieckiej Republice Federalnej, czy liczba 6 albo 5 milionów jest «przesadą», albo czy były to «tylko» 4 miliony". Warto tu dodać, że niemieckie ustawodawstwo karne nie wprowadziło dotąd pojęcia ludobójstwa.

Prof. *Saller* wskazuje w końcowym ustępie, że większość „bohaterów aryjskich" zaszyła się w ukryciu pod fałszywymi nazwiskami; wielu z nich, spekulując na ludzkiej niepamięci, wyszło z ukrycia, jak gdyby nic się nie stało. Rasizm w Niemczech, zdaniem autora, nie został pokonany. Jego przedstawiciele z Trzeciej Rzeszy działają znowu w uniwersytetach, reprezentując tę samą mentalność. Już powstały na nowo: towarzystwo *Gobineau,* indogermański *Schutzbund,* Liga Nordycka i inne.

Następujący mocny akord kończy artykuł *Sallera:*

„A więc reakcja znów podnosi głowę. Wygrywając na niedorzecznych uprzedzeniach i niekontrolowanych afektach zwraca się ona przeciwko Żydom, przeciwko ludom kolorowym i przeciw pokojowi między wszystkimi narodami. Czyżby zgroza i okrucieństwa, które przeszły od tysiąca lat nad Europą, a szczególnie nad Żydami, i których ekstremalny wyraz z wytępieniem tak zwanych «podludzi» widzieliśmy i przeżyliśmy w narodowym socjalizmie jeszcze raz miały przejść nad ludzkością i człowieczeństwem? Wszyscy ludzie dobrej woli są wezwani do przeciwstawienia się temu i zatroszczenia się o to, aby coś podobnego nigdy więcej się nie stało".

Wydaje się, że opublikowane w niniejszym zeszycie studium jednego z czołowych uczonych Niemieckiej Republiki Federalnej, przynoszące z jednej strony rozliczenie z hańbiącą teorią rasizmu, z drugiej strony obrazujące dzisiejszą sytuację w niektórych uniwersytetach NRF oraz zagrożenie ze strony odradzających się pogrobowców narodowego socjalizmu — posiada wielkie znaczenie. Autorowi artykułu, prof. *Sallerowi* z Monachium należy się szczególna wdzięczność za to opracowanie.

Ten trudny niemiecki tekst przełożyła wiernie i przejrzyście *Maria Masłowska.*

Kolejną pozycją jest piękna i głęboka praca profesora medycyny sądowej w Lublanie (Jugosławia), dra *Janeza Milčinskiego.* Swoje refleksje pt. „Kryzys etyki lekarskiej" snuje autor po zwiedzeniu Muzeum w Oświęcimiu i po zobaczeniu filmu dokumentarnego o wyzwoleniu obozu oświęcimskiego. Wzruszająco pisze on o dzieciach z tego filmu, przekraczających bramę obozu, że „niektórym cieknią łzy po policzkach, chmurzy się wzrok. Płaczesz, a tyś przecież nie z tych, co ukrywają łzy. Płaczesz — o co? O miliony zabitych? Za dużo ich jest, dalecy oni i nieznani. Z radości nad uwolnionymi? Kto by przez dzień lub dwa stał na ruinach domów i na grobach domowników? Nie, to nie to. Płaczesz nie z nienawiści, nie z powodu żałoby, płaczesz, bo ci w ogóle jest źle, płaczesz ze wstydu. Wstydzisz się chyba swojego gatunku". Artykuł prof. dra *Milčinskiego* — to proza artystyczna, w której nadto wyrazistą rolę odgrywa przemyślana kompozycja tekstu. Zalety oryginału słoweńskiego w pełni oddaje piękny, filologiczny przekład polski dra *Zenona Jagody.*

Polskie prace naukowe dotyczące zagadnień okupacyjnych zostały w ubiegłym roku wzbogacone o rozprawę doktorską z zakresu socjologii moralności pt. „Obraz moralności obozowej w pamiętnikach polskich więźniów Oświęcimia", pióra dr *Alicji Glińskiej.* Rozprawa ta została napisana w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach pod kierunkiem doc. dra *Zygmunta Grossa.* Maszynopis całości tekstu, oparty o rzetelny sondaż piśmiennictwa i wykazujący szeroką skalę zagadnień wyczerpująco przedstawionych przez autorkę, liczy 366 stronic tekstu oraz 106 stronic aneksu bibliograficznego. Rozprawa zasługuje na edycję książkową, czego ma podjąć się „Książka

i Wiedza"; jeszcze wcześniej czytelnicy znajdą fragmenty tej rozprawy w „Zeszytach Naukowych WSP w Katowicach" oraz w „Etyce", czasopiśmie Komitetu Filozoficznego PAN. Ze względu na szczupłość miejsca w naszych zeszytach zamieszczamy tylko skrót tej rozprawy, zatytułowany: „Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia", stanowiący syntezę wniosków autorki, a opracowany przez nią na naszą prośbę.

Do grupy prac dotyczących etyki należy artykuł dra *Adolfa Gawalewicza,* znanego już czytelnikom ze swych znakomitych wspomnień, zamieszczonych w poprzednich zeszytach. Autor ten w swym szkicu pt. „Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej" wypowiada się nie z punktu widzenia badacza-teoretyka, ale jako były więzień oświęcimskiej katowni.

Na ogłoszonej literaturze oparła się autorka następnego artykułu, mgr *Stefania Dzięcielska-Machnikowska,* socjolog z Łodzi. W swej pracy pt. „Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników" nawiązuje ona do problematyki bardziej rozlegle poruszonej przez dr *Glińską.* I tutaj znajdujemy dwa różne punkty widzenia sprawy etyki obozowej, traktowanej na płaszczyźnie studiów etyki w ogóle: stanowisko filozofa i stanowisko socjologa. Obie prace, w swej maszynopisowej, szerszej wersji, odzwierciedlają wnikliwe studia, oparte na bogatej bibliografii. Cieszymy się, że tak stosunkowo szybko mogliśmy udostępnić czytelnikom przynajmniej w formie skrótowej rezultaty tych trudnych i ambitnych badań.

Interesujące rozważania snuje psychiatra, doc. dr *Antoni Kępiński* w pracy pt. „Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy". Autor na przykładzie stosunków w obozie koncentracyjnym, w którym problem władzy uległ katastroficznemu wypaczeniu, przedstawia niektóre aspekty patologiczne tego zagadnienia.

Dwie następne prace: dra *Tadeusza Sznajdra* („Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji") i dra *Ryszarda Zabłotniaka* („Białostocka służba zdrowia w czasie okupacji hitlerowskiej") — to urywki z rozpraw doktorskich.

O „Losie psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej" pisze dr *Marcin Łyskanowski* z Warszawy. Jest to również skrót rozprawy doktorskiej, nadesłany nam przez prof. dra *Tadeusza Bilikiewicza.* Niewtajemniczony czytelnik dowie się tu o programie „hitlerowskiej eutanazji", czyli o wyniszczaniu przez hitlerowców ludzi chorych psychicznie.

Podobny temat jest przedmiotem źródłowego studium *Romana Kiełkowskiego* pt. „Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie". Autor (obecnie prezes Sądu Ubezpieczeń Społecznych w Krakowie), prowadzący w r. 1946 śledztwo jako podówczas sędzia okręgowy delegowany przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, przeprowadza wnikliwą, prawniczą analizę, opartą na badaniu dowodów rzeczowych przy najściślejszej współpracy z Zakładem Medycyny Sądowej w Krakowie, pozostającym wówczas pod kierunkiem prof. dra *Jana Olbrychta,* który przeprowadził badania ekshumowanych zwłok.

Szczególnie cennym dokumentem jest opracowana przed 20 laty przez byłego lekarza *SS,* dra *Hansa Müncha* na podstawie materiałów Instytutu Higieny *SS* i Policji w Oświęcimiu naukowa analiza „Głodu i czasu przeżycia w obozie oświęcimskim". Przypis do artykułu zawiera bliższe dane dotyczące tej pracy. Ze względów technicznych można było zamieścić tylko jej skrót. Szczególna wartość tej publikacji polega zarówno na tym, że pisał ją lekarz patrzący na obóz oświęcimski z punktu widzenia Niemca, członka obozowej służby zdrowia, jak i autor umiejący ściśle naukowo i logicznie przedstawić niedobór wyżywienia więźniów i skutki głodzenia. W ten sposób świadectwo prawdzie dał były esesowiec, należący do nielicznej garstki tych funkcjonariuszy okupacyjnych, którzy zachowali ludzką godność. Dr *Hans Münch* mieszka obecnie w NRF.

Dr *Hans Münch* przydzielony został z końcem 1943 r. przymusowo do *SS.* Pełnił on do stycznia 1945 r. w Rajsku pod Oświęcimiem obowiązki lekarza *SS* w *„Hygiene-Institut der Waffen SS und Polizei".* Po wojnie został on drogą ekstradycji przekazany władzom polskim i od 18 grudnia 1946 r. znalazł się na terenie PRL. Sądzony był przez Najwyższy Trybunał Narodowy na sesji w Krakowie w „procesie oświęcimskim", toczącym się od 21 listopada do 16 grudnia 1947 roku przeciwko 40 członkom załogi obozu w Oświęcimiu. W wyniku tego procesu 23 oskarżonych skazano na karę śmierci, 16 na karę więzienia od więzienia dożywotniego do 3 lat, a jednego oskarżonego uniewinniono. Tym jedynym uniewinnionym był dr *Hans Münch.* Jak wykazano w czasie przewodu sądowego, w stosunku do więźniów zachowywał się jak najpoprawniej i jak najżyczliwiej.

Za namową ówczesnego sędziego śledczego, późniejszego profesora, dra *Jana Sehna* napisał w więzieniu śledczym swą pracę, której skrót zamieszczamy. Przytaczamy wyjątki z oceny pracy dra *Müncha,* dokonanej przez docenta fizjologii, dra *Wincentego Wcisłę:*

„Całe opracowanie składa się ze 128 stron maszynopisu i rycin w postaci fotokopii i dowolnie zszytych jako 2 tomy. Tom pierwszy zawiera 57, a drugi 71 kart. Jest to opracowanie i analiza całości dowodowego materiału obozowego Instytutu Higieny w Oświęcimiu, w którym dr *Münch* był lekarzem. Opracowanie to wykonał w r. 1947, przebywając w więzieniu w Krakowie na Montelupich. Analizę posiadanego materiału dowodowego autor oparł na podstawowych pojęciach z fizjologii głodu (część pierwsza) i na próbach statystycznego opracowania oraz osobistych uwagach na temat żywienia i stylu obozowego życia (część druga opracowania).

W części pierwszej na samym początku autor podaje te wstępne fizyczno-biologiczne pojęcia, które potrzebne są do zrozumienia rozwoju stanu głodowania i śmierci z zagłodzenia. Człowiek — to nie *perpetuum mobile,* lecz aby egzystować i pracować, musi stale uzupełniać swój zapas energii pokarmem ocenianym w kaloriach. Podstawowe zapotrzebowanie człowieka na dobę wynosi 1 500 kalorii. Na każdą zaś

godzinę bezwysiłkowego trybu życia po 300 dodatkowych kalorii. Dla ciężko fizycznie pracujących wymagane jest 4 000 — 5 000 kalorii na dobę. Praca umysłowa, aczkolwiek nużąca, większej ilości kalorii nie potrzebuje.

W normalnych warunkach zjawisko głodu jest naturalnym regulatorem sprawnie uzupełniającym każdorazowe straty energetyczne ustroju. Rezerwy zaś energetyczne w postaci zmagazynowanego tłuszczu stoją do dyspozycji na wypadek niedokarmienia lub głodzenia ustroju. Mając np. przeciętnie 10 kg zapasowego tłuszczu, można ostatecznie nawet 40 dni przetrwać, głodując w spoczynkowych warunkach.

Głodowanie przebiega w dwóch fazach. W pierwszej zużywają się rezerwy tłuszczowe, a w drugiej już własne białka i człowiek przybiera złowróżbną postać tzw. «muzułmana». Taki człowiek szybko tracił swe wartościowe białka, powstawały obrzęki, bladość, osłabienie i omdlenia, aż wreszcie występowały biegunki i dokuczliwe pragnienie. Nikło zainteresowanie sprawami otoczenia, a nawet własnym losem. Jeśli więzień Oświęcimia przybrał postać «muzułmana», to sprawa jego uratowania przed niechybnie i często zaskakującą śmiercią głodową była przesądzona. Dlatego też na przeżycie w obozie mogli liczyć tylko więźniowie znajdujący się w pierwszym okresie głodowania. Dr *Münch* przyjmuje, że przeciętnie więzień przychodząc do obozu miał 10 kg zapasów tłuszczowych w ustroju i otrzymując deficytową rację odżywienia = 1500 kalorii na dobę rozpoczynał głodowanie.

Więźniowie otrzymując deficytowe kalorycznie odżywienie wykonywali prace o różnej ciężkości, tracąc dziennie 2 200—3 000 kalorii, a tylko wyjątkowo 1 800. Ich zapas tłuszczu znikał zwłaszcza przy ciężkiej pracy, a wykonywanie lżejszej pracy lub upozorowanie wykonywania ciężkiej pracy przedłużało czas tracenia ich tłuszczowych rezerw. Jeśli w końcu wystąpił stan «zmuzułmanienia», to taki bardzo wyniszczony więzień szybko już kończył życie; Żyd od razu padał ofiarą tzw. «specjalnego potraktowania» *(Sonderbehandlung)*, Aryjczyk zaś, jeśli nawet zdołał pod jakimkolwiek pozorem dostać się do obozowego szpitala, to i tak zwykle umierał i przechodził z dymem przez komin krematorium. Tylko bowiem nadzwyczaj umiejętne postępowanie leczniczo-dietetyczne mogło więźnia z tego stanu wyniszczenia uratować. Natomiast najmniejsze obciążenie, chociażby przyjęcie obfitszego posiłku, mogło go szybko zabić. Często śmierć przychodziła w czasie snu, wymarszu do pracy lub innych, nawet zwykłych wysiłków. Z taką nagłą śmiercią byli obeznani wszyscy więźniowie i załoga obozu, a na formularzach zgonu były już przewidziane odpowiednie rubryki. Takie masowe występowanie stanów krańcowego wygłodzenia u więźniów przysparzało kłopotu nawet władzom obozu chociażby jako źródło zakażenia, gdyż znajdując się w stanie całkowitej atrofii i bezreaktywności ustroju, często mieli w sobie niespostrzeżone i nietypowe, np. bezgorączkowo przebiegające różne infekcje, jak dur wysypkowy. Umierającemu poza tym i tak było wszystko jedno, wobec czego nie przestrzegał żadnych higienicznych środków ostrożności. Władze zaś, zamiast wreszcie rozpocząć lepsze odżywianie więźniów, stosowały tylko *Sonderbehandlung* jako *prophylacticum magnum sterilicum Auschwiciense*. Do szpitala obozowego taki wyniszczony więzień nie mógł się dostać, chyba że miał jakieś nietypowe objawy lub inną chorobę, jednak nie zakaźną, bo jej rozpoznanie było równoznaczne z przekazaniem do *Sonderbehandlung*.

Tak więc normalny więzień Oświęcimia był skazany na śmierć głodową, jeśli w jakikolwiek sposób nie zmniejszył swego deficytu kalorycznego. Można to było osiągnąć przez unikanie wysiłków fizycznych, utrzymanie jak najlepszej łączności z kuchnią i zaopatrzeniem. Tendencja do takiego postępowania panowała w całym obozie. Dodatek kaloryczny z paczek, dodatkowej porcji zupy lub chleba z jednej strony, a jak najlżejsza praca, jakakolwiek, byle siedząca z drugiej — pozwalały więźniom jako tako utrzymać bilans zysków i strat metabolicznych na zrównoważonym poziomie. Takich jednak wśród więźniów było tylko 24,5%, zaś 75,5% skazanych było na szybszą lub powolniejszą śmierć głodową.

W drugiej części swego opracowania dr *Münch* przytacza kilka danych statystycznych, które potwierdzają w liczbach, że jego ogólne obserwacje stanu głodowania więźniów, podane powyżej, były rzeczywiste i wiarygodne. Na podstawie ogólnej liczby więźniów będących w ewidencji oświęcimskiego Instytutu Higieny oraz w oparciu o listę zgonów, kart chorych i innych dokumentów ustalił on, że w r. 1943 więzień przeciętnie po 15 miesiącach pobytu w obozie wpadał w stan głodowego wyniszczenia, w którym z reguły ginął w przeciągu 5,8 miesiąca. W r. 1944 po nieznacznym poprawieniu odżywiania więźniów przez wzbogacenie obozowej zupy o 250 kalorii ich czas przeżywania przedłużył się o 2 miesiące. W tabelarycznym zestawieniu podano przykładowo czas życia 69 więźniów wyniszczonych głodem oraz skład i wartość kaloryczną stosowanych wówczas w obozie zup jako głównego pokarmu dla więźniów.

Z przeprowadzonych w oświęcimskim Instytucie Higieny kontrolnych badań próbek pokarmów nad ich składem i kaloryczną wartością wynika, że więzień otrzymywał dziennie tylko 1 516 kalorii, gdy minimum jego dobowego zapotrzebowania kalorycznego wynosiło nawet przy najlżejszej i w pozycji siedzącej wykonywanej pracy od 2 100 do 2 500 kalorii. Obok deficytu kalorycznego istniał także poważny deficyt białkowy i witaminowy.

Na 1 516 kalorii dziennego wyżywienia więźnia składało się 600 kalorii w postaci zupy otrzymywanej w ilości 1 do półtora litra w porze obiadowej i 916 kalorii zawartych w 350 g chleba, 50 g kiełbasy i 20 g margaryny, wydawanych na wieczorne i ranne pożywienie.

Kaloryczną wartość zup oznaczano z ich suchej masy i zawartości tłuszczu. Wydawana w obozie zupa kartoflana z kaszą lub zupa kartoflano-mączna z grochem bez mięsa, jarzyn i przypraw były z reguły tak niesmaczne, że wzbudzały niechęć nawet mimo wielkiego głodu odczuwanego przez niedożywionych i psycho-fizycznie wyczerpanych więźniów. W dodatku zupa taka szybko ulegała zepsuciu i zakwaszeniu, a zawierając dużo, bo około 15 g soli kuchennej sprzyjała powstawaniu obrzęków u więźniów.

Chleb stanowił 40% całego odżywienia więźniów. Pieczony był z grubej mąki żytniej i jęczmiennej, wobec czego był trudno strawny i szczególnie nie nadający się dla wygłodzonych ludzi. W porcji chleba więzień otrzymywał 17,5 g roślinnego białka i witaminy z grupy B. Jednak mąka przeznaczona na wypiek chleba była często zepsuta, a samo pieczenie i przechowywanie chleba wadliwe. Mimo to chleb ten był smaczniejszy niż chleb wypiekany dla esesmanów.

Kiełbasa dla więźniów była przygotowywana z chudych odpadów mięsnych i to bez stosowania chemicznych środków konserwujących. Jak wynika z licznych analiz mięsa kiełbasy, raczej nadawała się ona do spożycia tylko po należytym ugotowaniu, a w 10% zawierała *bacterium coli* i była do użycia niezdatna. Dlatego też zatrucia kiełbasą i mięsem były bardzo częste. Nie poprawiono jednak tego stanu rzeczy, gdyż w obozie do końca panowała ogólna zasada, że «dla więźniów nawet najgorsze jest jeszcze za dobre».

Nadto autor, kończąc swe opracowanie materiałów dowodowych Instytutu Higieny *SS* nakreśla krótko sylwetki kilku «osobistości», dzierżących władzę i bezpośrednio odpowiedzialnych za swoisty styl bycia i traktowania więźniów w oświęcimskim obozie.

O problemie sterylizacji kobiet oraz stosowaniu cyjanowodoru i cyklonu wzmiankuje tylko na samym końcu swego opracowania.

(...) Autor przedstawił problem obozowego głodowania i śmierci głodowej w sposób jasny i prosty. Wykazał należytą znajomość podstaw zagadnienia równowagi metabolicznej ustroju, zwichniętej systematycznie kontynuowanym i drastycznym niedożywianiem (...) Całe opracowanie wydaje się wolne od przesady i tendencyjności oraz cechuje je należyty obiektywizm, który ma tym większe znaczenie, że dotyczy autora o szerszym myślowym horyzoncie i w dodatku naukowo i społecznie wysoko stojącego lekarza-Niemca (...)"

Przytoczona ocena daje pełniejszy pogląd na całość analizy przeprowadzonej przez dra *Müncha,* której skrót publikujemy jako rzadki i cenny dokument.

Do badań nad osobami, które się urodziły lub przebywały w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, nawiązuje praca dr *Wandy Półtawskiej* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie pt. „Stany hipermnezji napadowej. (Na marginesie badań tzw. «dzieci oświęcimskich»)". Nadwrażliwość pamięci jest objawem swoistym u najmłodszych byłych więźniów, na których pobyt w obozach wywarł szczególne piętno. Autorka jako była więźniarka dostrzegła wyraźnie to zjawisko u badanych osób, zwykle uchodzące uwagi ludzi postronnych.

Następuje praca dotycząca zagadnień stomatologicznych, pt. „Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim", pióra profesora AM w Warszawie, dra *Janusza Krzywickiego.* Daje ona pogląd na leczenie stomatologiczne w Oświęcimiu, które właściwie zaczęło się dopiero po 1942 r., gdyż przedtem nie pozwalały na nie warunki. Autor, bezpośredni świadek, pracujący w gabinecie dentystycznym rewiru dla chorych więźniów, obrazowo przedstawił sytuację tam panującą i wysiłki lekarzy, pracujących w warunkach gorszych niż wojenne.

Następne trzy artykuły dotyczą badań byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych w kierunku ewentualnych późnych następstw. I tak, ze środowiska wrocławskiego przedstawia wyniki swych badań lek. *Czesław Kempisty* (były więzień obozu oświęcimskiego i innych w latach 1941—1945) w artykule pt. „Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego"; adiunkt Pomorskiej Akademii Medycznej, dr *Jadwiga Schwann-Pawłowska,* więziona podczas wojny w Ravensbrück, podaje „Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (ze środowiska szczecińskiego)"; młoda absolwentka medycyny, lek. *Małgorzata Dominik* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie opracowała wstępne wyniki „Sytuacji zdrowotnej i bytowej byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety".

Na podkreślenie zasługuje, że w ślad za badaniami krakowskimi, przedstawianymi począwszy od pierwszego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", coraz to nowe środowiska przystępują do badań naukowych dotyczących stanu zdrowia byłych więźniów. Nie wątpimy, że badania te będą coraz intensywniej kontynuowane, a ich wyniki przedstawimy w następnych zeszytach.

Na początku działu historyczno-dokumentarnego zamieszczamy pracę pani *Myrtle Beardwell-Wieleżyńskiej* (Angielki, żony Polaka), która została skierowana przez wojskowe władze brytyjskie jako pielęgniarka do obozu w Bergen-Belsen bezpośrednio po jego wyzwoleniu w kwietniu 1945 roku. Jej realistyczny, rzeczowy opis daje wgląd w różne tajniki tego obozu śmierci. Artykuł opublikowany w niniejszym zeszycie pt. „Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu" zawiera wyjątki z jej książki pt. *„Aftermath"* („Pokłosie") oraz oryginalne zdjęcia wraz z rękopiśmiennymi objaśnieniami, zgromadzone w nie opublikowanym albumie. Dołączone nadto relacje lekarza, dra *J. A. D. Johnstona* oraz pułkownika armii brytyjskiej, spisane na drugi dzień po wejściu do obozu, uzupełniają realistyczny, a dzięki temu bardziej wymowny i zarazem przerażający opis. Artykuł stanowi autentyczny dokument historyczny o dużej wadze i znaczeniu.

Następna pozycja dotyczy „Szpitala w obozie koncentracyjnym Gusen". Autor, dr *Zbigniew Wlazłowski* z Gdyni, spisał swe wspomnienia obozowe w obszernym rękopisie. Opublikowane fragmenty, złączone w zwartą całość, eksponują tematykę lekarską i wnoszą dużo faktów, zwłaszcza o obozowym ruchu oporu w rewirze obozowym. Autor był przed wojną studentem medycyny i asystentem-wolontariuszem w krakowskim zakładzie anatomii patologicznej. Aresztowany w lutym 1941 roku, po sześciotygodniowym pobycie w więzieniu na Montelupich został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Gusen.

Ważny, poparty dokumentami artykuł o akcji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w dostarczaniu paczek dla więźniów Oświęcimia przedstawia dr *Stanisław Kłodziński* z Krakowa. „Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia" — to również istotna karta z historii ruchu oporu w obozie oświęcimskim.

Dr *Maria Elżbieta Jezierska* z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce podaje w artykule pt. „Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 roku", że Niemcy dokonywali tam zbrodniczych doświadczeń w ostatnim okresie przed wyzwoleniem obozu. W następnej pracy pt. „Zagadnienie małych obozów" autorka ta porusza ważną ze względów historyczno-dokumentarnych sprawę niektórych podobozów, mało jeszcze zbadanych z punktu widzenia lekarskiego. Zachęca lekarzy-byłych więźniów i ich pacjentów z małych obozów do nadsyłania relacji pod adresem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (Warszawa, Al. Ujazdowskie 11).

Po raz pierwszy w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" pojawia się tematyka poznańska. Dr *Karol Marian Pospieszalski,* profesor prawa państwowego Uniwersytetu Poznańskiego, podaje „Wykaz profesorów Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny"; publikujemy dokładną listę strat tamtejszego Wydziału Lekarskiego. Nota redakcyjna podaje zwięzły opis losu profesorów poznańskich, prześladowanych przez Niemców.

Okupacyjna tematyka lekarska dotycząca ziem polskich wcielonych do Rzeszy jest stosunkowo rzadko poruszana. Zajął się nią *Henryk Tycner* w pracy pt. „Grupa doktora *Franciszka Witaszka* w wielkopolskim ruchu oporu". Autor od lat zajmuje się tym zagadnieniem, przeszukując archiwa polskie i zagraniczne i zasięgając wywiadów u żyjących

uczestników wydarzeń. Ponadto przygotowuje on książkę o organizacjach politycznych na terenie Wielkopolski w czasie okupacji oraz pracę o działalności organizacji niemieckich na terenach Pomorza i Wielkopolski przed wojną.

Henryk Tycner pochodzi z rodziny, która do 1919 r. była na emigracji w Berlinie. Jego ojciec, *Ignacy Tycner* brał udział w powstaniu wielkopolskim i śląskim. W czasie okupacji był w AK. Zginął w obozie. Autor artykułu przebywał w czasie wojny w Poznaniu, następnie brał czynny udział w walkach o to miasto aż do zdobycia Cytadeli. Należał do grupy, która zorganizowała Komendę Miasta Milicji Obywatelskiej. Od 1946 r. jest dziennikarzem. W latach 1960—1963 był sekretarzem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Od r. 1963 jest redaktorem naczelnym „Kuriera Polskiego".

Opisana w jego pracy bohaterska postać dra *Witaszka* i jego towarzyszy walki zasługuje na tym trwalszą pamięć, że w Wielkopolsce nie można było stosować takich sposobów walki, jak w Generalnej Guberni (partyzantka, otwarta działalność zbrojna itp.). Nie pozwalały na to warunki. Musiano się więc uciekać do bardziej zamaskowanych sposobów walki, które opisuje *Tycner*, aby móc przeciwdziałać bezwzględnemu okupantowi, niszczącemu bez żadnych hamulców i skrupułów ludność polską w Wielkopolsce.

Interesującym dokumentem są rękopiśmienne notatki dr *Janiny Misiewicz*, profesora ftizjatrii, dyrektora Instytutu Gruźlicy w Warszawie (urodzona 12 grudnia 1893 r., zmarła 5 października 1950 r.). Rękopis, należący do archiwum Muzeum Historii Ftizjatrii w Szczecinie, udostępnił nam prof. dr *Zbigniew Garnuszewski*. Notatki te ogłaszamy po redakcyjnej adaptacji do druku, wykonanej podług zasad postępowania wydawniczego w wypadku rękopisów nieżyjących autorów. Tytuł: „Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim" pochodzi od redakcji. Profesorom dr *Leonowi Manteufflowi* i dr *Wiwie Jaroszewicz* z Warszawy zawdzięczamy zweryfikowanie i uzupełnienie przypisami tego dziennika, pisanego pospiesznie, w trudnych i ciężkich warunkach działań powstańczych. W ten sposób podejmujemy znów w naszych zeszytach okupacyjne zagadnienia warszawskie, którym poświęcone były przed rokiem, w szóstym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1966, nr 1) prace dra *Jerzego Włoczewskiego* („Ursus a powstanie warszawskie. Wspomnienia lekarza") i *Heleny Rawskiej* („Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa"). W dziale biograficznym niniejszego zeszytu czytelnik napotka jeszcze informacje o służbie zdrowia w okupowanej Warszawie, a mianowicie o Szpitalu św. Jana Bożego, zwłaszcza w dniach powstania (przy okazji omawiania sylwetki dr *Haliny Jankowskiej*).

Warto dodać, że biografię prof. dr *Janiny Misiewicz* opublikowała prof. dr *Wiwa Jaroszewicz* w czasopiśmie „Gruźlica" (1959, nr 3, str. 701—712).

Na podstawie materiałów nadesłanych przez dra *Aleksandra Bibersteina*, znanego krakowskiego lekarza i działacza społecznego, mieszkającego obecnie w Izraelu, opracowano redakcyjnie artykuł pt. „Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską". Jest to piękna karta działalności żydowskich pracowników służby zdrowia, niosących pomoc Żydom nieludzko prześladowanym przez hitlerowców. Żydom pomagali też Polacy w sposób zorganizowany, co znajduje swój wyraz w wyczerpującej pracy prof. *Tadeusza Seweryna* o wszechstronnej pomocy Żydom w okręgu krakowskim polskiego ruchu oporu. Praca ta jest dokumentem źródłowym, napisanym — podobnie jak artykuł dra *Bibersteina* — „z pierwszej ręki", przez świadków i współorganizatorów opisanej działalności. Dzisiaj, gdy za granicą podnoszą się głosy, ośmielające się nawet zarzucać Polakom niesprzyjanie Żydom podczas okupacji, prace dra *Bibersteina* i prof. *Seweryna* dają świadectwo prawdzie, jak Polacy z narażeniem własnego życia ratowali Żydów.

Dział Wspomnień otwiera artykuł dra *Zbigniewa Garnuszewskiego* pt. „Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki". Autor jako lekarz jest jednym z tych pracowników służby zdrowia w okupowanej Polsce, którzy wówczas podjęli zbrojną walkę z zaborcą. Obecnie jest profesorem i kierownikiem Kliniki Ftizjatrycznej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. W liście do redakcji, pisanym 16 września 1966 roku w Niamey (Niger), prof. *Garnuszewski* poinformował nas o swym pobycie w Afryce:

„(...) do Nigru wyjechałem w początku stycznia br. oraz za zezwoleniem Ministerstwa Zdrowia. Zarówno mnie, jak i pozostałych czterech kolegów wysłało tu przedsiębiorstwo *«Polservice»*. W Nigrze pracuję w charakterze ordynatora oddziału gruźliczego (100 łóżek) szpitala w Niamey (stolica Nigru). Ponadto pomagam miejscowemu ftizjatrze, dr *Wrightowi*, narodowemu konsultantowi w sprawach walki z gruźlicą, zorganizować ftizjatryczną służbę zdrowia na terenie Nigru oraz układam plan walki z gruźlicą dla tego kraju. Od października mam również wykładać na kursach dla felczerów, Niestety, akademii medycznej tutaj nie ma i zainteresowanych wysyła się na studia do Abidżanu (stolica Wybrzeża Kości Słoniowej) lub Dakaru (Senegal)".

Krakowski lekarz, *Piotr Wesełucha*, we wczesnej młodości został uwięziony przez okupanta i osadzony w Działdowie. Odtąd zaczęła się jego okupacyjna epopea. W swej pracy pt. „Niemcy. Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen" nie podaje swych wszystkich przeżyć, ale z perspektywy czasu, na kanwie uwag o swym stosunku do Niemców refleksyjnie rozważa wybrane epizody, a opisywane fakty ukazuje z pogłębieniem psychologicznym.

Dr *Kazimierz Hałgas* z Paczkowa skreślił swoje wspomnienia ze szpitala obozowego w Gross-Rosen. Opublikowana praca jest skrótem redakcyjnym nadesłanego materiału. W ten sposób po raz pierwszy w naszych zeszytach publikujemy bliższe informacje o lekarskich sprawach tego mniej znanego obozu. Pewne

dane o Gross-Rosen zawiera również biografia dra *Ludwika Fischera,* zamieszczona w zeszycie poprzednim (1966, nr 1, str. 229—234).

Następuje przejmująca relacja pielęgniarki *Elżbiety Piekut-Warszawskiej,* która opisuje swój pobyt w bloku dla dzieci w Oświęcimiu. Artykuł ten pt. „Dzieci w obozie oświęcimskim. (Wspomnienia pielęgnarki)" jest cennym przyczynkiem do jednej z najciemniejszych kart zbrodni hitlerowskich, jaką było metodyczne pastwienie się nad dziećmi.

Autorka, dyplomowana pielęgniarka-instruktorka, zmobilizowana w 1939 r. przeszła kampanię wrześniową w VII Okręgowym Szpitalu Wojskowym w Poznaniu, a po ewakuacji stamtąd i po obronie Warszawy została wysłana do Łodzi, do szpitala dla jeńców wojennych wraz z przełożoną szpitala, siostrą *Gordon* i siostrą *Władysławą Nowak.* Aresztowana w lipcu 1940 roku za udzielenie pomocy w ucieczce trzem jeńcom, oficerom polskim, została zwolniona po trzech miesiącach dzięki interwencji naczelnego lekarza niemieckiego, *Thileniusa,* jak również z braku dowodów winy i wydalona z tzw. „Warthegau". Następnie pracowała w Skarżysku-Kamiennej w ośrodku zdrowia przy fabryce amunicji *HASAG.* W 1943 r. została aresztowana po raz drugi z powodu udzielenia pomocy sanitarnej rannym partyzantom i za dostarczenie próbek amunicji organizacji ZWZ. 13 czerwca 1943 roku wywieziona z więzienia w Kielcach do Oświęcimia, gdzie wkrótce znalazła się w bloku dla dzieci.

W dniu 22 października 1966 roku zmarła przedwcześnie niezwykle ceniona i zasłużona dr *Dorota Lorska.* W dziale biograficznym tego zeszytu przeznaczamy jej oddzielne wspomnienie. Niedługo przed swą śmiercią nadesłała nam artykuł pt. „Z pobytu w Oświęcimiu", w którym opisuje piękną kartę człowieka, umiejącego pozytywnie oddziaływać na innych przez swój osobisty wpływ mimo nieludzkich warunków.

Nieudaną ucieczkę z Oświęcimia relacjonuje prof. dr inż. *Zbigniew Kączkowski* z Politechniki Warszawskiej w artykule pt. „Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego". Praca zawiera wiele interesujących szczegółów. Warto dodać, że matka prof. *Kączkowskiego,* dr med. *Zofia Kączkowska,* urodzona 16 kwietnia 1893 roku, została aresztowana 11 kwietnia 1943 roku wraz z synem we wsi Biała Góra w powiecie kozienickim i przywieziona tym samym transportem do Oświęcimia w dniu 24 czerwca 1943 roku. Otrzymała numer obozowy 46 442. W liście *Jadwigi Leszczyńskiej* do *Izabeli Mandukowej,* pisanym w 1945 r., czytamy między innymi:

„Dr *Zofia Kączkowska* pracowała od początku na rewirze, tj. w szpitalu, w bloku 22, Niemek. (...) Pocieszałyśmy się nawzajem (...). Martwiła się *Zbyszkiem* (...). W sam Nowy Rok 1944 położyła się, żeby już nie wstać. Szóstego dnia temperatura doszła do 41°, jak zwykle w tyfusie i wtedy nastąpił wylew krwi do mózgu. Straciła biedaczka przytomność, a 13 stycznia po południu zmarła (...). Nazajutrz owiniętą w czyste, białe całuny, przystrojoną gałązkami świerku i białymi chryzantemami przeniosły lekarki na noszach przez całą długość polskiego bloku szpitalnego aż na samochód, którym na noszach dostojnie pojechała do krematorium. Przez komin, dymem na wolność (...). Chciały te panie sprowadzić *Zbyszka,* by mógł pożegnać się z Matką. *Oberarzt SS* nie pozwolił, «żeby zmieniona twarz doktor *Kączkowskiej* nie zrobiła na synu przykrego wrażenia»".

Dalsza praca — to „Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie" pióra dra *Antoniego Makowskiego* z Warszawy. Jest to redakcyjny skrót bardzo obszernego pamiętnika, mającego tę dokumentarną wartość, że został napisany bezpośrednio po oswobodzeniu w polowym szpitalu amerykańskim. Po raz pierwszy w naszych zeszytach publikujemy więc ciekawe informacje o obozie w Zwieberge pod Langensteinem. W tekście tym zwraca m. in. uwagę pokonywanie trudności przez więźnia dążącego do ocalenia życia, a także do uzyskania funkcji lekarza w warunkach obozowych.

Następne dwie pozycje dotyczą okresu już po wyzwoleniu. Pierwszy z tych artykułów, to krótka praca dra *Józefa Grendy* z Kielc pt. „Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu". Szpital ten działał do jesieni 1945 roku, aż wszyscy byli więźniowie, którzy musieli długo wracać do sił, wyjechali z Oświęcimia do swych rodzinnych okolic. Szkic dra *Grendy* dorzuca kilka cennych faktów do zagadnienia tamtejszego szpitala PCK, które czeka na wyczerpujące, monograficzne opracowanie. Warto dodać, że na ten temat znajdują się cenne notatki w artykule dra *Józefa Bellerta* pt. „Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w szpitalu obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu", opublikowanym w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" w 1963 r. (nr 1a, str. 66—69) oraz w materiałach pozostałych po drze *Stefanie Uhmie.*

Autorka następnego artykułu („Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu"), *Wanda Lorenczuk,* pielęgniarka, podczas okupacji działała konspiracyjnie w PCK, pomagając jeńcom radzieckim i więźniom. Z tego powodu została uwięziona przez gestapo w więzieniu w Toruniu, gdzie ją głodzono i męczono, po czym przewieziono ją do więzienia w Gdańsku. Po roku pobytu w więzieniu skierowano ją z transportem do obozu koncentracyjnego. W Tczewie uciekła z transportu przy pomocy robotników przymusowych, jadących tymże pociągiem. Następnie ukrywała się u życzliwych ludzi aż do wyzwolenia Torunia przez wojska radzieckie.

Po wojnie podjęła pracę w PCK. Jednym z jej zadań było uczestniczenie w 1946 r. w pracach ekshumacyjnych. O tym właśnie pisze w swym artykule. Za swe zasługi *Wanda Lorenczuk* została odznaczona w roku 1966 Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dział Wspomnień zamyka relacja dra *Tadeusza Müllera* pt. „Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego". Autor jest znanym lekarzem w Oświęcimiu, w którym się osiedlił

po wojnie. Jego historia, to nie tylko dzieje okupacyjne, lecz także powojenne dzieje lekarza, który się poświęcił pacjentom na prowincji, od pierwszego najtrudniejszego roku po wyzwoleniu po czas dzisiejszy. W swym artykule dr *Müller* wraca do okresu okupacyjnej martyrologii. W jego pracy widzimy opis kontrastu między dobrymi warunkami u Węgrów, którzy nieskłonni byli łatwo poddawać się faszystom, a późniejszą martyrologią w obozach jenieckich, gdzie u najbardziej nawet szarego Niemca autor napotykał na bezwzględne posłuszeństwo wobec hitleryzmu.

Dział poświęcony Sylwetkom zasłużonych lekarzy otwiera pierwsza wyczerpująca praca o dr *Halinie Jankowskiej,* ogłoszona po wojnie. Dr *Jankowska,* psychiatra, zginęła w powstaniu warszawskim wraz ze swoimi chorymi pod gruzami sklepień Szpitala św. Jana Bożego, nie chcąc opuścić pacjentów powierzonych jej opiece. Biografię tę opracowała na podstawie źródłowych, przeważnie nie opublikowanych materiałów lek. *Małgorzata Dominik,* przedstawicielka tych młodych lekarzy, którzy przystąpili do opracowywania oświęcimskiej tematyki lekarskiej.

Również następny szkic biograficzny, dotyczący zmarłej w ubiegłym roku dr *Doroty Lorskiej,* pióra dra *Stanisława Kłodzińskiego,* uwzględnia nie opublikowane źródła, a nadto jest oparty na własnych wspomnieniach autora.

W dziale Ocen zamieszczamy artykuł dr *Elli Lingens* z Wiednia, byłej więźniarki Oświęcimia, której kilka artykułów zostało ogłoszonych w poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" i o której losach pisaliśmy w Słowie wstępnym do zeszytu czwartego (1964, nr 1). Autorka skreśliła w artykule pt. „Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskiej" trafne uwagi, jak w Niemczech wyszukuje się coraz to nowe sposoby, mające umniejszyć, czy w ogóle zmazać winę hitlerowców. *Dr Lingens* opiera się o książkę niemieckiego lekarza *E. G. Schenka* pt. *„Das menschliche Elend im 20 Jahrhundert. Eine Pathographie der Kriegs-, Hunger- und politischen Katastrophen Europas",* w której autor, zatracając zmysł proporcji, stawia na jednym poziomie doznania członków *Wehrmachtu* w niewoli i ludności cywilnej osadzonej w obozach koncentracyjnych, których celem była zagłada.

Tradycyjnie już poświęcamy ostatnie karty zeszytu na sprawozdanie o tym, co inni piszą o lekarskich i pokrewnych zagadnieniach okresu hitlerowskiej okupacji. Mianowicie mgr *Jan Masłowski* w artykule „Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966" kontynuuje skrzętnie zebraną informację bibliograficzną, podawaną tutaj już po raz trzeci (zob. zeszyty nasze z r. 1965 i 1966). Informacja ta jest m. in. podstawą dla autora, aby podkreślić znaczenie poznawcze prozy pamiętnikarskiej oraz literackiej, jak również określić, jakie szczegółowe zagadnienia poruszają ostatnio różni autorzy. Wydaje się, że podobne informacje będą stanowiły ważną pomoc dla przyszłych historyków, poszukujących źródeł dotyczących lekarskiej tematyki okupacyjnej. Historycy, czy inni autorzy będą mogli w tych badaniach oprzeć się o pozycje publikowane i omówione w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim".

Jak zwykle, na ostatnich stronach podajemy spis treści dotychczasowych zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", ponieważ do samych zeszytów, zwłaszcza wcześniejszych, z biegiem czasu coraz trudniej jest dotrzeć. Przyszłych bibliografów przede wszystkim mieliśmy na uwadze, przypominając tutaj zawartość zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" 1—6, ujętą tematycznie. Każdy tytuł opatrzony jest wskaźnikami liczbowymi dotyczącymi numeracji dotychczasowych zeszytów kolejnych, z uwzględnieniem stronic.

Materiał ilustracyjny w zeszycie niniejszym — to przeważnie jeszcze w ogóle nie opublikowane dokumenty.

Objętość zeszytu nie pozwoliła na wydrukowanie już w tym roku kilkunastu innych, gotowych do druku prac. Autorzy ich, z pewnością rozumiejący trudności wydawnicze, nieuchronnie towarzyszące wszelkim specjalnym edycjom, znajdą swe opracowania w kolejnym zeszycie ósmym.

Tytuły tych prac są podane na str. 228 niniejszego zeszytu.

* * *

Serdeczne podziękowanie należy się Autorom za ich trud i dokładność, widoczną w opublikowanych pracach. Dziękujemy serdecznie Redaktorowi Naczelnemu „Przeglądu Lekarskiego", prof. dr *Bronisławowi Gędoszowi* za pomoc i cenne uwagi. Dyrekcji Muzeum w Oświęcimiu dziękujemy za sporządzenie fotokopii niektórych tekstów oraz wpisów do Księgi Pamiątkowej i udostępnienie ich naszemu wydawnictwu. Dyrekcji i pracownikom Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich winni jesteśmy szczególną wdzięczność za całą wielką życzliwość, jaką otaczają nasze zeszyty oraz za przejęcie wszystkich ciężarów związanych z wydawaniem zwiększonych zeszytów. Dziękujemy serdecznie także dyrekcji i zespołowi pracowników Krakowskich Zakładów Graficznych Zakładu Nr 4 za staranne wykonanie i terminowe ukończenie druku.

KARL SALLER

Monachium

Mord na tle rasowym i urojenie bohaterstwa w narodowym socjalizmie[1]

Pytać by można, czy się jeszcze dzisiaj opłaca pisać o narodowosocjalistycznej nauce o rasach. Była ona bowiem już z założenia tak niedorzeczna, że żaden rozsądny człowiek nie mógł się za nią opowiadać; jeśli „uczeni" byli jej zwolennikami, należy ich odpowiednio ocenić. System, który tę „naukę" wydał, wnet runął. Mimo to byli i są zwolennicy tej nauki w niemieckich szkołach wyższych, zajmujący etatowe stanowiska, którzy czynią wszystko, jak gdyby nic się nie stało. Mianowicie żaden z nich nie odwołał zapatrywań, z którymi występował w czasie panowania narodowego socjalizmu; zalewają oni rynek księgarski dziełami, w których omijają tę drażliwą problematykę lub określają istniejące teraz pojęcia jako „nową naukę o rasach". Dla niej to właśnie wyzyskuje się koniunkturę, podobnie jak ją również wyzyskiwano za czasów hitlerowskich. Ponadto w różnych kręgach społeczeństwa i w szkolnictwie straszą ciągle jeszcze pozostałości z okresu narodowosocjalistycznego, a ich zwolennicy wykazują co najmniej niepewność zapatrywań w tym zakresie, w sposób, który bezsprzecznie musi być rozumiany jako niebezpieczeństwo zagrażające wychowaniu młodzieży.

Nie tylko ze względów historycznych należy zająć się narodowosocjalistyczną nauką o rasach i tym samym jeszcze raz wiadome wydarzenia napiętnować jako naukowo nieuzasadnione przestępstwa dokonywane przez narodowy socjalizm w imię „wiedzy o rasach", głoszonej również przez tak zwanych uczonych. Rozprawa z tą problematyką jest też konieczna, aby na czas zapobiec ponownemu powstaniu tej „nauki". Zapobieżenie przywróceniu jej jest konieczne, aby nie wyrządziła ona nowych szkód dla współżycia ludów różnych ras w społeczności ludzkiej.

Uprzedzenie rasowe, z którego wywodzi się mord na tle rasowym i błędna wiara w bohaterstwo narodowego socjalizmu, ma swoją długą historię. Sięga do początków starożytności. Fakt ten wyjaśnia także, iż doszło do szerokiego rozprzestrzenienia się tych błędnych wyobrażeń i że podobne zapatrywania jeszcze dzisiaj, po rozpadnięciu się narodowego socjalizmu, nadal są żywotne w różnych kołach i grożą doprowadzeniem do nowej krzywdy. Przede wszystkim należy odróżniać potwarze i oszczerstwa przeciwko Żydom w historii starożytnej z jednej strony, z drugiej zaś potępianie się poglądu o wyższej wartości rasy nordyckiej z równoczesnym niedocenianiem innych ras i narodów, mord z pobudek rasowych i obłędną wiarę w bohaterstwo narodowego socjalizmu.

Agresywność przeciwko Żydom miała w starożytności głównie uzasadnienie wyznaniowe. Żydzi rozproszeni stanowili dla innych ludów element obcy; byli oni rozbici na większe grupy już przed zburzeniem Jerozolimy (70 r. n. e.), a potem ich rozproszenie było coraz większe. Afektywnie zabarwiona obrona przed obcymi istotami jest spadkiem człowieka po jego zwierzęcym pochodzeniu; zdarza się ona wśród małp człekokształtnych i niekiedy dochodzi tak dalece, że zwraca się nawet przeciw członkom tej samej grupy, gdy mają wygląd niezwykły lub zachowują się inaczej niż pozostali reprezentanci gatunku. Ludy pierwotne i ludzie współcześni postępują tak samo do dzisiejszego dnia. Ludy starożytne dostatecznie zaspokoiły budzącą się u nich potrzebę racjonalnego uzasadnienia również nienawiści do Żydów twierdzeniem głoszonym przez kościoły chrześcijańskie, że Żydzi są „mordercami Chrystusa", a więc pojęciem, wokół którego dyskusja trwa do dziś w Kościele katolickim. Ale nie tylko katolicyzm reprezentował tego rodzaju antysemityzm; protestantyzm z nowszymi pismami *Lutra* czynił tak samo. W rzeczywistości jednak ta chrześcijańska motywacja nienawiści do Żydów była już z góry w jak najszerszym zakresie jedynie pretekstem do głębiej tkwiących innych motywów. Żyd był nie tylko obcym wyznaniowo, lecz również niewygodnym konkurentem, kontrpartnerem, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej. Z drugiej strony należał do mniejszości, toteż można było na nim wygodnie wyładować własne kompleksy mniejszej wartości i uwolnić się od napięcia psychicznego, kierując na niego własną agresję. Tak pozostało do dnia dzisiejszego.

Życie Żydów na ziemi europejskiej jest nieprzerwaną historią prześladowań i okrucieństw przy równoczesnym wyzysku ich w warunkach różnych sprzeczności interesów wyznaniowych i gospodarczych, przy — jak na dzisiejsze stosunki — wręcz niewiarygodnej wierności

[1] Tytuł tekstu niemieckiego: *Der Rassenmord und Heldenwahn des Nationalsozialismus.* Przełożyła z języka niemieckiego: *Maria Masłowska.*

i przywiązaniu do religii oraz gospodarczej, stale skutecznej wytrwałości Żydów. Oświęcim i inne obozy zagłady były tylko ostatnim etapem tych prześladowań. Bez wątpienia hitleryzm zadał Żydom w Europie całkowicie śmiertelny cios.

Twierdzenie, że Żydzi już przed wojną żydowską i zburzeniem Jerozolimy przyszli do Europy, jest w odniesieniu do Europy środkowej legendą; natomiast w Grecji były już wcześniej zorganizowane większe gminy żydowskie, w nich też nastąpiła pierwsza misyjna działalność chrześcijan. Już w r. 85 p. n. e. miał powiedzieć grecki geograf *Strabon* (cyt. *z Józefa Flawiusza*), że Żydzi „już do wszystkich miast przybyli i ciężko jest znaleźć miejsce na zamieszkałej ziemi, które by nie wpuściło tego plemienia ludzkiego". Według szacunkowych obliczeń liczba mieszkańców pochodzenia żydowskiego w imperium rzymskim wynosiła przed narodzeniem *Chrystusa* 3 i pół miliona, po 1 milionie w Babilonie, w Egipcie, jak też w Afryce Północnej, Grecji, Galii, Hiszpanii i w pozostałych rejonach Europy, półtora miliona w Syrii i Małej Azji, nie licząc mieszkańców Palestyny. Dane te bez wątpienia obejmują konwertytów. Wydaje się niemożliwe, aby wszyscy ci Żydzi przyszli z małej Palestyny. Również legendą jest, że pierwsze osiedlenia Żydów nad Renem i Menem nastąpiły za sprawą germańskich najemników, którzy za swą służbę pod *Wespazjanem* i *Tytusem* w wojnie żydowskiej otrzymali jako łup wojenny dziewczęta żydowskie, zabrane następnie do ojczyzny, a ich dzieci wychowane po żydowsku miały być potem pierwszymi mieszkańcami gmin żydowskich. Stwierdzono jednak, że Żydzi byli osiedleni już w III wieku n. e. w Kolonii, Xanten (miasto w prowincji nadreńskiej) i w innych miastach Niemiec. Równocześnie istniały nie tylko w Grecji, lecz także we Francji południowej (rejon Marsylii) wielkie gminy żydowskie; w Paryżu jest wykazana synagoga w r. 582. Dla chrześcijaństwa osiedla żydowskie były najpierw przedmiotem działalności misjonarskiej. Do r. 312 n. e. zarówno chrześcijan jak i Żydów prześladowały władze cesarstwa rzymskiego jako zwolenników obcego wyznania. Zmieniło się to jednak, gdy w r. 325 chrześcijaństwo stało się religią państwową [2]. Od tego czasu zaostrzało się działanie przeciwko Żydom. I tak pozbawiono ich we wschodnim cesarstwie rzymskim w r. 439 za cesarza *Teodozjusza II* wszystkich urzędów państwowych i miejskich. Jako trzeci partner w rozwoju konkurencji wyznaniowej powstał islam. W r. 638 Arabowie zdobyli Palestynę; Jerozolima, duchowa stolica chrześcijan i Żydów, stała się mahometańska. Islamowi należy przypisać także pierwsze zarządzenie o odzieży dla Żydów. Ustawa mahometańska w celu utrzymania w czystości swego obrządku żądała w VII wieku zewnętrznego znaku odróżnienia niewiernych. Musieli zatem nosić na swym ubraniu magowie czarną łatę, chrześcijanie znak niebieski, a Żydzi żółty. Podobnie w europejskim średniowieczu Kościół przepisał Żydom szczególne znaki rozpoznawcze. Gwiazda żydowska narzucona przez narodowych socjalistów jest regresją do tych metod.

W I wieku n. e. rozwój Żydów w Europie dokonywał się z początku jeszcze stosunkowo spokojnie. Z czasów Merowingów (VII wiek n. e.) zachowały się doniesienia o Żydach sędziach, poborcach cła, lekarzach, przełożonych mennic i wieśniakach posiadających ziemię, a nawet o przejściu na judaizm frankońskich szlachciców, jak hrabiego *Bodo*. W połowie X wieku klasztor w Metzu posiadał winnicę, która może przedtem, przypuszczalnie już w gasnącej epoce Karolingów, należała do Żyda; legenda głosi, że Rzymianie właśnie dlatego osiedlili Żydów w tamtych okolicach, aby uczyli Germanów uprawy winnic. Nadto już wówczas Żydzi rozwinęli dzięki powiązaniu swych gmin handel, zwłaszcza ze Wschodem. *Ludwik Pobożny* (814—840) dał im glejty i przyznał przywileje.

Sobór orleański (523—538 r. n. e.) zagroził ekskomuniką małżeństwom między Żydami a chrześcijanami; potem wielokrotnie dochodziło do chrztów przymusowych, prześladowań i wypędzeń. Pierwsza wielka masakra Żydów łączyła się z wyprawą krzyżową w końcu XI wieku. Prześladowania rozpoczęły się wtedy we Francji. Cesarz *Henryk IV* zarządził wprawdzie, by wszyscy biskupi, książęta i hrabiowie ochraniali Żydów. W Speyer biskup *Johannes* rozkazał odciąć ręce wszystkim tym z miasta, którzy uczestniczyli w ekscesach krzyżowców. W Boppard brat cesarza, książę *Otto*, rozkazał oślepić dwóch krzyżowców winnych mordowania Żydów, a cesarz nałożył na miasto karę pokutną na rzecz Żydów. Ale w Wormacji (Worms) zamordowano 800 Żydów na oczach duchownych panów. W innych miastach — między innymi w Moguncji (Mainz) — było podobnie. Krzyżowcy uzasadniali swoje wykroczenia tym, że wraz z ich wyprawą krzyżową Żydzi jako niewierni pierwsi przybyli na ziemię europejską. Kto się nie dał ochrzcić, został zabity. W tym też czasie przyszło do pierwszych wielkich wędrówek większych grup żydowskich z Europy zachodniej na wschód. W Polsce już przed rokiem 1098 osiedleni byli Żydzi mówiący językami słowiańskimi. Nazwa Aschkenaz, pierwotnie przytoczona dla nie znanego ludu w biblijnych tablicach ludów (I Księga Mojżeszowa, rozdz. X, 3), występuje od XI wieku jako określenie niemieckich i wschodnich Żydów.

W toku pierwszych osiedleń przez Rzymian w europejskich prowincjach ich imperium Żydzi wyruszali przeważnie do miast i byli tam rzemieślnikami. *Beniamin z Tudeli* (1161—1173) donosi: „W następujących miastach są gminy żydowskie z zamożnymi członkami: Koblencja, Andernach, Bonn, Kolonia, Binger, Münster, Worms, Misten, Kaub, Kartania, Strasburg, Duisburg i Regensburg na końcu kraju.

[2] Już w r. 313 *Konstantyn Wielki* na mocy edyktu mediolańskiego zapewnił chrześcijanom wolność wyznania. W r. 325 odbył się sobór w Nicei, na którym potępiono naukę *Ariusza* (przyp. red.).

Wielu Żydów tych gmin jest uczonych i zamożnych". Rozkwit miast, jaki nastał ze średniowieczem, sprzyjał także Żydom przed osobami, należącymi do ludów-gospodarzy, które dopiero później tam przybyły i również zajęły się rzemiosłem i handlem. Nastąpił też rozwój gospodarki pieniężnej, a wraz z nią i pobieranie procentów. Stopa procentowa, którą wówczas pożyczający pobierali, była horrendalna. I tak sejm miejski Moguncji w r. 1255 zezwolił na oprocentowanie sięgające 50%; 200 lat później obowiązywała w handlu stopa procentowa w wysokości prawie 2/3 kwoty kredytowej. W r. 1303 *Johann II* ustalił dla Tirlemont najwyższą stawkę 60%, jednak przekraczała ona 100%. Udzielającymi kredytu byli najpierw Żydzi i chrześcijanie, pierwsi więcej niż chrześcijanie, ponieważ wcześniej opanowali handel i dzięki temu doszli do pieniędzy. Ponadto sytuacja dla Żydów zaostrzyła się potem dlatego, że wobec takiego układu stosunków Kościół nalegał na przeforsowanie kanonicznego zakazu pobierania odsetków. Cesarz *Fryderyk II* wydał dekret z końcem wieku XV, że „lepiej będzie, jeśli lichwę uprawiać będą Żydzi, aniżeli chrześcijanie". Przeprowadzony w tym czasie kanoniczny zakaz pobierania procentów obowiązuje w katolickim prawie kościelnym do dnia dzisiejszego. Wówczas oznaczało to, że klasztory i konwikty jako dotychczasowe źródło pieniędzy odpadły. Tak więc cały interes finansowy coraz więcej przechodził w ręce Żydów, którym wówczas zakazano wykonywania rzemiosła cechowego, a także rolnictwa, toteż rzemiosło jako źródło zarobkowania przestało dla nich istnieć. Również handel był prześladowany i coraz bardziej niepewny. Żydzi otrzymali wręcz monopol na pożyczanie pieniędzy. Ich międzynarodowa organizacja handlowa stała się światową kasą kredytową.

Łatwo zrozumieć, że taki rozwój na rzecz mniejszości wiernej swemu wyznaniu i izolującej się od otoczenia wywołał zazdrość ze wszystkimi jej następstwami, które w końcu doprowadziły do niemal całkowitej klęski Żydów.

Co się tyczy szczególnej pozycji Żydów pod względem wyznaniowym, to Kościół chrześcijański czynił wszystko możliwe, aby ją wykorzystać także w życiu publicznym i gospodarczym. I tak czwarty sobór laterański w r. 1215 zabronił Żydom należenia do cechów, uniemożliwiając im tym samym dostęp do rzemiosła. Ponadto powziął postanowienie co do odzieży dla Żydów, także przebywających między chrześcijanami. W r. 1265 papież *Klemens IV* zarządził w celu odróżnienia Żydów strój następujący: długą szatę spodnią, płaszcz z żółtą łatą i żółty kapelusz. Z Norymbergi donoszą w r. 1451 o żółtym kółku, który Żydzi musieli nosić na odzieży, oraz o niebieskich paskach na welonie dla kobiet — zgodnie z zarządzeniem cesarskim. Ten ubiór żydowski był noszony ze zmianami do końca XVI w., wielokrotnie nawet aż do XVIII w. Strojem tym Żydzi odróżniali się także poza gettem, do którego ich skierowano.

Monopol kredytowy, do którego doszli Żydzi, wykorzystywali panujący władcy. Przywileje, przyznane Żydom przez *Ludwika Pobożnego*, odnowił *Fryderyk I Barbarossa* (1152—1190), a *Fryderyk II* (1211—1250) w roku 1236 rozszerzył na całe Niemcy. Równocześnie Żydzi zostali wzięci „w niewolę komory", tj. wprawdzie podporządkowani bezpośredniej opiece cesarza, ale tym samym także oddani do jego możliwie wyłącznej dyspozycji jako źródło pieniędzy. W r. 1247 papież *Innocenty IV* bullą swą oddał Żydów pod opiekę biskupów. Nie skończyło się jednak tylko na opodatkowaniu Żydów przez cesarza, czy duchowieństwo. Za panowania *Rudolfa Habsburga* (1273—1291) opiekowali się Żydami trzej panowie-protektorzy: cesarz, duchowieństwo i świeccy możni kraju oraz miasta.

Oto kilka przykładów mocy finansowej Żydów i tego, jak ją wykorzystywano. W r. 1342 za *Ludwika IV Bawarczyka* pobierano razem z pogłównem (*Kopfsteuer*) nowy podatek żydowski — „złoty fenig ofiarny"; nadto każdy Żyd i Żydówka musieli królowi płacić daninę dożywotnią w wysokości 1 guldena rocznie, gdy przekroczyli 12 rok życia i jeśli posiadali najmniej 20 guldenów majątku. Gdy król *Zygmunt Luksemburski* w r. 1414 otworzył prowincjonalny sejm krajowy w Heilbronn, skorzystał ze sposobności, by przyjąć od Żydów „dar" 1200 guldenów. Żydzi z Norymbergi mogli darować 12 000 guldenów, Żydzi z Kolonii również 12 000 guldenów, a tylko jednego Żyda w Windsheim kosztowała opieka króla — zresztą iluzoryczna — 2400 guldenów. W r. 1420 pobrano od Żydów „podatek husycki" na uzbrojenie armii państwa. W r. 1430 łączna danina Żydów złożona cesarzowi wynosiła 156 000 guldenów, z tego dla Austrii 12 000, dla Kolonii 10 000 i dla Norymbergi 10 000 guldenów. Do tego dochodziło opodatkowanie Żydów przez książąt krajowych i przez miasta. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach w drugiej połowie XV wieku Żydzi coraz bardziej ubożeli i zalegali z daninami. Doszło ponadto do tego, że papież *Leon X* w r. 1517 wydał zakaz uprawiania lichwy przez Żydów z namowy — jak Żydzi przypuszczali — papieskiego bankiera *Jakuba Fuggera* w Augsburgu, który załatwiał najgłówniejsze interesy pieniężne. Lombardowie, którzy wtedy również przystąpili do interesów pieniężnych, jako chrześcijanie nie byli z tego powodu więcej prześladowani.

Równocześnie z tym ustawicznym obdzieraniem Żydów w okresie pierwszych wypraw krzyżowych jeszcze gorsze od eksploatacji finansowej prześladowania Żydów trwały w następnych stuleciach. W Anglii *Ryszard Lwie Serce* (1180—1199) w czasie wypraw krzyżowych daremnie usiłował bronić Żydów. Jego następcy szantażowali ich bezwstydnie i w r. 1290 całkowicie z Anglii wypędzili. Dopiero za *Cromwella* w r. 1655 zezwolono im jako „ludowi bożemu" znowu na osiedlenie. We Francji po prześladowaniach w czasie wypraw krzyżowych doszło do wypędzenia w r. 1306, do ponownego powrotu w r. 1315

i do ponownego opuszczenia kraju w r. 1394 z wyjątkiem Prowansji, Avignon i Dauphiné. Potem tworzyły się wielkie gminy żydowskie w Alzacji. Do większych ponownych powrotów Żydów z Hiszpanii i później z Niemiec do Francji przyszło w końcu XV wieku. W Niemczech jako powód do dalszych prześladowań Żydów podsuwano stale mordy rytualne i bezczeszczenie historii oraz zatruwanie studni; biskupi mieli Żydów chronić, ale niższy kler był zdecydowanie antysemicki. Rzekomy mord rytualny w Fuldzie w r. 1236 okazał się oszczerstwem i Żydzi zostali przez sejm krajowy uwolnieni od oskarżenia o ten mord, gdy na podstawie Talmudu udowodnili, że obowiązuje ich nawet zakaz splamienia się krwią zwierzęcą.

Lecz rzekome „mordy rytualne" nie ustawały. Rzekoma profanacja hostii rozpętała w r. 1298 w Norymberdze nowe prześladowania Żydów. Zamordowano wtedy 628 osób. Był to rok tzw. pogromu *Rindfleischa*. Nazwa ta pochodzi od nazwiska frankońskiego szlachcica, który w całej Francji usiłował wytępić Żydów jako niewiernych. W Heilbronn zamordowano wówczas 143 osoby spośród 200 Żydów. Tysiące ich traciły życie. Również „profanacją hostii", jakkolwiek nieudowodnioną, uzasadniano jeszcze wielokrotnie prześladowanie Żydów w latach późniejszych.

W r. 1248/49 nastąpiły pogromy Żydów, rozprzestrzenione w całej Europie, w związku z dżumą. Ta „czarna śmierć" dziesiątkowała ludność, a tłumaczono ją zatruciem studni przez Żydów.

Podobnie jak we Francji południowej, również w Szwajcarii i Niemczech Żydów palono, wieszano i mordowano na kole. W Norymberdze spośród 1750 Żydów zamordowano 562, tj. dokładnie trzecią część osiedlonych tam wtedy Żydów. Reszta uciekła. Również ci, którzy ocaleli w innych miastach, uciekali przed masakrą. Doszło do wielkiej wędrówki Aszkenazyjczyków na Wschód (Litwa, Polska, Rosja), która w drugiej połowie XV wieku osiągnęła swój punkt szczytowy. Również w Italii tworzyły się gminy aszkenazowskie. Po wygaśnięciu epidemii dżumy przywrócono wprawdzie dochodowe prawo władcy wobec Żydów, ale prześladowania ich były jednak w dalszym ciągu stosowane. Po kolejnych powrotach Żydów następowały nowe wysiedlenia z miast. Dobrocią i gwałtem szerzono misję wśród Żydów. W r. 1434 sobór w Bazylei zezwolił na przymusowe kazania misjonarzy dla Żydów. W drugiej połowie XV wieku i z początkiem XVI wieku dokonano niemal całkowitego wypędzenia z Niemiec również zubożałych Żydów. Publiczne wygnania Żydów w XVI wieku były największe, a ich socjalna pozycja osiągnęła wtedy najniższy stopień.

Inkwizycja, która od r. 1184 rozwinęła się w Hiszpanii, wymierzona była najpierw nie przeciwko Żydom, lecz przeciw „kacerzom". W r. 1473 zaczęto tam prześladować także marranów (tj. „świnie"), jak nazywano krypto-Żydów, którzy dla pozoru przyjęli chrześcijaństwo. W r. 1481 wielki inkwizytor w Hiszpanii zwrócił się również przeciw mahometanom i przeciw Żydom, którzy od r. 800 wraz z Arabami doprowadzili kraj do wysokiego rozkwitu kulturalnego. W r. 1483 rozpoczęło się prześladowanie marranów w całej Hiszpanii, ponieważ do inkwizycji przeciwko nim papież *Sykstus IV* już w r. 1478 upoważnił hiszpańską parę królewską. W r. 1492 całkowicie wypędzono około 300 000 Żydów, w tym wielu marranów, którzy jako Żydzi hiszpańscy wywędrowali do Francji, Amsterdamu, Londynu, Hamburga, do Włoch, Maroka, Algieru, Tunisu, Salonik, do Turcji i dalej aż do Indii, gdzie natknęli się na wcześniejsze osiedla żydowskie i częściowo mogli się tam osiedlić.

Tak więc w XV i XVI wieku zmuszono Żydów do wielkich wędrówek ze wschodu na zachód i zniweczono ich pozycję w środkowej Europie. Zubożeli, stali się tandeciarzami. O motywach powodzenia ich interesów z chrześcijanami podczas ubiegłych stuleci pisze treściwie *Andics:* „Kupowano u Żyda, ponieważ przeważnie był on tańszy, lecz lżono go jako sprzedawcę małowartościowego towaru za niską cenę i jako brudnego konkurenta. Pożyczano pieniądze u Żyda, ponieważ przyjmował on zabezpieczenie wątpliwej wartości, ale oskarżano go o lichwę". W ten sposób posługiwano się Żydami, aby wyrównać własne kompleksy mniejszej wartości.

Z początkiem XVII w. istniały w Niemczech jeszcze tylko cztery większe gminy żydowskie: we Frankfurcie nad Menem (4 000—5 000 osób), w Wormacji (1 400), w Pradze (około 9 000) i w Wiedniu (3 000). Około r. 1648, u schyłku wojny trzydziestoletniej, Żydzi na nowo zaczęli podnosić się z upadku. Jednak na wschodzie, na Ukrainie, w tym roku doszło do nowej rzezi Żydów po wybuchu powstania kozackiego pod przywództwem atamana *Chmielnickiego*. Około milion Żydów straciło życie [? — red.]. Zniszczono 300 gmin, a część Aszkenazyjczyków wywędrowała z powrotem na zachód, głównie do monarchii habsburskiej. Rozkwit kulturalny, jaki osiągnęło społeczeństwo żydowskie od XV wieku, został wskutek tego przerwany, lecz nie zniszczony (aż do pogromów w Rosji w r. 1881).

Gmina żydowska w Amsterdamie dzięki współudziałowi z miastem Amsterdamem w holenderskim handlu zamorskim osiągnęła szczyt rozkwitu. W Hamburgu, gdzie się osiedlili w r. 1547 portugalscy marrani, podjęli Żydzi handel z Hiszpanią i Portugalią. Banki żydowskie finansowały wojny tureckie w r. 1874. *Samuel Oppenheimer* wstąpił w służbę austriackiego dworu cesarskiego. Żydzi dostarczyli pieniędzy na bawarską wojnę sukcesyjną, na eksperymenty mennicze *Fryderyka Wielkiego*, na odznakę godności elektora, księcia *Ernesta Augusta* z Hanoweru i na polską koronę królewską dla *Augusta II Mocnego*. Również inne dwory panujących celem załatwiania swych interesów finansowych posługiwały się Żydami nadwornymi, z którymi postępowały wzajemnie według motta: „Bijesz mojego Żyda, to

ja zbiję twojego Żyda". Najbardziej znany był Żyd nadworny księcia Wirtembergii, *Süss Oppenheimer*, który w r. 1738 został stracony w Stuttgarcie. Wypędzano znów Żydów i stosowano wobec nich wszelkie możliwe ograniczenia aż do zakazu płodzenia dzieci, aby wymarli. Również odróżniano w Prusach „porządnych Żydów chronionych" od Żydów tolerowanych „poza porządkiem". Ale istniały również ułatwienia dla nich, jak np. w r. 1763 pruski „regulamin generalny" i edykt tolerancyjny *Józefa II* w Austrii z r. 1782. Dom finansowy *Meyera Amschela Rotschilda* (1744—1812) mógł się więc rozwinąć do międzynarodowej potęgi finansowej. W r. 1818 podniesiono w Austrii do stanu szlacheckiego braci *Rotschildów* jako pierwszych Żydów.

Wiek oświecenia przyniósł w końcu Żydom kolejno nominalną wolność przesiedlania i wolność. Decydujący krok uczyniła rewolucja francuska. *Lessing* już w r. 1749 napisał tragedię teatralną „Żydzi". W r. 1779 ukazał się jego poemat „Natan Mędrzec". Jego pisma były jednak jeszcze kilkakrotnie zakazane. Od czasów pisarza i myśliciela *Mojżesza Mendelsohna* (1729—1786) rozpoczął się okres oświecenia także u Żydów, ale jeszcze w r. 1656 na *Spinozę*, swego największego filozofa nowożytnego, gmina żydowska rzuciła klątwę z powodu błędnej nauki religijnej. We Francji hrabia *Mirabeau* nazwał pruskie ustawodawstwo żydowskie w r. 1750 *„un loi digne d'un canibale"* (prawo godne kanibala) i przed rewolucją żądał zniesienia wszystkich specjalnych ustaw żydowskich. W tym samym sensie 23. XII. 1789 r. poseł *Clermont-Tonerre* proklamował we Francuskim Zgromadzeniu Narodowym: „Żydom jako narodowi należy wszystkiego zabronić, Żydom jako ludziom wszystko przyznać". Tym samym przesunął sprawę żydowską z płaszczyzny wyznaniowej na narodową i przeniósł ją dalej — na ludzką. 28. IX. 1791 r. zniesiono we Francji wszystkie ustawy wyjątkowe przeciwko Żydom. W Niemczech w Moguncji od r. 1784 za czasów elektora *Fryderyka Karola Józefa* dopuszczono Żydów do egzaminów lekarskich na uniwersytecie oraz wychowywano wspólnie dzieci żydowskie z chrześcijańskimi w szkołach państwowych. Zwycięstwa *Napoleona* przyniosły potem dalsze oswobodzenie Żydów również w innych krajach. On wydał wprawdzie *„decret infame"*, żądając 10-letniego czasu wychowania Żydów francuskich, ale pod rządami jego brata w Westfalii doszło do całkowitej emancypacji Żydów. W r. 1812 zniesiono wyjątkowe postanowienia przeciwko Żydom również w Prusach. Na terenach wschodnich, nowo włączonych do Prus w r. 1815 równouprawnienie wprowadzono dopiero w r. 1848. Również w Prusach macierzystych Żydzi nie mogli być oficerami, nauczycielami, sędziami, adwokatami lub aptekarzami, ani też piastować urzędów publicznych.

Związek oswobodzenia Żydów z rewolucją francuską pociągnął za sobą ich powiązanie z reakcją przeciw tej rewolucji. Objawiała się ona na terenie narodowym, na którym rozwijał się później obłęd bohaterstwa narodowych socjalistów, a następnie rozpoczęły się dyskusje wokół kwestii rasowej. W końcu wciągnięto problem żydowski również do społeczno-ekonomicznych rozważań odnoszących się do *Marksa* i rozwoju gospodarki przemysłowej. Motyw wyznaniowy oddziaływał w tym wszystkim nadal, jednak został zepchnięty na plan dalszy.

Co się tyczy motywu narodowego, to orientalista z Getyngi, prof. *Johann Dawid Michaelis* zwrócił się już przeciw *Lessingowi*, twierdząc, że Żydom „w swojej istocie zepsutym" powodzi się dostatecznie dobrze, a konsekwencją dopuszczenia ich do rolnictwa i do rzemiosła będzie „najbezbronniejsze, najbardziej pogardzane państwo żydowskie". Za czasów *Fichtego* w jego „Mowach do narodu niemieckiego" (1807—1808) rozpoczęło się przez niego nie sprowokowane, ale nieświadomie poparte marzenie o „niemieckiej narodowości" i „germańskim chrześcijaństwie", z których pierwsze weszło do ideologii narodowego socjalizmu, drugie do zasobu pojęć niemieckich chrześcijan narodowego socjalizmu.

Ojciec gimnastyki *Jahn* (1778—1852) nawoływał swych gimnastyków i członków związków studenckich do „świętej wyprawy krzyżowej" przeciwko „Francuzom, junkrom, klechom i Żydom"; paragraf aryjski związków studenckich dominował od tej chwili i wszedł do narodowosocjalistycznego ustawodawstwa przeciwżydowskiego lub też aryjskiego. W r. 1913 siedemnaście związków studenckich stowarzyszeń w Rzeszy Niemieckiej miało jeszcze paragrafy aryjskie. *Ernst Moritz Arndt* (1789—1860), „zachwycony dzielną osobowością *Fichtego*", żądał w r. 1814 wzięcia w opiekę „narodu niemieckiego" przeciw „demagogom miłości wszechświatowej"; „niech będzie potępiona humanitarność, to wszechświatowe knowanie Żydów". Profesor historii *F. Ruehs* w Berlinie oświadczył w piśmie ulotnym „O roszczeniach Żydów do niemieckiego prawa obywatelskiego" (1815): „Obcy naród nie może osiągnąć praw, z których Niemcy korzystają po części tylko przez chrześcijaństwo". Średniowieczne znaki rozpoznawcze dla Żydów powinny być znowu wprowadzone, „aby sam wprowadzony w błąd przez wygląd, zachowanie i mowę mógł rozpoznać swego wroga hebrajskiego". Uczeń *Kanta*, prof. *J. F. Fries* z Heidelbergu, żądał (1816) „wypędzenia Żydów" albo „doszczętnego wytępienia Żydostwa".

I tak w r. 1819 w całych Niemczech, zwłaszcza w Baden, w Bawarii i w wolnych miastach wydarzyły się burdy antyżydowskie, a na uniwersytetach zamieszki studenckie tzw. „hep-hep"-burdy, przy czym podpalano synagogi, a bezrobotni i młodzież rzemieślnicza, zadłużeni chłopi i mieszczanie szturmowali domy żydowskie. Musiano użyć policji do zaprowadzenia porządku.

Te rozprawy między Żydami i antysemitami toczyły się dalej i zaostrzały się. W r. 1835 doszło do zajść antyżydowskich w Hamburgu. W r. 1842 *K. H. Hermes* ostrzegał przed tym, że

równouprawnienie Żydów oznacza „neutralne państwo oparte na rozumie", a potem zagładę; przeciwko oświeconemu liberalizmowi propagowano „chrześcijańsko-germańskie" państwo stanowe. W r. 1848 wynikły w Baden nowe zamieszki przeciw „zamkom, właścicielom ziemskim, urzędom skarbowym, plebaniom i Żydom".

Z drugiej strony w r. 1844 miał być założony „trójwyznaniowy kościół narodowy" z niemieckich katolików, wolnych protestantów i młodego żydostwa, aby urzeczywistnić na ziemi „równość prachrześcijaństwa" ze „sprawiedliwością pramozaizmu". W tym samym roku *Marks* oświadczył, wypowiadając się w kwestii żydowskiej, że jedynym właściwym rozwiązaniem byłaby emancypacja ludzkości, tj. powinny być zniesione nie tylko cywilno-prawne ograniczenia, lecz zasadniczo antagonistyczne stosunki socjalno-gospodarcze jako przyczyna niezgody między ludźmi. Frankfurckie prawa zasadnicze ustaliły w warunkach takich sprzeczności na nowo równouprawnienie Żydów, ale zarówno później, jak i przedtem z ograniczeniami; Żydzi pozostali do końca cesarstwa, a nawet jeszcze podczas okresu weimarskiego w większym lub mniejszym stopniu „oficjalnie" wyłączani przez wiele urzędów państwowych. W r. 1867 w Austro-Węgrzech doszło na mocy konstytucji do zniesienia ostatnich postanowień wyjątkowych przeciwko Żydom w monarchii habsburskiej, a w r. 1868 także do zniesienia ostatnich postanowień specjalnych przeciwko Żydom, które jeszcze obowiązywały w Saksonii i Meklemburgu.

Dotychczas prześladowania Żydów osłaniano głównie motywami wyznaniowymi. Oświecenie złagodziło ten motyw przynajmniej do tego stopnia, że formalnie ustanowiono równouprawnienie Żydów. Jednak motyw wyznaniowy w żadnym razie całkowicie nie zniknął. Równolegle jednak występował w coraz bardziej wzmagającej się mierze motyw narodowy, który już we Francuskim Zgromadzeniu Narodowym zabrzmiał w oświadczeniu *Clermont-Tonnere'a*, i motyw rasowy, który z rozwojem nauk przyrodniczych nabierał coraz większego znaczenia. Należy podkreślić, że motyw narodowy w tym rozwoju był silniejszy, a jak silny, dowodzi tego fakt, że w atmosferze entuzjazmu narodowego z chwilą wybuchu wojny w r. 1914 nabożeństwa żydowskie mogły się odbywać w świątyniach chrześcijańskich. Wbrew występującym później twierdzeniom Żydzi w pierwszej wojnie światowej ponieśli takie same ofiary, jak nie-Żydzi porównywalnych (miejskich) warstw społecznych. Żydzi pod względem narodowym tworzyli nierozdzielną całość. W końcu motyw rasowy stał się decydujący. W połączeniu z narodową, a w istocie również ciągle jeszcze wyznaniową reakcją doprowadził w końcu do mordu rasowego i do obłędu bohaterstwa. Przede wszystkim rozpowszechniano pogłoski o mordowaniu rytualnym dzieci i zatruwaniu studzien oraz słodyczy.

Pojęcie „rasa", używane w sensie zoologicznym dla określenia grup biologicznych i stosowane dotychczas dorywczo w hodowli bydła, po raz pierwszy w r. 1684 zastosował francuski lekarz i podróżnik *Bernier* w odniesieniu do ludzi. *Bernier* był autorem pierwszej naukowej klasyfikacji człowieka, opartej na analizie znanego wówczas zaludnienia. We Francji, gdzie rozwarstwienie społeczne po raz pierwszy miało być usprawiedliwione przez różne wspólnoty rozmnażania (*Fortpflanzungsgemeinschaften*), hrabia *von Boulin-Villiers* wydał w r. 1727 dzieło *„Histoire de l'ancien gouvernement de France"*, w którym — w przeciwieństwie do *Ludwika XV* — przyjął pochodzenie szlachty francuskiej od dawnych zdobywców frankońskich. Przyjmowaną później „biologiczną" konsekwencję podziału ludzkości na różne rasy znajdujemy następnie w Niemczech u psychologa *Christopha Meinersa* (główne dzieła w latach 1787—1794) z Getyngi, który w konkluzji swych rozważań oznajmił, że między Żydami a zwierzętami mieszczą się jeszcze tylko najprymitywniejsi: Murzyni i Indianie. Wskutek tego dawna, przede wszystkim względami wyznaniowymi uzasadniana wrogość między chrześcijanami i Żydami została przeniesiona już z założenia w sferę polityczną kolonializmu, w której dyskusja o rasach odgrywa główną rolę jeszcze dzisiaj, po zniszczeniu Żydów europejskich.

Na ziemi europejskiej nastąpiło dalsze umacnianie idei rasistowskiej przez nacjonalistyczne zapatrywania i w końcu doszło do daleko idącego połączenia się nacjonalizmu z rasizmem, w którym na koniec myśl o rasie jako główny argument wysunęli na pierwszy plan narodowi socjaliści.

O teoriach nacjonalistycznych w sprawie przeciwieństw między Żydami i Niemcami do połowy XIX wieku była już mowa. Co do dalszego rozwoju nacjonalizmu do rasizmu można zacytować wypowiedź *Kanta* (1724—1804), który zasadniczo uważał, że „pomieszanie plemion (w czasie większych podbojów), które zwolna niszczy charaktery, rodzajowi ludzkiemu, pomijając wszelki filantropizm, nie służy". Jako podstawa rasizmu posłużyły cztery tomy *„Essai sur l'inegalité des races humaines"* (Eseje o nierówności ras ludzkich), które hr. *Gobineau* wydał w 1853 r. Zostały one w r. 1898 przełożone na język niemiecki przez freiburskiego bibliotekarza *L. Schemanna* (piąty nakład w 5 tomach wydany w latach 1939—1940), za co *Hitler* w r. 1937 przyznał tłumaczowi medal Goethego za zasługi dla sztuki i nauki Rzeszy Niemieckiej. *Gobineau* urodził się w r. 1816 w Ville d'Avray pod Paryżem. Był dyplomatą, między innymi posłem w Hannowerze. W miarę możności słuchał odczytów anatoma *Blumenbacha* (1752—1840) w Getyndze; *Blumenbach* napisał książkę *„Über die natürlichen Verschiedenheiten im Menschengeschlecht"* („O naturalnych odmiennościach w rodzaju ludzkim"), a wielki zbiór czaszek różnych ras w zakładzie anatomii w Getyndze, zniszczony w drugiej wojnie światowej, właśnie przez niego był założony. *Gobineau* jako dyplomata był czynny

także w Bonn i na Bliskim Wschodzie, w r. 1862 był posłem w Persji, w r. 1864 w Atenach, w r. 1869 w Rio de Janeiro, w latach 1872—1877 ambasadorem Francji w Sztokholmie, zatem wiele podróżującym człowiekiem; zmarł w r. 1882 w Turynie.

Gobineau wierzył, widocznie zachęcony przez *Boulinvilliersa*, w pochodzenie od Wikingów, a przez to w konsekwencji wprost od boga Odina. W swym dziele o nierówności ras ludzkich odróżniał on dwie rasy: męską, aktywną, dla której wprowadził określenie „aryjczycy" i której najczystsze ucieleśnienie widział w Germanach, drugą kobiecą, pasywną, do której jako mało wartościowe formy należeli kolorowi, a z nimi Żydzi. Wymieszanie germańskich szczepów narodowych, cechujących się wysokim stopniem męskich skłonności, z rasami starego świata stworzyło naszą cywilizację, ale jednocześnie doprowadziło do upadku twórczej rasy aryjskiej, a tym samym do zagłady kultury nowszego czasu. Potwierdza to polityczny upadek Francji; występowało nawarstwianie się warstw germańskich na celtyckie, a mieszanie rasowe między nimi zniszczyło siły Francji. Tak więc narodziła się urojona teoria o bohaterstwie szczególnej, germańsko-aryjskiej rasy. Objęła wprawdzie swym zasięgiem Żydów, rozwijała się zasadniczo jednak niezależnie od antysemityzmu i przybrała w końcu kształt niemieckiego nacjonalizmu, czyli narodowego socjalizmu.

Podobnie rosły nacjonalizmy niezależnie od rasizmu gobinowskiego, chociaż coraz więcej przesiąkały pojęciami o rasach, przy czym, oczywiście, jak najdalej równano je z pojęciem o narodzie. Jednocześnie nabrzmiewały nadal sprzeczności wyznaniowe i wraz z postępującym uprzemysłowieniem doszło do społecznego rozwarstwienia, w którym wyróżniali się szczególniej Żydzi. Byli to kupcy-hurtownicy, jak *Leonhard* i *Hermann Tietz*, *Wertheim*, bracia *Schocken*, wydawcy *Ullstein*, *Mosse* i *Wolff*; 81% pożyczek zaciągniętych w latach 1801—1804 przez rząd bawarski udzielili Żydzi, również żydowscy bankierzy dostarczyli 63% kapitału akcyjnego bawarskiemu Bankowi Hipotecznemu i Wekslowemu, założonemu w r. 1835. W Wiedniu na przełomie XX wieku wszystkie wielkie banki wiedeńskie i 75% austriackiego przemysłu były w posiadaniu Żydów. Wszystko to było uwarunkowane tradycją historii europejskiej, z której wyszli Żydzi oraz socjo-psychologiczną sytuacją, w którą wrośli wskutek wciąż jeszcze istniejących ograniczeń dla wielu zawodów. Obie te przyczyny skierowały Żydów w obranym kierunku, do którego zresztą dołączyła się tendencja do socjalizmu i do zawodu lekarskiego, budzących specjalnie ich umysłową ruchliwość.

Adolf Stöcker, od r. 1874 kaznodzieja cesarskiego dworu w Berlinie, był tym, który w tej sytuacji usiłował znaleźć dla liberalizmu i kapitalizmu ich reprezentantów i odkrył przy tym „tego" Żyda jako źródło wszystkiego złego. Żyd jako fabrykant wyzyskiwał robotników, jako spekulant giełdowy przyprawiał drobnych ciułaczy o stratę pieniądza, jako bankier i lichwiarz wpędzał w długi poczciwego wieśniaka, skromnego kupca i bezbronnego rzemieślnika, aby go w ten sposób zadusić. Jednak Żyd był także intelektualistą, redagującym liberalne czasopisma, tym rewolucjonistą, który jak *Marks* lub *Lassalle* podjudzał robotników, a w socjaldemokracji nadawał ton. Wreszcie nie ostatni był Żyd tym, który swoimi ideami rewolucyjnymi reprezentował budzący się ateizm, ośmieszając chrześcijaństwo, ponieważ w całym tym rozwoju kulało ono na samym końcu. Założył więc *Stoecker* w r. 1878 „partię chrześcijańsko-socjalną", która może być traktowana jako prekursorka narodowego socjalizmu. W r. 1893 „niemiecko-konserwatywna partia" przejęła antysemityzm z programu partii chrześcijańsko-socjalnej i wniosła tę postawę w nasze stulecie.

Rok 1879 można określić jako datę narodzenia nowoczesnego antysemityzmu w Niemczech. We Francji ukazała się w r. 1886 książka *Drumonta* pt. *„Le France Juive"* (Francja żydowska), która stała się biblią antysemityzmu francuskiego. Jego następstwem była sprawa *Dreyfusa* w latach 1894—1906, francuskiego kapitana, niesłusznie skazanego z powodu domniemanego szpiegostwa, ze słynnym *„J'accuse"* (Oskarżam) *Zoli* (1898)[3]. W Niemczech rozgorzała dyskusja między historykami prof. *Treitschkem* i prof. *Mommsenem*. W efekcie była ona wodą na młyn antysemityzmu. *Treitschke*, zacięty nacjonalista, pisał przy tym w *„Preussische Jahrbücher"* („Roczniki Pruskie"): „Przez naszą wschodnią granicę wciska się corocznie gromada gorliwych, sprzedających spodnie młodzieńców, których dzieci i wnuki kiedyś opanują giełdy i czasopisma Niemiec" (publikacja pt. „Słowo o naszym żydostwie"). On to ukuł dewizę: „Żydzi są naszym nieszczęściem". W jednym zdaniu (także „Słowo o naszych Żydach") odpowiedział *Mommsen:* „Żydzi, podobnie jak kiedyś byli w państwie rzymskim elementem dekompensacji narodowej, tak w Niemczech są elementem dekompozycji plemion". *Mommsen* pragnął tym samym wyróżnić Żydów pozytywnie; dążył do ponadnarodowej humanitarności, w której wszystkie partykularyzmy winny zostać przezwyciężone. W rzeczywistości Żydzi w Niemczech wypowiadali się jako Niemcy, nie jako Prusacy, Bawarczycy, Wirtembergowie i tym podobni, ale jako ludzie, i wywołali tym zgorszenie u wszystkich, którzy „stare" uważali za dobre. Jednak wypowiedź *Mommsena* o Żydach jako o elemencie dekompozycji stała się sloganem dla wszystkich nacjonalistów w Niem-

[3] Pomimo oczywistego fałszu oskarżenia, *Dreyfus*, który padł ofiarą antysemityzmu, dwukrotnie był skazany. Również *Zoli* wytoczono proces za rzekomą obrazę armii z powodu ogłoszenia przez niego listu otwartego *„J'accuse"*, będącego oskarżeniem władz wojskowych o świadome prześladowanie niewinnego *Dreyfusa*, który ostatecznie w r. 1906 został zrehabilitowany. W atmosferze walk politycznych, szowinizmu i antysemityzmu dokonano w r. 1908 nieudanego zamachu na *Dreyfusa*, a jego sprawa jeszcze później była przyczyną nawet kryzysów gabinetowych we Francji (przyp. red.).

czech i we Francji oraz w innych krajach. Antysemityzm stał się międzynarodowym ruchem nacjonalistów i konserwatystów przeciw internacjonalizmowi żydowskiemu.

W r. 1879 studenci antysemiccy założyli „Związek kyffhäuserski" („*Kyffhäusserbund*"). W r. 1880 powstała „Liga Antysemitów" i zwołano wtedy pierwszy, a w r. 1886 drugi kongres antysemicki. Od r. 1886 wystąpiło „Niemieckie Zjednoczenie Antysemickie" jako partia polityczna, która w r. 1890 wybrała pięciu posłów do Reichstagu Niemiec cesarskich. Jako reakcja na działalność tych ugrupowań powstał w r. 1891 „Związek Zwalczania Antysemityzmu", który istniał do r. 1933. Specjalne uwagi wniósł jeszcze do tych sporów ekonomista narodowy *Dühring* (1833—1921), z którym, jak wiadomo, polemizował *Engels*. Mianowicie w r. 1883 domagał się zastąpienia religii czymś doskonalszym oraz wyłączenia całego Żydostwa przez nowoczesny duch narodowy. Również chrześcijaństwo nie było dla niego żadnym rozwiązaniem, Niemcy powinny powrócić do starogermańskiego ideału bohaterów. Współdziałanie wszystkich tych tendencji doprowadziło w końcu do tego, że pod względem politycznym dla Centrum i socjaldemokratów wytworzyła się taka sama sytuacja, jak dla Żydów; wszystkie trzy ugrupowania zjednoczyły się w opozycji przeciw przemocy państwowej, reprezentowanej wtedy przez *Bismarcka* jako założyciela jednolitego państwa niemieckiego.

Sam *Bismarck*, junkier pruski, wypowiadał zdania przypominające rasizm *Gobineau* i chociaż nie były one bezwarunkowo antysemickie, szły w kierunku germańsko-niemieckich urojeń o bohaterstwie. *Moritz Busch*, duchowy następca *Bismarcka* i jego pilny wydawca, donosił (w r. 1899) o następującej dyskusji, którą *Bismarck* zagaił wypowiedzią: „Niemiecka, germańska rasa, tak powiedziawszy, jest męską zasadą, idącą przez Europę i zapładniającą. Celtyckie i słowiańskie narody są rodzaju żeńskiego. Ta zasada postępuje do Morza Północnego i dalej aż do Anglii". Na uwagę *Buscha:* „Aż do Ameryki, na zachód Stanów Zjednoczonych, gdzie nasi ludzie również tworzą najlepszą część społeczeństwa i wywierali wpływ na obyczaje innych", mówił on dalej: „Tak, to są dzieci, owoce tego. Widziało się przecież we Francji, jak Frankowie tam jeszcze górowali. Rewolucja w r. 1789 była obaleniem na ziemię elementu germańskiego przez celtycki — i co widzimy od tej pory? A w Hiszpanii — jak długo tam przeważała gotycka krew! Również we Włoszech, gdzie w okolicach wyżej położonych Germanie również odgrywali główną rolę. Gdy wymarli, nie pozostawało już nic. Niezbyt inaczej jest w Rosji, gdzie najpierw germańscy Waregowie zapanowali i dali początek rodowi Ruryka. Ale gdy tylko nacjonaliści zwyciężają Niemców, tych którzy przywędrowali, i tych z prowincji wschodnich, to rozpadają się oni na poszczególne gminy. Jeśli nawet nie mieszali się z innymi narodowościami, to również mimo to tracili znaczenie. Zarówno na południu, jak i na zachodzie pozostawieni sami sobie byli tylko rycerzami Rzeszy; były miasta Rzeszy i wioski Rzeszy, każde samo dla siebie; wszystko się rozpadało. Gdy Niemcy trzymają się w skupieniu, są wtedy wspaniali, nieprzezwyciężeni, nie dają się pokonać. W przeciwnym razie każdy działa na własną rękę. Zaiste, najlepszą formą państwową jest przychylny, sprawiedliwy i rozsądnie zastosowany absolutyzm. Gdy brak czegokolwiek z tych cech, rozpada się wszystko. Jeden chce to, drugi czegoś innego i wtedy występuje wieczne wahanie i zastój".

Dla dalszych losów żydostwa poza Niemcami był decydujący w drugiej połowie XIX wieku zamach dokonany w r. 1881 na cara *Aleksandra II* rosyjskiego. W zamachu uczestniczyła Żydówka, która przybyła do Rosji. Był to powód do rozległego pogromu Żydów w Rosji. „Pogrom" znaczy właściwie spustoszenie; od r. 1881 pozostało znaczenie „prześladowania Żydów na śmierć". Wówczas nastąpiła (w r. 1882) po raz pierwszy emigracja Żydów rosyjskich, uciekających przed pogromem do Palestyny; z niej powstało dzisiejsze państwo Izrael. Inna fala emigracyjna odeszła do Ameryki.

Już w załodze okrętów z wyprawy *Kolumba*, odkrywcy Ameryki, uczestniczyli żydowscy marynarze i lekarze. Wkrótce zaczęła się emigracja do Brazylii Żydów z Hiszpanii i Portugalii, trwająca w XVI i XVII wieku. W nowym Jorku pierwsza żydowska gmina istniała w r. 1654, w r. 1802 powstała pierwsza gmina niemiecko-żydowska. W następnych stuleciach nastąpił nowy, większy napływ Żydów także z Niemiec, a po zamachu na *Aleksandra II* również masowy napływ z Rosji. *W. Sombart* (1863—1914), który jako ekonomista narodowy zajmował się także amerykańskimi Żydami, w książkach „Żydzi i życie gospodarcze" (*Die Juden und das Wirtschaftsleben;* 1911) i „Przyszłość Żydów" (*Die Zukunft der Juden*") określał amerykanizm jako „cieknący duch żydowski" i przeciwstawiał „naród pustyni i wędrowny" Żydów przywiązanym do ziemi Europejczykom północnym. W Ameryce uważano jako początek „towarzyskiego" antysemityzmu odmowę dyrekcji Hotelu Grand-Union w Saratoga Springs w lecie 1877 r. przyjęcia jako gościa nowojorskiego bankiera *Josepha Seligmana. Madison Grant* (1865—1937) reprezentował później (1918) w swej książce *„Passing of the great race"* („Zmierzch wielkiej rasy") w sprawie żydowskiej imigracji stanowisko północnogermańskie w myśl poglądów *Gobineau*. W Niemczech wypędzono Żydów wschodnich z Berlina w latach 1881—1882 i 1905, a ze wschodnich prowincji pruskich w r. 1885.

W tym czasie w Niemczech również rozwijał się rasizm. Tym, który się szczycił, że był pierwszym reprezentantem stanowiska rasistowskiego w kwestii żydowskiej w przeciwieństwie do wyłącznie miarodajnego wówczas „religionizmu" (listopad 1880 r.) był znowu *Dühring*. Jego publikację *„Die Judenfrage als Frage des Rassencharakters und seiner Schädlichkeiten für Existenz und Kultur"* („Kwestia

Żydów jako zagadnienie charakteru rasowego i jego szkodliwości dla egzystencji i kultury") wydano w latach 1880—1930 sześć razy w „zwiększonym" nakładzie. Publikacja ta stała się podstawą *„Antisemitismus-Katechismus"* („Katechizm antysemityzmu") *Fritscha* (1887), wydanego do roku 1940 czterdzieści razy. Z okazji jego 30 nakładu *Hitler* pisał do *Fritscha: „Das Handbuch der Judenfrage"* studiowałem już wnikliwie w mojej wczesnej młodości w Wiedniu. Jestem przekonany, że właśnie ta książka przyczyniła się w szczególny sposób do przygotowania gruntu dla narodowosocjalistycznego ruchu antysemickiego. Mam nadzieję, że po 30 nakładzie nastąpią jeszcze dalsze i że podręcznik ten stopniowo znajdzie się w każdej rodzinie niemieckiej".

Dühring miał różnych poprzedników, z których kilku zostało już wymienionych, a także znanych następców. Należy wspomnieć jeszcze *Richarda Wagnera* z jego pismem z r. 1859 pt. *„Das Judentum in der Musik"* (Żydostwo w muzyce), a to dlatego, ponieważ zięć *Wagnera, Houston Stewart Chamberlain* (1855—1925) odegrał później ważną rolę dzięki swej książce *„Grundlagen des XIX Jh."* („Podstawy XIX wieku"; 1899, 18 wyd. w r. 1934, 28 wyd. w r. 1940). Przeciwstawił on ideę „aryjskości" kwestii żydowskiej i wypowiedział się na rzecz urojeń o bohaterstwie narodowego socjalizmu. Cesarz *Wilhelm II* czytał tę książkę swym synom, a *Hitler* w czasie swych odwiedzin w r. 1923 u *Chamberlaina* w Bayreuth, dwa lata przed jego śmiercią otrzymał od niego błogosławieństwo. *Chamberlain* określił Germanów, przy jednoczesnym zaprzeczeniu wartości Żydów, jako „prawdziwych twórców kształtujących losy ludzkości [...], jako twórców państw, jako również wynalazców nowych myśli i oryginalnej sztuki"; jednocześnie zastrzeżenia wobec rzeczywistego istnienia „Aryjczyków" odparowywał frazesem: „Może czytelnik tej książki więcej zaufać wiedzy niż oficjalnym osobom spłycającym i niwelującym każdą myśl i niż zawodowym antyaryjskim spekulantom wyznaniowym! Gdyby nawet udowodniono, że w przeszłości nigdy nie było rasy aryjskiej, to pragniemy, aby w przyszłości ona była; dla ludzi czynu jest to decydujący punkt widzenia".

Orientalista *Paul de Lagarde* (właściwie *Bötticher*, 1827—1891) oznajmił w swych *„Deutsche Schriften"* („Niemieckie pisma") w odniesieniu do Żydów: „Z trychinami i bakcylami nie pertraktuje się, trychiny i bakcyle nie będą też wychowywane, lecz zniszczone tak szybko i tak gruntownie, jak tylko to jest możliwe". *Rosenberg* w *„Der Mythus des 20. Jahrhunderts"* („Mit XX wieku") czuł się pokrewny duchowo *Paulowi de Lagarde*, a w *Goebbelsie* znalazł następcę równie genialnego w związku z jego wypowiedzią: „Wielu intelektualistów usiłuje pomóc Żydom starym frazesem: „Żyd jest także człowiekiem. Tak, on jest także człowiekiem, ale jakim? Pchła jest także zwierzęciem!". Francuz *G. Vacher de Lapouge* (1854—1936) opublikował w r. 1899 swoje główne dzieło *„L'Aryen"*, gdy przedtem (1896) już pisał o selekcji społecznej (*„Les selections sociales"*). Tym samym był on z jednej strony następcą *hr. Gobineau*, z drugiej zaś w związku z akceptacją *„selection regressive"* był pierwszym reprezentantem darwinizmu społecznego, który się jeszcze silniej umocnił w następnym okresie. Do *„selection regressive"* miało dojść przez to, że chorzy i słabi w czasie wojny przetrwali przy życiu, ponieważ pozostawali w domu. W 1903 r. *Ludwig Woltmann* (1871—1907), pierwotnie socjaldemokrata, założył *„Politisch-Anthropologische Revue"*, tj. „Przegląd Polityczno-Antropologiczny", który bronił znaczenia Germanów w sensie *Gobineau* przede wszystkim w odniesieniu do czasów renesansu we Włoszech, później zaś uległ wpływom wszechniemieckim; prof. *F. Lenz*, higienista rasowy narodowych socjalistów bronił *Woltmanna* (1933) jako „narodowego socjalistę" przed złośliwym twierdzeniem, że był Żydem. W r. 1904 *W. Hentschel* powołał do życia *„Mitgardbund"* (Związek współgwardzistów) w celu świadomej hodowli wysokowartościowej rasy. Założono zakon Germanów, Towarzystwo *„Thule"* (Thule — legendarna szczęśliwa wyspa). *W. Holhfelder* wprowadził w życie „artamanów" z motywem: „potrzebujemy nowej szlachty"; między innymi *Himmler* wyszedł z szeregów „artamanów". Dla narodowych socjalistów napisał potem *H. F. K. Günther* książkę *„Führeradel durch Sippenpflege"* (3. nakład w 1941 r.). Wszystko, co z tym było związane, a przede wszystkim zaś z zapatrywaniami narodowo-socjalistycznego „wodza chłopów", *E. Darrégo*, będzie następnie dokładnie omówione.

Jeszcze kilka uwag o historii darwinizmu społecznego, do którego nawiązali też później narodowi socjaliści, a także o historii antropologii przyrodniczej, która uległa tendencjom rasistowskim i potem włączyła się do narodowego socjalizmu.

Darwin (1809—1882), jak wiadomo, wystąpił w r. 1859 w Anglii ze swym głównym dziełem *„On the Origin of Species by Means of Natural Selection"* („O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego"), w którym wyjaśnił rozwój wszelkiego życia przez selekcję, w walce o byt, z przeżyciem najdzielniejszych. Rosyjski anarchista *Kropotkin* (1842—1921) wysunął później (1904) obok tej teorii zasadę wzajemnej pomocy, również skutecznej w naturze. W Niemczech zoolog *Ernest Haeckel* (1834—1919) w Jenie stał się głównym zwolennikiem nauki *Darwina* o pochodzeniu, którą rozbudował on jednocześnie w swoim monizmie jako „więź między religią i nauką". Z „Eugeniką" *Galtona* (1822—1911), kuzyna *Darwina*, nastąpił wówczas (1883) rozwój higieny ras. „Eugenika" rozróżniającą oceną najpierw tylko różnych linii dziedzicznych w narodzie, a później całych narodów i „ras" zapowiadała wpływ biologii także na politykę. Opierając się na takich podstawach wielki przemysłowiec *Krupp* z początkiem XX wieku rozpisując konkurs poddał dyskusji następujące pytanie: „Czego uczymy się z zasad teorii o pochodzeniu w odniesieniu do rozwoju polityki wewnę-

trznej i ustawodawstwa państw?". Jako opiniodawcy bądź sędziowie konkursu występowali: prof. *E. Haeckel* i jego przyjaciel, *H. E. Ziegler*, ekonomista narodowy z Halle, *Conrad* (1839—1915), jak również historyk *D. Schäfer* (1845—1929). Nagrodę otrzymał lekarz bawarski *W. Schallmeyer*, który już w r. 1891 wydał pracę *„Über die drohende körperliche Entartung der Kulturmenschheit"* („O grożącym wynaturzeniu się cielesnym ludzkości kulturalnej"), na którą ledwo zwrócono uwagę. Pracę nagrodzoną ogłoszono drukiem w r. 1903 pod tytułem: *„Vererbung und Auslese im Lebenslauf der Völker. Eine staatswissenschaftliche Studie auf Grund der neueren Biologie"* („Dziedziczność i selekcja w rozwoju życia narodów. Państwowo-naukowe studium na podstawie nowszej biologii"). Wymieniony już prof. *F. Lenz* wydał swój osąd proroczy o trzecim nakładzie tej książki jeszcze przed wybuchem „tysiącletniego" państwa narodowych socjalistów (*Münch. Med. Wschr.* z 3. I. 1919): „Jej ziarno będzie po tysiącach lat jeszcze tak samo obowiązywać jak dziś".

Również *Woltmann* uczestniczył w tym konkursie. Otrzymał jednak tylko czwartą nagrodę, którą dumnie odrzucił. Opublikował potem w r. 1903 326-stronicową książkę pt. *„Politische Anthropologie. Eine Untersuchung über den Einfluss der Descendenztheorie auf die Lehre von der politischen Entwicklung der Völker"* („Polityczna antropologia. Badania nad wpływem teorii o pochodzeniu na naukę o politycznym rozwoju narodów"). Trzecim przedstawicielem tego kierunku, o którym potem szerzej mówiono, był *Alfred Ploetz* (1860—1940). Opublikował on w r. 1895 książkę *„Grundlinien einer Rassenhygiene. Die Tüchtigkeit unserer Rasse und der Schutz der Schwachen. Ein Versuch über Rassenhygiene und ihr Verhältnis zu den Humanidealen, besonders zum Sozialismus"* („Zasady higieny rasy. Dzielność naszej rasy i ochrona słabych. Doświadczenie o higienie rasy i jej stosunku do ideałów ludzkich, szczególnie do socjalizmu"). *Ploetz* patrząc odmiennie na hodowlę bydła, odniósł całkiem jednoznacznie skuteczną miarę biologiczną do rozważań etyki człowieka. Dla określeń „silniejszy" i „słabszy" lub „doskonalszy" i „niedoskonalszy" zastosował on ocenę „dobry" i „zły" i wypowiedział się w tym sensie za pielęgnowaniem w drodze selekcji „silniejszych potomków" (nazwanych także przez niego konwariantami). Domagał się całkiem świadomego, „naukowo" dozorowanego płodzenia i ciąży; jednak słabsze, zniekształcone, nieudane płody należy w „spartański" sposób poddać eutanazji, tak samo dzieci, pochodzące od matki w wieku ponad 45 lat i ojca w wieku ponad 50 lat. Państwowa opieka społeczna powinna dotyczyć ludzi, „którzy nie mają żadnego wpływu na rozpłód", a w wypadku wojny powinni być — wzorem „listu Uriaszowego" od króla Dawida — świadomie zebrani, aby złe, tj. słabsze warianty ludzkie przenieść w te miejsca, gdzie potrzeba „mięsa armatniego" i gdzie nie zależy tak bardzo na indywidualnej dzielności.

Podobnie jak *Schallmeyer*, także i *Ploetz* ze swoją nauką o rasach nie był antysemitą, lecz głosił powszechnie dla wszystkich ras obowiązującą tezę, w myśl której „cały rodzaj ludzki upadnie wraz z tym odłamem rasy aryjskiej, który — pomijając kilka mniejszych gatunków, jak żydowski — i tak najprawdopodobniej w swej większości jest aryjski i przedstawia rasę kulturalną *par excellence*". *Ploetz* czuł się nawet sprowokowany „wobec znowu powstałej antysemickiej fali" do apologii „tej w najwyższym stopniu rozwiniętej rasy kulturalnej": „cały antysemityzm jest ciosem w wodę, której fale powoli przeminą w powodzi osiągnięć z zakresu nauk przyrodniczych i humanitarnej demokracji, mianowicie tym wcześniej, im mniej będzie przywiewał wiatr reakcyjny, który ponownie wznosi się spośród Żydów". Powoływał się na *Jezusa*, *Spinozę* i *Marksa*, aby pozostawić Żydom „wybitną rolę w procesie rozwojowym ludzkości" „bez trudu radośnie uznaną". *Ploetz* założył w r. 1904 czasopismo *„Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie"* (Archiwum Biologii Rasowej i Społecznej), w ogólnoniemieckim wydawnictwie *J. F. Lehmanna*, Monachium, a w r. 1905 *„Gesellschaft für Rassenhygiene"* (Towarzystwo Higieny Rasy). On sam swoje „rasowo-higieniczne" myśli określił jako „utopię", dodając, aby „czytelnik ich komicznym i okrutnym widokiem nie musiał się przestraszyć". Wydawały się one jako pomyślane nie do urzeczywistnienia, lecz właśnie tylko jako utopie. Rasizm hitlerowski wziął je na serio i przeprowadzał je z brutalnym okrucieństwem. Sam *Hitler* w r. 1938 nadał *Ploetzowi* tytuł profesora „za jego zasługi dla niemieckiej higieny rasy". Proponowano go również do nagrody pokojowej *Nobla* jako kontrkandydata „renegata *Osietzky'ego*", proponowanego przez stronę „żydowsko-komunistyczną". Wielokrotnie już wspomniany profesor *F. Lenz* nazywał się uczniem *Ploetza* i był jego następcą w wydawaniu *„Archiv für Rassen und Gesellschaftsbiologie"*.

„Przyrodniczo-naukowa" antropologia wyhodowała szybko w nowej nauce o rasach szereg osobliwych kwiatów w ocenie kilku znaczniejszych mężczyzn. Oczywiście autorzy na tym terenie bynajmniej nie byli z sobą zgodni. Rozbrzmiewały również głosy przeciwne, np. głos szczególnej wagi prof. *R. Martina*, antropologa uniwersytetu w Monachium. Ożenił się z Żydówką. Inni antropologowie podzielali poglądy podobne jak *Martin*. Zmuszono ich przede wszystkim do milczenia lub wyparto publikacjami rasistowskich i wszechniemieckich autorów, którzy korzystali szczególnie z wydawnictwa *J. F. Lehmanna* w Monachium. Gdy narodowy socjalizm stał się potęgą państwową, zabroniono całkowicie wszelkich głosów przeciwnych.

Aby wymienić oceny rasistowskie poważniejszych ludzi, należy podać, że wskazywano za *Ammonem* (1842—1916) na *Napoleona* jako na „wybitną okrągłą głowę o niezwykłych zdolnościach umysłowych, rzeczywiście prawdziwy typ *Dżyngis-chana* i urodzonego bożka okrągłogło-

wego narodu". *Ammon* opublikował w r. 1895 dzieło: *„Die Gesellschaftsordnung und ihre natürlichen Grundlagen"* (Porządek społeczny i jego naturalne zasady), a w r. 1899 *„Zur Anthropologie der Badener"* („Przyczynek do antropologii Badeńczyków"). Według *H. F. K. Günthera*, szefa „antropologów" narodowosocjalistycznych, *Napoleon* jako geniusz militarny, chociaż na pewno nie tak wybitny jak „największy wódz wszystkich czasów" (w skrócie: *Gröfaz, der grösste Führer aller Zeiten) Adolf Hitler*, „wywodząc się z florentyńskiej szlachty, musiał być nordyckiej krwi aż po swą małą postać". *Beethoven*, którego *Frimmel* (1905 r.) opisał jako małego, krępego i otyłego, miał czarne jak smoła włosy, najeżone i szczecinowate, ciemne oczy i ciemną twarz. Jego rysy twarzy, oglądane z bliska, były raczej brzydkie niż piękne, miał szczękę silnie wystającą do przodu, skośne czoło i gruby, szeroki nos. Równocześnie był on okrągłogłowy, z szeroką czaszką, z pewną ostrożnością można go określić jako „typ, jaki niekiedy wykazują ludzie, w których krąży krew murzyńska". Co zrobili z niego eksperci narodowego socjalizmu? Według *L. F. Claussa*, autora wydawnictwa *Lehmanna*, „był on, jeśli idzie o jego talent muzyczny, człowiekiem nordyckim (...), tego nawet nie zmieni fakt, że jego ciało, rozważając antropologicznie, może dość odpowiadało typowi alpejskiemu (...). Zawsze jednak rzut oka na jego portret poucza, że zdołał on także z tego typu ciała wydobyć wyraz nordycki". Opis *H. F. K. Günthera* był jeszcze wonniejszy. Określił on kolor brunatny i fioletowy jako alpejski i w ten sposób doszedł do następującego obrazu: „Muzyka *Beethovena* okazuje się często jako polemika duszy rasowej, do której należy kolor brunatny i zielony. Gdy *Beethoven* może się kiedyś cieszyć (...), wówczas nagle usuwa się kolor brunatny i fioletowy, a występuje fala niebieska i zielona. Muzyka *Beethovena* wydaje się walką bohatera przeciwko „ciemnemu" dziedzictwu duchowemu — i właśnie ta walka uczyniła *Beethovena* tak wielkim, jego zwycięstwa tak bardzo radosnymi". *H. F. K. Günther* był pierwszym z profesorów uniwersytetu, najpierw w Jenie, potem w Berlinie, powołanych przez narodowy socjalizm; po objęciu władzy przez narodowy socjalizm świeżo dopuszczeni na uniwersytet docenci i nowo powołani profesorzy musieli mieć jakąś aprobatę narodowosocjalistyczną.

Kulminacyjny punkt „naukowy" takich „rasowo-naukowych" pojęć przedstawiały oceny prof. *E. Fischera* z Freiburga, później dyrektora Instytutu Antropologii im. cesarza Wilhelma w Berlinie-Dahlem. *Fischer*, jak sam podał (1934), jako „jedyny akademicki nauczyciel" wykładał od r. 1909 o znaczeniu rasy nordyckiej w sensie *Woltmanna* — „do tego potrzeba było dla prywatnego docenta wszelako odwagi!" — sądził on. W r. 1934 prof. *Aichel*, antropolog w Kilonii, i prof. *Verschuer*, uczeń, a później następca *Fischera*, nazwali go z okazji uczczenia jego urodzin „uznanym wodzem antropologii", który po wszystkie czasy stworzył „klasyczne dzieło antropologii", dokonujące się „na przełomie czasów". „Wódz *Adolf Hitler* po raz pierwszy w historii świata wprowadza w czyn pojęcia o biologicznych podstawach rasy narodów, dziedziczenia, selekcji. Nie jest przypadkiem, że miejscem tego wydarzenia są właśnie Niemcy. Nauka niemiecka włożyła politykom w ręce narzędzie". W r. 1933 *Fischer* był pierwszym rektorem w dobie narodowego socjalizmu na uniwersytecie w Berlinie. Otrzymał on od *Hitlera*, podobnie jak *Günther*, medal Goethego (w 1939 r.), a później także odznaczenie *„Adlerschild"* Rzeszy Niemieckiej (w 1944 r.). Obydwa przyjął. Szczególnego dodatku do nordyckiej nauki o rasach dokonał on jako członek jury w zorganizowanej przez wydawnictwo *Lehmanna* (Monachium w r. 1927) akcji poszukiwawczej za najlepszym obrazem „rasy nordyckiej". Nie było jeszcze takiego obrazu, a dla rodzaju żeńskiego nie uzyskano go również i z tego konkursu. Jest to jeden z najlepszych dowodów na to, jak bardzo z tymi zapatrywaniami rasistowskimi wiązała się fikcja. Mimo to *Fischer* stawiał dalej przed oczami narodu rasę nordycką jako „najsilniejszą i najważniejszą część składową", tj. wszystko inne uznał jako słabe i nieważne. Objęcie władzy przez narodowy socjalizm pozdrowił on jako rektor uniwersytetu berlińskiego tymi słowami: „Państwo narodowe podźwignęliśmy i dążymy do tego, by je rozbudować, państwo z krwi i ziemi, państwo z niemieckiego połączenia narodowego, zbudowane na związku z ludem, rasie i niemieckiej duszy". Po rozpadnięciu się narodowego socjalizmu został *Fischer* w r. 1952 mianowany przez „Niemieckie Towarzystwo Antropologiczne" członkiem „honorowym"; Towarzystwo to w czasie Trzeciej Rzeszy nazywało się „Niemieckie Towarzystwo Badania Ras". Opublikował on również książkę *„Begegnung mit Toten"* („Spotkanie ze zmarłymi"); o zmarłych w obozach koncentracyjnych i podczas drugiej wojny światowej, którzy obciążają rachunek narodowosocjalistyczno-nordyckiej manii rasistowskiej, nie ma mowy w tej książce.

To była tradycja, z której wyszedł *Hitler* (1889—1945) i zarazem stosunki, w które wrósł.

W Austrii, gdzie *Hitler* wyrósł, antysemityzm połączył się z ruchem „niemiecko-ludowym" *Georga Ritter von Schönerera* (1842—1921), powołanym przez niego w r. 1885 do życia. Ruch ten opowiadał się za *Anschlussem*, tzn. przyłączeniem Austrii do Rzeszy Niemieckiej. Obok *Schönerera* wiedeński burmistrz *Karl Lueger* (1844—1910) był duchowym wzorem Hitlera. *Lueger*, ideowo związany z *Schönererem*, był od r. 1888 przewodniczącym chrześcijańsko-socjalnej partii w Austrii i od r. 1897 do 1910 burmistrzem Wiednia, gdy mu przedtem mimo wielokrotnego wyboru czterokrotnie odmówiono potwierdzenia cesarskiego z powodu oporu dworu, urzędników i wysokiego kleru. Od *Luegera* pochodzi też wypowiedź: „Kto jest Żydem, określam ja", którą później ponownie zastosował *Göring* w związku z awansem jego przyjaciela *Milcha* do stopnia feldmarszałka.

W Wiedniu rozpoczął swą antysemicką działalność w r. 1899 także *Jörg Lanz von Liebenfels*, odszczepieniec, mnich od św. Krzyża. Propagował on rasistowskie konkursy piękności, wydawał czasopismo „Ostara", czytane przez Hitlera; nie był szlachcicem, lecz oczywistym hochsztaplerem (1874—1954). *Lanz* podzielił ludzkość na Aryjczyków (Aringer) i na zwierzęcych, podobnych do małpy Żydów (*Äffischen*); uwzględniając wywody *Gaucha* (1933), adiutanta *Darrégo*, zapatrywanie to zostało później rozbudowane przez narodowych socjalistów.

Hitler był wywodami *Lanz von Liebenfelsa* tak dalece zachwycony, że go w r. 1909 osobiście odszukał w Wiedniu. Potem wziął udział w pierwszej wojnie światowej w wojsku niemieckim jako ochotnik, uzyskując stopień starszego szeregowca (*gefreiter*); był odznaczony żelaznym krzyżem. Przeszedł zatrucie gazem, sporne w swych skutkach i po załamaniu „postanowił" być „politykiem". Wstąpił więc w r. 1919 jako członek nr 7 do *NSDAP*, w której wkrótce został „wodzem". Pierwszy pucz, po którym miano go widzieć „na czele państwa albo zmarłym", nie powiódł się i skończył się ucieczką *Hitlera*. Po krótkim areszcie honorowym w Landsbergu, gdzie pisał *„Mein Kampf"*, przeszedł przed rokiem 1939 do systematycznej organizacji partii i jej bojówek, *SA* i *SS*, z którymi później po r. 1933 tyranizował cały naród niemiecki.

Hitler w swej walce przeciw Żydom między końcem pierwszej wojny światowej a r. 1933 nie był osamotniony, w końcu zaś jego organizacja stała się największą i zdławiła wszystkie inne. I tak trzeba tu przede wszystkim wymienić niemiecko-ludową partię wolności z *Graefem*, *Henningem* i *Wulle*, w obrębie uniwersytetów ciągle coraz silniej narastający *„Hochschulring deutscher Art"*. To że w r. 1918 napłynęła głównie do Niemiec nowa fala emigrantów wschodnio-żydowskich i odgrywała tam pewną rolę w ruchu rewolucyjnym socjalistyczno-komunistycznym, było wodą na młyn tych grup antysemickich. Republika Weimarska jako „republika żydowska" była przez nie zwalczana. Liczni wybitni Żydzi, np. *Hugo Haase*, *Kurt Eisner*, *Róża Luxemburg*, *Karol Liebknecht*, *Gustav Landauer*, *Eugen Levine*, *Walter Rathenau*, zostali zamordowani. W latach 1923—1931 notowano łącznie 106 wypadków profanacji cmentarzy żydowskich; dla porównania należy zaznaczyć, że w zimie 1959/60 w Niemieckiej Republice Federalnej naliczono 452 akcje antysemickie. Ponadto inscenizowano liczne skandale teatralne w czasie wystawiania sztuk żydowskich autorów, np. w r. 1921 przy wystawieniu sztuki *Schnitzlera „Reigen"* w Berlinie i Monachium. W końcu NSDAP stała się tak mocna, że sędziwy prezydent Rzeszy, marszałek pierwszej wojny światowej *von Hindenburg* uznał, że zgodnie ze swą przysięgą na demokratyczną konstytucję Republiki Związkowej musi powierzyć sprawowanie rządów *Hitlerowi*. Znane są dokumenty, którymi *Hindenburg* protestował u *Hitlera* przeciwko prześladowaniom Żydów; *Hitler* odpowiedział na nie fałszywymi danymi i odłożył je *ad acta*.

Liczba Żydów, mieszkających w r. 1933 w granicach Niemiec, wynosiła około 500 000. Ich odsetek w ogólnej populacji Niemiec, głównie wskutek silnego ograniczenia urodzin Żydów w miastach, spadł od r. 1880 z 1,09% na 0,9% w r. 1925 i 0,76% w r. 1933. Liczba małżeństw mieszanych wzrosła z 29 na 100 czysto żydowskich małżeństw w r. 1920 do 60 w r. 1932. Po upadku narodowosocjalistycznej władzy w Niemczech znalazło się tam jeszcze 5 000 Żydów, którzy zdołali ukryć się w jakiś sposób w podziemiu i uratować.

Objęcie władzy w r. 1933 (tj. *Machtergreifung*, jak to narodowi socjaliści nazywali) zalegalizowało nielegalne do tej pory prześladowanie Żydów i zagrożenie wszystkich przeciwników narodowego socjalizmu oraz umożliwiło tym samym przeprowadzenie odpowiednich środków pod ochroną nowo stworzonych ustaw, z brutalnością i sadyzmem, odpowiadającym charakterowi „ruchu" narodowosocjalistycznego. W końcu cały ten rozwój doprowadził do drugiej wojny światowej, w toku której wszystko motywowano koniecznościami rzekomo narzucanymi przez wojnę.

Już w pierwszym półroczu r. 1933 powzięto ustawę o „przywróceniu zawodowego stanu urzędniczego", mocą której wyłączono Żydów i innych urzędników nieprzyjemnych dla narodowych socjalistów. Zakazano zarzynania bydła według przepisów żydowskich. Założono pierwsze obozy koncentracyjne (Dachau, Oranienburg i inne). Osoby źle widziane, zatrzymane pod kłamliwym pojęciem „areszt ochronny" więziono nawet po sądowym wyroku uwalniającym. W tym samym roku wyszła jeszcze ustawa Państwowej Izby Kultury, wypędzająca Żydów z niemieckiego życia kulturalnego. W r. 1935 ogłoszono tzw. „ustawy norymberskie". Ustawa o „ochronie niemieckiej krwi" wprowadziła „świadectwa zdolności do zawarcia związku małżeńskiego" i pojęcie „shańbienie rasy" (*Rassenschande*), z zagrożeniem karą śmierci, co pociągnęło za sobą wiele wyroków śmierci za to przewinienie. Wydano ustawę o zapobieganiu dziedzicznie choremu potomstwu, z przymusem sterylizacji „dziedzicznie chorych", i ustawę wojskową, w myśl której tylko „Aryjczykom" zezwalano na wstąpienie do wojska. Nad restauracjami, kawiarniami i sklepami wywieszono szyldy z napisem: „Żydzi niepożądani", które jednak w r. 1936 w czasie olimpiady usunięto znów na krótki okres, aby nie sprawiać zbyt złego wrażenia na przybyszach zagranicznych. Odmowa *Hitlera* uczczenia w czasie olimpiady zwycięzców kolorowych pozostawiła i tak dostatecznie złe wrażenie. W r. 1936 założono „zdrój życia" (*Lebensborn*) w celu wyhodowania czysto nordyckich dzieci, które także „były wodzowi podarowane" przez niezamężne matki; w r. 1944 było 8 domów porodowych i 6 domów dla dzieci. W Instytucie Rzeszy Historii Nowych Niemiec założono oddział badawczy „Zagadnienie Żydów" (*Ju-*

denfrage), z którym z odpowiednią tendencją współpracowali między innymi: *Fischer, von Verschuer* i *Burgdörfer*. Gdy okupowano Austrię w r. 1933, a w Paryżu Żyd polski dokonał zamachu na jednego z radców ambasady, nawet nie narodowosocjalistycznego, zaostrzono jeszcze bardziej środki antyżydowskie. *Eichmann*, który w r. 1933 uciekł z Austrii do Niemiec i tam wstąpił do *SS*, został mianowany kierownikiem centrali dla wywędrowania Żydów; w r. 1939 został kierownikiem wszystkich „dochodzeń żydowskich" w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (*RSHA*) i jako taki rozwinął nową kategorię „morderców zza biurka". Wprowadzono dla wszystkich Żydów przymusowe imiona *Izrael* i *Sara*. Prawo wykonywania zawodu przez lekarzy żydowskich ogłoszono za wygasłe, adwokaci żydowscy musieli wstrzymać swą praktykę, a w nocy z 9 na 10 listopada, po morderstwie w Paryżu, partia zorganizowała zburzenie synagog i sklepów żydowskich, które przeszło potem do historii pod pojęciem „kryształowa noc Rzeszy". Na Żydów nałożono karę w wysokości miliarda marek. Żydzi nie mogli dalej chodzić do łaźni „aryjskich", dzieci żydowskie nie mogły więcej uczęszczać do „aryjskich" szkół, a rodziny żydowskie nie mogły zatrudniać „aryjskiego" personelu domowego.

Z początkiem r. 1939 *Hitler* zapowiedział w *Reichstagu* „zniszczenie rasy żydowskiej w Europie". Po wybuchu drugiej wojny światowej Żydzi musieli w dniu pojednania (23. IX. 1939) oddać swe aparaty radiowe. W r. 1940 nie otrzymali oni w ramach racjonowania wojennego kart odzieżowych, od r. 1941 musieli wszyscy Żydzi w wieku ponad 6 lat nosić „gwiazdę żydowską". Przed „nocą kryształową" wywędrowało z Niemiec już 150 000 Żydów. W październiku doszło także do pierwszej masowej deportacji 23 000 Żydów, którzy musieli być „przesunięci" do Polski; ona właśnie była powodem zamachu w Paryżu. Tak więc wywędrowało z Niemiec w latach 1939—1941 dalszych 170 000 Żydów. Wtedy *Göring* powierzył *Heydrichowi* przygotowanie „ostatecznego rozwiązania" sprawy żydowskiej i rozpoczęły się ich transporty do obozów zagłady na wschodzie w celu zagazowania [4].

Rozwój ten dokonywał się konsekwentnie aż do okrutnego końca, a kompetentni niemieccy uczeni — z małymi wyjątkami — prześcigiwali się z wyznaniami wierności dla nowego systemu i świadczeniami na rzecz jego rozbudowy. Narodowi socjaliści chętnie korzystali z tej uniżonej gotowości, a nawet poniekąd jej żądali. Większość była chętnie posłuszna. Trzonem byli antropolodzy jako przedstawiciele nauki kompetentni w zagadnieniach rasowych.

Tylko pięciu antropologów wyłączyło się z tego nurtu. Prof. *Weidenreich* z Frankfurtu nad Menem i docent *Münter* z Heidelbergu wyemigrowali. Docentowi *Sallerowi* z Getyngi odebrano upoważnienie do nauczania z powodu jego krytyki narodowosocjalistycznej nauki o rasach, wskutek tego też podał się on o zwolnienie z posady państwowej i żył dalej jako lekarz. Prof. *Weiningera* z Wiednia zwolniono z powodu zawarcia związku małżeńskiego z Żydówką. Musiał się ukrywać. Prof. *Merkenschlager*, botanik, który samodzielnie i razem z *Sallerem* opublikował kilka książek o zwalczaniu i pogrzebaniu narodowosocjalistycznego obłędu rasowego, został zwolniony przez swego nowego przełożonego, ministra rolnictwa *Darrégo* i wysłany do obozu koncentracyjnego. Na indeksie znalazły się książki *Merkenschlagera* i *Sallera*, w których rozwinięto nowe, dynamiczne pojęcia o rasach, przeciwstawiając je statycznej, skostniałej nauce narodowych socjalistów i ich zwolenników na uniwersytetach. *F. Paudler*, prywatny uczony, który poddał w wątpliwość jednolitość rasy nordyckiej, dostał się do obozu koncentracyjnego i tam znikł. Prof. *Scheidt* z Hamburga opublikował wprawdzie w poprzednich latach kilka prac w wydawnictwie *Lehmanna*, jednak po objęciu władzy przez narodowych socjalistów nie był aktywny, pozostał więc w urzędzie. Pozostali docenci starali się, jak dotąd, odpowiednio się odznaczyć.

O profesorach *Fischerze, von Verschuerze* i *F. Lenzu* była już mowa. Pracowali dalej oni z profesorem *Nachtsheimem* w Instytucie Antropologii im. cesarza Wilhelma w Berlinie-Dahlem pod rządami narodowych socjalistów, gdy usunięto z niego profesora *Muckermanna*, który starał się kiedyś szczególniej o wybudowanie tego instytutu, ponieważ był katolikiem. Prof. *Fischer* i prof. *Verschuer* rozpływali się w płomiennych mowach o Żydach w państwowym Instytucie Historii nowych Niemiec. *Von Verschuer* opublikował także książkę *„Erbpathologie"* („Patologia dziedziczna") (1934, 2 nakł. 1937) z takim wyznaniem: „Że jesteśmy znowu zgodnym duchowo narodem, zawdzięczamy to naszemu wielkiemu wodzowi „Adolfowi Hitlerowi" i jednemu rozdziałowi książki *„Der Erbarzt im völkischen Staat"* (Lekarz-genetyk w państwie ludowym); brak jednak obydwu tych zdań, odpowiednio do rozwoju koniunktury, jaki do tej chwili nastąpił, w 3. nakładzie książki z r.1944. W czasopiśmie *„Erbarzt"*, wydawanym przez *von Verschuera* głosi on (1939 r.): „Jest wielkim historycznym

[4] Eksterminacja Żydów polskich rozpoczęła się na większą skalę już w listopadzie 1938 roku brutalnym wypędzeniem z Niemiec kilkunastu tysięcy Żydów mających obywatelstwo polskie. Pierwsze przeciwżydowskie zarządzenia dyskryminacyjne okupant wydał natychmiast po zajęciu Krakowa, 6 września 1939 r. Od razu przystąpiono do prześladowania Żydów zgodnie z duchem ustaw norymberskich, ograniczając ich prawa, rabując ich majątek i przesiedlając ich. Pierwsze getto utworzono w Piotrkowie w październiku 1939 r., łódzkie 10 grudnia 1939 r., warszawskie 2 października 1940 r., krakowskie 3 marca 1941 r. 5 września ukazało się obwieszczenie niemieckie w sprawie kary śmierci za udzielenie jakiejkolwiek pomocy Żydowi poza gettem. Getta, jak wiadomo, były etapem na drodze do rychłej likwidacji milionów Żydów — obywateli polskich. Problematykę tę w najnowszym piśmiennictwie polskim opracował między innymi *Piotr Godlewski:* Zagłada Żydów a Polska walcząca (Kultura, 1966, nr 30, s. 3) (przyp. red.).

czynem wodza, że wiele z tych strumieni dziedzicznych skierował z powrotem w główny nurt..., marzenie wszystkich prawdziwych, świadomych Niemców stało się rzeczywistością; Wielkie Niemcy! Zjednoczony naród w obronie tego celu będzie walczył z dumną odwagą i z twardą stanowczością aż do zwycięstwa! Tak więc dla lekarza-genetyka służba wojskowa otrzymała jeszcze szczególny, głębszy sens: jest ona dla niego kontynuacją dotychczasowej jego pracy". *Von Verschuer* otrzymał po drugiej wojnie światowej katedrę genetyki humanistycznej na uniwersytecie w Münster i zatrzymał ją aż do przejścia na emeryturę.

W Kilonii działał jako następca prof. *Aichela,* uczeń *Fischera,* prof. *H. Weinert,* który już przeszedł na emeryturę, a po wojnie jego następcą był prof. *Schäuble,* również uczeń *Fischera.* W Tübingen rektorem narodowosocjalistycznym był antropolog prof. *Gieseler;* wykłada on tam jeszcze dzisiaj. W Królewcu, a potem w Wiedniu miał prof. *L. Löffler,* uczeń *Fischera,* reprezentować narodowosocjalistyczną naukę o rasach. W Lipsku naukę o rasach wykładał prof. *O. Reche.* Uważał on, że Żydzi są nacechowani szczególnymi właściwościami grup krwi i proponował w r. 1935 utworzenie Urzędu Rzeszy dla poprawy rasy narodu (*Reichsamt für Volksaufartung*), „ażeby w duchu *Adolfa Hitlera* myśl o rasie opanowała całą pracę rasowo-higieniczną i zapewniała pracę według jednolitego punktu widzenia". W r. 1941 zaproponował dodatkowo, aby odpowiadając na oczywistą pilną potrzebę uzupełnić przepis o wykroczeniu o „shańbieniu rasy" (*Rassenschande*) przepisem o wykroczeniu wskutek „shańbienia rodziny" (*Sippenschande*) i pojęcie to ustalić w prawie cywilnym. Podobnie jak *Fischer,* także *Reche,* który tymczasem przeszedł na emeryturę, jest „honorowym" członkiem niemieckiego towarzystwa antropologicznego.

We Wrocławiu specjalna szkoła antropologiczna, którą tam próbował założyć prof. *von Eickstedt,* starała się o fundusze na dalszy rozwój. Jako motyw przewodni do tego czytamy w książce *Eickstedta „Rassenkunde und Rassengeschichte der Menschheit"* („Nauka o rasach i historia o rasach ludzkości") następujący ustęp: „Cała historia o rasach da się w końcu sprowadzić w ogóle do jednej formuły. Walka i zwycięstwo szybszego rozwoju wyższej, biologicznie wartościowszej rasy północy przeciwko powolniejszemu rozwojowi, przeciwko pozostawionym w tyle, mniej zdolnym do czynu rasom, wyższe przeciw niższemu, wartość przeciw bezwartości! Ta walka toczy się dalej". Pani *Schwidetzky-Rösing,* uczennica *Eickstedta,* zajmowała się tam również „nauką o rasach dawnych Słowian" (*Rassenkunde der Altslaven*) i stwierdziła, że zaokrąglenie kształtu głowy u nich jest do dzisiaj uwarunkowane „odpółnocnieniem" przy jednoczesnym „wydobyciu się uciskanych dotychczas warstw", może także w sensie „wschodnio-bałtyckiego zwycięstwa urodzin"; tylko południowym Słowianom wychodzi na korzyść „odpółnocnienie", nie ludom wschodnio-bałtyckim, lecz rasie dynarskiej.

Urząd protektora Rzeszy w Czechach i Morawach w swych „tajnych" propozycjach do przygotowania germanizowania (zmiany narodowości) w Protektoracie Czech i Moraw w r. 1940 wysnuł praktyczny wniosek końcowy: „Rasowo wartościowy jest ten mieszkaniec Protektoratu, u którego lub w jego rodzinie nie przeważają cechy słowiańskie. Można tu zasadniczo wyjść z założenia, że te rasowo wartościowe elementy po wzbudzeniu wewnętrznej gotowości do zmiany narodowości wskutek historycznego nasycenia przestrzeni niemiecką krwią są prawdziwie zdatne do zmiany narodowości. Słowiańskie cechy rasowe są przy tym, np. oprócz typów mongolskich, wyraźnie nieuporządkowane. Chodzi o niestaranne życie rodzinne, brak wszelkiego zamiłowania do porządku, do osobistej i domowej schludności, brak wszelkiego dążenia do kroczenia naprzód".

Prof. *Eickstedt* otrzymał po wojnie katedrę antropologii na uniwersytecie w Moguncji. Swą dotychczasową książkę *„Rassenkunde"* (Nauka o rasach) wydał on w drugim nakładzie pod tytułem dostosowanym do nowych stosunków *„Forschung am Menschen"* („Badanie nad człowiekiem"). Jego dawniej tzw. *„Zeitschrift für Rassenkunde"* (Czasopismo dla nauki o rasach) wydał on na nowo pod obojętnym tytułem *„Homo"*. Kierownictwo pisma przejęła później pani prof. *Schwidetzky-Rösing* (razem z prof. *Gerhardtem* z Freiburga i prof. *Mühlmannem* z Heidelbergu). Także *Eickstedt* krótko przed śmiercią (1965 r.) został „honorowym" członkiem powojennego Towarzystwa Antropologicznego. Pani *Schwidetzky* została jego następczynią na katedrze w Moguncji. Nową książką *„Die neue Rassenkunde"* („Nowa nauka o rasach") usiłuje sobie stworzyć alibi dla swej poprzedniej współpracy w głoszeniu narodowosocjalistycznej nauki o rasach i jej oddziaływaniu. Wydaje więc jako nowe to, co w rzeczywistości już w r. 1933 nie było bynajmniej nowe, lecz właśnie uciskane.

Wspólnie z prof. *Hebererem* z Getyngi i docentem *Kurthem,* również z Getyngi napisała p. prof. *Schwidetzky* popularny leksykon antropologiczny (1959 r.). Prof. *Heberer* wykładał w czasie narodowego socjalizmu na uniwersytecie w Jenie, był *SS-Sturmführerem,* a między innymi wygłaszał odczyty na temat *„Das rassische Bild der Judentums"* (Obraz rasowy Żydostwa). W r. 1933 zachwalał on znalezisko z Tübingen następującymi słowami: „Te kamienie budowlane odnoszą się do jednego z najznaczniejszych fenomenów historii w ogóle, do powstania Indogermaństwa! Że środkowa i północno-niemiecka przestrzeń, że Niemcy są krajem rodzinnym Indogermanów nie może być obojętne nam, potomkom tej narodowości powołanej do najwyższych osiągnięć kulturalno-twórczych. Pielęgnujemy własne, praosiadłe dziedzictwo, nie przyszło ono z zewnątrz, nie ze wschodu! Tu się narodziło

i przez stulecia kształtowało. To poznanie oznacza dla nas zarazem zobowiązanie! (...) Wynik naukowy prowadzi więc do wniosków światopoglądowych i nabiera znaczenia teraźniejszości (...) Dzisiaj (...) kształtuje się w sercu Europy znowu nowa ludzkość". Docent *Kurth*, przede wszystkim współpracownik *Heberera*, a pierwotnie uczeń *H. F. K. Günthera* w Jenie sformułował wyrosłe z takich poznań zobowiązanie przy badaniu nad „rasą i stanem w czterech wsiach turyngskich" (*„Rasse und Stand in vier Thüringer Dörfer"*) w następujący sposób: „Większe zadanie chłopstwa tkwi właśnie w utrzymaniu i zabezpieczeniu wolności życia naszego narodu. Tu należy dołożyć wielkiej pracy wychowawczej wieśniaków i partii, która musi wskazać chłopu sens i najgłębsze zadania „chłopstwa". I tu ma swe miejsce przede wszystkim praca głoszących i wspierających „nordycką" myśl. Chłopstwo jest ciągle jeszcze największym nosicielem krwi nordyckiej w naszym narodzie. Jemu należy zawsze i ciągle stawiać przed oczy, że „być nordyckim" oznacza obowiązki, wielkie obowiązki wobec narodu i państwa. Na zdolnościach i siłach rasy nordyckiej zasadzają się największe osiągnięcia naszego narodu. Od zabezpieczenia szerokiej podstawy krwi nordyckiej, z której może wyrosnąć wodzostwo Rzeszy, zależy przyszłość niemieckości. *Führer* pisze w *„Mein Kampf"* o posłannictwie narodu niemieckiego, które tkwi w utrzymaniu i wydobywaniu szlachetnych części składowych naszej narodowości. *Führer* buduje państwo niemieckie dla nadchodzących tysięcy lat; do nas należy troszczyć się o to, aby dla tych tysięcy lat ludzie stali gotowi i zdolni do wypełnienia woli *führera* i do dalszego przekazywania jej".

Dzisiaj prof. *Heberer* kieruje jako emerytowany ordynariusz antropologii placówką badawczą uniwersytetu w Getyndze. Docent *Kurth* był dotychczas jego współpracownikiem. Obydwaj zatrudniali się przede wszystkim publikowaniem książek naukowych o pochodzeniu, poza tym tłumaczeniami z angielskiego. Potem *Kurth* został docentem z poleceniem nauczania w Wyższej Szkole Technicznej w Brunszwiku i ma tam tytuł profesora, a także własne laboratorium. We wspomnianym leksykonie antropologii, który wydali obydwaj razem z panią *Schwidetzky*, nie występuje słowo Żyd, a cóż dopiero coś bliższego o historii rasowej Żydów i okrucieństwach, popełnianych w czasie panowania narodowosocjalistycznego na nich i na innych „podludziach".

Rozumie się, że eksperci rasowi w urzędach nie przeciwstawiali się tym wywodom uniwersyteckich uczonych i zdążali do tego samego celu. *Falk Ruttke*, później *SS-Sturmbannführer*, pierwotnie zatrudniony w państwowym zjednoczeniu niemieckiego przemysłu towarów mięsnych, wydał razem z prof. psychiatrii *E. Rüdinem* z Monachium i z prawnikiem *Güttem* komentarz do ustawy o zapobieganiu młodemu pokoleniu choremu dziedzicznie. W tym wychodzącym od r. 1934 czasopiśmie *„Rasse"* biorą czynny udział oprócz *Rechego* głównie *Günther* i *L. F. Clauss*, którzy jako autorzy wydawnictwa *Lehmanna* byli już wymienieni. *Günther*, piszący pod nazwiskiem L. *Winter*, sądzi, że będzie mógł dzisiaj odegrać znów rolę; powołując się także na stwierdzony przez panią *Schwidetzky* większy wkład rasy nordyckiej wśród przedsiębiorczych i mądrych ludzi, zwalcza on rzekomy „zanik uzdolnionych" w Europie (1959 r.), a w r. 1963 wydał też nowy nakład swej *„Frömmigkeit nordischer Artung"* (1934, 1. nakład). *„Frankfurter Allgemeine Zeitung"* z 18. II. 1966 r. donosiła z okazji jego 75 urodzin, że „nie był on według jego danych narodowym socjalistą" i że po wojnie „w dochodzeniu sądowym" przyznano mu prawo „uprawiania w dalszym ciągu działalności pisarskiej"; *Günther* sprostował to o tyle w tym samym czasopiśmie z 7. III. 1966 r., że co prawda był on od roku 1932 narodowym socjalistą, jakkolwiek „nie mógł przezwyciężyć nieufności wobec socjalizmu także w jego kształcie narodowym" i że mu „wskutek tego ostatniej książki spośród napisanych przed 1945 r. *NSDAP* zabroniła wydać, chociaż była już złożona". Rasowo-polityczny urząd *NSDAP*, a z jego ramienia doktor, później awansowany na profesora, *Gross*, wydawał czasopismo *„Neues Volk"* („Nowy Lud"). Należy jeszcze przytoczyć stanowisko *„Glaubensbewegung der deutschen Christen"* (Ruchu religijnego chrześcijan niemieckich), sformułowane przez późniejszego „biskupa" *Hossenfeldera* w r. 1932; podzielając to stanowisko, także kilku „chrześcijan" przyłączyło się potem do terroru narodowosocjalistycznego: „Chcemy, aby nasz kościół walczył na czele decydującej walki o być lub nie być naszego narodu. Należy się przeciwstawić mieszaniu ras (...) W misji żydowskiej widzimy ciężkie niebezpieczeństwo dla naszej narodowości. Nie ma ona żadnego uprawnienia, by istnieć. W szczególności należy zakazać zawierania związków małżeńskich między Niemcami i Żydami". To stało się później, jak już wspomniano, w narodowym socjalizmie.

Nic dziwnego, że wobec takich wynurzeń „uczonych" i rzekomo niezależnych doszło w końcu do obłąkańczych ekscesów narodowosocjalistycznego mordu rasowego, tak samo, jak do nordyckiego urojenia o bohaterstwie.

W urzędzie sztabu wodza chłopów Rzeszy, ministra *Darré*, wystąpił natychmiast po „objęciu władzy" dr *H. Gauch* z „Nowymi zasadami badania ras" *(„Neue Grundlagen der Rassenforschung")* (1933), które oznaczały godne kontynuowanie nauki *Lanz von Liebenfelsa*. Tylko kilka znamiennych zdań powtórzymy z tej publikacji: „Jeśli zbierzemy całość cech, zobaczymy, że wszystkie w zmiennym stosunku, wspólnie połączone, lepiej rozwinięte cechy tworzą nordyckie ciało i nordycką duszę, że natomiast gorzej rozwinięte cechy występują tylko u nienordyckich ludzi, tak samo jak u zwierząt, że są oni w większym lub mniejszym stopniu podobni do tych ostatnich albo przedstawiają przejście do poziomu zwierzęcego, gdy to obserwujemy z przeciwnego bie-

guna północnego. Nienordycki człowiek zajmuje więc pośrednie miejsce między nordyckimi ludźmi i zwierzętami, przede wszystkim małpami człekokształtnymi. Dlatego nie jest w ogóle człowiekiem we właściwym przeciwieństwie do zwierzęcia, lecz właśnie tylko przejściem do niego, stopniem pośrednim. Ponieważ najznamienniejszym przedstawicielem tego miejsca pośredniego między ludźmi nordyckimi i małpami człekokształtnymi, nawet stojącym bliżej tych ostatnich niż pierwszych jest człowiek neandertalski, to moglibyśmy nazwać nienordyckich ludzi także neandertalczykami; lepsze i trafniejsze jednak jest określenie użyte przez *Stoddarda „Untermensch"* (*„Der Kulturumsturz, die Drohung des Untermenschen"* „Upadek kultury, groźba podczłowieka)". Także to umiał stwierdzić *Gauch:* „Człowiek nienordycki żyje zawsze w brudzie, gdzie jest on wśród sobie podobnych. Nawet wiele zwierząt znacznie przewyższa go w czystości, jak ptaki, utrzymujące stale swe gniazdo w czystości, kot, który się myje, pies i kot, które zagrzebują swe łajno. Gdyby nie było sępów żywiących się padliną, to niektóre narody o nienordyckich cechach zginęłyby dawno zagarnięte przez zarazę".

Dyplomowany rolnik *Darré,* później „wódz chłopów Rzeszy" i minister narodowosocjalistyczny, zajmował się sam poza rolnictwem także „nową szlachtą z krwi i ziemi", jak również „chłopstwem jako źródłem życia rasy nordyckiej" (oba tytuły książek, które ukazały się w wydawnictwie *Lehmanna*). Że narodowi socjaliści byli taką szlachtą, rozumie się samo przez się; oni byli bohaterami. Trudniejsza była sprawa z kobietami. Dla nich polecało się następujący podział: „Na ogół możemy nasze kobiece potomstwo podzielić na dwie grupy: 1. dziewczęta, których potomstwo jest dla narodu pożądane i 2. takie, od których nie można sobie tego życzyć, ponieważ nie wchodzą one w rachubę ze względów zdrowotnych albo zarobkowych. Obie grupy główne dadzą się z kolei podzielić na dwie podgrupy. Z pierwszej grupy zawsze będzie wchodził w rachubę pewien odsetek specjalnie nadających się do małżeństwa. Również z drugiej grupy głównej będzie można utworzyć podgrupę, przeciwko której w kwestii zawarcia małżeństwa nie będzie można nic zarzucić, jeśli zapewniona zostanie niepłodność i inną podgrupę, przeciwko której w kwestii zawarcia małżeństwa istnieje zasadnicze zastrzeżenie, ponieważ np. jej mniejsza wartość moralna nie pozwala na to wyróżnienie, aby zezwolić na zawarcie małżeństwa". *Darré,* potem także *Himmler* przygotowali nowe prawo małżeńskie z ideałem „wysokiej pani" (*Hohe Frau*), o czym *Himmler* wyraził się w następujący sposób: „Muszą to być blondynki, niebieskookie, panie, które otrzymają wykształcenie wysokokwalifikowane: wiedzę historyczną, opanowanie wielu języków, jazdę konną, pływanie, jazdę autem, strzelanie z pistoletu, szczególną znajomość gotowania i gospodarstwa domowego. Po zdaniu egzaminu otrzymają tytuł „wysoka pani". Wodzom partii dana będzie okazja rozwiedzenia się z dotychczasowymi żonami. Będą jednak musieli wybrać sobie spośród „wysokich pań" jedną, która pasowałaby do ich stanowiska". Małżeństwo takie powinno być narodowosocjalistycznym małżeństwem wzorcowym. Poprzednim żonom zapewni się stałą emeryturę państwową. Wysokim panom i paniom był na pewno zapewniony pogrzeb na koszt państwa.

Podczas gdy w ten sposób z jednej strony hodowana była odpowiednio wysoka rasa aryjska, to *SS Himmlera,* tzw. *Kerntruppen,* były wyborowymi oddziałami zestawionymi na miarę nordyckich właściwości, z drugiej strony zaś doszło do konsekwentnego niszczenia różnych rodzajów „podludzi". „Praktyczną i najszybszą metodą" masowego niszczenia było wprowadzone w tym celu przez komendanta obozu *Hössa* gazowanie w Oświęcimiu za pomocą cyklonu B. Ale również strzały w głowę, szubienica, głód i inne sadystyczne męczarnie, jak też „zniszczenie przez pracę" były całkowicie przydatne. Chorzy psychicznie i niedorozwinięci umysłowo byli w pierwszych latach wojny nie tylko, jak dotychczas, sterylizowani, lecz całkowicie niszczeni.

Męczarnie Żydów były w miarę możliwości jeszcze intensywniejsze. Żydzi musieli mieć (r. 1941) specjalne pozwolenie na opuszczenie swego mieszkania i na korzystanie z publicznych środków komunikacji; nie wolno im też było trzymać zwierząt domowych (psów, kotów, ptaków). Później nie wolno im było w ogóle korzystać z jakichkolwiek środków komunikacyjnych. Musieli wszystkie „zbędne części odzieży" oddać i „z uwagi na rozwój wysiedlania Żydów" wstrzymano wszelkie nauczanie dzieci w szkołach żydowskich. Również mieszkania Żydów musiały być oznaczone gwiazdą. Majątek Żydów, którzy wywędrowali lub zostali wysiedleni, przepadał na rzecz państwa. „Wysiedlenie" szło na pełnych obrotach. Plan urządzenia rezerwatów dla „obcych narodów wschodu", które miały tam wieść życie helotów, został również zarzucony. Mordowanie masowe sprawiało mniej kłopotów. Dotyczyło to Żydów pochodzących ze wszystkich okupowanych krajów, jak również Cyganów, jeńców rosyjskich, Ukraińców, Polaków, deportowanych z innych krajów, niemowląt, dzieci, kobiet, mężczyzn i starców. Mordowano nie tylko w obozach koncentracyjnych, w transportach jeńców, w bezbronnych wsiach (Lidice, Oradour itd.), na ulicach, w lasach, we wsiach i miastach. W obozach koncentracyjnych zamordowano: w Bełżcu najmniej 600 000 polskich Żydów, w Chełmnie 300 000, w Majdanku 250 000, w Sobiborze 250 000, w Treblince 750 000 i w Oświęcimiu, gdzie niszczono głównie zachodnioeuropejskich Żydów, przeszło milion. Trudno jest ustalić dokładnie ogólną liczbę masakrowanych w tych obozach. Charakterystyczny jest spór w okresie powojennym w Republice Federalnej, czy liczba 6 albo 5 milionów jest „przesadą" albo czy to były „tylko" 4 miliony. Ale *Himmler* okre-

ślił to w mowie wygłoszonej do swoich podwładnych z *SS* następująco: „Każdego esesmana musi obowiązywać absolutnie zasada: mamy być uczciwymi, przyzwoitymi, wiernymi i koleżeńskimi dla członków naszej własnej krwi i dla nikogo więcej. Jak się Rosjanom powodzi, jak się Czechom powodzi, jest mi całkowicie obojętne. To co istnieje w narodach z dobrej krwi naszego rodzaju, zabierzemy sobie; gdy okaże się konieczne, będziemy im rabować dzieci i wychowamy je na dorosłych. Czy inne narody żyją w dobrobycie, albo czy zdechną z głodu, to interesuje mnie tylko o tyle, o ile potrzebujemy ich jako niewolników dla naszej kultury, inaczej ich los nie interesuje mnie wcale. Czy przy budowie rowu przeciwpancernego upadnie z wycieńczenia 10 000 kobiet rosyjskich, czy nie, interesuje mnie tylko na tyle, aby rów przeciwpancerny był gotów dla Niemiec. Nie będziemy nigdy brutalni i bez serca, kiedy to nie jest konieczne; to jest oczywiste. My, Niemcy, którzy jako jedyni na świecie mamy przyzwoite nastawienie do zwierząt, ustosunkujemy się przyzwoicie również do tych półzwierząt, ale byłoby zbrodnią przeciw naszej własnej krwi, abyśmy się o nich troszczyli i nieśli im ideały, aby nasi synowie i wnuki cierpieli wskutek nich". O ewakuacji Żydów i zagładzie narodu żydowskiego mówił: „Spośród was większość będzie wiedziała, co to znaczy, gdy sto zwłok leży obok razem, gdy 500 tu leży, albo gdy 1 000 leży. Gdy się to przetrzymało, a przy tym — pomijając wyjątki słabości ludzkiej — pozostało przyzwoitym, uczyniło nas to twardymi. To jest nigdy nie napisana karta chwały naszej historii i nigdy nie będzie napisana".

W procesach powojennych przeciwko mordercom w obozach koncentracyjnych, a procesy te zresztą miały nadzwyczaj żmudny przebieg, obliczono karę za czyny tam popełnione proporcją „1 marka za 1 mord" albo „10 minut więzienia za zaskarżony mord" (*Spiegel* 1961, nr 51).

Pozostaje jeszcze wspomnieć o łącznych stratach drugiej wojny światowej, którą narodowi socjaliści rozpoczęli bez żadnego powodu. *„Revue internationale des sciences diplomatiques"* (Genewa) podaje je w następujących liczbach: przeszło 32 miliony ludzi straciło życie na polach walki, 15 do 20 milionów kobiet, dzieci i starców zginęło z powodu bombardowań powietrznych, 26 milionów ludzi zamordowano w obozach koncentracyjnych, 29 i pół miliona ludzi zostało ranionych, okaleczonych albo niezdolnych do pracy, 31 i jedna czwarta miliona ludzi straciło mieszkania i dobytek wskutek bombardowania, 45 milionów ludzi uwięziono, deportowano lub ewakuowano, 30 milionów mieszkań zostało całkowicie zburzonych; milion rodziców nie odnalazło swych dzieci, milion ludzi nie ma już więcej rodziców. Z poszczególnych narodów ZSRR miał największe straty: 17 milionów (10% ówczesnej ludności). Relatywnie najmniejsze straty miała Francja, imperium brytyjskie i USA. Żydzi europejscy zostali jednak prawie całkowicie wytępieni, pozostała ich minimalna reszta.

Jest to historia narodowosocjalistycznego mordu rasowego i urojenia o bohaterstwie, które wywodzi się ze starożytnej kultury i które dokonało się w naszych dniach. Jest to proste sprawozdanie o faktach i są to gołe liczby, które tutaj podano. Co poza tym z cierpienia i nędzy, strachu, rozpaczy, biedy, bólu i męczarni poszczególnych osób i całych rodzin, ale także okrucieństwa, zbrodni, sadyzmu, nikczemności poszczególnych jednostek i organizacji narodowego socjalizmu w całości przeżyto, tego nie da się przedstawić w słowach. Zeznania świadków w procesach o mord oddają tylko mały odcinek; suma i całość nigdy nie da się uchwycić. *Hitler, Himmler, Göring, Goebbels* i wielu innych bohaterów aryjskich, którzy stali za tymi sprawami, popełnili samobójstwo. Także kilku profesorów poniosło konsekwencje. *Eichmanna* stracono. Innym wytoczono proces. Większość jednak, często pod fałszywymi nazwiskami, zaszyła się w ukryciu, a wielu z nich spekulując na niepamięci ludzkiej, znowu wyszło z ukrycia, jak gdyby nic się nie stało. Znów mają wiele do powiedzenia, a przede wszystkim trzymają wszyscy razem, aby na ich nowych pozycjach nie przypominano o ich przeszłości, aby się w ten sposób wzajemnie chronić. Jednocześnie troszczą się o sukcesję po sobie.

Nakreślony tu obraz rzucił światło też i na to, co jako wynik rozwoju dzisiaj po rozpadnięciu się narodowosocjalistycznego panowania jeszcze się pokazuje albo może się jeszcze pokazać. Rasizm w Niemczech bynajmniej nie jest pokonany. Jego przedstawiciele z Trzeciej Rzeszy znowu działają w uniwersytetach, piastują urzędy i nie dają poznać jakiejkolwiek zmiany swej wcześniejszej mentalności. Posiadamy znowu niemieckie towarzystwo *Gobineau*, indogermański *Schutzbund, Artgemeinschaften* (wspólnoty rodzaju nordyckiego) i rozmaite bynajmniej nie całkiem przejrzyste towarzystwa pielęgnowania zdrowia dziedzicznego itd., od r. 1961 nawet związek kopułowy (*Dachverband*): „Wspólnota pracy niemieckich wspólnot" (*„Arbeitsgemeinschaft deutscher Gemeinschaften) (ADRG)* z czasopismem wychodzącym w Koburgu, które się nazywa *„Nation Europa"*. Niebezpieczeństwem przy tym nie jest tylko stary antysemityzm, lecz także rasizm odróżniający między białymi i kolorowymi narodami, które wraz z powszechnym rozwojem coraz więcej razem narastają i jedne od drugich są na siebie zdane. Na zjeździe Ligi Nordyckiej (*Nordische Liga*) w Detmold w r. 1959 otrzymali uczestnicy małą naukę o rasach *Toma Grahama*, w której czytamy o Żydach: „Są oni mieszaniną ras przeważnie złych, a to: ormiańskiej, azjatyckiej, orientalnej, negroidalnej (...), stąd wielkie niebezpieczeństwo dla świata i żyjący przykład tragedii bastardyzacji". Czasopismo *„The Nortlander"* z podtytułem *„Official Organ of the Northern League"* określiło *Civil Rights Bill* (ustawę o prawie cywilnym) zamordowa-

nego wówczas *Johna F. Kennedy* jako „początek ostatecznego rozkładu rasy białej i jej dziedzicznego dobra, z których to wartości Ameryka była do dziś dumna".

A więc reakcja znów podnosi głowę. Wygrywając na niedorzecznych uprzedzeniach i niekontrolowanych afektach zwraca się ona przeciwko ludom kolorowym i przeciw pokojowi między wszystkimi narodami. Czyżby zgroza i okrucieństwa, które przeszły od tysiąca lat nad Europą, a szczególnie nad Żydami, i których ekstremalny wyraz z wytępieniem tak zwanych „podludzi" widzieliśmy i przeżyliśmy w narodowym socjalizmie, jeszcze raz miały przejść nad ludzkością i człowieczeństwem? Wszyscy ludzie dobrej woli są wezwani do przeciwstawienia się temu i zatroszczenia się o to, aby coś podobnego nigdy więcej się nie stało.

PIŚMIENNICTWO

1. *Andics H.*: Der ewige Jude. Ursachen und Geschichte des Antisemitismus. F. Molden, Wien 1965. — 2. *Atzert A. H.*: Informacje w liście z sierpnia 1965. — 3. *Cahnman W. J.*: Wirtschaftliche und gesellschaftliche Ursachen der Judenfeindschaft. W: *Böhm F., Dirks W.*: Judentum-Schicksal, Wesen und Gegenwart. F. Steiner, Wiesbaden. 4. *Dangel R.*: Freie Reichsstädte anno dazumal. Frankh'sche Verlagshandlung, Stuttgart 1965. — 5. *Gamm H. J.*: Judentumskunde. Eine Einführung. List München 1964. — 6. *Lüth P.*: Schöpfungstag und Mensch der Zukunft. E. Diederichs, Düsseldorf-Köln 1965. — 7. Monumenta Judaica. 2000 Jahre Geschichte und Kultur der Juden am Rhein. Handbuch. Na zlecenie władz miejskich Kolonii wydał *K. Schilling*. Köln. — 8. *Saller K.*: Begabungsschwund in Europa? „Heilkunst" 1959, nr 72, s. 320. — 9. *Saller K.*: Die biologisch motivierte Judenfeindschaft. W: *Thieme K.*: Judenfeindschaft. Fischer-Bücherei, Frankfurt/M. S. 180, 1963. — 10. *Saller K.*: Die Lehre von den Rassen. W: Im Geiste der Brüderlichkeit. Süddeutscher Verlag, München 1965, s. 76.

11. *Saller K.*: Die Rassengeschichte des Nationalsozialismus in Wissenschaft und Propaganda. Progress-Verlag, Darmstadt 1961. — 12. *Saller K.*: Der Rassenbegriff in der modernen Anthropologie. Ebenda, 1963, s. 27 (s. 26 w wyd. I z r. 1955). — 13. *Saller K.*: Judenfeindschaft als Erscheinungsform des Rassenhasses. W: *Italiaander R.*: Fischer-Bücherei, Frankfurt a. M. 1966. — 14. *Saller K.*: Warum Rassenfrage heute? W ks.: Rassenfrage heute. Wyd. 2. Süddeutscher Verlag, München 1963, s. 11. — 15. *Saller K., Metzner L.*: Die anthropologische Lehre Fritz Paudlers. Urvölker und Urrassen in Europa. Banaschewski, München-Gräfelfing 1952. — 16. *Schicksal Jüdischer Mitbürger in Nürnberg* 1850—1945, Selbstverlag des Stadtrats in Nürnberg 1965. — 17. *Straus R.*: Die Judengemeinde Regensburg im ausgehenden Mittelalter. C. Winters Universitätsbuchhandlung, Heidelberg 1932.

JANEZ MILČINSKI Lublana

Kryzys etyki lekarskiej [1]

Na początku zimy 1962 roku czasopisma pisały wiele o niszczycielskiej sile ewentualnej przyszłej wojny i obliczały, że w wypadku celnego bombardowania pociskami nuklearnymi byłoby w samym tylko Nowym Jorku około sześciu milionów zabitych.

Wtedy właśnie znajomy podarował mi konika polnego w pudełku z otworkami, przez które mogłoby do środka dochodzić świeże powietrze, i z namoczoną watą w oddzielnej przegródce. Razem z konikiem otrzymałem dwie karteczki pouczeń o jego pielęgnowaniu, żywieniu i higienie. Wśród tych pouczeń były też następujące: „Każdy konik polny ma właściwe sobie cechy i przyzwyczajenia. Trzeba zauważyć, co najchętniej je! Należy dbać, aby miał dość wilgoci i stałą temperaturę, pozwolić mu samemu wybrać określone warunki, które mu najbardziej odpowiadają, i pożywienie, które mu smakuje!"

Zadziwiające, że dziennikarz potrzebował mniej miejsca, prawdopodobnie także mniej czasu i mniej namysłu, aby snuć rozważania o sześciu milionach zabitych w Nowym Jorku, niż ten miłośnik zwierząt, który włożył tyle trudu i troski w opracowanie szczegółowej instrukcji o chowaniu świerszczyka, zanim go oddał w nowe ręce.

Rozmyślałem nieraz o tym, kiedym zaglądał — nie wiem, po raz który — do książki *Mitscherlicha* i *Mielkego* „Medycyna nieludzka" [2]. Być może lepiej by było, gdyby ludzie, którzy się zajmują obliczaniem siły eksplozji atomowych nad Nowym Jorkiem, Moskwą, Londynem czy Berlinem, zastanowili się głębiej nad zwyczajami koników polnych i poświęcili trochę czasu na przestudiowanie ich właściwości.

Tak myślałem po przeczytaniu spekulacji atomowych o Nowym Jorku, po ponurych wrażeniach z podsumowań w książce *Mitscherlicha* i *Mielkego*. Przychodziły mi na myśl świerszcze i ich osobliwe zwyczaje, a także problemy człowieczeństwa i etyki lekarskiej, kiedy oglądałem w Polsce ślady ostatniej wojny.

Auschwitz. Polacy używają nazwy Oświęcim. My naumyślnie mówimy „Auschwitz". Oświę-

[1] Artykuł opublikowany w jugosłowiańskim piśmie „Medicinski Razgledi" (1965, nr 2, s. 147—157). Tytuł oryginału: *Kriza neke zdravniske etike*. Przełożył z języka słoweńskiego dr *Zenon Jagoda*.

[2] Przekład polski tej książki ukazał się u nas w roku 1963 (Nieludzka medycyna. Dokumenty procesu norymberskiego przeciwko lekarzom. Wydali i opatrzyli komentarzem *Alexander Mitscherlich* i *Fred Mielke*. Przedmowa do wydania polskiego: *J. Sawicki*. Tłumaczył z niemieckiego *A. Bukowczyk*. Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1963).



Ryc. 1. Oświęcim. Główna brama zachowana w takim stanie, w jakim była w dniu wyzwolenia 27 stycznia 1945 r. Nad nią znany napis: „ARBEIT MACHT FREI" („Praca czyni wolnym")

cim — to niewielkie miasto z pocztą, stacją kolejową i rynkiem. Rząd zwyczajnych jednopiętrowych domów wokół rynku. Kto by zwiedzał tę miejscowość, gdyby nie było tu obozu? „Auschwitz" — to pewne pojęcie, symbol. Dlatego mówimy: Auschwitz.

Główny obóz koncentracyjny znajduje się obecnie w takim stanie, w jakim był przed laty, w chwili wyzwolenia w dniu 27 stycznia 1945 r. Na zewnątrz ogrodzenia jest grób około stu zmarłych, których znaleziono w blokach. W pierwszej chwili ich nie zauważono pomiędzy sześciu tysiącami więźniów, których kierownictwu obozu nie udało się ewakuować. Stan liczbowy więźniów sięgał przedtem 58 tysięcy ludzi. Wspólny grób przed ogrodzeniem jest jedynym grobem na wielkim cmentarzysku Oświęcimia-Brzezinki. Jakże to mało w miejscu, gdzie miliony ludzi straciło życie.

Wszystko tu jest tak, jak było. Podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego. Wewnętrzne druty na słupach z izolatorami; napisy: „Vorsicht. Hochspannung. Lebensgefahr". Tabliczka „Halt" na szlabanie przed otwartą na oścież bramą. Nad nią znany napis: „Arbeit macht frei". Dalej koszarowe, nie otynkowane bloki jednopiętrowe, ciągnące się jednostajnymi rzędami po obu stronach drogi.

Kilka bloków uporządkowano i stworzono w nich muzeum. Za szklanymi ściankami odzież i przedmioty osobistego użytku, odebrane więźniom, zanim nagich posłano do gazu. Przedmioty te, już posortowane, tak jak je widzimy dzisiaj, znaleziono w magazynach. Całe tego wagony: góry podartych butów, kuferków, ubrań, naczyń kuchennych, sterty pudełek pasty do butów, pędzli do golenia, szczoteczek do zębów. Składy protez, sztucznych rąk i nóg skrzętnie porozbijanych i porozprużanych (szukano w nich złota i walut). Osobno okulary. Stosy ubranek dziecinnych. Wagon kobiecych włosów: warkocze, loki, kępki, czarne, płowe, siwe. Tuż obok produkowane z tego materiału, zajęte w fabryce bele włosianki krawieckiej. W gablotach fotokopie dokumentów obozowych: pedantyczne sprawozdania z akcji wyrywania złotych zębów ze szczęk trupów przed ich spaleniem w krematorium, zaświadczenia, obwieszczenia. Spisy więźniów ze wszystkich stron świata. „Kraigher Alois, Arzt" między innymi. Gdzie indziej drobne pamiątki znalezione w ubraniach więźniów, którzy zginęli w krematoriach: amatorskie zdjęcia roześmianych osób, kalendarzyki. Zabawki: nędzna laleczka z gałganków, inna, celuloidowa, z oderwaną głową.

Blok 11. Miejsce męczeństwa i kaźni (jeśli w ogóle można mówić o innego rodzaju miejscach w Oświęcimiu-Brzezince!). Budynek na zewnątrz taki jak inne, tylko lepiej był widać chroniony: osobna żelazna brama, zamiast okien niewielkie otwory. Wewnątrz wszystko dokładnie zabezpieczone. „Sala sądowa", w której osobliwy „sąd" wydawał za jednym razem sto wyroków śmierci na stu „oskarżonych". Nieco dalej rozbieralnia z bramą wyjściową na podwórze, gdzie zabijano więźniów. Więzień nagi musiał stawać przed lufami karabinów, by jego śmierć nie przyniosła żadnej straty, by można było pokryć ubraniem koszt zużytych nabojów. W jednej z izb leżą na betonowej podłodze rozrzucone nędzne łachy. Zostawiono je tak, jak je znaleziono w chwili wyzwalania obozu. Tylko zwłoki wyniesiono wtedy z tego pomieszczenia, tylko zwłoki. W dolnej kondygnacji są małe celki, puste betonowe nory. W jej części końcowej znajdują się bunkry przeznaczone dla więźniów, którzy mogli przebywać tu tylko w pozycji stojącej. Otworzono od góry jeden z tych bunkrów: zobaczyliśmy klatkę przypominającą przewód kominowy, wysoką na dwa metry, na jakieś

siedemdziesiąt centymetrów szeroką; u dołu drzwiczki jak w chlewie. W tych warunkach umierało po czterech ludzi z głodu i pragnienia. Tych, którzy z jakiegoś powodu nie byli godni kuli.

„W tej piwnicy dokonywano pierwszych prób z cyjankiem[3]*"* — *opowiada nasz przewodnik rzeczowo i bez patosu, jak by on sam nie był jednym z tych, którzy w drewniakach i pasiakach godzinami całymi stali na mrozie podczas apelów przed blokami. „Potem musiano prób zaniechać, ponieważ nie dało się piwnicy dość szybko przewietrzyć, aby można bez specjalnych zachodów wynosić trupy".*

„Tu było też ambulatorium" — *mówił dalej, kiedyśmy się znowu znaleźli na zewnątrz budynku. „Zastrzyki fenolu. Najpierw wstrzykiwano go dożylnie, potem prosto w serce, ponieważ tak było skuteczniej. Śmierć następowała szybciej. Stało tu specjalne krzesło, na którym można było «chorego» umieścić w najodpowiedniejszej pozycji. Czasem wołano dzieci, które się bawiły między blokami. Dziesięcioro, dwadzieścioro z nich otrzymywało po kolei zastrzyk z fenolu w serce".*

Tak, ambulatorium, zastrzyki dożylne, zastrzyki wprost w serce — przy tym wszystkim, a jakże!, nie obchodziło się bez lekarza. I jeszcze przy wielu innych rzeczach, na przykład przy doświadczeniach na ludziach. Lekarz obmyślał doświadczenia, które miały wykazać, co się stanie z człowiekiem, jeśli się on znajdzie nagle nie zabezpieczony na wysokości 15 km nad ziemią; albo doświadczenia polegające na przytrzymywaniu ludzi przez dłuższy czas w lodowatej wodzie; albo próby, jak człowiek skrajnie spragniony znosi wodę morską. Lekarze wyszukiwali sposoby wywoływania w sposób sztuczny ropowicy u ludzi, aby się można potem przekonać o skuteczności nowych leków. Lekarze te próby realizowali konsekwentnie i z naukową precyzją. Mało tego. Dokonywali oni na zdrowych ludziach nowych operacji, zarażali ich chorobami zakaźnymi, naświetlali rentgenem, aby wywołać bezpłodność. Na lekarskiej wiedzy i technice opierały się akcje wyniszczania całych mas ludzi — zdrowych i chorych — całych narodów, które były zawadą w dążeniach hitleryzmu do panowania nad światem.

Proces norymberski

Proces norymberski przeciw lekarzom, który się toczył od 2 listopada 1946 r. do 20 sierpnia 1947 roku, ujawnił całemu światu przestępstwa, które planowali i których dokonali mordercy w białych kitlach, z zapałem wcielający w życie idee nazistowskie, ślepo posłuszni swoim wodzom i zwierzchnikom, opanowani obłędnymi dążeniami pseudonaukowymi.

Dokumenty tego procesu przedstawiają z całym realizmem zbrodnie przeciw poszczególnym ludziom, przeciw ludzkości i przeciw medycynie, dokonywane instrumentami medycznymi i naukowymi metodami medycyny. Proces niewątpliwie wykazał, że przestępstwa były barbarzyńską akcją nie tylko poszczególnych lekarzy. Każdy zbrodniarz działał na podstawie pełnomocnictw i instrukcji swoich zwierzchników, wojskowych i policyjnych, a przy tym ani jeden z nich nie omieszkał podkreślić, że postępował tak, jak sumienny urzędnik czy zdyscyplinowany żołnierz. Jednym słowem, robił tylko to, co mu nakazano i co było konieczne w warunkach wojny.

Niemniej jednak oskarżeni w procesie norymberskim, to nie jakieś płotki lekarskie czy świeżo upieczeni absolwenci uczelni medycznych, którzy nie mieli doświadczenia i praktyki, jak by można było sądzić z ich bezwarunkowej uległości wobec rozkazów, pozbawiających ich przecież wszelkich cnót lekarskich i ludzkich. Nie, wśród skazanych było siedmiu profesorów, byli między innymi dyrektorzy sławnych instytutów i klinik, a nawet przewodniczący niemieckiego Czerwonego Krzyża.

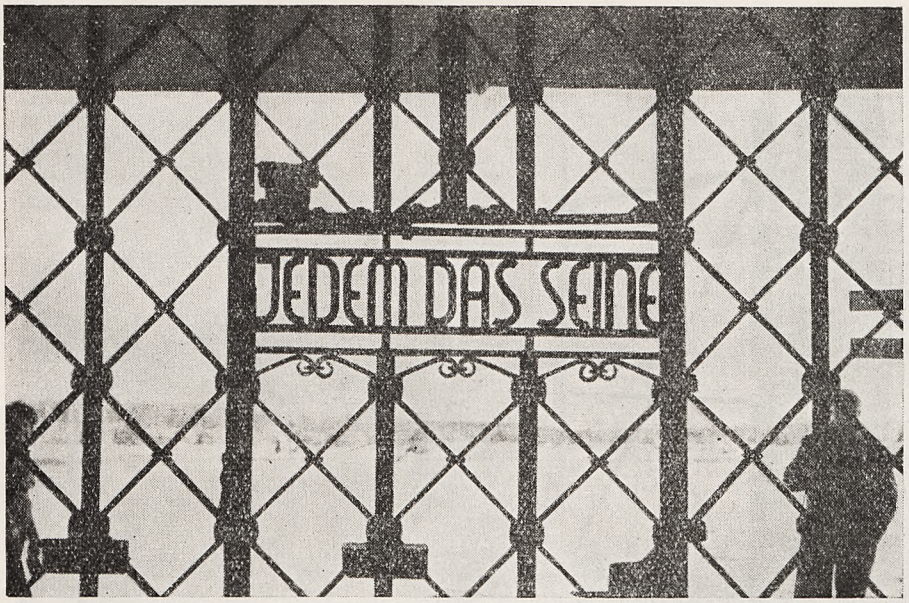
Kierownicza ekipa przedstawicieli zwyrodniałej medycyny i zwyrodniałej nauki... Jej pomocnicy i wykonawcy, szefowie i ich podwładni drugiego i dalszych stopni stawali przed sądami w różnych krajach. Ale trudno uwierzyć, że wszyscy z nich trafili do sali sądowej. Nawet najbardziej znani zagubili się w chaosie klęski i cudu gospodarczego. Ich biografie przedstawiają się prawdopodobnie równie niewinnie jak życiorysy zbrodniczych lekarzy oskarżonych i skazanych w Norymberdze.

Na przykład *Herta Oberhäuser* musiała z powodu choroby ojca przerwać specjalizację, zgłosiła się w drodze konkursu ogłoszonego w piśmie medycznym na lekarza w obozie w Buchenwaldzie, a potem, znienawidzona tam przez esesowską klikę, jak ją sama nazywa, troszczyła się o chorych, badała ich i leczyła, niosła im ulgę w cierpieniach. Prawie tak samo niewinnie przedstawia się biografia *Karla Brandta*, który po ukończeniu studiów chciał naśladować w Afryce *Alberta Schweitzera*, ale nie mógł podjąć decydującego kroku, bo zmuszono go do odbycia rocznej służby w wojsku francuskim. Zapisał się do partii hitlerowskiej, bo nie widział innego wyjścia, i tylko czysty przypadek spowodował, że dostał się do najbliższego otoczenia *Hitlera*. Niemal nie ma pojęcia, jak znalazł się w *SA* i w *SS* i w jaki sposób otrzymał stopień generała *SS* i inne wysokie funkcje.

Barbarzyńskie pseudoeksperymenty

Ale też ci pozostali, dziś chytrze maskujący się przestępcy, z którymi zresztą narody i ludzkość mają rachunki do wyrównania, nie martwiliby nas specjalnie jako poszczególni ludzie. Natomiast ważna jest nasza czujność wobec nich jako nosicieli esesowskich pomysłów medycznych. Zrozumiałe są nasze obawy przed ich obłąkańczymi poglądami, którymi zarażali szerokie kręgi „urzędowe" lekarskie i paralekarskie w drodze bezpośredniego nacisku albo

[3] Chodzi o osławiony „cyklon B" (przyp. tłum.).



Ryc. 2. Buchenwald. Żelazna brama przy głównym wejściu z dewizą Buchenwaldu „JEDEM DAS SEINE" („Każdemu, co jego")

dzięki ślepemu posłuszeństwu, albo w oparciu o policyjny instynkt niepewnych i zdezorientowanych etycznie ludzi.

Byli między nimi tacy, którzy się obawiali okazać wahanie w obliczu prymitywnych, barbarzyńskich eksperymentów, np. z przetrzymywaniem ludzi w lodowatej wodzie. Zagłuszyła nagle ich sumienia pogróżka *Himmlera*, adresowana do „ludzi, którzy jeszcze dziś nie godzą się na te doświadczenia" (chodziło o umieszczanie więźniów z odmrożeniami w wysokiej temperaturze), „ale spokojnie patrzą, jak dzielni żołnierze niemieccy giną z powodu odmrożeń". — „W tych ludziach — pisał *Himmler* — widzę zdrajców ojczyzny i ich nazwiska będę umieszczał na czarnej liście".

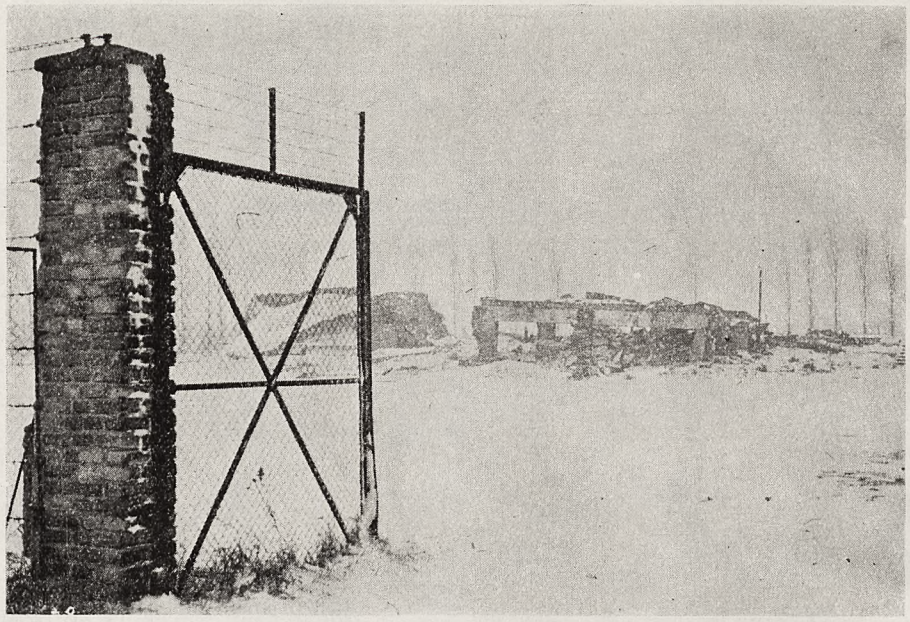
W ten sposób od razu uodporniono się na krzyki więźniów umierających w lodowatej wodzie. Ogień krematoriów dopełniał reszty: uwalniał od straszących upiorów — szkieletów ludzkich.

Zachowało się stare krematorium oświęcimskie. Budynek, wpuszczony w ziemię, ledwie jest dostrzegalny; zwraca uwagę tylko jego czworoboczny, niewysoki komin. Wewnątrz, na dole znajduje się jeszcze pierwotne wyposażenie: piece, żelazne wózki, na których wsuwano do pieca po dwa trupy, jeden na drugim, aby proces spalania przebiegał możliwie szybko.

Krematorium było wąskim gardłem w dziele unicestwiania ludzi bez śladu. Dlatego też stale gromadziły się zwłoki. W końcu wywlekano je z komór gazowych, polewano naftą albo



Ryc. 3. Krematorium w Oświęcimiu, nazywane „starym krematorium" dla odróżnienia od czterech nowych, nowocześniejszych, bardziej przepustowych, zmechanizowanych, które zbudowano w sąsiednim obozie w Brzezince



Ryc. 4. Brzezinka. Ruiny krematorium. Przed ucieczką kierownictwo obozu poleciło wysadzić w powietrze krematoria. Pozostawione zwaliska rozbitych płyt betonowych i połamanych słupów są pomnikiem i przestrogą

smarami i palono na wolnym powietrzu. Nawet cztery nowe wielkie krematoria w Brzezince nie mogły podołać zadaniu, chociaż były udoskonalone pod względem technicznym i zmechanizowane. Bocznica kolejowa ułatwiała dowóz żywych więźniów i zwłok. Działały zresztą na miejscu komory gazowe, w których można było zabijać za pomocą cyklonu około 3 000 ludzi na raz. Tak więc ofiary przychodziły o własnych siłach niemal do wrót pieca. Ale i te krematoria nie wystarczały. W sierpniu 1944 roku liczba trupów palonych rozmaitymi sposobami sięgała 24 tysięcy dziennie.

Dziś w miejscu czterech wielkich krematoriów Brzezinki są jedynie zwaliska płyt betonowych, zachowane w takim stanie, w jakim je pozostawili hitlerowcy, którzy przed ucieczką wysadzili piece w powietrze. Gdyby się one zachowały, nie byłoby nic potworniejszego w obrębie makabrycznego zespołu obozowego Brzezinka. Tu w roku 1943 przeżywało niesłychane cierpienia 150 tysięcy ludzi, w większości kobiety, natomiast w oddalonym o 3 km obozie Oświęcim więziono po 30 tysięcy ludzi. Główny dopływ do krematoriów — to transporty, które dzień po dniu przybywały ze wszystkich zakątków ujarzmionej Europy.

Gdzie był koniec drogi transportu, który wysłano w czerwcu 1941 r. ze Styrii? Przeszło czterystu chorych ze szpitala dla psychicznie chorych w Nowym Celu, tyluż przynajmniej poza tym starców i niedołężnych z przytułków i domów opieki. W Spielfeldzie ewakuowano słoweńską lecznicę, chorych wpakowano do pociągu, który odjechał w nieznanym kierunku. Po czternastu zaledwie dniach wszystkie ich rodziny otrzymały uprzejmie zredagowane zawiadomienia o śmierci chorych, zawierające wyrazy żalu; wszystkie rodziny, także ta spod Ptuja, której córka zbiegła z transportu i ukrywała się w domu. Chorzy zalewali się łzami, kiedy się żegnali ze swoją lecznicą; niektórzy zdawali sobie sprawę, co ich czeka. Przewidywali: „Do pieców..."

Brzezinka wydaje mi się bardziej przerażająca niż sam Oświęcim. Bardziej odpowiada obrazowi, jaki sobie stworzyłem na podstawie opisów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Jest jeszcze o wiele gorsza od tego obrazu.

Obóz rozciąga się na płaskiej równinie. Opasany jest wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, z wieżami strażniczymi. Niskie, ciemne baraki w równych rzędach, których końca trudno dostrzec. Wszystkie szare i puste. Na głównej drodze, która biegnie od otwartej bramy, ani jednego śladu. Jak okiem sięgnąć, nie widać nikogo. W idealnej ciszy zdaje się, że słychać wirujące płatki śniegu, który pada na zmarzniętą ziemię. Czarne oczodoły okien w niszczejących barakach. Obraz wymarłego świata, porażonego bombą atomową....

Negacja wartości humanizmu i wartości jednostki ludzkiej przenikała stopniowo z ideologii hitlerowskiej do medycyny poprzez niewinną na pozór eugenikę i na wskroś przejrzystą higienę rasową. Rozpostarła się ona zbyt szeroko, aby mogła być przekreślona już przez sam fakt, że niewielu nosicieli tej idei osądzono za ich przestępstwa na śmierć lub na więzienie.

Wypaczone idee wniosły zamęt w pojęcia i poglądy lekarskie, zachwiały gmachem mieszczańskiej medycyny, której etyka była może dostatecznie silna w warunkach burżuazyjnej demokracji, ale równocześnie wystarczająco słaba, aby wytrzymać światowe wstrząsy, które tak głęboko naruszyły bezpieczne na pozór i nietykalne wartości. W tych burzliwych czasach medycyna z jednej strony wzbogaciła się dzięki licznym, szczególnie doniosłym odkryciom, które stały się potężnym narzędziem



Ryc. 5. Brzezinka. Obóz na sto tysięcy ludzi. Ogrodzenie pod wysokim napięciem. Wieże strażnicze. Za ogrodzeniem kontury niskich baraków

zwalczania chorób, z drugiej zaś przeżyła złe czasy: popełniano nadużycia i błędy sztuki lekarskiej, a etyka lekarska przeżyła głęboki kryzys. Co prawda już przed wojną, a także jeszcze po wojnie słyszeliśmy o faktach i poglądach, nieraz wybitnych uczonych, które trudno uznać za zgodne z naszymi zasadami moralnymi. O prawie do dysponowania przez lekarzy ludzkim zdrowiem, życiem i osobowością, o konieczności sterylizacji elementów aspołecznych i bezwartościowych, o tak zwanym „serum prawdy" i o narkoanalizie. Uległy także obecnie licznym zmianom postanowienia w niektórych ustawodawstwach karnych: o pozbawianiu życia na żądanie chorego, o zasięgu tajemnicy lekarskiej i inne.

Bardziej niż to, że już na lata całe przed wojną, także poza sferą wpływów nazizmu, dokonywano doświadczeń na ludziach, z punktu widzenia etyki jeśli nie dziwacznych, to na pewno dyskusyjnych, przeraża fakt, że społeczność lekarska już wtedy patrzyła na nie z obojętnością. Mówiąc oględnie, nie dochodziło do świadomości wielu, że może być w tym coś nie w porządku.

Narzucają się porównania; czyż podobne zjawiska nie przypominają w medycynie tego, czym w polityce były: zajęcie Nadrenii, *„anschluss"*, Monachium? Objaw przedwczesnego starzenia się, zbyt wielka doza niepoprawnego optymizmu, zamykanie oczu przed groźbą zniweczenia odziedziczonych wartości etycznych?

Dokąd sięgają prawa moralne

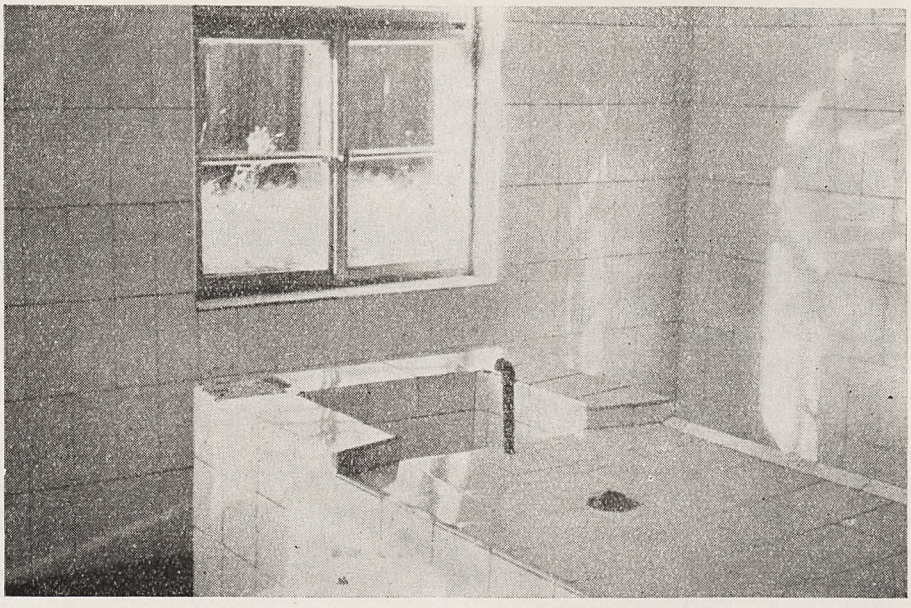
Wielkie odkrycia w medycynie i w pokrewnych dyscyplinach już same przez się domagają się doświadczeń, w określonej fazie także doświadczeń na ludziach. Kryteria i zasady etyczne są codziennie wystawiane na próbę. Wszędzie są sidła, często dobrze ukryte, w które może się uwikłać etyczny pracownik służby zdrowia. Decyzje są niejednokrotnie trudne do podjęcia.

Nowe zasady wynagrodzeń w służbie zdrowia i nowe kryteria oceny pracy lekarza mogą, jeśli traktujemy je w sposób prymitywny, wywoływać ostre konflikty, przy których łatwo się zdarza, że zarówno etyka, jak i chory narażeni są na straty. Dlatego wydaje nam się, że właśnie teraz nadszedł czas, abyśmy się zastanowili nad ważnymi problemami, do których przemyślenia usiłuje nas zmusić książka *Mitscherlicha* i *Mielkego*.

Teraz bardziej niż przedtem potrzebujemy lekarzy z odpowiednim poczuciem etycznym, świadomych odpowiedzialności wobec chorego i wobec społeczeństwa. Pracownik służby zdrowia powinien poznać problemy procesu norymberskiego i starannie je rozważyć. Przecież niemal każdy staje w czasie pokoju i w codziennej pracy wobec wariantów tamtych przypadków. Jeśli przypatrzymy się dokładniej, zauważymy łatwo np. elementy prób z pewną odmianą eutanazji; natkniemy się na problem zgody chorego, na konflikty między nakazem i sumieniem, między przepisami prawnymi i obowiązkiem moralnym.

Poza tym wszystkim nowe czasy przynoszą stale nowe zagadnienia. Jak daleko np. sięga moralne prawo lekarza do uszkadzania ciała ludzkiego w tak wielkim stopniu, jak się to dziś robi w niektórych krajach w przypadku zaawansowanego raka? Albo jak jest z prawem do operacji chirurgicznych mózgu w celu resocjalizacji chorego psychicznie, a zwłaszcza w celu uspokojenia go przez zniszczenie sfery jego życia uczuciowego? [4] Gdzie jest granica posługiwania się narkoanalizą? Jak dalece mo-

[4] Autor ma na myśli lobotomię (przyp. tłum.).



Ryc. 6. Sala badań lekarskich w Buchenwaldzie. Tu badano wyniki doświadczeń na ludziach, tu także wyprawiano skórę ludzką na abażury i oprawy książek. Dziś jest tu dział muzeum. W tym budynku było także „ambulatorium", w którym zabijano więźniów strzałem w kark

że i do jakiego stopnia ośmieli się chirurg ulegać żądaniom chorych w zakresie operacji kosmetycznych?

Od Hipokratesa do czasów dzisiejszych

Czy w momentach odpowiedzialnych decyzji opieramy się jedynie na zasadach deontologii, które są wspólne dla wszystkich lekarzy od *Hipokratesa* po czasy dzisiejsze? Czy np. tylko kierujemy się powinnością bezwarunkowego chronienia życia, bezwarunkowej tajemnicy lekarskiej, potrzebą poszanowania indywidualności chorego i respektujemy jego prawo do podejmowania postanowień?

Wszystko by było nader proste, gdyby lekarz bez trudu mógł znaleźć w tych zasadach uniwersalną odpowiedź na zagadnienia, które niesie życie. Niestety, tak nie jest, nic się tu nie poradzi, tak nie jest! Zasady etyki lekarskiej, przepojone miłością do człowieka, do życia i piękna są — rzecz zrozumiała — podstawą, na której można budować, są środkiem doskonalenia kadry lekarzy i pracowników służby zdrowia, są drogowskazem w momencie decydowania, ale drogowskazem jedynie, nie zaś dogmatem. Wskazówki etyczne mają swoje znaczenie i wagę, gdy się je wciela w życie z pełnym poczuciem moralnej odpowiedzialności. A to jest właściwie także sprawa stosunków między ludźmi, sprawa porządku społecznego, wreszcie sprawa wychowania, szczególnie doniosła ze względu na dorastające młode pokolenie pracowników służby zdrowia, sprawa bezpośrednio obchodząca pedagogów w szkołach medycznych.

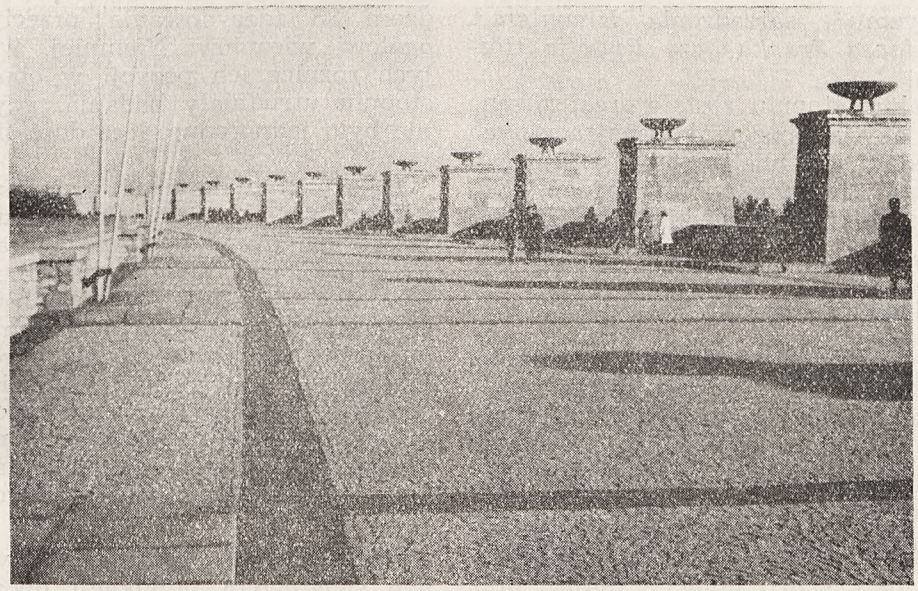
Odpowiednie wychowanie, dobry przykład, nadzór, pieczołowite kultywowanie i rozwijanie poczucia humanitaryzmu u młodych ludzi mogą być właściwym środkiem kształtowania postawy moralnej naszych lekarzy. Na nas wszystkich ciąży odpowiedzialność za to, czy będzie tak, jak sobie życzymy.

Sadza z komina krematorium na płaszczu lekarskim, odór fenolu wydobywający się ze strzykawki, tezy o życiu niegodnym istnienia, to wszystko jest drogo, zbyt drogo przez nas opłaconą nauką, że łatwo może dojść do wypaczeń w dziedzinie wiedzy i wychowania.

Nieludzka medycyna, reżim bestialstwa, przemyślane poniżanie godności człowieka, systematyczne niszczenie jego indywidualności, reżim knuta, bójki na drewniaki o łyk brukwianej lury, potworna codzienność obozowa i bunt przeciwko niej, bunt do ostatniego tchu, beznadziejna walka szkieletów ludzkich w pasiakach o człowieczeństwo...

W Oświęcimiu znajduje się za szkłem fotografia czarnowłosego dziecka. Mały Włoch, jeden z tych chłopców, którzy bawili się między blokami i których znęcano na taniego wabika, na jabłko albo na cukierka, aby sami przybiegali do ambulatorium — po zastrzyk fenolu. Tego chłopca więźniowie ukrywali całymi tygodniami mimo ciągłych poszukiwań, mimo gróźb, że czeka ich za to śmierć; odejmowali sobie od ust mizerne kąski, aby dać jemu; przechowywali go w ukryciu obok krematoriów aż do chwili wyzwolenia obozu. Dziś jest inżynierem. Żywy to dowód ludzkiej solidarności...

Zwiedzanie kończy się obejrzeniem filmu o wyzwoleniu Oświęcimia. Jeszcze raz przesuwają się przed oczami teraz ożywione ruchem obrazy, które oglądaliśmy na zdjęciach w muzeum; potworniejsze to i bardziej żałosne. „Muzułmani" w pasiakach przy otwartej bramie obozu patrzą dziwnie w kamerę wielkimi, pustymi oczami. Wydaje się, że nie mają nadziei na zrobienie jednego kroku ku wolności. Zbieranie trupów po blokach, badania lekarskie ży-



Ryc. 7. „Droga narodów" wzdłuż wielkiego pomnika w Buchenwaldzie. Każda kolumna nosi nazwę jednego z krajów europejskich

wych szkieletów. Procesja stu pięćdziesięciorga dzieci, które znaleziono w obozie. Stąpają niepewnie, chwiejąc się, ubrane są w łachmany i śmiesznie duże pasiaki, trzymają się za ręce. Twarze wyniszczone głodem, śmiertelnie poważne, oczy wielkie, pytające. Powoli przesuwają się przed kamerą dzieci bez uśmiechu, bez zabawek, bez rodziców, bez domu i bez dzieciństwa...

Niektórym cieknią łzy po policzkach, chmurzy się wzrok. Płaczesz, a tyś przecież nie z tych, co ukrywają łzy. Płaczesz — o co? O miliony zabitych? Za dużo ich jest, dalecy oni i nieznani. Z radości nad uwolnionymi? Kto by przez dzień lub przez dwa stał na ruinach domów i na grobach domowników? Nie, to nie to. Płaczesz nie z nienawiści, nie z powodu żałoby, płaczesz, bo ci w ogóle jest źle, płaczesz ze wstydu. Wstydzisz się chyba swojego gatunku.

Tam za bramą, w mroku zadymki śnieżnej, znowu może spróbujesz umocnić zachwiane zaufanie do człowieka. Bez tego przecież żyć nie podobna.

Śmierć czterech i pół miliona ludzi w Oświęcimiu, śmierć grożąca sześciu milionom w Nowym Jorku. Czyżbyśmy rzeczywiście, już w pierwszym pokoleniu, zapomnieli o tamtych ofiarach? Czy rzeczywiście ludzki świat chwieje się w posadach? I razem z nim mała jego podpórka, jedna z wielu, lekarz?

Nie wiem, czy jestem dobrym człowiekiem i lekarzem, ale chciałbym takim być.

ALICJA GLIŃSKA Sosnowiec

Z badań nad moralnością więźniów Oświęcimia

Dociekania naukowe poświęcone drugiej wojnie światowej prowadzone są w trzech aspektach: jej przyczyn, przebiegu oraz następstw. Obszerne i stale wzbogacające się piśmiennictwo dotyczące ostatniego z wymienionych zagadnień zawiera wstrząsający obraz strat biologicznych, ekonomicznych i kulturalnych, będących wynikiem tego największego w dziejach kataklizmu politycznego. Natomiast wydaje się, że dotychczas w zbyt małym stopniu poświęca się uwagę deformacjom, jakie miniona wojna wywołała w moralności, zwłaszcza tych społeczeństw, które zostały poddane wieloletnim hitlerowskim rządom bezprawia i terroru.

Demoralizacja narodów okupowanych, szczególnie słowiańskich, była celowym zamierzeniem faszyzmu, mającym mu ułatwić panowanie nad nimi i przyspieszyć pośrednią eksterminację. Instytucją predestynowaną do spełnienia dominującej roli w tym zakresie miały stać się obozy koncentracyjne. Tezę tę potwierdzają liczne dokumenty niemieckie, jak np. kolejne wersje *Generalplan Ost* [1], memoriały *Wetzla* i *Hechta* w sprawie polityki demogra-

[1] *K. Meyer-Hetling:* Generalplan Ost. Rechtliche, wirtschaftliche und raumliche Grundlagen des Ostaufbaues. Przegląd Zachodni, 1961, nr 3. — *E. Wetzel:* Stellungnahme und Gedanken zum Generalplan Ost des Reichsführers SS. Tamże, nr 2.

ficznej faszyzmu [2], zarządzenia *Himmlera* [3], Pamiętniki *Hansa Franka* [4] czy *Rudolfa Hössa* [5].

Czy i w jakim stopniu zostało zrealizowane zamierzenie, aby z obozów koncentracyjnych uczynić między innymi miejsce deprawacji więźniów, stało się przedmiotem badań, których wyniki w dużym skrócie omawia niniejszy artykuł.

Przedmiot i metoda badań

Niemożność poddania analizie moralności więźniów wszystkich istniejących w III Rzeszy obozów koncentracyjnych zrodziła konieczność ograniczenia się do jednego z nich. Do badań został wybrany Oświęcim, co uwarunkowały różnorodne czynniki. Był to obóz wielonarodowościowy, w którym Polacy stanowili dominującą (w sensie zorganizowania) grupę. Przebywali w nim mężczyźni i kobiety, dorośli oraz dzieci. Bezpośrednie sąsiedztwo obozu zagłady wywoływało szczególną ostrość i bogactwo problemów moralnych. Niezwykle ciężkie warunki, wyrażające się w najwyższej ze wszystkich obozów śmiertelności (84%) [6], ogromnie utrudniały walkę o zachowanie życia. Położenie tego obozu na terenie kraju okupowanego dawało pewne możliwości kontaktów z okoliczną ludnością oraz ucieczek, co stwarzało określone sytuacje moralne wśród uwięzionych. Stała walka więźniów kryminalnych z politycznymi oraz rozwijający się ruch oporu wzbogacały zakres występujących w obozie problemów moralnych. Wreszcie obszerna dokumentacja, jaką posiada Oświęcim, umożliwiła dokładne poznanie jego historii i warunków. Tak więc głównie względy natury metodologicznej przesądziły o wyborze Oświęcimia jako przedmiotu badań, pozwalały bowiem przypuszczać, że właśnie w nim bardziej wyraziście niż w innych obozach koncentracyjnych winny zarysować się zjawiska moralne.

Badania nad postawą moralną więźniów Oświęcimia objęły zagadnienia opisowe oraz wyjaśniające. Pierwszy etap stanowiło dążenie do możliwie wiernego i wyczerpującego zarejestrowania wspólnych cech w moralności uwięzionych, a w wyniku ich syntezy uzyskanie wizerunku charakterystycznej dla tego środowiska moralności obozowej. Trudność stanowiła wewnętrzna stratyfikacja społeczna obozu i związane z nią różne warunki, w jakich znajdowały się poszczególne grupy więźniów. Nie uwzględniono w badaniach oprawców, konfidentów i tych wszystkich, którzy służąc władzom *SS* zdecydowanie przeciwstawiali się ogółowi więźniów. Niemniej, wśród pozostałych różnice ich pozycji w obozie w dużym stopniu utrudniały badania, gdyż środowisko nie było jednorodne, lecz dość silnie zróżnicowane.

Dalszy etap dociekań prowadził do stwierdzenia, czy i w jakim kierunku obóz wywoływał zmiany w postawie moralnej uwięzionych oraz jak funkcjonował mechanizm tych przemian. Ostatnim wreszcie zadaniem badań stało się poszukiwanie przyczyn, które determinowały kształtowanie się określonych cech moralnych, występujących u więźniów.

Źródło, mające dostarczyć odpowiedzi na postawione powyżej problemy, stanowiły opublikowane pamiętniki i wspomnienia byłych więźniów Oświęcimia, głównie narodowości polskiej.

Pod względem istniejących w piśmiennictwie światowym publikacji obóz oświęcimski zajmuje drugie miejsce po Buchenwaldzie [7]. Wśród autorów różnych narodowości najwięcej uwagi poświęcili mu Polacy, a w polskiej literaturze obozowej temat Oświęcimia dominuje nad wszystkimi pozostałymi. W liczbie blisko 300 różnojęzycznych wydawnictw o Oświęcimiu niemal połowę stanowią pamiętniki, w tym 55 napisano w języku polskim. Autorami około 20% z nich są kobiety.

Wyzyskanie w badaniu zjawisk społecznych, do których należy moralność, materiałów pamiętnikarskich, czyli tzw. metoda dokumentów osobistych ma, zwłaszcza w Polsce, swoje dawne i dobre tradycje naukowe, związane z uczonymi tej miary, co *Ludwik Krzywicki*, *Florian Znaniecki*, *Józef Chałasiński*. Jest ona szczególnie przydatna wówczas, gdy analizowane zjawiska, należąc do przeszłości, nie mogą być poddane bezpośredniej obserwacji. Ponadto przeżycia moralne, wiążąc się z doznaniami wewnętrznymi, znajdują w pamiętnikach swoje bogate i wszechstronne odzwierciedlenie. Spisane wspomnienia byłych więźniów, uzupełnione przeprowadzonymi wśród nich badaniami ankietowymi oraz wywiadami osobistymi, stanowią jedyne, ale dotąd nie wyzyskane należycie źródło wiedzy o ludzkich postawach moralnych w obozie.

Nie każda z relacji pamiętnikarskich zasługuje na równe zaufanie. Trafność, głębokość czy bogactwo zawartych w nich informacji są różne, a niekiedy bywają one ze sobą diametralnie sprzeczne. Wymaga to ze strony badacza wykorzystującego te materiały ich właściwej selekcji, wzajemnej konfrontacji oraz porównania z innego rodzaju dokumentami. Opis przedsięwziętych zabiegów weryfikacyjnych, jak również charakterystyka uwzględnionych pamiętników muszą tu jednak być pominięte, pozostawiając miejsce na skrócone przedstawienie uzyskanych w oparciu o nie uogólnień. Dodać jedynie należy, że autorzy pamiętników

[2] *E. Wetzel, G. Hecht:* Die Frage der Behandlung der Bevölkerung polnischer Gebiete nach rassenpolitischen Gesichtspunkten. Biuletyn GKBZH, 1948, nr 4.

[3] *H. Himmler:* Einige Gedanken über die Behandlung der Fremdenvölker im Osten. Tamże.

[4] Dziennik *Hansa Franka*. Warszawa 1957.

[5] Wspomnienia *Rudolfa Hössa*, komendanta obozu oświęcimskiego. Warszawa 1961.

[6] Por. *J. Gumkowski:* Obozy jako narzędzie eksterminacji. W: Eksterminacja ludności w Polsce w czasie okupacji niemieckiej 1939—1945. Poznań — Warszawa 1962.

[7] Dane liczbowe dotyczące literatury obozowej, w tym i oświęcimskiej, są przytaczane w oparciu o *W. Kiedrzyńskiej* Materiały do bibliografii hitlerowskich obozów koncentracyjnych (Warszawa 1964).

i wspomnień z Oświęcimia wywodzą się głównie ze środowiska inteligencji. Wśród nich pokaźną liczbę stanowią lekarze, których publikacje mają duże znaczenie dla badań nad moralnością obozową.

Lekarze byli niemal jedyną grupą zawodową, która mogła w Oświęcimiu pracować zgodnie ze swymi kwalifikacjami i których działalność miała szczególne znaczenie dla ogółu uwięzionych. Jednak warunki obozowe powodowały, że właśnie oni stawiani byli nie tylko wobec konfliktowych sytuacji moralnych typowych dla całej społeczności więźniów, ale również i sytuacji specyficznych, wiążących się z zagadnieniami ich etyki zawodowej. Do spraw tych wrócimy nieco dalej, po uprzednim przedstawieniu niektórych cech wspólnych w postawach moralnych więźniów.

Cechy moralności więźniów Oświęcimia

Znane są kłopoty etyków ze sprecyzowaniem pojęcia moralności, któremu przypisuje się różnorodną treść. Dla celów badawczych konieczne jest jednak ustalenie jego definicji, określającej w sposób wyraźny przedmiot dociekań. W naszym wypadku przez moralność więźniów obozu koncentracyjnego rozumiane są powszechnie uznawane wśród nich w czasie pobytu w obozie poglądy na to, co dobre i złe moralnie, co moralnie zobowiązuje, a co jest zakazane, jak również praktyka postępowania, czyli zasady faktycznie kierujące działaniami, niezależnie od ich moralnej akceptacji. Rozumienie moralności jako świadomości oraz działania jest uzasadnione tym, że pomiędzy przekonaniami moralnymi człowieka a jego postępowaniem nie zawsze istnieje zgodność, co szczególnie ostro zarysowywało się w warunkach obozu koncentracyjnego.

Konfrontacja licznych relacji pamiętnikarskich mówiących o moralności więźniów Oświęcimia wskazuje na to, że w postawach moralnych zdecydowanej większości ludzi przebywających w tym obozie występowało wiele cech wspólnych, co nie znaczy, że dały się one zaobserwować absolutnie u wszystkich. Cechy te zostały uznane za typowe dla moralności obozowej, a najbardziej charakterystyczne z nich wyrażały się w stosunku do następujących przedstawionych poniżej zagadnień.

Stosunek do śmierci

Powszechne wśród uwięzionych było zobojętnienie na zjawisko śmierci, niewrażliwość na agonię towarzyszy, brak szacunku dla zwłok zmarłych czy pomordowanych. Najczęstsza w obozie tzw. „śmierć naturalna", nadchodząca powoli wskutek ogólnego wycieńczenia ustroju, choroby, zagłodzenia, nie budziła ani grozy, ani współczucia, jeśli nie dotyczyła osoby bliskiej lub o wyjątkowej wartości. Uczucia te wywoływała raczej śmierć nagła (np. zastrzelenie za rzekomą próbę ucieczki), jeśli zaskoczyła więźnia zdrowego, rokującego nadzieję przetrwania obozu. Swoją własną śmierć więzień na ogół przyjmował bez protestu i oporu. Śmierć oprawcy czy denuncjatora wywoływała ulgę lub nawet radość innych.

Zobojętnienie na cudzą śmierć wynikało zarówno z jej masowości, jak i z pewnej zależności pomiędzy natężeniem tego zjawiska a sytuacją pozostałych przy życiu więźniów. Im więcej transportów pochłaniały krematoria, tym większe były możliwości „organizacji" rzeczy ofiar i polepszenia egzystencji. Przeciążenie pracą krematoriów zmniejszało możliwość selekcji w obozie. Wielka w danym dniu śmiertelność w bloku zwiększała dzięki pewnym kombinacjom ilość żywności, którą mogli w tym dniu otrzymać pozostali przy życiu. Duża liczba zgonów w szpitalu uwalniała miejsca dla czekających na nie chorych. W sumie więc śmierć jednych mogła być pośrednio korzystna dla innych więźniów.

Brak poszanowania dla zwłok wyrażał się brutalnym obchodzeniem się z nimi. W wielu pamiętnikach można spotkać ponadto relacje o kanibalizmie, który występował jednak sporadycznie, w okresach wielkiego głodu, wyłącznie w obozie męskim. Samobójstwo nie było wypadkiem częstym. Decydowali się na nie raczej ludzie zdrowi, lecz załamani psychicznie, a nie „muzułmanie". Zarówno wobec kanibalizmu, jak i samobójstw brak jest u autorów pamiętników wyraźnej moralnej dezaprobaty.

Solidarność i wzajemna pomoc wśród więźniów

Obóz, atomizując społeczność więźniów, zrywał pomiędzy nimi więzy solidarności częściej niż je nawiązywał. Jednak zachowywały się one w stałych grupach roboczych, pracujących w znośniejszych warunkach (np. tzw. *effingerki*, grupa mierniczych, obsada szpitali) bądź wśród ludzi o wspólnym pochodzeniu, zawodzie lub postępowych przekonaniach politycznych. Warunki obozowe powodowały, że walka o własne życie godziła nierzadko w interesy innych. Starano się więc przyjąć zasadę, że jeśli już nie można pomóc innym, to przynajmniej nie należy im szkodzić. Powszechne było moralne potępienie wszelkich oprawców i denuncjatorów wywodzących się z grona więźniów.

Wspólny, trudny los nie łączył ludzi, lecz dzielił; nie zbliżał wobec siebie, lecz oddalał. Brak powszechnej solidarności wyrażał się w zasadach, jakimi się kierowano przy udzielaniu współwięźniom pomocy oraz w stosunku do ucieczek, za które sankcjami władze obozu obarczały początkowo towarzyszy zbiega. Pomimo że uciekinier narażał swym czynem kolegów na katowanie lub nawet śmierć, nie stanowiło to dostatecznego argumentu przeciw próbie ratowania w ten sposób własnego życia.

Wzajemnym wspomaganiem się w obozie kierowały swoiste zasady. Więzień, który miał ku temu warunki, wśród wielu potrzebują-

cych wybierał dla udzielenia pomocy bądź tych, z którymi łączyły go więzie emocjonalne, bądź takich, od których mógł się spodziewać rewanżu, bądź wreszcie ludzi mających możliwości przeżycia obozu. Nie wspomagał na ogół skrajnie wyczerpanych „muzułmanów" czy beznadziejnie chorych, których nie sposób było wydrzeć zbliżającej się śmierci. Kryterium udzielenia pomocy stanowiła najczęściej jej efektywność, a spieszono z nią wówczas, gdy własne potrzeby były dostatecznie zaspokojone oraz jeśli nie groziła ona osobistymi, przykrymi konsekwencjami. Tylko nieliczne, zorganizowane grupy więźniów, cechujących się szczególnym uspołecznieniem i posiadających odpowiednie ku temu warunki, podejmowały ryzyko niesienia pomocy nawet zupełnie im obcym towarzyszom.

Uspołecznienie, zdolność do solidaryzowania się z innymi oraz udzielania im wsparcia częściej występowały u ludzi zdrowych, sytych i lżej pracujących niż u chorych, zagłodzonych i zmaltretowanych. Uwarunkowane to było zarówno czynnikami fizjologicznymi, jak i psychicznymi, kształtowanymi swoistą sytuacją więźnia w obozie.

Kradzież i obozowa „organizacja"

W warunkach nieustannego zagrożenia więzień walczący o swe życie musiał przede wszystkim liczyć na własne siły. Przed ich całkowitą utratą chroniła go tzw. „organizacja", którą powszechnie w obozie stosowano, nie potępiając jej moralnie, a nawet darząc uznaniem ludzi umiejętnie ją uprawiających.

W obozie słowo „organizacja" miało kilka znaczeń. Określano nim niekiedy każde przywłaszczenie sobie cudzej własności bez względu na to, kto, w jakim celu i wobec kogo tego czynu dokonał. Najczęściej jednak „organizacja" oznaczała wszelkie nielegalne zaopatrywanie się w żywność, odzież i inne przedmioty, zdobywane z obozowych magazynów, kuchni, gospodarstw pomocniczych itp. Niekiedy słowem tym nazywano również transakcje wymienne zawierane pomiędzy więźniami bądź otrzymanie ekwiwalentu za jakąś przysługę. „Organizować" znaczyło więc polepszać swą egzystencję środkami uznanymi przez władze obozowe za nielegalne, ale nie godzącymi bezpośrednio w dobro współtowarzyszy.

„Organizacja" była w obozie zjawiskiem powszechnym. Przeprowadzały ją niekiedy całe grupy więźniów i służyła wówczas nie tylko zaspokajaniu własnych potrzeb, lecz dostarczała również środków, które ułatwiały pomoc innym. Toteż nie spotykała się z moralną dezaprobatą, a dobrzy „organizatorzy" budzili podziw i szacunek.

„Organizacji" przeciwstawiano kradzież osobistych rzeczy należących do innego więźnia. Czyny takie były przez ogół potępiane i starano się im przeciwdziałać drastycznymi niekiedy środkami. Za najcięższe przewinienie uchodziła w Oświęcimiu kradzież chleba, której nie wybaczano nawet najbardziej wygłodzonym. Na sprawcy dokonywano samosądu, a katowanie złodzieja przez towarzyszy powodowało niekiedy jego śmierć. W egzekwowaniu tego wyroku nie wszyscy więźniowie chcieli brać udział, wielu z nich potępiało te sankcje.

Trudno stwierdzić, czy okradanie towarzyszy zdarzało się w obozie często; relacje pamiętnikarskie na ten temat są dość sprzeczne. Natomiast jest pewne, że rozumienie uczciwości zostało wśród więźniów zrelatywizowane. Zasady kierujące stosunkiem do cudzej własności i oceny działania naruszającego tę własność zależały od tego, komu, co i w jakim celu zabierano. Rozumienie uczciwości traciło swe tradycyjne znaczenie tam, gdzie chodziło o własność wroga lub nieosobistą więźniów, których naruszeniu nie towarzyszyło moralne potępienie.

Stosunek do pracy

Innym sposobem walki o zachowanie życia było unikanie pracy, szukanie lżejszych zajęć i wywiązywanie się z nich tak, by maksymalnie oszczędzić swe siły. Przy czynnościach wykonywanych zespołowo dążenie do zmniejszenia własnego wysiłku automatycznie przerzucało jego ciężar na pozostałych. Nawet jeśli praca bezpośrednio miała służyć innym uwięzionym, starano się ją wykonywać z jak najmniejszym uszczerbkiem dla własnego zdrowia.

Praca stanowiła w Oświęcimiu jedną z podstawowych metod przyspieszania eksterminacji fizycznej więźniów. Dlatego też o wyborze jej rodzaju nie decydowała społeczna użyteczność ani kwalifikacje, lecz czynnik samozachowawczy. Najbardziej ceniono zajęcia nie wymagające dużego nakładu sił fizycznych, wykonywane pod dachem, dające możliwości „organizacji". Symulowanie wysiłku uważane było za cenną umiejętność, natomiast bezwzględnie potępiano tych, którzy w dążeniu do zachowania czy polepszenia swej egzystencji działali na niekorzyść innych więźniów.

Szczególnym i nietypowym przypadkiem, w którym więzień obowiązki narzucone mu przez władze obozu mógł wykonywać w interesie kolegów, była praca personelu szpitalnego. W obozowej służbie zdrowia poza lekarzami i felczerami, posiadającymi odpowiednie kwalifikacje, byli również ludzie przypadkowi, wykonujący czynności pomocnicze (pielęgniarze, sprzątacze itp.). Wszystkich nadzorowali lekarze *SS* oraz blokowi, nie mający wykształcenia medycznego.

Wielu więźniów w swych wspomnieniach wypowiada negatywne opinie nie tylko o poszczególnych osobach zatrudnionych w szpitalach, ale na temat pracy i postawy ogółu ich pracowników. Oceny te dotyczą zarówno obozu kobiecego, jak i męskiego. Najwięcej zastrzeżeń odnosi się do pomocniczego personelu lekarskiego, któremu zarzuca się, że rekrutował się z ludzi niefachowych, traktujących swe zajęcia jako zło konieczne, że okradał chorych, szykanował, obchodził się z nimi brutalnie, najmniej myśląc o udzieleniu pomocy.

Inaczej sprawę tę przedstawiają więźniowie-lekarze [8]. Ich praca w obozie była wyjątkowo trudna, a podstawowe zasady etyki zawodowej nie zawsze mogły być realizowane, niezależnie od subiektywnych chęci. Liczba wolnych miejsc w szpitalu była znacznie mniejsza niż liczba chorych w obozie. Przyjmowanie nadmiernie wielu chorych pogarszało i tak złe warunki sanitarne. Brak lekarstw, środków opatrunkowych, narzędzi chirurgicznych utrudniały lub uniemożliwiały leczenie.

Praca lekarzy rodziła swoiste problemy, stawiając ich często wobec konfliktowych sytuacji moralnych, w których najlepszy wybór mógł być tylko wyborem najmniejszego zła. Tak było, gdy podstawiano kogoś konającego na miejsce przeznaczonego wskutek selekcji na śmierć chorego więźnia. Gdy przy niedostatku lekarstw dawano je rokującym wyzdrowienie kosztem beznadziejnie chorych. Gdy usuwano ze szpitala ludzi słabszych, aby uzyskać miejsca dla bardziej niż oni potrzebujących leczenia.

Wspomniane uprzednio negatywne opinie o pracy lekarzy w obozie należy więc tłumaczyć nie tyle subiektywnymi doświadczeniami ich chorych, co zbyt jednostronnym ich spojrzeniem na sprawy lekarskiej etyki zawodowej. Jej zasadom lekarze nie zawsze mieli możność się podporządkować, z czego nie zdawał sobie sprawy ogół więźniów.

Uczucia rodzinne i miłość w obozie

Pomimo zobojętnienia uczuciowego i zaniku wrażliwości wobec losów towarzyszy nie wygasało w więźniach przywiązanie do bliskich im osób pozostawionych na wolności. Wyrazem tego była radość z otrzymywanych listów oraz uzyskiwanie możliwości ich pisania drogą niejednokrotnie wielkich wyrzeczeń. Znamienne jest, że najbardziej skutecznym sposobem zahamowania przez esesmanów ucieczek z obozu stało się sprowadzanie do Oświęcimia najbliższej rodziny zbiega. Więźniowie nie chcieli ratować swego życia kosztem najbliższych im osób. Na co dzień jednak myśl o drogich osobach i troska o nie były odległe, wypierane przez realia obozowej egzystencji.

Przebywając wspólnie w obozie, ludzie spokrewnieni ze sobą dążyli do tego, by razem mieszkając i pracując dzielić swój los. Kiedy jednak ich życie toczyło się w obozie osobnym nurtem, przerywanym sporadycznymi spotkaniami i gdy sytuacja uniemożliwiała przychodzenie sobie z pomocą, więzy ulegały rozluźnieniu, uczucia traciły intensywność. Jedynie w stosunku do dzieci tak własnych, jak i cudzych, przywiezionych do obozu przejawiało się ze strony więźniów wiele troski. Starano się ratować dzieci żydowskie przed zagazowaniem, dożywiano dzieci cygańskie, opiekowano się dziećmi przywiezionymi z Zamojszczyzny.

Miłość nie tylko tliła się pod powierzchnią brutalnego życia, ale niekiedy i rodziła się w obozie, przy czym występowały w niej silne akcenty opiekuńcze, najczęściej ze strony mężczyzny do bardziej bezbronnej i mniej odpornej kobiety. Częściej jednak zastępowały ją przelotne, przypadkowe kontakty, pozbawione uczuciowego podłoża. Zaspokajano w ten sposób głód seksualny, a także szukano zapomnienia, oderwania się od grozy obozu.

Niektóre kobiety utrzymywały związki z wpływowymi więźniami i członkami załogi, dążąc w ten sposób do poprawienia swej sytuacji. Zarówno ta utajona, jak i legalna prostytucja, uprawiana w obozowym domu publicznym, były przez zdecydowaną większość więźniów potępiane. Z podobną oceną spotykały się aberracje seksualne, występujące głównie wśród Niemców o kryminalnej przeszłości.

Zdolność do kultywowania uczuć rodzinnych i miłości w dużej mierze zależały od sytuacji, w jakiej więzień znajdował się w obozie. Im była ona gorsza, tym potrzeba pomocy i opieki wzrastała, ale zdolność do obdarzania kogoś uczuciem i poświęcania się dlań ulegała zanikowi.

Język obozowy

Dodatkowych informacji o stosunkach międzyludzkich w obozie dostarcza analiza potocznego języka, którym posługiwali się więźniowie. Obszerna zawarta w pamiętnikach egzemplifikacja obozowego słownictwa pozostaje w zgodzie z obszernym opracowaniem na ten temat, opublikowanym przez *W. Kuraszkiewicza* [9].

Język obozowy był brutalny, pełen przekleństw, dwuznacznych wyrazów i ordynarnych określeń. Używano ich nie tylko w chwilach rozdrażnienia, lecz w sytuacjach zwykłych, codziennych. Posługiwano się nimi zarówno wobec obcych, jak i znajomych, starych i młodych, zasługujących na szacunek i pogardzanych, obdarzanych niechęcią i cieszących się sympatią.

Wulgaryzacja sposobu porozumiewania się więźniów pomiędzy sobą była następstwem ich zbrutalizowania, prymitywizacji i zaniku szacunku dla innych. Wartościujące zabarwienie niektórych wyrazów odzwierciedlało swoistą, obozową hierarchię wartości. Np. słowo „muzułman" zawierało odcień pogardliwy, „dobry organizator" — podziw, „stary numer" — szacunek, zwrot *zugang* był lekceważący, a „kapo" — zabarwiony pejoratywnie. Można stąd sądzić, że lekceważenie budziła fizyczna słabość, szacunek — odporność fizyczna i psychiczna, podziw — spryt i zaradność, potępienie moralne — służenie władzom obozu.

Samoobrona i jej metody

Życie więźniów było zagrożone nie tylko przez nieludzkie warunki egzystencji i esesow-

[8] Np. *W. Fejkiel:* Medycyna za drutami. W: Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964; *A. Fiderkiewicz:* Brzezinka. Warszawa 1962; *S. Jagielski:* Sclavus saltans. Warszawa 1946; *C. W. Jaworski:* Wspomnienia z Oświęcimia. Warszawa 1962; i inne.

[9] *W. Kuraszkiewicz:* Język polski w obozie koncentracyjnym. Lublin 1947.

ski personel obozu. Niebezpieczeństwo stanowiła również niewielka, lecz szczególnie groźna część uwięzionych, którzy gorliwie współpracowali z Niemcami, prześcigając ich w bestialstwie wobec towarzyszy.

Przeciw temu wszystkiemu, co usiłowało go zniszczyć, więzień musiał prowadzić nieustanną walkę, mającą charakter samoobronny. Bronił się „organizacją", symulowaniem choroby, udawaniem pracy. Wobec oprawców musiał stosować chytrość, podstęp, kłamstwo, pozorowanie uległości. Dla zdrajców wywodzących się z grona towarzyszy za najsłuszniejszą karę uważał śmierć, stanowiącą nie tylko odwet, lecz i ostrzeżenie dla wszystkich, którzy by chcieli ratować swe życie za cenę życia innych. Nikt nie potępiał tych, którzy uśmiercali oprawców, ani nie postulował bardziej humanitarnych metod walki z nimi. Miejscem, w którym bał się o swe życie każdy, kto miał nieczyste sumienie wobec kolegów, był obozowy szpital, tam bowiem przy współudziale lekarzy likwidowano obozowych zdrajców [10].

Samoobrona była daleka od otwartej walki, prowadzonej wyłącznie moralnymi i humanitarnymi środkami. Jej metody oceniano w płaszczyźnie prakseologicznej, wybierając takie, które uznawano za najbardziej skuteczne. Abstrahowano od ich moralnej oceny, bądź ocenę tę relatywizowano zależnie od tego, z kim walkę prowadzono i jaki był jej cel. Bezwzględność przeciwnika sankcjonowała równie bezwzględne obchodzenie się z nim.

Przedstawione powyżej niezwykle skrótowo cechy moralności więźniów nie zarysowały się u wszystkich z jednakowym natężeniem ani nie występowały bez wyjątku u każdego z nich. Jednak ich przejawianie się można uznać za powszechne, dały się bowiem zauważyć u zdecydowanej większości tych, którzy byli ofiarami obozu, a nie oprawcami swych towarzyszy. Zespół wymienionych cech jest znamienny dla tzw. „moralności obozowej", nie wykazującej bardziej zasadniczych różnic pomiędzy kobiecym a męskim obozem w Oświęcimiu.

Dynamika i mechanizm przemian moralnych

Postawy moralne więźniów w obozie stawały się odmienne od tych, z jakimi przekraczali oni bramy Oświęcimia. Stanowiska autorów pamiętników są w tej kwestii zgodne, natomiast różnią się w wyjaśnianiu istoty przemian zachodzących w moralności człowieka uwięzionego. Zdaniem jednych obóz obnażał rzeczywistą naturę ludzką, ujawniał jej niezmienne i wrodzone cechy. Inni zaś twierdzą, że pobyt w obozie zdecydowanie przekształcał człowieka, formując w nim zupełnie nową moralność.

Pierwszemu z wymienionych twierdzeń brak jest dostatecznego naukowego poparcia. Nie wyjaśnia ono, skąd się bierze podział na ludzi dobrych z natury lub złych, w jaki sposób zostały określone ich predyspozycje moralne, co zdeterminowało takie, a nie inne cechy ich natury. Paradoksem tego zjawiska jest przypisywanie naturze ludzkiej jako wrodzonych i najistotniejszych tych cech, które są również poczytywane za typowe dla świata zwierzęcego, jak egoizm, brak uspołecznienia, bezwzględność w walce o byt itp.

Za drugą alternatywą stwierdzającą, że obóz człowieka nie demaskował, lecz zdecydowanie przeobrażał, wypowiada się przeważająca większość autorów pamiętników. Przemawia za nią również analiza sposobu, w jaki dokonywały się przemiany w postawach moralnych więźniów. Rozpoczynały się one z zasady od zmian w postępowaniu, naruszającym dotychczas uznawane, wniesione do obozu zasady moralne i budzącym wiele skrupułów. Z kolei, stopniowo i w ślad za tym przekształcały się również i moralne przekonania, tworzyły nowe dyrektywy i oceny, powstawała odmienna hierarchia wartości. Mechanizm tych przemian funkcjonował więc od działania do świadomości, od czynów do poglądów na nie, wyrażających się w systemie uznawanych norm i wartości. Przeobrażenia te następowały szybko, w ciągu tygodni czy miesięcy, co wiązało się z radykalną zmianą sytuacji człowieka przekraczającego bramę obozu koncentracyjnego oraz niezwykle silną presją swoistych warunków obozowych.

Należy dodać, iż tworzące się w Oświęcimiu nowe normy, nowe kryteria ocen moralnych odnoszono tylko do obozu, do konkretnych warunków, w których trzeba było żyć i okoliczności, w jakich toczyła się walka o życie. Więźniowie, którym udało się je ocalić, po odzyskaniu wolności — jak można sądzić z ich relacji — starali się moralność obozową odrzucić, wracając do dawnych zasad lub uznając nowe, lecz odmienne od tych, którymi kierowali się w latach niewoli.

W opinii ogółu autorów pamiętników w ich postawach moralnych w obozie następowało cofnięcie się, określane najczęściej mianem demoralizacji. Człowiek stawał się w obozie gorszy od tego, jakim był przed uwięzieniem. Deprawacja była zamierzona i świadomie realizowana przez personel obozowy, mając przyspieszyć fizyczną eksterminację więźniów, łamać ich opór i przekształcać w niewolniczą siłę roboczą. Usiłowania te dały jednak tylko połowiczny wynik; ogółu więźniów, poza nielicznymi wyjątkami, nie udało się doprowadzić do skrajnego upodlenia, do ślepej, bezwzględnej walki przeciwko wszystkim o swój własny byt. Człowiek nie poddawał się biernie destruktywnemu wpływowi obozu, lecz walcząc o życie, walczył jednocześnie o zachowanie swego człowieczeństwa. Pomagał mu w tym oświęcimski ruch oporu, uznając przeciwdziałanie demoralizacji za jedno ze swych naczelnych zadań.

Czynniki kształtujące moralność więźniów

Najczęściej w pamiętnikach można się spotkać z twierdzeniami, że główne źródło demoralizacji człowieka stanowiły stworzone w obo-

[10] Por. przypis 8.

zie takie warunki egzystencji, których niemal nieuchronnym następstwem musiała być śmierć więźnia. Na warunki te składały się odczuwane najciężej: głód, fizyczne katowanie i praca krańcowo wyczerpująca siły. Strach przed nimi i walka z ich następstwem, jakim było wycieńczenie prowadzące do śmierci, są poczytywane za dominujące determinanty negatywnych zjawisk moralnych. Były one tworzone i funkcjonowały zgodnie z zamierzeniem tych, którzy obozy powołali do życia.

Głód, stale towarzyszący całej obozowej egzystencji więźniów, nie tylko osłabiał fizycznie, ale również deformował psychikę i moralność. Popychał ludzi niegdyś uczciwych do kradzieży, rodził zawiść wobec sytych, zmuszał do bezwzględności w walce o jego zaspokojenie, uczył pokory i pochlebstw, stępiał wrażliwość na cudze cierpienia, zabijał inne zainteresowania. Pod jego wpływem więźniowie stawali się bądź podrażnieni i szukający sprzeczki, bądź bierni i ospali. Objawy tzw. „choroby głodowej" według *W. Fejkla*, to drażliwość, kłótliwość, zanik uspołecznienia, nachalność, zawiść, zobojętnienie na zjawisko śmierci [11]. Podobnie charakteryzują je inni lekarze, jak prof. *B. Fischer* z uniwersytetu praskiego [12], prof. *V. E. Frankl* z Wiednia [13] czy prof. *J. Olbrycht* [14].

Nawet jeśli więzień był względnie dobrze odżywiony dzięki otrzymywanym z domu paczkom czy „organizacji", to motyw jego działania często nadal stanowiła obawa przed głodem, chęć uniknięcia go nawet za cenę czynów budzących zastrzeżenia moralne.

Inna przyczyna moralnego załamywania się, związana bezpośrednio z warunkami obozowymi, jest dostrzegana w bestialskim biciu i katowaniu więźniów, które w Oświęcimiu stanowiły zalegalizowaną „metodę wychowawczą". Dla człowieka wycieńczonego głodem i wyczerpanego pracą skatowanie stanowiło w większości wypadków ostatni krok ku przekroczeniu granicy życia. Najpewniejszym ratunkiem i ochroną przed tym było przejście z pozycji bitego na pozycję bijącego innych.

Prócz głodu i bicia także ciężka, wielogodzinna praca stanowiła narzędzie, za pomocą którego esesmani realizowali eksterminację fizyczną oraz łamanie psychiczne i moralne więźniów. Te trzy elementy, najbardziej charakterystyczne dla warunków Oświęcimia, współdziałały ze sobą i miały prowadzić do tych samych celów. W relacjach pamiętnikarskich trudno od siebie odizolować ich deformujący wpływ na moralność, gdyż ściśle ze sobą współdziałały, tworząc zespół czynników wzajemnie powiązanych i stanowiących codzienną groźbę dla życia.

W Oświęcimiu niemożność zaspokojenia najbardziej elementarnych potrzeb sprawiała, że fizyczna egzystencja więźniów była nieustannie zagrożona, a potrzeba biologicznego przetrwania przesłaniała inne, bardziej wysublimowane i ludzkie. Stąd też jednym z przejawów moralnej degradacji człowieka w obozie była prymitywizacja jego dążeń i pragnień, podporządkowanych codziennej walce o byt.

Wśród wielu innych przyczyn deformujących moralność więźniów autorzy pamiętników wymieniają między innymi: poczucie bezsilności w walce o losy własne i towarzyszy, zatracenie osobowości, zagubienie poczucia własnej odrębności, niemożność wyizolowania się choćby na chwilę z otaczającego tłumu, masowość śmierci, która stała się zjawiskiem codziennym itp.

Presja wymienionych czynników nie była na człowieka wywierana w społecznej próżni, ale w takim układzie stosunków międzyludzkich, w których istniały sprzeczności interesów pomiędzy poszczególnymi więźniami oraz ich różnymi grupami. Najogólniej: sprzeczności wyrażały się w tym, że to, co było korzystne z punktu widzenia pewnych więźniów, obracało się najczęściej przeciwko drugim i odwrotnie. Na przykład symulacja pracy przerzucała jej ciężar na innych; kradzież żywności przeznaczonej do podziału zmniejszała racje pozostałych; duża śmiertelność w szpitalu uwalniała miejsca dla nowych chorych; wielkie transporty Żydów przeznaczonych do zagłady obciążały krematoria, ograniczając możliwości selekcji w obozie i zwiększając możliwości „organizacji"; schronienie się wewnątrz szeregów bitych przez esesmanów narażało na skatowanie ludzi słabych, znajdujących się na zewnątrz kolumn wchodzących do obozu.

W warunkach oświęcimskich walka o zachowanie własnego życia, nawet jeśli nie polegała na przyjęciu postawy oprawcy, pośrednio oddziaływała na niekorzyść towarzyszy. Obrona własnych interesów godziła w innych ludzi, wyzwalała egoizm. W walce o życie przewaga fizyczna była poważnym argumentem, dlatego w obozie rodził się kult siły, a pogarda dla słabości, delikatności, niezaradności i chorowitości, które nie dawały żadnych możliwości przetrwania.

Antagonistyczne stosunki społeczne były w Oświęcimiu doprowadzane do skrajności celowymi posunięciami władz obozu. *R. Höss*, stosując zasadę *divide et impera* [15], dążył do podsycania waśni narodowościowych, przeciwstawiania sobie różnych grup więźniów, aby nie dopuścić do tworzenia się pomiędzy nimi więzów solidarności.

Całokształt warunków ekonomiczno-społecznych w obozie stawiał więźniów nieustannie wobec konfliktowych sytuacji moralnych, w których żaden wybór nie mógł być całkowicie pozytywny, wolny od negatywnych konsekwencji moralnych. Skrajne ograniczenie możliwości zaspokajania najbardziej elementarnych, biologicznych potrzeb wyznaczało takie

[11] *W. Fejkiel:* Medycyna za drutami, cyt. wyd. s. 433.

[12] *F. Friedman:* To jest Oświęcim. Warszawa 1946, s. 57.

[13] *V. E. Frankl:* Psycholog w obozie koncentracyjnym. Warszawa 1962.

[14] *J. Olbrycht:* Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1962, nr 1a.

[15] Wspomnienia *Rudolfa Hössa*. Cyt. wyd., s. 122.

formy ich realizacji, które będąc sprzeczne z wniesionymi do obozu zasadami moralnymi powodowały ich naruszanie i przekształcanie, rodząc w konsekwencji moralny regres.

Presja obozowych warunków na ogół więźniów, powodująca deformację moralności, była analogiczna. Pomimo to nie wszyscy ulegali jej w sposób jednakowy: jednostki staczały się na dno upodlenia, większość uwięzionych broniła się przed całkowitą utratą człowieczeństwa, choć również ich moralność podlegała pewnym ujemnym odkształceniom.

Autorzy pamiętników powszechnie poczytują za sprzyjające demoralizacji: faszyzujące przekonania polityczne wniesione do obozu, wrodzone skłonności przestępcze, cechy psychiczne i predyspozycje moralne wynikające z przynależności do narodu niemieckiego. Z wymienionych przyczyn, choć zdania na ich temat są dość powszechne i zgodne, zastrzeżenia budzą te, które odwołują się do wrodzonego człowiekowi zła, związanego ponadto z jego narodowym pochodzeniem. Faktem jest, że najokrutniejszymi oprawcami w obozie byli kryminaliści niemieccy. Brak jest jednak pewnego dowodu na to, że ich przestępna, przedobozowa przeszłość wynikała z naturalnych wrodzonych skłonności, choć stanowisko takie ma swoje tradycje w kryminalistyce, psychopatologii i socjologii. Sądzić jedynie należy, że przestępcza przeszłość człowieka czyniła z niego szczególnie podatny materiał na deprawujący wpływ warunków oświęcimskich.

Równie nie uzasadniona — w świetle relacji pamiętnikarskich — wydaje się teza o wrodzonej predyspozycji do zła, cechującej cały naród niemiecki, czego przejawem miała być nie tylko postawa załogi obozu, ale i przebywających w nim więźniów-Niemców. Przeczą tej tezie przykłady niemieckich komunistów, współpracujących z obozowym ruchem oporu, przeczy również fakt, o którym pisze *S. Batawia,* iż naród niemiecki, będący mieszaniną wielu grup etnicznych, nie stanowi jednolitej całości pod względem biologicznym [16]. Zdaniem tego autora, przypisywanie Niemcom jakichkolwiek wrodzonych wspólnych cech psychicznych jest niesłuszne z antropologicznego punktu widzenia. Jego zdaniem, decydującą przyczyną czyniącą z Niemców przestępców było poddanie ich wpływowi takich warunków społecznych, w których najcięższe wykroczenia zostały pozbawione znamion zbrodni.

Z kolei za czynniki przeciwdziałające demoralizującemu wpływowi obozu autorzy pamiętników uznają postępowe przekonania polityczne, bądź głębokie przeniknięcie człowieka ideami humanistycznymi, poprawę ekonomicznej sytuacji więźnia w obozie, nienaganną postawę moralną przed uwięzieniem. Niektórzy zaliczają do nich również religijność. Natomiast wpływ poziomu intelektualnego człowieka na jego moralność ujmowany jest niejednolicie. Niektórzy twierdzą, że inteligencja, stanowisko społeczne, wykształcenie i kultura nie odgrywały żadnej roli, natomiast, zdaniem innych, w grupach inteligenckich wzajemne stosunki były mniej brutalne, a wzajemna pomoc i solidarność większa.

Konfrontacje i wnioski

Obraz, ocena oraz determinanty obozowej moralności, odtworzone w oparciu o pamiętniki i wspomnienia byłych więźniów Oświęcimia, zostały w zrelacjonowanych tu badaniach porównane z wypowiedziami na analogiczny temat, pochodzącymi od więźniów innych obozów koncentracyjnych. Konfrontacja ta wykazała zasadniczą zgodność wszystkich relacji, pozwalającą twierdzić, że w rozmaitych obozach dał się zauważyć ich unifikujący i deformujący zarazem wpływ na moralność.

Również w innych, nielicznych zresztą opracowaniach na podobne tematy, jak publikacje *K. Dudzicz-Diewierz* [17] i *K. Chałasińskiej* [18], podkreśla się, iż obozy koncentracyjne stanowiły miejsce odczłowieczania więźniów, czemu służył cały system przemyślanej i konsekwentnie stosowanej przez esesmanów socjotechniki. W artykule *K. Dudzicz-Dziewierz* eksponuje się jako zasadnicze determinanty moralności doznania fizjologiczne (głód, zmęczenie pracą, wycieńczenie chorobą), natomiast w pracy *K. Chałasińskiej* — odczucia psychiczne (strach, zagubienie własnej odrębności).

Obydwa wspomniane stanowiska zdaje się godzić prof. *J. Pieter* [19], który twierdzi, że powstawanie, zróżnicowanie i napięcie lęku pozostaje w wyraźnej zależności od społecznych warunków życia, a strach, prowadząc w konsekwencji do upadku sił fizycznych i rozstroju sił moralnych, jest wyzyskiwany przez rządy terroru celem moralnego złamania rządzonych. Równocześnie bardziej dysponowani do jego odczuwania są ludzie chorzy, wycieńczeni, u których rodzi się on na podłożu fizjologicznym.

W oświęcimskich numerach „Przeglądu Lekarskiego" drukowane były relacje o badaniach nad byłymi więźniami Oświęcimia, prowadzonych od r. 1959 przez zespół lekarzy Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie. Choć badania te dotyczą odmiennych niż postawione tutaj zagadnień, częściowo tematycznie się z nimi wiążą oraz prowadzą do zbliżonych wniosków. Natomiast w sprzeczności z przedstawionymi w niniejszym artykule ustaleniami pozostają wyniki badań przeprowadzonych wśród 64 więźniarek Ravensbrück w okresie ich uwięzienia [20]. Z zebranych w obozie pisemnych wypowiedzi wynika, że ich zdaniem pobyt w obozie wpływał korzystnie na ich stosunek do ludzi, rodził

[16] *S. Batawia:* Zbrodnie niemieckie jako zagadnienie socjologiczne i kryminologiczne. Rocznik Psychiatryczny, 1949, t. 37, nr 1.

[17] *K. Dudzicz-Dziewierz:* Kiedy będziemy znali Oświęcim. Przegląd Socjologiczny, 1948, t. 10.

[18] *K. Chałasińska:* Strach i honor. Na marginesie literatury obozów koncentracyjnych. Przegląd Socjologiczny, 1957, t. 11.

[19] *J. Pieter:* Walka ze strachem. Katowice 1947.

[20] *W. Kiedrzyńska:* Ravensbrück — kobiecy obóz koncentracyjny. Warszawa 1961, s. 301.

większą solidarność oraz wywoływał większe poszanowanie dla każdego rodzaju pracy. Badania te były jedynymi przeprowadzonymi w samym obozie koncentracyjnym, a uogólnienia ich wyników są unikalne w kontekście wszystkich innych opracowań, poruszających problematykę moralną obozów koncentracyjnych.

Uzyskane dzięki materiałom pamiętnikarskim przekonanie, iż decydujące znaczenie dla moralnych deformacji więźniów miały społeczno-ekonomiczne warunki obozowe, nie może oznaczać, iż ludzi tych należy całkowicie zwolnić od odpowiedzialności za dokonywane przez nich czyny. Mieli oni bowiem pewną względną swobodę w dokonywaniu moralnych wyborów, które jednak odbywały się najczęściej w tak konfliktowych sytuacjach, w jakich żadne rozwiązanie nie mogło budzić jakichkolwiek moralnych zastrzeżeń. Jednak alternatywy takich wyborów istniały, co należy z całą siłą podkreślać, aby nie dopuszczać do identycznego oceniania postaw moralnych wszystkich więźniów Oświęcimia. Zrozumieć należy tych, którzy wybierali zło mniejsze, potępiać takich, dla których los towarzyszy był całkowicie obojętny i którzy wyzbyli się wszystkich moralnych hamulców.

Problem moralnej odpowiedzialności więźniów nie jest szerzej rozpatrywany w literaturze obozowej, a ponadto stanowiska wobec niego nie są jednolite. Na przykład, *L. Christians* [21] twierdzi, iż wobec żadnego z więźniów nie należy wysuwać problemu winy i moralnej odpowiedzialności, byli oni bowiem doprowadzeni do stanu kompletnej niepoczytalności, nie zdawali sobie sprawy ze swych działań i nie mogli nimi kierować w sposób świadomy. Natomiast zdaniem *V. E. Frankla* [22] wszystko, cokolwiek człowiek w obozie czynił, było wynikiem jego swobodnego wewnętrznego wyboru, a demoralizacja następowała w wyniku nieprzymuszonej decyzji.

W rzeczywistości w Oświęcimiu wolność dokonywania moralnych wyborów i podejmowania działań została poważnie ograniczona czynnikami obiektywnymi. Więźniowie mogli co prawda decydować o swym postępowaniu, ale w ramach alternatywnych rozwiązań, narzucanych im przez te czynniki. Ograniczenie wolności było potęgowane presją pewnych motywów, dominujących nad innymi wskutek dominacji określonych potrzeb. Można więc mówić o ograniczeniu odpowiedzialności ludzi uwięzionych, ale nie o całkowitym od niej zwolnieniu.

Badania nad moralnością więźniów Oświęcimia, które tu zostały w wielkim skrócie przedstawione, stanowią jedną z pierwszych prób podjęcia problematyki, która nie doczekała się dotychczas w literaturze obozowej należnego jej miejsca. Należałoby zakres „obozologii" rozszerzyć o dalsze badania nad zjawiskami moralnymi, objąć nimi wszystkie obozy koncentracyjne, wyzyskać relacje więźniów różnych narodowości, zastosować wszelkie możliwe techniki badawcze. Nie jest jeszcze za późno na wydobycie pełnej prawdy o człowieku rzuconym w nieludzkie warunki egzystencji, a prawda ta winna służyć nie tylko nauce, ale stanowić jeszcze jedno oskarżenie niemieckiego faszyzmu i ostrzeżenie, które nadal jest aktualne.

[21] *L. Christians:* Piekło XX wieku. Warszawa 1946, s. 77.

[22] *V. E. Frankl:* Psycholog w obozie koncentracyjnym. Cyt. wyd., s. 75.

ADOLF GAWALEWICZ Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 9225

Z rozważań na temat oświęcimskiej problematyki moralnej

Co czuł, o czym myślał człowiek w pasiaku, wdeptany w tryby fizycznego i psychicznego unicestwienia ludzi, stojąc, jakże często, wobec nieuchronnej konieczności podejmowania decyzji, oznaczających — z moralnego punktu widzenia — dokonanie wyboru, które dobro lub dobra spośród wielu zagrożonych należy ratować? Jakiej ocenie moralnej podlega jego postępowanie?

Bogata jest już dokumentacja historyczna tamtego okresu. Ale z rekwizytów muzealnych, licznych dokumentów pisanych można co najwyżej próbować odsłonić zupełnie znikomy ułamek z ogromnie zawiłej problematyki moralnej, powstałej w warunkach życia za drutami wysokiego napięcia. Natomiast wiele cennych informacji na ten temat jest rozproszonych w materiałach wspomnieniowych, tych już utrwalonych, i tych, które jeszcze mogą być napisane,

W ostatnich latach dają się zauważyć wypowiedzi kierowane tak pod adresem nauki, jak i literatury i sztuki, które skrótowo można określić jako „wołanie o syntezę", o uogólnienie tak różnorodnych, bogatych i drogo okupionych doświadczeń ludzkości z lat 1939—1945. O syntezę, która poszerzy wiedzę o człowieku. Bardzo to słuszny postulat. Do wzbogacenia wiedzy o człowieku, do sprawiedliwej oceny tak sprawców zła i jego rozmia-

rów, jak stopnia bohaterstwa, altruizmu i ofiarności, które potrafił osiągnąć człowiek — niezbędne są oczywiście naukowe badania obejmujące problematykę moralną. To przecież problemy moralne należały do głównych brzemion, pod którymi uginał się, a nierzadko — ginął więzień.

To właśnie postawa zajęta wobec trudnych zagadnień etycznych nadała tysiącom tytuł bohaterów lub inne bardzo dodatnie moralne oceny.

Określenie „oświęcimska problematyka moralna" wymaga wyjaśnienia. Oczywiście analogiczne swoiste problemy moralne powstawały również w innych obozach, powstawały wszędzie tam, gdzie więzionych ludzi stawiano wobec sytuacji analogicznej jak w Oświęcimiu. Określenia „Oświęcim" i „oświęcimski" niekoniecznie więc adresuję tu do wiadomego miejsca i okresu nad Sołą.

Wypada bliżej sprecyzować, na czym polegała ta specyficzna oświęcimska problematyka moralna, jej wyjątkowość i zawiłość, stwarzająca podstawę do ogromnie kontrowersyjnych ocen i poglądów. Nie potrafię tu pokusić się o próbę obiektywnego, naukowego poglądu. Patrzę na te sprawy przez pryzmat osobistych wspomnień i odczuć i niezbyt licznych dyskusji na ten temat, z którym zetknąłem się w środowisku byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Gdy piszę te rozważania, nie opuszcza mnie niepokój, czy może nie mieli racji niektórzy obozowi koledzy, ostrzegając mnie: „nie ruszaj tego tematu, o n i nas nie zrozumieją; żeby to zrozumieć, to trzeba by było być t a m"... Ale jednak trzeba poruszyć „ten temat". Niech naprzód przemówi kilka schematycznie naszkicowanych przykładów.

Cofnijmy gwałtownie wskazówki zegara. Wyobraźmy sobie: wstał styczniowy dzień nad obozem. Na *„Industriehof II"* trzydziestoparokilowy „muzułman" odrabia *„leichte Arbeit"*. Siedzi na „fotelu" z kilku cegieł i tłucze na drobny miał inne cegły. Dzień nie zaczął się najlepiej. Nie udało mu się ukraść zakopconego dla świń skisłego, przemarzniętego ziemniaka, smakującego wspaniale, jak kiszony ogórek. Przed chwilą zakończona opowieść „muzułmańskich" towarzyszy o kluskach pływających w topionej słoninie ze skwarkami i o innych ucztach wzmogła do nieznośnej potęgi dręczące uczucie głodu. Jak dobrze było w szpitalu obozowym. Co za bydlę ten lekarz, że go wypisał. „Muzułman" nie wie, o czym wiedział lekarz (też więzień), że dzisiaj właśnie odbywa się w szpitalu wybiórka do komór gazowych. Lekarz wypisał na „lager" trzydziestu, którzy jako tako trzymali się na nogach. Z tych wypisanych na „lager" wkrótce większość „wykończy" się. Z kolei lekarz nie wie, że z tych jego chorych, którzy będą wybrani do gazu, część przeżyje obóz. Skierowano ich bowiem nie wprost do komór gazowych, lecz na jeden z „muzułmańskich" bloków. Blokowemu tego bloku uda się, również i tym razem, dzięki zastosowaniu różnego rodzaju wybiegów i podstępów, uratować pewną, znikomą część załogi bloku przed transportem do gazu.

Z moralnego punktu widzenia może należy potępić i lekarza i blokowego, że w ogóle podjęli się sprawowania tych funkcji, lekarz w szpitalu — w miejscu selekcji i zbrodniczych eksperymentów, blokowy — na izolowanym bloku, ostatnim miejscu pobytu kandydatów do krematorium? Z moralnego punktu widzenia może należy wyrazić najwyższe uznanie dla tego lekarza i blokowego, że podjęli się sprawowania owych funkcji w tak trudnych warunkach i pełnili je, ryzykując bardzo często swoje życie dla dobra więźniarskiej społeczności?

Reprezentant tego poglądu będzie go uzasadniał zapewne stwierdzeniem, że walka o zdobycie władzy w samorządzie obozowym prowadzona przez więźniów politycznych przeciw elementom kryminalnym była jak najbardziej słuszna i zwycięstwo „czerwonych", tj. politycznych, wpływało na maksymalnie możliwe zmniejszenie strat w ludziach i złagodzenie terroru. Który z tych sądów jest w sensie etycznym prawidłowy? Oba, w zależności od szeregu dodatkowych warunków. Jakich? Jeden tylko z nich — który? Albo wreszcie żaden? Dlaczego?

Wróćmy do naszego „muzułmana". Jak zakończy dzień, w którym głód weźmie górę nad wszystkimi innymi udrękami, każe zapomnieć i o przenikliwym zimnie i o wszach jątrzących nieznośnie flegmony i oświerzbione ciało. Być może ustawi się po raz drugi w kolejce po zupę i to mu się też nie uda. Zmasakruje go „sztubowy". Albo gorzej. Ukradnie chleb koledze i podpadnie. „Sztubowy" zabije go albo zaakceptuje samosąd. Źle uczynił w obu wypadkach „sztubowy". Trzeba go potępić. Przecież nasz muzułman musiał chcieć ukraść zupę lub chleb, nie mógł w danych okolicznościach chcieć inaczej. Jego postępowanie było jednoznacznie zdeterminowane aktualnym stanem jego ustroju. Nie miał możności pokierowania inaczej swym postępowaniem.

Słusznie uczynił „sztubowy" masakrując lub powodując śmierć złodzieja. Czy można było bezkarnością ośmielać, rozzuchwalać głodnych i słabych, aby kradli żywność jeszcze bardziej od nich głodnym i słabym? Nie obchodzi mnie — powie obrońca tego poglądu — czy sprawę okradania z żywności współwięźniów należy rozpatrywać na tle indeterminizmu lub determinizmu. I znowu przeciwstawne sądy w tym samym przedmiocie; który z nich słuszny?

Może wreszcie nasz „muzułman" nie popełni żadnego z tych czynów, lecz przeciwnie, zdobędzie się na taki stopień samoopanowania i kontroli, że część swej porcji chleba przeznaczy na pomoc dla kolegi w bunkrze?

Bogata jest historia obozu. Przykłady ogromnie trudnych sytuacji, wobec których stawał więzień i jak się w związku z nimi zachowywał, można mnożyć. Byłaby to lista ogromna, nieraz przerażająco trudna do oceny moralnej.

Ale trzeba ukazać zawiłość spraw ludzkich czasu nieludzkiego, zlokalizowanego nad Sołą.

Te nakreślone przed chwilą, wulgarnie uproszczone schematyczne przykłady sytuacji nie stoją oczywiście w żadnej proporcji do rozmiarów tematu. Pozwalają jedynie na kontynuowanie myśli, na postawienie kilku pytań, stanowiąc ich tło. Bo już nawet te tak proste — w konfrontacji z rzeczywistością obozową — przykłady ilustrują swoistość problematyki moralnej ludzi więzionych w „lagrach". Jaka jest jej geneza? *Maria Ossowska* [1], komentując poglądy dotyczące warunków podlegania ocenie moralnej, stwierdza: „Nadawanie czynom gotowych etykiet, z którymi związane są gotowe oceny, ekonomizuje nasz wysiłek. Gdy te gotowe etykiety zawodzą, popadamy w moralną dezorientację. Łatwo ją było obserwować w czasie wojny, kiedy to różne stereotypy zawiodły, kiedy wypłynęły nowe sytuacje, które nie miały jeszcze nazwy i których ludzie nie umieli ocenić".

Nie ulega chyba wątpliwości, że również genezy odrębności oświęcimskiej problematyki etycznej należy szukać przede wszystkim w fakcie, że niemal cała rzeczywistość obozowa była sumą sytuacji odchylających się w zdecydowanym, jaskrawo i dramatycznie zarysowanym stopniu od sytuacji, jakie towarzyszą człowiekowi w jego życiu w normalnych warunkach. Natomiast norma etyczna, jak każda inna norma, nastawiona jest na przeciętność. Skoro więc nietypowość była typową cechą problemów obozowych, a wśród nich również moralnych, wiele z nich nie mogło zmieścić się, przynajmniej w sposób mniej lub bardziej niewątpliwy, w gotowych schematach zachowania się, w ogólnie — na tzw. wolności — przyjętych ocenach wyznaczających moralne normy postępowania. Ta rozpiętość pomiędzy znanymi i uznanymi wzorcami postępowania a stanami faktycznymi wymagającymi kwalifikacji moralnych była więc źródłem odrębności oświęcimskiej problematyki etycznej. Dysproporcja ta atakowała w sposób szczególnie dramatyczny człowieka w pasiaku w takich, jakże częstych sytuacjach, w których można było ratować jedno tylko dobro lub znikomą ilość spośród wielu zagrożonych. Pytanie, które dobro należy chronić w tych sytuacjach o wybitnie skomplikowanym, konfliktowym charakterze, oznaczało przecież w praktyce z reguły konieczność dokonania wyboru, czyje życie należy próbować ratować, a czyje pozostawić biegowi wydarzeń. Co miał uczynić więzień-lekarz dysponujący znikomą ilością leków uzyskanych drogą konspiracyjną, kogo ratować — wszystkich nie sposób.

Konsekwencją tych sytuacji konfliktowych była w wielu przypadkach tylko ogromnie trudna alternatywa wyboru mniejszego zła, aby przeciwstawić się większemu. Co stanowi większe, a co mniejsze zło? Decydować o tym musiał, nieraz w okresie minut lub sekund, człowiek z numerem wyłącznie w oparciu o subiektywną ocenę. Nawet gdyby miał pod ręką dzieła najwybitniejszych moralistów, najczęściej nie mógłby znaleźć w nich porady odpowiadającej sytuacji, w której go los obozowy postawił.

Występująca ogromnie często konieczność wyboru pomiędzy złem — mniejszym lub większym, oto pierwsza z dyskusyjnych propozycji odpowiedzi na pytanie, na czym polegała, czym charakteryzowała się swoistość oświęcimskiej problematyki moralnej.

Sformułowanie tego poglądu pozwala przejść do postawienia kolejnego problemu. Niezorientowany w szczególnych warunkach życia obozowego etyk miałby podstawę do zadania pytania: czy można ocenić jako dodatnie z punktu widzenia moralnego postępowanie tego, kto wybrał zło, wprawdzie jego zdaniem mniejsze, ale przecież zło? Kto wybrał? Napotykamy tu więc na konieczność rozważenia, w jakim zakresie ludzie w pasiakach ze względu na swe czyny, na swoje bierne lub aktywne zachowanie się w obozie podlegają ocenie moralnej. Niezbędne warunki podlegania ludzi ocenie moralnej, to (według cytowanej poprzednio *Marii Ossowskiej*):

— świadomość działania, umyślność, a więc pragnienie, chcenie stanu rzeczy realizowanego przez własny czyn i
— możność kierowania swym postępowaniem.

Nie wdając się w teoretyczne rozważania i wątpliwości, w oparciu o te kryteria można przeprowadzić podział sytuacji, w jakich znajdowali się i działali więźniowie, na kilka grup. Przede wszystkim istniała cała, względnie rozległa sfera stosunków w obozie i okoliczności życia i współżycia więźniów, która podlega z punktu widzenia moralnego dodatniej lub ujemnej ocenie. Będzie to suma sytuacji, które odpowiadały przytoczonym przed chwilą, niezbędnym warunkom do podlegania ocenie moralnej. Trzeba to z całym naciskiem zaatakować, aby uniknąć nieporozumień i niedomówień.

Osobna grupa, to czyny, których bezpośredni sprawcy, nazwijmy ich sprawcy nominalni, działali w okolicznościach nie odpowiadających tym niezbędnym warunkom. W szczególności nie posiadali możności pokierowania swym postępowaniem, pomimo że same czyny „jako takie" zasługują na mniej lub bardziej ostre potępienie moralne.

Wydaje się tu niezbędna mała dygresja. Przez czyny „jako takie" niemoralne rozumiem te sytuacje, w których więźniowie wskutek zastosowania wobec nich bezpośredniego fizycznego i psychicznego przymusu byli pozbawieni jakiejkolwiek możności i zdolności kierowania swym postępowaniem, a władze obozowe posługiwały się nimi jako narzędziem pomocniczym przy realizacji swych zbrodniczych celów.

W takich warunkach pracowało „komando" zatrudnione przy spalaniu zwłok zagazowanych ofiar eksterminacji.

Wreszcie grupa trzecia — pośrednia, obej-

[1] *M. Ossowska:* Podstawy nauki o moralności. Wyd. 2, Warszawa 1957.

mująca te poprzednio już wspomniane sytuacje, w których więzień miał bardzo ograniczona możność wyboru, zmuszony był wybierać zło mniejsze, aby przynajmniej w swych intencjach przeciwstawić się większemu.

Nie trzeba tu wskazywać, kto był faktycznym, moralnym sprawcą wymagających potępienia czynów objętych drugą i trzecią grupą, kogo obciąża wina za stawianie ludzi wobec nieludzkich sytuacji.

Jest — o tym trzeba też koniecznie wspomnieć — pocieszający aspekt, charakteryzujący oświęcimską problematykę moralną i pozwalający na afirmację — pomimo wszystko — wartości człowieka.

Gdy bowiem analizujemy, chciałoby się rzec, nieprzebraną wręcz mnogość faktów z historii obozu, podlegających ocenom moralnym, zadziwia nadspodziewanie wielka liczba czynów moralnie dodatnich. Jakże długi byłby rejestr przypadków, w których więzień w razie konfliktu, dotyczącego własnego i cudzego dobra, poświęca dobro własne na rzecz cudzego. Motywację tych czynów o wybitnie moralnie dodatnim znaku stanowiły uczucia altruistyczne i instynkt społeczny, wyrażający się zwłaszcza w nader różnorodnych formach pomocy wzajemnej i solidarności narodowej i międzynarodowej.

Ta zastanawiająca mnogość moralnie wysoko ocenianych aktów zdziałanych w miejscu masowej zagłady i udręki ludzi jest chyba szczególnie dramatycznym potwierdzeniem prawdy sformułowanej tak pięknie przez *Goethego*, że zło może stać się źródłem dobra.

Zasługuje z pewnością na uważne zbadanie, dlaczego w tak nie sprzyjających okolicznościach, w tak stosunkowo szerokim zakresie występowała u więźniów — jako motyw postępowania — dyspozycja uczuciowa, wyznaczająca powstawanie pragnienia okazania ofiarności, odporności i odwagi.

* * *

Oto kilka luźnych, niedostatecznie uporządkowanych myśli na temat oświęcimskiej problematyki moralnej, opartych — jak podkreśliłem — głównie na osobistych wspomnieniach i subiektywnych odczuciach.

Temat, który niewątpliwie zasługuje na odrębne, szczegółowe badania naukowe i opracowania.

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA Łódź

Problemy zawodu lekarskiego w okresie okupacji hitlerowskiej w świetle literatury pięknej i pamiętników

„*Hipokrates* w swej wielkiej mądrości nie przewidział utworzenia gestapo" (*F. Loth:* Byłem lekarzem na Pawiaku. W: Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964, s. 338)

Refleksje przedstawione w tym artykule są częścią pracy poświęconej zawodowi lekarskiemu w Polsce Ludowej i zostały opracowane w oparciu o jednostronny materiał pochodzący z literatury pięknej oraz drukowanych pamiętników lekarzy [1]. Niejako, na marginesie zasadniczych zainteresowań i badań wyłoniły się zagadnienia dotyczące przestrzegania etyki i zobowiązań lekarzy w warunkach „nienormalnych", tj. w warunkach wojny i okupacji hitlerowskiej.

Wojna i okupacja lat 1939—1945 postawiły przed wieloma ludźmi trudne zagadnienie natury moralnej w związku z wykonywanym przez nich zawodem. Powstało na przykład pytanie, czy należy w warunkach wojny kontynuować w wyuczonym zawodzie pracę na rzecz okupanta, a więc w jakimś sensie współdziałać z okupantem. Wielu ludzi musiało powiedzieć „tak", ponieważ ich zawód nie mógł być niewykonywany, służył on ludności okupowanej, przede wszystkim Polakom. Nie mogli odmówić pracy piekarze piekący chleb dla ludności, kolejarze obsługujący ruch pociągów, farmaceuci sporządzający leki, czy lekarze leczący ludzi. Wielu ludzi musiało odpowiedzieć „nie", zająć się pracą dającą podstawę egzystencji materialnej, społecznie potrzebną, ale nie dopuszczającą możliwości jakiejkolwiek kolaboracji z okupantem. Nie mógł grać w teatrze aktor, nie mógł pracować jako dziennikarz Polak w prohitlerowskim dzienniku.

Lekarz musiał pracować, był potrzebny, a w leczeniu nie było wyboru między Niemcami i Polakami. Musiał nieść pomoc człowiekowi cierpiącemu, potrzebującemu pomocy, niezależnie od tego, jakim językiem mówił lub do jakiej partii należał, niezależnie nawet od tego, czy chory pacjent był mordercą osób najbliższych lekarzowi. Lekarzowi nie wolno odmówić pomocy choremu, w chwili wypełniania zawodu przestaje być osobą prywatną, staje się instytucją, musi odrzucić własne emocje

[1] Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964; *J. Lutowski:* Ostry dyżur. Warszawa 1956; *J. Stompor:* Człowiek z lancetem. Warszawa 1964; *A. Czuperska-Śliwicka:* Cztery lata ostrego dyżuru. Warszawa 1965.

i uczucia. *Romuald Gutt* we „Wspomnieniach i refleksjach" [2] pisze: „jeśli lekarz jako obywatel powinien mieć jakieś rozeznanie polityczne, to już lekarz wkładając kitel, biorąc do ręki słuchawkę czy skalpel, automatycznie staje się zawodowcem, którego nie interesują przekonania społeczno-polityczne chorego. Znikają wtedy wszelkie patriotyzmy, szowinizmy, sympatie. Od tej chwili ludzie dzielą się jedynie na dwie grupy: zdrowi — chorzy".

Czy jednak, wkładając kitel, człowiek może pozbawić się wszelkiej emocji, odczuć i przekonań? Czy może zapomnieć, kim jest chory? Jak wiemy, lata okupacji były okresem sprawdzania stosunku do zawodu, do tej samej hipokratesowej przysięgi, wiążącej lekarzy niezależnie od przynależności do różnych ugrupowań politycznych. Procesy zbrodniarzy hitlerowskich, wśród których byli także ludzie uprawiający zawód lekarski bądź pielęgniarski, świadczą o tym, że słowa przysięgi lekarskiej mogą być różnie interpretowane.

Zawód lekarski w okresie okupacji przeszedł największą chyba w historii współczesnej próbę ludzi i charakterów, z której wyszedł zwycięsko, a jeśli załamały się jednostki, to w ogólnym rozrachunku nie będziemy ich brać pod uwagę. Interesują nas zagadnienia natury etycznej, przed jakimi stawali lekarze polscy. Aspekt ten można już omówić przynajmniej w oparciu o drukowane pamiętniki lekarzy i utwory literackie.

Lekarzy w okresie okupacji z grubsza należy podzielić na dwie grupy: pracujących w konspiracji oraz nie pracujących formalnie w konspiracji. Warto uwzględnić nie pracujących formalnie, ponieważ przez zawód byli wciągani do walki z wrogiem lub sami — często nie definiując swoich poglądów, ani może nawet nie precyzując sobie ich programowo — włączali się do walki z okupantem. „W naszej pracy lekarskiej w okresie okupacji trzeba było w miarę możności ułatwić życie rodakom swymi zaświadczeniami, często kolidującymi z przepisami reżimu hitlerowskiego. Trzeba było ratować bliźnich od zagłady, robót przymusowych, wysiedleń, obozów" [3].

Ci, którzy formalnie pracowali w konspiracji, byli żołnierzami, organizatorami, propagandzistami, a przede wszystkim lekarzami i spełniali swoje obowiązki zawodowe Lekarze-żołnierze nie walczyli z bronią w ręku, walczyli niejako przy boku żołnierzy o ich życie. Organizowali punkty sanitarne dla przygotowywanych akcji zbrojnych przeciw wrogowi, organizowali punkty szpitalne i miejsca w szpitalach miejskich dla przeprowadzania operacji i leczenia w cięższych przypadkach. Z narażeniem własnego życia przyjmowali do szpitali rannych partyzantów, uprowadzali ich z rąk Niemców, jeżeli okazało się, że konfident poinformował wroga o miejscu pobytu rannego. Lekarze-żołnierze w swej codziennej pracy dokonywali wyboru między ratowaniem życia rannego, obcego sobie człowieka a siebie. Z reguły wybierali oczywiście życie swego chorego. Wybór nie był prosty, okupant okrutny i doskonale zorganizowany w szukaniu „winnych", ale sytuacja, aczkolwiek groźna, nie zawsze stawiała człowieka przed tak skomplikowanymi zagadnieniami natury moralnej, jak lekarzy-konspiratorów.

Do lekarzy-konspiratorów można zaliczyć wszystkich lekarzy, którzy sami pozbawieni wolności, osadzeni w obozach koncentracyjnych, więzieniach walczyli o życie ludzkie lub na wolności ratowali ludzi przed okupantem, wydając fałszywe zaświadczenia, organizując pomoc dla ludności cywilnej. Lekarze osadzeni w więzieniach rozpoczynali pracę w zmienionych warunkach. O swej pracy na Pawiaku w Warszawie pisze dr *F. Loth:* „Rozpoczęła się jedyna w swoim rodzaju praca. Trwający przeszło trzy lata ostry dyżur w warunkach zupełnie niesamowitych. Połączenie pracy lekarskiej z pracą konspiracyjną. Sytuacje pełne napięcia, często kolidujące z sobą. Czasem nie było wiadomo, co właściwie powinno stać na pierwszym miejscu. Sumienie lekarskie i zasady deontologii kłóciły się wielokrotnie z wymaganiami życia i konspiracji. Powstawały konflikty i zagadnienia nie do rozwiązania, które jednak rozwiązywane być musiały i to zwykle bardzo szybko, doraźnie, bez chwili do namysłu" [4].

Lekarze stawali często przed skomplikowanymi problemami: wyboru między obroną swego życia a obroną życia chorego, dla którego może by lepiej było, gdyby umarł od razu, zapewne wtedy udałoby się go uchronić od strasznych cierpień w czasie przesłuchań. Lekarze stawali wobec zagadnienia: ratować życie, aby następnie narażać ozdrowieńca na tortury i śmierć. Ale nawet wtedy, kiedy śmierć z rąk okupanta była pewna, nie przerywali oni walki o ratowanie życia ludzkiego. Powstawały przed nimi czysto ludzkie po prostu pytania o sens wkładanego wysiłku, jak również niepokoiła możliwość, że chory w przesłuchaniu „sypnie" innych. Dr *F. Loth* w ten sposób przedstawia zagadnienia związane z częstymi przypadkami leczenia chorych, których następnie zabierano na stracenie. Opisuje zdarzenie wyjęcia choremu klamry i drutu ze zrastającej się kości, ponieważ chory miał być rozstrzelany, a przedmioty te były potrzebne w szpitalu do dalszych operacji. „Po szeregu podobnych przypadków zaczęliśmy się zastanawiać, czy mamy prawo ratować życie tym ludziom. I po co? Żeby ich narażać na cierpienia operacyjne, katusze przesłuchań, „sypnięcie" organizacji i wielu ludzi, a w końcu ostateczną egzekucję?" [5]. Przezwyciężało jednak poczucie obowiązku zawodowego, konieczność ratowania życia człowieka potrzebującego pomocy. Ale później przyszła refleksja: nie filozofuj, jesteś

[2] *R. W. Gutt,* Wspomnienia i refleksje. W: Pamiętniki lekarzy. Warszawa 1964, s. 759.

[3] *K. R. Koronkiewicz:* Migawki lekarskie. W: Pamiętniki lekarzy. Wyd. cyt.

[4] *F. Loth:* Byłem lekarzem na Pawiaku. Wyd. cyt. s. 334.

[5] Tamże, s. 338.

lekarzem i twoim obowiązkiem jest walczyć o [...] życie" [6].

Lekarze-konspiratorzy mieli do rozwiązania także i inne sprawy.

Musieli rozstrzygnąć, czy wolno im „zorganizować" epidemię duru wysypkowego w szpitalu więziennym i tym sposobem uzyskać możliwość wysyłania chorych, którym ten dur zaszczepiono, do szpitala miejskiego, skąd organizowano im ucieczkę, ryzykując nie tylko swoim życiem, ale przede wszystkim życiem chorego. Wybrano rozwiązanie niezgodne z przysięgą lekarską i za zgodą zainteresowanych zaszczepiono więźniom dur.

Powstało jednak nowe zagadnienie wobec zorganizowania oddziału zakaźnego w więzieniu w wyniku zbyt częstych ucieczek więźniów ze szpitali miejskich. Co robić, aby nie wzbudzić podejrzeń, że epidemia była podtrzymywana sztucznie? Nie mogła wygasnąć natychmiast. Trzeba było „zorganizować" jeszcze kilka przypadków duru. „Nie mieliśmy jednak wyjścia. Wraz z doktorem *Śliwickim,* wspominając *Hipokratesa* i prof. *Szenajcha,* obciążyliśmy nasze sumienia. Na ofiary wybraliśmy dwóch więźniów kryminalnych, którzy w odstępie kilku dni zachorowali, kończąc epidemię duru plamistego w Pawiaku" [7]. Dokonano wyboru, selekcji więźniów, aby ratować innych i siebie. Łatwiej o tym zapewne mówić autorowi pamiętnika po 20 latach, aniżeli było wówczas tego wyboru dokonać. I tu okazały swój wpływ uczucia patriotyczne. Nie losowano, nie chciano działać przypadkowo, wybrano kryminalistów, jak się należy domyślać, na tyle silnych, że im to zakażenie nie bardzo mogło zaszkodzić i ten wybór mniejszego zła, jak się wydaje, najbardziej odpowiadał w opisanej sytuacji poczuciu sumienia i usprawiedliwia w jakimś sensie to działanie obecnie. Ale przecież kryminalista — to też człowiek, którego życie także leżało w rękach gestapo. Zwyciężyła racja polityczna, przekonania ideologiczne, jak również oceny moralne ogólnoludzkie wpajane każdemu człowiekowi. Wybór padł na ludzi uznanych za marginesowych w każdych warunkach społecznych.

Nie usprawiedliwiam zbrodniarzy hitlerowskich, którzy mieli dyplomy lekarskie, nieraz profesorskie, chcę jednak wskazać na pewne mechanizmy wyboru, którego człowiek dokonuje. Wydaje się, że jednak nie można być tylko lekarzem. Jest się człowiekiem posiadającym określoną kulturę i ona decyduje o wypełnianiu powinności zawodowych. Zawód lekarski jest tym zawodem, w którym kultura osobista jednostki powinna stać szczególnie na wysokim poziomie, w każdych warunkach, a może szczególnie w czasach tak trudnych, jakimi są wojny, klęski żywiołowe, a zwłaszcza walki polityczne i ideologiczne, również bardzo konfliktowe dla przedstawicieli omawianego zawodu.

Okres okupacji stawiał przed lekarzami pracującymi na wolności konieczność udzielania pomocy lekarskiej okupantom i partyzantom. Działalność zawodową w tym przypadku należało utrzymywać w konspiracji, a przecież lekarz żył w środowisku społecznym, które oceniało go nie tylko jako wykonawcę zawodu, ale jako człowieka zaangażowanego po jakiejś stronie barykady. Ludzie nie rozumieli, że obowiązkiem lekarza jest niesienie pomocy każdemu, ze swego punktu widzenia oceniali lekarza i jego działalność. To zagadnienie, aczkolwiek jest przedstawione dopiero w powieści, stanowi niewątpliwie uogólnienie pewnych przeżyć okupacyjnych wielu lekarzy pracujących na wolności. Chodzi tu o powieść *Józefa Stompora* pt. „Człowiek z lancetem". Lekarz-chirurg w małym miasteczku powiatowym w czasie okupacji jest zmuszony do operacji rannego żandarma. Trudna operacja przynosi wynik pomyślny. W czasie przygotowania do operacji opadają chirurga wątpliwości. Myśli on: „No co? Mordujesz, a później sam patrzysz błagalnie, aby ci udzielić pomocy. A niech cię wszyscy diabli! Abyś zdechł wcześniej! Na stół go proszę... Na operacyjną — powiedziałem rozkazująco po niemiecku" [8].

Operując żandarma, ratował człowieka, ratował także innych ludzi i siebie. Ale w miasteczku mówiono: „Czy to prawda, że ten nowy dyrektor szpitala jest *volksdeutschem...*?" [9]. Wielu chorych usprawiedliwiało lekarza, uważali, że dobrze zrobił, ale bardzo wielu przestało mu się kłaniać. W opinii pewnych środowisk nie wolno udzielać pomocy wrogowi. Chirurg naraził się jeszcze bardziej, bo leczył żonę komendanta żandarmerii, bardzo ciężko chorą kobietę. W tym samym czasie zwracają się do niego o pomoc partyzanci z Gwardii Ludowej. Idzie do lasu, w prymitywnych warunkach operuje, leczy. Przyjmuje rannego partyzanta do szpitala, leczy go, ułatwia mu ucieczkę. Ale w lasach działają także bandy nacjonalistyczne. Zmuszają go do leczenia swoich rannych i jednocześnie nie pozwalają leczyć partyzantów z Gwardii Ludowej. Sprowadzają chirurga do swego obozu. Odnoszą się do niego brutalnie, ostrzegają: „Sprowadziliśmy pana, żeby dać panu ostrzeżenie — powiedział patrząc mu w oczy. Wiadomo nam, że udzielał pan pomocy komunistom. Jeśli nie zaprzestanie pan tej swojej działalności, zastrzelimy. To wszystko! Odprowadzić!" [10]

Przed lekarzem powstaje problem: odejść do lasu, tym bardziej że i Niemcy ostrzegają go, że wiedzą o kontaktach z partyzantami, czy pozostać? Jeżeli odejdzie do lasu, do „komunistów", szpital zostanie bez chirurga, ludność bez pomocy. Powstaje pytanie, komu pomagać, a komu nie? Czy wolno wybierać? Czy wolno pozostawić szpital bez lekarza, ratując swe życie, swoje plany na przyszłość? Podjęta decyzja jest jednoznaczna. Zostaje, leczy wszystkich zgodnie z zadaniami zawodu. Spadają na niego represje okupanta. Aresztowany, skato-

[6] Tamże, s. 340.
[7] Tamże, s. 337.
[8] *J. Stompor:* Człowiek z lancetem. Warszawa 1964, s. 15.
[9] Tamże, s. 271.
[10] Tamże, s. 160.

wany, z połamanymi żebrami, wieziony na rozstrzelanie, „odbity" jest przez partyzantów Gwardii Ludowej. Do końca wojny pozostaje pod opieką partyzantów, lecząc swoje rany.

Wobec ucieczki okupanta ludność w miasteczku przypuszcza, że uciekł wraz z hitlerowcami. Nikt nie wie, co się stało, a może nie chcą wiedzieć, bo tak wygodniej? Widząc powrót lekarza po wyzwoleniu, oskarżają go o kolaborację. Przesłuchiwany przez przedstawiciela władzy ludowej, który nie chce zrozumieć, że wykonywał on swój zawód zgodnie z płynącymi z niego zobowiązaniami, zastanawia się, jak wobec tego powinien postępować. Dokonał wyboru zgodnego z etyką zawodu i za to płacił w czasie okupacji utratą zdrowia, ryzykował życiem, płacił utratą szacunku ludności, której kryteria szacunku dla człowieka są inne, niż etyka zawodu lekarskiego. Jego sprawa nie skończyła się wraz z ucieczką wroga. Przyszła nowa władza z ludźmi o dość indywidualnych poglądach na zadania zawodu lekarskiego.

Dalszy jak gdyby ciąg tej epopei człowieka uczciwego znajdujemy w sztuce *Jerzego Lutowskiego* „Ostry dyżur" [11].

Bohaterem „Ostrego dyżuru" jest także chirurg, który udzielał pomocy lekarskiej rannemu członkowi bandy już po wyzwoleniu ziem polskich. Wezwali go do pomocy. Nie wiedział, komu jej udzielał, czy jednak, nawet gdyby wiedział, mógłby tej pomocy odmówić? Ale za to, że spełnił swój obowiązek zawodowy, aresztowano go, a następnie skazano za współpracę z bandami. Złamano mu karierę zawodową i życie osobiste, a kiedy po kilku latach powstała konieczność operowania działacza politycznego, nie pozwolono mu wykonać tej operacji. Ryzykując życiem działacza, politycy bali się, że może lekarz zechce się zemścić na tym nie znanym sobie, a potrzebującym pomocy człowieku. Zawodowy polityk nie może zrozumieć, że „doktor Osiński jest lekarzem! Poza wszystkim i przede wszystkim lekarzem. Posiada etykę zawodową! A ta etyka nie rozróżnia barw czy odcieni politycznych. Ta etyka każe pomagać choremu [...] Każdemu choremu, kimkolwiek by był".

Etyka lekarza, to nie to samo, co etyka żołnierza czy polityka, ale realizacja płynących z niej zadań wymaga dużej kultury osobistej, dużej odporności psychicznej. Wykonywanie zawodu lekarskiego nie jest łatwe, pomijając czynności i zadania techniczne, nie jest łatwe i nie było łatwe z punktu widzenia konfliktów moralnych, na które lekarz jest szczególnie narażony.

Okres okupacji, obozy, łapanki, bestialstwo okupanta łamały ludzi, wśród nich także lekarzy. *W. Fejkiel* w swych wstrząsających wspomnieniach z obozu koncentracyjnego pisze: „W atmosferze wielkiego terroru czasem trudno wymagać innego postępowania od przeciętnego człowieka. Było jednak dość dużo takich, co potrafili znaleźć w sobie tyle odwagi i poświęcenia, żeby stanąć na wysokości zadania" [12]. A ludzie ci przeżyli życie, którego nigdy nie zapomną, przeżycia ich pozostawiły trwały ślad na psychice.

Nie należy także zapominać o lekarzach-partyzantach w prymitywnych warunkach udzielających pomocy, działających „cuda" bez środków farmaceutycznych, odżywienia, odpowiednich warunków higienicznych. Udzielali oni chorym nie tylko pomocy lekarskiej, lecz także dawali im poczucie bezpieczeństwa, wskrzeszali wiarę w skuteczność niesionej pomocy, w wysoką wartość każdego życia.

Rok 1945 przyniósł zakończenie wojny w Polsce, ale nie dla wszystkich lekarzy. Lekarze wyjeżdżali do walczącej Korei, aby nieść pomoc ofiarom wojny i pracować tam w prymitywnych warunkach. Musieli dokonać wyboru między odpoczynkiem po straszliwej wojnie zakończonej na ziemi ojczystej, między stabilizacją rodzinną, zawodową, materialną a ceną życia ludzkiego. Wybierali to ostatnie. Stali i stoją na straży życia. Nie złamały ich trudności. Nie boją się w swej większości odpowiedzialności. Czy jednak skończył się czas prób? W zawodzie lekarskim zawsze powstawały i powstają konieczności wyboru.

Przedstawione refleksje, sformułowane w oparciu o dość jednostronnie opracowany materiał, nie mają charakteru podsumowania. W szkicu tym nie zostały objęte wszystkie sprawy lekarzy w związku z wykonywanym zawodem, ale jedynie te, które korespondują z charakterem „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Czuję się niejako w obowiązku zwrócenia uwagi na to, że materiały pamiętnikarskie i literatura piękna odgrywają wielką rolę w tworzeniu stereotypów, związanych ze znaczeniem i funkcjami lekarzy w społeczeństwie. Literatura piękna i pamiętniki pokazują jedynie pozytywny obraz ludzi w białych kitlach w trudnych czasach okupacji, ludzi, którzy z konfliktowych sytuacji potrafili wychodzić zwycięsko.

[11] *J. Lutowski:* Ostry dyżur. Czytelnik, Warszawa 1956, s. 46.

[12] Pamiętniki lekarzy. Wyd. cyt., s. 463.

„Do czego może doprowadzić brak wszelkiego szacunku dla obcego życia, pogarda dla życia człowieka innej narodowości lub rasy, o tym my, Polacy mogliśmy się dobitnie i, niestety, zbyt boleśnie przekonać podczas okupacji hitlerowskiej. Wystarczający chyba i dość odstraszający to przykład. Więc czcząc i ceniąc życie służmy każdemu życiu, gdyż każdy ma prawo do życia".

W. Szenajch: Myśli lekarza. PZWL, Warszawa 1958, str. 12.

ANTONI KĘPIŃSKI Kraków

Refleksje oświęcimskie: psychopatologia władzy

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *K. Spett*)

„Obóz koncentracyjny nauczył mnie jednego: nienawidzić dyscypliny i porządku" — powiedział w dyskusji na jednym z posiedzeń Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, na kilka lat przed śmiercią, prof. dr *Jan Miodoński,* były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Sformułowanie wydawać by się mogło dziwne, biorąc pod uwagę, jak wielką rolę w życiu jednostek i społeczeństw odgrywa dyscyplina i porządek.

Słowo „dyscyplina" pochodzi od łacińskiego *discipulus* i *discere*. Od chwili urodzenia jesteśmy „uczniami" otaczającego nas środowiska społecznego i uczymy się wciąż nowych rodzajów „porządku", które integrują nasze sposoby zachowania się. Dzieje się to począwszy od dyscypliny przyjmowania pokarmów, funkcji wydalniczych, ruchów lokomocyjnych i chwytnych, przez dyscyplinę najwyższej formy ruchu: słowa, dzięki której zdobywamy gotowy system widzenia otaczającego świata, myślenia i odczuwania, aż po wszelkie rodzaje porządku społecznego, poznawczego, estetycznego, moralnego itd., z którymi w ciągu naszego życia się stykamy i którym się podporządkowujemy.

Nie znamy definicji życia, lecz jeśli za fizykiem *Schroedingerem* przyjmiemy, że jest nim ustawiczne przeciwstawianie się entropii, czyli tendencji materii do bezładnego ruchu cząsteczek, wówczas porządek staje się najbardziej istotną cechą życia.

W ustawicznej wymianie energii i informacji ze środowiskiem (metabolizm energetyczny i informacyjny) każdy żywy ustrój, od najprostszego do najbardziej skomplikowanego, stara się zachować swój własny porządek. Utrata tego porządku jest równoznaczna ze śmiercią, jest zwycięstwem drugiego prawa termodynamiki (entropii). Mimo pozornej stałości żywego ustroju żaden atom w nim nie pozostaje ten sam; po krótkim stosunkowo czasie zostaje wymieniony przez atom środowiska zewnętrznego. Stała pozostaje tylko struktura, swoisty porządek, specyficzny dla danego ustroju. Ta swoistość, czyli indywidualność odnosi się zarówno do porządku na poziomie biochemicznym (swoistość białek ustroju), fizjologicznym, morfologicznym, jak też informacyjnym.

Ten ostatni rodzaj porządku dotyczy sygnałów odbieranych ze świata otaczającego i swoistych reakcji na niego. Dzięki metabolizmowi informacyjnemu „moim" staje się nie tylko własny ustrój, ale też otaczający świat, który się w swoisty sposób spostrzega, przeżywa i na niego swoiście reaguje. W miarę filogenetycznego rozwoju układu nerwowego metabolizm informacyjny odgrywa coraz większą rolę w porównaniu z metabolizmem energetycznym.

Utrzymanie porządku swoistego dla danego ustroju wymaga od niego stałego wysiłku, który jest warunkiem życia. Wysiłku życia, który przeciwstawia się entropii, a którego wygaśnięcie oznacza śmierć, częściowo oszczędza biologiczne dziedziczenie. Dzięki niemu swoisty porządek przenosi się z jednego pokolenia na drugie. Reprodukcja seksualna zapewnia większą rozmaitość struktur, gdyż plan genetyczny powstały z połączenia dwóch komórek rozrodczych jest nowym planem, a nie wiernym odbiciem planu komórki macierzystej, jak w wypadku reprodukcji aseksualnej. Ta ostatnia przypomina produkcję techniczną, w której wytwarzane modele są wiernym odbiciem prototypu.

Człowiek obok dziedziczenia biologicznego dysponuje dziedziczeniem społecznym, dzięki któremu może wejść w posiadanie określonych wartości materialnych i duchowych. Wysiłek tysięcy pokoleń, związany z wykształceniem mowy, pisma, wiadomości o świecie, wartości moralnych, artystycznych, urządzeń technicznych itp. jest mu przekazywany od momentu urodzenia. Gdyby tej spuścizny był pozbawiony, musiałby wciąż zaczynać od nowa. Rozwój kultury byłby niemożliwy.

Zagadnienie porządku wiąże się integralnie z problemem władzy. Aby otaczające środowisko przekształcić w swój własny porządek, strukturę własnego ustroju, trzeba tę część otoczenia najpierw zdobyć, stać się jej panem i władcą. Walka o władzę nad terenem, w którym się żyje, jest cechą nie tylko ludzką, lecz zwierzęcą, a nawet roślinną. Próba zajęcia obszaru władzy przez intruza wywołuje u zwierząt reakcję agresji lub ucieczki; banalnym przykładem jest pies warczący na tego, kto chce odebrać mu jego kość. Socjologia zwierząt dostarcza wielu interesujących przykładów zarówno walki o władzę, jak i hierarchii, jaka się w grupach zwierzęcych wytwarza (np. kura o wyższej randze społecznej dziobie bez pardonu kurę niższej rangi, która nawet nie próbuje się bronić; jest to tzw. *pecking order*).

Zagadnienie władzy istnieje też wewnątrz ustrojów wielokomórkowych. W wielomiliardowym „społeczeństwie" komórek musi istnieć określony porządek. Porządek ten jest zakodowany w substancji genetycznej, która stanowi istotną składową każdego jądra komórkowego. Jest ono „mocodawcą" komórki. Bez niego nie może ona istnieć. Układ endokrynny i nerwowy spełniają w ustroju rolę jakby pomocniczą w stosunku do planu genetycznego, wzmac-

niają jego działanie integrujące, modelując plan działania zależnie od aktualnych potrzeb ustroju i warunków otoczenia.

Chorobę nowotworową można by określić jako „bunt" komórki przeciw obowiązującemu w danym ustroju porządkowi. Komórki nowotworowe, uwolniwszy się od ogólnej dyscypliny, swobodnie, „nie licząc się" z resztą ustroju, zaspokajają swe prawa do zachowania swego życia i życia swego nowego gatunku. Rozrastają się i rozmnażają kosztem innych, „niezbuntowanych" komórek.

Patrząc na ustrój całościowo, nie można pominąć zagadnienia władzy; zarysowuje się ono nawet u ustrojów, stojących na najniższych szczeblach filogenezy. Aby żyć i rozmnażać się, trzeba zdobywać otaczający świat. To zagadnienie, jak wiele spraw zasadniczych życia ludzkiego, występuje w patologicznie wyolbrzymionej postaci, również w schizofrenii. Chory, zwłaszcza w ostrym okresie schizofrenii, w swoich patologicznych przeżyciach często oscyluje między poczuciem boskiej wszechmocy, w którym odczytuje on myśli ludzkie, kieruje ich wolą, rządzi biegiem wydarzeń na ziemi i we wszechświecie, a poczuciem całkowitej utraty władzy, gdy inni odczytują jego myśli, kierują jego ruchami, mową i myślami, gdy czuje się automatem obezwładnionym przez otaczający świat. W przedchorobowej linii życiowej schizofreników często na pierwszy plan wysuwają się trudności zdobycia swego miejsca w otaczającym świecie i właściwego ustawienia dylematu „rządzę i jestem rządzony".

Zagadnienie władzy wiąże się nie tylko z prawem zachowania życia, lecz też z prawem zachowania gatunku i z metabolizmem informacyjnym. W pierwszym wypadku władza jest jednostronna, a w drugim i trzecim obustronna. Ta część otoczenia, która musi zostać zniszczona i wchłonięta, by dostarczyć ustrojowi potrzebnej mu energii do życia, nie ma już nad nim władzy. W kontakcie seksualnym i erotycznym władza jest obustronna. Jest się panem i niewolnikiem swego partnera. W wymianie sygnałów z otoczeniem musi się przyjmować porządek otoczenia, jednocześnie starając się mu narzucić swój własny.

Trzy rodzaje władzy nad otoczeniem określa ten sam zaimek dzierżawczy „mój". „Moimi" są jedzenie, mieszkanie, pieniądze itd., przedmioty zabezpieczające prawo do zachowania życia. „Moimi" są osoby zapewniające prawo zachowania gatunku, w wąskim zakresie partner seksualny, w szerszym osoby należące do tych samych grup społecznych: rodzinnej, narodowej, religijnej, zawodowej, klasowej itp. U podstawy bowiem związków społecznych różnego rodzaju tkwi prawo zachowania gatunku. Grupa rodzinna, która jest najprostszą i najwcześniejszą ich formą, jest bezpośrednim wynikiem tego prawa. „Moimi" są wreszcie własne przeżycia, wrażenia, uczucia, myśli, zdobyte wiadomości, postanowienia i czyny. Sygnały płynące ze świata otaczającego zostają w swoisty sposób uporządkowane, warunkując swoistą na nie reakcję.

Metabolizm informacyjny, określony przez *Pawłowa* jako odruchowość bezwarunkowa i warunkowa, rozszerza obszar władzy ustroju nad światem otaczającym. „Moim" staje się nie tylko ta część otoczenia, która zostaje zasymilowana i przekształcona w sam ustrój i nie tylko ta, z którą przejściowe złączenie warunkuje powstanie nowego ustroju, lecz znacznie szerszy krąg świata otaczającego, którego minimalne ilości energii, nie odgrywające żadnej roli w metabolizmie energetycznym, stają się sygnałami warunkującymi zachowanie się ustroju. Metabolizm informacyjny jest wstępnym krokiem przed wejściem w kontakt asymilacyjny i reprodukcyjny ze światem otaczającym. Nim stanie się on „moim" w sensie tworzenia substancji własnego ustroju lub seksualnego złączenia, musi stać się „moim" w sensie możności orientowania się w nim. Ustrój musi „wiedzieć", jak się w nim poruszać, aby zaspokoić dwa podstawowe prawa biologiczne: zachowania życia własnego i gatunku.

W miarę filogenetycznego rozwoju metabolizmu informacyjnego, który istnieje w każdej komórce w postaci jej zdolności odbierania bodźców otoczenia i reagowania na nie, a który w ustrojach wielokomórkowych staje się przede wszystkim domeną w tym kierunku wyspecjalizowanych komórek (odbieranie bodźców — receptory, reagowanie — efektory, a przenoszenie ich i porządkowanie — komórki nerwowe), życie staje się coraz bardziej przygotowaniem do życia, jeśli za jego istotę przyjmuje się wypełnianie dwóch podstawowych praw biologicznych. Natomiast w ustrojach najprostszych życie zamyka się w spełnianiu tych praw, margines przygotowania jest minimalny. Świat otaczający służy im tylko do przekształcania go we własną strukturę ustroju, jest całkowicie „moim" światem, lub gdy tego warunku nie spełnia, grozi zagładą, rozbiciem własnego porządku, co jest równoznaczne ze śmiercią. Gdyby próba odtworzenia przeżyć na tym poziomie filogenezy nie była zbytnim fantazjowaniem, to można by przypuszczać, że oscylują one między poczuciem wszechmocy a poczuciem zagrożenia śmiercią; świat jest albo całkowicie „mój", albo całkowicie „obcy", przy czym obcość oznacza śmierć.

Zaspokojenie podstawowych potrzeb biologicznych łączy się z przeżyciami przyjemnymi, ich niezaspokojenie — z przeżyciami przykrymi. Świat „mój" przyciąga, a „obcy" odpycha. Władza nad otaczającym światem jest więc źródłem przyjemności, a jej brak źródłem uczuć przykrych. Świat obcy budzi lęk i agresję, pragnie się przed nim uciec lub go zniszczyć.

Co się tyczy zagadnienia władzy nad otoczeniem, istnieją pewne analogie między sytuacją na najniższych stopniach filogenezy a sytuacją, w jakiej znajduje się człowiek w początkach swego rozwoju ontogenetycznego, gdy jego układ sygnalizacyjny jest jeszcze czynnościo-

wo bardzo słabo rozwinięty. Podobnie jak najniższe formy żyjące, jest on w okresie życia płodowego i niemowlęctwa całkowicie skazany na swe otoczenie, bez niego przestaje istnieć. Otoczenie jest wyłącznie jego, ma nad nim pełnię władzy, zaspokaja bowiem wszystkie jego potrzeby lub gdy tak nie jest, zagraża mu śmierć. Wielu psychiatrów, zwłaszcza tych, którzy zajmują się przeżyciami wczesnego okresu dzieciństwa, uważa, że poczucie wszechmocy i nieodczuwanie granicy między światem własnym a otaczającym charakteryzuje przeżycia niemowląt. Dość częste występowanie przeżyć tego typu w schizofrenii uważa się za regresję do najwcześniejszych okresów rozwoju. Despotyzm jest powszechnie uważany za osiowy objaw infantylizmu emocjonalnego. Absolutna władza wiąże się z absolutną zależnością. Władca, podobnie jak niemowlę bez swej matki, nie może istnieć bez swych poddanych. Zatraca on też granicę między sobą a podległym mu otoczeniem, w myśl mickiewiczowskiego „jam milion i cierpię za miliony" lub Ludwikowskiego *„l'etat c'est moi"*.

Rozwój układu sygnalizacyjnego zmniejsza zależność ustroju od otoczenia. Kontakt z nim nie oznacza konieczności wzięcia go w całkowite posiadanie, w którym zostaje ono całkowicie zmienione w strukturę ustroju, lub też sytuacji odwrotnej, gdy żywy ustrój zostaje zmieniony w strukturę otoczenia.

Kontakt ze światem traci ostrość alternatywy: „zwyciężę" lub „zostanę zwyciężony", w której zwycięstwo własne oznacza śmierć otoczenia, a zwycięstwo otoczenia — śmierć własną. Walka z otoczeniem istnieje nadal, gdyż stanowi ona sens życia, jeśli traktujemy je jako dążność do utrzymania własnego porządku kosztem porządku otoczenia. Jednak zwycięstwa i porażki tracą dramatyczny aspekt alternatywy „być albo nie być", a nabierają charakteru walki „na niby", jakby zabawy z otoczeniem. W zabawie tej można być bezkarnie zwyciężonym przez otoczenie; przyjmuje się wówczas jego porządek; na tym zresztą polega dyscyplina w sensie uczenia się porządku otoczenia; można też być zwycięzcą, swój porządek narzucić otoczeniu, nie niszcząc go wszakże przy tej okazji, jak się to dzieje w wypadku wymiany energetycznej ze środowiskiem. Te „igraszki" ze światem otaczającym stają się celem samym w sobie. Można je zaobserwować nawet na bardzo niskich szczeblach rozwoju filogenetycznego. Huizingowskie *homo ludens*, jak się zdaje, nie tylko do człowieka się odnosi.

Interakcja z otoczeniem w sensie przyjmowania jego sygnałów i odpowiadania na nie, w której to wymianie sygnalizacyjnej raz jest się zwyciężonym, a raz zwycięzcą, jest koniecznym warunkiem nasycenia metabolizmu informacyjnego, bez którego nie mógłby się rozwinąć należycie metabolizm energetyczny i kontakt reprodukcyjny z otoczeniem. Inaczej mówiąc, nie można wejść w sedno życia, którym jest zaspokojenie dwóch podstawowych praw biologicznych, bez przejścia przez izolujący obszar igrania z otaczającym światem, w którym kontakt z nim polega na wzajemnej wymianie informacji. Jak wspomniano, w miarę rozwoju układu sygnalizacyjnego ten obszar izolacyjny staje się coraz szerszy. Schizofreniczny autyzm, czyli przerwanie metabolizmu informacyjnego, prowadzi w skrajnych wypadkach do zakłóceń w metabolizmie energetycznym (chory np. przestaje jeść), a prawie z reguły unicestwia prawo zachowania gatunku.

Skok ewolucyjny, jakim było powstanie człowieka, na ogół odnosi się do nieproporcjonalnego, w porównaniu z innymi układami ustroju, rozwoju układu sygnalizacyjnego, zwłaszcza tej jego części, która przede wszystkim służy do integracji sygnałów wchodzących i wychodzących z ustroju, tj. kory mózgowej. Miliardy komórek korowych zapewniają niesłychane bogactwo sposobów wymiany informacji z otoczeniem (struktur czynnościowych), z których w ciągu życia tylko nieznaczny odsetek zostaje wyzyskany. Jest to zasada rozrzutnej ekonomii, dość powszechna w świecie ożywionym. Na tej samej zasadzie tylko mały odsetek istniejących w przyrodzie planów genetycznych zostaje rozwinięty w dojrzałe ustroje.

Na tej samej zasadzie narządy ustroju pracują tylko na pewnym procencie swej maksymalnej wydolności. Presja otoczenia, szczególnie środowiska społecznego i dziedziczenia społecznego, zmusza do rozwinięcia tylko tych form interakcji z otoczeniem, które są w danym kręgu kulturalnym i w danej epoce akceptowane. Może bez tego nacisku zewnętrznego, społecznej dyscypliny, powstałby chaos. Może w nieuświadomionym lęku przed tym chaosem człowiek od początku swego istnienia wymyśla wszelkie sposoby krępowania swobody zarówno ludzi, zwierząt i roślin, z którymi jest w kontakcie, jak i samego siebie. Tam, gdzie znajduje się kraty i kajdany, można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że ma się do czynienia ze śladami człowieka.

Starając się patrzeć na zagadnienie porządku i dyscypliny oczyma tych, którzy przeszli przez obozy koncentracyjne, trudno zaprzeczyć trafności cytowanych na wstępie słów *Jana Miodońskiego*. Dążenie do porządku i dyscypliny doszło tam do apogeum makabrycznego absurdu. Trzecia Rzesza już się waliła, a „koncerny" zagłady działały nadal sprawnie, a nawet wzmagały swą „produkcję". W nich najdłużej utrzymywała się idea *„Mein Kampf"*, były bowiem one kwintesencją tej idei. Hitlerowska koncepcja naprawy świata była wyjątkowo prosta: zniszczyć wszystko to, co zagraża czystości rasy *übermenschów*, przede wszystkim zlikwidować Żydów. Po tym akcie zniszczenia miał nastąpić „raj ludzi wspaniałych". Koncepcja to nienowa w historii ludzkości, ale nigdy tak prosto nie sformułowana i tak konsekwentnie nie przeprowadzona.

W każdej ideologii społecznej, a było ich w ciągu dziejów niemało, istnieje agresja do tego, co z nią jest niezgodne, przede wszyst-

kim do tych, którzy nie są jej wyznawcami. Obraz świata upraszcza się do biało-czarnego, ludzie dzielą się na „wierzących" i „niewierzących", pierwsi są dobrzy, drudzy — źli. Wewnętrzna walka między różnymi możliwościami aktywności, którą w ocenie własnej odczuwa się często jak walkę dobrego ze złem, zostaje przeniesiona na zewnątrz. Akceptując gotową formę aktywności, redukuje się własną niepewność, wahanie między alternatywnymi możliwościami, jest się dobrym, póki zgodnie z tą formą się postępuje. Złem staje się to, co jest na zewnątrz i z tą formą się nie zgadza. Przyjęcie gotowej struktury z zewnątrz ułatwia wewnętrzną integrację, porządek dynamiczny zmienia się w statyczny, chwiejąca się trzcina przekształca się w posąg. Takim posągiem był człowiek Trzeciej Rzeszy; szedł on prosto przed siebie do celu wytkniętego przez wodza, niszcząc i depcząc wszystko, co stało mu na drodze.

Rozwój układu sygnalizacyjnego u człowieka, a zwłaszcza najwyższej formy sygnału, jaką jest słowo, umożliwia mu w nieporównywalnie wyższym stopniu niż zwierzętom korzystanie z gotowych struktur czynnościowych. Zamiast wypracowywać je od nowa, uczy się ich od otoczenia społecznego. Dyscyplina jest koniecznym warunkiem asymilowania tych gotowych form zachowania się z otoczenia społecznego. Akceptowanie ich jest nagradzane, a odrzucanie — karane. Tworzy się zewnętrzny układ kontrolujący zachowanie jednostki, odczuwany przez nią jako „zwierciadło społeczne" („co o mnie pomyślą").

W miarę asymilacji nowej struktury czynnościowej zewnętrzny układ kontrolujący zostaje włączony w wewnętrzny układ samokontroli. Władza sędziowska z otoczenia przenosi się na jednostkę. Człowiek sam sobie staje się sędzią. Zwierciadło społeczne ulega w ten sposób internalizacji; staje się częścią sumienia, Freudowskiego *superego* czy Sokratesowskiego *daimonionu.*

Sumieniem człowieka Trzeciej Rzeszy był rozkaz wodza. Poczucie winy rodziło się, gdy rozkaz był źle wypełniany. Nerwica obozowa *Hössa* nie wynikała z poczucia winy, że jest sprawcą zagłady setek tysięcy ludzi, lecz z tego, że zagłada ta nie przebiegała dostatecznie sprawnie. Objawy nerwicowe zmniejszyły się, gdy metody zagłady udoskonalono przez wprowadzenie gazowania. Konsekwencją internalizacji rozkazu wodza jest notoryczny brak poczucia winy u zbrodniarzy wojennych. *A rebours* można by się również dziwić, że ktoś czuje się niewinny wobec zarzutu postępowania zgodnego z dekalogiem.

Istotną cechą każdego układu sygnalizacyjnego, zarówno technicznego, jak biologicznego, jest zdolność samokontroli. W zasadniczym schemacie układ taki przedstawia się następująco: sygnały z zewnątrz zostają przekształcone na swoisty język układu (np. impuls elektryczny w maszynach elektronowych, impuls nerwowy w układzie nerwowym). Przekształcone sygnały zostają zintegrowane według jakiegoś planu (danego z zewnątrz w postaci zaprogramowania w wypadku układów technicznych, powstającego wewnątrz układu w wypadku układów biologicznych), wynik integracji w postaci rozkazu trafia do efektorów (np. komórek mięśniowych w układach biologicznych). W nich sygnał wewnątrzukładowy zostaje przekształcony w sygnał zzewnątrzukładowy, inaczej mówiąc: język własny układu zmienia się na język zrozumiały dla jego otoczenia. Ostatni etap w wymianie sygnałów między układem a jego otoczeniem stanowi sprzężenie zwrotne; od niego właśnie zależy zdolność samokontrolująca układu. Polega ono na tym, że część sygnałów wychodzących z układu wraca do niego z powrotem. Dzięki temu plan układu nie jest nigdy utrwalony; zmienia się zależnie od sygnałów powracających, które informują o tym, jak został on wykonany i jakie zmiany wywołał w otoczeniu. W układzie nerwowym można znaleźć wiele przykładów sprzężenia zwrotnego. Na najwyższym poziomie integracji czynności układu nerwowego, na którym już dana aktywność staje się świadoma, to, co odpowiada mechanizmowi sprzężenia zwrotnego, jest przeżywane jako zdolność samokontroli. „Zwierciadło społeczne" odpowiadałoby sygnałom zwrotnym, które informują o tym, jaki efekt w otoczeniu wywołało nasze zachowanie się, a to, co określa się jako sumienie, powstawałoby przez scalanie tychże zwrotnych informacji z najbardziej ogólnym, a tym samym świadomym planem aktywności (tzw. internalizacja).

Wejście do obozu oznaczało dla więźnia rozbicie dotychczasowego „zwierciadła społecznego"; wszystko, czym był on przedtem, przestawało się liczyć; stawał się numerem. Miał trzy możliwości do wyboru: 1) widzieć siebie oczyma obcego otoczenia, tj. być tylko numerem obozowym; 2) zachować dawny obraz siebie, co było nierealne, ale łagodziło w pewnej mierze potworność pierwszej alternatywy, 3) zidentyfikować się z grupą władców przez przyjęcie ich form zachowania, z numeru zmienić się w wodza, przynajmniej w oczach więźniów. Życie obozowe zmuszało do oscylowania między trzema powyższymi możliwościami, zwłaszcza dwiema pierwszymi.

Cechą zjawisk życiowych jest równowaga chwiejna, pomiędzy zmiennością a niezmiennością. Ustawicznie zmieniają się plany aktywności ustroju, a jednak zasadnicza linia rozwoju pozostaje ta sama. W miarę częstości realizowania dany plan (struktura czynnościowa) ulega utrwaleniu i automatyzacji. We wczesnym dzieciństwie chód jest chwiejny i niepewny, wymaga dużego wysiłku woli, a z czasem staje się czynnością pewną, zautomatyzowaną, przebiegającą ściśle według schematu. Nie należy jednak zapominać, że schemat ten jest stale modulowany w zależności od sygnałów zwrotnych, przede wszystkim proprioceptywnych, a więc istnieje w nim pewien stopień labilności. Niepewność jest tu jednak niewielka, układ nerwowy nie musi być całościowo zaangażowany w realizacji planu funkcji loko-

mocyjnej. Dzieje się tak dopiero wówczas, gdy np. wskutek zmęczenia czy też niezwykłości terenu itp. realizacja planu staje się zbyt trudna; wtedy każdy krok staje się czynnością świadomą. Świadomość, czyli całościowe zaangażowanie układu nerwowego, jest jakby zarezerwowana dla aktywności najtrudniejszych.

W szkole esesmanów wielu młodych adeptów wzdragało się na początku przed torturowaniem zwierząt i ludzi. Jednak stopniowo, w miarę szkolenia wewnętrzny opór znikał, okrucieństwo było wszak traktowane jako cecha na wskroś męska, w końcu zaś czynności budzące niegdyś odrazę wykonywano prawie automatycznie, z minimalnym oporem lub bez oporu.

Poza tym przyjęcie danej ideologii społecznej redukuje niepewność związaną z samym faktem istnienia, z koniecznością wyboru właściwego sposobu zachowania się spośród wielu możliwych. Im wyższy bowiem stopień ewolucji, tym większą liczbą możliwych sposobów zachowania się (struktur czynnościowych) dysponuje jednostka i tym samym więcej skazana jest na wahanie się, jej równowaga staje się coraz bardziej chwiejna. Kartezjańskie *cogito, ergo sum* oddaje ten ludzki stan wątpienia i niepewności.

Jeśli jednak ewolucja przyrody ożywionej, przeciwstawiając się entropii, idzie w kierunku tworzenia nowych, bogatszych i lepiej dostosowanych do życia form morfologicznych i funkcjonalnych, przy czym największą swobodę twórczą ma ona w formach czynnościowych określanych pojęciem myślenia, to z drugiej strony obserwować można w przyrodzie tendencję przeciwstawną, hamującą dynamikę ewolucji, a polegającą jakby na kurczowym trzymaniu się form starych, często do życia już niedostosowanych, a nawet wręcz szkodliwych. Jest to swoisty konserwatyzm przyrody ożywionej, jej niezmienność w ustawicznej zmienności, jej rzec można bezwładność, unikanie wysiłku twórczego.

U człowieka, który uważany jest wprawdzie przez samego siebie, ale chyba słusznie, za szczytowe osiągnięcie ewolucji na tej planecie, w związku z rozwojem układu nerwowego, a w szczególności kory mózgowej, istnieją, praktycznie biorąc, nieograniczone możliwości tworzenia form (struktur) czynnościowych. Jeśli właśnie one są miernikiem dynamiki ewolucji, to należy się spodziewać, że na zasadzie równowagi procesów przeciwstawnych również silne będą tendencje hamujące dynamikę ewolucji, tj. ograniczające swobodę tworzenia nowych form czynnościowych. Nie jest więc kwestią przypadku, że wszelkie formy krępowania swobody, kraty, więzienia itp. są swoiście ludzką cechą.

Dyscyplina wychowania polega w dużej mierze na zakazach. Z wielu potencjalnych form czynnościowych tylko nieliczne mają prawo rozwoju, inne muszą zostać stłumione. Fakt, że chodzimy, mówimy, piszemy itd. w określony sposób, wynika nie tylko stąd, że dane formy zachowania się zostały pod wpływem uczenia się rozwinięte, lecz też stąd, że inne możliwe zostały jednocześnie stłumione. Proces nauczania najłatwiej ująć w pawłowowskim schemacie pobudzenia i hamowania. Ucząc się chodzić, dziecko wykonuje wiele niepotrzebnych ruchów, które stopniowo eliminuje. Rysunek dziecka w wieku przedszkolnym jest zwykle bogatszy zarówno tematycznie, jak i formalnie, niż dziecka w wieku szkolnym, które zostało już wdrożone w określone formy ekspresji rysunkowej. Bogactwo przeżyć schizofrenicznych można tłumaczyć wyładowaniem stłumionych przez życie przedchorobowe form zachowania się. Szkolenie hitlerowskich „nadludzi" polegało na tłumieniu w nich ludzkich uczuć, a na rozwijaniu uczuć agresywnych i sadystycznych.

Ideologie społeczne, które w sposób mniej lub więcej rygorystyczny zmierzają do całościowego uformowania zachowania się człowieka, podobnie jak w wypadku uczenia się czynności bardziej wycinkowych, polegają na pobudzaniu jednych, a tłumieniu innych form zachowania się. Niebezpieczeństwo tkwi w ich całościowym charakterze. Jeśli dziecko ucząc się chodzić wraca czasem do starszego ontogenetycznie sposobu lokomocyjnego, np. raczkowania, to nadal pozostaje tym samym dzieckiem, funkcje lokomocyjne są bowiem tylko pewnym wycinkiem jego zachowania się. Presja otoczenia ogranicza się w tym wypadku do aprobaty jednej formy zachowania się, z odrzuceniem drugiej. Gdy wchodzi w grę całościowa ocena zachowania się, to wówczas cała osoba jako taka, za to, że przekracza obowiązujące normy, zostaje wyłączona ze swojej grupy społecznej.

Całościowa ocena rzadko bywa rzeczywiście całościową. Często wystarczy drobny szczegół: inny kolor skóry, haczykowaty nos, odmienny krój ubrania, obcy język itd., aby dany człowiek był postawiony poza granicami tego, co bliskie i zrozumiałe, stał się obcy, a nieraz wrogi. Trudno odpowiedzieć na pytanie, skąd się bierze taka łatwość oceny drugiego człowieka, dzięki której na podstawie błahej nieraz cechy z miejsca jest się ustawionym po prawicy lub po lewicy. Możliwe, że w tak skrajnej, a często karykaturalnej formie wyraża się biologiczna tendencja do tworzenia granic między odmiennymi układami. Na przykład komórki o odmiennej funkcji i strukturze oddzielają się od siebie tkanką łączną, która spełnia między innymi rolę granic dzielących wielomiliardową społeczność komórkową na mniejsze społeczności o różnych funkcjach i zadaniach. Z drugiej jednak strony tendencja do tworzenia granic jest antybiologiczna, hamuje bowiem ewolucję przyrody, której warunkiem jest harmonijna współzależność między różnymi formami życia i parzenie się form pokrewnych, dzięki czemu wciąż nowe powstają. W sensie biologicznym granica nigdy więc nie jest ostra, zawsze możliwe jest przenikanie przez nią i wzajemne oddziaływanie jednych form na drugie.

Pod całościową oceną drugiego człowieka,

dzięki której z miejsca znajduje się on po jednej lub drugiej stronie granicy — staje się „swoim" lub „obcym", kryje się z reguły silny ładunek emocjonalny. Podział taki odpowiada podstawowej tendencji orientacyjnej, polegającej na przyjęciu postawy „do" lub „od" otoczenia, u człowieka sterowanej głównie przez starsze filogenetycznie części układu nerwowego: *rhinen-*, *dien-* i *mesencephalon*, wiążącej się z silnym wyładowaniem wegetatywnym, a subiektywnie z uczuciami lęku i nienawiści (w wypadku postawy „od") lub pożądania (w wypadku postawy „do"). Funkcje gnostyczne, które u człowieka wiąże się przede wszystkim z aktywnością części filogenetycznie najmłodszych układu nerwowego (*neocortex*), są tu zredukowane do minimum. Zróżnicowany obraz świata otaczającego upraszcza się do przedmiotów, przed którymi trzeba uciekać lub je zniszczyć, i do tych, z którymi można się złączyć w poczuciu jeśli nie seksualnej, to w każdym razie bardzo silnej wspólnoty — plemiennej, narodowej, ideologicznej itd. Gdy napięcie emocjonalne związane z zasadniczą postawą orientacyjną minie i proces gnostyczny może się rozwijać, nieraz ze zdziwieniem konstatuje się, że przedmiot pożądania nie był znów tak piękny, a przedmiot lęku i nienawiści tak odpychający.

Siła atrakcyjna ideologii społecznych poza porządkiem narzuconym wprawdzie z zewnątrz, ale zmniejszającym poczucie chaosu i niepewności, zdaje się między innymi sprowadzać do momentów natury emocjonalnej: możności wyładowania uczuć pozytywnych na współwyznawcach, a negatywnych — na ludziach innej wiary.

Nie jest się w stanie poznać wszystkiego, co nas otacza, a swoistość stosunków między ludźmi jest tego rodzaju, że nie mogą oni przechodzić koło siebie obojętnie, gdyż obojętność jest sama w sobie postawą negatywną, traktowaniem drugiego człowieka jako martwego przedmiotu, z konieczności musi się więc przeprowadzać zasadniczą ocenę podług wyboru: „swój" — „obcy" (zbliżyć się lub oddalić) na podstawie bardzo powierzchownych nieraz znaków. W czasach wojennych „zbliżyć się" lub „oddalić" zmienia się w ocenę „wróg" lub „towarzysz broni". Pomyłka w zasadniczej orientacji może skończyć się śmiercią. Mundur staje się koniecznością. Tatuowani byli nie tylko więźniowie obozów koncentracyjnych, lecz też ich oprawcy, esesmani.

Romantyzm munduru, *esprit du corps*, pojęcia nieco zdewaluowane w czasie ostatniej wojny, nie oznaczają niczego innego jak to, że się jest częścią integralną jakiejś grupy społecznej, że się zatraciło własną indywidualność, „ja" zostało zastąpione przez „my", zamiast własnej woli posługuje się wolą wodza, na niego też się składa ciężar odpowiedzialności. Mundur innego kroju czy koloru jest często sygnałem do ataku lub ucieczki.

Atrybuty władzy można by ująć między innymi w trzy punkty: odpowiedzialności, samotności i zależności. Ciężar odpowiedzialności wynika stąd, że struktury czynnościowe wodza stają się strukturami czynnościowymi jego poddanych; ulegają w ten sposób uwielokrotnieniu i tym samym wzmocnieniu. Każde słowo, gest, wyraz twarzy wodza nabierają znaczenia, liczą się, gdyż przez członków podległej mu grupy są natychmiast przyjmowane i realizowane. Dzięki grupowemu uwielokrotnieniu myśl wodza łatwo zamienia się w czyn. Wychowanie wodzów np. w wypadku władzy dziedzicznej, w dyplomacji, wojsku, w instytucjach władzy duchownej itp. polegało między innymi na uczeniu opanowywania swej ekspresji emocjonalnej, każde bowiem drgnienie twarzy, najmniejszy gest mógł okazać się brzemienny w skutkach. Twarz wodza była często maskowata i nieodgadniona, a jego gesty skąpe i przemyślane. Demokratyzacja władzy wpłynęła na obniżenie dyscypliny wewnętrznej w tym sektorze.

Możność uwielokrotnienia własnych struktur czynnościowych jest cechą każdego układu sterującego, zarówno technicznego (np. w wypadku automatyzacji produkcji), jak i biologicznego (powielanie struktury DNA i RNA, generalizacja struktur czynnościowych w układzie nerwowym). Możność ta daje władcy poczucie mocy, z drugiej jednak strony pozbawia go poczucia swobody i indywidualności. Wymiana sygnalizacyjna z otoczeniem przestaje być zabawą, gdyż jest brzemienna w skutkach przez sam fakt uwielokrotnienia sygnału. Dlatego może władcy tak chętnie widzieli błaznów i szukali wytchnienia w orgiastycznych nieraz zabawach, w ten sposób wyzwalali się na krótko od wagi swych sygnałów.

Władca musi liczyć się z tym, że jego sygnały (słowa, gesty, grymasy twarzy itd.) zostaną odczytane i powielone przez wielu ludzi. Staną się dla nich rozkazem, starać się będą go naśladować. Nie może być sobą, a jest tylko tym, czym ma być w myśl reprezentowanej przez siebie idei i czym chcą go widzieć jego właśni wyznawcy.

W relacji byłych więźniów obozów koncentracyjnych makabryczne okrucieństwo esesmanów w stosunkowo małym odsetku wypadków wynikało z ich sadyzmu, częściej zaś z chęci wykazania się, że jest się „dobrym" Niemcem, dla którego *„Mitleid ist Schwäche"*, z lęku przed wyłączeniem z grupy rządzącej, okazanie swej słabości mogło bowiem równać się wyrokowi śmierci. Okrucieństwo „kapów" obozowych, które niejednokrotnie przewyższało bezlitosność i bezwzględność esesowską, wynikało z chęci dorównania „władcom", z którymi się oni identyfikowali. Neofici, jak wiadomo, są zwykle gorliwsi od starych wyznawców. Esesman po zrzuceniu munduru mógł stać się z powrotem „poczciwym" Niemcem, zwłaszcza że nie dręczyło go poczucie winy, gdyż to, co robił w obozie, nie wynikało z jego woli, ale z woli *Führera*.

Miarą rzetelności czy odpowiedzialności układu sterującego jest jego zdolność realizowania planu, który on reprezentuje. Odnosi

się to zarówno do układów technicznych, jak i biologicznych. Lodówka jest dobra, gdy utrzymuje niską temperaturę niezależnie od warunków zewnętrznych. Układ nerwowy działa sprawnie, póki zapewnia całemu ustrojowi prawidłowy rozwój mimo trudności w środowisku zewnętrznym i wewnętrznym. Wódz jest dobrym wodzem, póki ma sukcesy, tj. swoją ideę wprowadza w czyn. Gdy sukcesów zabraknie, idea staje się urojeniem (w ten sposób na ogół wszyscy traktują obecnie ideologię nazistowską). Wódz żyje zwycięstwami, bez nich ginie. Zwycięstwo jest dowodem, że to, o co on walczy, nie jest fikcją. Zwycięstwo zamienia plan w rzeczywistość. Zazwyczaj trudno wodzowi i jego wyznawcom przyjąć fakt klęski; oznacza on, że nie mają już po co żyć. Idea, którą żyli, traci swój sens, bo nie może być już realizowana: wraz z wykonawcami staje się niepotrzebna, jak zepsuta lodówka. Pod koniec drugiej wojny światowej, gdy klęska Niemiec była tylko kwestią czasu, wielu Niemców z ich wodzem na czele do końca łudziło się możliwością zwycięstwa. Co więcej, nawet po klęsce istnieją jeszcze tacy, którzy w tę możliwość wierzą. Każda przebrzmiała ideologia zostawia po sobie relikty swoich bonapartystów.

Konieczność realizacji planu implikuje swoisty stosunek do otoczenia, który najlepiej charakteryzuje znane powiedzenie, że cel uświęca środki. Najważniejszą sprawą jest osiągnięcie celu; każdy środek prowadzący do niego jest dobry. Stosunek do życia upraszcza się do alternatywy: zwycięstwo lub śmierć. Jest to więc stosunek charakterystyczny dla metabolizmu energetycznego. Dla władcy najważniejsze jest nie bogactwo struktur czynnościowych, tak istotne w metabolizmie sygnalizacyjnym, ale siła, jaką dysponuje. Od niej bowiem zależy, czy cele, jakie on reprezentuje, zwyciężą nad otoczeniem. Otoczenie jest mu albo uległe i służy wówczas realizacji planu, albo oporne, a tym samym wrogie; w takim wypadku musi być zniewolone lub zniszczone. Konsekwencją takiego stosunku do otoczenia jest konieczność walki z nim. Bezwzględna walka z punktu widzenia ewolucji biologicznej jest regresją do poziomu metabolizmu energetycznego, jest odarciem życia z tego, co w przebiegu ewolucji osłaniało je przed okrucieństwem prawa: zwyciężę lub zostanę zwyciężony. Z samego charakteru władzy wynika więc konieczność walki o nią. Walka ta z natury rzeczy staje się bezwzględna. Utrata władzy bowiem oznacza anihilację, podobnie jak w metabolizmie energetycznym, gdy nie zmienia się struktury otoczenia na własną, samemu zostaje się na nią zmienionym, w myśl zasady „zjem lub zostanę zjedzony". Nic zatem dziwnego, że władcy świadomie czy nieświadomie prowadzą do wojen, one są sprawdzianem ich siły, a tym samym realności ich władzy.

Człowiek w oczach władcy wart jest tyle, ile realizuje reprezentowane przez niego cele. Wartość pracownika określa spełnianie przez niego obowiązków nakreślonych przez kierownika instytucji, wartość żołnierza — wypełnianie rozkazów dowódcy itd. Nawet w obozie koncentracyjnym, gdzie wartość człowieka równała się zeru, zagłada bowiem była wyznaczonym mu przeznaczeniem, istniała jednak hierarchia wartości w zależności od sprawowanej funkcji. Funkcje te odgrywały ważną rolę w organizacji obozu; na niektóre z nich spływała część władzy esesowskiej (np. na funkcję „kapo"), a sprawującym je umożliwiały niejednokrotnie przeżycie obozu.

W każdym układzie sterowniczym „łaska władzy" spływa na niższe szczeble hierarchii, dzięki czemu w długim łańcuchu wydarzeń, które zachodzą między planem a ostateczną jego realizacją, każde poszczególne ogniwo jest reprezentantem idei głównej. Ta zasada powielania planu i przenoszenia władzy obowiązuje w każdym układzie sterowania niezależnie od jego charakteru technicznego, biologicznego czy socjologicznego. Plan zakodowany w maszynie samosterującej jest realizowany przez poszczególne etapy, coraz bliższe końcowego efektu. Na każdym etapie plan przechodzi na niższe szczeble wykonawcze, reprezentujące całość lub część planu centralnego. Każda część maszyny jest sterowana przez wyższą, tj. bliższą planowi centralnemu, a jednocześnie sama steruje niższą, tj. bliższą końcowemu efektowi. Plan genetyczny zakodowany w strukturze DNA jądra komórkowego steruje syntezą RNA, ten z kolei syntezą białek i enzymów komórkowych, a one znów procesami fizjologicznymi i biochemicznymi komórki. Zanim plan wodza dojdzie do realizacji, przechodzi przez poszczególne szczeble hierarchii; na każdym szczeblu jest się dowódcą w stosunku do niższego stopniem, a podwładnym w stosunku do przełożonego. Sam wódz, gdy już nie ma nad sobą wyższego, zwykł odpowiadać „przed Bogiem i historią". W stosunkach między ludźmi hierarchizacja władzy stanowi wygodny sposób wyładowania agresji, w myśl zasady: „bije mnie silniejszy, ja biję słabszego". Analogicznie zresztą zachowują się zwierzęta; kura podziobana przez towarzyszkę o wyższej randze społecznej zaraz mści się na słabszej. W związku z tym istnieje naturalna tendencja do pięcia się w górę; zmniejsza to stopień narażenia na bicie, a zwiększa możliwość bicia innych. Zdobycie funkcji w obozie oznaczało poza zwykłymi przywilejami związanymi z władzą (lepsze warunki pracy, lepsze wyżywienie) także zmniejszenie naporu agresji, który przytłaczał każdego więźnia; dawało tym samym większe możliwości przetrwania obozu. Z drugiej jednak strony stwarzało niejednokrotnie ostry konflikt moralny: w jaki sposób, będąc samemu ogniwem w realizacji hitlerowskiego planu zagłady, planowi temu się przeciwstawić, a poza tym wymagało dużego wysiłku woli i silnego ładunku pozytywnych uczuć do słabszych od siebie, by nie ulec zwykłej w takich sytuacjach pokusie demonstrowania na nich swej władzy.

Cechą biologicznych układów sterujących jest ich duża plastyczność, tj. zdolność zmiany

planu w zależności od potrzeb i aktualnej sytuacji zewnątrz i wewnątrz ustroju. Nowsze odkrycia genetyki molekularnej wykazały dużą plastyczność planu genetycznego, a plany aktywności (struktury czynnościowe) układu nerwowego znane były od dawna ze swej labilności. Mimo doskonalenia sprzężeń zwrotnych sterującym układom technicznym daleko do tak dużego stopnia plastyczności, a tym samym ich zdolności adaptacyjne są znacznie mniejsze od układów biologicznych. Stopień plastyczności socjologicznych układów sterowania jest, jak się zdaje, znacznie bliższy układom technicznym niż biologicznym. Idee, normy społeczne, poglądy itd., które rządzą życiem wielkich grup ludzkich, są często sztywne i niezmienne mimo zmienności warunków życia i różnorodności typów ludzkich, które muszą się im podporządkować. Może to wynika z samej natury umysłu ludzkiego, który jakby broniąc się przed swym potencjalnym bogactwem form różnorodnych trzyma się kurczowo form utartych i utrwalonych.

Bezwzględna walka zaostrza nieplastyczność ideologii społecznej. Nawet drobne odchylenie od niej powoduje, że niepodporządkowany staje się kacerzem, wrogiem, którego trzeba zniszczyć. Cała sytuacja ma charakter błędnego koła; aby idea stała się rzeczywistością, a nie pozostała mrzonką, trzeba o nią walczyć, atmosfera walki przyczynia się do jej usztywnienia, a brak plastyczności zaostrza atmosferę wrogości.

Nieplastyczność łączy się z bezwzględnością, żadne zmiany w planie nie są możliwe, musi być on realizowany za wszelką cenę. Przypomina się walec obozowy, który trzeba było ciągnąć ostatkiem sił, by nie zostać zmiażdżonym przez niego. Na wszystkich szczeblach hierarchii obowiązuje dyscyplina; trzeba samemu rozkaz wykonać i od innych, podległych sobie, wykonania rozkazu bezwzględnie wymagać. Kryteria oceny drugiego człowieka kształtują się według tego, w jakim stopniu realizuje on powierzone mu zadanie. Pozostałe jego cechy nie liczą się. System władzy zuboża obraz drugiego człowieka i tym samym różnorodność związków między ludźmi. Przede wszystkim jednak paraliżuje on wolność wyboru, zamienia człowieka w automat. Wysiłek życia związany z bezustannym tworzeniem nowych form i koniecznością wyboru między nimi, co pociąga za sobą wahanie, niepewność i wieczny niepokój, redukuje się do akceptowania tylko jednej formy, a niepokój nie rodzi się z trudności wyboru, lecz z obawy, że narzuconą czy przyjętą formę źle się realizuje, co jest równoznaczne z potępieniem i wyrzuceniem poza grupę objętą systemem władzy. Oznacza to często zniszczenie, gdyż to, co jest niezgodne z celami tegoż systemu, staje się automatycznie wrogie.

Samotność władcy wynika z płaszczyzny jego stosunku do otoczenia. Płaszczyzna ta jest zawsze pochyła. Przed oczyma ma on plan swego działania, a otoczenie jest dla niego tworzywem, z którego plan ten się urzeczywistni. Patrzy więc na nie z góry, ma je w zasięgu swej władzy. Gdy ono urasta, staje mu do oczu i przeciwstawia się, wówczas budzi u niego lęk i agresję. Twórczość zmienia się w walkę.

Formy stosunków z otoczeniem są znacznie bogatsze w płaszczyźnie poziomej. Nie jest się wówczas zmuszonym niczego otoczeniu narzucać, ani niczego samemu od niego wbrew swej woli przyjmować. W płaszczyźnie poziomej panuje zasada wolnego wyboru, a nie przymusu. Przez to otoczenie staje się bliższe, bo trzeba najpierw je zrozumieć, nim daną formę się przyjmie lub odrzuci. Kontakt z otoczeniem na zasadzie równego z równym przypomina więcej zabawę lub dialog (używając popularnego dziś słowa) niż walkę, w której musi się być zwycięzcą lub zwyciężonym. Z drugiej jednak strony struktura potencjalna staje się realna tylko wówczas, gdy się ją uzewnętrzni, tj. gdy zostanie wyrzucona na zewnątrz, stanie się częścią otoczenia. Tendencja do przekształcania otoczenia jest więc koniecznością, bez niej życie stałoby się snem. Więzień obozu koncentracyjnego był poddany tak silnej presji otoczenia, że działanie świadome, wynikające z wolnego wyboru, było przynajmniej w pierwszym okresie uwięzienia niemożliwe. Więzień działał jak automat, popychany i bity przez wszystkich. Otaczająca rzeczywistość mimo bardzo bolesnego z nią kontaktu miała coś z koszmarnego snu. Świadome wyłączenie się z aktywności prowadzi do stanu nirwany, w którym zaciera się granica między jednostką a otaczającym światem i między marzeniem a rzeczywistością.

Nie należy wreszcie zapominać, że poznawanie otaczającego świata nie może się dokonywać bez działania i przekształcania go. Dziecko chwyta przedmiot, który je zainteresuje, stara się zajrzeć do środka. Podobnie postępuje uczony. Proces poznawczy często łączy się ze zniewoleniem i zniszczeniem przedmiotu obserwacji. W tym typie poznania możność sterowania danym zjawiskiem jest miarą jego znajomości. Istnieje wszakże inny typ poznania, którego celem nie jest władza nad otoczeniem, ale logiczna konstrukcja. „Zadaniem wszystkich nauk — jak mówi *Einstein* — zarówno przyrodniczych, jak i psychologii, jest porządkowanie naszych przeżyć i układanie ich w pewną logiczną całość".

Zewnętrznym wyrazem samotności układu sterowania jest jego odizolowanie od bezpośredniego kontaktu z otoczeniem. W urządzeniach technicznych układ ten nie bierze czynnego udziału w procesach wymiany energetycznej zachodzących między maszyną a jej otoczeniem, tylko nimi steruje, w mniejszym lub większym stopniu odizolowany od pozostałych jej części. W komórce układ sterujący (chromosomy) jest oddzielony błoną jądrową od reszty komórki. Bariera krew-mózg oddziela układ nerwowy od bezpośredniego udziału w procesach metabolicznych ustroju. W baśniach i legendach władca zagląda w przebraniu pod strzechy swych poddanych, w rzeczy-

wistości jednak rzadko z nimi bezpośrednio się styka. Autorytet władcy maleje bowiem w zbytnim zbliżeniu. Telewizja, zbliżając do milionów widzów obraz władcy, może się okazać dla jego autorytetu znacznie groźniejsza niż dotychczasowe próby demokratyzacji władzy.

Dla człowieka jako istoty społecznej samotność jest trudna do zniesienia. Wokół władcy zawsze tworzą się kamaryle, grupy zauszników, doradców i błaznów. Płaszczyzna kontaktu między nimi a władcą jest bardziej pozioma; nierzadko oni nad nim władzę sprawują. Nawet władca nie może się więc wyzwolić z prawidłowości rządzących stosunkami między ludźmi. Nie można innymi ludźmi tylko sterować, musi się też być przez nich sterowanym; nie można tylko wydawać rozkazów, gdyż zuboża to znacznie bogactwo wymiany informacji; nie można na nich wciąż patrzeć z góry, spojrzenie ludzkie pada bowiem w różnych kierunkach. Aby rządzić, trzeba zachować dystans. Gdy płaszczyzna spojrzenia między władcą a poddanym z pochyłej zmieni się na poziomą, obydwaj nierzadko z obopólnym zdumieniem stwierdzą, że są do siebie podobni, mają te same ludzkie wady i przymioty. Znika wówczas blask władzy. Obaj stają się z powrotem ludźmi; władca nie może już kierować poddanym jak automatem; wielkość celów, do których zmierza, maleje w zetknięciu z rzeczywistością życia drugiego człowieka. Poddany nie widzi już we władcy bezwzględnego bóstwa czy też machiny, która go zgniecie przy najsłabszej nawet próbie oporu, lecz takiego, jak i on człowieka, który stara się go zrozumieć, a nawet mu pomóc.

W obozie każdy gest, skrzywienie twarzy, pojedyncza sylaba tamtejszych władców mogły oznaczać dla więźnia wyrok śmierci i okrutnych męczarni. Sam więc ich widok budził lęk tak silny, że postacie ich urastały do wymiarów apokaliptycznych bestii. Zdarzało się jednak, że więzień szczęśliwym trafem i własną przemyślnością potrafił zetknąć się ze swym władcą w płaszczyźnie mniej pochyłej, potrafił się z nim dogadać, a nawet w pewnym stopniu nim sterować. Znikała wówczas apokaliptyczność, a zostawała ludzka małość. A w oczach władcy numer w pasiaku nabierał z powrotem cech człowieka, z którym nawet porozmawiać można. Z punktu widzenia organizacji obozu zagłady było więc słuszne, że esesmani starali się zachować dystans w rządzeniu więźniami. „Łaską" władzy, a także znęcania się i zabijania, gdyż w obozie zagłady władza to przede wszystkim oznaczała, szczodrze szafowali wśród innych więźniów, odpowiednio dobieranych, zazwyczaj kryminalistów. Gdyby sami stykali się z więźniami bardziej bezpośrednio, mogliby zauważyć w nich podobnych do siebie ludzi, co zresztą czasem się zdarzało. Klasycznym przykładem jest ogrodnik *Hössa*, więzień, Polak, którego ten naczelny władca obozu oświęcimskiego traktował całkiem po ludzku.

We wszystkich systemach sterujących istnieje wzajemna zależność między rozkazodawcą a wykonawcą. Pan nie może istnieć bez niewolnika, a niewolnik bez pana. Maszyna składająca się wyłącznie z urządzenia sterującego bez części wykonawczych byłaby całkowicie bezużyteczna. Jądro nie może żyć bez reszty komórki ani komórka bez jądra. Trudno sobie wyobrazić życie samego mózgu, ale też, jak wiadomo, bez mózgu wyższy ustrój żyć nie może. Najpotężniejszy władca bez swych poddanych trafia zazwyczaj do szpitala psychiatrycznego. Nawet w najmniejszych grupach ludzkich występuje tendencja do szukania lidera; uosabia on siły integrujące grupy; bez niego ulega ona rozprzężeniu.

Jednak nie zawsze wzajemna zależność między rozkazodawcą a wykonawcą jest należycie zrozumiana i realizowana. Ścisła łączność, jaka musi między nimi istnieć, staje się sztuczna. Władca uważając, że „ja tu rządzę", wymaga ślepego posłuszeństwa, zapominając o tym, że jest tylko reprezentantem tendencji istniejących w podległej mu grupie, w nim powinny się one jakby krystalizować. A poddany czując, że to, co mu się narzuca, jest mu obce, buntuje się jawnie lub skrycie; w pierwszym wypadku naraża się władcy, w drugim — sam sobie, wykonując rozkazy musi bowiem sam ze sobą staczać walkę. Albo też akceptuje on schemat narzucony mu z góry i staje się jego ślepym wykonawcą, gdyż dzięki temu czuje się włączony w aparat władzy i uzyskuje poczucie porządku, którego sam wypracować nie potrafił. Sztuczna struktura zastępuje tu własną. Za cenę utraty wolności unika się wysiłku związanego z wewnętrznym uporządkowaniem, chaos zostaje zastąpiony sztucznym porządkiem, a niepewność i niepokój — pewnością wiary w wyznawaną ideę.

Człowiek współczesny dzięki rozwojowi środków komunikacji, a także nauk historycznych, zwłaszcza archeologii, ma znacznie większe możliwości niż przed stu czy nawet kilkudziesięciu laty zapoznania się z różnymi sposobami ludzkiego życia. W związku z tym maleje jego wiara w słuszność własnego stylu życia i chęć narzucenia innym własnej ideologii, zwłaszcza że pamięć ostatniej wojny uzmysławia mu w sposób aż nadto dobitny, do czego takie tendencje mogą prowadzić. Jeśli symbolami tej wojny stały się Oświęcim i Hiroszima, to dzięki nim właśnie problem władzy i związany z nim problem wojny znalazły się w fazie kryzysu, wymagającego nowego spojrzenia.

PIŚMIENNICTWO

1. *Einstein A.:* Istota teorii względności. PWN, Warszawa 1962. — 2. *Huizinga J.:* Homo ludens. Gallimard, Paris 1925. — 3. *Schroedinger E.:* What is life. Cambridge Univ. Press, 1948. — 4. Wspomnienia *Rudolfa Hössa*, komendanta obozu oświęcimskiego. Wydanie trzecie. Opracowanie, wstęp i przypisy *Jan Sehn.* Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1965.

TADEUSZ SZNAJDER Kraków

Były Oddział Zakaźny Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie w czasie okupacji [1]

(Z Kliniki Chorób Zakaźnych AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *Władysław Fejkiel*)

Wojenne losy szpitali krakowskich, a w szczególności rządy okupanta na terenie klinik i byłego Szpitala św. Łazarza, były już niejednokrotnie omawiane w publikacjach pochodzących od naocznych świadków [2]. Celem niniejszej wzmianki jest raczej przedstawienie działalności Oddziału Zakaźnego [3] na tle ówczesnej wojennej sytuacji epidemiologicznej, utrudnionej ponadto zarządzeniami Niemców wynikającymi ze znanych zasad ich polityki wobec ludności krajów okupowanych.

Wśród podstępnie aresztowanych przez Niemców (6. X. 1939 r.) profesorów wyższych uczelni krakowskich znalazł się również długoletni kierownik Oddziału Zakaźnego, prof. dr *Józef Kostrzewski* [4]. Został on jednak po kilku dniach zwolniony i powrócił do pełnienia swych obowiązków. Nie ulega wątpliwości, że władze okupacyjne wolały nie tracić w warunkach wojennego zagrożenia chorobami zakaźnymi wybitnego epidemiologa-klinicysty, jakim był *Józef Kostrzewski* [5]. Natomiast dalsze losy Oddziału Zakaźnego [3] były mniej pomyślne. Niekorzystne zmiany, które dotknęły ten oddział, były ściśle związane z objęciem w jesieni r. 1942 kierownictwa klinik i oddziałów szpitalnych przez lekarzy niemieckich. W ten sposób Oddział Zakaźny (i oddziały internistyczne) przeszedł pod kierownictwo niejakiego dra *Kuckuka*. Na jego to polecenie (zgodnie z zasadą uprzywilejowania chorych narodowości niemieckiej) zlikwidowano tzw. odcinek „płoniczy", gdzie odtąd (po objęciu odcinka przez niemiecki personel) leczono wyłącznie chorych zakaźnie Niemców. Jak wspomina *Kostrzewski, Kuckuk* po kilkakrotnych obchodach sal przeznaczonych dla Polaków więcej ich nie odwiedzał. Natomiast zmiany, które nastąpiły za rządów następcy *Kuckuka*, dra *Heilmeyera* [6], były jeszcze bardziej dotkliwe: oddział został ograniczony do dwóch drewnianych baraków (zob. przypis 3), a budynki murowane zostały przeznaczone na oddział internistyczny dla Niemców.

Chorymi z baraku gruźliczego obarczono z kolei oddział internistyczny IA. Wytworzona w ten sposób sytuacja stała się dla Oddziału Zakaźnego (pozbawionego jednej trzeciej liczby łóżek) przyczyną znacznych trudności, tym bardziej że sytuacja epidemiologiczna w latach 1942—1943 była szczególnie ciężka [7]. Wobec tak znacznego uszczuplenia stanu posiadania Oddziału Zakaźnego, przy równocześnie wzrastającym napływie zakaźnie chorych typu „wojennego" (dur brzuszny, dur wysypkowy, czerwonka), zaprzestano przyjmowania chorych na gruźlicę płuc, a przyjmowanie chorych z infekcjami wieku dziecięcego oraz chorych na różę bardzo znacznie ograniczono. Niemniej jednak skromny liczebnie personel (4 lekarzy, 4—5 pielęgniarek) tylko z trudem mógł podołać swoim obowiązkom.

Wymownym świadectwem ówczesnych trudnych zadań, jakie stanęły przed Oddziałem Zakaźnym, mogą być pochodzące z archiwum Kliniki Chorób Zakaźnych dane dotyczące hospitalizowanych w roku 1942 przypadków niektórych chorób zakaźnych (w nawiasie podano odsetek śmiertelności): czerwonka 378 przypadków (17,7%), dur brzuszny 329 przypadków (15,2%), gruźlica narządu oddechowego — 266 (34,2%), dur wysypkowy — 225 (20,8%), nagminne zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych — 37 (27%), zimnica — 20 (0%).

Jednak nie wszystkie rozpoznania w czasie okupacji odpowiadały rzeczywistości i to z przyczyn natury pozalekarskiej. Zdarzali się mianowicie „pacjenci" ukrywający się z różnych

[1] Fragment pracy pt.: „Historia byłego Oddziału Zakaźnego Szpitala św. Łazarza i Kliniki Chorób Zakaźnych AM w Krakowie".

[2] Na szczególną uwagę zasługuje tu publikacja *Józefa Kostrzewskiego* pt.: Szpital św. Łazarza i kliniki UJ w czasie okupacji i na przełomie (Przegl. Lek. 1946, nr 1).

[3] Rozbudowany i unowocześniony tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej Oddział Zakaźny mieścił się w dwóch budynkach murowanych i w dwóch barakach: „tyfusowym" i „gruźliczym"; łóżek dla chorych było 168.

[4] Prof. dr *Józef Kostrzewski* (1883—1959), wybitny klinicysta i epidemiolog w dziedzinie chorób zakaźnych, ordynator Oddziału Zakaźnego w Państwowym Szpitalu św. Łazarza w Krakowie (1917—1951), kierownik Katedry i Kliniki Chorób Zakaźnych AM w Krakowie (1951—1959), [6].

[5] W związku ze zwolnieniem *Kostrzewskiego Jan Gwiazdomorski* zauważa: „zwalniają *Kostrzewskiego* i *Przybyłkiewicza* (bakteriolog), obu potrzebnych Niemcom" (*J. Gwiazdomorski:* Wspomnienia z Sachsenhausen. Kraków 1964, s. 41).

[6] Profesor uniwersytetu w Heidelbergu, pełniący wówczas służbę wojskową na terenie Krakowa.

[7] W r. 1942 zarejestrowano w tzw. dystrykcie Kraków między innymi 15 752 przypadki czerwonki, 6 609 przypadków duru wysypkowego (plamistego), 4 286 przypadków duru brzusznego i durów rzekomych, 1 436 przypadków błonicy, 283 przypadki nagminnego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych, 110 przypadków gorączki powrotnej, 61 przypadków zimnicy (dane udostępnione przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Krakowie).

względów przed okupantem jako chorzy zakaźnie, przy czym mieli oni (za wiedzą polskiego personelu) zaprowadzoną fikcyjną dokumentację lekarską, obejmującą „kartę gorączkową", „historię choroby" i inne. Wykorzystywano tu przesadną niekiedy obawę Niemców przed chorobami zakaźnymi [8], przy czym niektóre rozpoznania (np. „czerwonka") miały działać szczególnie odstraszająco.

Sposoby leczenia nie odbiegały w zasadzie od poprzednio stosowanych. Jedynie wprowadzenie do leczenia chorób bakteryjnych pierwszych związków sulfonamidowych (antistreptin, sulfamid, septasin i inne) znacznie poprawiło rokowanie w niektórych chorobach zakaźnych. I tak np. śmiertelność w czerwonce, która w roku 1942 wynosiła 17,7%, spadła — po wprowadzeniu do jej leczenia w r. 1943 sulfonamidów — poniżej 5%. Wpływ nowych leków (uwzględniając nawet inne przyczyny zmniejszenia się śmiertelności) jest tu wyraźny [4].

W lecie r. 1944 w związku z sytuacją na froncie wschodnim większość Niemców znajdujących się na terenie szpitala w pośpiechu opuściła Kraków, przy czym zlikwidowano istniejące w Oddziale Zakaźnym łóżka internistyczne dla Niemców. Późnym latem Niemcy mianowali prof. *Kostrzewskiego* (jako najstarszego wiekiem) „polskim dyrektorem" szpitala, jednak jak wspomina *Kostrzewski*, bez „jakichkolwiek praw, tak że się w szpitalu nic nie zmieniło". Kiedy po upadku powstania warszawskiego (jesień r. 1944) przybyło do Krakowa około 2 000 chorych, część z nich umieszczono również w opuszczonych przez Niemców budynkach Oddziału Zakaźnego.

Znajdująca się na terenie Oddziału Zakaźnego pracownia bakteriologiczna [9] była początkowo obsadzona wyłącznie przez polskich pracowników. Dopiero w kwietniu r. 1943 kierownikiem pracowni został mianowany Niemiec, dr *Weber* [10]. Oddanie pracowni pod bezpośrednią kontrolę *Webera* stało niewątpliwie w związku z obawą Niemców przed wykorzystaniem przez polskich pracowników chorobotwórczych szczepów bakteryjnych do walki z okupantem. Następca *Webera*, dr *Rhoeden* zaostrzył — zgodnie z zarządzeniami wydanymi wówczas przez niemiecki urząd zdrowia — przepisy dotyczące pracowni bakteriologicznych: zabroniono wstępu do pracowni osobom obcym prócz niemieckich lekarzy; przesłano do władz niemieckich imienny spis wszystkich zatrudnionych osób z dokładnym wyszczególnieniem rodzaju wykonywanej pracy; powierzono szczególnemu nadzorowi *Rhoedena* chorobotwórcze szczepy muzealne. Szczepy te dokładnie spisano, część ich zniszczono od razu, a resztę w sierpniu 1944 r.

16. I. 1945 r. ostatni Niemiec opuścił teren szpitala.

PIŚMIENNICTWO

1. Choroby zakaźne w Polsce i ich zwalczanie w latach 1918—1962. Pod red. *Jana Kostrzewskiego*. Warszawa 1964. — 2. *J. Gwiazdomorski:* Wspomnienia z Sachsenhausen. Kraków 1964. — 3. *J. K. Kostrzewski:* Szpital św. Łazarza i kliniki UJ w czasie okupacji i na przełomie. Przegl. Lek., 1946, nr 1. — 4. *J. K. Kostrzewski:* O kilku ostrych chorobach zakaźnych. Kraków 1947. — 5. *J. K. Kostrzewski:* Początki szpitalnictwa zakaźnego i utworzenie Kliniki Chorób Zakaźnych Akademii Medycznej w Krakowie. Biblioteka Zakładu Historii Medycyny AM w Krakowie, maszynopis nr 537, dział VIII. — 6. *B. Mach:* Prof. dr *Józef Kostrzewski*. Przegl. Epidemiologiczny, 1959, nr 3. — 7. Sprawozdanie roczne Państwowego Szpitala św. Łazarza w Krakowie za rok budżetowy 1936/37. Kraków 1937.

[8] Nasuwa się tu analogia ze stosunkami, jakie panowały wówczas w kolumnach przeciwepidemicznych, kierowanych przez polskich lekarzy; „stosunkowo duża swoboda, jaką pozostawiono kierownikom kolumn w angażowaniu personelu sanitarnego, pozwoliła w wielu wypadkach na angażowanie i wysyłanie w teren «z dobrymi papierami» osób, które musiały ukrywać się przed okupantem" (Choroby zakaźne w Polsce i ich zwalczanie w latach 1919—1962. Praca zbiorowa pod red. *Jana Kostrzewskiego*. Warszawa 1964, s. 59).

[9] Uruchomiona w r. 1918 (po objęciu kierownictwa Oddziału Zakaźnego przez Józefa Kostrzewskiego) pracownia bakteriologiczna wykonywała badania mikrobiologiczno-serologiczne również dla innych oddziałów Szpitala św. Łazarza, a potem także dla wszystkich klinik UJ. Roczna liczba badań przekraczała w ostatnich latach przed drugą wojną światową [7] 25 000—30 000. Zamiarem Niemców było podobno przekształcenie pracowni bateriologicznej w Oddziale Zakaźnym w ośrodek badań higieniczno-bakteriologicznych na tzw. dystrykt Kraków.

[10] Kapitan *SS*, będący równocześnie kierownikiem Instytutu Higieny dla wojsk *SS* w Rajsku pod Oświęcimiem. Poszukiwany z powodu zbrodni popełnionych na terenie byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

„My, lekarze, jako przedstawiciele ludzkiej, humanitarnej nauki mamy utrzymywać i wzmacniać życie człowieka, walczyć o zachowanie jego zdrowia, o stworzenie warunków bytu, sprzyjających życiu i zdrowiu człowieka, o takie warunki pracy, aby ta nie była dla człowieka ciężkim brzmieniem, lecz naturalną jego potrzebą, aby praca fizyczna czy umysłowa nie wyczerpywała nadmiernie sił człowieka i nie doprowadzała do schorzeń. Mamy prowadzić walkę z bólem, cierpieniem, wszelką niemocą człowieka, udzielać mu pomocy i uwolnić go od cierpień, o ile nauka daje nam ku temu odpowiednie środki [...]. Mamy brać udział w walce o to, aby naród nie zaznał grozy, okropności i zniszczeń wojny, nędzy i głodu, aby nie było matek opłakujących poległych synów i córek, nie było unieszczęśliwionych wdów oraz bezdomnych, pozbawionych opieki sierot".

W. Szenajch: Myśli lekarza. PZWL, Warszawa 1958, str. 19—20.

RYSZARD ZABŁOTNIAK Białystok

Białostocka służba zdrowia w czasie okupacji hitlerowskiej [1]

Więzienna służba zdrowia

W szpitalu więziennym w Białymstoku podczas okupacji hitlerowskiej zatrudniani byli lekarze-więźniowie, jak np. dr *Wacław Szaykowski*, dr *Irena Białówna*, dr *Henryk Kowalski* oraz dochodzący z getta doktorzy *Mazo* i *Rozensztajn* [2]. Zatrudniano także więźniów na stanowiskach personelu średniego i administracyjnych (pielęgniarka *Niesiołowska*, felczer *Jach* oraz wyróżniający się ofiarnością intendent szpitala, więzień *Sawicz* [3]).

Warunki bytowe były tragicznie ciężkie. Wyżywienie nie przekraczało 1 000 kalorii dziennie. Nie było mowy o kąpieli lub zmianie bielizny. Z więzienia odchodziły ustawicznie transporty do obozów koncentracyjnych. Nie było w ogóle bielizny pościelowej i koców. W szpitalu, który w tym czasie na pewno na tę nazwę nie zasługiwał, liczba chorych zwykle przekraczała 100. W odróżnieniu od innych pomieszczeń tzw. szpital był ogrzewany. Chorzy leżeli często zagrzebani w słomie, po dwóch w jednym łóżku. Znaczny procent spośród nich stanowili więźniowie skatowani w śledztwie. Był tylko jeden termometr i strzykawka. Początkowo nie było żadnych leków; później lekarze za zgodą władz niemieckich przesyłali na wolność recepty, a lekarstwa donosiły rodziny więźniów. Szczególnie wyróżniały się tu apteki magistrów *Gesnera* oraz *Hermanowskiego* i *Lutostańskiego*. Ilość leków przesyłanych z tych aptek znacznie przekraczała pozycje zamówień.

W więzieniu nieprzerwanie panował dur wysypkowy; nie brakowało także innych chorób zakaźnych. Choroby zakaźne wyzyskiwano niekiedy w celu utrudnienia hitlerowcom wstępu do wydzielonych pomieszczeń. Najgorzej traktowani byli więźniowie Żydzi i Cyganie; te dwie grupy nie miały prawa do leczenia w „szpitalu", a w przypadku chorób zakaźnych izolowano tych chorych jedynie w oddziałach ogólnych.

Żydowska służba zdrowia

Okupanci zlikwidowali bądź przejęli wszystkie placówki żydowskiej służby zdrowia w dzielnicy aryjskiej, zezwalając na utworzenie w getcie dwóch szpitali, tj. szpitala zakaźnego przy ul. Jurowieckiej 7 i szpitala żydowskiego przy ulicy Fabrycznej, w dawnym budynku TOŻ. Szpitalem zakaźnym kierował dr *Abram Kahan*, a szpitalem żydowskim, posiadającym oddział internistyczny i chirurgiczny, dr *Dawid Sokołowski*. Warunki, w jakich się znajdowali chorzy tych szpitali, od początku były bardzo złe, a następnie nadal się pogarszały. W sierpniu 1943 r. zlikwidowano te szpitale, rozstrzeliwując chorych i lekarzy, nielicznych zaś wywożąc do Majdanka, zresztą także w celu zniszczenia [4].

Szpitale białostockie

W okresie okupacji wydano zarządzenia likwidujące zupełnie praktykę prywatną [5]. Szpitale w wielu wypadkach przenoszono do innych, nie przystosowanych pomieszczeń, zwykle ograbiając wyposażenie z lepszych przedmiotów. Zwolnione w ten sposób budynki hitlerowcy przeznaczali na swoje potrzeby. Nad pracą szpitali czuwali lekarze-Niemcy, w wielu wypadkach rezerwujący sobie prawo decydowania we wszystkich prawie, nawet błahych sprawach. Warunki bytowe chorych, aczkolwiek i przed wojną nie należały do bardzo dobrych, gwałtownie się pogorszyły, podobnie jak i zakres pomocy lekarskiej [6]. Często zdarzały się przypadki aresztowania chorych i brania lekarzy jako zakładników. Zlikwidowano PCK, pozostawiając szpital PCK (jako szpital miejski). Dawni pracownicy PCK, zatrudnieni teraz w szpitalu, próbowali kontynuować konspiracyjnie działalność charytatywną PCK. Środki na ten cel uzyskiwano z ofiar społeczeństwa. Szczególnie wyróżniali się w tej działalności obywatele *Szedliwy*, *Skrętkowski*, *Sawicka* i inni. Szpital ten, podobnie jak inne szpitale, udzielał pomocy ukrywającym się rannym. Za działalność tego rodzaju zastrzelono dr *Henryka Szemiota* i dr *Sulikowskiego*, uwięziono dr *Białównę*.

[1] Fragment rozprawy doktorskiej (przyp. red.).

[2] Wg referatu dr *Białówny* na posiedzeniu Białostockiego Oddziału PTHM z dnia 22 listopada 1963 r. Dr *Mazo* i dr *Rozensztajn* zginęli tragicznie w czasie likwidacji getta.

[3] Prawdopodobnie nie jest to prawdziwe nazwisko.

[4] Wg relacji braci *A.* i *M. Zylberblatów*, *E. Pogody*, *S. Grynsztajna*.

[5] Zarządzenie to w posiadaniu autora.

[6] Relacje dr *B. Szaykowskiej* i dra *J. Walewskiego*.



Delegacja Centralnego Zarządu Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej z *P. Łobanowem* na czele zwiedza 24 kwietnia 1965 roku były obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka. (Z archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

MARCIN ŁYSKANOWSKI Warszawa

Los psychicznie chorych pod panowaniem ideologii hitlerowskiej

Dnia 25 października 1946 roku szef prokuratury Stanów Zjednoczonych przy Trybunale Wojskowym w Norymberdze wniósł oskarżenie przeciwko grupie lekarzy niemieckich biorących udział w planowaniu i wykonywaniu totalnego programu „eutanazji", mającego na celu „wyniszczenie ras i narodów uznawanych za mniej wartościowe" oraz w dokonywaniu nieludzkich doświadczeń medycznych na więźniach obozów koncentracyjnych i jeńcach wojennych „bez zgody zainteresowanych". Doświadczenia te obejmowały: a) eksperymenty z zastosowaniem niskiego ciśnienia, b) eksperymenty z zamrażaniem, c) eksperymenty z malarią, d) eksperymenty z iperytem, e) eksperymenty z sulfanilamidami, f) eksperymenty regeneracji kości, nerwów i przeszczepiania kości, g) eksperymenty z żółtaczką zakaźną, h) eksperymenty sterylizacyjne, i) eksperymenty z durem wysypkowym, j) eksperymenty z truciznami, k) kolekcjonowanie szkieletów żydowskich, 1) plan zniszczenia Polaków chorych na gruźlicę, m) program masowej „eutanazji" [1].

Ostatni punkt zbrodni niemieckich obejmował wymordowanie niemal wszystkich chorych psychicznie w Polsce.

Przed wymienieniem faktów przestępstw w poszczególnych polskich szpitalach psychiatrycznych przypomnieć należy kilka szczegółów dotyczących stosunku Niemców do chorych psychicznie z terenu byłej Rzeszy niemieckiej.

Już w roku 1933, dnia 14 lipca, została ogłoszona „ustawa o zapobieganiu wydawania potomstwa dziedzicznie obciążonego", w roku następnym zaś *Gütt, Rüdin* i *Rüttke* opublikowali wyczerpujący komentarz do tej ustawy, stwarzając w ten sposób podstawę do dalszej akcji masowego „uśmiercania z litości" nieuleczalnie chorych oraz ludzi należących do tzw. ras mało wartościowych. W roku 1935 przywódca lekarzy niemieckich, *Gerhardt Wagner* polecił nakręcić film o życiu chorych psychicznie. Film ten był mu potrzebny do dalszego opracowania zagadnień eutanazji. Z kolei zagadnienie chorych z „ułomnościami" oraz eutanazji zostało opracowane przez naczelnego lekarza Rzeszy, *Contiego* i radcę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy, *Lindena,* któremu podlegały zakłady psychiatryczne. Po zakończeniu wojny z Polską *Hitler* oświadczył: „teraz chcę zdecydowanie rozwiązać sprawę eutanazji", następnie zaś, pod koniec października podpisał rozporządzenie z wsteczną datą 1 września 1939 r. o następującej treści:

„*Reichsleiterowi Bouhlerowi* i dr med. *Brandtowi* polecam i czynię ich za to odpowiedzialnymi, by rozszerzyli uprawnienia imienne lekarzy wyznaczonych do decydowania o stosowaniu eutanazji u chorych, których stan uznają wedle swej najlepszej wiedzy i przy uwzględnieniu aktualnych możliwości za nieuleczalny" [2].

Po wydaniu tego rozporządzenia wyznaczono grupę lekarzy mających decydować o eutanazji oraz powołano do życia trzy „maskujące" organizacje: „Państwową wspólnotę pracy zakładów zdrowia i opieki" (*Reichsarbeitsgemeinschaft Heil- und Pflegeanstalten*), „Fundację użyteczności publicznej na rzecz opieki zakładowej" (*Gemeinnützige Stiftung für Anstaltspflege*) oraz „Towarzystwo użyteczności publicznej dla celów transportu chorych" (*Gemeinnützige Krankentransportgesellschaft GmbH*). Pierwsza organizacja zajmowała się wyszukiwaniem chorych, druga sprawami finansowymi, trzecia transportem. Utworzono zakłady obserwacyjne, w których gromadzono chorych przed ich przekazywaniem do zakładów eutanazyjnych: Hadamar w Hesji, Hertheim pod Linzem, Grafeneck w Wirtembergii, Brandenburg nad Hawelą, Sonnenstein pod Pirną. Chorych gazowano, podając im uprzednio 2 cm^3 morfiny ze skopolaminą. Później zaprzestano gazowania i zabijano około 75 chorych jednego dnia. Dzieci chore psychicznie lub niedorozwinięte skazywano na śmierć głodową.

Jeden z hitlerowskich lekarzy, dr *Pfannmüller,* mówił o tych dzieciach w sposób następujący:

„Te stwory stanowią w moich oczach jako narodowego socjalisty jedynie obciążenie naszego organizmu narodowego. Uśmiercamy nie za pomocą trucizny, zastrzyków itp., ponieważ prasa zagraniczna i pewni panowie w Szwajcarii mieliby tylko nowy materiał do podżegania. Nie, nasza metoda, jak panowie widzą, jest o wiele prostsza i naturalniejsza" [3].

Owa metoda polegała na stopniowym zmniejszaniu racji żywnościowych.

Wypowiedź *Pfannmüllera* zwraca uwagę na jeszcze jeden fakt: podejście do zagadnienia chorych psychicznie drogą prymitywnego utylitaryzmu. Potraktowanie chorych jako „elementów" nieprodukcyjnych, będących ciężarem i obciążających budżet państwa. W dokumentach znalezionych po wojnie przez wojska alianckie znajdowały się dokładne wyliczenia dotyczące „oszczędności" powstałych dzię-

[1] *J. Sawicki:* Obowiązki lekarza w świetle międzynarodowego prawa karnego. „Lekarz Wojskowy" 1948, nr 3, s. 215.

[2] *A. Mitscherlich, F. Mielke:* Nieludzka medycyna. Dokumenty procesu norymberskiego przeciwko lekarzom. PZWL, Warszawa 1963, s. 185.

[3] Tamże, s. 195.

ki wymordowaniu chorych psychicznie. Mianowicie dowiadujemy się z nich, że w roku 1940 zamordowano w Niemczech 35 224 chorych, a w roku 1941 — 35 049 chorych; razem 70 273 chorych. Przyjmując wydatek na jednego chorego 3 marki 50 fenigów dziennie, otrzymano sumę oszczędności rocznej 88 543 980 marek. Przyjmując jednocześnie, że chorzy ci przebywaliby w zakładach i szpitalach przez lat 10, oszczędności wyniosłyby 885 439 800 marek. Wymieniono następnie, ile oszczędzono chleba, mąki, margaryny, masła, sera, jarzyn, soli itp. Obliczono również, iż dzięki wymordowaniu 70 273 chorych będzie w Niemczech więcej (w ciągu 10 lat) jaj o 33 731 040 sztuk, co oznacza oszczędność 3 710 414 marek i 40 fenigów; jarzyn będzie więcej o 88 544 040 kg, co równa się zaoszczędzeniu 12 281 606 marek itd., itd. [4]

Protesty opinii publicznej w Niemczech, a zwłaszcza wypowiedzi duchownych obu głównych wyznań spowodowały, że akcja eutanazyjna została zatajona. Zdemontowano komory gazowe oraz piece krematoryjne, nadal jednak stosowano śmiertelne zastrzyki i inne trucizny. Pod koniec kwietnia 1943 roku nowe zarządzenie *Glücksa* powiadamiało komendantów obozów, że na mocy decyzji *Himmlera* do mordowania w ramach akcji eutanazyjnej „14 f 13" mogą być wybierani tylko chorzy psychicznie. Natomiast więźniowie chorzy obłożnie winni otrzymywać pracę, którą mogliby wykonywać w łóżku [5].

W świetle tych danych jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że Niemcy natychmiast po wkroczeniu do Polski rozpoczną systematyczną akcję mającą na celu wymordowanie chorych psychicznie znajdujących się w polskich szpitalach i zakładach dla psychicznie chorych. Oto szczegółowy wykaz strat:

W Choroszczy po zajęciu szpitala w roku 1941 chorymi psychicznie zainteresował się wydział szpitalnictwa niemieckiej komendy polowej z lekarzem sztabowym dr *Canzlerem* na czele. Na samym wstępie usunięto lekarza-Żyda, a na jego miejsce skierowano lekarza katolika. Temu ostatniemu oświadczono, że chorzy zostaną zabrani ze szpitala. Oznaczonego dnia zajechały wozy ciężarowe i autobusy pod eskortą wojskową i zaczęto wywozić chorych do lasku pod Nowosiółkami, gdzie ich rozstrzeliwano. Następnie rozstrzelano chorych znajdujących się pod opieką opiekunów poza zakładem. Ogółem Niemcy zamordowali 464 chorych. Dr *Roman Markuszewicz*, który zajmował wówczas stanowisko psychiatry wojewódzkiego, pragnąc uratować szpital, zapewniał Niemców, że szpital będzie samowystarczalny pod względem ekonomicznym. Dr *Canzler* odpowiedział, że budynki potrzebne mu są na szpital dla jeńców wojennych, co się zaś tyczy chorych, to sprawa ta została już dawno zdecydowana [6].

W Dziekance od dnia 7 grudnia 1939 r. do 12 stycznia 1940 r. zamordowano 1 043 osoby, a w 1941 r. — 158 osób spośród chorych psychicznie Polaków. Chorym wstrzykiwano uprzednio środki odurzające, prawdopodobnie skopolaminę, następnie wywożono w nieznanym kierunku w specjalnych autach zaopatrzonych w przewody i rury prowadzące od motoru do wnętrza samochodu [7].

W szpitalu w Kochanówce zamordowano ogółem 692 chorych [8]. Odbyły się tutaj trzy większe akcje likwidacyjne, w czasie których mordowano po około 140 chorych: pierwsza 13—15 marca 1940 roku, druga 27—28 marca 1940 roku oraz trzecia w lipcu i sierpniu 1941 roku [9].

Szpital w Obrzycach stał się miejscem kaźni nie tylko dla chorych z tego zakładu, ale również dla wielu chorych przywożonych tu z innych zakładów niemieckich. Chorzy ci przybywali transportami po 100—200 ludzi z Saksonii, Nadrenii, Westfalii, Szlezwik-Holsztynu i innych okolic, po czym wkrótce byli uśmiercani. Jak podaje *Stanisław Świerczek*, za kierownictwa hitlerowca *Waltera Grabowskiego* zamordowano przeszło 13 tysięcy chorych [10].

W szpitalu w Gostyninie zamordowano i wywieziono 107 chorych, przeniesiono do innych zakładów 485 chorych, przywieziono specjalnymi transportami 314 chorych. Większość chorych wywiezionych i „przeniesionych" do innych zakładów została również zamordowana [11].

W szpitalu w Lublińcu otwarto przy zakładzie psychiatrycznym oddział dziecięcy. Dzieciom ze znacznym upośledzeniem umysłu, krzykliwym, zanieczyszczającym się, z wybitnymi rysami aspołecznymi, ciężkim epileptykom i kalekom podawano luminal w dawkach od 0,1 do 0,6 codziennie, bez względu na wiek. Ogółem zażywało luminal 235 dzieci. Słabsze dzieci wkrótce umierały, inne nawet po kilku dniach. W sumie zmarło 221 dzieci [12].

---

[4] *S. Batawia:* Zagłada psychicznie chorych. „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce", 1947, III, s. 94.

[5] *A. J. Kamiński:* Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań, s. 172.

[6] *R. Markuszewicz:* Barbarzyńska likwidacja przez Niemców szpitala psychiatrycznego w Choroszczy. W pracy zbiorowej: Zbrodnie niemieckie wobec umysłowo chorych w Polsce. Warszawa 1949, s. 13. Zob. też: „Rocznik Psychiatryczny" 1949, nr 1.

[7] *J. Gallus:* Dziekanka w latach 1939—1945 oraz jej udział i rola w wyniszczaniu umysłowo chorych Polaków. W cytowanej pracy zbiorowej, zob. przypis 6, s. 25.

[8] *S. Batawia*, o. c., s. 103.

[9] *E. Herman:* O okrucieństwach niemieckich w stosunku do umysłowo chorych w szpitalu „Kochanówka". W cytowanej pracy zbiorowej (przypis 6), s. 43.

[10] *S. Świerczek:* Okrucieństwa niemieckie w stosunku do psychicznie chorych, przeważnie niemieckich, w zakładzie psychiatrycznym Obrzyce (Obrawalde). W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 45.

[11] *E. Wilczkowski:* Los chorych psychicznie w szpitalu dla psychicznie i nerwowo chorych w Gostyninie w latach okupacji niemieckiej. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 60.

[12] *K. Marxen, H. Latyński:* Dane ze sposobów leczenia dzieci upośledzonych umysłowo na oddziale B przy klinice dziecięcej w zakładzie psychiatrycznym w Lublińcu, które to leczenie można traktować jako eutanazję. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 63.

Szpital w Owińskach liczył w chwili wybuchu wojny 1 100 chorych. Około 1 listopada 1939 roku Niemcy rozpoczęli wywożenie chorych po 25 osób w samochodzie, w okolicę lasów koło Rożnowa. Tam dokonywano egzekucji. Przed początkiem grudnia, jak opisuje *Zdzisław Jaroszewski,* chorych w zakładzie już nie było [13].

W szpitalu w Chełmie Lubelskim przed rozpoczęciem akcji eksterminacyjnej znajdowało się 440 chorych. Wszystkich ich zamordowano dnia 12 stycznia 1940 roku [14].

W szpitalu w Kobierzynie w momencie zakończenia wojny w roku 1939 znajdowało się przeszło 1 000 chorych, rozmieszczonych w 17 pawilonach. Wyniszczanie chorych odbywało się trzema metodami. Pierwsza — to systematyczne głodzenie, powodujące ogromny wzrost śmiertelności; druga — to wywożenie do Oświęcimia i „Zofiówki" w Otwocku, gdzie ich mordowano oraz trzecia, polegająca na zabijaniu na miejscu w Kobierzynie. Z powodu głodzenia liczba ofiar na przełomie lat 1941 i 1942 w oddziale infirmeryjnym dochodziła do 45—50 osób dziennie. Chorzy wywiezieni do Oświęcimia zostali skierowani wprost do komór gazowych. Chorzy Żydzi skierowani do „Zofiówki" w Otwocku ponieśli ten sam los. W „Zofiówce" mieścił się od roku 1940 szpital dla psychicznie chorych Żydów. Wszyscy chorzy z tego szpitala, łącznie z chorymi przewiezionymi z Kobierzyna, zostali wymordowani dnia 19 sierpnia 1942 roku w ramach ogólnej likwidacji getta w Otwocku. Żydowski personel lekarski i pomocniczy wywieziony został do obozu w Treblince [15].

Całkowita likwidacja szpitala w Kobierzynie została dokonana dnia 23 czerwca 1942 roku. Jedyną chorą ocalałą z pogromu była *Waleria Białońska* z oddziału kobiecego Vb [16].

W szpitalu w Kulparkowie barbarzyńsko mordowano przez zagłodzenie. W ten sposób wskutek obrzęków głodowych i ogólnego wyniszczenia spośród 2 tysięcy chorych znajdujących się tam w czerwcu 1941 roku pozostało przy życiu dnia 15 stycznia 1943 r. jedynie 260 osób [17].

W szpitalu w Wilnie Niemcy zamordowali 150 Żydów oraz 250 chorych Żydów z opieki rodzinnej nad psychicznie chorymi. Zmarło z głodu przeszło 500 chorych [18]. Ogółem pod opieką lekarską znajdowało się w Wilnie w chwili wybuchu wojny 1 200 chorych. Wskutek systematycznego głodzenia oraz pseudonaukowych doświadczeń zginęło około 900 chorych. W chwili wkroczenia w Wileńskie armii radzieckiej z 1 200 chorych pozostało w szpitalu 150 osób, a na kolonii opieki rodzinnej około 100 osób [19].

W szpitalu w Kościanie w styczniu 1940 roku zamordowano 534 chorych [20].

W szpitalu w Warcie (województwo łódzkie) w dniach 2, 3 i 4 kwietnia 1940 roku zamordowano 499 chorych [21].

W szpitalu w Kocborowie w chwili wybuchu wojny znajdowało się 2 000 chorych. Chorzy ci zostali wymordowani w lasach koło Szpęgawska i Skarszew. Mordowano ich w sposób wyjątkowo perfidny: ogłuszano ich początkowo uderzeniem maczugi i wrzucano do wykopanego uprzednio rowu. Na koniec dobijano ich serią z karabinu maszynowego.

W miarę wyniszczania chorych z Kocborowa zaczęto przewozić do szpitala chorych z innych zakładów: 700 zdolnych do pracy chorych ze Świecia, kilkuset z Riesenburga (Prabuty) i około 50 niedobitków z Lauenburga (Lęborka). Chorych z filii Kocborowa, mieszczącej się w Chojnicach, w liczbie 200 również zamordowano. Ponadto stracono około 70 psychicznie chorych dzieci, które przebywały w zakładzie leczniczo-wychowawczym w Gniewie [22].

W szpitalu w Świeciu (województwo pomorskie) we wrześniu i w październiku 1939 roku zamordowano 1 350 chorych [23].

Akcja likwidacyjna ominęła szpital w Tworkach. Stało się tak dlatego, że władze niemieckie przeznaczyły go na fikcyjny cmentarz dla psychicznie chorych wywożonych na zagładę z innych zakładów psychiatrycznych. Rodziny tych chorych zawiadamiano, że chory został przewieziony do Tworek, skąd po jakimś czasie wysyłano kolejne zawiadomienie o śmierci chorego i pochowaniu go na tutejszym cmentarzu. Świadczyły o tym listy rodzin nadsyłane masowo do Tworek [24].

Mimo że w Tworkach masowych mordów nie dokonywano, to jednak skutki akcji eksterminacyjnej nie ominęły tamtejszego szpitala. Chorych systematycznie głodzono, wskutek czego śmiertelność gwałtownie wzrastała. Podczas gdy w roku 1939 zmarło 177 chorych (9,8%), to w roku 1940 zmarło 402 chorych (24%), a w 1941 roku 576 (30%). W następnych latach odsetek zgonów wzrósł do 40% [25].

W drugim podwarszawskim szpitalu, w Drewnicy, również chorych nie zabijano, ale i tutaj ginęli oni z głodu. Drewnica podczas wojny została zamieniona najpierw na zakład opiekuńczy; część chorych wywieziono do Tworek,

[13] Z. *Jaroszewski:* Los szpitala psychiatrycznego w Owińskach w czasie wojny. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 67.

[14] *A. Ossendowski:* Zbrodnie niemieckie w stosunku do umysłowo chorych w szpitalu psychiatrycznym w Chełmie Lubelskim. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 72.

[15] *R. Kiełkowski:* Zbrodnie niemieckie w zakładzie psychiatrycznym w Kobierzynie. Warszawa 1949, s. 16.

[16] Tamże, s. 29.

[17] *H. Latyński:* Zbrodnie niemieckie w szpitalu psychiatrycznym w Kulparkowie. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 82.

[18] *S. Batawia,* o. c., s. 103.

[19] *W. Pieskow:* Los psychicznie chorych w Wileńskiem podczas okupacji niemieckiej. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 87.

[20] *S. Batawia,* o. c., s. 103.

[21] Tamże, s. 103.

[22] *T. Bilikiewicz:* Polityka sanitarna okupanta na Pomorzu. Opinia biegłego. Polski Tygodnik Lekarski, 1948, nr 47—49 i 50—51.

[23] *S. Batawia,* o. c., s. 103.

[24] *J. Gallus:* Dziekanka. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 40.

[25] *S. Batawia,* o. c., s. 96.

potem ewakuowano tu chorych z Małopolski (Jarosław), z niektórymi pracownikami Kulparkowa i Kobierzyna. W końcu mieścił się tam obóz przesiedleńczy dla tzw. *Baltendeutschów* [26].

Nieco inne koleje losu przechodził stary szpital warszawski św. Jana Bożego. Pod koniec sierpnia i na początku września 1939 roku około 400 chorych zostało przewiezionych autobusami do Choroszczy. Pozostali w liczbie około 60 zostali zgrupowani w klinice psychiatrycznej. W czasie powstania w roku 1944 część chorych zginęła od bomb, część w wyniku innych działań wojennych, pozostali przy życiu wyszli wraz z ludnością cywilną na Dworzec Zachodni i stamtąd do Pruszkowa. Zabytkowe budynki szpitalne zostały zburzone [27].

Zbrodnicze postępowanie władz okupacyjnych w stosunku do chorych psychicznie nie ograniczało się jedynie do chorych przebywających w szpitalach. Choroba psychiczna była z reguły czynnikiem obciążającym i powiększającym stopień winy. A oto przykłady. Dnia 11 września 1942 roku przed sądem specjalnym we Włocławku stanął Polak *Józef Kotowicz*, który sprzeciwił się konfiskacie swoich krów, a następnie usiłował uciec do pobliskiego Generalnego Gubernatorstwa. U oskarżonego stwierdzono ograniczoną poczytalność, ale uznano ten fakt za okoliczność obciążającą i skazano go na karę śmierci [28].

Podobnie postępowano w obozach koncentracyjnych. Na przykład w Ravensbrück chore z objawami choroby psychicznej likwidowano za pomocą odpowiednich zastrzyków. Były wśród nich chore na depresję, a nawet takie, które uległy psychozie [29].

W świetle przytoczonych danych możemy zdecydowanie stwierdzić, iż postępowanie z chorymi psychicznie było planowym i konsekwentnie realizowanym ludobójstwem, a więc stanowiło zbrodnię niszczenia całych grup ludzkich, co zostało zakwalifikowane jako przestępstwo przeciw prawu międzynarodowemu [30].

Jednogłośną uchwałę w tej sprawie podjęło Ogólne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych na plenarnym posiedzeniu dnia 11 grudnia 1946 roku, w której czytamy: „Ludobójstwo stanowi zbrodnię w rozumieniu prawa międzynarodowego, którą świat cywilizowany potępia i której sprawcy oraz biorący w niej udział podlegają karze bez względu na to, czy są oni osobami prywatnymi, czy urzędnikami publicznymi lub mężami stanu i bez względu na to, czy zbrodnia ta została dokonana z przyczyn religijnych, politycznych czy innych" [31].

„Ludobójca — według określenia prof. *Jerzego Sawickiego* — wyszedł już poza samo prześladowanie człowieka innej rasy czy narodu. On odmawia bowiem całej grupie prawa do istnienia, stawia sobie zadanie wyniszczenia grupy i do celu tego zmierza za pomocą wczechstronnie opracowanych, różnorodnych środków" [32].

Czy lekarze biorący udział w akcjach „eutanazyjnych" byli ludobójcami? Odpowiedź jest jednoznaczna. Lekarz podający zastrzyk z śmiertelną trucizną, kierujący chorego na rozstrzelanie lub do komory gazowej — jest mordercą. W świetle prawa ani zgoda chorego, o którą niemieccy lekarze nawet się nie pytali, ani jego ogrom cierpień, ani nieunikniona śmierć nie stanowią w takich wypadkach żadnej obrony [33]. Z punktu widzenia prawa branie udziału w akcjach masowej eksterminacji jest niedopuszczalne. Prawo stoi na stanowisku, że posłannictwem lekarza jest niesienie pomocy, nie zaś niszczenie [34].

Ludzie chorzy psychicznie przechodzili, jak wiadomo z historii, ciężkie koleje losu. Byli męczeni, głodzeni, więzieni w piwnicach i lochach, torturowani i zabijani. Nigdy jednak nie zgotowano im tak potwornego w rozmiarach i tak krwawego pogromu. Pogromu dokonywanego w sposób zimny i beznamiętny w imię obłędnie pojmowanego „obowiązku". „Pamiętam, jak spędzali czas esesmani w Kocborowie, zatrudnieni przy zabijaniu umysłowo chorych — pisał w niezwykle interesującym artykule o psychologii ludobójstwa prof. *Bilikiewicz*. — Po bohaterskim wykonaniu rozkazów, gdy wrócili już po skończonej krwawej robocie, zbierali się wieczorem w kasynie na I piętrze budynku dyrekcji Szpitala. Jeden z nich był utalentowanym skrzypkiem, drugi grał na pianinie. Z okien kasyna słychać było muzykę i śpiew. Sterroryzowana ludność polska, dziesiątkowana systematycznie, drżała w bezsilnym przerażeniu. A oni wyżywali swoje artystyczne skłonności, wzniośle, szlachetnie, jak przystało na pięknoduchy. Skrwawiona ręka zbira wodziła z zamiłowaniem smyczkiem po strunach skrzypiec. A inni zasłuchani marzyli tęsknie o swojej wielkiej ojczyźnie, której służą wiernie i z oddaniem" [35].

Postępowanie Niemców było nie tylko cofnięciem się od szczytnych osiągnięć psychiatrii, datujących się od czasu rewolucji francuskiej, lecz także pokazem bestialstwa, jakiego nie znała historia.

---

[26] Wiadomość pisemna od dyr. dra *Zdzisława Jaroszewskiego*.

[27] *A. Falkowski:* Szpital św. Jana Bożego w latach 1939—1944. W cyt. pracy zbiorowej (przypis 6), s. 17. Zob. też biografię dr *Haliny Jankowskiej*, zamieszczoną w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

[28] *W. Lemiesz:* Paragraf i zbrodnia. Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1963, s. 68.

[29] *R. Moszyński, L. Policha:* Lublin w okresie okupacji. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1964, s. 138.

[30] *T. Cyprian, J. Sawicki:* Sprawy polskie w procesie norymberskim. Instytut Zachodni, Poznań 1956, s. 767.

[31] Tamże, s. 767.

[32] *J. Sawicki:* Ludobójstwo. Od pojęcia do konwencji. 1933—1948. Kraków 1949, s. 13.

[33] *G. Williams:* Świętość życia a prawo karne. PZWL, Warszawa 1960, s. 305.

[34] *T. Cyprian:* Granice uprawnień lekarza. (Na marginesie wyroku procesu norymberskiego w sprawie lekarskiej). „Lekarz Wojskowy" 1948, nr 3, s. 232.

[35] *T. Bilikiewicz:* Z rozważań nad psychologią ludobójstwa. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 20. — *T. Bilikiewicz:* Aspekt filozoficzno-lekarski problemu eutanazji (w druku).

ROMAN KIEŁKOWSKI Kraków

Zagłada chorych szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie

Szpital dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kobierzynie stał się w czasie okupacji miejscem biologicznego wyniszczenia i zagłady chorych obojga płci, przebywających tu na leczeniu. Akty te przeprowadzone zostały przez hitlerowskie czynniki urzędowe metodycznie, w oparciu o planowe działania, podjęte w trzech kierunkach. Pierwsze polegało na celowym, systematycznym głodzeniu chorych, powodując olbrzymi wzrost śmiertelności. Drugie — na masowym wywożeniu chorych do miejscowości, gdzie zgodnie z planem następowało ich biologiczne unicestwienie. Trzecie — na wymordowaniu pozostałych chorych na miejscu, w szpitalu.

Śledztwo przeprowadzone latem 1946 roku przez autora niniejszego artykułu, podówczas sędziego okręgowego, delegowanego z Głównej Komisji do Krakowskiej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, pozwala ustalić całokształt akcji likwidacyjnej, a w tych ramach również poszczególne jej etapy.

Głodzenie chorych jako akcja wyniszczająca

W dniu najazdu hitlerowskiego na Polskę przebywało w szpitalu kobierzyńskim przeszło tysiąc chorych, rozmieszczonych w siedemnastu pawilonach. Personel lekarski składał się z sześciu lekarzy i trzech absolwentów medycyny, personel pomocniczy obejmował trzysta osiem osób. Szpital był dobrze wyposażony w sprzęt szpitalny i kancelaryjny, obficie zaprowiantowany i zaopatrzony w środki lecznicze. W okresie wrześniowych działań wojennych formacja *Wehrmachtu* stacjonowała w szpitalu od 6 do 8 września 1939 roku. Odchodząc, zabrała ze szpitala wiele cennych przedmiotów, między innymi wszystkie maszyny do pisania oraz część środków leczniczych i artykułów sanitarnych.

Po ukończeniu kampanii wrześniowej szpital prowadził nadal swoją działalność i liczył przeszło tysiąc chorych, ale pod względem środków utrzymania zdany był wyłącznie na własne siły. Dyrektorem był nadal, jak i przed wojną dr *Władysław Issajewicz*. Dnia 20 listopada 1939 roku przyjechał do szpitala w Kobierzynie dr *Giller*, niemiecki dyrektor szpitala św. Łazarza w Krakowie i oznajmił przejęcie szpitala przez władze niemieckie. Równocześnie dr *Giller* przeprowadził badania personelu co do aryjskiego pochodzenia; w wyniku zwolniono z pracy jedną osobę spośród lekarzy. Następnego dnia przybył do szpitala Niemiec dr *Arldt* i objął administrację szpitala jako komisarz władz okupacyjnych. Z końcem maja 1940 roku dyrektorem szpitala mianowany został Niemiec nazwiskiem *Zweck*, dyplomowany kupiec. W związku z tą nominacją kompetencje dra *Issajewicza* zostały ograniczone wyłącznie do czynności lekarskich w zakresie funkcji naczelnego lekarza.

Po kampanii wrześniowej szpital kobierzyński miał jeszcze duże zapasy żywności z okresu przedwojennego. Przez pierwsze miesiące wyżywienie chorych odpowiadało jakościowo normom przedwojennym i chociaż pod względem ilościowym było skromniejsze niż przed wojną, było wystarczające. Dopiero na wiosnę 1940 roku, po wyczerpaniu zapasów przedwojennych, rozpoczął się wśród chorych szpitala kobierzyńskiego okres głodu. W październiku 1940 roku *Zweck* został usunięty, a kierownictwo szpitala objął Niemiec, *Aleksander Kroll*, urzędnik warszawskiego Wydziału Zdrowia (*Gesundheitswesen*) i sprawował je do września 1942 roku. W czasie jego rządów nastąpiły poważne zmiany na niekorzyść chorych. Racje żywnościowe zmniejszano systematycznie. Pożywienie chorych stanowiły w tym czasie głównie ziemniaki gotowane w łupinach, zupa ziemniaczana i kapusta. W pierwszym okresie rządów *Krolla*, tj. do wiosny 1941 roku, gotowano jeszcze dla chorych mięso końskie lub wołowe, przeciętnie trzy razy w tygodniu, nadto wydawano od czasu do czasu jajka. Racja mięsa dla chorego wynosiła 100—150 gramów dziennie, jajka wydawano po jednym na osobę. Na cały stan chorych, który wynosił przeciętnie około tysiąca osób, przypadało tłuszczu 5—6 kilogramów dziennie. Tylko od czasu do czasu przydzielano więcej; wyjątkowo zdarzało się, że racja dzienna tłuszczu dochodziła do 13 kilogramów. Na wiosnę 1941 roku zabrakło ziemniaków, wskutek czego personel kuchenny zmuszony był dodawać do zupy ziemniaczanej lebiodę i pokrzywę, aby zupa była więcej treściwa. W tym czasie karmiono chorych wyłącznie zupą ziemniaczaną; ziemniaków jako osobnego dania już nie wydawano. Racja chleba wynosiła dla chorego 75—150 gramów dziennie, dla Żydów była jeszcze mniejsza, bo wynosiła zaledwie 50 gramów. Dla chorych pracujących racja chleba była nieco wyższa i dochodziła do 100 gramów dziennie. Podwyższono ją jednak dopiero na około cztery miesiące przed likwidacją szpitala i tylko pewnym pracującym chorym, wybranym wedle uznania *Krolla*. Takich uprzywilejowanych chorych na oddziale kobiet półpracujących było zaledwie 20 na ogólną liczbę 86.

Posiłek wydawano chorym trzy razy dziennie. Na śniadanie, wydawane o godzinie siód-

mej, chory dostawał pół litra słodzonej kawy, przeważnie z mlekiem i chleb w ilościach wyżej podanych. Obiad był o dwunastej. Składał się z pół litra zupy, 500 gramów ziemniaków w łupinach i 300 gramów kapusty. Kolację wydawano o godzinie 17. Składała się wyłącznie z zupy ziemniaczanej w ilości trzech czwartych litra na osobę. Na chorego przypadał dziennie tylko jeden kilogram ziemniaków.

Z tej ilości kuchnia szpitalna była zobowiązana przyrządzić zarówno zupę ziemniaczaną, jak i wydzielić ziemniaki w łupinach, podawane osobno. W okresach, w których ziemniaków osobno nie wydawano, obiad chorego składał się jedynie z trzech czwartych litra zupy. Jesienią 1941 roku był dłuższy okres, w ciągu którego karmiono chorych jedynie bardzo rzadką zupą z brukwi, jeszcze mniej pożywną niż ziemniaczanka. Wyżywienie chorych nie pracujących nie przekraczało 1 200 kalorii, dla pracujących dochodziło zaledwie do 1 700 kalorii. Było zatem przeciętnie dwukrotnie niższe od norm wymaganych względami higieny odżywienia, warunkujących normalne życie ustroju bez narażenia na spalanie samej jego substancji tkankowej.

Następstwem tego rodzaju odżywiania był głód. Chorzy poczęli gwałtownie załamywać się fizycznie, zwłaszcza ci, którzy nie mając pomocy od rodzin, a tych była znakomita większość, zdani byli wyłącznie na wikt szpitalny. Zgodnie z obowiązującymi przepisami szpitalnymi ważono chorych co miesiąc. Gdy rozpoczął się okres głodu, chorzy zaczęli bardzo szybko chudnąć. Były wypadki, że chory w ciągu miesiąca tracił na wadze 15 kilogramów. Występowały obrzęki głodowe, śmiertelność zwłaszcza w okresie wiosennym i jesiennym wzrastała w sposób zastraszający. Na przełomie lat 1941 i 1942 liczba zgonów na oddziale infirmeryjnym, męskim i żeńskim, dochodziła do 40—45 osób dziennie. Świadek *Zofia Kubiak*, zakonnica, pielęgniarka na oddziale kobiet półpracujących, zeznaje:

„Pamiętam, że w tym okresie chora *Romańska*, dawna podopieczna szpitala kobierzyńskiego jeszcze z okresu przedwojennego, która przed wojną ważyła 96 kilogramów, w okresie głodu w szpitalu kobierzyńskim ważyła 44 kilogramy. Przeciętnie chore w tym okresie ważyły od 36 do 40 kilogramów. Jeżeli któraś z chorych dochodziła do wagi 45 kilogramów, było to czymś zupełnie wyjątkowym.

Pod koniec 1941 roku chora znajdująca się już w stanie agonii odezwała się do mnie i do towarzyszącej mi siostry *Emeryki Jacoszek*: „wcześniej nie umre niż dacie mi kawałek chleba". Chore nie pozwalały nam spokojnie wydzielać przypadających im racji, rzucały się na kosze z chlebem tak, że wydzielającym chleb zakonnicom musiały wskutek tego towarzyszyć sanitariuszki. Chore wydzierały sobie nawzajem chleb z rąk, a niektóre rzucały się na łupiny z ziemniaków, z których przytomniejsze chore obierały wydzielone im ziemniaki.

W ostatnim okresie przed wywiezieniem chorych, gdy pracowałam na oddziale półpracujących kobiet, byłam pewnego dnia świadkiem następującej sceny: Na oddział nasz przyszedł właśnie dyrektor *Kroll* i zainteresował się wynikami pracy chorych, które w tym czasie wykonywały pewne roboty z lnu. Korzystając z okazji, podeszła w pewnym momencie do *Krolla* jedna z chorych (nazwiska jej nie pamiętam) i poprosiła go w języku niemieckim o zwiększenie racji żywności, gdyż cierpią głód. *Kroll*, chcąc pozbyć się chorej, obruszył się, a wtedy chora oświadczyła: „raczej nas zastrzelcie niż macie nas dręczyć głodem".

Chore stale prosiły dyżurujące zakonnice i służbę o jedzenie, a w szczególności o chleb. Byłyśmy bezsilne, praca w tych warunkach była dla nas moralną katuszą. Wiele razy zwracałyśmy się do dyrektora *Krolla*, by przyszedł na wizytację oddziałów w czasie wydawania posiłków i stwierdził naocznie, jak chore wydzierają sobie wzajemnie jedzenie. Prośby nasze pozostały bez skutku.

Zapasy żywności zarząd szpitala wydawał kuchni dziennie, przy czym racje dla chorych ustalał osobiście *Kroll*, od którego decyzji zależała zarówno ilość, jak i jakość pożywienia chorych. Kierowniczkę kuchni Kroll kontrolował niemal codziennie, pilnując, by wydawała chorym pożywienie według zasad przez niego ustalonych. Nadto żądał, by dla chorych pracujących wybierać z kotła zupę więcej treściwą, co powodowało, że chorzy nie pracujący otrzymywali właściwie samą wodę".

Na tym tle przyszło między ówczesną kierowniczką kuchni, zakonnicą *Jadwigą Trawniczek* a *Krollem* do charakterystycznego incydentu, o którym wymieniona zakonnica tak zeznaje:

„Pewnego dnia w grudniu 1941 roku lub w styczniu 1942 roku, gdy *Kroll* przyszedł na wizytację kuchni w porze wydawania kolacji i znowu polecił mi wybierać gęstszą zupę dla chorych pracujących, nie mogłam zapanować nad nerwami, rozpłakałam się i poczęłam się żalić, że się chorych zamęcza głodem i że nawet śmierć nie byłaby tak straszna, jak to systematyczne głodzenie chorych. W odpowiedzi na moje uwagi *Kroll* oświadczył, że uprawiam sabotaż, że nie wykonuję jego rozkazów i że w związku z tym może mnie czekać tylko Płaszów, tj. obóz koncentracyjny. Opisana rozmowa prowadzona była w obecności inspektora *Pawłyka*, narodowości ukraińskiej, który służył za tłumacza zarówno mnie, jak i *Krollowi*. W jej wyniku *Kroll* usunął mnie ze stanowiska kierowniczki kuchni szpitalnej, które objęła siostra *Joanna Woś*, pracująca obecnie w szpitalu w miejscowości Międzyrzecze".

Według zgodnych zeznań świadków, doskonale zorientowanych w sprawach administracyjnych szpitala w związku z wykonywanymi przez nich funkcjami, złe wyżywienie chorych było wynikiem nie braku żywności, lecz wyłącznie złej woli Niemców. Przez cały czas okupacji zakład kobierzyński pobierał od władz przydziały żywności, jak mąkę, cukier, duże ilości tłuszczu, makaron itd. Nie wydawano jednak tych zapasów dla chorych, lecz je magazynowano, a po zlikwidowaniu szpitala żywiono zaoszczędzonymi na chorych zapasami formację *Hitlerjugend*, zakwaterowaną na terenie szpitala. Pewną część zapasów wywiózł również *Kroll* do szpitala dla psychicznie chorych w Kulparkowie pod Lwowem, gdzie został przeniesiony po zlikwidowaniu szpitala w Kobierzynie.

Głodzenie chorych jako akcja planowa, zmierzająca przez zwiększenie śmiertelności do systematycznego, biologicznego ich wyniszczania, dała wyniki odpowiadające zamierzeniom inicjatorów. Dowodzą tego fakty. Stan chorych w czasie objęcia przez *Krolla* kierownictwa szpitala wynosił przeszło 900 osób. Po upływie niespełna dwóch lat pozostało w chwili likwidacji szpitala tylko 537 chorych i 30 chorych

na kolonii, mieszczącej się w szpitalu Ojców Bonifratrów w Kalwarii Zebrzydowskiej.

Według stanu ksiąg zmarłych prowadzonych przez kapelana szpitalnego, w czasie od 1 września do 31 grudnia 1939 roku umarło 75 chorych. W roku 1940 liczba zgonów chorych wynosiła 392, w roku 1941 — 355, a w czasie od 1 stycznia 1942 roku do 17 czerwca 1942 roku — 135 osób. Liczby te nie dają jednak całkowitego obrazu śmiertelności chorych, gdyż księgi zmarłych prowadzone przez kapelana szpitalnego wykazują tylko dane o zgonach chorych chrześcijan, z pominięciem Żydów. Na podstawie ocalałych akt administracyjnych szpitala kobierzyńskiego można ustalić liczby zmarłych w szpitalu Żydów tylko za okres od 1 września do 31 grudnia 1939 roku — 9 osób i za rok 1940 — 109 osób.

Wyniki akcji głodzenia chorych, zorganizowanej przez niemieckiego dyrektora *Aleksandra Krolla*, rysują się szczególnie drastycznie w porównaniu z liczbami obrazującymi stan śmiertelności chorych w okresie przedwojennym. I tak z ksiąg prowadzonych przez kapelanię szpitalną wynika, że w roku 1935 zanotowano 66 zgonów chorych, w roku 1936 — 77, w roku 1937 — 92, w roku 1938 — 84 i od stycznia do 1 września 1939 roku — 28 zgonów. Dodać jednak należy, że stany liczbowe chorych w czasie przed wybuchem drugiej wojny światowej były w szpitalu kobierzyńskim znacznie wyższe niż w okresie okupacji. Fakt ten czyni obraz wynikający z porównania tym bardziej wymownym.

Wywózka Żydów i przygotowania do likwidacji szpitala

Z końcem sierpnia 1941 roku jeden z urzędników szpitala otrzymał od dyrekcji polecenie sporządzenia spisu Żydów obojga płci, leczących się w szpitalu kobierzyńskim. Dotąd niemiecka administracja nie czyniła zasadniczo różnicy między chorymi Żydami a „Aryjczykami". Żydzi umieszczeni byli w pawilonach razem z chorymi „Aryjczykami", korzystali z tej samej opieki i wyżywienia, jedynie racje chleba były dla Żydów mniejsze. Spis wykonano zgodnie z poleceniem. W pierwszej dekadzie września 1941 roku *Kroll* zarządził wywiezienie wszystkich chorych Żydów ze szpitala kobierzyńskiego do żydowskiego szpitala psychiatrycznego „Zofiówka" w Otwocku koło Warszawy. Pierwszą partię, obejmującą 41 chorych psychicznie kobiet żydowskich, wywieziono w dniu 8 września 1941 roku, drugą, obejmującą 50 chorych Żydów obojga płci, wywieziono w dniu 11 września 1941 roku. W szpitalu pozostawiono spośród Żydów jedynie 3 czy 4 osoby już dogorywające. Chorych przewieziono ze szpitala samochodami na dworzec w Krakowie, skąd skierowano ich osobnymi wagonami do miejsca przeznaczenia. Transporty odbyły się w warunkach przyzwoitych, oba konwojowała pewna liczba służby pomocniczej pod nadzorem lekarza, zaprowiantowanie chorych na drogę było wyjątkowo dobre. Kierownikiem obu transportów był Niemiec nazwiskiem *Hübner*, starszy buchalter szpitala kobierzyńskiego w czasie okupacji. Szpital „Zofiówka", do którego skierowano oba transporty, był przeznaczony już od roku 1940 wyłącznie dla chorych psychicznie Żydów. Wszystkich chorych tego szpitala łącznie z przeniesionymi do niego chorymi z Kobierzyna wymordowali Niemcy w dniu 19 sierpnia 1942 roku w ramach ogólnej likwidacji getta w Otwocku, a żydowski personel lekarski i pomocniczy wywieźli do obozu w Treblince.

Wywiezienie Żydów było wstępem do całkowitej likwidacji szpitala kobierzyńskiego, podjętej w dniu 23 czerwca 1942 roku. Akcja likwidacyjna została przygotowana planowo i obmyślana w najdrobniejszych szczegółach. Poprzedziły ją częste od połowy maja 1942 roku odwiedziny różnych dygnitarzy *SS*. Przyjeżdżający składali wizyty *Krollowi*, który przyjmował ich bądź w swoim urzędowym gabinecie, częściej jednak w swym prywatnym mieszkaniu na terenie szpitala. Wśród odwiedzających szpital oficerów *SS* świadkowie rozpoznali: *oberführera Scherrera, standartenführera Hammera, sturmbannführera Meyera, hauptsturmführera Krügera*, dra *Becka*, szefa medycyny sądowej z Krakowa oraz wysokiego dygnitarza *SS — obergruppenführera Krügera*. W tym czasie odwiedził szpital również *Reichsminister Aksmann*, szef organizacji *Hitlerjugend* na całą Rzeszę. W czasie rozmowy przeprowadzonej z *Krollem*, której przypadkowym świadkiem był urzędnik administracyjny *Norbert Chmielewski*, *Aksmann* oświadczył, że szpital musi być zlikwidowany w najkrótszym czasie, gdyż zamierza on założyć tutaj placówkę dla *Hitlerjugend*.

Równocześnie polecono urzędnikom szpitala sporządzenie wykazów dotyczących stanu osobowego i liczbowego chorych. Wykazy te przygotowywano wiele razy, gdyż władze urzędu zdrowia polecały już sporządzone listy przerabiać w rozmaitych kierunkach. Wykazami tymi interesował się szczególnie *SS-Standartenführer Hammer* z Krakowa, który również polecał przerabiać wykazy chorych podług własnych wskazówek. Około trzy tygodnie przed likwidacją szpitala *Kroll*, powołując się na rozkaz komendy *SS* z Krakowa, zabronił wypisywania chorych. Natomiast nowych chorych polecono przyjmować normalnie jak dotąd, tak że nawet w dniu masowej wywózki chorych przyjęto w godzinach przedpołudniowych jeszcze jednego chorego.

Na dwa tygodnie przed likwidacją szpitala wydarzyły się dwa fakty, pogłębiając nastroje przygnębienia, które od dłuższego czasu nurtowały polski personel szpitalny w związku z ujawniającymi się z dnia na dzień przygotowaniami zmierzającymi do ostatecznej zagłady szpitala i jego chorych. Pierwszym było sprowadzenie na teren szpitala niemieckiej policji, która objęła straż przy bramie wjazdowej, drugim oględziny przez Niemców cmentarza zakładowego. Oto, co w tej ostatniej sprawie zeznaje świadek *Władysław Bargiel*, gra-

barz zakładowy, zamieszkały w tym czasie w kostnicy cmentarnej:

„Na dwa tygodnie przed wywiezieniem chorych przyszedł na teren cmentarza dyrektor administracyjny *Kroll* w towarzystwie nieznanego mi wyższego oficera niemieckiego oraz inspektora *Pawłyka*, narodowości ukraińskiej. W pewnym momencie *Pawłyk* przywołał mnie i polecił, bym wskazał miejsce na cmentarzu, w którym dotąd nie grzebano zmarłych. Wskazałem polankę w obrębie cmentarza, położoną w odległości kilkunastu metrów w kierunku wschodnim od budynku, w którym wówczas mieszkałem i wyjaśniłem, że na tej polance zajęte są jedynie dwa rzędy. Gdy *Pawłyk* przetłumaczył moje wyjaśnienie, ów oficer niemiecki oświadczył, że to miejsce uważa za dobre. Oświadczenie to złożone w języku niemieckim zrozumiałem, gdyż władam cośkolwiek tym językiem".

Wstępem do bezpośredniej akcji było usunięcie z terenu szpitala polskich lekarzy. W dniu 18 czerwca 1942 roku wezwano do dyrekcji szpitala naczelnego lekarza dra *Issajewicza*, dra *Meissnera*, dra *Dębskiego* oraz absolwentów medycyny *Hołdę* i *Zichę*, gdzie wręczono im dekrety przeniesienia do szpitala psychiatrycznego w Drewnicy pod Warszawą, z obowiązkiem przesiedlenia się w ciągu trzech dni. Równocześnie zakomunikowano im, że z tą chwilą opiekę nad chorymi obejmują lekarze niemieccy. Zabroniono im dalszego wstępu na oddziały oraz zażądano wydania historii chorób i kluczy oddziałowych. Od tego dnia chorzy pozbawieni zostali opieki lekarskiej. Wbrew zapowiedziom, lekarze niemieccy nie objęli opieki nad chorymi. Na terenie szpitala znaleźli się dopiero w dniu 23 czerwca 1942 roku, jednak nie w charakterze niosących pomoc cierpiącym, lecz w roli morderców.

Zgodnie z otrzymanym poleceniem lekarze polscy opuścili teren szpitala w dniu 21 czerwca 1942 roku. Nazajutrz usunięto kapelana i siostry pielęgniarki. W dniu 22 czerwca 1942 roku, na dzień przed wywiezieniem chorych, woźnica zakładowy, świadek *Jan Skoczek*, pracując rano końmi na polu folwarcznym stanowiącym własność szpitala, położonym obok cmentarza zakładowego, zauważył między godziną 8 a 9 rano duży, odkryty samochód, wypełniony esesmanami, zdążający od strony Krakowa w kierunku cmentarza zakładowego. Po wyładowaniu się na cmentarzu, esesmani zabrali się do kopania głębokiej mogiły w południowej części cmentarza. W tym samym dniu polecono grabarzowi zakładowemu, *Władysławowi Bargielowi*, natychmiastowe przeniesienie się z rodziną i ruchomościami z mieszkania położonego w kostnicy cmentarnej na teren szpitala. Przy okazji przeprowadzki odbytej w godzinach rannych *Bargiel* stwierdził, że esesmani kopią dużą mogiłę w tym miejscu, które kilkanaście dni temu wskazał *Krollowi* i jego towarzyszom.

Również tego samego dnia przetoczono między godziną 12 a 14 osiem pustych wagonów typu bydlęcego ze stacji Swoszowice do szpitala kobierzyńskiego, na którego teren prowadzi z tejże stacji normalnotorowa bocznica kolejowa. Wagony te zamówił poprzedniego dnia niemiecki zawiadowca stacji, oświadczając polskiemu zawiadowcy stacji *Kochowi* w obecności między innymi świadka *Józefa Michałka*, że wagony te są potrzebne na wywiezienie chorych z Kobierzyna do Oświęcimia. Po przetoczeniu wagonów na teren szpitala parowóz odczepiono, wagony pozostawiono na miejscu, a drużyna przetokowa powróciła na stację Swoszowice parowozem. Nazajutrz wczesnym rankiem dnia 23 czerwca 1942 roku wspomniany woźnica *Jan Skoczek* otrzymał rozkaz natychmiastowego przewiezienia wapna z wapiennika Libana w Krakowie na Podgórzu. Wykonując rozkaz, *Skoczek* przywiózł czwórką koni wóz zawierający 32 q wapna i zgodnie z poleceniem pozostawił go wraz z końmi w obrębie folwarku szpitalnego. Sam udał się do swego mieszkania, gdyż zbliżała się godzina policyjna, wyznaczona w tym dniu od godziny 13. Około godziny 15 zaobserwował *Skoczek* z okna swego mieszkania, że na obejście folwarku przyszło dwóch niemieckich policjantów z tej formacji, która pełniła służbę przy bramie szpitalnej. Policjanci wsiedli na wóz z wapnem i powieźli go na cmentarz zakładowy.

Wywiezienie chorych do Oświęcimia i pogrom na miejscu w szpitalu

W dniu 23 czerwca 1942 roku dyrektor *Kroll* zarządził na godzinę 10 przed południem odprawę służby sanitarnej szpitala w gmachu teatru zakładowego. Na odprawie tej *Kroll* oświadczył, że w dniu dzisiejszym nastąpi przewiezienie chorych do szpitala psychiatrycznego w Drewnicy. Rozkazał służbie sanitarnej, która dotąd mieszkała na oddziałach szpitalnych, zabrać wszystkie swoje osobiste rzeczy i opuścić oddziały najpóźniej do godziny 12 w południe. Od godziny 12 mają pozostać na oddziałach jedynie wyznaczeni dyżurni lub dyżurne, najwyżej dwie osoby na oddział, którzy po ukończeniu dyżuru winni oddać klucze oddziałowe. Oświadczył nadto, że ci ze służby, którzy chcą opuścić teren szpitala, mogą to uczynić, ci zaś, którzy mają krewnych lub znajomych na terenie szpitala, mogą udać się do ich mieszkań, reszta ma zgromadzić się w teatrze zakładowym. Po godzinie 13, którą oznajmi głos syreny z kotłowni zakładowej, nie wolno nikomu ukazać się na terenie szpitala, a do każdego, kto nie zastosuje się do tego rozkazu, wojsko będzie strzelać. Zakaz nieopuszczania mieszkań obowiązuje do godziny 7 rano dnia następnego. Urzędników szpitala zawiadomił o godzinie policyjnej zarządzonej na dzień wywózki starszy buchalter *Hübner* tego samego dnia w godzinach rannych, a zarazem polecił sporządzić do godziny 12 jeszcze jedną listę chorych w kilku odpisach.

O godzinie 13 przyjechał na teren szpitala pierwszy oddział żołnierzy *SS*. Byli w rynsztunku bojowym i w hełmach. Równocześnie cały obszar szpitala otoczono gęstym łańcuchem pieszych posterunków. Wstrzymano ruch pieszy i kołowy na odcinku drogi z Kobierzy-

na do Sidziny, przecinającej kobierzyńską bocznicę kolejową, pozostawiając jedynie odcinek drogi prowadzący koło szpitala w kierunku na sąsiednią wieś Skotniki.

Tegoż dnia około godziny 11.30 przed południem wyjechała samochodem na rozkaz administracji szpitala ekipa złożona z pięciu dozorców pod kierownictwem nadpielęgniarza Niemca, nazwiskiem *Zipper*, do Kalwarii Zebrzydowskiej po chorych, którzy na podstawie umowy jeszcze z okresu przedwojennego przebywali w liczbie trzydziestu osób na leczeniu w tamtejszym szpitalu Ojców Bonifratrów. Po przybyciu na miejsce *Zipper* zgłosił się do sekretarza konwentu i wręczył mu podpisane przez *Krolla* pismo w języku niemieckim, w którego treści wystosowane było pod adresem zarządu szpitala polecenie wydania oddawcy pisma wszystkich chorych szpitala kobierzyńskiego oraz ich ruchomości. Ówczesny przeor konwentu ojciec *Danel Linus*, któremu jeden z przybyłych dozorców zdołał szepnąć, iż Niemcy likwidują szpital kobierzyński, usiłował uratować od wywiezienia przynajmniej chorych pracujących, w liczbie około jedenastu, przeważnie już na wyleczeniu, jednak prośba jego nie została uwzględniona. *Zipper* polecił chorych przebrać w ich cywilną odzież, oświadczając dozorcom, że lepsze rzeczy chorych mogą zachować dla siebie, „gdyż chorym nic już nie będzie potrzebne". Po sprawdzeniu przez *Zippera* stanu osobowego i liczbowego chorych na podstawie listy, którą przywiózł ze sobą, chorych wsadzono do samochodu i przewieziono do Kobierzyna. Ogółem wywieziono 29 osób, jeden bowiem z chorych przebywających na kolonii tymczasem zmarł. Fakt odbioru chorych potwierdził *Zipper* na dokumencie wręczonym na wstępie sekretarzowi konwentu. Oryginał tego dokumentu znajduje się w aktach śledztwa.

Chorych z kolonii zebrzydowskiej przywieziono do szpitala około godziny 16.30. Samochód zatrzymał się przed głównym budynkiem administracyjnym, czterech dozorców pozostało w wozie, by pilnować chorych, natomiast piątego, *Franciszka Żyłę*, przydzielił *Zipper* do jednego z obecnych na miejscu niemieckich lekarzy. Lekarz ów wręczył *Żyle* blaszane pudełko owinięte w gazę, identyczne pod względem wyglądu, jak określił *Żyła*, z pudełkami do przechowywania igieł do zastrzyków, polecając mu stale sobie towarzyszyć. W pewnej chwili lekarz ten zniknął mu jednak z oczu, wobec czego *Żyła* zdecydował pozostać przed budynkiem administracyjnym. Na terenie szpitala znajdowało się teraz około czterdziestu samochodów różnych typów oraz bardzo wielu oficerów i szeregowych *SS* w pełnym uzbrojeniu. Broń mieli ustawioną w kozły, przy bramie wjazdowej pełniła straż policja niemiecka. Upłynął jakiś czas, po czym biwakujący esesmani zostali sformowani w oddziały, rozproszone następnie po obszarze szpitala. Równocześnie szofer, który przywiózł chorych z Kalwarii, otrzymał rozkaz podjechania z chorymi do miejsca ładunkowo-wyładowczego bocznicy kolejowej Swoszowice-Szpital, znajdującej się na terenie szpitala. Tam konwojujący dozorcy otrzymali rozkaz załadowania chorych do przygotowanych wagonów. Po wykonaniu tego zatrzymano ich i użyto do dalszego ładowania chorych, których podwożono samochodami. W pewnym momencie dozorca *Żyła* został telefonicznie wezwany do pawilonu V c przez lekarza Niemca, do którego przydzielił go *Zipper* i tam przed bramą pawilonu oddał mu na wezwanie pudełko zlecone mu do przechowania.

Po załadowaniu do wagonów — jako pierwszej partii — chorych z Kalwarii Zebrzydowskiej, przewieziono następnie na punkt ładunkowy chorych z oddziałów VIII i IX szpitala, gdzie leżeli obłożnie chorzy obojga płci. Podłoga wagonów zanieczyszczona była żwirem i piaskiem; nie było rady, układano na niej obłożnie chorych, ubranych jedynie w bieliznę. Chorzy nieobłożnie byli odziani w ubrania szpitalne, z wyjątkiem grupy zebrzydowskiej, ubranej po cywilnemu. Wagon, wypełniony już chorymi, zamykali Niemcy ryglem z zewnątrz. Akcja przewożenia chorych odbywała się stosunkowo szybko. Sam proceder usuwania chorych z oddziałów odbywał się według ustalonego szablonu. Ewakuowany pawilon otaczał kordon żołnierzy, z których część z bronią gotową do strzału tworzyła szpaler do samochodu podstawionego pod bramę pawilonu. Poszczególne oddziały mieszczące się w pawilonach otwierał *Kroll* własnym kluczem, po czym wchodził na salę w towarzystwie dwóch sanitariuszy niemieckich i lekarza. Stan osobowy i liczbowy chorych danego oddziału sprawdzano na podstawie wykazów chorych, przeważnie dwukrotnie, raz czynił to *Kroll* przy bramie wejściowej oddziału, drugi raz liczono chorych przy wsadzaniu ich do samochodów. Chorych wyprowadzali dyżurujący, a w razie oporu stawianego przez chorych ładowali ich do samochodu przemocą specjalni żołnierze stojący do dyspozycji *Krolla*.

Na miejscu pozostawiono jedynie chorych bezwzględnie nie nadających się do transportu. Niektórzy chorzy na oddziale infirmeryjnym byli tak słabi, że trzeba ich było wynosić na rękach. Na oddziale tym, gromadzącym cieleśnie chorych, pacjenci leżeli w łóżkach w samej tylko bieliźnie. W tym stanie ładowano ich do samochodów. Chorzy przytomniejsi na widok żołnierzy niemieckich cofali się w przerażeniu, dając wyraz w okrzykach „banda hitlerowska przyszła nas mordować" i innych podobnych przeczuciom i obawom, jakie ich ogarnęły na widok groźnej akcji, której stali się bezbronnym przedmiotem. Niektórzy usiłowali kryć się po kątach oddziałów. Po sprawdzeniu listy i stwierdzeniu braków, posyłano żołnierzy, którzy wyciągali nieszczęśliwych z ich przygodnych kryjówek.

Nie zdołano ustalić liczby chorych pozostawionych na oddziałach jako nie nadających się do przewiezienia. Jednak na podstawie zeznań świadków ustalono, że na oddziale VI kobiecym pozostawiono trzy osoby, z których jedna dostała właśnie ataku szału i przebywała

w separatce oraz dwie chore, które po zastrzyku malarii miały gorączkę 40°. Na oddziale infirmeryjnym VIII a pozostawiono ośmiu ciężko chorych mężczyzn, z których jeden był w stanie agonii. Na oddziale infirmeryjnym kobiecym VIII b pozostawiono trzy niedorozwinięte dziewczynki. Także na oddziale IX b, gromadzącym chorych zakaźnych, tudzież dotkniętych gruźlicą i zniedołężnieniem, pozostawiono co najmniej dwie osoby. Świadczyły o tym ślady krwi, które po kilku dniach stwierdziła świadek *Franciszka Wiecheć* na bieliźnie pościelowej dwóch łóżek. Po załadowaniu chorych z danego oddziału do samochodów *Kroll* zamykał oddział i polecał żołnierzowi odprowadzenie dyżurującego pracownika do gmachu teatru zakładowego, gdzie zgromadzono tę część personelu sanitarnego, która przed nadejściem godziny policyjnej nie opuściła szpitala.

Akcję ładowania chorych do podstawionych wagonów na bocznicy kobierzyńskiej ukończono przed godziną 20. Po załadowaniu pewna część chorych zaczęła śpiewać hymn „Jeszcze Polska nie zginęła", drudzy modlili się, inni wreszcie obrzucali Niemców przekleństwami. Podobnie zachowywali się chorzy w czasie przewożenia ich samochodami przez teren szpitala do punktu ładunkowego. Wkrótce po ukończeniu ładowania podciągnięto ze Swoszowic na teren szpitala parowóz, który przetoczył wagony na główny tor. Zanim odczepiono parowóz przetokowy i załączono do pociągu parowóz główny, upłynęło około 20 minut. W czasie tego przymusowego postoju wyszli z wagonu eskortujący pociąg esesmani i obstawili skład w ten sposób, że każdy wagon strzeżony był przez dwóch do trzech żołnierzy. Z zamkniętych wagonów rozlegały się krzyki chorych. Niektórzy prosili o wodę. W ciągu kilku minut zbiegło się na miejsce kilkadziesiąt osób z pobliskiej wsi Opatkowice. Esesmani nie dopuścili jednak nikogo do wagonów, a bardziej gorliwi nie pozwalali nawet z oddalenia rozmawiać z chorymi, wyglądającymi przez małe, odrutowane okienka wagonów bydlęcych i szpary zaryglowanych wagonów. Po ukończeniu manewrowania parowozami, obsługiwanymi wyłącznie przez kolejarzy niemieckich, pociąg z chorymi szpitala kobierzyńskiego ruszył w kierunku na Skawinę.

Po załadowaniu chorych, lecz jeszcze przed odejściem pociągu, odstawiono dozorców zajętych przy ładowaniu do budynku teatru zakładowego. Przygnębienie panujące wśród zgromadzonych w teatrze pogłębiło sie jeszcze pod wpływem wiadomości udzielonych przez nowo przybyłych o wywiezieniu chorych. Nastroje te spotęgowały się, gdy około godziny 23 zaczęły dochodzić od strony cmentarza zakładowego odgłosy poszczególnych strzałów. Między godziną 24 a 1 po północy przyszedł do teatru *Kroll* w towarzystwie oficera *SS* i nadpielęgniarza *Zippera* i przez tłumacza oświadczył zgromadzonym, że o tym, co kto w dniu dzisiejszym widział i słyszał, nie wolno nikomu opowiadać. Równocześnie pozwolił tym, którzy na terenie szpitala mają krewnych lub znajomych, udać się w ciągu 10 minut najkrótszą drogą do ich mieszkań. Część służby skorzystała z pozwolenia i biegiem rozproszyła się po terenie szpitala.

Cmentarz zakładowy był krytycznego wieczoru widownią tragedii, rozgrywającej się wśród okoliczności szczególnie tajemniczych.

Przy wywożeniu chorych z oddziałów oraz ładowaniu ich do pociągu Niemcy nie mogli ze względów technicznych uniknąć niepożądanych świadków, natomiast tutaj w związku z godziną policyjną i ogólnym nastrojem terroru, który wywołali, usiłowali izolować ściślej swoje zbrodnicze poczynania, jednak bez skutku. Wiele osób słyszało około godziny 23 szereg strzałów dolatujących od strony cmentarza zakładowego i zdawało sobie sprawę, że Niemcy na cmentarzu mordują ludzi. Liczbę strzałów świadkowie określali różnie, od 23 do 40. Na podstawie zeznań świadka *Stanisława Wesóła*, kowala zakładowego, który w dniu wywózki chorych opuścił teren szpitala przed godzina policyjną i krążąc w jego rejonie śledził bacznie rozwój wypadków, należy przypuszczać, iż dolna granica podawanej liczby strzałów jest bliższa prawdy.

Oto fragment jego zeznań:

„Ponieważ krytycznego dnia (tj. 23. VI. 1942 r.) rano zauważyłem, że jakaś robocza formacja niemiecka kopie na cmentarzu zakładowym grób, nie udałem się mimo zapadnięcia zmroku do domu, lecz krążyłem koło cmentarza, chcąc obserwować dalszy rozwój wypadków.

Było już całkiem ciemno, gdy zbożami podkradłem się na odległość mniej więcej 200 m do cmentarza zakładowego, położonego poza terenem szpitala w odległości około 300 m. Dalej nie mogłem sie posunąć, gdyż stwierdziłem, że na zewnatrz cmentarza stoi łańcuch posterunków niemieckich. Około godziny 11 w nocy wyjechało z terenu szpitala pierwsze auto i skierowało się na cmentarz zakładowy. W małych odstępach czasu nadjechały za nim z terenu zakładu dalsze trzy samochody. Wszystkie były ciężarowe i miały światła przyćmione, a również obsługa posługiwała sie lampkami elektrycznymi o przyćmionym snopie światła. W pewnej chwili, po zajechaniu na cmentarz ostatniego, czwartego samochodu, usłyszałem szereg odgłosów strzałów, oddawanych w przerwach, co kilka sekund. Ponieważ strzały były przytłumione, tłumaczyłem sobie, że Niemcy dobijaja w grobie strzałami tych chorych, którzy mimo zatrucia ich zastrzykami na oddziałach szpitalnych dawali jeszcze znaki życia. Strzałów tych naliczyłem 23. Gdy strzały umilkły, wyjechały po chwili pojedyncze samochody z cmentarza i zapanowała cisza. Byłem na stanowisku około półtorej godziny, po czym około pierwszej udałem się do domu".

W dniu likwidacji szpitala kobierzyńskiego stan chorych wynosił wedle listy 537 osób i 30 osób z kolonii zebrzydowskiej, tj. razem 567 osób. Ponieważ *Zipper* przywiózł z Kalwarii 29 osób, jeden bowiem chory zmarł wcześniej, ofiarą akcji niemieckiej padło 566 osób. Jedyną osobą, która zdołała się uratować z pogromu, była chora nazwiskiem *Waleria Białońska* z oddziału kobiecego V b. *Białońska*, przebywająca od wielu lat w szpitalu kobierzyńskim z rozpoznaniem psychozy rozszczepieniowej (schizofrenii), była chorą przytomną i pracowała od roku 1934 w gospodarstwie domowym urzędnika szpitala *Norberta Chmielewskiego*,

ku obopólnemu zadowoleniu. Dnie spędzała w mieszkaniu Chmielewskich, na noc szła na oddział. Gdy zaczęło zanosić się na likwidację zakładu, a próby wypisania *Białońskiej* ze stanu chorych spełzły na niczym, *Chmielewski* nawiązał kontakt z gospodarzem we wsi Kobierzyn nazwiskiem *Purchla*, który zgodził się udzielić *Białońskiej* schronienia u siebie w przypadku, gdy jej się uda zbiec z zakładu. W dniu wywózki, dzięki ofiarnej pomocy dyżurującej pielęgniarki *Stanisławy Pałys*, *Białońska* zdołała ukryć się za szafą, którą *Pałys* uprzednio w tym celu przesunęła. Przy sprawdzaniu stanu osobowego oddziału stwierdzono brak *Białońskiej*, lecz wobec stanowczej postawy *Pałys*, która kategorycznie twierdziła, że wyprowadzono z oddziału wszystkie chore, Niemcy odstąpili od poszukiwania brakującej. W nocy *Białońska*, wykorzystując przygotowany stół oraz stoliki, tudzież otwartą przez *Pałys* górną kwaterę okna, wydostała się szczęśliwie z parterowej sali oddziału na zewnątrz. Przechodząc przez okno rozbiła szybę, na szczęście hałas nie zwabił nikogo. Przez ogrodzenie wydostała się następnie na wieś, gdzie udała się do domu *Purchli*, ratując się szczęśliwie z pogromu.

Możliwość uratowania się miała również chora z oddziału VI, nazwiskiem *Maria Szames*, katoliczka, pochodzenia żydowskiego, niestety możliwość tę sparaliżował niemiecki dyrektor *Kroll*. *Szames* była podleczona w stopniu tak znacznym, że *Kroll* zajął ją u siebie w charakterze dochodzącej pokojówki. W krytycznym dniu wywożenia chorych *Szames* zaszła do mieszkania pracownika zakładowego *Władysława Pamuły* w pawilonie nr XIX, prosząc o przenocowanie. Prośbie uczyniono zadość, a nazajutrz *Szamesówna* udała się na wieś, gdzie przygarnął ją gospodarz *Piotr Florkiewicz*. Nieobecność *Szamesówny* na oddziale ujawniła się zaraz przy sprawdzaniu stanu osobowego przeznaczonych do wywiezienia. Następnego dnia *Kroll* przyszedł do pawilonu nr XIX w asyście dwóch uzbrojonych policjantów, polecił wywołać mieszkających tam pracowników *Władysława Piekarza* i *Adama Modesana* i rozkazał im ustalić w ciągu 15 minut miejsce pobytu *Marii Szames*. Kiedy przeprowadzony przez nich wywiad nie dał wyniku, *Kroll* oświadczył, że wraca wezwać telefonicznie samochód z obsadą policyjną celem wywiezienia wszystkich mieszkańców pawilonu do Oświęcimia. W pawilonie XIX mieszkało wiele rodzin w łącznej liczbie około 50 osób. Wypadki poprzedniego dnia i nocy łącznie z faktami coraz brutalniejszych aktów bezprzykładnego terroru, stosowanego przez władze okupacyjne na terenie całego kraju, nie uzasadniały przekonania, że pogróżki *Krolla* to czcze słowa. Przerażona wizją Oświęcimia żona *Władysława Pamuły* udała się w towarzystwie *volksdeutschki Zofii Reinhold* do *Krolla* i przyznała, że *Szamesówna* spędziła krytyczną noc w ich mieszkaniu. W odpowiedzi *Kroll* zakreślił termin 24 godzin do zgłoszenia się *Szamesówny*, grożąc w przeciwnym razie ponownie wywiezieniem mieszkańców XIX pawilonu do Oświęcimia. *Szamesówna*, zawiadomiona o rozkazie i pogróżkach *Krolla*, postanowiła zgłosić się. W rozmowie ze spotkaną po drodze *Emilią Pyrek* wyraziła nadzieję, że „*Kroll* nie uczyni jej nic złego, bo przecież obsługiwała jego dom". Już na terenie zakładu natknęła się na *Zofię Reinhold* i z nią udała się do willi *Krolla*. Jeszcze tego samego dnia dwaj esesmani wywieźli *Szamesównę* na zatracenie. Natomiast *Pamuła* otrzymał wypowiedzenie pracy w piśmie podpisanym przez *Krolla*, z nakazem opuszczenia mieszkania do dnia 26 czerwca 1942 roku do godziny 13, umotywowane faktem przetrzymywania u siebie chorej pochodzenia żydowskiego.

Ślady zbrodni

Jak już wspomniano, w dniu 23 czerwca 1942 roku urzędnicy zakładu otrzymali rozkaz sporządzenia w kilku odpisach jeszcze jednej listy, obrazującej stan osobowy i liczbowy wszystkich chorych przebywających w szpitalu. Polecenie wykonano; przed godziną 12 w południe lista była gotowa.

W ciągu kilku najbliższych dni po wywiezieniu chorych urzędnik *Tadeusz Datka*, który brał udział w jej sporządzaniu, znalazł w biurze jeden z egzemplarzy tej listy i zabrał go do domu w zamiarze ujawnienia jej po wyzwoleniu kraju. Zgodnie z tym postanowieniem, gdy po przepędzeniu Niemców dr *Issajewicz* objął w lutym 1945 roku ponownie stanowisko dyrektora szpitala, *Datka* zgłosił mu bezzwłocznie fakt posiadania listy, a następnie wręczył mu ją do dalszego przechowania i wykorzystania.

Ta oryginalna lista, przechowywana obecnie w archiwum szpitala kobierzyńskiego, składa się z dwóch brulionów po osiem arkuszy maszynowego formatu, spiętych spinaczami, oraz z karty zawierającej zestawienie liczbowe wszystkich chorych, osobno mężczyzn i kobiet, sporządzone oddziałami. Z zestawienia tego wynika, że stan chorych w dniu 23 czerwca 1942 roku wynosił 262 mężczyzn i 305 kobiet, tj. razem 567 osób. Lista zredagowana jest w języku niemieckim i sporządzona oddziałami, z uwzględnieniem również kolonii zebrzydowskiej, a w ramach tego podziału nazwiska chorych zestawione są alfabetycznie. Lista podaje kolejno: numer porządkowy, nazwisko i imię chorego, datę urodzenia, określenie narodowości, określenie przynależności państwowej i datę przyjęcia do szpitala. Numery porządkowe chorych są na liście chorych zakreskowane podwójnie, ołówkiem zwykłym i czerwonym, nazwiska zaś chorych ołówkiem koloru zielonego. Jest niewątpliwe, że lista ta była podstawą sprawdzania stanu osobowego i liczbowego chorych w dniu ich wywiezienia do Oświęcimia, gdyż z biura administracji wyszła bez zakreśleń. Wierzytelny odpis tej listy znajduje się w aktach śledztwa.

Fakt, że chorych wywieziono nie do szpitala psychiatrycznego w Drewnicy, jak kłamliwie

informował *Kroll* na odprawie, lecz do obozu w Oświęcimiu, ujawniła nie tylko wypowiedź niemieckiego zawiadowcy stacji Swoszowice, o czym była mowa, lecz kierunek jazdy pociągu z chorymi, skierowanego na Skawinę, a nie na Kraków-Warszawę. Niezależnie od tego końcowy etap męczeńskiej podróży chorych szpitala kobierzyńskiego ustalony został dokumentarnie. Oto co w tym przedmiocie zeznaje świadek *Adam Zawirski*, urzędnik szpitala:

„Na jesieni 1942 roku, już po zajęciu szpitala przez *SS*, pracowałem w buchalterii, w której obowiązki kasjerki sprawowała Niemka *Ilsa Nagler*. Wymieniona orientowała się słabo w swych obowiązkach, w związku z czym zasięgała u mnie fachowych rad w rozmaitych sprawach wchodzących w zakres jej obowiązków.

Pewnego dnia, na jesieni 1942 roku, w czasie godzin pracy, *Ilse Nagler* wręczając mi rachunek *Ostbahnu* zapytała, co ma z nim uczynić. Wziąłem go do ręki i zapoznałem się dokładnie z jego treścią, z której wynikało, że był to rachunek *Ostbahnu* za przewiezienie w dniu 23 czerwca 1942 roku pięciuset sześćdziesięciu kilku osób ze stacji Swoszowice do stacji Oświęcim. Momentalnie zorientowałem się, że jest to rachunek za przewiezienie chorych wywiezionych w tym dniu ze szpitala. Odpowiadając na pytanie *Nagler* oświadczyłem jej, by rzeczony rachunek przesłała dyrektorowi *Krollowi* do Kulparkowa".

Wiadomością tą *Zawirski* podzielił się w ciągu najbliższych dni z kilkoma pracownikami szpitala, a po wyzwoleniu kraju i powrocie dyrektora *Issajewicza* zawiadomił go o tym urzędowo. Zdając sobie sprawę z wagi tej wiadomości, dyrektor *Issajewicz* ujął treść tego zgłoszenia w protokole spisanym w dniu 19 maja 1945 roku. Oryginał jego znajduje się w archiwum szpitala, a odpis wierzytelny w aktach śledztwa.

Co do akcji Niemców, której ofiarą padli po oddziałach ciężko chorzy, oraz zdarzeń, których widownią stał się cmentarz zakładowy, śledztwo ujawniło następujące fakty:

Po wywiezieniu chorych Niemcy zakazali służbie wstępu na oddziały. Mimo zakazu kilka osób spośród personelu sanitarnego udało się jednak następnego dnia na oddziały, by zbadać, co się stało z pozostałymi chorymi. Wszyscy stwierdzili przede wszystkim ich nieobecność. Na oddziale VI kobiecym *Janina Sroka* stwierdziła nadto na łóżku tej chorej, która w związku z atakiem szału przebywała w separatce i nie została wywieziona, liczne ślady krwi na poduszce i na poszwie od kołdry. Również w sali ogólnej na łóżkach dwóch innych chorych, które silnie gorączkowały i z tego powodu nie zostały wywiezione, stwierdziła ślady krwi na poduszkach, a na środku sali dużą kałużę krwi oraz krwawe ślady na podłodze przy drzwiach wyjściowych ze sali na korytarz. Na oddziale infirmeryjnym męskim VIII a pozostawili Niemcy 8 chorych. Świadkowie *Andrzej Stawowiak* i *Zofia Antosiak*, którzy byli na tym oddziale po wywiezieniu chorych, stwierdzili, że na łóżkach tych wszystkich nie wywiezionych chorych były na bieliźnie pościelowej ślady krwi, dochodzące w niektórych przypadkach wielkości małego talerzyka. Świadek *Stawowiak* precyzując swoje spostrzeżenia dodał nadto, że ślady te uczyniły na nim wrażenie, jakby przyczyną ich był wylew krwi, spowodowany rozcięciem lub ukłuciem, a świadek *Zofia Antosiak* zeznała dosłownie: „Moim zdaniem, te krwawe plamy musiały powstać już po moim odejściu w dniu wywożenia chorych z oddziału VIII a. Bezpośrednio bowiem przed załadowaniem chorych zmieniłam wszystkim ciężko chorym prześcieradła na czyste, a żaden z tych ośmiu chorych nie cierpiał na jakieś obrażenia skórne, które mogłyby pozostawić na pościeli krwawe ślady". Również świadek *Franciszka Wiecheć* stwierdziła na oddziale IX b ślady krwi na dwóch łóżkach.

Nazajutrz po krytycznej nocy byli na cmentarzu zakładowym dwaj świadkowie, wcześniej *Jan Skoczek*, później *Władysław Bargiel. Skoczka* skierował na cmentarz zarządca folwarku *Komornicki*, by zabrał części uprzęży pozostawione tam przez tych dwóch Niemców, którzy dnia poprzedniego przywieźli wóz z wapnem z folwarku na cmentarz. Oto fragment zeznań *Jana Skoczka:*

„Gdy znalazłem się na cmentarzu około godziny 7.30 rano, zauważyłem w południowej części cmentarza świeżą mogiłę w kształcie prostokąta. Około 3 m od grobu stał wóz z wapnem, które przywiozłem poprzedniego dnia od *Libana*. Wapno z wozu wybrane było mniej więcej do połowy. W pozostałym wapnie porzucane były wiaderka, którymi wapno czerpano. Gdy podszedłem do świeżej mogiły, stwierdziłem, że grób jest zapełniony w części wschodniej do połowy długości, część zachodnia, równa co do szerokości i długości części wschodniej, była całkowicie pusta. Wschodnia połowa grobu zasypana była prowizorycznie do połowy wysokości ziemią i wapnem, przy czym w tej części grobu widać było ślady krwi. Wszedłem do pustej zachodniej części grobu i stwierdziłem, wyciągnąwszy obie ręce do góry, że palce moich rąk nie mogą dosięgnąć kraja grobu. Zaznaczam, że mam wzrostu około 1,70 m.

W trawniku rosnącym koło świeżej mogiły zauważyłem nadto porozrzucane w kilku miejscach rozmaite rzeczy, w szczególności: około 5 białych płóciennych opasek z niebieskimi gwiazdami syjońskimi, które w tym czasie Żydzi mieli obowiązek nosić na ramieniu, dwie połamane laski męskie, kilka potarganych kołnierzyków męskich, kilka spinek męskich do kołnierzyków, dwa woreczki płócienne, które chorzy w zakładzie kobierzyńskim używali na przechowywanie tytoniu, oraz kilka pięćdziesięciogroszówek. Począłem zbierać owe monety do kapelusza, gdy nagle usłyszałem dźwięk motoru jadącego auta i zobaczyłem bardzo duże, nakryte auto, zdążające od strony Krakowa w kierunku cmentarza. W momencie, gdy wychodziłem bramą cmentarną, samochód właśnie nadjechał i zatrzymał się przed cmentarzem. Wyszedł z niego oficer w czapce z trupią główką i zatrzymał mnie skierowanym we mnie pistoletem i okrzykiem *„halt"*. Następnie zawrócił mnie na cmentarz w kierunku świeżej mogiły. Gdyśmy do niej doszli, oficer zaszedł do tej części grobu, która do połowy swej wysokości była przyrzucona ziemią i wapnem, obejrzał, czy grób nie jest naruszony, po czym wyszedł na trawnik i zapytał mnie, gdzie pracuję. Odpowiedziałem łamaną niemczyzną, że pracuję w zakładzie, a wtedy oficer kazał mi odejść. Gdy mijałem bramę cmentarną, ujrzałem przed cmentarzem koło samochodu około 30 esesmanów, uzbrojonych i zaopatrzonych w łopaty.

Gdy po około trzech kwadransach, wykonując polecenie *Komornickiego*, odwoziłem dwie pielęgniarki z Kobierzyna do Batowic, zatrzymałem konie na pagórku, stanąłem na wózku i popatrzyłem w kierunku

cmentarza. Zauważyłem, że esesmani zawalają łopatami świeżą mogiłę. Po dwóch dniach udałem się w towarzystwie drugiego robotnika na cmentarz po pozostały tam jeszcze wóz z wapnem. Po przybyciu na miejsce zwróciłem specjalną uwagę, czy wapna ubyło z wozu, stwierdziłem jednak, że w wozie pozostała go taka sama ilość, jak za mego ostatniego pobytu na cmentarzu. Stwierdziłem nadto, że mogiła została wyrównana, a rzeczy, które widziałem poprzednio porzucone wokół mogiły, zostały już uprzątnięte bez śladu".

Zeznania świadka *Bargiela* są w istotnej treści identyczne z tym, że wśród porzuconych koło mogiły przedmiotów zauważył ponadto pewną ilość śrub stolarskich, zawiasów oraz okuć, których używa się do biurek lub szaf.

Zestawiając opisane wyżej fakty, należy przyjąć, że Niemcy zgładzili na oddziałach trującymi wstrzyknięciami kilkunastu czy też kilkudziesięciu ciężko chorych, po czym zwłoki ich późnym wieczorem tego samego dnia zakopali we wspólnej mogile, w południowej części cmentarza zakładowego. Do ładowania zwłok pomordowanych na samochody oraz do ułożenia ich we wspólnym grobie użyto Żydów według wszelkiego prawdopodobieństwa z pobliskiej Skawiny, których po wykonaniu zadania rozstrzelano i pochowano wspólnie z pomordowanymi wcześniej chorymi. Przemawia za tym fakt zeznany przez świadka *Skoczka*, iż wokół mogiły leżały między innymi białe opaski z gwiazdami syjońskimi. Musiała to być drużyna robocza, skoro między drobiazgami porzuconymi w trawie wokół grobu świadek *Bargiel* zauważył pewną ilość śrub stolarskich, zawiasów i okuć.

Martyrologia chorych szpitala kobierzyńskiego odbiła się głośnym echem w pobliskim Krakowie. Zarówno głodzenie chorych, jak i późniejsze ich wywiezienie, połączone z mordami na miejscu w szpitalu, było publiczną tajemnicą. Zakład kobierzyński stał pod prawną kontrolą sądu grodzkiego w Krakowie, w ramach ustawy o ubezwłasnowolnieniu z dnia 28 stycznia 1916 r. l. 207 dpp. Na podstawie tej ustawy szpital był obowiązany donosić w ciagu 48 godzin o przyjęciu każdego chorego. W następstwie zawiadomienia sąd grodzki wdrażał postępowanie, polegające na przesłuchaniu chorego przez sąd, w obecności lekarza i biegłego sądowego. Zależnie od wyników dochodzeń orzekał następnie uchwałą, czy dalsze przetrzymywanie w szpitalu jest dopuszczalne, czy też przesłuchanego można zwolnić jako umysłowo zdrowego. Wykonując przepisy tej ustawy, jeździły do szpitala kobierzyńskiego komisje sądowo-lekarskie co dwa lub trzy tygodnie, przy czym na każdej tego rodzaju sesji przesłuchiwano kilkudziesięciu chorych.

Opisany stan rzeczy trwał również i w okresie okupacji, jednak tylko do końca 1941 roku. Potem wyjazdy do Kobierzyna ustały, gdyż szpital przestał zawiadamiać sąd grodzki w Krakowie o przyjmowaniu nowych chorych. Od połowy roku 1942 zaczęły się zwracać do Sądu rodziny chorych z zapytaniami dotyczącymi dalszego losu ich krewnych, przebywających do niedawna w szpitalu kobierzyńskim. W związku z tymi interwencjami Sąd grodzki zwracał się urzędowo o wyjaśnienie. Początkowo szpital udzielał odpowiedzi, że chory, o którego pytano, został *„verlegt"* lub *„verlegt nach Drewnica bei Warschau"*, a po pewnym czasie w ogóle przestał odpowiadać na takie pytania. W przypadkach, w których Sąd zwracał się do szpitala w Drewnicy z zapytaniem, czy dany chory, który według relacji zakładu kobierzyńskiego miał tam zostać przeniesiony, rzeczywiście tam przebywa, przychodziły odpowiedzi negatywne. Ustalenia powyższe oparte są zarówno na zeznaniach długoletniego sędziego dla spraw niespornych Sądu grodzkiego w Krakowie, *Wilhelma Dudka*, jak i na zgodnych z nimi aktach tegoż sądu, zużytkowanych w toku śledztwa.

Fakty wyżej ustalone pokrywają się również z zeznaniami dra *Issajewicza*, który przeniesiony ze szpitala kobierzyńskiego do szpitala w Drewnicy pełnił tam obowiązki naczelnego lekarza od dnia 22. VI. 1942 r. aż do zlikwidowania szpitala, tj. do dnia 31. X. 1942 roku. W szczególności dr *Issajewicz* stwierdził stanowczo, że w ciągu całego okresu swego pobytu w Drewnicy nie zastał tam ani jednego chorego szpitala kobierzyńskiego. W tym stanie rzeczy twierdzenia o przeniesieniu chorych kobierzyńskich do szpitala w Drewnicy należy uznać za jeszcze jedno kłamstwo władz okupacyjnych, mające na celu bałamucenie opinii publicznej i świadome wprowadzanie w błąd zainteresowanych.

Że to było metodą i jednym ze sposobów zacierania śladów zbrodni, świadczy między innymi następujący fakt. W aktach śledztwa znajduje się świadectwo zgonu urzędu stanu cywilnego z datą: Chełm, 20 lipca 1942 roku, dotyczące chorej szpitala kobierzyńskiego *Heleny Parafińskiej*, której nazwisko znajduje się na liście chorych wywiezionych w dniu 23 czerwca 1942 roku. W treści pisma doręczonego dopiero w dniu 22. VI. 1942 roku urząd donosi, że *Helena Parafińska* zmarła w Chełmie dnia 20 lipca 1942 roku o godzinie 2 min. 20. Tymczasem szpital psychiatryczny w Chełmie Niemcy zlikwidowali, mordując wszystkich chorych jeszcze w dniu 12 stycznia 1940 roku. Świadectwo to było odpowiedzią ze strony władz niemieckich na wiele razy ponawiane pytania rodziców chorej dotyczące losu córki, wywiezionej ze szpitala kobierzyńskiego w dniu 23 czerwca 1942 roku.

Po odliczeniu z ogólnego stanu chorych w dniu likwidacji szpitala kobierzyńskiego kilkudziesięciu chorych, zamordowanych na miejscu, wynika, że Niemcy wywieźli do Oświęcimia z górą pięćset osób. Żadna z nich nie wróciła, żadna się nie uratowała; w Oświęcimiu pociąg z chorymi szpitala kobierzyńskiego skierowano niewątpliwie wprost do komór gazowych. Wśród wywiezionych było wielu chorych przytomnych, wielu było już na wyleczeniu. Wszyscy padli ofiarą ludobójstwa, wyrosłego z hitlerowskiego światopoglądu głoszącego, że dla chorych i słabych nie ma miejsca na ziemi.

Bibl. Jagiellońska

Przy objęciu szpitala kobierzyńskiego Niemcy wyrazili się o nim z wielkim uznaniem, a równocześnie ubolewali, że służy tak „nieproduktywnym" celom. Po zlikwidowaniu szpitala rozmieściły się na jego terenie trzy niemieckie instytucje: *SS-Lazarett Kobierzyn, Hitlerjugend* męska i żeńska oraz instytucja gospodarcza o nazwie *„SS-Stützpunkt Kobierzyn"*, która objęła zarząd majątku ziemskiego szpitala i przyłączonych do niego przez Niemców gruntów chłopskich.

Późną wiosną 1944 roku instytucje te wizytował w Kobierzynie *Himmler*. Dnia 29 stycznia 1945 roku o godzinie 11 przed południem wkroczyły na teren gminy Kobierzyn pierwsze patrole wojsk radzieckich.

Ekshumacja na cmentarzu zakładowym i jej wyniki

W dniu 29 i 30 listopada 1946 roku zespół sędziów i prokuratorów Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie oraz lekarzy z udziałem profesora dra *Jana Olbrychta* dokonał na cmentarzu zakładowym w Kobierzynie:

1) oględzin miejsca wymordowania i pogrzebania przez Niemców dnia 23 czerwca 1942 roku grupy chorych Państwowego Zakładu dla Umysłowo i Nerwowo Chorych w Kobierzynie (ówczesna oficjalna nazwa szpitala),

2) wydobycia z masowego grobu zwłok w nim pogrzebanych, ich oględzin i sekcji, tudzież

3) oględzin przedmiotów znalezionych przy zwłokach wydobytych ze wspólnego grobu.

Wyniki ekshumacji zanalizował i poddał ocenie ze stanowiska medycyny sądowej lekarz, biegły sądowy, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, prof. dr *Jan Olbrycht*, w orzeczeniu z dnia 15 stycznia 1947 roku. Szczegółowy protokół czynności dokonanych w czasie ekshumacji, łącznie z orzeczeniem sądowo-lekarskim prof. dra *Jana Olbrychta* znajduje się w aktach śledztwa.

Oto dosłowne brzmienie orzeczenia:

„Rozkopany w dniach 29 i 30 listopada 1946 roku grób masowy na cmentarzu Państwowego Zakładu dla Umysłowo i Nerwowo Chorych w Kobierzynie zawierał zwłoki 55 osób. Zwłoki te leżały w grobie warstwami, porzucone w nieładzie, w różnych kierunkach i w różnych położeniach ciał. Zarówno liczba znalezionych zwłok, jak i sytuacja w mogile potwierdzają wyniki dochodzeń w sprawie wymordowania przez Niemców w dniu 23 czerwca 1942 roku grupy obłożnie chorych z zakładu kobierzyńskiego. Zwłaszcza ta sytuacja, a następnie oględziny zwłok wykazały bowiem, że przy niektórych zwłokach, leżących w warstwach niższych, znajdowały się resztki odzienia szpitalnego oraz że część zwłok warstwy wierzchniej i warstw wyższych odziana była w ubrania cywilne. W ubraniach tych znaleziono papiery osobiste, opiewające na nazwiska Żydów, przy czym niektóre z nich wskazują, że Żydzi ci pochodzili ze Skawiny.

Wobec stwierdzenia w toku oględzin zwłok, że tylko zwłoki warstw górnych wykazują uszkodzenia czaszki, nic nie sprzeciwia się przyjęciu, iż chorzy w liczbie około 30 zamordowani zostali w inny sposób i ewentualnie jeszcze w szpitalu, złożeni na dnie grobu, a na zwłoki ich wrzucono następnie dwudziestu kilku Żydów, rozstrzelanych na miejscu, nad grobem. Potwierdza to także ilość strzałów, posłyszanych przez świadków z cmentarza.

Wydobyte z grobu zwłoki znajdowały się przeważnie w stanie zupełnego zeszkielecenia, tak że nawet poszczególne kości pozostawały ze sobą w luźnym związku. Liczba tych zupełnie zeszkieleconych zwłok wynosiła 33. Siedem zwłok wykazywało niezupełne zeszkielecenie, z utrzymanymi częściowo przy kośćcu gnijącymi częściami miękkimi. U dziewięciu zwłok stwierdzono tłuszczowo-woskowe przeobrażenie,



Przy stole sekcyjnym na pierwszym planie prof. Jan Olbrycht, obducent Jan Sobik oraz laborant Julian Łuszczewski z Zakładu Medycyny Sądowej. Obok przy stoliku protokolant sądowy. W głębi przy drugim stole sekcyjnym obducent Dr Marian Kusiak oraz laborant Franciszek Sikorski z tegoż zakładu, tudzież członkowie komisji sądowo-lekarskiej, a wśród nich autor artykułu.

a w sześciu prawie zupełne zeszkielecenie z utrzymanymi częściowo przy kościach przeobrażonymi tłuszczowo-woskowo częściami miękkimi. To tłuszczowo-woskowe przeobrażenie zwłok znajduje wytłumaczenie w wilgotnym środowisku, w jakim zwłoki przebywały, zwłaszcza w południowo-wschodniej części grobu. W czterech wypadkach zwłoki były zupełnie nagie, w dwudziestu dwu odziane, a w dwudziestu dziewięciu wypadkach, wobec rozpadu zwłok w luźne kości, nie dało się ustalić, czy były nagie, czy też odziane. Najlepiej było zachowane obuwie.

Z powodu daleko posuniętego rozkładu zwłok można było ustalić płeć męską w 17, a płeć żeńską w 6 przypadkach. Z utrzymanej częściowo odzieży na 22 zwłokach zdołano ustalić, że w 17 przypadkach była to odzież męska, a w 5 kobieca. U zwłok nr 50 stwierdzono kobiece uwłosienie zwłok głowy, w 32 wypadkach nie znaleziono żadnych danych, które mogłyby dać podstawę do określenia płci zwłok.

Wymiary kości, ich budowa oraz dające się na niektórych czaszkach zaobserwować zachowanie się uzębienia, wyrostków zębodołowych i szwów kości czaszkowych pozwalają określić wiek osób, których zwłoki poddano oględzinom, od średniego do podeszłego.

Daleko posunięty rozkład zwłok nie pozwolił ustalić przyczyny śmierci w 48 przypadkach. W siedmiu (zwłoki nr 3, 6, 9, 10, 11, 16, 27) stwierdzono obrażenia czaszki, które były w stanie wytłumaczyć zejście śmiertelne danych osób. W trzech przypadkach były to typowe rany postrzałowe. W jednym przypadku stwierdzono złamanie czaszki, charakterystyczne dla działania narzędzia tępo-krawędzistego. W dwóch przypadkach stwierdzono rozległe pęknięcie kości czaszki i rozstępy szwów czaszkowych, jakie występują od działania urazów tępych. Wreszcie w jednym przypadku stwierdzono w kościach czaszki ubytek, nie posiadający żadnego rodzaju cech charakterystycznych, które pozwalałyby określić jego pochodzenie.

Uwzględniając z jednej strony warunki geologiczne cmentarza, a z drugiej zaś stopień rozkładu zwłok, stwierdzam, że nic nie sprzeciwia się przyjęciu, iż wydobyte i poddane oględzinom zwłoki przebywały w grobie od czerwca 1942 roku".

Wnioski końcowe

Oceniając ostatecznie wyniki śledztwa w sprawie wymordowania chorych na terenie zakładu, należy uzupełnić dotychczasowe wnioski kilkoma jeszcze uwagami.

Z porównania stanu faktycznego ustalonego zeznaniami świadków z ogółem faktów ujawnionych przez ekshumację wynika, że jej wyniki potwierdziły w zupełności wypowiedzi świadków o zdarzeniach, których widownią był cmentarz zakładowy tragicznej nocy 23 czerwca 1942 roku oraz dnia następnego.

Zgodnie z zeznaniami świadka, *Jana Skoczka*, stwierdzono w czasie ekshumacji, iż zwłoki pomordowanych zostały pogrzebane jedynie we wschodniej części wspólnej mogiły. Warstwa ziemi leżąca bezpośrednio na zwłokach była pomieszana z wapnem, co pokrywa się również z zeznaniami tego świadka, który będąc nazajutrz po akcji na cmentarzu stwierdził, iż koło grobu stał wóz z wapnem, wybranym mniej więcej do połowy. Rodzaj znalezionych we wspólnym grobie przedmiotów potwierdza również i w tym kierunku wypowiedzi świadków *Jana Skoczka* i *Władysława Bargiela*. Szczegół tyczący się zauważonych na mogile opasek z gwiazdami syjońskimi, zeznany przez nich, a bardzo ważny jako wskazanie do ustalenia, że do zakopywania pomordowanych chorych użyto Żydów, znalazł całkowite potwierdzenie w wynikach ekshumacji. Znaleziono bowiem między innymi pięć opasek z gwiazdami syjońskimi, a zatem dosłownie tyle, ile podał świadek *Skoczek*, a nadto wiele dokumentów stwierdzających ponad wszelką wątpliwość, iż ofiarami obok chorych byli również i Żydzi z pobliskiej Skawiny.

Ta zgodność materiału faktycznego ustalonego na podstawie zeznań świadków z wynikami ekshumacji świadczy o bezwzględnej wiarygodności wypowiedzi świadków, a orzeczenie lekarza biegłego sądowego, profesora dra *Jana Olbrychta*, daje wyraz tej zgodności również z punktu widzenia zasad medycyny sądowej.

Na zakończenie słów kilka o postawie polskiego personelu administracyjnego i sanitarnego. Mimo zastosowania przez Niemców licznych środków policyjnych, mających okryć najgłębszą tajemnicą ich zbrodnicze poczynania, mimo terroru i grozy śmierci, pracownicy zakładu wszędzie zajrzeli i podpatrzyli wszystkie etapy akcji. Tej cichej walce, podjętej przez garstkę pracowników zakładowych z uzbrojonym po zęby wrogiem, ukoronowanej sukcesem uratowania z pogromu chorej *Białońskiej*, należy zawdzięczać, że wyniki śledztwa dały pełny obraz masowej zbrodni, dokonanej przez okupacyjne władze hitlerowskie na bezwolnych chorych kobierzyńskiego szpitala.



Chora *Waleria Białońska*, jedyna ocalała z pogromu, dokonanego przez hitlerowców podczas likwidacji szpitala w Kobierzynie

HANS MÜNCH Rosshaupten (NRF)
były lekarz Instytutu Higieny *SS* i Policji w Rajsku pod Oświęcimiem

Głód i czas przeżycia w obozie oświęcimskim [1]

Na wstępie należy podkreślić, że jeśli ma zostać omówiona sprawa czasu przeżycia więźniów oświęcimskich, to ośrodkiem rozważań musi być opis głodu i chorób zakaźnych w Oświęcimiu, ponieważ dla przeżycia w obozie znamienne było wygłodzenie i choroby epidemiczne związane z głodem: dur brzuszny, czerwonka, dur wysypkowy.

Wiadomo, że do utrzymania życia przy całkowitym spoczynku potrzeba 1500 kalorii na dobę. Wszelka praca wymaga dodatkowego dostarczenia energii. Już samo przebywanie w pozycji pionowej bez żadnych ruchów wymaga o 300 kalorii więcej. Zapotrzebowanie dodatkowe wzrasta przy ciężkiej pracy szybko, toteż ludzie ciężko pracujący fizycznie wymagają 4 000—5 000 kalorii.

W wypadku gdy zostanie dostarczona niewystarczająca ilość energii kalorycznej, powstaje w ustroju niedobór kalorii i ustrój zaczyna głodować. Kolejne okresy głodu i spożycia pokarmu są tak dobrze ze sobą zestrojone, że w ciągu godzin dochodzi do całkowitego wyrównania energii. Gdy nadal nie ma pokarmu, zapotrzebowanie energii pokrywa rezerwa, tzn. zapasy tłuszczowe ustroju. Przy rezerwie tłuszczowej w ilości 10 kg można żyć przez 40 dni nie pracując fizycznie, zanim cały tłuszcz zostanie zużyty.

Do wygłodzenia dochodzi w dwóch stadiach. Stadium pierwsze, to dopiero co wspomniane życie z zapasów tłuszczu. Po jego wyczerpaniu następuje faza druga, w której niedobór kalorii może już być pokrywany tylko z substancji białkowej. W języku obozowym wynaleziono dla człowieka znajdującego się w tym drugim stadium nazwę „muzułman". Ten, kto nigdy nie widział „muzułmana", nie potrafi nawet na podstawie najdokładniejszego opisu stworzyć sobie prawdziwego obrazu tego najbardziej żałosnego wyrazu ludzkiej nędzy.

„Muzułman" pozbawiony zapasu białka zużywał białko ustrojowe potrzebne dla życia, co było powodem obumierania przez zanik i destrukcję wszystkich narządów. Ponieważ wartość kaloryczna białka jest prawie dwukrotnie niższa niż tłuszczu, przeto jest ono zużywane dwa razy szybciej. Utrata stosunkowo małych ilości białka prowadzi już do ciężkich uszkodzeń. I tak np. rozpad białek krwi powoduje, że krew nie może już pełnić swojej czynności magazynowania wody i rozprowadzania jej po ustroju, toteż nadmiar wody przenika do tkanek i powoduje przyrost wagi. To znane nawet laikom występowanie „obrzęków" jest tylko jednym objawem wszechstronnych zaburzeń w ustroju „muzułmana". Dalej zwracają uwagę: bladożółte zabarwienie skóry jako wyraz daleko posuniętej niedokrwistości, znaczna senność spowodowana ogólnym upadkiem sił, zawroty głowy i omdlenia, charakterystyczne dla zaburzeń w ukrwieniu z powodu krańcowego spadku ciśnienia krwi. Wreszcie obraz uzupełnia częste oddawanie stolca przy nękającym pragnieniu.

Również psychicznie znajduje się „muzułman" w stanie „obumierania". Coraz bardziej zanika zainteresowanie otoczeniem, a w końcu dochodzi do obojętności nawet na własny los. W tym stanie „muzułman" różni się już niewiele od umarłego i faktycznie śmierć dosięga go niepostrzeżenie, człowiek taki po prostu „zasypia".

Gdy więzień oświęcimski stawał się „muzułmanem", jego los był już nieodwołalnie przypieczętowany, ponieważ nie istniały żadne warunki wyzdrowienia „ciężko chorych". Bez znaczenia było, ile dni, tygodni czy miesięcy „muzułman" żył jeszcze w tym stanie, toteż obliczeń czasu przeżycia dokonywać można jedynie w odniesieniu do pierwszego stadium wygłodzenia, tj. do okresu zużywania rezerw tłuszczowych.

Tak przeprowadzono w niniejszej pracy obliczenia dla najrozmaitszych możliwych w Oświęcimiu warunków życiowych. Za podstawę wszystkich obliczeń przyjęto „przeciętnego więźnia" z zapasem tłuszczowym 10 kg. Poza tym przyjęto, że więzień ten nie otrzymywał żadnych dodatków żywnościowych poza wyżywieniem normalnym o wartości 1500 kalorii na dobę.

Przechodząc do analizy czasu przeży-

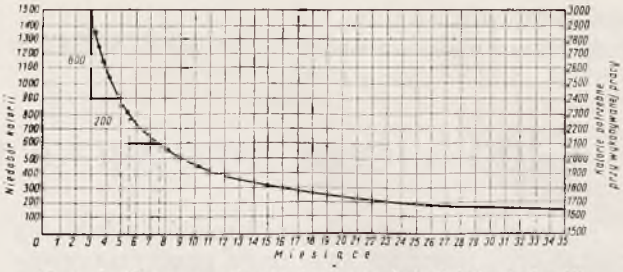
[1] Autor wchodził w skład niemieckiej służby zdrowia w Oświęcimiu-Brzezince; był zastępcą kierownika *Hygiene Institut der Waffen SS und Polizei* w Oświęcimiu (zob. *D. Lorska:* Wspomnienia z bloku nr 10. Dr *Hans Münch*. Przegl. Lek. 1966, nr 1, s. 105). Uniewinniony po wojnie, wrócił do Niemiec. Przebywając w więzieniu w Krakowie po wyzwoleniu, uporządkował i zanalizował akta tego instytutu, składające się z 74 segregatorów oraz ksiąg głównych i aneksów. Wyniki analizy zebrał we własnym opracowaniu, wykonanym wówczas odręcznie i zatytułowanym: *„Hunger und Lebenserwartung in Auschwitz"*. Pracę tę zakończył 24 listopada 1947 roku. Fotokopie dwóch części tego drobiazgowego studium, zaopatrzonego w liczne tabele i wykresy, znajdują się w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu. W części pierwszej *Münch* zanalizował między innymi czas przeżycia przeciętnego więźnia przy niedoborze kalorii, skład pokarmów i ich znikomą wartość odżywczą. W części drugiej podał statystykę dotyczącą głodu i czasu przeżycia w obozie oświęcimskim. Następnie przedstawił wykaz 69 „muzułmanów". W drobnych aneksach zawarł sylwetki kaprali *SS*, *Franza Fuggera* i *Johannesa Zabela*, materiały o *Claubergu* oraz dane dotyczące stosowania kwasu pruskiego i cyklonu. Przekład polski, wykonany przez *Teresę Kulczyńską*, liczy przeszło 120 stronic maszynopisu. Niniejsza publikacja jest redakcyjnym skrótem najważniejszych spostrzeżeń i rezultatów obliczeń autora, bez wprowadzania żadnych merytorycznych zmian w tym dokumencie (przyp. red.).

cia przeciętnego więźnia przy niedoborze kalorii w normalnym wyżywieniu, przypomnieć trzeba, że normalny więzień obozowy musiał w Oświęcimiu żyć w rozmaitych warunkach, jeżeli chodzi o zużycie energii. Zależnie od szczęścia przydzielany był do pracy „ciężkiej", „średnio ciężkiej" lub „lekkiej". Przy wyżywieniu o wartości 1 500 kalorii nie mógł on nawet przy najlepszej woli wydatkować więcej niż 300 kalorii. Przy tzw. średnio ciężkiej pracy (rzemieślniczej lub w przemyśle zbrojeniowym) mogło mu wystarczyć 2 500 kalorii. Przy lekkiej, „siedzącej" pracy potrzebował około 2 200 kalorii. Jeżeli miał szczególne szczęście, otrzymywał pracę lekką, bez wysiłku fizycznego i wtedy mogło mu wystarczyć około 1 800 kalorii.

Jeżeli się przy tych założeniach obliczy np. czas przeżycia więźnia ciężko pracującego, dzieląc rezerwę kalorii przez niedobór kalorii w wysokości 1 500 kal, czyli 193 g tłuszczu, to otrzyma się 52 dni. Tu jednak popełni się błąd, ponieważ ciężko pracujący więzień nie może utrzymać się na poziomie wyjściowej wydajności 300 kalorii. Ta wydajność spada szybko wraz ze wzrostem ogólnej utraty sił, przy czym zmniejsza się też niedobór kalorii. Proces taki powtarza się dopóty, dopóki głodujący na krótko przed dojściem do zmuzułmanienia nie jest w stanie prawie nic więcej robić, jak tylko to, co jest konieczne w celu upozorowania pracy. Wynosi to 1 800—2 000 kalorii. Więzień ciężko pracujący mógł żyć nie 52 dni, ale około 2 razy dłużej, zanim zużył swą rezerwę tłuszczową. Ten spadek zużycia kalorii przedłużał zatem życie i był obroną ustroju przed groźnym dla życia głodem.

Zmniejszanie się wydajności pracy i związane z nim przedłużenie czasu przeżycia rośnie wraz ze spadkiem deficytu kalorii. Przy pracy wymagającej wydatkowania 3 000 kalorii, a więc przy niedoborze 1 500 kalorii więzień tracił już po 30 dniach połowę swojej rezerwy tłuszczowej. Jeszcze wcześniej, po utracie około 4 kg pracował znacznie mniej wydajnie niż w pierwszym dniu. Przyjmijmy, że pracuje dalej, zużywając 2 500 kalorii. W tym wypadku utraci on po półtoramiesięcznym okresie 70% swojego zapasu tłuszczu. Od tego czasu może już tylko wykonywać pracę wymagającą zużycia 2 200 kalorii. Przy tym zużyciu osiąga na początku trzeciego miesiąca początek fazy „muzułmana" z rezerwą tłuszczu w wysokości 1 kg. Będzie on mógł jeszcze wymaszerować do pracy, ale poza tym nie zdoła pracować, toteż przy zużyciu 2 000 kalorii przeżyje około miesiąca. Ponadto czas przeżycia wzrasta wraz ze spadkiem deficytu kalorii. Jeżeli się chce dokładniej zanalizować tę zależność czasu przeżycia od niedoboru kalorii, najlepiej przedstawić na wykresie ten czas jako funkcję niedoboru kalorii. Powstanie wtedy hiperbola, która przy nieskończenie wielkim niedoborze kalorii (nk) przecina oś y, a przy O nk oś a.

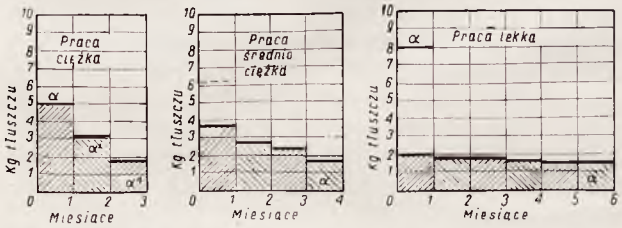
Na ryc. 1 niedobór kalorii odpowiada wykonywanej pracy. Z wykresu tego wynika, że przy minimalnym wzrastaniu wysiłku maleje



Ryc. 1. Czas przeżycia i praca (niedobór kalorii)

czas przeżycia niewspółmiernie szybciej. Nadto spadek zużycia energii jest, co się tyczy czasu przeżycia, w zakresie pracy lekkiej znacznie bardziej opłacalny aniżeli w zakresie pracy ciężkiej. Na przykładzie krzywej widać, że więzień pracujący lekko mógł przedłużyć swoje życie o dwa miesiące, jeśli obniżył wysiłek o 200 kalorii. Dla osiągnięcia tego samego efektu więzień ciężko pracujący musiał obniżyć wydatkowanie energii o 600 kalorii.

W tym miejscu należy jeszcze dodać krótki przegląd przebiegu spadku wydolności oraz wychudnięcia. Najłatwiej zrobić to przez prześledzenie miesięcznego zużycia rezerwy tłuszczowej w zależności od spadku wydajności pracy (ryc. 2).



Ryc. 2. Zużycie tłuszczu i spadek wydajności pracy

Z kolumn na ryc. 2, przedstawiających miesięczne zużycie tłuszczu, wyraźnie widać, że praktycznie rzecz biorąc spadek ciężaru ciała jest szybszy z początku niż przy końcu tylko w odniesieniu do pracy ciężkiej i średnio ciężkiej. Przy pracy lekkiej więźniowie chudli właściwie równomiernie. Również zdolność do pracy spadała podobnie jak rezerwa tłuszczu. Jako miarę wielkości tego spadku z miesiąca na miesiąc należy przyjąć zmniejszanie się wartości α.

Tak wyglądała droga przeciętnego więźnia do stanu zmuzułmanienia przy wszystkich trzech rodzajach pracy, co na krzywej (ryc. 1) obejmuje również długość tej drogi. Z kolei trzeba zdać sobie sprawę z czasu przeżycia „muzułmana".

„Muzułman" musi być pod każdym względem uważany za człowieka ciężko chorego, który przy postępującym zaniku wszystkich narządów, z powodu braku rezerw i sił obronnych organizmu szybko ulegał wrogim warunkom życia obozowego. Jeśli był Żydem, to jego los był i tak przesądzony, gdyż nie uważano go za zdatnego do żadnej pracy i wymagał jedynie *Sonderbehandlung* (specjalnego potraktowania). Lecz również „muzułman"-aryjczyk — nawet gdy się przypadkiem dostał do

szpitala jako chory — odchodził wcześniej czy później tą samą drogą przez komin krematorium. Pamiętając, że przy życiowym niedoborze tylko 200 kalorii ustrój musi dziennie spalać 250 g mięśni, widzimy, że nie potrzeba ani nawet nie jest możliwe obliczyć tak krótki czas przeżycia „muzułmana" oświęcimskiego. Jedynie bardzo ostrożne leczenie dietetyczne ze stopniowym, powolnym przyzwyczajaniem do normalnego wyżywienia mogło takiego więźnia jeszcze uratować, gdyż większy jednorazowy posiłek wymagał od niego tak wielkiego wysiłku, że wskutek tego umierał. Toteż już po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego umarło wielu „muzułmanów" z powodu zbyt obfitego pożywienia.

W warunkach obozowych spotykała „muzułmana" śmierć bez żadnych charakterystycznych objawów zwiastujących bliski koniec, bądź to we śnie, bądź też w ciągu dnia w związku z jakimś większym wysiłkiem, jak np. wymarsz do pracy. Kierownictwo obozu musiało się liczyć z tymi nieprzewidzianymi zgonami więźniów poza obozem, gdyż przecież rozpoznanie „muzułman" nie było wcale powodem zwolnienia z oddziałów pracy. Dlatego jednym z najczęściej odnotowywanych rodzajów śmierci był „zgon w oddziale pracy". Znajduje to swój wyraz w kartach zgonu, gdzie „śmierć w oddziale pracy" odnotowywana była jako jeden z normalnych wypadków. Przechowały się egzemplarze tych kart zgonu dzięki temu, że dla oszczędności papieru zużytkowywano ich strony odwrotne jako karty skierowania do Instytutu Higieny (zob. tab. I).

Tabela I
Totenmeldung (przekład polski)

ZGŁOSZENIE ZGONU

Zgłaszam, że

.....

Więzień nr Nazwisko i imię Data i miejsce urodzenia

dnia .....194... o godz. ..... przy przenoszeniu do szpitala obozowego, w szpitalu, w bloku ....., w oddziale pracy ..... obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu zmarł

.....

podpis starszego blokowego więzień nr:

Zwłoki przedstawione mi w kostnicy szpitala obozowego są zwłokami wyżej wymienionego.

Oświęcim, dnia.....194....

.....

podpis *S. D. G.*

.....

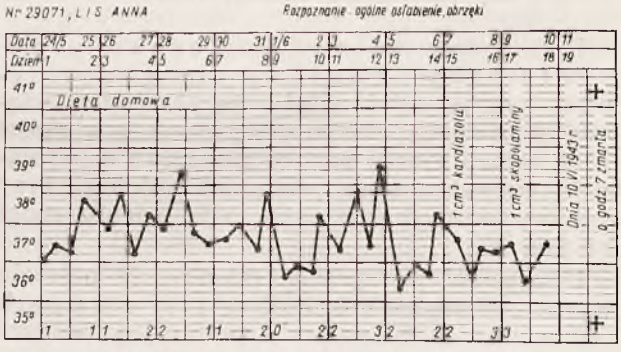
podpis starszego blokowego więzień nr:

Przy wyjmowaniu karty skierowania pozostawiano w aktach kopię.

Jakkolwiek ta niepostrzeżona, bezreakcyjna śmierć była rejestrowana jako coś, co się samo przez się rozumie, przy czym nie próbowano jej zapobiec przez lepsze odżywienie, to jednak ta masowa „produkcja muzułmanów" pociągała za sobą i trudności dla kierownictwa obozowego. Polegały one nie tyle na utrudnieniach technicznych, związanych z masowością zgonów, ile na tym, że wskutek istnienia „muzułmanów" prawie niemożliwa była walka z epidemiami.

Jeżeli pozbawiony odporności ustrój „muzułmana" został zaatakowany przez jedną z wielu chorób zakaźnych obozu, to z powodu niezdolności ustroju do reakcji proces chorobowy przebiegał w sposób nietypowy, bo nikt już śmiertelnie chory nie może przecież być jeszcze bardziej chory. Dlatego taki chory stawał się nieuchwytnym źródłem zakażenia i udaremniał wszystkie przepisy kwarantanny i dezynfekcji, wydawane przez kierownictwo obozu. Zwalczanie epidemii było w Oświęcimiu sprawą pierwszorzędnej wagi, ponieważ chodziło o to, aby za każdą cenę zapobiec przedostaniu się duru brzusznego czy wysypkowego poza druty. I tu także nie wybrano sposobu normalnego, tj. zapobiegania wygłodzeniu przez poprawę wyżywienia, ale zwalczano mnożenie się „muzułmaństwa" przez masową likwidację, która stanowiła *prophylacticum magnum sterilicum Auschwiciense.*

Trudno jest przedstawić nie-oświęcimiakowi w sposób zrozumiały i wiarygodny to zapadanie na najcięższe choroby zakaźne bez objawów chorobowych, jakkolwiek należało ono w obozie do wydarzeń codziennych. Znalazłem jednak w aktach Instytutu Higieny wartościowy dowód rzeczowy i ilustrację w postaci historii choroby umierającej „muzułmanki", chorej na nie rozpoznaną chorobę zakaźną. Jak w przypadku kart zgonu, tak i tutaj strona odwrotna została użyta na kartę skierowania materiału do badania (badanie nr 20842/1943).



Ryc. 3. Dane z karty gorączkowej więźniarki Anny Lis (przekład polski)

Chora została przyjęta do szpitala obozowego B I a w dniu 24 maja 1943 r. ze zwykłym rozpoznaniem, odpowiadającym lekarskiemu określeniu „muzułman": „ogólne osłabienie". Według poglądów oświęcimskich rozpoznanie takie nie było jednak wcale powodem, który by usprawiedliwiał przyjęcie „słabego" do szpitala, gdyż w takim razie trzeba by hos-

pitalizować cały obóz. Należało zatem wynaleźć jeszcze chorobę, która by uzasadniała przyjęcie do szpitala, wskazując, że ta kobieta jest bez wątpienia bardziej chora i słabsza niż zwykły „muzułman", inaczej bowiem nie byłoby powodu przyjmowania jej. Jako jedyny „objaw specjalny" zdołano stwierdzić „obrzęki". Oczywiście i obrzęki głodowe nie były powodem do leczenia szpitalnego, bo i czym by się je miało leczyć?

Badający lekarz-więzień mógł przyjąć chorą z „obrzękami" tylko wtedy, jeżeli uważał, że nie są one spowodowane głodem, lecz chorobą, która mogła być leczona w szpitalu. Za takim postawieniem sprawy przemawiało i to, że chora w pierwszych dniach nie wykazywała żadnych typowych dla „muzułmanów" temperatur „subnormalnych", ale całkowicie „normalne" ciepłoty.

Mimo to przypuszczenie było fałszywe, gdyż w czasie 18-dniowego leczenia nie dało się stwierdzić żadnej choroby, która by powodowała osłabienie i obrzęki. Nie należy też sądzić, że lekarz-więzień bądź lekarze poważnie stawiali takie podejrzenie. Oczywiście wiedzieli oni, że „normalne" ciepłoty oznaczały u „muzułmanina" zawsze gorączkę. Musieli sobie z tego zdać sprawę co najmniej w piątym dniu, gdy rzeczywiście wystąpiła mała gorączka (zob. ryc. 3). Wobec tego pierwszego jej skoku, który powtórzył się w większych wymiarach w dwunastym dniu, jak również wobec podwyżek ciepłoty w ósmym i jedenastym dniu, musieli oni postawić rozpoznanie choroby zakaźnej. Jeżeli do tego nie doszło, to widocznie istniały poważne powody. Niewątpliwie chodziło o to, aby przed lekarzem *SS* zataić zakaźny charakter choroby, gdyż cały przebieg krzywej gorączkowej przemawiał za podejrzeniem na dur wysypkowy. W maju 1943 r., gdy ta kobieta zachorowała, dur wysypkowy panował w obozie kobiecym ze specjalnym natężeniem i w związku z tym stosowano na pewno szczodrze „postępowanie specjalne", toteż w rzeczywistości istniały ważne powody do postawienia niepełnego rozpoznania.

Przebieg krzywej jest w wypadku *Anny Lis* absolutnie typowy. Można na nim też zaobserwować specjalnie wyraźnie nie dającą się ukryć „słabość" ustroju, gdyż po każdym, zupełnie nieznacznym skoku gorączki, gdy ustrój zużył wszystkie swoje siły obronne, następuje spadek ciepłoty poniżej normy, co oznaczało, że po takim wysiłku ustrój nie mógł nawet przy gorączce zdobyć się na normalną temperaturę. Widać to począwszy od piętnastego dnia (ryc. 3). Subnormalne ciepłoty ostatnich trzech dni trzeba tłumaczyć jako następstwo końcowego osłabienia serca i krążenia, co próbowano poprawić wstrzyknięciem kardiazolu. Podanie w siódmym dniu skopolaminy dowodzi, że począwszy od tego terminu lekarz „zrezygnował" z chorej. Od dziesiątego dnia występują typowe dla ostatnich dni masowe stolce.

Przechodząc do omówienia czasu przeżycia przy dodatkowym wyżywieniu, przypomnieć należy, że przeciętny więzień przy oświęcimskim wyżywieniu o wartości 1500 kalorii musiał szybko umrzeć. Z kolei nasuwa się pytanie, pod jakimi warunkami i przy jak wysokim dodatkowym wyżywieniu mógł on przeżyć.

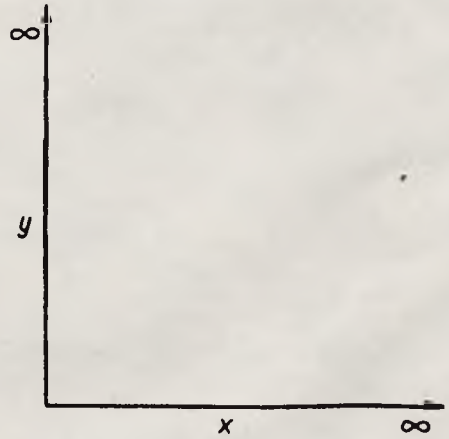
Odpowiedź jest prosta, mianowicie należało wyrównać niedobór kalorii (*nk*). W warunkach oświęcimskich nie dało się spełnić tego warunku na dłuższą metę, toteż nawet „najszczęśliwsi" mogli tam tylko egzystować — jeżeli przetrwali gorsze i lepsze czasy — z mniejszym lub większym niedoborem kalorii. To udawało się więźniowi tylko w tym wypadku, gdy potrafił uniknąć stanu „muzułmana". Tym samym zmienia się dopiero co podane rozwiązanie zagadnienia w warunkach oświęcimskich, jak następuje: ażeby przetrwać, musiał więzień w warunkach życia obozowego otrzymywać zawsze tyle dodatkowego pożywienia, ile pozwalało mu nie wyczerpać całkowicie swojej rezerwy tłuszczowej.

Ten cel mógł on tylko wtedy osiągnąć, jeżeli stosował jedynie skuteczną taktykę w walce z niedoborem kalorii. Polegała ona na tym, aby uchylać się od wszelkiej fizycznej pracy i utrzymywać możliwie ścisły kontakt z oddziałem kuchennym i magazynem żywnościowym, ponieważ tylko nieliczni mogli pokryć swój niedobór kalorii z paczek.

Te cele taktyczne były oczywiście znane wszystkim więźniom z własnych prymitywnych doświadczeń i prowadziły z absolutną logiką do charakterystycznego dla Oświęcimia stanu korupcji w „organizowaniu". Korupcja ta była nie do zwalczenia, ponieważ nie wynikała z zapotrzebowań luksusowych, ale z życiowego „być albo nie być" wszystkich zainteresowanych. Rozpatrywanie zatem retrospektywne ilości niezbędnego dla przeżycia dodatkowego pożywienia rzuca światło nie tylko na bliższe okoliczności przeżycia, lecz także na zagadnienie „znikania środków żywności".

Aby zrozumieć tę powikłaną warunkami odmianę „niezupełnego wygłodzenia", trzeba zbadać szczegółowo prawidłowość omawianego zjawiska, najlepiej przy pomocy obliczenia matematycznego.

Omówioną uprzednio zależność szybkości wygłodzenia od wielkości niedoboru kalorii można przedstawić matematycznie za pomocą stosunku: czas przeżycia — funkcja niedoboru kalorii (*nk*). Jeżeli się oznaczy niedobór kalorii przez y, a poszukiwany czas przeżycia przez x, to ten stosunek przedstawia się następująco: $y = f(x)$. Tę wzajemną zależność od siebie zmiennych x i y można przedstawić za pomocą krzywej (ryc. 4).



Ryc. 4. y = niedobór kalorii
x = czas przeżycia

Nanosząc x i y na obu osiach układu współrzędnych, otrzymamy dla krzywej jako wyraz pojęcia $x = f(x)$ następujące cechy charakterystyczne: 1. Jeżeli $nk(y) = 0$, to człowiek nie ulegnie zagłodzeniu, tj. $= \infty$. 2. Jeżeli czas przeżycia $(x) = 0$, to musi zaistnieć nieskończenie wielki *nk*, aby nastąpiła natychmiastowa śmierć z zagłodzenia. A więc: $x = 0$, wtedy $y = \infty$. W ten sposób zasadniczy przebieg krzywej zostaje już rozpoznany, ponieważ obie cechy charakterystyczne, pierwsza i druga, mogą być przedstawione za pomocą hiperboli. To znaczy, że prawa decydujące o wygłodzeniu wszystkie podlegają hiperboli, mianowicie $y = \frac{a}{x}$

Znaczenie obu zmiennych y i x jest znane. Pozostało jeszcze oznaczenie wartości a, przy czym cały przebieg hiperboli zostanie już ustalony i można będzie znaleźć dla każdego nk odpowiadający mu czas przeżycia i na odwrót.

a jest stałą. Zależy ona przede wszystkim od tych założeń, które obok nk mają jeszcze wpływ na czas przeżycia. Są to dwa czynniki: 1. wartość kaloryczna tłuszczu i 2. spadek zdolności do pracy w czasie głodowania. Pierwszy czynnik jest znany. Drugi również znamy z ryc. 1. Są to dwa czynniki całkowicie niezależne od swoistych warunków oświęcimskich, toteż wartością a nie musimy się zajmować. Szukamy x. Pozostaje już zatem do zbadania tylko zmienna x, tj. niedobór kalorii, zanim zastosujemy powyższy wzór. Innymi słowy: za pomocą analizy niedoboru kalorii możemy osiągnąć dla badania wygłodzenia ważne wnioski.

1. Definicja niedoboru kalorii. Utrzymanie życia bez jakiegokolwiek wysiłku, a więc życie w zupełnym spoczynku, wymaga dziennie 1 500 kalorii. Dla życia w pozycji pionowej potrzeba dodatkowych 300 kalorii. Jeżeli człowiek wykonuje poza tym jakąś pracę fizyczną, powstaje dalsze zapotrzebowanie energii, które musi zostać pokryte. Całkowitemu zapotrzebowaniu energii (ze) odpowiada zatem następujące równanie:

ze = przemiana podstawowa (1 500 kal.) + 300 kal. + + $\frac{\text{? kal.}}{\text{praca}}$

Przez niedobór kalorii rozumiemy tylko ten niedobór kalorii, którego ustrój doznaje, gdy ze nie zostaje całkowicie pokryte z pożywienia. Stąd równanie:

(1) $nk = ze$ — wyżywienie (wyżywienie $< ze$)

2. Ze stosunku niedoboru kalorii do zdolności do pracy, tzn. z (1) wynika, że:

nk = przemiana podstawowa + 300 kal. + praca — wyżywienie (kal.)

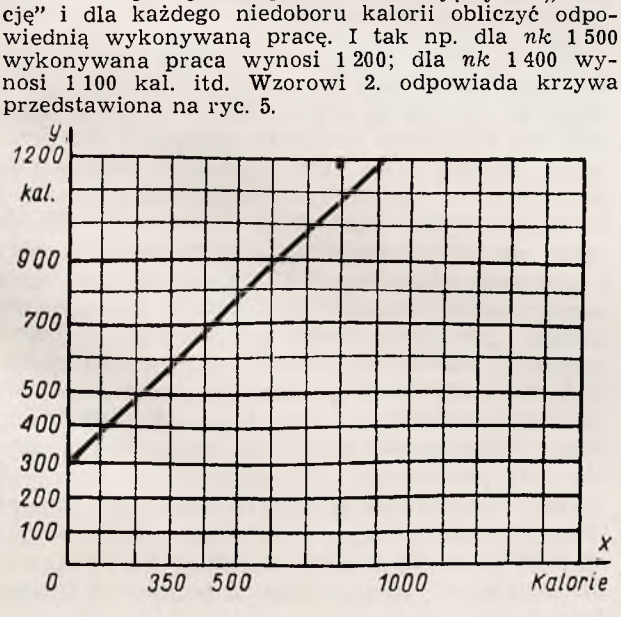
W Oświęcimiu wyżywienie zawierało 1500 kal. na dobę. Stąd wynika, że:

$$nk = 1500 + 300 + \text{praca} - 1500$$

(2) $nk = 300$ kal. + praca

Innymi słowy: w warunkach oświęcimskich nk składał się z wykonywanej pracy plus 300 kalorii.

To daje nam możność zastąpienia pojęcia niedoboru kalorii pojęciem pracy, gdyż możemy $nk = 300 +$ *wykonywana praca* znowu ująć jako „funkcję" i dla każdego niedoboru kalorii obliczyć odpowiednią wykonywaną pracę. I tak np. dla nk 1 500 wykonywana praca wynosi 1 200; dla nk 1 400 wynosi 1 100 kal. itd. Wzorowi 2. odpowiada krzywa przedstawiona na ryc. 5.



Ryc. 5. y = niedobór kalorii
x = praca
y = f(x)

Przy niedoborze kalorii 300 praca wynosi zatem 0. Jeżeli wyrazimy to za pomocą wzoru (1), to otrzymamy:

$$300 = ze - 1\,500$$

ze = 1 800 kal. (przy niedoborze kalorii 300!)

Możemy więc przedstawić także nk jako funkcję ze (powstaje znowu prosta, która przechodzi pod kątem 45° przez O) i w ten sposób nie jesteśmy w naszych rozważaniach skazani na nie używane w życiu codziennym pojęcie niedoboru kalorii (nk), tylko zależnie od potrzeby możemy posługiwać się wartościami pracy lub ze (zapotrzebowania energii). To znacznie ułatwia zrozumienie dalszych wywodów.

3. Rząd wielkości nk. A. Górna granica. Największe możliwe różnice powstają niewątpliwie w głodzie absolutnym, a więc przy braku pożywienia. W tym stanie nie można wykonywać pracy fizycznej przez jakiś obliczalny okres czasu. Po paru dniach organizm jest tak osłabiony, że dąży instynktownie do życia w granicach przemiany podstawowej. Trzeba zatem przyjąć, że 1500 kalorii stanowi w głodzie absolutnym możliwie najwyższy nk. Przy doprowadzaniu pokarmu organizm nie wytrzymuje również nk powyżej 1500 kal. Przeciwnie, przykład spadku zdolności do pracy, przedstawiony na ryc. 1, dowodzi, że także i w tym przypadku ustrój dąży do obniżenia tej górnej granicy.

B. Dolna granica. $Nk = 0$ oznacza „przeżycie" bez głodowania. $Nk = 100$ kalorii prowadzi do śmierci z wygłodzenia w przeciągu około czterech lat. $Nk = 200$ kal. prowadzi do tego samego w ciągu dwóch lat. Te liczby mają jednak znaczenie tylko dla wyrażenia stosunków w statystyce masowej, bo u poszczególnych osób, a o nie właśnie chodzi, nie da się na dłuższy czas ustalić pożywienia odpowiadającego niedoborowi kalorii 100—200. 100 kalorii odpowiada 50 gramom chleba. Jeżeli więc istnieje w ogóle możliwość dodatkowego pożywienia, to zawsze będzie osiągalne 100 g chleba, czyli 200 kal. Dlatego jako najmniejszą dającą się zrealizować jednostkę przyjmujemy 300 kal. = 150 g chleba. Nk w wysokości 300 kal. prowadzi w ciągu 16—17 miesięcy do stadium „muzułmana".

W ten sposób dochodzimy do ważnych stwierdzeń, dotyczących rzędu wielkości nk:

1. Najwyższy dający się znieść nk wynosi 1 500 kalorii. Ten poziom może być utrzymywany tylko przez krótki czas.

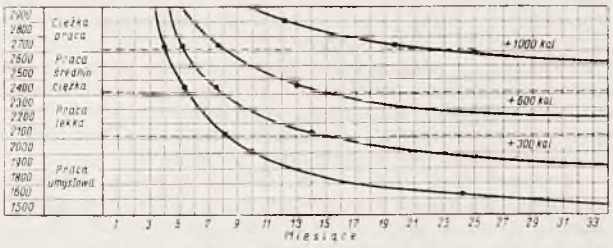
2. Najniższy nk u pewnych osób, do których się odnoszą przedstawiane badania, wynosi 300 kalorii.

3. Ten najniższy nk niewiele różni się od najwyższego ($\frac{1}{5}$!), toteż i jego działanie jest katastrofalne.

Ustaliwszy wszystkie potrzebne dane, dotyczące niedoboru kalorii, jego zależności od pracy, zapotrzebowania energii oraz wyżywienia i jego rozmiarów, można teraz przystąpić do badania czasu przeżycia w Oświęcimiu przy dodatkowym wyżywieniu. Najlepiej da się to przedstawić na podstawie krzywej czasu przeżycia przy podstawowym wyżywieniu o wartości 1 500 kalorii (ryc. 1).

Nie musimy teraz dzielić osi y według niedoboru kalorii, ale możemy ją podzielić według zapotrzebowania energii bądź wykonywanej pracy. Aby dać całkowity obraz zależności tych trzech wartości od siebie, możemy nanieść równocześnie nk, ze i pracę (ryc. 6).

Jeżeli poprawi się podstawowe wyżywienie wartości 1500 kalorii o dodatkowe 300 kalorii = 150 gramów chleba, to oddziała to na nową krzywą (druga od dołu na ryc. 6) w ten sposób, że dawna krzywa (pierwsza od dołu na ryc. 6) zostanie „podniesiona" o 300 kalorii. To przesunięcie występuje praktycznie tylko w dolnej części osi y, tj. w zakresie pracy lekkiej. Dodatek 300 kalorii przy ciężkiej pracy



Ryc. 6. Objaśnienia w tekście. Uwaga: autor w oryginalnym wykresie opuścił wartość 1700

przedłuża życie tylko o miesiąc, natomiast przy pracy lekkiej zyskuje się 7,5 miesiąca. Przy pracy umysłowej niedobór kalorii zostaje nawet wyrównany, toteż pracownik przy codziennym dodatku 150 g chleba w ogóle nie głoduje.

Ten proces przesuwania krzywej w górę dzięki dodatkowemu wyżywieniu występuje oczywiście nie we wszystkich przypadkach, ale działa w ten sposób praktycznie tylko przy lekkiej pracy. Dopiero dodatek 1000 kalorii ma wpływ na długość życia nawet przy pracy ciężkiej. Na ryc. 6 przedstawiono te stosunki przy dodatkowym wyżywieniu o wartości 300, 600 i 1 000 kalorii na dobę. Gdy odczytamy przedłużenie życia przy tych dodatkach dla lekkiej, średnio ciężkiej i ciężkiej pracy, to przedstawia się ono jak w tabeli II.

Tabela II
Przedłużenie życia więźnia przy dodatkowych kaloriach

Dodatek w kaloriach	Praca		
	ciężka	średnio ciężka	lekka
300	1 miesiąc	2,2 miesiąca	6 miesięcy
600	3,5 miesiąca	8,0 miesięcy	przeżycie
1 000	16 miesięcy	przeżycie	przeżycie

W ten sposób uzyskaliśmy pierwszą ocenę liczby kalorii potrzebnych do przeżycia. Przy pracy lekkiej wynosi ona 600, przy średniej 1 000, a przy pracy umysłowej już tylko 300. Aby przestudiować te stosunki szczegółowo, należy zastosować normogram wygłodzenia. Przez odpowiednie przesuwanie w górę i w dół krzywej można wtedy obliczyć każdy czas przeżycia przy każdym rodzaju pracy.

Te teoretycznie uzyskane wiadomości dadzą się w następujący sposób zastosować do swoistych warunków Oświęcimia:

Jeżeli nowo przybyły więzień chciał się utrzymać przy życiu, to musiał on żyć dopóty, dopóki jedno lub dwa równocześnie przybyłe pokolenia nie wymrą i dopiero wtedy mógł z dużym prawdopodobieństwem liczyć na dostanie się w charakterze „starego" więźnia do któregoś z lepszych oddziałów pracy, gdzie istniała mniej lub bardziej oficjalna możność „organizowania". W celu przeżycia tego pierwszego okresu, wynoszącego około roku, musiały istnieć następujące warunki: 1) praca lekka lub umysłowa; 2) dodatkowe wyżywienie wartości 300—600 kalorii dziennie. Mogło ono pochodzić bądź to z paczek, bądź też z dodatkowej porcji lub pół porcji zupy. Normalna porcja zupy dla więźniów miała wartość 600 kalorii. W specjalnie sprzyjających warunkach więzień zapewne mógł otrzymać dodatkowy chleb. 300 gramów chleba odpowiada 600 kaloriom. Jeżeli zaś pobierał swoje dodatkowe wyżywienie z paczek, to musiał otrzymywać co dwa tygodnie paczkę o minimalnym składzie następującym: ilość chleba = 6000 kal. oraz 350 g tłuszczu = 2 770 kal., czyli razem 8 770 kal., co podzielone przez 14 równe jest 625 kaloriom dziennie. Przy dodatkowych 600 kaloriach więzień mógł nawet przy średnio ciężkiej pracy żyć jeszcze 16 miesięcy. Jeżeli mu się już wcześniej udało przejść do lżejszego oddziału, to mógł tam przy swoim dodatkowym wyżywieniu nawet przeżyć.

To samo odnosi się do więźnia, który przy lekkiej pracy otrzymywał dodatkowo 300 kalorii. Musiał on jeszcze w pierwszym roku, a co najmniej wkrótce po pierwszych 12 miesiącach pobytu w obozie przejść do pracy nie wymagającej wysiłku fizycznego. Wtedy mógł tam przeżyć.

Praktycznie beznadziejna była sytuacja ciężko pracującego. Przy zapotrzebowaniu energii wynoszącym 3 000 kalorii musiał on otrzymywać wyżywienie o wartości co najmniej 2 700 kalorii, aby móc żyć przez 16 miesięcy. Odpowiada to wyżywieniu dodatkowemu o wartości 1200 kalorii dziennie, a więc co dzień dwie dodatkowe porcje zupy obozowej albo co 14 dni paczka zawierająca 6 kg chleba i 700 g tłuszczu.

Możliwość otrzymania tej dodatkowej ilości wyżywienia była tak znikoma, że dla ciężko pracującego wyrok śmierci głodowej był w rzeczywistości nieodwołalny.

Po ustaleniu tych zasadniczych danych, dotyczących dodatkowych porcji osobniczych przy różnych rodzajach pracy, należy z kolei omówić los więźniów predestynowanych do przeżycia. Przede wszystkim byli nimi więźniowie pracujący w kuchni i w magazynach środków żywnościowych, następnie więźniowie zatrudnieni w pracy biurowej (personel obozowy i placówki służbowe *SS*). Stanowili oni trzon pracowników umysłowych. Przez pracę lekką należy rozumieć pracę w pozycji siedzącej (krawcy, obieracze kartofli, więźniowie obsługujący maszyny w przemyśle zbrojeniowym). Średnio ciężką pracę wykonywali zatrudnieni przy półautomatycznych maszynach przemysłu zbrojeniowego, jak również w pewnych lżejszych rzemiosłach (elektromonterzy, szewcy itd.). Wszystkich innych więźniów, którzy pracą rąk własnych musieli zarabiać na swoją codzienną zupę, trzeba uważać za ciężko pracujących.

Przy pomocy nomogramu można na podstawie tego podziału obliczyć w każdym przypadku ilość dodatkowego wyżywienia, potrzebnego więźniowi do przeżycia w różnych okresach życia obozowego. Na koniec trzeba jeszcze podać parę danych dotyczących stosunków w naj-

lepszych oddziałach pracy, biorąc pod uwagę obsadę „starymi" i „nowymi" więźniami.

Dokładne przestudiowanie osobowych wykazów kuchni i magazynów żywnościowych może prowadzić do cennych wniosków odnoszących się do tego, jak długo poszczególny więzień musiał wyczekiwać, zanim mógł zabezpieczyć potrzebne sobie wyżywienie dodatkowe. Do tego konieczne jest zaznajomienie się z datami przybywania więźniów.

Liczba więźniów niedożywionych zależała od rozmiarów korupcji, gdyż niedobór kalorii dał się wyrównać tylko przez dodatkowe wyżywienie. Jeżeli ktoś chce zdać sobie sprawę z liczby tych więźniów, musi najpierw ustalić ilość sprzeniewierzonych artykułów spożywczych. Jedna liczba, dotycząca zupy obozowej, została już ustalona. Zamiast przepisowych 700 kalorii zupa zawierała tylko 600 kalorii. Trzeba więc już tylko obliczyć, ilu więźniów mogło wyżyć z tej różnicy.

Obliczenie jest następujące: z 1 000 porcji zupy znikało 100 razy 1 000 kalorii. Więzień lekko pracujący potrzebował dodatkowego wyżywienia o wartości 600 kalorii. Jeżeliby więc „organizowali" tylko więźniowie lekko pracujący, tj. „starzy", to żyłoby z tego $\frac{100\,000}{600} =$ 166 osób. Wynika stąd zatem zdumiewający fakt, że przy dotychczas przez nas branej pod uwagę normie 1 500 kalorii mogło już przeżyć 166 więźniów na każdy tysiąc, gdyż w podstawowej wartości 1 500 kalorii nie jest oczywiście wliczonych nie znajdujących się w zupie 100 kalorii.

Jeżeli się przyjmie dalej, że z racji wieczornej sprzeniewierzano następujące ilości: 10% kiełbasy, sera lub marmolady (5 g), 5% chleba (2 g), 20% cukru, 0% margaryny (kontyngent margaryny pochodził z zupy), to otrzymamy 47,5 kalorii na głowę, zatem w naszych obliczeniach na 1 000 ludzi — 47 500 kalorii. Z tego żyło znowu $\frac{47\,500}{600} =$ 79 lekko pracujących więźniów.

W opisanych warunkach otrzymujemy więc stosunek nie dożywionych do normalnie wyżywionych 1 000 : 245, to znaczy, że nie dożywionych było 75,5%. Razem z liczbą 24,5% uchwycilibyśmy także i liczbę lekko pracujących, a zatem „starych" więźniów. Innymi słowy, około 25% mogło przeżyć dzięki korupcji, a wszyscy inni ulegali wygłodzeniu, jeżeli „organizowano" w takich rozmiarach jak wyżej opisano. Jeżeli w jakimś obozie było więcej „starych" więźniów, to musiano więcej „organizować", a reszta umierała szybciej, albo też musiało przychodzić bardzo wiele paczek.

Nie jestem w stanie oszacować liczby i zawartości paczek, toteż pomijam ten czynnik, obliczając liczbę nie dożywionych więźniów. Jednak wobec tego, że Żydzi nie otrzymywali paczek, a istniały podobozy obejmujące wyłącznie Żydów, to na tych przypadkach można łatwo sprawdzić poprawność obliczeń.

Statystyka potwierdza w zupełności obliczenia zawarte w części pierwszej. Przeciętny więzień stawał się w ciągu mniej niż 15 miesięcy pobytu w obozie „muzułmanem". Przeciętny czas przeżycia wynosił 6 miesięcy. W r. 1944 poprawiło się wyżywienie więźniów o około 250 kalorii w stosunku do r. 1943. To przedłużyło czas przeżycia o około 2 miesiące.

Na podstawie ogólnych danych z fizjologii obliczono czas przeżycia więźniów oświęcimskich w obozowych warunkach życiowych i przy tamtejszym wyżywieniu. Przedstawiona krzywa przeżycia może się wydać laikowi abstrakcyjna, a uzyskane na jej podstawie wiadomości — zbyt hipotetyczne. Jednak w rzeczywistości nie są one takie, gdyż jedynym niezupełnie wyjaśnionym czynnikiem w obliczeniach jest szybkość i wielkość obniżania się zdolności do pracy w warunkach głodowych. Postawiono zasadę, że ta utrata zdolności pozostaje w prostym stosunku do utraty tłuszczu, przy czym przytoczono jako dowód to, że człowiek, który wskutek głodowania utracił całą rezerwę tłuszczu, a więc „muzułman", nie był już zdolny do żadnej pracy fizycznej.

Dla sprawdzenia wyników nie można oczywiście ze względów humanitarnych przeprowadzić dowodu z doświadczeń na ludziach. Jest jednak inny, prosty sposób sprawdzenia, mianowicie dowód statystyczny na podstawie obozowych kart zgonów, kart chorobowych itp. dokumentów. Dysponowałem w tym celu tylko aktami Instytutu Higieny. Ich opracowanie z tego względu wydawało się mało obiecujące, bo normalnie lekarz wystawiający taki akt nie miał przecież powodu, aby materiał umożliwiający rozpoznanie „muzułman" kierować do laboratorium. Po dokładnym jednak przejrzeniu 156 tysięcy kart skierowania do Instytutu Higieny w latach 1943—1944 udało się wydzielić około 70 tych kart, z których niedwuznacznie wynika, że badany więzień znajdował się w dniu skierowania w stadium muzułmana. Dalej, dzięki uprzejmym staraniom pana sędziego śledczego [2] dało się ustalić dokładne daty przybycia tych więźniów do obozu, toteż istnieje wystarczająca liczba pojedynczych przypadków o dokładnie znanym czasie przeżycia, aby móc sprawdzić wyniki przedstawionych obliczeń.

Wszyscy „muzułmanie" zostali zestawieni na załączonej liście (zob. tab. IV) wraz z potrzebnymi danymi. Ten wykaz stanowi podstawę wszystkich rozważań statystycznych. Przyjmujemy z góry, że dane statystyczne potwierdzają w zupełności wyniki przedstawione w części pierwszej. Poza tym jednak da się z nich wysnuć jeszcze ważne wnioski dotyczące poprawy wyżywienia w r. 1944 w stosunku do r. 1943. W szczególności są to następujące wnioski:

Przeciętny czas przeżycia wynosi 5,8 miesięcy. Na 69 przypadków tylko 3 więźniowie przebywali w obozie dłużej niż jeden kwartał (nr 27, 61, 67), zanim postawione zostało roz-

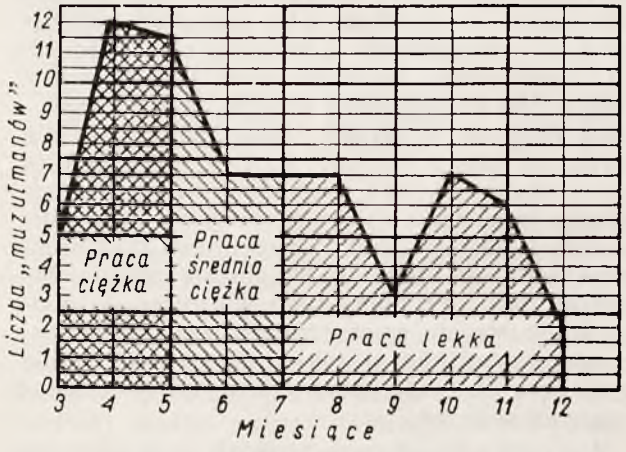
[2] Prof. dr *Jan Sehn* (przyp. red.).

poznanie „muzułman". W czterech przypadkach więźniowie byli w Oświęcimiu krócej niż 2 miesiące. Reszta przebywała tam 3—15 miesięcy do chwili postawienia tego rozpoznania.

Już same te liczby potwierdzają najważniejszy wynik z części pierwszej, a mianowicie, że przeciętny więzień musiał się bezwzględnie stać „muzułmanem" w przeciągu 16 miesięcy. W warunkach średnio ciężkiej i ciężkiej pracy umierał on jednak znacznie wcześniej, tj. po 3—6 miesiącach. Przeciętny czas przeżycia odpowiada zatem prawdzie, gdyż więcej niż połowa ogółu więźniów była zatrudniona przy ciężkiej lub średnio ciężkiej pracy. Jeżeli więzień przeżył pierwszy rok, to mogło do tego dojść tylko dzięki dodatkowemu wyżywieniu. W takim wypadku mógł w ogóle nadal żyć, jeśli przez zbieg okoliczności nie utracił tego dodatku do wyżywienia. To jednak zdarzało się, jak wynika z danych statystycznych, stosunkowo rzadko, gdyż tylko trzech więźniów przeszło jeszcze po upływie roku do stadium „muzułmana".

Co się tyczy czterech więźniów, którzy byli w obozie krócej niż 2 miesiące, trzeba przyjąć, że przyszli oni już do obozu w złym stanie ogólnym, co było częstym zjawiskiem u osób przekazywanych z więzień.

Jeżeli się zestawi czas przeżycia w miesiącach, pomijając tych więźniów, którzy przeżyli dłużej niż rok i tych, którzy byli w obozie krócej niż 2 miesiące, powstaje krzywa przedstawiona na ryc. 7.



Ryc. 7. Czas przeżycia w omawianej grupie 69 „muzułmanów"

Doszło zatem do stadium „muzułmana" przez ciężką pracę 28 więźniów (42%), przez średnio ciężką — 14 (14%), przez lekką 25 (38%).

Czy wyżywienie w r. 1944 poprawiło się w stosunku do roku 1943? Na to ważne pytanie można znaleźć odpowiedź w statystyce dotyczącej „muzułmanów" w latach 1943—1944, bo jeśli wyżywienie w tym czasie wybitnie się poprawiło, to musiało to znaleźć swój wyraz w czasie przeżycia więźniów. Obliczenie czasu przeżycia dla poszczególnych kwartałów daje następujące liczby: rok 1943: lipiec — wrzesień 4,2 miesiąca, wrzesień — grudzień 4,5 miesiąca. Rok 1944: styczeń — marzec 5,9 miesiąca, kwiecień — czerwiec 6,3 miesiąca, lipiec — wrzesień 6 miesięcy, wrzesień — grudzień 8 miesięcy. Przeciętna roczna w r. 1943 wynosiła 4,35 miesiąca, w 1944 r. 6,5 miesiąca.

Z tej „oficjalnej" różnicy dwóch miesięcy przy przeciętnej 5,8 miesięcy wynika, iż rzeczywiście wyżywienie było lepsze w r. 1944 niż w r. 1943, jakkolwiek efekt tego jest bardzo skromny, bo czy więzień dochodzi do stanu „muzułmana" po 4,3 miesiąca, czy po 6,3, jest dla wielkiej statystyki śmiertelności w obozie zagłady zupełnie bez znaczenia.

Można się zorientować, w jakim stopniu nastąpiła poprawa wyżywienia, jeżeli na podstawie nomogramu obliczy się dodatkowe kalorie. Da się to zrobić, jak następuje: przede wszystkim trzeba zbadać, jak jest rozmieszczona ta różnica w trzech grupach pracy, tj. trzeba obliczyć dla obydwóch lat odsetek „muzułmanów" w ciężkiej, średnio ciężkiej i lekkiej pracy (zob. tab. III).

Tabela III
Odsetek muzułmanów a rodzaj pracy

Praca	Rok 1943		Rok 1944	
	Liczba	%	Liczba	%
Ciężka	9	41	19	42
Średnio ciężka	5	21	9	20
Lekka	8	36	17	38

Okazuje się, że rozmieszczenie rodzajów pracy wśród „muzułmanów" pozostało niezmienione. Tego można było oczekiwać, bo przecież więźniowie byli w latach 1943 i 1944 obciążeni pracą w tych samych rozmiarach. W statystyce dotyczącej czasu przeżycia rozkłada się zatem przedłużenie życia na trzy grupy pracy w stosunku jak 40 : 20 : 40.

Z nomogramu wynika, że życie zostaje przedłużone o dwa miesiące: przy ciężkiej pracy przez dodatek 400 kalorii dziennie, przy średnio ciężkiej — 200 kalorii, przy lekkiej — 100 kalorii. Przeciętnie zatem dodatek kalorii wynosił:

40 × 400 kalorii = 16 000 kalorii
20 × 200 kalorii = 4 000 kalorii
40 × 100 kalorii = 4 000 kalorii

razem 24 000 kalorii : 100 = 240 kal.

Tej wartości 240 kalorii, czyli 120 g chleba jako poprawy wyżywienia więźniów w roku 1944 w stosunku do roku 1943 nie można uważać za dokładnie udowodnioną na podstawie tego rachunku. Liczba osób jest za mała, poza tym rozwiązanie matematyczne nie jest tak proste, jak to zostało tu przedstawione. Wartość ta jednak zbliża do zagadnienia i można ją uważać za wystarczający wskaźnik poprawy wyżywienia. 240 kalorii przedstawia niewątpliwie górną granicę poprawy wyżywienia. Dalsze prace zajmujące się podobnymi obliczeniami na podstawie statystyk zgonów pozwolą stwierdzić dokładną wartość wyżywienia w poszczególnych odcinkach czasu.

Tabela IV

Wykaz „muzułmanów"

Lp.	Zmarł dnia	Więzień nr	Nazwisko i imię	Data przybycia	Czas przeżycia	Rozpoznanie	Nr karty zgonu
			Lipiec 1943				
1	1.	117741	Karcz Antoni	20. 4. 43	2,7	Obrzęki nóg	4634
2	1.	90250	Górski Józef	19. 1. 43	5,7	Obrzęki nóg	4633
3	1.	95826	Lonczat Tadeusz	28. 1. 43	5,0	Obrzęki nóg	4632
4	22.	115307	Schallom Samuel	13. 4. 43	3,2	Obrzęki	6940
5	31.	121518	Lubowski Ignacy	8. 5. 43	2,7	Obrzęki nóg	
			Sierpień				
6	7.	102024	Kollman Józef	12. 2. 43	7,0	Biegunka-obrzęki	8178
7	11.	128485	Lewin Stama	6. 7. 43	1,2	Obrzęki	8774
8	16.	127102	Weinberg Rudolf	29. 6. 43	1,5	Obrzęki	8548
9	18.	102024	Hullman Józef	12. 2. 43	7,0	Obrzęki nóg	9865
10	18.	122846	Sawica Aleksand.	16. 5. 43	3,0	Skłonność do obrzęków	9842
			Wrzesień				
11	8.	122493	Fenster Juliusz	16. 5. 43	3,8	Obrzęki nóg	12041
12	27.	103344	Switsch Mikołaj	16. 2. 43	7,3	Choroba obrzękowa	14654
			Październik				
13	9.	113845	Kränzlein Wilh.	9. 4. 43	6,0	Obrzęki nóg	15802
14	14.	133773	Zielonedzieło	1. 8. 43	2,5	Obrzęki nóg	
			Listopad				
15	20.	120207	Makijewski Jan	4. 5. 43	7,5	Obrzęki	20709
			Grudzień				
16	9.	143408	Najmann	29. 8. 43	3,3	Zapal. jelit bez gor.	23658
17	9.	144583	Brandlau	29. 8. 43	3,3	Zapal. jelit bez gor.	23657
18	9.	130706	Mitnik	16. 7. 43	4,8	Zapal. jelit bez gor.	23516
19	9.	133097	Benkel	1. 8. 43	4,2	Zapal. jelit bez gor.	25513
			Styczeń 1944				
20	26.	169317	Malicha Ludwik	16. 12. 43	1,5	Zapal. błon śluz.	2139
21	27.	158127	Wagner Józef	21. 10. 43	3,1	Osłabienie, biegunka	2353
22	27.	113324	Ohuwo Józef	9. 4. 43	9,5	Biegunka	2355
23	25.	Z 8500	Nowy Rudolf		9,0	Biegunka, obrzęki	2152
24	25.	Z 3204	Flamin Berta		10,0	Biegunka, obrzęki	2154
25	25.	Z 9743	Holomek Dragomin		5,0	Biegunka, obrzęki	2155
			Luty				
26	7.	159068	Filus Klemens	26. 10. 43	3,3	Osłabienie	3667
			Kwiecień				
27	5.	5201	Meinhardt Emie	?	3,4	Skłonność do obrzęków	17594
28	12.	Z 5355	Klein Joanna	?	12,0	Skłonność do obrzęków	18987
29	17.	125823	Druske Robert	18. 6. 43	10,0	Wyczerpanie	20575
30	17.	136666	Szulc Julia	6. 8. 43	8,3	Skłonność do obrzęków	20579
31	18.	73911	Toljedini ♀	20. 12. 43	4,0	Obrzęki	21059
32	19.	64911	Daran ♀	15. 10. 43	6,0	Obrzęki	21062
33	18.	69783	Setulowa ♀	19. 11. 43	5,0	Obrzęki	21065
34	18.	74116	Schmach Nina ♀	1. 1. 44	3,5	Obrzęki	21066
35	18.	69457	Laschenko ♀	19. 11. 43	5,0	Obrzęki	21069
36	20.	50470	Kojdaschek ♀	1. 6. 43	10,7	Obrzęki	21390
37	24.	74165	Poldruhr ♀	20. 12. 43	4,0	Obrzęki	21987
			Maj				
38	1.	135293	Gluschenko	4. 8. 43	9,0	Osłabienie	23394
39	3.	199245	Pyzanowski	4. 12. 43	5,0	Osłabienie	23788
40	29.	162295	Zwolski Antoni	10. 11. 43	6,6	Osłabienie	S 2853
41	29.	165741	Baranowski	26. 11. 43	6,0	Osłabienie	S 2854
			Czerwiec				
42	9.	183192	Cayla Ludwik	14. 4. 44	2,0	Obrzęk nóg, biegunka	36633
43	14.	158563	Fatuczi Angelo	21. 10. 43	7,8	Choroba obrzękowa	38500
44	13.	139396	Solkowski Aleks.	25. 8. 43	9,7	Osłabienie	38545
45	22.	183414	Koljuczi Aleks.	14. 4. 44	2,3	Osłabienie	43995
46	29.	187102	Werner Franc.	2. 5. 44	1,8	Obrzęk nóg	47039
			Lipiec				
47	14.	180746	Zaspar Gr.	10. 4. 44	3,0	Osłabienie	50851
			Sierpień				
48	2.	137856	Zell Feliks	18. 8. 43	11,5	Chor. obrzękowa	54894
49	2.	181214	Tschebotko Wasyl	10. 4. 44	3,8	Chor. obrzękowa	54895
50	8.	183200	Kalwica Stanisł.	14. 4. 44.	4,0	Chor. obrzękowa	56197
51	8.	188132	Mazurin Fiodor	19. 5. 44	2,8	Chor. obrzękowa	59199
52	8.	120386	Wasilowitz Iwan	4. 5. 43	15,0	Chor. obrzękowa	59198
53	9.	179604	Polak Agnieszka	1. 4. 44	4,2	Obrzęki nóg	66511
54	14.	175441	Meliado Marcus	10. 4. 44	5,0	Obrzęki nóg	58097

Lp.	Zmarł dnia	Więzień nr	Nazwisko i imię	Data przybycia	Czas przeżycia	Rozpoznanie	Nr karty zgonu
55	29.	165780	Sawritzki Piotr	26. 11. 43	9,0	Obrzęki nóg	63017
56	29.	172910	Weintraub	13. 1. 44	7,5	Obrzęki nóg	63873
			Wrzesień				
57	5.	192637	Sosnkowski Edward	1. 6. 44	3,0	Chor. obrzękowa	69243
58	5.	183237	Poplawoski Jan	14. 4. 44	4,7	Chor. obrzękowa	69245
59	13.	165780	Lawitzki Piotr	26. 11. 43	9,5	Chor. obrzękowa	76639
60	16.	175994	Turek Ludwik	10. 3. 44	6,2	Chor. obrzękowa	82388
61	25.	79859	Offmann Salom.	Lato 1942	2 lata	Chor. obrzękowa	89233
			Październik				
62	11.	193354	Bakowski Paweł	1. 6. 44	4,3	Chor. obrzękowa	96478
63	11.	165740	Sosarka Iwan	26. 11. 43	11,5	Biegunka, osłabienie	96490
64	14.	81536	Milch Erna	1. 4. 44	6,0	Obrzęki nóg	96727
65	19.	180269	Popławski Jan	10. 4. 44	6,3	Choroba obrzękowa	98129
66	19.	167187	Petrichow Mar.	4. 12. 43	10,5	Choroba obrzękowa	98130
67	30.	63467	Kupferminz Chaim	Lato 1942	2 lata	Choroba obrzękowa	101376
			Listopad				
68	19.	181214	Czelkow Wasyl	10. 4. 44	7,2	Choroba obrzękowa	108540
69	29.	180248	Mitchenko Roman	10. 4. 44	7,6	Osłabienie	110105

Uwaga: Pozostawiono niemiecką transkrypcję nazwisk, podaną w oryginale, gdyż przywrócenie właściwej pisowni mogłoby spowodować zniekształcenia.

Warto dodać, że wszystkie krańcowo niskie okresy przeżycia (poniżej 2 i 3 miesięcy) przypadają na r. 1943 i początek 1944. Po czerwcu 1944 r. wśród 24 przypadków jest tylko jeden czas przeżycia poniżej 3 miesięcy (2,8). Przed tą datą były wartości poniżej 3 miesięcy w 9 przypadkach na 45. W tym są co prawda cztery przypadki przeżycia poniżej 2 miesięcy, a więc prawdopodobnie chodzi o osoby już wyniszczone w więzieniu przed przybyciem do obozu.

Posłowie autora[3]

Rosshaupten, 11 września 1966 r.

Przedstawione krzywe dotyczące czasu życia więźniów w obozie oświęcimskim obliczyłem jako więzień przesłuchiwany w procesie z lat 1946—1947. Z przesłuchań i zapytań zadawanych przez sędziego śledczego, prof. dr *J. Sehna* mogłem się zorientować, że on i jego komisja napotykali na bardzo duże trudności, koordynując pierwsze wówczas poznawane liczby dotyczące Oświęcimia-Brzezinki z ogromem przysyłanych relacji na temat tego, co się działo w obozie. Oczywiście szybko stało się zrozumiałe, że oświęcimskie warunki życia nie mogły być mierzone normalnymi miarami, ale niezmiernie trudno było poznać, w jakim stopniu okoliczności były anormalne i jak dalece wynaturzone. Nie można też było przyjąć, że życie więźniów przebiegało poza prawami fizjologicznymi, aczkolwiek mogłoby się tak na pozór wydawać z porównywania szczegółów relacji świadków. Aby tę tezę udowodnić i w miarę możności również zasięg tej anormalności przedstawić, musiało by być możliwe obliczenie rokowania co do życia według praw fizjologii.

Ów problem sędziego śledczego istnieje nadal. Z relacji świadków powstała literatura. Liczby przedstawiono w wyrazistych statystykach. Ale już zaczyna blednąć fenomen Oświęcimia, ponieważ minęło przeszło 20 lat i „prawo pozytywności wspomnień" (*Lersch*), pozytywności przypominania zaczyna wyraźnie oddziaływać. Skłonność psychiki ludzkiej do gorszego reprodukowania negatywnych przeżyć z przeszłości zawsze wtrącała ludzkość w nieszczęście. Musi się więc ustawicznie wskazywać na to, czym był Oświęcim.

[3] Przekład polski uwag napisanych przez autora na prośbę redakcji przed opublikowaniem artykułu.

12 listopada 1966 r. w siedzibie Zarządu Głównego ZBoWiD prezes Rady Naczelnej tej organizacji, premier *Józef Cyrankiewicz* spotkał się z uczestnikami odbytego w Jabłonnie międzynarodowego spotkania byłych korespondentów, którzy w latach 1945—1946 informowali świat o przebiegu procesu głównych hitlerowskich przestępców wojennych przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. *Józef Cyrankiewicz* podkreślił, że dla Polaków Norymberga miała i ma ogromne znaczenie zarówno od strony poczucia sprawiedliwości, jak i nowego ujęcia w dziedzinie prawa międzynarodowego. — Niewielu z nas wyszło z tych obozów — powiedział *Cyrankiewicz*, który sam był więźniem Oświęcimia i Mauthausen. — Ci, którzy je przeżyli, ślubowali bez względu na przekonania polityczne i narodowość, że cała ich działalność i przyszła praca poświęcone będą walce o to, by podobne zbrodnie nigdy się nie powtórzyły. W tym właśnie kontekście występuje niezwykłe znaczenie Norymbergi. Próby przedstawiania Norymbergi dziś w Niemczech zachodnich jako porachunku zwycięzców z pokonanymi, a nie jako aktu sprawiedliwości, stanowią główny powód naszej kontrowersji z tymi, którzy zamykając oczy na przeszłość ułatwiają jej odrodzenie w przyszłości.

Według komunikatu Polskiej Agencji Prasowej.

WANDA POŁTAWSKA
były więzień obozu koncentracyjnego w Ravensbrück nr 7709

Kraków

Stany hipermnezji napadowej
(Na marginesie badań tzw. „dzieci oświęcimskich")

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *Karol Spett*)

Opisany przez *Targowlę* [1] objaw, nazwany przez niego *écmnesie paroxystique* (napadowe stany nadwrażliwości pamięci, czyli stany hipermnezji napadowej) jest jednym z interesujących zagadnień, nasuwających się przy analizie badań lekarskich tzw. „dzieci oświęcimskich", tzn. osób, które się urodziły lub przebywały w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Wydaje się, że objaw ten jest częsty u byłych więźniów, aczkolwiek w pracach prowadzonych w Polsce nie został w sposób wyraźny wyeksponowany.

Zastanawiając się, dlaczego lekarze badający nie zwrócili dotychczas specjalnej uwagi na ten fakt, doszłam do wniosku, że kryje się w tym szczególna sprawa, mianowicie jest to objaw, którego badani byli więźniowie nie zwierzają badającemu. Być może, powstrzymuje ich psychologicznie zrozumiałe przekonanie, że nikt tego nie zrozumie, a może także dlatego, iż objaw nie jest stały, ale wyraźnie napadowy i w związku z tym zapewne nie padało w badaniach odpowiednie pytanie.

W materiale, który wraz z kolegami opracowywałam, zwróciłam na to szczególną uwagę, gdyż założyłam, że chcę tę kwestię zbadać i prześledzić, toteż część pytań kierowanych do badanych była wyraźnie pod tym kątem ustawiona. Ponadto okazało się, że zebranie takiego materiału było możliwe wyłącznie dlatego, iż sama jestem byłym więźniem; jest rzeczą znamienną, że o tych przeżyciach i o natłoku patologicznie żywych obozowych wspomnień byli więźniowie nie chcą mówić komuś postronnemu, choć jest to częsty temat ich rozmów między sobą; być może też, że lekarze badający, którzy sami takiej przeszłości nie mieli, nie potrafili wydobyć tych wynurzeń od badanych.

Opis objawu

Napadowa hipermnezja polega na nagłym natłoku wspomnień, przy czym zjawiają się one nie w postaci myśli, ale w postaci obrazów, scen, niekiedy całego ciągu scen przeżytych, przy czym istnieje nie przeżywane w innych chwilach zjawisko odtwarzania w pamięci także uprzednio doznanych wrażeń zmysłowych, a więc takich, jak koloryt sceny przeżytej, odgłosy wówczas słyszane, zapachy, a nawet uczucie doznania dotyku. Tak realne są owe wspomnienia, iż były więzień ma wrażenie, że to jeszcze raz przeżywa. Wrażeniu temu towarzyszy zwykle pewien zespół objawów wegetatywnych takich, jak bladość powłok lub przeciwnie, zaczerwienienie się, tachykardia, drżenie, wzmożona potliwość, niekiedy aż do zlewnych potów. Pod względem psychicznym występuje często poczucie derealizacji; chory przez moment nie jest pewny, w jakim okresie czasu się znajduje, a także w jakim miejscu, przy zachowanym poczuciu irracjonalności tego przeżycia, a zatem przy całkowicie zachowanej świadomości. Przeżywaniu temu z reguły towarzyszy lęk, niekiedy bardzo silny, tak że powoduje czasem pewne czynności, jak nagłe powstanie, zerwanie się z miejsca, wybiegnięcie, chodzenie bez powodu po pokoju itp. Lęku nie zmniejsza fakt, iż przeżywający zdaje sobie sprawę z bezzasadności tego stanu i z odmienności sytuacji, w której aktualnie się znajduje.

Zespół tych objawów trwa zwykle kilka minut, niekiedy jednak utrzymuje się wiele godzin, szczególnie gdy występuje w nocy, a czasem nawet dłużej. Częstość napadów hipermnezji wydaje się różna, raczej zależna od ogólnego stanu fizycznego i psychicznego stanu chorego. Przez niektórych sprawa jest rozpoznawana jako objaw zmęczenia, są jednak tacy, którzy podkreślają, iż nie ma to żadnego związku z niczym, że przychodzi nie wiadomo kiedy i dlaczego, także przy dobrym samopoczuciu. Badania były przeprowadzane w ostatnich latach, a zatem kilkanaście lat po wyzwoleniu, a jednak objaw ten według relacji byłych więźniów jest jednakowo silny, u niektórych wręcz narastający. Wydaje się, że nie ma on tendencji do cofania się, przeciwnie, jest głęboko utrwalony.

Analiza mechanizmu powstawania stanu hipermnezji

Na podstawie zebranego materiału, a także w oparciu o obserwacje wielu byłych więźniów nie podczas badania psychiatrycznego, ale w ich życiu codziennym, można stwierdzić, że stan taki występuje w różny sposób:

a. Często jest on wywoływany przez skojarzenie z bodźcem wzrokowym, przy czym — według relacji badanych — w pierwszych latach po wyzwoleniu ten mechanizm wywoływania napadowych wspomnień dominował w opisywanym zespole. Najczęściej skojarzenie następowało przy nagłym spostrzeżeniu np. osoby umundurowanej, przy czym tym łatwiej,

[1] *K. Targowla: Syndrom der „Asthenie der Deportierten.* W: *Max Michel: Gesundheitsschäden durch Verfolgung und Gefangenschaft und ihre Spätfolgen. Röderberg-Verlag, Franfurt am Main 1955.*

im mundur bardziej formą, czy kolorem zbliżony był do mundurów gestapowców, czy służby więziennej, jednakże się zdarzało, iż skojarzenie następowało niezależnie od kroju i koloru na sam fakt obserwacji jakiegokolwiek uniformu tak obojętnego, jak np. ubiór kolejarza czy tramwajarza. Oprócz munduru często skojarzeniem wywołującym był jakikolwiek materiał paskowany; wszelka płaszczyzna udekorowana w pasy mogła wzbudzać tego typu skojarzenia, tak samo wszelkie druty, ogrodzenia, płoty, mury, ostre światło świecące w oczy itp.

b. Bodziec słuchowy równie często wywołuje owe swoiste skojarzenia albo u osób, które reagowały także na bodźce wzrokowe, albo tylko na bodźce słuchowe. Najczęstszym bodźcem tego typu były dźwięki analogiczne do przeżywanych w rzeczywistości obozowej, jak np. głośny krzyk słów komendy, zwłaszcza komendy wydawanej w języku niemieckim. Niekiedy jednak wystarczał sam ton i barwa głosu, fakt, że ktoś krzyczy z obojętnej przyczyny (wiązało się to z pewną *hyperacusis* danych osób) lub taki odgłos, jak stuk drewniaków czy „szpilek" po twardym podłożu, np. na ulicy czy podłodze. Niekiedy przyczyną było usłyszenie jakichkolwiek miarowych odgłosów, takich jak marsz rytmiczny po ulicy, rytmiczna muzyka itp. U niektórych osób fala wspomnień występuje przy skojarzeniu z pewną melodią, np. śpiewanych przez żołnierzy niemieckich lub samych *häftlingów* piosenek marszowych bądź utworów muzycznych nadawanych przez głośniki na obóz. Niekiedy skojarzenie wywołuje sam język i są byli więźniowie, którzy dotąd nie mogą obojętnie słuchać mowy niemieckiej. Dla niektórych dźwięk spadającej z kranu kropli wody staje się bodźcem wywoławczym itp.

c. Bodziec węchowy występuje rzadziej jako bodziec skojarzeniowy. Najczęściej chodzi tu o zapach dymu, niezależnie od źródła tego dymu, więc dym ogniska, a nawet dym z papierosa. Równie częstym bodźcem jest zapach środków dezynfekcyjnych używanych w obozach, zapach słomy, potu ludzkiego, czy w ogóle, jak niektórzy mówią, „zapach brudnego tłumu".

d. Niekiedy bodźcem, który prowokuje napadowe wspomnienia, jest po prostu obecność tłumu ludzi, jakiekolwiek zbiorowisko zgromadzone w ciasnym pomieszczeniu.

W pewnym procencie przypadków nie udało się prześledzić żadnego zmysłowego skojarzenia. Według relacji samych badanych jakaś część tych zjawisk występuje niezależnie od wszystkich widocznych i możliwych do uświadomienia sobie skojarzeń.

Analiza przebiegu zjawiska

Pod wpływem zadziałania bodźca kojarzącego, który albo zostaje od razu przez osobę przeżywającą rozpoznany jako taki, albo wtórny, następuje fala wspomnień. Osoba ta ma przekonanie, że nie kontroluje swoich wrażeń, nie może tego natłoku zahamować, jest świadoma przymusowości zjawiska. Z reguły obrazy toczą się same niejako bez wyboru, dotyczą zwykle scen najbardziej makabrycznych, najgłębiej skojarzonych z lękiem. Lęk zjawia się nieco później niż samo wspomnienie i zwykle nie opanowuje całej osobowości tak, że zostawia swobodę działania, ale niekiedy dopinguje do poszczególnych reakcji: zapalić papierosa, wyjść, zmienić pozycję. U kobiet na ogół stany takie trwają dłużej niż u mężczyzn. Po wygaśnięciu zostawiają albo nastrój obniżony, albo niekiedy prowokują jak gdyby fazę wzmożonej reaktywnie euforii i hiperaktywności. W czasie trwania zjawiska człowiek na ogół milknie, zrywa kontakt z otoczeniem, ale pojawia się też wzmożony napęd słowny. Zwykle wygasa szybko, niekiedy jednak trwa godzinami, a nawet miesiącami.

Mechanizmy obronne

Objaw hipermnezji nie jest przez badanych uważany za chorobę *sensu stricto*, większość uważa, że jest to psychologicznie zrozumiała impregnacja, niektórzy nazywają to urazem, inni wręcz nie przyznają się do tego albo usiłują lekceważyć. W świetle obserwacji dało się wyodrębnić kilka sposobów rozładowywania napięcia, które powstaje w tych stanach:

a. Część osób przeżywających dane zjawisko usiłuje rozwiązać problem w samotności przez — można by powiedzieć — maksymalne zracjonalizowanie. Mówią sobie, że przecież lęk nie ma sensu, gdyż nie uzasadnia go obiektywna sytuacja. Niektórzy stają przed lustrem i obserwując ubranie, w jakim aktualnie się znajdują, powtarzają sobie dosłownie: „patrz człowieku, nie masz przecież pasiaka, tylko nylonową białą koszulę". Są tacy, którzy wyglądają przez okno na ulicę, żeby stwierdzić, gdzie się znajdują lub szczypią się w rękę, żeby urealnić przeżycie. Usiłują różnymi sposobami zdać sobie sprawę z irracjonalności przeżycia i zapanować nad sytuacją, co im się o tyle udaje, że stan ten mija, ale wysiłki ich o tyle są bezskuteczne, że powraca on po jakimś czasie. Wtedy dochodzą do wniosku, że tak musi być, że takie ślady zostawił w nich okres obozowy i nawet nie mówiąc o tym, mają przekonanie o swojej inności i jakby swoim „inwalidztwie".

b. Reakcja hiperaktywności: niektórzy, przeciwnie, usiłując wyzwolić się od opisanych objawów, uciekają od samotności i czując zbliżający się lęk właśnie idą do ludzi lub biorą się do jakiejś intensywnej pracy, zachowują się nadmiernie hałaśliwie i zaczynają chaotycznie opowiadać o obozie, powtarzają te opowiadania wielokrotnie, nieraz komukolwiek, częściej swoim współtowarzyszom. Gdy się słucha rozmów w klubach byłych więźniów, wydaje się, że między innymi służą one właśnie do rozładowania tego irracjonalnego napięcia zjawiających się wspomnień. Przekonanie laików, że byli więźniowie chętnie mówią o swoich przeżyciach, w odniesieniu przynajmniej do niektórych jest o tyle błędne, że na dnie tego zjawiska nadmiernego opowiadania może leżeć

mechanizm zupełnie inny niż „delektowanie się wspomnieniami", może tkwić po prostu lęk, tak głęboki, że dany człowiek za wszelką cenę chce się od niego uwolnić.

c. Część osób, zwłaszcza „intelektualistów", usiłuje rozładować napięcie przez wyrzucenie z siebie przeżyć w postaci czy to listów, czy pamiętników, czy np. wierszy, w których piszą niekiedy wprost o przeżyciach, częściej zaś używają różnego rodzaju symboli. Niektórzy nie odczuwają tak wyraźnych kryz napadowych, gdyż wspomnienia — aczkolwiek bardzo żywe i plastyczne — zjawiają się z mniejszą siłą i z mniejszym napięciem lęku.

Zachodzi pytanie, czy marzenia senne o treści ściśle odtwórczej u niektórych badanych mają charakter podobny do tych napadowych wspomnień oraz czy można je uważać za ekwiwalent tego samego zjawiska i traktować jako bodziec wywołujący czy jako mechanizm obronny.

Sny te nie są właściwie marzeniami sennymi, gdyż odtwarzają w sposób ścisły wszystkie realia przeżyć i są, tak samo jak napadowe wspomnienia, bardzo szczegółowe i zabarwione lękiem. Zwykle podczas tych snów osoby takie budzą się i wtedy z reguły występuje u nich stan hipermnezji, tak jakby sen był mechanizmem wywołującym falę wspomnień. Zwykle napady w nocy są bardziej burzliwe, głębiej niepokoją chorego, odbierają możność ponownego zaśnięcia i mają wyraźnie komponentę wegetatywną znacznie silniejszą niż takie same przeżycia w dzień. W nocy z reguły występuje tachykardia i potliwość, zlewne poty całego ciała. Najczęściej po takim napadzie lęku poprzedzonego lękowym snem obudzony już nie śpi, boi się zasnąć.

Wydaje się, że sny lękowe, tak jak napady hipermnezji odtwarzające przeżytą niegdyś rzeczywistość, mają bezpośredni związek z ogólnym stanem i pojawiają się najczęściej jako dodatkowy objaw w niewydolności krążenia, przy zmęczeniu itp. Jednak niekiedy niezależnie od tego.

Objaw Targowli w grupie tzw. „dzieci oświęcimskich"

Z założenia wynika, że objaw napadowej hipermnezji może wystąpić tylko u tych osób, u których nastąpiło utrwalenie pewnych faktów, a zatem może dotyczyć dzieci starszych.

W ten sposób z analizy odpada cała grupa tych osób, które urodziły się w obozie i przebywały tam przez najwcześniejsze lata, a nawet tylko miesiące życia, mianowicie 18 osób (11 kobiet i 7 mężczyzn). W pamięci tych osób nie ma żadnych śladów wspomnień, są tylko wiadomości nabyte później od otoczenia. A zatem w tej grupie nie można się spodziewać opisanego zespołu.

Następną grupą wieku są dzieci, o których wiadomo, że urodziły się przed umieszczeniem w obozie (niekiedy bez danych dokładnych; są to dzieci, które zagubiły swoich rodziców), ale liczyły mniej niż 6 lat życia w chwili wyjścia z obozu; grupa ta obejmuje 16 osób (10 kobiet i 6 mężczyzn). U nich także nie można mówić o zespole Targowli *sensu stricto;* natomiast wydaje się, że można u nich rozpoznać pewną poronną postać tego zespołu.

U dwojga z tych dzieci można odnaleźć pełny zespół i zaliczyć te osoby do grupy następnej dzieci starszych; miały one przeszło 5 lat w chwili wyjścia z obozu i zachowały pamięć przeżyć z tego okresu. Natomiast 14 dzieci młodszych nie pamięta dokładnie obozu, ale tylko poszczególne sceny, niekiedy pozbawione nawet zabarwienia lękowego. Na przykład badani ci pamiętają kształt łóżka, pryczy, zarys pieca, most, przez który przechodzili. W aktualnej pamięci tych ludzi nie można odszukać wspomnień, które dawałyby się ułożyć w ciąg jaskrawo pamiętanych scen, tak jak to się stwierdza w prawdziwej hipermnezji. Można jednak rozpoznać u nich ten zespół w postaci śladowej, czy zredukowanej na tej podstawie, że u wszystkich tych osób, o których mamy wywiad dotyczący dzieciństwa (tj. u 11 osób; o trzech nie mamy dokładnych danych), w okresie bezpośrednio po wyzwoleniu i wiele lat później obserwowano reakcje analogiczne do zespołu Targowli; mianowicie dorośli podający wywiad dotyczący tych dzieci stwierdzają, że dzieci reagowały na różne bodźce w sposób wyraźnie lękowy, przy czym wydawało się, że bodźce miały charakter czynników kojarzących się z treścią przeżytych w obozie faktów. Np. na widok munduru dziecko paroletnie rzucało się natychmiast do ucieczki, chowało się pod stół, nie mówiąc nic albo drżąc na całym ciele, albo cichutko płacząc. Objawy te dorośli jednogłośnie oceniali jako objawy lęku. Wszyscy podający wywiad mówią: „dziecko się bało". Można przypuścić, że pod wpływem bodźca dziecku przypominały się sceny przeżyte w obozie, mimo że nie potrafiło tego opowiedzieć ani tego zapamiętać. Pozostało tylko skojarzenie, którego potem dorastający człowiek nie umiał nawet racjonalnie wyjaśnić. Opisy zachowań tego typu znajdują się u wszystkich osób, u których zdołano zebrać wywiad; można przypuszczać, że dotyczy to wszystkich dzieci w okresie bezpośrednio po opuszczeniu obozu.

Z biegiem czasu reakcje lękowe tego typu były rzadsze, ale w wielu wypadkach przetrwały aż do okresu dojrzewania, kiedy to uległy u niektórych osób nasileniu. Następnie w miarę dorastania uległy wygaszeniu, bądź też wyrównaniu przez racjonalne myślenie. Pozostawiły jednak pewien ślad. W chwili badania osoby te miały przeszło 24 lata. Większość z nich zaprzeczyła, aby w chwili obecnej występowały lęki, tylko parę osób przyznało niechętnie, że nadal miewa reakcje lękowe irracjonalne. Natomiast w rozmowie podczas badania wydobyto drobny pozornie szczegół: wszystkie te osoby pytane w sposób oględny o treść lękową z dzieciństwa, zwłaszcza o te fakty, o których wiedziano, że były dawniej faktami wywołującymi reakcje lękowe, jak krzyk, mundur, pies wilczur itp., mówią: „nie lubię mun-

duru, nie wiem dlaczego", „nie lubię psów", „nie lubię, jak ktoś za mną idzie" itp. Przy tym w świadomości obecnej dorosłego już człowieka nie ma skojarzeń z żadnymi zapamiętanymi przeżyciami. Wydaje się, jakby przeżycia zostały wymazane z pamięci, co jest typowym zjawiskiem z psychologii rozwojowej, natomiast została pamięć nastroju, lęku, którego przyczyny ta osoba nie umie dzisiaj wyjaśnić. Z reguły także nie chce się do tego przyznać, nie umiejąc tego uzasadnić, wstydzi się irracjonalnych reakcji, które uważa za dziecinne.

Jednak w świetle wywiadu, gdy się wie, że badany jako dziecko przeżywał różne sceny dramatyczne i wiele lat potem przypominał sobie te sceny tak realnie, że wspomnienie to wywoływało u niego czyny impulsywne, nie można się oprzeć chęci stwierdzenia, że wchodzi tu w grę ten sam objaw: nadwrażliwość pamięci, która przetrwała jako utrwalenie nastroju.

Lęki te występują tak samo napadowo, jak stany hipermnezji i z relacji tych osób wynika, że wyraźnie nasilają się w okresie trudności, zmęczenia, przykrych przeżyć; jest to jakby utrwalony mechanizm reagowania na czynniki stressowe. Można by powiedzieć, że jest to objaw nerwicy typowy dla osób po przebytym więzieniu. Wydaje się słuszne zaliczenie tego objawu do tej samej grupy zjawisk, co opisany zespół hipermnezji napadowej.

W grupie trzeciej, tj. dzieci starszych, które w chwili uwięzienia miały 6—14 lat (16 osób, w tym 7 mężczyzn i 9 kobiet), zespół ten występuje już wyraźnie w swojej klasycznej postaci. Osoby te mają pełną pamięć przebytego w obozie okresu, ale w życiu dzisiejszym, w dniu codziennym pamięć ta na ogół znika. Natomiast zdarzają się chwile, w których wspomnienia zjawiają się ze szczególnym naciskiem, w sposób napadowy, niezależnie od własnej intencji. Zjawisko to występuje u wszystkich tych osób, tylko z różnym nasileniem i różną częstością, silniej u kobiet i osób starszych, najsilniej u tych, które miały w obozie przeszło 12 lat, a więc były w okresie dojrzewania. O objawach tych mówią one niechętnie i niechętnie się do nich przyznają. Wielokrotnie stwierdzają tak, jak dzieci młodsze: „nie lubię munduru", „nie lubię psów" itp.

W chwili głębszej szczerości w rozmowie wyjaśniają, dlaczego nie lubią określonych rzeczy. Dają pełne, świadome wyjaśnienia, że im się to kojarzy z przykrymi scenami przeżytymi w obozie. Odruchowy mechanizm obronny nakazuje unikać tych przedmiotów czy zjawisk, które — jak z doświadczenia już wiedzą — są czynnikiem wywołującym natrętne i makabryczne wspomnienia. I większość z nich istotnie stara się unikać sytuacji mogących wywołać takie wspomnienia.

Znaleziono jednak osoby, które, przeciwnie, zdecydowały, że muszą się pozbyć dokuczliwych skojarzeń i usiłowały przełamać wstręt czy lęk. Np. jedna z nich, gdy zauważyła, że język niemiecki działa na nią „szokująco", właśnie zaczęła uczyć się intensywnie tego języka, a nawet niejako na przekór swoim reakcjom pojechała na wycieczkę do Niemiec. Zapytana o przebieg tej turystycznej imprezy niechętnie przyznaje, że skróciła zamierzony czas pobytu o dwa tygodnie i uciekła od grupy, wywołując nawet pewne zamieszanie.

Unikanie wspomnień, o których badany już wie, że działały na niego w przeszłości jako czynnik kojarzący z pobytem w obozie, nie wyzwala zupełnie od nawrotu tych reakcji. Zdarzają się nawroty nawet wtedy, gdy pozornie nic ich nie prowokuje. W części tych stanów nie można odszukać wyraźnego mechanizmu wywołującego, a przynajmniej nie da się on prześledzić w świadomości. Czasem bywa tak, że *post factum* ta osoba analizując swój stan wie, co wywołało skojarzenie, ale przedtem nie umie tego przewidzieć, żeby się zabezpieczyć. Np. jedna z osób pojechała w gronie bliskich i miłych jej ludzi w jesienny wieczór piec ziemniaki i nagle dym z ogniska skojarzył się jej z dymem z krematorium. Uciekła stamtąd, nie mogąc przerwać natłoku wspomnień.

Niekiedy czynnik kojarzący jest zjawiskiem tak pospolitym, że na co dzień nie sposób go unikać. Np. samotne drzewo stojące w odległości od innych drzew wywołuje u jednej z osób skojarzenie z drzewem, które można było dostrzec ponad murem obozu (sylwetka drzewa na tle nieba). Jeden z badanych nie może patrzeć na małe pudełka, ponieważ będąc najstarszym z grupy dzieci zajmował się grzebaniem małych zmarłych towarzyszy i w małych pudełkach zakopywał zwłoki dzieci pod murem obozu. Widok małego pudełka jest dla niego nie do zniesienia.

Przykłady można by mnożyć, gdyż każda z tych osób w chwili szczerości może ich podać wiele, wszak to są wspomnienia z okresu prawie dwudziestu lat. Okazuje się jednak, że nie zawsze dane zjawisko działa jako bodziec kojarzący, zależy ono od stanu psychicznego. Zresztą zasadnicza jest nie treść poszczególnych zjawisk, ale fakt, iż one nadal się zjawiają.

Mimo upływu tylu lat ludzie ci dotąd mają te same objawy, choć z trudem się do tego przyznają. Sami uważają, że „to za długo", „ile lat ja będę pamiętać", ponieważ ekspresja tych wspomnień mimo upływu lat nie zmniejsza się, jest utrwalona. Jeden z nich powiedział: „tak jakbym ciągle oglądał ten sam film, który już umiem na pamięć".

Natomiast pewne wnioski można wysnuć śledząc częstość zjawiska. Okazuje się, że w różnych okresach życia różna jest intensywność tych napadów. Z reguły w okresach napięcia wzmożonego stressu objawy te wracają częściej. Nasuwa się wniosek, że jest to swego rodzaju mechanizm nerwicowy.

Przemawiałoby to za psychogennością zjawiska. Równocześnie są pewne dane, które stawiają mechanizm psychogenny pod znakiem zapytania. Mianowicie część tych samych skojarzeń występuje w okresach dobrego samopoczucia niezależnie od aktualnej sytuacji psychicznej; część wręcz występuje w nocy, w środku snu. Niekiedy stany te występują zu-

pełnie nagle i nagle mijają. W tych okresach nie da się rozpoznać reakcji psychogennej. W wielu wypadkach jest wyraźna komponenta wegetatywna, która bardzo upodabnia te stany do napadowych kryz z kręgu epileptycznego. Ponadto fakt, iż większość osób posiada patologiczny zapis elektroencefalograficzny, może nasuwać podejrzenie, że jest to objaw mający podłoże organiczne i byłby wtedy jednym z objawów encefalopatii pourazowej. Nie sposób jednak tego jednoznacznie ustalić.

Zasadniczo wszystkie te przypadki mogą uchodzić za encefalopatyczne, gdyż w okresie pobytu w obozie u wszystkich tych osób istniała głodowa anemizacja mózgu, a zatem czynnik somatyczny oprócz nadmiernego stressu psychicznego (lęk, poczucie zagrożenia itp.).

Byłoby rzeczą interesującą zbadać inne grupy społeczne osób, które przeżywały jakiś silny bodziec głęboko zapamiętany i sprawdzić, czy i tam istnieje skłonność do napadowej hipermnezji. Najbardziej może napadowość tych objawów przemawia za organicznością; również zależność od zmęczenia, fakt kojarzenia z bodźcami zmysłowymi nie przeczy tezie organiczności. Najbardziej interesujący jest fakt głębokiego utrwalenia objawów, które nie tylko nie znikają, ale nawet, jak zespoły encefalopatyczne, z biegiem czasu nasilają się. Zanalizowano tę sprawę u tzw. „dzieci" obozowych, niewątpliwie to samo zjawisko istnieje u dorosłych byłych więźniów, choć może nie jest tak częste, jak u „dzieci".

Byłoby celowe zbadać osoby, które przebywały w obozach w wieku dojrzewania (14—18 lat), gdyż jest to okres największej wrażliwości. Jest prawdopodobne, że zbadanie innych grup, np. ukrywających się wtedy na wolności, wykazałoby podobne objawy i może stwierdzono by wtedy, że sam bodziec psychiczny, silny bodziec lękowy i sytuacja stressowa zagrożenia wystarczą do tej impregnacji i wówczas nie trzeba by sięgać aż do próby tłumaczenia objawów uszkodzeniem organicznym. Obecnie trudno ocenić, czy opisany objaw hipermnezji napadowej, tak dramatyczny w swoim przebiegu, jest objawem encefalopatii w szerokim znaczeniu tego słowa, czy jest to objaw utrwalonej nerwicy lękowej.

Z obserwacji i zebranego materiału wynika, że:

1. Dzieci, zwłaszcza starsze w okresie tuż przed dojrzewaniem, wykazują większe obciążenie. Kryzy lękowe zjawiają się u nich z większą siłą, częściej niż u dzieci młodszych i prawdopodobnie częściej niż u dorosłych.

2. U dzieci obozowych w napadzie hipermnezji jest silniejsza komponenta lękowa niż u dorosłych (tzn. wówczas dzieci, obecnie wszyscy są dorośli).

3. U dzieci w odróżnieniu od dorosłych nie spotyka się prób rozładowania przez wypowiedzenie, przeciwnie, bardzo wyraźnie ludzie ci ukrywają swoje stany jakby się ich wstydząc lub jakby uważając, że są to głębokie przeżycia intymne. Niemal zupełnie nie spotyka się u nich tej gotowości mówienia, jaka nieraz charakteryzuje byłych więźniów dorosłych, co może by wskazywało na większą głębokość przeżycia i na silniejszą impregnację.

Napady wspomnień występują częściej w okresie złego samopoczucia jako objaw nerwicy.

Może dla uwypuklenia celowe będzie przytoczyć *in extenso* wypowiedź osoby z tej grupy na ten temat. Wypowiedź dotyczy osoby, która miała 9 lat w chwili uwięzienia i przebywała w obozie dłużej niż trzy lata. Cytuję: „W zasadzie dotąd nie przestałam się bać, to jest coś takiego dziwnego. Jestem gdzieś, bawię się, tańczę i nagle mnie to napada. Cała drżę, wszystko mi się przypomina po kolei jak było, nie mogę od tego uciec, stoję jak sparaliżowana i trzęsę się. Gdy mnie to napadnie na ulicy, boję się iść dalej, sunę się pod ścianą, żeby mnie nie było widać i boję się. Pani w to nie uwierzy, nikt w to nie uwierzy po tylu latach".

W procesie rehabilitacji, czy raczej w próbach opanowania tego zespołu, ludzie ci zamykają te przeżycia głęboko i tylko niekiedy ujawniają drobny fakt, np. mówią: „Nie lubię, jak ktoś za mną chodzi", „nie lubię, jak światło pada mi wprost w twarz", „nie lubię wilków", „wolę siedzieć twarzą do drzwi". Takie i tym podobne wypowiedzi, pozornie nie mające żadnego znaczenia, wielokrotnie są skrótem i próbą opanowania sytuacji. Tylko w chwili zwierzenia dają interpretację: „Boję się, jak ktoś za mną idzie, bo mi się zaraz wszystko przypomina. Gdy tylko te miarowe kroki usłyszę za sobą, od razu jestem z powrotem tam i na to nie ma rady. To jest zupełnie irracjonalne, ale ja nie mogę tego zapomnieć i każdy szczegół tamtych obrazów przedstawia mi się tak realnie, tak bardzo plastycznie, że nie sposób się nie bać. Jak się nie bać, kiedy ja nie wiem, gdzie jestem, może to znowu tamto... I drżę cała i pot mnie zalewa. Ale komuż to będę mówić w dwadzieścia lat potem? Przecież to każdy wyśmieje, tego nikt nie zrozumie. Chyba że... że sam tak samo się boi, gdy mu nad głową nagle zapalą światło albo gdy mu przez radio nagle wpadnie jedno krótkie słowo: *«auf»*".

Analiza materiału wskazuje na to, że „dzieci" wymagają jakiejś szczególnej rehabilitacji, gdyż mechanizmy obronne, które uruchomili dorośli, są im obce i wobec tego istnieje chyba szczególny dług dorosłych względem tych osób, pozbawionych dzieciństwa, które chodzą pozornie spokojnie po świecie i noszą w sobie ukryty ciągle żywy lęk. Zachodzi pytanie, czy nie udałoby się teraz mimo tych lat utrwalających znaleźć jakiejś metody rehabilitacji czy wręcz leczenia?

JANUSZ KRZYWICKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 74593

Warszawa

Obrażenia szczękowe w obozie oświęcimskim

Obrażenia szczękowo-twarzowe były częste w obozie oświęcimskim. W niektórych przypadkach powstawały one podczas pracy, w wyniku nieszczęśliwych wypadków, jak również przy bombardowaniu obozu przez lotnictwo alianckie. Wiele obrażeń szczękowo-twarzowych powodowali esesmani, blokowi i „kapowie", brutalnie traktując więźniów. Głowa i twarz były ulubionym miejscem „doraźnych kar" stosowanych wobec więźniów przez funkcjonariuszy obozu, z powodu domniemanych przewinień lub zgoła bez przyczyny.

Uderzenia pięścią czy twardym narzędziem, jak kawał drąga, stylisko od łopaty, noga od stołka, zadawane przez silnego esesmana w głowę czy w twarz, uderzenie w ucho dłonią złożoną na kształt muszli powodowały pęknięcie błony bębenkowej. Obok kopania więźnia przewróconego na ziemię były to ulubione „zabawy" *übermenschów*. Nic też dziwnego, że z przypadkami złamania, wywichnięcia czy wybicia zębów, łącznie ze złamaniem wyrostka zębodołowego, szczęki czy żuchwy spotykano się bardzo często.

O postępowaniu leczniczym w takich przypadkach do końca r. 1942 wobec braku materiałów trudno się bliżej wypowiedzieć; należy przypuszczać, że kończyły się one w komorach gazowych. Dopiero od końca 1942 czy początku r. 1943, kiedy dzięki zrozumieniu ważności sprawy przez ordynatora oddziału chirurgicznego w *Häftlingskrankenbau,* dra *Władysława Deringa, H-Zahnstation* otrzymała 10 łóżek dla chorych szczękowych, sprawa leczenia i los chorych szczękowych radykalnie się zmieniły. Lekarze stomatolodzy, mając tych chorych pod stałą obserwacją i opieką, mogli z dobrym wynikiem ich leczyć.

Złamania zębów niepowikłane i powikłane obnażeniem miazgi zęba były leczone ogólnie przyjętymi metodami; po wyleczeniu i wypełnieniu często były pokrywane koronami. Zęby wywichnięte po ich reponowaniu unieruchamiano szynami, w przypadku obumarcia miazgi leczono. Postępowanie takie nie zawsze dawało pozytywne wyniki; przy rozleglejszych zmiażdżeniach tkanek okołozębia z równoczesnym ich zakażeniem często występowała konieczność ich usunięcia, gdyż zachowywały się, jak ciała obce bez tendencji wrośnięcia.

Duże trudności, zwłaszcza w początkowym okresie prymitywnych warunków leczenia, spotykano przy złamaniach żuchwy, rzadziej szczęki. W szczęce częściej spotykano wywichnięcia i wybicia zębów, w żuchwie raczej jej złamania. Prawie przy wszystkich złamaniach żuchwy spotykano znaczne przemieszczenia odłamów, a ich wzajemny stosunek był uzależniony od miejsca złamania, przebiegu linii złamania i stosunku do przyczepu mięśni, ich siły i kierunku działania. Większe przemieszczenia wykazywały zwykle odłamy, które były pod wpływem działania większej ilości dobrze rozwiniętych mięśni; złamania w linii środkowej wobec równoważącego się działania mięśni mogły nie ulegać przemieszczeniu; mogły one wystąpić pod wpływem siły powodującej złamanie w chwili jej zadziałania.

Prawie we wszystkich przypadkach złamań przeprowadzano szynowanie szczęki złamanej i przeciwległej, która była miejscem orientacyjnym i ustalającym odłamy w normalnym zwarciu; zwarcie osiągano za pomocą gumowych wyciągów międzyszczękowych. Po osiągnięciu zwarcia i kontroli rentgenowskiej uciekano się nawet do stałego wiązania ligaturami metalowymi obu szczęk, zwłaszcza u chorych niezdyscyplinowanych.

Do szynowania używano przeważnie szyn drucianych Hauptmeyera ze stali kwasoodpornej, które były doginane bądź bezpośrednio w ustach chorego, bądź też na modelach ustawionych w normalnym zwarciu. Wspomniane szyny okazały się bardzo wygodne, gdyż mają wygięte haczyki do zakładania ligatur lub wyciągów gumowych; mijanie wyciągami gumowymi jednego lub więcej haczyków pozwala na przesuwanie odłamów w pożądanym kierunku. Przy nieznacznych przemieszczeniach odłamów — po repozycji i zastosowaniu wyciągów czy też wiązań międzyszczękowych — osiągano dobre końcowe wyniki leczenia.

Bardziej złożone aparaty unieruchamiające — w postaci szyn lanych (srebrnych) z cierniami w przestrzeniach międzyzębowych oraz wąsami do wyciągów gumowych, pozwalających na zlikwidowanie zaklinowań odłamów, doprowadzenie do prawidłowej okluzji, a następnie ich wiązanie ligaturą drucianą — umożliwiały prawidłowe ułożenie odłamów w bardziej powikłanych przypadkach. U nielicznych chorych uciekano się również do zakładania równi pochyłej w obrębie zębów trzonowych celem naprowadzenia odłamów do prawidłowego zwarcia.

Najtrudniejsze do zaopatrzenia w tych warunkach były złamania żuchwy w bezzębnej jej części, przy przebiegu linii złamania w okolicy kąta żuchwy i ostatniego zęba, zwłaszcza w przypadkach o niepomyślnym przebiegu linii złamania, o niezaklinowanych odłamach. Stosowano pelot na przedłużonych szynach, co nie zawsze dawało pożądane i pomyślne wyniki; odłamy miały dużą tendencję do przemieszczeń, zwłaszcza że działają na nie układy mięśni o różnych kierunkach czynnościowych. Stacja dentystyczna w Oświęcimiu nie posiadała aparatury Roger Andersona; uciekano się je-

dynie do repozycji i unieruchamiania odłamów przez szynowanie i wiązania międzyszczękowe.

W jednym przypadku powikłanego złamania bezzębnej żuchwy z rozdarciem błony śluzowej, po zaszynowaniu obu szczęk i ustawieniu odłamów wydawałoby się w najlepszym położeniu, nie spostrzegano tendencji do powstania blizny kostnej. W obawie powstania stawu rzekomego — po zlikwidowaniu ropnia powstałego na tle zakażenia miejsca złamania i powstania przetoki w dolnej części policzka — postanowiono założyć szew kostny z ligatury metalowej. W uśpieniu ewipanowym cięciem soczewkowatym wycięto przetokę aż do kości, odsłonięto dolne krawędzie odłamów żuchwy, wiertłami dentystycznymi nawiercono po dwa otwory i ściągnięto odłamy ligaturami do położenia normalnego. Tkanki miękkie zeszyto warstwowo, pozostawiając w ranie mały sączek gumowy. Po zabiegu wystąpił silny odczyn pooperacyjny, trwający kilka dni, po czym sprawa na tyle się poprawiła, iż dziesiątego dnia można było usunąć sączek, a pozostała po nim niewielka przetoka zagoiła się całkowicie po trzech tygodniach. Radiologicznie stwierdzono regenerację kości i tworzenie się blizny. Niestety chorego, którego przetrzymano w szpitalu dwa i pół miesiąca, przy najbliższej selekcji *lagerarzt* wybrał do komór gazowych.

Na nic poszedł trud i opieka nad chorym; zresztą nie był to przypadek odosobniony, paradoksów w obozie spotykało się więcej; iluż to kolegów wysłano do gazu po całkowitym ich wyprotezowaniu, na które czekali czasem miesiącami, aż przyszło zezwolenie z Berlina, a po zrobieniu protez byli wkrótce likwidowani. Obsada *H-Zahnstation* zastanawiała się nawet, czy jest sens protezowania więźniów, przeważył jednak pogląd, że jest to nasz obowiązek wobec kolegów.

Parę ciężkich przypadków złamań szczęki i żuchwy otrzymał gabinet stomatologiczny po bombardowaniu obozu przez lotnictwo alianckie, które uszkodziło budynek koszar *SS*, budynek więzienny (kobiet), przy czym najbardziej ucierpiały dwa budynki warsztatów *SS*, w których byli zatrudnieni więźniowie. Ranni zgłaszający się o pomoc byli przeważnie zasypani gruzami zniszczonych budynków.

Jeden z chorych prócz złamania w dwóch miejscach żuchwy miał złamaną łopatkę i odłamek drewna wbity w rogówkę. Po zaszynowaniu szczęki i żuchwy oraz nałożeniu wyciągu międzyszczękowego chorym zaopiekowali się lekarze innych specjalności; wobec dobrej kondycji fizycznej chorego sprawy dość szybko zostały opanowane. Najgorzej przebiegało leczenie złamanej żuchwy; chory nie był zdyscyplinowany, często zdejmował gumki, chcąc szybko spożyć posiłki przynoszone mu przez kolegów z warsztatów; dopiero po dokładnym pouczeniu go o możliwościach poważnych powikłań podporządkował się zaleceniom lekarskim.

Chory, pochodzący z Krakowa, miał wszelkie dane, aby pozostać w szpitalu obozowym w czasie jego ewakuacji, zgłosił się jednak dobrowolnie do lekarzy z prośbą o zabranie go do grupy ewakuowanej, gdyż nie chciał stracić opieki specjalistycznej. W ciężkich warunkach ewakuacji i krótkiego pobytu w obozie w Mauthausen możliwości leczenia i opieki nad nim były minimalne, a właściwie żadne. Po kilku dniach, zabrany do jakiegoś małego podobozu, został zupełnie bez opieki. Gumowe ligatury wyciągu międzyszczękowego popękały; zostały tylko szyny, których sam nie potrafił zdjąć, a które, jak mi opowiadał, były parokrotnie zagrożeniem dla jego życia, gdyż esesmani posądzali go o przenoszenie w ustach złota. W czasie pierwszego spotkania po wojnie oglądałem chorego; wynik leczenia, a właściwie samowyleczenia był zupełnie dobry funkcjonalnie po niewielkim zeszlifowaniu zębów w jednym odłamie. Po zrośnięciu się żuchwy okazało się, że nastąpiło niewielkie przemieszczenie w osi poziomej, które skorygowano zeszlifowaniem paru zębów, uzyskując pełne zwarcie.

Na szczególnie ciężkie warunki natrafiano przy leczeniu ran i złamań postrzałowych, tych jednak obserwowano mało, gdyż w większości przypadków więźniowie tacy byli dobijani na miejscu wypadku. Dwie osoby trafiły jednak do przychodni stomatologicznej.

Jeden z tych więźniów miał postrzał z krótkiej broni palnej od okolicy lewego kąta żuchwy ku trzonowi strony prawej. Kula przeszła przez tkanki miękkie, uszkodziła ciągłość dna jamy ustnej, zatrzymała się na wewnętrznej stronie trzonu żuchwy prawej, nie uszkadzając jej ciągłości. Chory zgłosił się z dużym krwawieniem z okolicy podjęzykowej, które nasunęło przypuszczenie uszkodzenia tętnicy językowej. Postanowiono przeprowadzić zabieg operacyjny usunięcia kuli i równoczesnego podwiązania tętnicy w trójkącie Pirogowa. W czasie usuwania pocisku i kontroli rany okazało się, iż krwawienie następuje z uszkodzonej gałązki tętnicy językowej, a nie samego pnia. Po jej podwiązaniu zaszyto rany na głucho; przebieg pooperacyjny — bez najmniejszych powikłań.

Drugi przypadek postrzału odnosił się do okolicy bródkowej z rozczłonkowaniem całej okolicy trzonu żuchwy. Pierwszą pomocą było zaszynowanie szczęki i żuchwy; do szyny założonej na żuchwę dolutowane były równie pochyłe oraz założono wyciąg międzyszczękowy pozwalający na uzyskanie normalnego zwarcia w obrębie zębów przedtrzonowych i trzonowych. Cały przedni odcinek żuchwy nastręczał wiele kłopotów i był w pierwszym okresie leczenia problemem: czy przeprowadzić sekwestrotomię wszystkich odłamków, czy też przyjąć postawę wyczekującą. Zdecydowano się na drugą koncepcję, czekając na ewentualne samoistne wysekwestrowanie się martwaków, zwłaszcza że przy badaniu wykazywały one łączność z okostną, miejscami uszkodzoną.

W pierwszym okresie po zabiegu, kiedy utrzymywał się duży obrzęk powłok zewnętrznych i języka oraz wysięk ropny, podawano choremu chemoterapeutyki, jakimi rozporządzaliśmy: prontosil i parę wstrzyknięć domięśniowych albucidu, przy podniesionej ciepłocie chory otrzymywał piramidon. Odczyn zapalny i wysięk w stosunkowo szybkim czasie zostały opanowane i zlikwidowane zupełnie, rany zewnętrzne goiły się również nadzwyczaj szybko. Opatrunki zakładane na okolicę brody działały podobnie do fundy, unieruchamiając równocześnie poszczególne odłamy i umożliwiając powstanie blizn kostnych.

Całkowite wygojenie się zostało zakończone zabiegiem sekwestrotomii dwóch niewielkich martwaków powstałych z odłamków wyrostka zębodołowego. Rozumie się, iż zęby tego odcinka usunięto w pierwszym okresie leczenia ze względu na ich położenie w liniach złamania i znaczną ich ruchomość. Chory został wyleczony stosunkowo szybko i wbrew początkowym pesymistycznym prognozom z wyjątkowo dobrym wynikiem.

W tej dość dużej liczbie przypadków złamań wyrostków zębodołowych, szczęki czy żuchwy, zastanawiające było stosunkowo szybkie tworzenie się blizn kostnych, tudzież małe tendencje do tworzenia się martwaków u tak wyniszczonych, wyczerpanych i niedożywionych ludzi, jakimi byli więźniowie obozu koncentracyjnego. Do chwili utworzenia małego oddziału szczękowego w *HKB* nie można było myśleć o racjonalnym leczeniu, chociażby ze względu na brak spokoju i możliwości powolnego spożycia tych mizernych posiłków, które się przeważnie odbywało przy stałym krzyku blokowego i *stubedienstów:* „Tempo, tempo!" Całkowicie zmieniły się warunki, kiedy zaistniały możliwości hospitalizowania tych przypadków. Spokój, własne łóżko, możliwość powolnego spożywania posiłków, może nieco wartościow-

szych niż zwykłe wyżywienie obozowe, dieta, o której sporządzaniu i wydawaniu pisał *Julian Kiwała* [1], stałe podawanie witamin, „organizowanych" nieoficjalnie w ciężkim okresie przez kolegów *Hommego* i *Wesołowskiego*, a następnie kol. *Sikorskiego* — oto podstawy korzystniejszych warunków.

Zastanawiająco szybki przebieg leczenia i jego dodatnie wyniki, jak się wydaje, miały swe główne źródło w nastawieniu psychicznym chorych. Poczucie opieki i koleżeństwa, spokój i porządek odnosiły swoje sukcesy, niewielu bowiem spośród chorych orientowało się, że stale wisi nad nimi zmora selekcji.

Nie zdaję sobie sprawy, ilu z tych chorych przeżyło obóz. Kontakt z nimi zrywał się z chwilą wyjścia ze szpitala, a całkowicie był niemożliwy po transportach do innych obozów i ewakuacji obozu w Oświęcimiu. Ostatnimi chorymi z urazami szczęk była grupa więźniów — Żydów greckich; nie pamiętam ich numerów i nazwisk, a tylko imiona: *Salem* (docent uniwersytetu z Salonik), *Molho* (makler portowy z Salonik), *Halegna*, a warto by było ich odnaleźć, aby z perspektywy czasu móc ocenić leczenie stomatologiczne, prowadzone w ciężkich i prymitywnych warunkach, zwłaszcza jeśli idzie o przypadki szczękowe. Warunki, w jakich leczyliśmy współwięźniów, można chyba porównać jedynie do warunków polowych podczas wojny.

[1] *J. Kiwała*: Kuchnia dietetyczna *(Dietküche)* w szpitalu obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 80.

CZESŁAW KEMPISTY Wrocław
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 16686

Stan zdrowia byłych więźniów ze środowiska wrocławskiego [1]

Kongres lekarski FIR w roku 1956 w Kopenhadze wykazał, że śmiertelność w grupie byłych więźniów jest czterokrotnie większa niż u ludzi, którzy nie przebywali w więzieniach i obozach hitlerowskich. Według danych orientacyjnych w roku 1946 było zorganizowanych w Polsce 400 tysięcy byłych więźniów; obecnie żyje nas około 150 tysięcy. Na Dolnym Śląsku mieliśmy w latach 1946—1947 zorganizowanych około 9 tysięcy kolegów, obecnie — 3 tysiące.

Z grupy tej zbadaliśmy w latach 1963—1964 na terenie miasta Wrocławia 520 osób. W roku następnym kontynuowaliśmy badania we Wrocławiu i rozpoczęliśmy badania na terenie województwa wrocławskiego. Zakończone już zostały badania w powiatach oławskim, wołowskim, legnickim i świdnickim. Następnie objęto badaniami pozostałe powiaty tego województwa.

Sprawa tym pilniejsza, że środowisko byłych więźniów wkracza obecnie w okres, w którym ze szczególną ostrością występują skutki urazów i chorób przebytych w czasie wojny. Skutki te wyrażają się głównie trudnościami w utrzymaniu zdolności do pracy, bądź trudnościami w kontynuowaniu zatrudnienia.

W środowisku wrocławskim oceniono aktualny stan zdrowia 500-osobowej grupy byłych więźniów, którzy przebywali w 10 obozach koncentracyjnych. Największą grupę stanowili byli więźniowie z obozów Oświęcim, Ravensbrück, Gross-Rosen, Sachsenhausen i Buchenwald.

Badani byli więzieni w ciągu 2—5 lat. Zdając sobie sprawę, że okres choroby głodowej nie jest jedynym czynnikiem warunkującym następstwa internowania i że związany jest z przebytymi chorobami zakaźnymi, urazami i stanami zapalnymi oraz często ciężką pracą fizyczną, niewspółmierną do odżywiania się, staraliśmy się i te czynniki w miarę możności uwzględnić i określić. Podobnie, chcąc uwzględnić urazy psychiczne, którym przypisuje się dużą rolę w powstawaniu chorób poobozowych, staraliśmy się położyć na tych urazach nacisk w wywiadzie, a następnie część kolegów poddaliśmy badaniom psychiatrycznym. Dla każdego chorego założyliśmy historię choroby, analogiczną jak w szpitalu (ogólną), rozszerzoną o ankietę socjalną. Z kolei wszyscy zostali poddani dokładnemu lekarskiemu badaniu podmiotowemu. Zależnie od dolegliwości kierowaliśmy chorych do poszczególnych specjalistów; największą grupę zbadano psychiatrycznie. Ponadto kontynuując badania nad wcześnie postępującą miażdżycą naczyń u byłych więźniów obozów koncentracyjnych, 250 osób poddaliśmy dotychczas takim badaniom, jak elektrokardiogram, poziom lipoprotein, oscylometria, zdjęcia radiologiczne klatki piersiowej ze szczególnym uwzględnieniem stanu wysycenia aorty.

[1] Fragment referatu wygłoszonego w dniu 26 lutego 1966 r. na Wojewódzkim Zjeździe Lekarzy ZBoWiD we Wrocławiu. Opuszczono część wstępną. Autor scharakteryzował w niej przebieg i wyniki dotychczasowych powojennych badań osób, które przebyły obozy i więzienia hitlerowskie. Problematykę tę poruszano już w poprzednich zeszytach „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", zwłaszcza w pracach naukowych przytaczających piśmiennictwo przedmiotu (przyp. red.).

W ten sposób zebrany i udokumentowany materiał posłużył do wstępnego opracowania aktualnego stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych zamieszkałych na terenie Wrocławia.

W grupie 500 osób jest 146 rencistów, co stanowi 29,2%, w tym 158 kobiet. 60% badanych, to ludzie mniej niż 45-letni, a więc ci, których wtrącono do obozów w wieku lat od 12 do 20.

Chorobowość wśród tej 500-osobowej grupy przedstawia się następująco [2]:

I. Choroby układu krążenia (niewydolność naczyń wieńcowych, zwyrodnienie mięśnia sercowego, choroba nadciśnieniowa, choroby naczyń obwodowych): 320 osób (64%).

II. Psychonerwice (nerwice ogólne znacznego stopnia, nerwice pourazowe, charakteropatie): 245 osób (49%).

III. Choroby przewodu pokarmowego (choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy, nieżyty żołądka i jelita grubego, kamica żółciowa): 155 osób (31%).

IV. Choroby kości i narządu ruchu (gościec stawowy i kręgosłupa, mięśniowy i bliżej nie określony): 146 osób (29,2%).

V. Choroby układu oddechowego (rozedma, przewlekły nieżyt oskrzeli): 128 osób (25,6%), w tym gruźlica płuc: 12%.

VI. Choroby układu moczowego: 20 osób (3%).

VII. Inne choroby: 15 osób (2,1%).

Jesteśmy w toku opracowywania porównawczej grupy osób, które cechuje ten sam wiek, podobny zawód oraz płeć i zbliżone warunki bytowania po wojnie. Osoby z grupy porównawczej nie przebywały w obozach koncentracyjnych. Zestawia się więc izolowany od świata zespół więźniów obozowych, żyjących wówczas w warunkach dużego niedoboru żywnościowego i szczególnego napięcia emocjonalnego, z grupą osób żywionych normalnie, chociaż nie wolnych od wpływu nowoczesnej cywilizacji i związanego z nią nadmiernie ruchliwego trybu życia. W końcowej fazie oceny należy uwzględnić dodatkowe niekorzystne sytuacje stressowe, jakim podlegali więźniowie obozów koncentracyjnych, którzy osiedlili się na ziemiach zachodnich. Ludzie ci — w przeciwieństwie do większości kolegów, którzy w Polsce środkowej zastali przynajmniej niektórych bliskich (dom), tu często tworząc rodzinę i „nowy dom" — podlegali dodatkowym trudnościom przystosowania się do nowych warunków życia, co niewątpliwie wpływało na kształtowanie się ich stanu zdrowia.

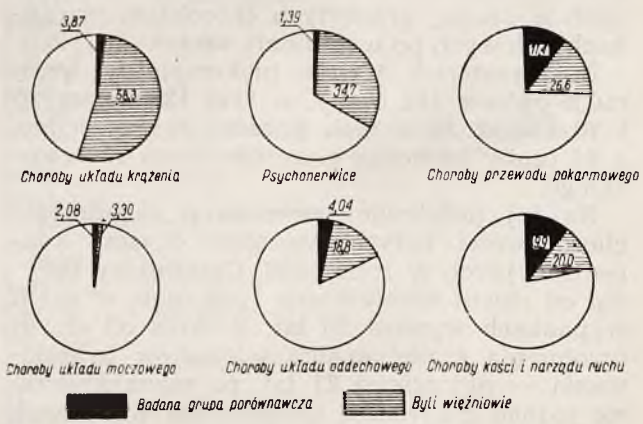
Ze względu na przedłużające się badania grupy porównawczej można tutaj podać wyniki uzyskane na podstawie dotychczasowych badań. Dzięki temu można porównać, jak kształtuje się chorobowość badanych byłych więźniów w odniesieniu do analogicznej grupy osób w tym samym wieku, czynnych zawodowo i pracujących w różnych zakładach przemysłowych Wrocławia. Aby nadać bardziej obiektywny charakter porównaniom, oddzielono od grupy byłych więźniów rencistów II i III grupy, pozostawiając tylko czynnych zawodowo.

Jako okres porównawczy przyjęto lata 1964—1965, a więc ten sam okres, w którym badaliśmy naszych kolegów. Skalę porównawczą stanowił materiał, którym dysponuje Przychodnia Przemysłowa miasta Wrocławia, tzn. dane dotyczące zachorowań na analogiczne grupy chorób u 103 tysięcy zatrudnionych w latach 1954—1955 w przemyśle wrocławskim.

Tabela I

Choroby stwierdzone u byłych więźniów i w grupie porównawczej

Stwierdzone choroby	Odsetek badanych	
	Byli więźniowie (360 osób)	Grupa porównawcza (104 123 osoby)
I. Choroby układu krążenia (niewydolność naczyń wieńcowych, zwyrodnienie mięśnia sercowego, choroba nadciśnieniowa, zmiany w obrębie naczyń obwodowych)	58,3%	3,87%
II. Nerwice ogólne znacznego stopnia, nerwice pourazowe, charakteropatie	34,7%	4%
III. Choroby przewodu pokarmowego (choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy, nieżyty żołądka i jelita grubego, kamica żółciowa)	26,6%	11,37%
IV. Choroby kości i narządu ruchu (gościec stawowy i kręgosłupa, mięśniowy i gościec bliżej nie określony)	20%	9,9%
V. Choroby układu oddechowego (rozedma płuc, przewlekły nieżyt oskrzeli i gruźlica płuc)	18,8%	4,04%
VI. Choroby układu moczowego	3,3%	2,8%



Ryc. 1. Skala porównawcza zachorowań na analogiczne grupy schorzeń w procentach

[2] Ponieważ ci sami badani cierpią często na kilka chorób, suma podanych chorób przekracza oczywiście liczbę badanych.

Jak wynika z tab. I i ryc. 1, chorobowość byłych więźniów jest bardzo duża i w znacznym stopniu przewyższa chorobowość ludności pracującej Wrocławia. Zmiany chorobowe u byłych więźniów są niewspółmierne do wieku badanych. Istnieje związek przyczynowy między tymi zmianami a urazami fizycznymi i psychicznymi, którym badani podlegali w czasie przebywania w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Analiza wykazała, że 92% spośród tej 360-osobowej grupy, to ludzie, którzy przeszli ciężkie obrażenia ciała (między innymi głowy) w czasie np. przesłuchiwań, i leczone urazy później, w czasie pobytu w obozie. Życiu obozowemu tych ludzi towarzyszyły liczne ujemne sytuacje stressowe (częste selekcje do gazu, pobyt w bunkrze, ciągłe napięcie, jak uniknąć w ciągu dnia pobicia itp.). Dochodziło do tego niezmierne obciążenie pracą fizyczną w szczególnie uciążliwych warunkach psychicznych, obarczające ludzi mało lub wcale do takiej pracy nie przyzwyczajonych. Warunki takie wzmagały natężenie zmian spowodowanych głodowaniem. Te czynniki, zresztą naszym zdaniem zasadnicze, dominują w wywiadzie każdego byłego więźnia obozu koncentracyjnego. One to kształtowały osobowość naszych kolegów w latach powojennych, one też wpłynęły w zasadniczy sposób na obserwowane obecnie późne następstwa przebywania w obozach hitlerowskich.

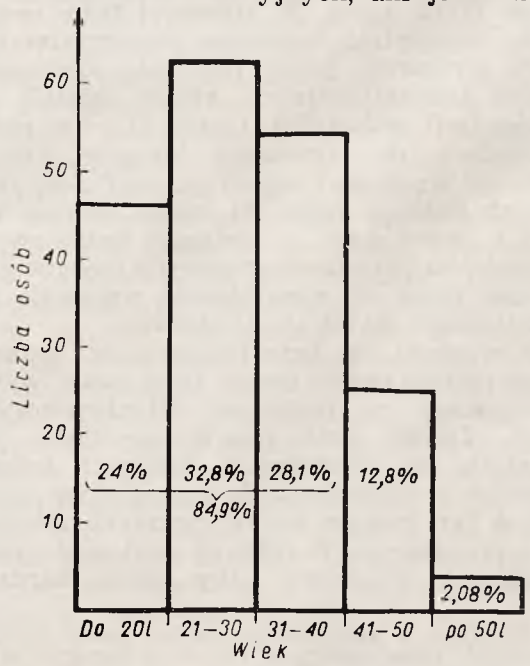
JADWIGA SCHWANN-PAWŁOWSKA
były więzień obozu koncentracyjnego w Ravensbrück nr 4422
Szczecin

Wstępne wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych
(ze środowiska szczecińskiego)

W myśl zaleceń I Ogólnopolskiego Zjazdu Lekarzy ZBoWiD, który się odbył w dniach 21—23 marca 1964 r., komisja zdrowia i koło lekarzy przy zarządzie okręgu szczecińskiego ZBoWiD podjęły również prace mające na celu przeanalizowanie wyników badań stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych ze swego terenu. Są to badania wstępne wykonane metodą ankiet oraz oparte na szczegółowych badaniach klinicznych, a w razie potrzeby specjalistycznych w przychodniach lub klinikach Pomorskiej Akademii Medycznej, Szpitala Garnizonowego i Szpitala MSW w Szczecinie. Dane ankietowe odpowiadały znormalizowanemu już schematowi pytań zawartych w kartach zdrowia stosowanych przez inne ośrodki krajowe, jak warszawski czy poznański i dostarczyły szczegółowych informacji (dane osobowe, informacje o okolicznościach aresztowania, losie uwięzionych w obozie, przebytych chorobach, warunkach bytowych po uwolnieniu itp.).

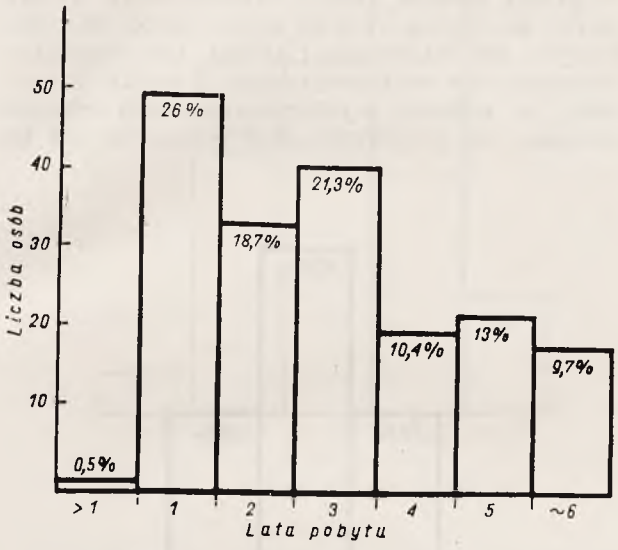
Nasz materiał, jeszcze niekompletny, obejmuje ogółem 192 osoby, w tym 122 mężczyzn i 70 kobiet. 68 z nich mieszka w Szczecinie, a 54 osoby pochodzą z województwa szczecińskiego.

Na tej podstawie opracowano zagadnienie chorobowości byłych więźniów obozów koncentracyjnych w roku 1966. Czas, który upłynął od chwili aresztowania tych osób, w wielu wypadkach wynosił 26 lat, a okres od chwili uwolnienia z nieludzkich warunków internowania — najczęściej 21 lat, po zaznajomieniu się jednak z sytuacją uwięzionych w obozach można już tylko na podstawie wypowiedzi w ankietach z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że pobyt w obozie w wielu wypadkach przyczynił się do zwiększenia chorobowości w tej grupie badanych. Dane faktyczne, które stwierdziliśmy, potwierdziły dane uzyskane z wywiadów. Ponieważ dopiero porównanie zachorowalności byłych więźniów obozów z odpowiednią liczebnie grupą osób nie przebywających w obozach będzie miało wartość naukową, przeprowadziliśmy zestawienie z grupą 200 osadników wojskowych (zbadanych przez dra *Bronisława Waluka*), którzy brali udział w drugiej wojnie światowej, ale nie przebywali ani w obozach koncentracyjnych, ani jenieckich.



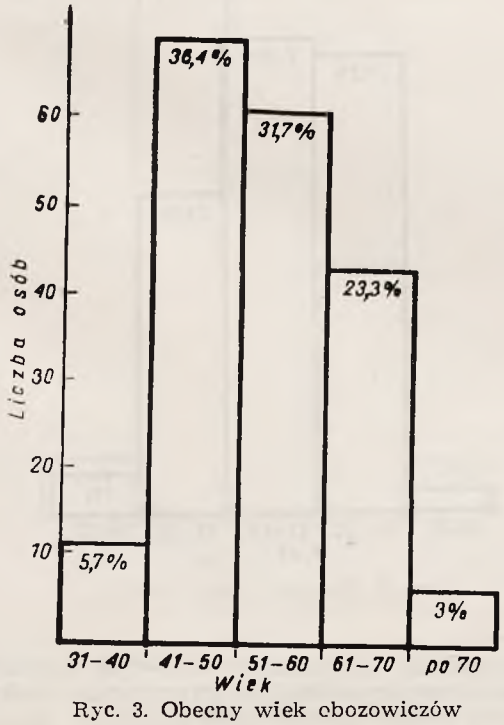
Ryc. 1. Wiek w chwili aresztowania

Wiek badanych w chwili aresztowania ich przed wywiezieniem do obozów przedstawia ryc. 1. Większość, gdyż 84,9% badanych, została aresztowana przed 40 rokiem życia, czyli w wieku najbardziej odpowiednim do wyzyskania uwięzionych jako siły roboczej. Wiadomo, że w ostatnich latach okupacji hitlerowcy coraz bardziej starali się podnieść wydajność, zwłaszcza przemysłu zbrojeniowego, kosztem niewolników trzymanych w obozach koncentracyjnych.



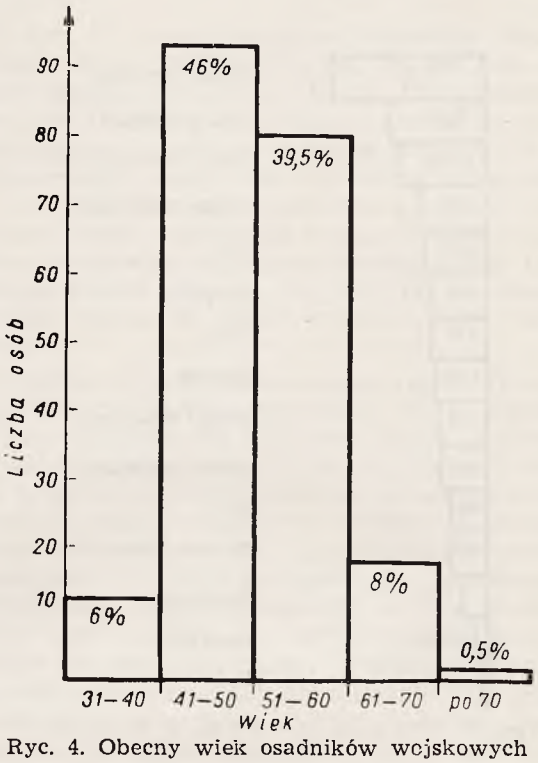
Ryc. 2. Okres pobytu w obozach

Ryc. 2 przedstawia liczbę lat pobytu więźniów w ujęciu procentowym. Najwięcej badanych (26%) przebywało w obozie jeden rok. Wiek badanych ilustruje ryc. 3. Najwięcej (36,4%) osób liczy obecnie 41—50 lat, natomiast ta sama grupa wieku osadników wojskowych reprezentowana jest nieco wyższą liczbą (ryc. 4).



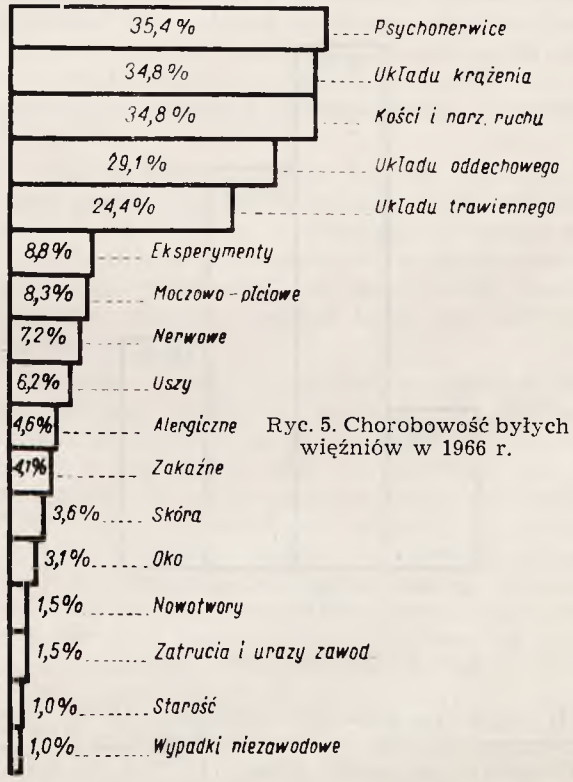
Ryc. 3. Obecny wiek obozowiczów

Analiza chorobowości byłych więźniów dała następujące wyniki. Dominują psychonerwice (35,4%), drugie miejsce zajmują choroby układu krążenia oraz kości i narządów ruchu (po 34,8%), z kolei następują choroby układu oddechowego (29,4%) i układu trawiennego



Ryc. 4. Obecny wiek osadników wojskowych

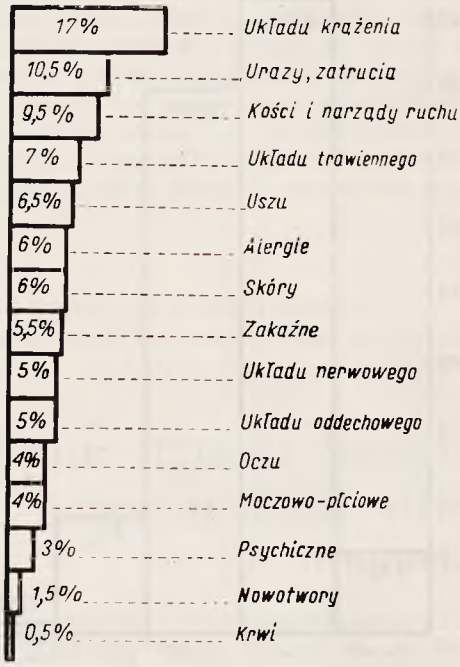
(24,4%). Odmienną grupę, mniej liczną, ale istotną ze względu na swoistą etiologię obozową, stanowią badani, których poddano eksperymentom w obozach (8,8%). Inne choroby



Ryc. 5. Chorobowość byłych więźniów w 1966 r.

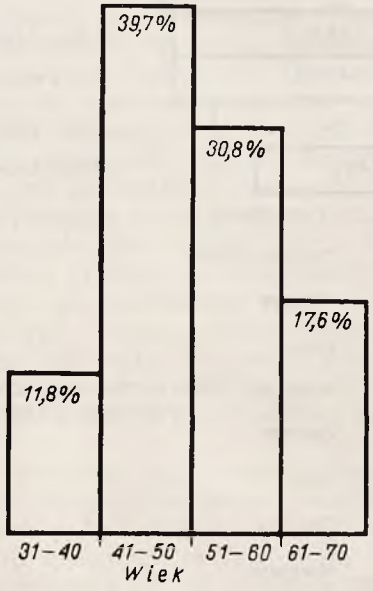
(zob. ryc. 5) występują w nieznacznym odsetku.

W porównaniu z danymi dotyczącymi osadników wojskowych (ryc. 6) chorobowość byłych więźniów jest bardzo wysoka, a przekrój często spotykanych u nich chorób nieco inny.



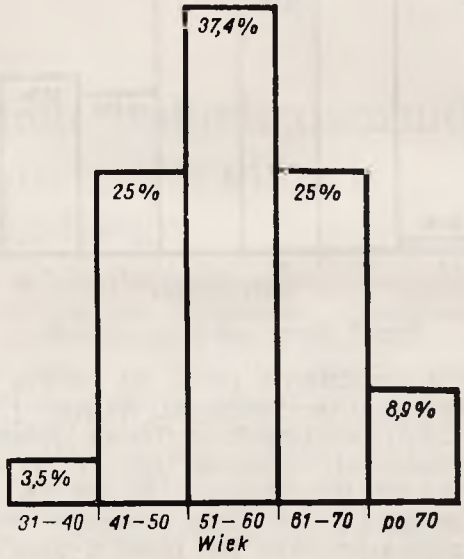
Ryc. 6. Chorobowość osadników wojskowych

Jest to zrozumiałe między innymi ze względu na odmienne warunki bytowe, gdyż są oni w większości mieszkańcami wsi i małych miasteczek. Choroby psychiczne, które tak dominowały u byłych więźniów, u osadników wojskowych zajmują poślednie miejsce (3%). Na pierwszym miejscu są choroby krążenia (17%), na drugim — wypadki, urazy (10,5%), na trzecim choroby kości i narządów ruchu (9,5%), na czwartym choroby układu trawiennego (7%). Są to jednak znikome odsetki w stosunku do analogicznych danych dla byłych więźniów obozów.

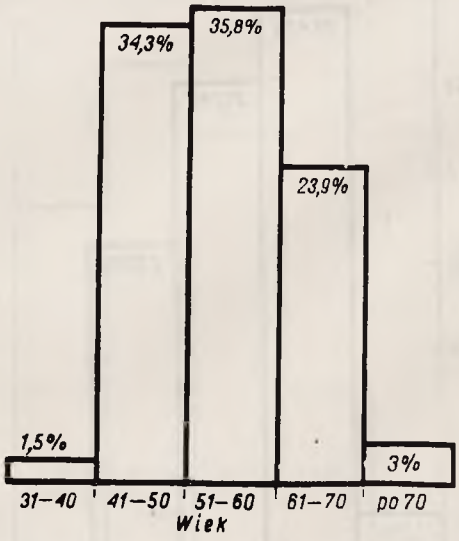


Ryc. 7. Psychonerwice: 35,4%

Zestawiając poszczególne grupy chorób z wiekiem badanych (ryc. 7—11), należy podkreślić, że na pierwszy plan wysuwają się psychonerwice (ryc. 7): 35,4% badanych byłych więźniów. Najwyższy odsetek psychonerwic stwierdzono u osób 41—50-letnich [1]. W grupie chorób układu krążenia (ryc. 8) zawarte są oprócz chorób serca także choroby naczyń, jak miażdżyca i żylaki, tak charakterystyczne dla wieku starszego. Z ryciny 8 wynika, że odsetek występowania tych chorób zwiększa się proporcjonalnie począwszy od 40



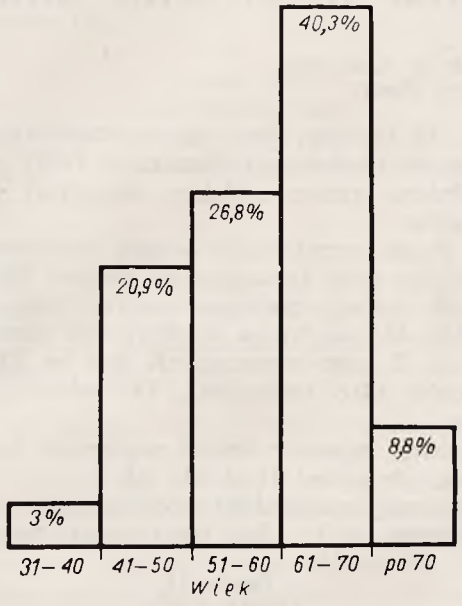
Ryc. 8. Układ krążenia: 34,8%



Ryc. 9. Narządy ruchu: 34,8%

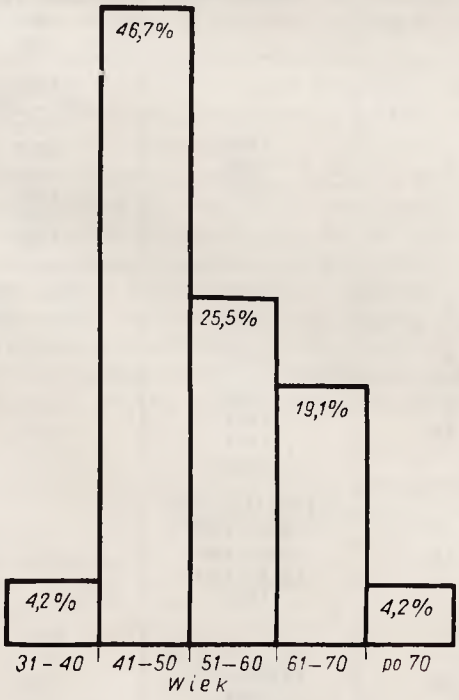
[1] Zagadnienie psychonerwic u byłych więźniów z województwa szczecińskiego przygotowuje st. asystent PAM, dr *Walerian Jędrzejczak*.

roku życia, co wydaje się prawidłową konsekwencją procesu starzenia się. W grupie osadników wojskowych choroby te występują tylko w 17%. Ryc. 9 przedstawia występowanie chorób narządu ruchu (34,8%) w poszczególnych grupach wieku.



Ryc. 10. Narząd oddechowy: 29,1%

Dokładniejsza analiza wykazała, że w 62 przypadkach chodziło o choroby, których początek przypada na okres pobytu w obozie lub wkrótce po obozie. Były to: gościec zwyrodniający kręgosłupa (25), gościec zwyrodniający stawów kończyn (20), gościec okołostawowych tkanek miękkich (16), gościec zesztywniający kręgosłupa (1 przypadek). U 4 osób stwierdzono niewątpliwy związek z pobytem w obozie, gdyż chodziło o złamanie czaszki po urazie i przewlekłe zapalenie szpiku kostnego (1 przypadek), zmiany zniekształcające dłoni po przebytej ropowicy (1) i gruźlicę kości stopy (1).



Ryc. 11. Układ trawienny: 24,4%

Z ryc. 10, przedstawiającej choroby układu oddechowego (29,1%), wynika, że nasilenie ich przypada na lata życia 41—70. Dokładniejszy przegląd liczbowy tej grupy wykazał, że w 36 przypadkach chodzi o rozedmę płuc, w 14 — o przewlekły nieżyt oskrzeli wraz z rozedmą, w 1 — o dychawicę oskrzelową i w 3 — o zapalenie zatok obocznych nosa. Trudno określić, o ile główną przyczynę występowania tych chorób można odnieść do pobytu w obozie, a o ile łączyć ich częste występowanie z wiekiem.

Choroby układu trawiennego (ryc. 11), występujące w 24,4%, wykazują dużą zwyżkę w granicach 41—50 lat życia, nieco mniejszą w późniejszych latach. W 26 przypadkach chodzi o zaburzenia czynnościowe w zakresie wydzielania treści żołądkowej, a więc o charakterze nadkwaśności (17 przypadków), niedokwaśności (5), bezkwaśności (2), nadmiernej wrażliwości jelita grubego (2), u których podstawy jest zapewne tło nerwicowe. W drugiej grupie znajdują się zmiany organiczne, zwłaszcza choroba wrzodowa dwunastnicy (6 przypadków) i przewlekły nieżyt żołądka; tutaj również można się dopatrzeć tła nerwicowego i w większości przypadków można tak duży odsetek tych chorób odnieść do pobytu w obozach. Kilka pozostałych przypadków kamicy może być niezależnych od obozu. Przypadki przepukliny przeponowej (3) należy zaliczyć do reakcji pobobozowej z uwagi na doznane urazy i ciężką pracę, która ci chorzy tam wykonywali. W grupie osadników wojskowych choroby te znajdują się na czwartym miejscu pod względem częstości występowania i wynoszą tylko 7%.

Spośród badanej grupy byłych więźniów 17 osób podało, że przebyły one różne eksperymenty dokonywane w obozach. Ci badani opisywali zabiegi doświadczalne, wykonywane na zdrowych więźniach, jak sterylizacje, przeszczepienia tkanek, grabież krwi (dla żołnierzy frontowych) itp.

Sumując należy stwierdzić, że pobyt w obozie byłych więźniów wpłynął w ogólności w sposób wybitny na zwiększenie się chorobowości w tej grupie osób, co wyraźnie dało się zauważyć w porównaniu z grupą kontrolną. Specyficzną grupą chorób okazały się psychonerwice i choroby będące do pewnego stopnia funkcją zaburzeń układu nerwowego (zaburzenia układu trawiennego, o charakterze czynnościowym i powodujące częściowo też zmiany organiczne). Również zwiększenie liczby chorób narządów ruchu można odnieść do pobytu w obozach, gdy się weźmie pod uwagę przeciążenie pracą fizyczną wykonywaną pod przymusem w nieludzkich warunkach.

MAŁGORZATA DOMINIK Kraków

Sytuacja zdrowotna i bytowa byłych więźniów oświęcimskich w świetle ankiety

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *Karol Spett*)

Krakowski Klub Oświęcimski — z inicjatywy dra *Stanisława Kłodzińskiego* — rozesłał w r. 1966 około 5 000 ankiet byłym więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, mieszkającym na terenie Polski. Posłużono się adresami, którymi dysponuje ZBoWiD, Państwowe Muzeum w Oświęcimiu oraz poszczególni oświęcimiacy. Do tej pory z otrzymanego materiału około 1/5 ankiet wróciła nie wypełniona, gdyż adresaci zmarli, zmienili miejsce zamieszkania, nie podając aktualnych adresów lub wyjechali za granicę.

Celem ankiety było zorientowanie się w zakresie spraw bytowych i zdrowotnych żyjących więźniów Oświęcimia. Wydrukowana ankieta zawiera następujące punkty: 1. Imię i nazwisko, rok urodzenia. 2. Data aresztowania i numer obozowy z Oświęcimia. 3. Obecne źródła utrzymania, miejsce pracy, wysokość wynagrodzenia; renta starcza, inwalidzka; grupy renty. 4. Liczba osób na utrzymaniu. 5. Aktualny stan zdrowia. 6. Dodatkowe uwagi i informacje. 7. Czy jest członkiem ZBoWiD; dokładny adres i podpis.

Wypełnione ankiety ciągle napływają z różnych stron Polski. Do września 1966 r. zebrano przeszło 1 000 ankiet. Całość zostanie szczegółowo opracowana po otrzymaniu wszystkich odpowiedzi. Warto jednak podać wstępne wyniki na podstawie 500 wylosowanych ankiet, liczba ta bowiem jest już wystarczająca dla ogólniejszej orientacji. Pominięto tutaj ankiety wypełnione przez rodziny zmarłych byłych więźniów.

Tabela I
Miejsca zamieszkania ankietowanych

Województwa i miasta wydzielone	Liczba ankiet	Liczba mężczyzn	Liczba kobiet
Warszawa	200	146	54
Woj. katowickie	63	59	4
Woj. warszawskie	51	44	7
Woj. krakowskie	35	29	6
Kraków	22	16	6
Woj. kieleckie	22	22	—
Woj. lubelskie	19	17	2
Woj. rzeszowskie	17	17	—
Woj. poznańskie	14	14	—
Woj. bydgoskie	11	10	1
Łódź	10	9	1
Woj. gdańskie	10	10	—
Wrocław	6	6	—
Poznań	6	5	1
Woj. wrocławskie	5	5	—
Woj. łódzkie	3	3	—
Woj. opolskie	2	—	2
Woj. szczecińskie	2	—	2
Woj. białostockie	1	1	—
Woj. zielonogórskie	1	1	—
Razem	500	414	86

W obozie przebywało więcej mężczyzn niż kobiet, nic więc dziwnego, że spośród 500 osób, których ankiety poddano analizie, odpowiedzi udzieliło 414 więźniów (82,8%) i 86 więźniarek (17,2%). Z tego zrzeszonych jest w ZBoWiD 387 osób (313 mężczyzn, 74 kobiety), czyli 77,4%.

Z jakich rejonów Polski napłynęło 500 wylosowanych ankiet, ilustruje tab. I.

Najstarszy respondent urodził się w r. 1886, najmłodszy w r. 1943 (w obozie), najstarsza

Tabela II
Grupy wieku

Liczba osób przypadających na jeden rocznik	Mężczyźni urodzeni w roku	Kobiety urodzone w roku
1—2	1886—1894* 1926—1943*	1875—1892* 1895—1904 1909—1911 1915—1916 1920—1921 1923 1932
3—4	1895 1898 1925	1893 1907—1908 1912 1917 1919 1922 1924 1926
5—6	1897 1900	1905—1906 1913—1914
7—8	1896	—
9—10	1899 1901 1903 1924	—
11—15	1902 (11 osób) 1904—1906 1908—1909 1915—1919 1923	—
16—20	1907 (20 osób) 1910—1912 1914 1922	—
21—27	1913 (27 osób) 1920—1921	

* Nie każdy rocznik z tego okresu jest reprezentowany.

respondentka w r. 1875, najmłodsza w r. 1932. Dwaj najstarsi więźniowie, którzy odpowiedzieli na ankietę, liczą lat 80, najmłodszy — 23 lata, najstarsza więźniarka zaś 91 lat, najmłodsza 34 lata. Szczegółowe dane zawiera tab. II.

Czas aresztowania respondentów podany jest w tab. III.

Tabela III
Czas aresztowania

Rok aresztowania	Liczba mężczyzn	Liczba kobiet
1939	9	—
1940	117	3
1941	75	10
1942	94	36
1943	106	24
1944	8	11
Razem	409	84

Danych dotyczących roku aresztowania zapomniało podać w ankietach 7 osób.

Aresztowanie nie było równoznaczne z natychmiastowym osadzeniem w Oświęcimiu-Brzezince. Większość osób zanim się dostała do obozu, przebywała przedtem w więzieniach lub w innych obozach. Ankieta nie daje informacji o czasie internowania w obozie oświęcimskim, ale ponieważ respondenci podali numery obozowe, można podług tego określić czas ich przybycia do Oświęcimia-Brzezinki.

Jak wiadomo, osobna numeracja obozowa dotyczyła mężczyzn, osobna kobiet. Analizując udział poszczególnych grup respondentów pod względem czasu skierowania do Oświęcimia, należy więc wydzielić osobno więźniów (tab. IV), osobno więźniarki (tab. V).

Suma w tab. IV i V jest mniejsza, ponieważ 5 więźniów i 6 więźniarek nie podało w ankietach numeru obozowego.

Co się tyczy 3. punktu ankiety, wypowiedzi respondentów są nie dość precyzyjne, postanowiono więc zostawić analizę w tym zakresie do czasu uzyskania kompletu ankiet i uzupełnienia ich w tym względzie dodatkowymi informacjami. Już teraz jednak warto podać dane dotyczące rencistów.

Spośród ankietowanych mężczyzn rentę pobiera 71 osób (17,1% mężczyzn); spośród kobiet —

Tabela IV
Numeracja obozowa respondentów a czas internowania w Oświęcimiu (mężczyźni)

Rok uwięzienia w obozie	Numery obozowe	Liczba respondentów
1940	do nru 7879	103
1941	do nru 25149	58
1942	do nru 85264	65
1943	do nru 171352	169
1944 do oswobodzenia obozu	od nru 171353	14
	Razem	409

Pięciu więźniów nie podało numerów obozowych.

Tabela V
Numeracja obozowa respondentek a czas internowania w Oświęcimiu (kobiety)

Czas uwięzienia w obozie	Numery obozowe	Liczba respondentek
26 III 1942 do 3 IV 1942	1000—1998 do nru 3762	14
do 28 XII 1942 do 1 I 1943	do nru 27863 do nru 27906	21
do końca roku 1943	do nru 73982	37
od 1 I 1944 do 4 IX 1944	73983—88391	7
po 5 IX 1944	do nru 88392	1
	Razem	80

6 więźniarek nie podało numerów obozowych.

34 osoby (39,5%). Spośród wszystkich badanych respondentów jest 105 rencistów (21%). Wśród mężczyzn 6 osób pracuje i pobiera rentę, 17 ma rentę starczą, 6 — rentę specjalną, 1 — rentę inwalidzką I grupy, 20 — takąż rentę II grupy, 21 — III grupy (13 osób pozostaje na utrzymaniu rodziny). Wśród kobiet 4 pracują i pobierają rentę, 13 ma rentę starczą, 2 — specjalną, 8 — inwalidzką II grupy, 7 — inwalidzką III grupy (9 — na utrzymaniu rodziny).

Większość ankietowanych określa swoje dolegliwości, posługując się niefachowym sposobem opisu, niektóre tylko rozpoznania są potwierdzone na blankietach ankietowych pieczątką lekarza opiekującego się respondentem. Wobec tego można było tylko, weryfikując te wszystkie zapisy, wydzielić z grubsza niewątpliwe kategorie chorób. Tabela VI obrazuje te dane.

Tabela VI
Choroby

Kategorie chorób	Liczba mężczyzn	Liczba kobiet
Zaburzenia układu krążeniowego	111	27
Zaburzenia układu nerwowego	104	26
Zaburzenia czynności ruchu	99	26
Zaburzenia układu pokarmowego	90	13
Zaburzenia układu oddechowego	67	6
Zaburzenia układu moczowego	27	7
Zaburzenia narządów zmysłów	15	4
Choroby skórne	11	5
Inne	92	31
Liczba osób, które nie podały żadnych dolegliwości	39	3

Wiele osób podawało dwie i więcej kategorii chorób. Więźniowie określający swoje dolegliwości podawali przeciętnie trzy choroby.

Za wcześnie na wysnuwanie szczegółowych wniosków na podstawie omawianej tutaj próbki 500 ankiet. Rzucają się jednak w oczy spostrzeżenia następujące:

— najwięcej odpowiedzi napłynęło z Warszawy, być może dlatego, że pierwszy rzut ankiet adresowano do byłych więźniów tam obecnie mieszkających;

— ale pozostałe dane wskazują na to, że większość byłych więźniów Oświęcimia osiedliła się w miastach;

— uzyskane wyniki wskazują na to, że większa jest żywotność kobiet niż mężczyzn w analizowanej grupie; więcej żyjących więźniarek pochodzi z najstarszych roczników aniżeli mężczyzn, którzy przetrwali obóz; zwraca jednak uwagę fakt, że duże grupy mężczyzn przypadają na starsze roczniki (1902, 1907, 1913, zob. tab. II);

— biorąc pod uwagę czas aresztowania, najwięcej jest żyjących mężczyzn uwięzionych w trzecim i czwartym dziesiątku lat życia, natomiast w tym wypadku dominują kobiety aresztowane w trzecim dziesiątku lat życia;

— co się tyczy długości czasu pobytu w obozie, najwięcej przetrwało tzw. „milionowców", którzy do Oświęcimia zostali zesłani w ostatnich latach istnienia obozu, podobne spostrzeżenie dotyczy kobiet; ale wyróżnia się grupa więźniów, którzy stosunkowo wcześnie trafili do Oświęcimia-Brzezinki; można to tłumaczyć tym, że po pierwsze, są to osoby, które szczególnie dobrze przystosowały się do warunków obozowych, a po drugie, ocalenie swoje zawdzięczają niewątpliwie skorzystaniu z możliwości objęcia stanowisk funkcyjnych (praca lepsza, pod dachem, ścisły kontakt z obozowym ruchem oporu, w którym, jak wiadomo, dużą rolę odgrywali więźniowie długo przebywający w obozie i umiejący lepiej unikać niebezpieczeństw obozowych);

— w zgodzie z ogłaszanymi w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" wynikami badań lekarskich byłych więźniów pozostają dane z ankiet, wskazujące przede wszystkim na dominowanie chorób układów krążeniowego i nerwowego, z którymi wiążą się między innymi zaburzenia czynności ruchu, zaburzenia pokarmowe itp.;

— nie podało żadnych dolegliwości 41 osób (tj. 8,2% spośród 500 respondentów); można mniemać, iż w wypadku analizy wszystkich ankiet odsetek ten będzie mniejszy, ponieważ w pierwszej kolejności odsyłali ankietę najaktywniejsi spośród byłych więźniów.

Raz jeszcze należy podkreślić, że przedstawiono wyniki wstępnego rozeznania w omawianych ankietach. Zrezygnowano więc teraz z obliczeń statystycznych, które będą konieczne w analizie całości materiału.

Dodać warto, że wielu respondentów opatrywało kwestionariusze szerszymi komentarzami, wśród których dominują zwłaszcza skargi na warunki bytowe, na złe stosunki w miejscu pracy itp. Wydaje się, że omawianie tych aneksów byłoby teraz przedwczesne. Spontaniczne wypowiedzi, wykraczające poza punkty ankiety, zostaną zinterpretowane w toku dalszej analizy.

Jej wyniki mogą sprecyzować, a nawet zmodyfikować dotychczasowe dane. Wolno wnosić, że np. znacznie zwiększy się liczba odpowiedzi z Polski południowej, gdzie, jak wiadomo, znajdują się (np. w Krakowie) dość liczne środowiska byłych więźniów, a nadto bliższemu sprecyzowaniu i innemu ujęciu może ulec zagadnienie żywotności byłych więźniów między innymi w korelacji z wiekiem ankietowanych i z rocznikami, które w określonym czasie dostawały się do Oświęcimia-Brzezinki. Wstępna charakterystyka, która dotyczy wymienionych wylosowanych 500 ankiet, oczywiście nie może antycypować trafnie wyników, które zostaną później obliczone.

Tematem Wojewódzkiego Zjazdu Lekarzy ZBoWiD, który odbył się w r. 1966 w Warszawie, były m. in.: zagadnienie badań naukowych z zakresu patologii deportacji, sprawa wszechstronnej pomocy lekarskiej dla członków ZBoWiD, renty inwalidzkie itp. Jeden z referentów, dr *S. Kowalski*, omówił wyniki dotychczasowych badań byłych „kacetowców", które objęły około 800 osób. U przytłaczającej większości byłych więźniów, którzy w obozach hitlerowskich przebywali od 1 roku do 5 lat, stwierdzono objawy przewlekłej astenii i przedwczesnego starzenia się oraz nieodwracalne zmiany patologiczne. Określa się szacunkowo, że śmiertelność wśród byłych więźniów jest czterokrotnie większa niż wśród osób, które uniknęły gehenny obozowej. Dr *Kowalski* postulował konieczność rozszerzenia badań specjalistycznych byłych więźniów ze względu między innymi na potrzeby naukowe. Według informacji innego referenta dr *W. Lietza*, w punkcie konsultacyjnym prowadzonym przez Komisję dla członków ZBoWiD spośród 269 chorych, którzy zgłosili się tam w ciągu ostatnich dwóch lat, było aż 219 byłych więźniów, przy czym większość z nich zgłaszała po kilka chorób. Przeważały nerwice, zmiany kostne pourazowe, przewlekła astenia, nadciśnienie, reumatyzm, choroby wieńcowe serca itd. Organizacyjne i naukowe problemy z zakresu patologii deportacji za granicą omówił doc. dr *J. Panasewicz*. Wskazał on między innymi na fakt, że we Francji istnieje ministerstwo spraw kombatanckich. Sprawy rentowe i inwalidzkie referował red. *S. Kamiński*, wytykając między innymi opieszałość w załatwianiu rent dla członków ZBoWiD. W dyskusji podniesiono konieczność udziału w KIZ lekarzy-zbowidowców, którzy potrafią lepiej zrozumieć towarzyszy walki i niedoli. Spośród wniosków warto podkreślić postulat rozszerzenia badań lekarskich byłych więźniów oraz przeprowadzenia ewidencji wszystkich deportowanych.

Według informacji podanej w notatce pt. Narada lekarzy (Za Wolność i Lud, 1966, nr 23, s. 15)

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

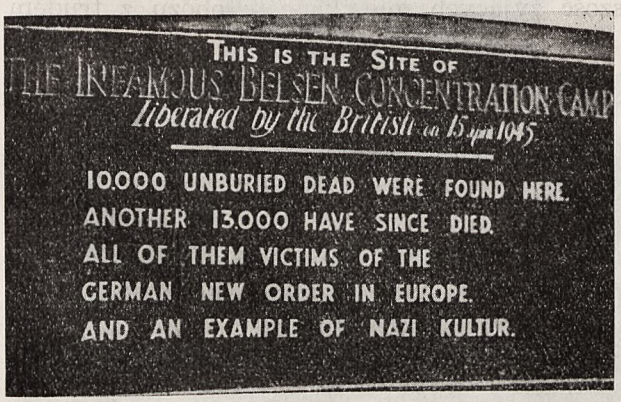
MYRTLE BEARDWELL-WIELEŻYŃSKA Wickham Bishops (Essex, Wielka Brytania)

Obóz koncentracyjny w Bergen-Belsen bezpośrednio po wyzwoleniu [1]

Bergen-Belsen — to dwie gminy w Saksonii Dolnej. Od r. 1940 w Bergen-Belsen znajdował się hitlerowski obóz koncentracyjny, w którym więziono przeważnie kobiety. Kierowano tam na śmierć również inwalidów. W r. 1945 ewakuowano do tego obozu więźniów obozów koncentracyjnych z terenów zagrożonych przez działania wojenne, toteż liczebność obozu (około 30 tysięcy więźniów) powiększyła się niemal dwukrotnie. Wskutek tego w Bergen-Belsen zapanował głód i epidemia duru.

Katownię tę oswobodziły wojska brytyjskie w dniu 15 kwietnia 1945 roku, zastając tam około 50 tysięcy więźniów żywych i umarłych. Wkrótce po wyzwoleniu postawiono tam tablicę (ryc. 1). Z obozem tym zapoznałam się jako pielęgniarka skierowana tam przez wojskowe władze brytyjskie [2].

Po dramatycznej jeździe przez dwa dni i dwie noce w gęstej kolumnie samochodowej z Antwerpii do Belsen przejechaliśmy przez miasto Celle i skierowaliśmy się na północ długimi i prostymi drogami z ponurym lasem jodłowym po obu stronach i z nielicznymi domami. Potem poczuliśmy mdły zapach, który stawał się ostrzejszy w miarę, jak ubywało drogi. Wreszcie pokazały się umieszczone co parę jardów napisy: „Tyfus — jechać powoli!" Niebawem dojechaliśmy do polany w lesie, gdzie belka w poprzek drogi stanowiła wrota. Wewnątrz było kilka drewnianych bud, które wyglądały na opuszczone. Nie było prawie żadnych oznak życia. A więc znaleźliśmy się w Belsen.



Ryc. 1. Tablica u wejścia do obozu w Belsen z napisem: „Tu jest siedziba niesławnej pamięci obozu koncentracyjnego w Belsen, wyzwolonego przez Anglików 15 kwietnia 1945 r. Zastano tu 10 000 zmarłych nie pogrzebanych. Dalszych 13 000 zmarło po wyzwoleniu. Wszyscy oni byli ofiarami niemieckiego nowego porządku w Europie i przykładem kultury nazistowskiej". Po drugiej stronie był identyczny napis niemiecki

Cztery dni przed przybyciem do Belsen [3] poszłam na zebranie lekarzy i pielęgniarek, którzy zostali powołani do Belsen tuż za armią brytyjską. O przejęcie obozu zwróciło się do tej armii dowództwo niemieckie. Na zebraniu atmosfera była napięta. Lekarze i pielęgniarki byli znużeni i zmęczeni, twarze były blade i napięte. Komendant przedstawił nam swój plan działania.

Plan ten był bardzo szeroki, ale został wykonany dokładnie. Jednak trudności i przeszkody, z którymi się borykaliśmy, nie dadzą się opisać. Szczególnie dotkliwy był brak jakiegokolwiek wyposażenia i brak personelu. Wszyscy pracowali ponad siły. Pobliskie jednostki oddały nam własne koce itp., aby nam pomóc. Po tej stronie Łaby znajdował się front, w odległości kilku mil, a wojna weszła w decydującą fazę. Wszystkie środki transportu były potrzebne wojsku, a o pomoc było bardzo trudno. Zebrano bardzo dużo materiałów, nie mogły one jednak pokryć zapotrzebowania tysięcy ludzi. Skąd i jak te materiały przyszły, było dla mnie tajemnicą, ale nie mieliśmy czasu dopytywać się o to.

Mogłabym do końca życia pisać o wydarzeniach z owego okresu, ale żadne pióro nie sprostałoby dobremu i prawdziwemu w całej pełni opisowi Belsen. Tym bardziej ja swoim skromnym wysiłkiem nie potrafię przekazać pojęcia o tym, czym Belsen naprawdę było. Wiele napisano i wiele przeczytano na temat tego obozu, ale ilu naprawdę uwierzyło? Mogę tylko podkreślić, iż żadna relacja nie daje odpowiedniego pojęcia o okropnościach tego strasznego obozu.

[1] Opracowanie redakcyjne na podstawie materiałów nadesłanych przez autorkę (wyjątki z jej książki pt. *„Aftermath"* [Pokłosie], zdjęcia wraz z opisami, zawarte w osobnym, nie opublikowanym dotychczas albumie, oraz fragmenty tekstów, które objaśniono w następnych przypisach).

[2] Autorka od razu przystąpiła do sporządzenia notatek i gromadzenia zdjęć z wyzwolonego obozu. Dalszy fragment artykułu jest przekładem z książki *„Aftermath"* (przyp. red.).

[3] Tzn. 17 kwietnia 1945 roku (przyp. red.).



Ryc. 2. Zwały palącego się obuwia i gnijących łachmanów po zmarłych w Belsen. Żywi próbują zagrzać przy ogniu zdobyte okruchy jedzenia. Obóz pozbawiony był ogrzewania i wody

Po obozie oprowadzał nas nazajutrz po przybyciu tam komendant jednostki wojskowej. Fetor był okropny. Panował mdlący zapach śmierci, zmieszany z odorem wydalin, palących się łachmanów i śmieci (ryc. 2). W obozie o powierzchni jednej mili kwadratowej [4] mieściło się 60 tysięcy ludzi, z których 10 tysięcy leżało zmarłych i nie pogrzebanych. Nędzne, rozpadające się chaty były pełne uwięzionych, przy czym zmarli leżeli na żywych, a żywi na zmarłych (ryc. 3). Zwłoki wisiały z okien, leżały w groteskowych stosach, szkieletowate ręce splątane były z nogami, a wielkie, wytrzeszczone oczy wpatrzone były w górę z tych trzęsawisk skłębionej śmierci (ryc. 4 i 5). Większość żyjących mieszkańców obozu z trudem

[4] 1 mila angielska bieżąca = 1609 m (przyp. tłum.).



Ryc. 3. Przez cztery dni przed oswobodzeniem Belsen więźniowie byli pozbawieni jedzenia i wody. Przez całe tygodnie przedtem otrzymywali na dzień kubek „zupy" i ćwierć kromki chleba. Ci, którzy przeżyli, wlekli się po terenie jak żywe szkielety, potykając się i słaniając dokoła zwłok. Wśród zwałów plugawych odpadków, szmat itp. szukali resztek jedzenia. Najsłabsi leżeli pomiędzy zmarłymi



Ryc. 4. Sterta zwłok w Belsen

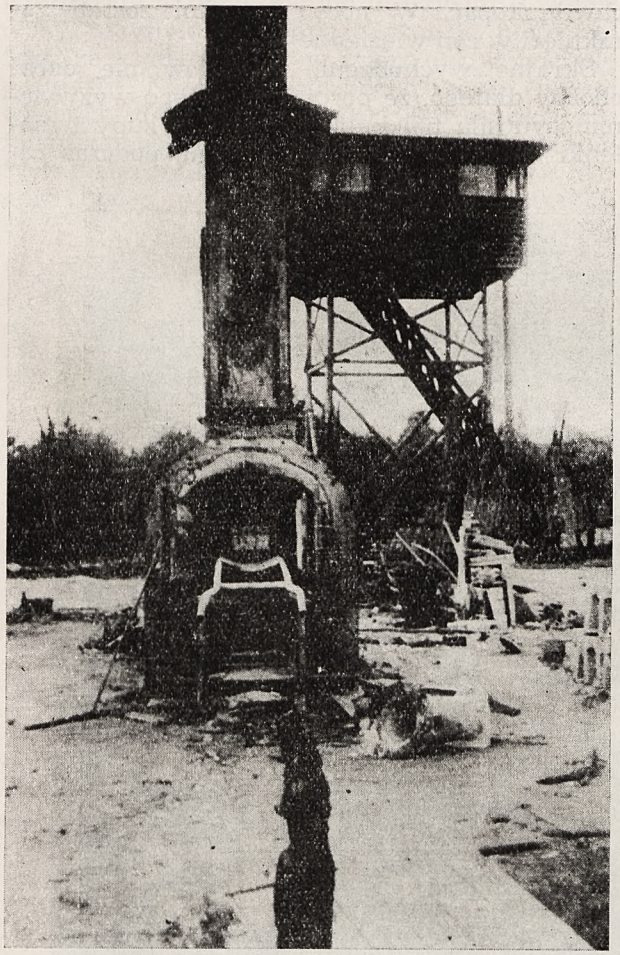
przypominała ludzi. Mieli na sobie brudne łachmany, czołgali się po ziemi, grzebiąc za jakimikolwiek korzonkami lub odpadkami jedzenia. Nie zwracali uwagi ani na nas, ani na nikogo innego, wymiotowali i załatwiali potrzeby



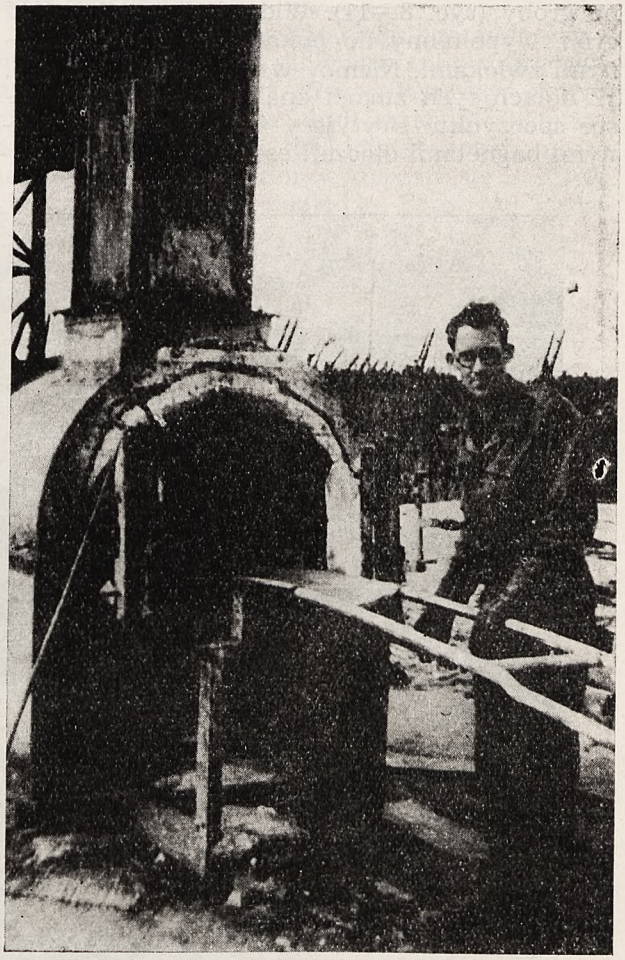
Ryc. 5. Zwłoki więźniów w Belsen na tle baraku obozowego

fizjologiczne tam, gdzie klęczeli lub leżeli. Ustępy zresztą i tak nie istniały. Były tylko wielkie, kwadratowe doły, otoczone barierą z nieociosanych drągów. Większość więźniów nie miała sił, aby dostać się na taki drąg. Wszędzie dookoła nas jęczano i krzyczano o jedzenie.

Zwłok pozostawili Niemcy bardzo wiele. Uprzednio działało nieduże krematorium (ryc.



Ryc. 6. Małe krematorium w Belsen. W tyle jedna z wieżyczek strażniczych, stojących gęsto dookoła obozu



Ryc. 7. To samo krematorium. Demonstruje się nosze do wkładania zwłok



Ryc. 8. Bezpośrednio po oswobodzeniu Belsen wycieńczeni więźniowie wymierali masowo, po kilkuset dziennie. Na takich wózkach ręcznych zwożono zwłoki do dołów

6 i 7). Esesmanom kazano kopać wielkie, wspólne groby (ryc. 8—11). Widzieliśmy jeden taki grób, wypełniony do połowy tymi wychudzonymi zwłokami. Niemcy wrzucali je jak worki. W dołach tych zmarli znaleźli wreszcie miejsce spoczynku. Brytyjscy żołnierze z nasadzonymi bagnetami otaczali esesmanów, gotowi interweniować, gdyby którykolwiek przestał na chwilę kopać. W nocy esesmani zostali zamknięci w celi więziennej.

Skrajne wychudzenie więźniów nie dziwi choćby dlatego, że porcja obozowego wyżywienia wynosiła pół kubka wodnistej zupy i maleńki kawałeczek chleba dziennie podczas ca-



Ryc. 9. Zwłoki wyładowywali z wózków esesmani i składali je do dołów. Widać uzbrojonych żołnierzy brytyjskich, którzy dozorowali tych esesmanów



Ryc. 10. Wyładowywanie zwłok z wózka. Na dalszym planie żołnierz brytyjski

łych tygodni. Ale w ostatnich kilku dniach więźniowie w ogóle nic nie dostawali. Również wody nie było w obozie. Sytuację pogarszał fakt, że każdego dnia, w miarę jak alianci się posuwali, Niemcy sprowadzali coraz więcej więźniów do Belsen. Chyba tylko spaczonemu fanatyzmowi przypisać można przerzucanie tych nieszczęśliwych, udręczonych ludzi z jednego obozu do drugiego nawet w ostatniej chwili, gdy było już oczywiste, że wojna została przegrana.

Z powodu braku odpowiedniego wyposażenia niemożliwe było pielęgnowanie w normalnym znaczeniu tego słowa. Wszyscy chorzy cierpieli na biegunkę i byli za słabi, aby używać misek dla psów; miski te stanowiły nasze jedyne baseny. Niektórzy staczali się z łóżek, aby oddać stolec na podłodze. Fetor był niesa-



Ryc. 11. Zwłoki ułożone w dole wykonanym przez esesmanów, esesmanki i żołnierzy *Werhmachtu*. Do zasypywania tych dołów używano spychaczy

mowity. Ocaleli więźniowie nie mieli żadnych ubrań i nie zdawali sobie sprawy ze swej nagości. Ich krzyki: *„Hunger, essen, Schwester!"* (Głód, jeść, siostro!) słychać było w obozie. Naszym głównym problemem było próbować ich odżywić. Powiedziano nam, aby im dawać tylko po pół garnuszka czarnej kawy lub zupy. Szybko odkryłyśmy, że umierali, jeśli wypili więcej, ale cała trudność polegała na tym, że trzeba było powstrzymać silniejszych od zabierania słabszym tych płynów. Robili to, a wyniki były tragiczne. Dobrze pamiętam, jak raz weszłam do izby, gdzie było 8 kobiet, zupełnie nagich. Podeszły do mnie ze swoimi długimi, wychudzonymi palcami i chwyciły mnie za szyję i włosy. Przestraszyłam się i zaczęłam wołać o pomoc. Chorzy ci odzyskiwali nadludzką siłę, gdy tylko ukazało się jedzenie. Umierali codziennie. Jednego dnia mieliśmy aż 80 zgonów. Trzeba pamiętać, że byli to chorzy, których wybraliśmy z obozu, ponieważ istniała bodaj najlżejsza możliwość utrzymania ich przy życiu. Setki zostawiono w Belsen, gdyż stan ich był beznadziejny i ci umierali znacznie szybciej [5].

Więźniów znalezionych w Belsen przeniesiono do wielkich koszar niemieckich, oddalonych o około 12 mil od obozu. Część budynków wydzielono na szpital, gdzie mieliśmy przeszło 11 tysięcy chorych. 70% chorowało na dur, niemal wszyscy mieli czerwonkę, wielu było dotkniętych chorobami skórnymi. Wyposażenie szpitalne i zasób leków były znikome. Zapasy pochłaniał front, a armia angielska nie była w stanie dostarczyć tylu ludzi i środków transportu, aby szukać potrzebnych rzeczy po Niemczech. Wszystko, co mogła zrobić, to dostarczać żywności dla tych tysięcy ludzi, a wszakże Belsen nie było jedynym obozem koncentracyjnym.

Wobec wysokiej śmiertelności więźniów, niczym niezwykłym nie było znajdowanie zmarłych przy obchodzie. Ich sąsiedzi tuż obok nie zwracali na nich uwagi. Żywi i umarli wyglądali bardzo podobnie. Zmarłych zawijało się w czarne zasłony okienne i wynosiło do piwnic. Wieczorem przyjeżdżały wozy i zabierały czarno owinięte zwłoki. Ci, którzy umierali w szpitalu, otrzymywali przyzwoity pogrzeb i byli chowani w pojedynczych grobach. Przeważnie też zapisywano ich nazwiska.

Rejestracja tych tysięcy ludzi była wielkim i trudnym zadaniem. Wielu było zbyt ciężko chorych, aby mogli podać swoje nazwiska, a wielu z nich po prostu nie pamiętało, jak się nazywają.

Z biegiem czasu sytuacja się poprawiała. Zabudowania wojskowe zostały podzielone dla celów administracyjnych na cztery części, z numeracją II, III, IV i V. Obozy IV i V były wyłącznie żydowskie; pracowała tam żydowska organizacja pomocy. Obóz nr II był wyłącznie polski, a w baraku III były narodowości mieszane. Brytyjski Czerwony Krzyż pracował w barakach II i III. W każdym obozie mieliśmy pracowników opieki społecznej, lekarzy, pielęgniarki szpitalne i z lecznictwa otwartego. Pokoje lekarskie prowadzili lekarze spomiędzy byłych więźniów, lekarze niemieccy i pielęgniarki. Całość nadzorował Brytyjski Czerwony Krzyż.

Z biegiem miesięcy pomoc byłym więźniom stała się w tym ośrodku coraz sprawniejsza. Funkcjonowały tam poradnie dziecięce, poradnie dla ciężarnych, centralna łaźnia dziecięca, warsztaty centralne (krawiecki, fryzjerski, szewski), gabinety *manicure* i *pedicure*, szkoła mechaników motorowych i rolnicza, kursy zabawkarstwa, rękawicznictwa, wyrobu pantofli, koronkarstwa, centralny urząd pocztowy, magazyn konfekcji, główny magazyn sprzętu, specjalna kuchnia dietetyczna dla półchorych i dla matek karmiących, kuchnia mleczna. Rozwijała się działalność rozrywkowa (koncerty), sport. Były też przedszkola, podstawowa szkoła dla dzieci i gimnazjum oraz biblioteka. Ponadto Brytyjski Czerwony Krzyż wydatnie pomagał byłym więźniom w sprawach osobistych bądź emigracyjnych (ryc. 12).



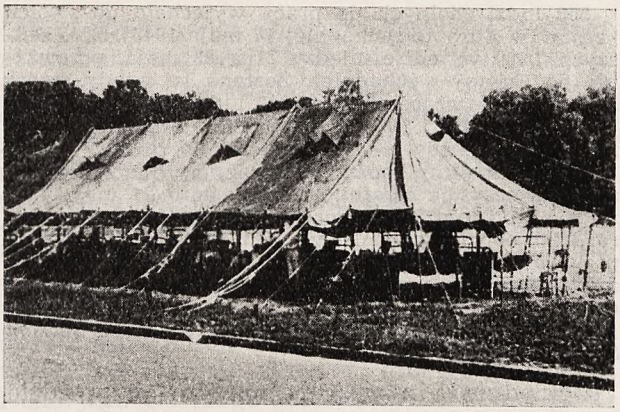
Ryc. 12. Wnętrze jednego z warsztatów w ośrodku Brytyjskiego Czerwonego Krzyża w Belsen po wyzwoleniu

Troskliwie opiekowano się dziećmi. Matki przynosiły dzieci do kąpieli trzy lub cztery razy w tygodniu. Tam oglądała je pielęgniarka, była więźniarka, która zajmowała się drobnymi schorzeniami i udzielała rad matkom. Dzieci dostawały witaminy (ryc. 13).

Systematycznie odjeżdżali byli więźniowie do swoich krajów rodzinnych. Już w niespełna dwa tygodnie po wyzwoleniu pierwsi obcokrajowcy zostali odesłani do krajów, skąd pochodzili. Od tego czasu liczne konwoje opuszczały obóz. Pierwsi odjechali Francuzi, Belgowie i Holendrzy. W okresie pierwszych trzech miesięcy po wyzwoleniu Bergen-Belsen repatriowano tysiące więźniów.

Nic jednak nie pozwalało nam zapomnieć potwornego, pełnego grozy obrazu, któryśmy

[5] Powyższa relacja jest fragmentem z „Pokłosia", w którym autorka opisała swe wspomnienia wojenne począwszy od lądowania w Normandii. Następny fragment artykułu — do przypisu 6 — jest kompilacją urywków z „Pokłosia" i notatek pisanych na bieżąco począwszy od przybycia autorki do Belsen, przy zdjęciach gromadzonych w albumie, wspomnianym w przypisie 1 (przyp. red.).



Ryc. 13. Dzieci, które przeżyły obóz, pomieszczono w części baraków, raczej oddalonych od głównych budynków. Dzieci tych było około 170. Spośród nich osiemdziesięcioro było ciężko chorych. Prawie wszystkie dzieci cierpiały na gruźlicę. Leczono je pod namiotami. W sierpniu 1945 roku skierowano te dzieci do Szwecji, ponieważ rząd szwedzki zaproponował, że weźmie je w opiekę na 6 miesięcy

ujrzeli po przyjeździe do Belsen w kwietniu 1945 roku. Z tych właśnie pierwszych chwil pochodzi lekarska ocena obozu koncentracyjnego w Belsen, sporządzona przez dra *J. A. D. Johnstona* po 24 godzinach kontaktu ekipy brytyjskiej z obozem [6]. Autor tej oceny zastrzegł się więc, że nie jest ona pełna ani ostateczna. Stanowi ona jednak dokument dotyczący tego, co zastaliśmy w Belsen po uwolnieniu obozu. W relacji tej czytamy:

„1. *Plan ogólny (obozu).* Obóz dzieli się na dwie odrębne części: obóz nr 1 i obóz nr 2. Obóz nr 1 jest to teren zabudowany drewnianymi barakami-budami, w których mieści się w przybliżeniu 22 000 kobiet i 18 000 mężczyzn. Obóz nr 2 składa się z szeregu budynków murowanych i mieści około 27 000 mężczyzn. Mieszkańcy obu obozów należą do różnych narodowości, przy czym przeważają Rosjanie i Polacy, ale są i Czesi, Francuzi, Włosi, Węgrzy.

2. *Warunki życia.* Poniżej podaję krótki opis warunków zastanych przy wkroczeniu do obozu w dniu 17 kwietnia 1945 roku. Nie podobna przedstawić dokładnego opisu na papierze.

Obóz nr 1: Gęsta ciżba apatycznych, strasznie wyglądających ludzi, zbitych razem w drewnianych budach, w wielu wypadkach bez łóżek i koców, w niektórych wypadkach niczym nie odzianych. Kobiety w gorszym stanie niż mężczyźni. Jeżeli mają jakiekolwiek odzienie, są to na ogół brudne łachmany. Zmarli leżą po całym obozie w stertach obok bloków barakowych, w których znajdują się najciężej chorzy, a które nazywają się całkiem niesłusznie szpitalem. Około 3 000 nagich i wychudłych zwłok w różnych stadiach rozkładu jest rozrzuconych po całym obozie. Urządzeń sanitarnych brak. Są doły kloaczne, w niektórych tylko wypadkach otoczone drewnianą poręczą, ale jest ich za mało. Zresztą większość mieszkańców, zagłodzonych, apatycznych i słabych, oddaje mocz i stolec tam, gdzie siedzą czy leżą, nawet w budach mieszkalnych. Brak wody i światła. Wodę przywożą nasze beczkowozy.

Obóz nr 2: Warunki w tym obozie są znacznie lepsze niż w obozie nr 1. Więźniowie mieszkają w murowanych budynkach. Każdy budynek ma 150 miejsc, a mieści faktycznie 600 mężczyzn. Chorych jest znacznie mniej; śmiertelność wynosi 10 zgonów dziennie. Mieszkańcy wydają się lepiej odziani i mniej wyniszczeni niż w obozie nr 1, jakkolwiek objawy wygłodzenia widać wszędzie. Zrobiono już wiele, aby pogrzebać zmarłych.

3. *Choroby panujące w obozie.* Obóz nr 1: Prawdopodobnie dur i gruźlica. Bardzo pospolite są zaburzenia żołądkowo-jelitowe, powszechna jest biegunka, prawdopodobnie dur brzuszny i pospolite nieżyty. Nie stwierdzono czerwonki. Są wypadki róży i gnilca. Poza tym zaburzenia głodowe.

4. *Liczby dotyczące chorób:* Obóz nr 1: Liczba ciężko chorych, wymagających leczenia szpitalnego (z wyłączeniem tych, którzy na pewno umrą): kobiet 2 600, mężczyzn 900. Obóz nr 2: mężczyzn 500. Razem 4 000. Liczba ta nie obejmuje chorych cierpiących tylko z powodu zagłodzenia.

5. *Personel lekarski i pielęgniarski w obozie:*

Personel:

	Pielęgniarki:	Lekarze:
w obozie nr 1	42	33
w obozie nr 2	7	50

Cała ta obsada, to więźniowie różnych narodowości pomagający w miarę zdolności fizycznych, pracujący resztkami sił. Wielu z nich spało razem z pozostałymi byłymi więźniami.

6. *Zapasy pomocy lekarskich* są minimalne, można je pominąć. Zapasy przyborów dostępne w obozie: brak potrzebnych przedmiotów, jak koce, nosze, odzienie, ręczniki, baseny, nocniki. Absolutnie nie wystarczająca liczba łóżek, przyborów do żywienia itp.

7. *Najpilniejsze prace do wykonania:* a) pogrzebać zmarłych; b) ewakuować wszystkich chorych z obozu nr 1 do odpowiednich, czystych budynków obozu nr 2; należy zorganizować sposób przyjmowania, odwszawiania i oczyszczania chorych przed wprowadzeniem do nowego budynku; c) ewakuować resztę więźniów z obozu nr 1 do obozu nr 2; d) opylić wszystkich w celach dezynsekcyjnych; e) zorganizować odpowiednie wyżywienie chorych; śmiertelność wzrosła, odkąd dostępne jest obfitsze wyżywienie; f) zebrać na sterty i spalić masy śmieci i odpadków, łachmanów i wydalin ludzkich, które zanieczyszczają obóz.

Wszystkie powyższe prace są już w toku. Wodę i elektryczność doprowadzono. Wyznaczono baraki na szpital, obecnie opróżnia i oczyszcza się je przed przyjęciem ciężko chorych z obozu nr 1. Cały szpital pomieści 6 700 chorych. Oznaczy się go i oddzieli jako teren zakaźny. Opylenie wszystkich więźniów posunęło się już wydatnie naprzód. Zorganizowano odpowiednie wyżywienie chorych. Powoli posuwa się grzebanie zmarłych we wspólnych dołach na południowym krańcu obozu.

(Podpis:) *J. A. D. Johnston, Lt. Col. R. A. M. C., O. C. 32 Brit. C. C. S.*"

Oprócz cytowanego maszynopisu, warto przytoczyć drugi dokument, sporządzony po angielsku w kwaterze głównej obozu w Belsen, 18 maja 1945 roku [7]:

„Uwagi o obozie w Belsen. Sądzimy, że ci z was, którzy nie byli tu w Belsen od początku, chętnie przeczytają te uwagi. Podajemy najdokładniejsze dane, jakie są dostępne. Bylibyśmy je spisali wcześniej, ale byliśmy wszyscy zajęci pierwszym, najważniejszym zadaniem oczyszczenia obozu koncentracyjnego. Zadanie to jest obecnie ukończone.

12 kwietnia 1945 roku szef sztabu armii niemieckiej zwrócił się do dowództwa ósmego korpusu brytyjskiego z prośbą, abyśmy przyszli i przejęli obóz. Zawiadomił, że w Belsen sytuacja jest straszna i że tyfus tam szaleje.

13 kwietnia 1945 roku spisano warunki specjalnego rozejmu (trzeba pamiętać, że dokoła Belsen rozgrywała się bitwa). Pod tymi warunkami Anglicy zgodzili się wejść do obozu i przejąć go. Personel obozowy *SS* musiał pozostać do całkowitej dyspozycji Bry-

[6] Tytuł oryginalnego tekstu angielskiego (maszynopis): *Medical appreciation Belsen concentration camp* (przyp. red.).

[7] Maszynopis powielony. Tytuł angielski: *Notes on Belsen camp* (przyp. red.).

tyjczyków. Węgrzy mieli pozostać uzbrojeni tak długo, dopóki będą potrzebni.

Pierwszy przybył prawdopodobnie dowódca brygady *Glyn Hughes*, zastępca szefa służby zdrowia drugiej armii. Pierwszą jednostką brytyjską była bateria przeciwczołgowa 63 pułku przeciwpancernego. Przybyli 15 kwietnia 1945 roku (...)

Obraz, jaki zastali pierwsi przybysze, urąga wszelkim opisom. W obozie było około 50 tysięcy więźniów, z których 10 tysięcy nie żyło. Zmarli leżeli w barakach lub na terenie obozu. Ci, którzy jeszcze żyli, nie mieli żywności ani wody od około tygodnia, po długim okresie wygłodzenia.

Między innymi chorobami szalał dur. Wszędzie był brud i zgnilizna, nawet powietrze było zatrute. Zadania, które oczekiwały pierwszych przybyszów, wydawały się nie do pokonania. Niemniej zostały wykonane z zadziwiająco dobrym wynikiem, gdy się weźmie pod uwagę dostępne środki.

Z przybyciem zespołu Brytyjskiego Czerwonego Krzyża (...) dnia 21 kwietnia 1945 roku zaczął się pierwszy dopływ posiłków i trwał dalej, dopóki nie staliśmy się tą wielką grupą, którą dziś znacie[8]. Pierwsze wielkie zadanie jest już za nami.

19 maja 1945 roku ostatnia osoba zostanie ewakuowana z obozu koncentracyjnego. Wszyscy jego mieszkańcy będą już wtedy przeniesieni do czterech szpitali i trzech obozów przejściowych w barakach wojskowych.

Ogółem ewakuowano z tego obozu 28 900 osób, z których 2 000 umarło już po opuszczeniu go.

Żołnierze brytyjscy nadzorowali grzebanie zmarłych przez esesmanów (...) Zmarłych było około 23 000, z czego 11 000, a może nawet więcej leżało nie pogrzebanych, gdy przybyliśmy tu 15 kwietnia 1945 roku.

Dzienna liczba zgonów była niebywale wysoka, ale teraz stale spada. 30 kwietnia zmarło 548 osób, 17 maja — 97.

Na pewno zauważyliście cudowną zmianę, jaka zachodzi u mieszkańców obozu po kilku dniach pobytu w szpitalu lub w obozach przejściowych.

500 ludzi zdolnych do pracy wyjechało do swoich krajów w Europie zachodniej 17 maja 1945 roku. Dalszych 7 000 wyjedzie między 21 a 23 maja, przeważnie do Europy wschodniej. Zostaną tu wtedy cztery szpitale, mieszczące około 13 000 ludzi oraz dwa obozy przejściowe (III i IV) z 6 400 ludźmi. Z biegiem czasu i oni wyjadą, gdy staną się zdolni do podróży.

Obecnie palimy obóz koncentracyjny. Mamy zamiar spalić uroczyście ostatni barak w dniu 21 maja 1945 roku o godzinie 6 wieczorem. To zakończy pierwszy rozdział obozu koncentracyjnego w Belsen od czasu przyjazdu Brytyjczyków. Drugi i ostatni rozdział będzie to doprowadzenie do zdrowia w szpitalach tysięcy chorych na duszy i ciele.

(Podpis:) *Colonel Commander 102 Control Section Second Army*".

Dokładnie w miesiąc po naszym przyjeździe wszyscy więźniowie zostali przeniesieni z tego obozu grozy, a wszystkie drewniane domki, z wyjątkiem jednego, zostały spalone. Mieliśmy wtedy w improwizowanym szpitalu barakowym 11 960 chorych.

W tym samym dniu, tj. 21 maja 1945 roku, ostatni drewniany domek-buda w Belsen został uroczyście spalony. Udekorowano go wielkim zdjęciem Hitlera. Następnie cztery czołgi-miotacze ognia zionęły płomieniami na ten ostatni barak obozowy. Celowano w twarz Hitlera i wydawało nam się, że dużo czasu upłynęło, zanim spłonął obraz sprawcy wszystkich opisanych nieszczęść.

Pozostały w Belsen masowe groby, oznaczone numerami na prostych, drewnianych tabliczkach. Na niektórych z nich ręka może ostatniego członka dużej rodziny położyła bukiecik kwiatków lub zieloną gałązkę. Poza tym w odległym kącie pozostało krematorium, a dokoła kilka wieżyczek strażniczych, górujących nad płaską, bezludną pustką.

[8] Do cytowanego tekstu dołączony jest szczegółowy wykaz organizacji pomocniczych (przyp. red.).

ZBIGNIEW WLAZŁOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Mauthausen—Gusen nr 49943

Gdynia

Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen[1]

Struktura i organizacja

Szpital w obozie koncentracyjnym Gusen, zwany rewirem, nie odbiegał w założeniu swoim i strukturze od wzorów pozostałych obozów III Rzeszy. Był jak gdyby obozem w obozie. Składał się z kompleksu baraków, stojących wprawdzie na terytorium obozu, ale ogrodzonych dodatkowo płotem z drutu. Wejście do szpitala było strzeżone przez odźwiernego, który wpuszczał do środka tylko personel „rewiru" i chorych wprowadzanych przez sanitariusza lub „kapo".

Chorzy „rewiru" i jego personel podlegali bezpośrednio niemieckiemu lekarzowi *SS*, tzw. *lagerarztowi*. Bez jego wiedzy nie mogło nic się dziać w „rewirze", nic nie mogło być przedsiębrane i zlecane. Nawet komendant obozu nie miał prawa wydawać zarządzeń dotyczących szpitala bez porozumienia się z nim. *Lagerarzt* miał do pomocy dwóch sanitariuszy, podoficerów *SS*, tzw. *blokführerów*.

Szpital miał osobną kancelarię, tzw. *szrajbsztubę*, w której prowadziło się ewidencję chorych i personelu oraz księgi zgonów. Stąd również wysyłano do rodzin zmarłych zawiadomienia o śmierci. Na polecenie lekarza *SS* jako przyczynę śmierci więźniów zabijanych w masowych akcjach podawano zawał serca, zapalenie płuc lub nieszczęśliwy wypadek przy pracy.

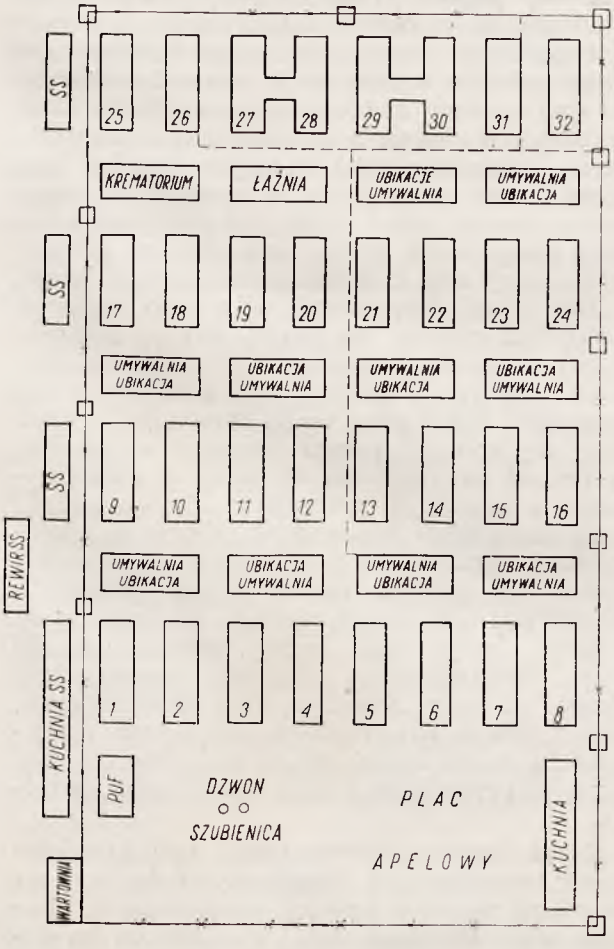
W „rewirze" były prowadzone osobne apele (liczenie więźniów), wykonywane najpierw przez pisarzy szpitala, a następnie przez *blokführerów*. Wyniki podawano na apelu ogólnym całego obozu.

[1] Fragmenty większej nie publikowanej pracy pt. *Morituri* (Obóz koncentracyjny Mauthausen — Gusen 1940—1945).

Wyżywienie dla chorych, aczkolwiek brane z kuchni obozowej, było nieco inne niż dla więźniów spoza szpitala. Oprócz zupy, którą otrzymywali wszyscy, chorzy dostawali nieduża ilość białego chleba i trochę „dietetycznej" mącznej zupy lub rozgotowanej kaszy. Miało to przede wszystkim znaczenie propagandowe wobec przyprowadzanych niekiedy komisji Czerwonego Krzyża.

Najwyższą władzą w hierarchii więźniów był „kapo rewiru", pełniący jak gdyby funkcję dyrektora szpitala. Podlegał on tylko *lagerarztowi*. Był panem życia i śmierci personelu i chorych. Od niego zależni byli blokowi poszczególnych bloków szpitalnych. Blokowi mieli do pomocy dwóch „sztubowych", którzy zarządzali połową bloku, pilnowali, żeby było czysto, i rozdzielali żywność. Wyręczali się oni *sztubendienstami* i *rajnigerami*. Pierwsi zajmowali się wydawaniem posiłków, podziałem chleba i dodatków: margaryny, kiełbasy lub sera, drudzy zaś szorowali dwa razy dziennie podłogi bloku, sprzątali sale chorych, pomieszczenia „kapo" i blokowych, przynosili z kuchni kotły z jedzeniem.

W każdym bloku był zatrudniony fryzjer, którego obowiązkiem było strzyc i golić blokowego i „sztubowych" oraz chorych. Wszyscy chorzy i personel, podobnie jak reszta więźniów obozu, nosili nisko strzyżone włosy z wygoloną przez środek głowy ścieżką szerokości 3 cm.



Ryc. 1. Plan obozu koncentracyjnego Gusen I (1942 r.)

Zaopatrzeniem szpitala zajmował się główny żywnościowy, który przywoził chleb z magazynu oraz uzgadniał z kuchnią ilość i rodzaj diet i dodatków żywnościowych.

Fachowy personel „rewiru" stanowili więźniowie: lekarze, sanitariusze, dentyści i technicy dentystyczni, laboranci i aptekarze. Przełożonym personelu sanitarnego był lekarz naczelny, który podlegał *lagerarztowi* oraz „kapo".

Grupa ta, składająca się z fachowców, ukształtowała się dopiero z początkiem 1942 r. W początkowym okresie istnienia obozu „rewir" zajmował tylko jeden blok i był właściwie izbą chorych. W tym czasie funkcję lekarzy pełnili „kapo" i „sztubowi", nie mający nic wspólnego z medycyną. Stawiali oni diagnozy, wykonywali opatrunki i operacje oraz przydzielali lekarstwa. Kilku zatrudnionych w „rewirze" medyków i lekarzy pełniło funkcję posługaczy i sanitariuszy. Nie ujawniali oni swego zawodu, gdyż zatrudnianie lekarzy było zakazane. Szpital był ośrodkiem segregacji i niszczenia więźniów.

Sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero w r. 1942, gdy ze względu na rozbudowujący się w Gusen przemysł zbrojeniowy zaczęto się liczyć z fachowcami — pracownikami fabryk broni i rakiet V-1, a w „rewirze" zaczęto zatrudniać lekarzy i studentów medycyny. W tym czasie naczelnym lekarzem został chirurg, a kierownikami poszczególnych oddziałów lekarze specjaliści.

Paleniem zwłok zmarłych w szpitalu zajmowało się komando liczące kilkunastu więźniów. Grupa tych ludzi nie podlegała władzom rewiru.

*

W latach 1940—1941 szpital znajdował się w bloku 24, który nie różnił się od innych baraków. Składał się z dwóch dużych izb, mogących pomieścić około 300 chorych. Leżeli oni pokotem na siennikach ułożonych na podłodze. W izbie B było oszalowane pomieszczenie, zwane popularnie *himmelkommandem*, gdzie dogorywali najbardziej wycieńczeni chorzy. Nie udzielano im żadnej pomocy ani nie podawano pożywienia. Pozostawieni własnemu losowi umierali we własnych wydalinach.

Po jednej stronie bloku leżeli chorzy cierpiący na krwawe biegunki, po drugiej chorzy z obrzękami głodowymi, flegmonami i czyrakami. Między obu izbami była tzw. *sztubówka*, gdzie wykonywano opatrunki i gdzie mieszkali „kapo" i jego pomocnicy.

W lipcu 1940 roku rewir poszerzono o dalsze dwa baraki, oznaczone numerami 29 i 30. W bloku pierwszym urządzono chirurgię, izbę przyjęć i ambulatorium, w drugim — internę. Blok 24 został blokiem biegunek. Blok 27 był przeznaczony na składanie zwłok.

Izba przyjęć, ambulatorium chirurgiczne, punkt apteczny, prymitywna fizykoterapia i laboratorium znajdowały się w „sztubie" A bloku 29. Na wyposażenie ambulatorium składały się: polowy stół opatrunkowy, szafa z niedużą liczbą narzędzi chirurgicznych i dentys-

tycznych. Fizykoterapia dysponowała lampą kwarcową, solluxem i tzw. *lichtkastą,* a laboratorium mikroskopem i najważniejszymi odczynnikami.

*

Nowa reorganizacja szpitala nastąpiła w końcu 1941 r., kiedy obóz ostatecznie się uformował i liczył około 20 tysięcy ludzi, stłoczonych w 32 barakach. Przeznaczono wtedy na szpital baraki 27—32. Otoczono je drutem, a przed wejściem do „rewiru" wybetonowano przestrzeń odpowiadającą połowie baraku i założono krany z bieżącą zimną wodą. Była to osławiona „łaźnia", gdzie odbywały się kąpiele zabijające lodowatą wodą tzw. inwalidów.

Blok 27 był teraz blokiem chirurgicznym. W jednej połowie leżeli na żelaznych łóżkach pokrytych pościelą chorzy pourazowi, druga była przeznaczona dla chorych po operacjach. W środku znajdowało się nieduże pomieszczenie dla sanitariuszy.

W bloku 28 mieściła się duża izba przeznaczona na anatomię patologiczną i muzeum preparatów anatomicznych. Przylegały do niej dwa pomieszczenia: gabinet i protezownia dentystyczna oraz izba z maleńką ciemnią, tzw. laboratorium analiz lekarskich. Był tu rentgen i fizykoterapia. Inne pomieszczenia tego bloku — to łazienka z bieżącą zimną i ciepłą wodą, sala przedoperacyjna, sala operacyjna z dużymi oknami i lampą bezcieniową oraz autoklawem i wyposażeniem do operacji, dwa pokoje apteki, *szrajbsztuba* i mieszkanie „kapo", „sztubowego" i jego zastępcy.

Bloki 27 i 28 były połączone w środkowej części rodzajem szerokiego korytarza, gdzie przyjmowano chorych. W pomieszczeniu tym wykonywano kilkakrotnie masowe „szprycowanie" więźniów.

W bloku 29 znajdowali się chorzy internistycznie z wyłączeniem chorych na biegunkę. Jedna połowa przeznaczona była na przypadki chorób płuc, druga na pozostałe. Pomiędzy salami chorych była *sztubówka,* gdzie dzielono pożywienie oraz stały piętrowe łóżka personelu szpitalnego.

W bloku 27 i w bloku 28 chorzy leżeli pojedynczo na żelaznych łóżkach, zasłanych czystą pościelą. Bloki te łącznie z opisanymi gabinetami i salą operacyjną były reprezentacyjną częścią szpitala, pokazywaną rzadko odwiedzającym obóz komisjom sanitarnym i przedstawicielom Czerwonego Krzyża.

Następne w kolejności bloki 30 i 31 były przeznaczone dla chorych z flegmonami oraz biegunkami. Stały tutaj 3-piętrowe drewniane łóżka bez pościeli, z cienkimi brudnymi siennikami i podartymi cuchnącymi kocami. Chorzy leżeli tu po dwóch i trzech na jednym łóżku. Pomiędzy salami chorych, podobnie jak w innych blokach, znajdowało się pomieszczenie dla personelu oraz dwa ustępy spłukiwane wodą bieżącą.

Blok 32, choć leżał w obrębie zabudowań szpitalnych, nie podlegał administracji „rewiru". Był to blok inwalidów, w którym likwidowano głodem lub gazem całe grupy wynędzniałych ludzi, tzw. muzułmanów. Tutaj też gromadzono przeznaczonych do transportu.

Od października 1941 do marca 1942 roku prócz tego czynny był w bloku 16 tzw. *Russenrevier,* czyli szpital jeńców radzieckich. W czasie likwidacji szpitala 40 chorych zamordowano przez wstrzyknięcie wody utlenionej lub benzyny w okolicę serca, 164 zagazowano w bloku 16. Lekarzy i personel zwolniono lub przesłano do innych obozów.

W maju 1944 roku, gdy w pobliżu obozu macierzystego wybudowano drugi obóz, zwany Gusen II, przeznaczono w nim jeden blok na rewir, do którego delegowano z głównego szpitala dwóch studentów medycyny, sanitariuszy, którzy pełnili tam funkcję lekarzy. Warunki i stosunki tam panujące nie były lepsze niż w Gusen I w czasie jego budowy.

Lagerarzt, który był zwierzchnikiem tego „rewiru", miał także pod swoją opieką szpital esesmański, tzw. *SS-Revier,* znajdujący się poza murami obozu w pobliżu *jourhausu* i bramy wejściowej. Jego personel składał się z dwóch *rajnigerów,* masażysty i „kapo", który pełnił również obowiązki pisarza. Analizy lekarskie wykonywał codziennie więzień laborant, który przychodził z „rewiru" obozowego i zabierał materiał do zleconego badania.

Przyjmowanie chorych

Chory, chcąc dostać się do „rewiru", musiał się poddać czterokrotnej kwalifikacji. Pierwszy, który decydował, czy więźnia w ogóle dopuścić do lekarza, był pisarz blokowy. Od niego zależało umieszczenie nazwiska chorego na sporządzonej każdego wieczora liście. Mógł on odmówić zapisania nawet bez podania przyczyny. Drugim z kolei selekcjonerem był blokowy, który kandydatów na chorych wywoływał na środek sali i każdego wypytywał o rodzaj dolegliwości. Błahe jego zdaniem dolegliwości leczył sam kilkoma uderzeniami w twarz.

Tak wyselekcjonowani w sposób wstępny kandydaci musieli się umyć, ostrzyc i ogolić. Nazajutrz po wyjściu wszystkich do pracy ustawiano chorych z każdego bloku osobno, a ich przeglądu dokonywał teraz komendant obozu. Przy tej kontroli znowu odpadało wielu. Natychmiast ich odsyłano do pracy w kamieniołomie, z której już przeważnie nie wracali.

Po przeglądzie komendanta chorzy w towarzystwie sanitariuszy przechodzili do „rewiru". Przed izbą przyjęć jeszcze jednego przeglądu dokonywał sam „kapo rewiru". Niezależnie od pogody i pory roku chorzy rozbierali się do naga. Niedostateczna czystość doprowadzała „kapo" do szału. Krzyczał, bił i kopał chorych, często zabijał drewniakiem lub innym przedmiotem, kazał kąpać się nieszczęśliwcom pod zimnym prysznicem i szorować ryżową szczotką.

Teraz dopiero chorzy mogli być przedstawieni lekarzowi *SS.* Rozebranych do naga ustawiano w izbie przyjęć w dwuszereg. Lekarz przez tłumaczy pytał chorych, co im dolega, czasem przyłożył do piersi słuchawkę

i decydował, czy mają pozostać w „rewirze", na jakim ewentualnie oddziale, czy też mają być leczeni ambulatoryjnie.

Przyjętych do szpitala zapisywano, kąpano, ubierano w bieliznę szpitalną i kierowano do odpowiednich bloków. Chorych nie zakwalifikowanych do leczenia odsyłano do bloku inwalidzkiego, gdzie czekali na śmierć, transport do innego obozu lub powołanie do pracy w którymś z *komand*. Więźniów z ropiejącymi flegmonami, mniejszymi zranieniami i stanami podgorączkowymi przeznaczano do leczenia ambulatoryjnego, dając na kilka dni zwolnienie z pracy z prawem mieszkania we własnym bloku.

Schorzenia leczone w szpitalu

Choroby więźniów najczęściej były związane z głodzeniem, nadmierną pracą i maltretowaniem oraz antysanitarnymi warunkami bytu. Uwięzieni, nie licząc niedużej grupy „kapów" i prominentów, już po kilku tygodniach pobytu w obozie upodabniali się do chodzących kościotrupów. Dostawali obrzęków głodowych i krwawych biegunek, czemu sprzyjała nadmiernie wyczerpująca praca przy wyżywieniu składającym się z pół litra zupy z pokrzyw, szpinaku lub brukwi, 250 g czarnego chleba i plasterka kiełbasy lub łyżeczki sera. Zgrubiałe do monstrualnych rozmiarów kończyny dolne i workowato powiększone moszny z zaczerwienioną i napiętą skórą ulegały zakażeniu; tworzyły się łatwo ropowice. Szerzący się nagminnie świerzb i plaga pcheł wywoływały czyraczność całego ciała oraz obrzęki stawów i kończyn.

Wraz z wyniszczeniem fizycznym występowały również zaburzenia psychiczne: apatia, brak reakcji na bodźce zewnętrzne i skłonności do konfabulacji.

Najwięcej chorych dostarczały kamieniołomy, a poważnie przyczyniali się do zwiększania ich liczby „kapowie" i ich pomocnicy. Codziennie było kilkadziesiąt przypadków połamanych rąk, nóg, porozbijanych głów, zranień i ogólnych potłuczeń w czasie bicia.

Inną grupę stanowili więźniowie z zapaleniem płuc i opłucnej, zapaleniami migdałków i gardła oraz gruźlicą. Chorzy-gruźlicy byli likwidowani, szczególnie w roku 1940 i 1941, przez topienie w beczce z wodą, zabijanie twardym narzędziem, głodzenie, szprycowanie i gazowanie. Od końca r. 1942 przeznaczano ich do doświadczeń z nowym preparatem 101, częściowo wywożono do Hartheim lub innych obozów, gdzie ich masowo mordowano.

Nieduży procent chorych cierpiał na serce. Ludzie z nadwerężonym układem krążenia umierali w czasie przesłuchań, z powodu trudów transportu lub nadmiernego wysiłku podczas pracy.

Dieta, często głodowa, nie sprzyjała tworzeniu się wrzodów żołądka i dwunastnicy. Przypadków tej choroby u zwykłych więźniów było zastanawiająco mało; więcej u dobrze odżywionych prominentów. Nieco liczniejsze były choroby wątroby i układu żółciowego, a nowotwory zdarzały się tylko sporadycznie.

W r. 1942 wybuchła w obozie epidemia duru wysypkowego i brzusznego. Chorowali i umierali nie tylko więźniowie, ale również esesmani. Największe natężenie choroby było w szpitalu jeńców radzieckich. Chorzy zalegali nie tylko sale szpitalne, ale i bloki obozowe. Kwarantanna, dezynfekcja i odwszawianie obozu niewiele pomagały. Pomór zaczął się przenosić poza obóz. W czasie zakrojonej na wielką skalę akcji dezynfekcyjnej, tzw. *Entlausung*, wraz z wszami i insektami zagazowano cyklonem również wszystkich chorych na tyfus, zgromadzonych w 32 bloku inwalidzkim oraz w 16 bloku — „rewirze" jeńców radzieckich. Ocalała jedynie niewielka liczba chorych uratowanych przez personel „rewiru". Chorzy ci zostali przechowani w innych blokach z rozpoznaniem choroby niezakaźnej lub wyniesieni w ostatniej chwili z bloku przeznaczonego do zagazowania.

Dzień pracy w szpitalu

Życie w „rewirze", podobnie jak w całym obozie, rozpoczynał dzwonek o godzinie 5. Ci chorzy, którzy mogli wstawać, poruszali słomę w siennikach, poprawiali łóżka i wychodzili myć się pod kranami znajdującymi się na zewnątrz bloków. W tym czasie sanitariusze oporządzali ciężko chorych i szorowali podłogi w salach.

W blokach, gdzie leżeli chorzy na biegunki, sanitariusze musieli umyć zawalanych ekskrementami i zmienić zanieczyszczone sienniki i koce. W pierwszym okresie istnienia rewiru czynności te wykonywano w ten sposób, że spędzano z barłogów ludzi mogących się ruszać, polecano zabierać ze sobą słabszych kolegów i zgromadzonych przed blokiem polewano zimną wodą z węża. Przy tej rannej „toalecie" trupy padały gęsto. Reszta wlokła się z powrotem do swych legowisk.

Około godziny 6 rozdawano śniadanie, składające się z pół litra kawy lub mącznej zupy, tzw. *sonderkostu*. Pisarze szpitalni tymczasem obchodzili poszczególne sale sprawdzając stan chorych, notując liczby zmarłych. O godz. 6^{30} odbywał się apel. *Blokführer*, „kapo" i główny pisarz przechodzili przez salę i liczyli leżących, którzy musieli mieć ręce wyciągnięte wzdłuż ciała. Personel stał w dwuszeregu na baczność.

Po apelu lekarze zaczynali badanie chorych, zakładanie gipsów i wykonywanie poważniejszych zabiegów. Sanitariusze rozdzielali lekarstwa, robili opatrunki i spełniali różne czynności sanitarne. Do opatrunków były używane bandaże i opaski papierowe, wyjątkowo muślinowe. W różnego rodzaju maści i medykamenty ambulatorium było wyposażone w dostateczny sposób.

Lekarz *SS* po rannych przyjęciach chorych szedł do sali operacyjnej, gdzie razem z lekarzami- więźniami wykonywał zabiegi lub uda-

wał się do bloków szpitalnych dokonywać przeglądów i decydować o losie chorych.

W laboratorium, aptece i gabinetach dentystycznych praca się zaczynała o 7 rano. Od 7 do 8 wykonywano zdjęcia rentgenowskie i badania przewodów pokarmowych, a po przerwie obiadowej, która trwała godzinę (12—13), prześwietlano klatki piersiowe i badano rentgenem chorych leżących na oddziałach. Potem laboratorium przekształcało się w fizykoterapię. Robiono użytek z diatermii, sztucznego słońca, skrzyni cieplnych i kwarcówki, stosując je chorym szpitalnym oraz ambulatoryjnym zgłaszającym się po południu czy po apelu wieczornym.

Po obiedzie, na który chorzy otrzymywali 1/3 litra zupy, w izbach szpitalnych wykonywano podobne czynności jak przed południem. O godzinie 17, w lecie o 18, odbywał się apel, po którym rozdzielano kolację (1/3 kg chleba, odrobinę sera lub marmolady czy margaryny oraz cienki plasterek kiełbasy, pół litra czarnej, gorzkiej kawy; chorzy z biegunkami tyle samo mącznej zupy).

O godzinie 20 w całym szpitalu obowiązywała bezwzględna cisza.

Lekarze *SS* i kapowie

W czasie istnienia szpitala obozowego w Gusen obowiązki lekarzy obozowych, *lagerarztów* pełniło kilkunastu oficerów *SS*. Niektórzy byli szefami „rewiru" kilka tygodni, inni kilka miesięcy i dłużej. Wszyscy zapisywali się w historii szpitala w charakterystyczny sposób. Jedni dali się poznać jako potwory ludzkie, inni przejawiali ludzkie uczucia. Podlegali oni bezpośrednio naczelnym lekarzom głównego obozu Mauthausen i wypełniali ich rozkazy. Sposób jednak interpretowania i wykonywania poleceń przełożonych był u każdego z nich bardzo różny.

Założycielem szpitala w Gusen był naczelny lekarz obozu Mauthausen, *SS-Standortarzt* dr *Krüger*. Przyjeżdżał do nowego pododdziału tylko dorywczo, a cały ciężar leczenia złożył na kapo *Franza Sacha* i blokowego *Heinricha Rotha*. On pierwszy rozkazał zamordować zastrzykami fenolu 12 chorych więźniów. Egzekucji dokonali *Sach* i *Roth*.

Po odejściu *Krügera* i następnego *lagerarzta*, dr *Schildbacha*, nałogowego pijaka i awanturnika, specjalizującego się w operowaniu przepuklin, stanowisko naczelnego lekarza objął dr *Krebsbach*, który będąc już do końca kierownikiem szpitala w Mauthausen, pośrednio wpływał na zarządzenia w „rewirze" w Gusen. Jego dziełem były wszystkie akcje masowego uśmiercania w obu obozach, on zarządził wybór 2 000 więźniów i wywiezienie ich do Hartheim, gdzie stracili życie przy zastosowaniu jego metody, tzw. akcji H 13. Każde jego pojawienie się w Gusen było zapowiedzią masowego gazowania chorych lub wysyłki transportu inwalidów na śmierć.

Pierwszym lekarzem urzędującym samodzielnie w Gusen, ale podległym drowi *Krebsbachowi* był *Hauptsturmführer Ramsauer*. Syn austriackiego sędziego najwyższego wsławił się tym, że kazał zabijać więźniów, którzy mieli specjalne tatuaże skóry i wykonywać z niej po odpowiednim spreparowaniu i wygarbowaniu torebki, oprawy do książek, abażury do lamp itp. Przeprowadzał również eksperymenty lekarskie, do których wybierał także ludzi zdrowych.

Podobne zabiegi wykonywał też jego następca, dr *Herschel* z Wiednia, interesujący się ginekologią, choć podawał się za specjalistę chorób serca.

Trzecim z kolei eksperymentatorem-pseudonaukowcem był dr *Richter*. Zasłynął jako „specjalista od łączenia jelita cienkiego z grubą kiszką". Operował całkiem zdrowych ludzi. Po jego zabiegach ludzie ginęli lub stawali się inwalidami, których zabijano po pierwszych selekcjach. Lubił fotografować poszczególne fazy operacji.

Bardzo złą opinię mieli również dr *Jung* oraz dentysta dr *von dem Hoff*, ale najgorszy ze wszystkich był *SS-Hauptsturmführer Kiesewetter*, średnio wysoki, szczupły blondyn, lat około 28. Nosił cwikiery i miał charakterystyczny krzykliwy głos. Był lekarzem obozowym w Gusen w r. 1942. Za jego kadencji odbyła się większość masowych mordów w obozie i w szpitalu. Przymykał oczy na nieprawości dziejące się wokół, podjudzał „kapów rewiru", *Rotha, Sacha i Kasandrę* do mordów i zalecał im masowe likwidacje chorych. Nienawidził więźniów, a szczególnie Polaków, uważając ich za zbrodniarzy i wrogów III Rzeszy. Zwykle pijany wpadał niespodziewanie do obozu, wybierał po drodze przypadkowo spotkanych więźniów, zabierał ze sobą do „rewiru", by wykonać na nich jakieś operacje. Zwykle zabiegu nie kończył i pozostawiał ofiarę w narkozie z otwartą jamą brzuszną i porozciąganymi jelitami. Po pijanemu również przyjmował chorych do „rewiru", kwalifikował do „zaszprycowania" lub przeznaczał do bloku inwalidów i wysyłki do Hartheim, gdzie były komory gazowe i instytut doświadczalny. Za jego wiedzą i pod jego kierunkiem otruto cyjanem 70 chorych w bloku 26, wykonano dezynfekcję obozu w czasie epidemii duru, zagazowano chorych tyfusowych w bloku 16 i 32 oraz przeprowadzano zgubne dla więźniów kąpiele.

Następcy *Kiesewettera*, dr *Schildbach* i dr *Haas*, nie wsławili się jakimiś specjalnymi wyczynami. W r. 1943, w okresie urzędowania *SS-Hauptsturmführera* dra *Bominchena*, zaprzestano masowej likwidacji gruźlików. Chorych prątkujących zebrano w lewym skrzydle bloku 29 i zaczęto przeprowadzać na nich doświadczenia z preparatem nr 101. Były to małe czerwone granulki, które podawano chorym trzy razy dziennie po łyżce stołowej. Po kilku dniach tego leczenia pojawiały się mdłości, wymioty i bóle głowy.

Przez trzy miesiące w r. 1944 pełnił obowiązki *Lagerarzta* oficer *Wehrmachtu, Hauptmann* dr *Adolf*. Jako lekarz brał udział w bitwie pod

Stalingradem, skąd się wydostał dzięki temu, że odniósł ranę i zabrany został do szpitala. Po wyleczeniu się otrzymał na okres rekonwalescencji stanowisko lekarza obozowego w Gusen.

W czasie jego kadencji nie było w szpitalu morderstw. Zabronił on likwidacji chorych, „szprycowań", gazowania. Nie zgadzał się na wysyłki inwalidów poza obóz. Wystarał się w kuchni o większy przydział jedzenia dla chorych i o dodatki dla rekonwalescentów. Każdą wolną chwilę spędzał w szpitalu, gdzie zaprzyjaźnił się z lekarzami i personelem „rewiwiru". Często w laboratorium opowiadał o okropnościach wojny i własnych przeżyciach. Rysował sytuację wojsk niemieckich i przepowiadał rychły upadek hitleryzmu. Więźniów podtrzymywał na duchu, pocieszał i obiecywał pomoc. Często gwałtownie się sprzeczał z komendantem obozu lub esesmanami, przeciwstawiając się bezprawiu dziejącemu się w obozie, segregacjom i maltretowaniu więźniów. Nic dziwnego, że po paru miesiącach wysłano dra *Adolfa* na front jako nie nadającego się na stanowisko *lagerarzta*.

Po jego odejściu *SS-Hauptsturmführer Vether* zaprowadził na nowo porządki panujące w pierwszych latach istnienia szpitala. Był wrogiem więźniów i szkodził im na każdym kroku. Do personelu odnosił się niechętnie, podkreślając na każdym kroku swą wyższość. Wyjechał on z Gusen wraz z opuszczającymi obóz esesmanami na kilkanaście dni przed wyzwoleniem.

Pierwszym „kapo rewiru" był *Franz Sach*, który miał do pomocy blokowego *Heinricha Rotha* i „sztubowego" *Karla Kofferbecka*. Ta dobrana trójka przestępców i morderców rządziła w „rewirze", wykonywała czynności lekarskie i była postrachem nie tylko chorych, ale i pozostałych więźniów. Przed wojną ci osobnicy odsiadywali długoletnie kary więzienia za napady, zbrodnie pospolite i nadużycia, a tutaj, gdy dano im nieograniczoną władzę i zachęcano do likwidowania zgromadzonych w obozie „przestępców" politycznych, którzy spowodowali wojnę i mordowali bezbronnych Niemców, dali ujście swym instynktom i wykazali wielkie umiejętności w zabijaniu.

W swoim procederze posługiwali się różnymi sposobami w zależności od humoru, okoliczności, ilości przeznaczonych na śmierć ludzi. Przeważnie bili ich stołkami lub drewnianym chodakiem po głowie, dusili, topili w wiadrze lub w beczce z wodą, a cierpiących na krwawe biegunki głodzili na śmierć pod pozorem stosowania diety, polewali często zimną wodą dla zmycia z nich kału. O skuteczności zabiegów lekarskich, które niekiedy starali się stosować, nie ma co wspominać. Nocami w ich pomieszczeniach odbywały się orgie pijackie, na których *Sach* popisywał się swymi wyczynami homoseksualnymi.

Pewnego razu wrzaski ucztujących dotarły aż do baraków esesmańskich i wyprowadziły z równowagi mocodawców *Sacha*. Zwolniono go ze stanowiska „kapo rewiru" i posłano do karnej kompanii. Po kilku miesiącach, gdy zaczęto organizować obóz jeńców radzieckich, powołano znowu *Sacha* na „kapo" tamtejszego „rewiru". Postępował tam podobnie jak na poprzednim stanowisku. Osobiście brał udział w „szprycowaniu" chorych i zagazowaniu wszystkich podopiecznych w bloku 16. Skazany przez organizację obozową na śmierć, umarł w roku 1943 oficjalnie na gruźlicę.

Następcą *Sacha* był *Roth*. Wyczynami swymi i postępowaniem przewyższył swego poprzednika i zapisał się w historii obozu i w pamięci więźniów jako czerwony upiór „rewiru". Indywiduum to, o mordzie mopsa, wyłupiastych bladoniebieskich oczach, dotknięte ostatnim stadium kiły, wyżywało się w wymyślaniu i stosowaniu coraz to nowych metod zabijania. Wybuchy jego gniewu graniczyły z obłędem. Mordował w okrutny sposób po kilka i kilkanaście osób dziennie. Nie było człowieka spośród personelu, a nawet jego kolegów, który by się go panicznie nie bał i odważył oponować. Rządził „rewirem" kilka miesięcy. W styczniu 1942 roku lekarz *SS*, którego ostrzeżono, że *Roth* w przystępie szału może się rzucić na niego, zabił go wstrzykując mu do żyły cyjan.

Stanowisko „kapo rewiru" objął teraz *volksdeutsch* z Poznańskiego, przed wojną sanitariusz w szpitalu w Jarocinie, *Józef Bobrowski*, zwany w obozie *Kasandrą*. W szpitalu obozowym zaczął karierę jako *rajniger*, a później sanitariusz. W pierwszym okresie swej władzy był spokojny i koleżeński. Słuchał rad i wskazówek dra *Gościńskiego*, który w Jarocinie jako dyrektor szpitala był kiedyś jego przełożonym. W obozie role się zmieniły i *Kasandra* stał się przełożonym nie tylko naczelnego lekarza, ale całego personelu.

Po pewnym czasie nieograniczona władza, schlebianie kolegów i strach przed utratą stanowiska skłoniły go do zmiany postępowania. Upodobnił się do swoich poprzedników. Pomimo sprzeciwów dra *Gościńskiego* zaczął wykonywać zabiegi, stawiać diagnozy, przepisywać leczenie, a nawet wybierać do likwidacji nie nadających się jego zdaniem do wyleczenia chorych. Brał udział w „szprycowaniu" skazanych na śmierć i w zagazowaniu 70 chorych w bloku 27. Nie reagował na ostrzeżenia lekarzy i kolegów, zaczął ich uważać za swych wrogów i mścić się na nich na każdym kroku. W końcu zaczął się odgrażać, że wyjawi esesmanom istnienie tajnej organizacji, gdyż nie chce za nikogo odpowiadać głową.

Musiał umrzeć, gdyż nie tylko splamił honor więźnia politycznego i zawiódł nadzieje, ale stał się niebezpieczny dla sprawy. Do władz obozowych dotarła wiadomość, że *Kasandra* handluje narkotykami i alkoholem kradzionym w szpitalu, wymieniając je na papierosy i złoto. Ambitny *Kasandra* w obawie przed przesłuchaniem, perspektywą utraty stanowiska i widmem karnej kompanii i kamieniołomu popełnił samobójstwo wypijając cyjan.

Ostatnim „kapo rewiru" był *Emil Zommer*, Niemiec sudecki, czujący się właściwie Czechem i doskonale władający tym językiem.

Aresztowany za przynależność do organizacji komunistycznej przechodził w obozie różne koleje losu. Na stanowisku „kapo rewiru" był koleżeński, sumienny i przeciwstawiał się okrucieństwom na terenie szpitala i obozu. Był członkiem grupy oporu, działał w sekcji współpracy z więźniami czeskimi i niemieckimi.

Personel sanitarny

Niewątpliwie najbardziej interesującą i najbardziej charakterystyczną osobą spośród personelu sanitarnego był naczelny lekarz „rewiru", chirurg, dr med. *Antoni Gościński,* zwany przez wszystkich *Toni.* Do „rewiru" dostał się on przypadkiem, gdy pobity i zrozpaczony, z połamaną prawą ręką szedł na druty, by rozstać się z życiem. Spotkał go kolega pracujący w szpitalu, zaprowadził do ambulatorium, zaopatrzył złamanie, nakarmił i wystarał o przyjęcie w stan chorych. Po wyleczeniu *Toni* został najpierw nieoficjalnie doradcą „kapo" i lekarza *SS,* a następnie mianowany naczelnym lekarzem i chirurgiem szpitala.

Na stanowisku tym zapisał się złotymi zgłoskami w historii obozu i pamięci licznych więźniów, którym uratował życie oraz pomagał w przetrwaniu najgorszego okresu życia w niewoli. Wyrobiwszy sobie szacunek i zaufanie u personelu i lekarzy *SS,* wpływał na nich i hamował ich zbrodnicze zarządzenia. Był jednym z głównych organizatorów ruchu oporu.

Inną interesującą indywidualnością był dr med. *Feliks Kamiński,* wykładowca anatomii opisowej i patologicznej w Poznaniu. Po przejściu piekła karnej kompanii i pracy w kamieniołomach dostał się on do szpitala z początkiem r. 1942. Zlecono mu objęcie kierownictwa działu anatomii patologicznej i stworzenie muzeum preparatów anatomicznych.

Wykonywał on sekcje chorych zmarłych w szpitalu i przygotowywał preparaty, które częściowo wywożono do naukowych ośrodków medycznych III Rzeszy. Dr *Kamiński* miał do pomocy studenta medycyny z Krakowa *Stefana Malosta,* który był specjalistą w wykonywaniu preparatów histopatologicznych, oraz *Edmunda Wierzchowskiego,* z zawodu prokuratora, i *Piotra Pawłowskiego,* mgra farmacji. Wykonywali oni prace porządkowe.

Tak dr *Kamiński,* jak i jego pracownicy należeli do ruchu oporu, a sala szpitalna, w której wykonywano sekcje, była często miejscem spotkań i omawiania ważnych problemów obozowych.

W wolnych chwilach dr *Kamiński* zajmował się muzyką i malarstwem. Był w kontakcie z wieloma więźniami, którzy piastowali różne stanowiska w obozie, a specjalnie się opiekował muzykami, malarzami i naukowcami. Wiele pomagał i dużo osób zawdzięcza mu życie.

W historii „rewiru" mają też poczesne miejsce dwaj specjaliści interniści, dr *Józef Markiewicz* i dr *Adam Konieczny.* Dali się poznać jako doskonali lekarze, odważni bojownicy i dobrzy koledzy. Codziennie narażali swe życie ratując chorych, prowadząc podwójną dokumentację chorób i leczenie niezgodne z życzeniem lekarzy *SS.* Przez chorych kochani, szanowani przez kolegów, byli jednymi z inicjatorów i najczynniejszych członków ruchu oporu. Dr *Adam Konieczny* w dniu 24 kwietnia 1945 roku załamał się psychicznie, nie wytrzymując już w przededniu wyzwolenia nerwowego napięcia obozowego życia. Zginął tragicznie po zażyciu nadmiernej dawki narkotyku. Śmierć jego była wielkim wstrząsem dla przyjaciół i kolegów, a pożegnanie jego prochów stało się cichą manifestacją solidarności obozowej. Dr *Markiewicz* został przeniesiony do innego obozu.

Student medycyny z Poznania *Mieczysław Lisiecki* i maturzysta ze Śląska *Józef Sabuda* pełnili obowiązki sanitariuszy i lekarzy pod kierownictwem doktorów *Markiewicza* i *Koniecznego.* Wyrobili się oni znacznie, a fachowe wiadomości zdobywali i uzupełniali, podobnie jak pozostali medycy i sanitariusze, na tajnych kompletach prowadzonych przez specjalistów. Byli oni informowani o sposobie leczenia i postępowania z pewnymi grupami chorych i ściśle wykonywali polecenia swych kolegów lekarzy.

Lekarze *Czesław Budny, Kazimierz Miłoszewski, Jan Krakowski, Leon Królak* oraz inni pracownicy bloków 30 i 31 dokazywali cudów dzielności i pomysłowości w ratowaniu chorych i leczeniu prymitywnymi sposobami ciężkich przypadków chorobowych. Wszyscy byli podporządkowani zleceniom działającej w „rewirze" organizacji i wszyscy spełnili pokładane w nich nadzieje, przyczyniając się do ulżenia doli obozowych kolegów i ratowania ich zdrowia i życia.

Marian Filipiak, student medycyny z Poznania, był jedną z najbardziej szanowanych i cenionych postaci w obozie. Najpierw pracował na oddziale wewnętrznym, a później w bloku operacyjnym jako główny pomocnik *Toniego, Podlachy* lub któregoś z lekarzy *SS.* Był sercem i duszą organizacji w szpitalu i często narażał swe życie dla dobra ogółu. To także jeden z nielicznych, którzy pozostali z chorymi po wyzwoleniu obozu i sprawowali nad nimi opiekę w czasie transportu do Polski.

Nie sposób wymieniać tu zasługi wszystkich pracowników „rewiru", którzy z poświęceniem nieśli pomoc cierpiącym i słabym. Ale należałoby przynajmniej wymienić ich nazwiska: *Eugeniusz Pięta-Połomski, Bernard Drahaim, Feliks Mocny, Tadeusz Twardzik, Leon Żynda, Władysław Cybulski, Jan Zblewski, Wiktor Gospodarczyk, Alojzy Młodyszewski, Zygfryd Mielcarewicz, Franciszek Zieliński* i *Staś Tasarek.*

Oprócz pozytywnych postaci „rewiru" byli także wśród jego pracowników osobnicy, którzy podobnie jak „kapowie" *Sach* i *Roth,* zasłynęli z wyjątkowego sadyzmu i dali się poznać jako ponurzy mordercy i zbrodniarze.

Najgorszym z nich był *Karl Kofferbeck,* „sztubowy" bloku 24 w okresie *Sacha* i *Rotha,* następnie blokowy szpitala jeńców radzieckich, a w końcu blokowy 31 bloku. Olbrzym o ru-

chach goryla, z tępą twarzą i bladymi oczami, uwięziony za morderstwa, stał się w obozie uosobieniem zła. Nie odbyło się w szpitalu żadne morderstwo, w którym by osobiście nie brał udziału. Nie reagował na żadne upomnienia lekarzy, więźniów ani personelu. Umarł na gruźlicę w początkach 1944 r.

Życie kulturalne i towarzyskie w rewirze

Pracownicy rewiru stanowili z pewnymi wyjątkami jak gdyby zżytą i zgraną rodzinę. Uświadamiali sobie, że specyficzne warunki pracy nakładają na wszystkich obowiązek jak najsumienniejszego wykonywania czynności. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że możliwości przeżycia są minimalne.

Aby nie ulec rozpaczy i beznadziejności, zaczęto organizować, podobnie jak w całym obozie, życie towarzyskie, kulturalne i naukowe. Prawie wszyscy bez wyjątku zaczęli się uczyć obcych języków, przede wszystkim rosyjskiego, hiszpańskiego i angielskiego. Lekarze „rewiru" urządzili kursy dokształcające dla studentów medycyny i sanitariuszy. Stworzono prawie cały uniwersytet nauczający niemal wszystkich specjalności medycyny.

Dr *Kamiński* wykładał anatomię opisową i patologiczną, prof. *Adamanis* — chemię fizjologiczną i farmakologię, dr *Gościński* — chirurgię i ginekologię, dr *Konieczny* i dr *Markiewicz* — internę i choroby zakaźne, dr *Budny* — dermatologię. Nauczyciele dawali z siebie wszystko, przekazywali swą wiedzę i doświadczenie, uczniowie zaś chłonęli wiadomości i przenosili teorię do izb opatrunkowych i sal chorych.

Cały personel „rewiru" był w kontakcie z naukowcami, nieraz bardzo wybitnymi, utalentowanymi poetami, malarzami i muzykami przebywającymi w obozie i w miarę możliwości starał się im pomagać, ci zaś dzielili się wytworami swego ducha, dając dla chorych koncerty, organizując wieczorki literackie, wygłaszając pogadanki naukowe.

Poeci: *G. Timofiejew, Z. Wróblewski, K. Ćwierk, Wł. Wnuk* i *W. Guziński*, przebywając wśród chorych, deklamowali swe utwory, których wszyscy słuchali z zapartym oddechem i które dodawały siły do przetrwania wszystkich okropności obozu, bo budziły nadzieję wolności. Pod oknami „rewiru" koncertowały chóry, organizowane przez znakomitego muzykologa i dyrygenta, *Lubomira Szpińskiego*. Umilał chwile przykutym do łóżka także chór rewelersów *Stanisława Grzesiuka*. Prof. *Pawlak, Lutterbach* i *J. Guziński* dawali koncerty indywidualne lub dyrygowali dużą orkiestrą obozową. Często byli oklaskiwani śpiewacy obozowi: *T. Faliszewski, Z. Malinowski, W. Jeleński* oraz Hiszpanie, Włosi i Francuzi, których nazwisk nie pamiętam.

W szpitalu po kryjomu malowali swe obrazy i rzeźbili: profesor Akademii Sztuk Pięknych w Mediolanie *Carpi, Zbyszek Filarski, M. Gutowski, A. Landa, W. Chmielewski, Nikiel, Nowicki*. Tutaj ukrywano przez wiele miesięcy *Henryka Kołodziejczyka*, jedynego więźnia, który przeżył zimowe kąpiele inwalidów. Odratowany i przeniesiony do bloku 30, wykonywał modele starych korwet.

Wiele talentów artystycznych kryło się wśród samych lekarzy i pracowników „rewiru". Dr *Kamiński* malował i grał na cytrze, *Stefan Malost* i dr *Gościński* grali na skrzypcach, ja trochę rzeźbiłem, kilku próbowało swych zdolności wokalnych.

Nieco zamieszania, dyskusji i podniecenia wniosło w monotonię życia obozowego sprowadzenie do obozu kobiet różnych narodowości, więźniarek z Oświęcimia i Ravensbrück, które za cenę obietnicy zwolnienia nakłoniono do nierządu i służby w męskim obozie koncentracyjnym. Prawie wszyscy Polacy i większość więźniów innych zbojkotowali nowo powstałą instytucję w obozie, mieszczącą się w specjalnie na ten cel zbudowanym solidnym domku, zwanym „pufem", który natomiast był oblegany i odwiedzany tłumnie przez blokowych, „kapów", „sztubowych" i innych prominentów obozu. Ludzie ci, którzy dotychczas wyżywali się w morderstwach i homoseksualnych orgiach, skierowali swe afekty ku zamkniętym dziesięciu kobietom, prześcigając się w uprzejmości i podkreślaniu swych męskich walorów.

Nadzór lekarski nad obozowym domem publicznym sprawowali lekarze „rewiru". Przyprowadzane do szpitala przez esesmankę, były co tydzień badane, czy nie zaraziły się chorobą weneryczną. Badał je dr *Gościński*, a ja miałem obowiązek wykonać badania laboratoryjne. Dzięki tym wizytom miałem możność dowiedzenia się czegoś o ich losie. Większość z nich — to były Niemki aresztowane za włóczęgostwo lub niesubordynację w stosunku do narodu niemieckiego. Poza tym było kilka Francuzek i jedna Polka. Obiecywano im, że za trzy miesiące służby w obozowym domu publicznym (każda miała codziennie przyjąć dziesięciu mężczyzn) otrzymają wolność. Jak się później okazało, po trzech miesiącach pobytu w obozie wywieziono je na stracenie. Na ich miejsce przybyły inne.

Ruch oporu i praca konspiracyjna na terenie szpitala

Myśl o przeprowadzaniu zorganizowanych akcji przeciw terrorowi, zbrodniom i nieprawościom panoszącym się w obozie i w szpitalu pojawiła się 23 grudnia 1941 roku. W tym dniu wieczorem odbywały się masowe mordy inwalidów i ciężko chorych. Krzyki mordowanych było słychać daleko poza szpitalem. Spotykaliśmy się wtedy we trzech w laboratorium: *Toni Gościński, Marian Filipiak* i ja. Stwierdziliśmy, że nie wolno już dłużej czekać i przypatrywać się biernie temu, co się dzieje w obozie. Zaprzysięgliśmy na śmierć i życie przeciwstawiać się popełnianemu na każdym kroku ludobójstwu i bezprawiu.

Pierwszym i najbliższym zadaniem miało być uzdrowienie stosunków w „rewirze" i stworzenie atmosfery, w której chorzy mogliby być

leczeni i wyleczeni, wyeliminowanie popełnianych tu zbrodni i danie chorym maksimum opieki i wypoczynku. Pierwszym krokiem do tego miało być i stało się usunięcie lub zlikwidowanie *Sacha* i *Rotha*. Następnie miało się użyć wszelkich wpływów, by do rewiru przyjąć jak najwięcej lekarzy i studentów medycyny.

Do akcji wciągnięto na początek *Piętę, Drahaima, Mocnego, Twardzika* i *Żyndę*. Spotkania wtajemniczonych odbywały się w laboratorium, gdzie obecność wszystkich mogła być łatwo wytłumaczona oczekiwaniem na badania lub wyniki analiz.

W r. 1942, gdy umarł „kapo" *Roth* i na jego miejsce dostał się *Bobrowski-Kasandra*, a do „rewiru" przyjęto sporą liczbę medyków, praca konspiracyjna zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Czynnie związali się z nią lekarze: *Kamiński, Markiewicz, Konieczny, Budny* oraz polscy sanitariusze. Do najbliższej współpracy dopuszczono prof. *Adamanisa*, prof. *Podlachę, Grubera, Pabla del Rio* i *M. Kuszajewa*. Omówiono wtedy szczegółowo sposoby ratowania gruźlików i tzw. nieuleczalnie chorych. Postanowiono wykonywać w laboratorium podwójną dokumentację badań i kierować ciężko chorych do bloków, gdzie leczono, a nie zabijano.

Wielu prominentów blokowych, „kapów" i *forarbajterów*, aczkolwiek mogło zarzucić niejedno pracownikom „rewiru", wolało jednak żyć z nimi w zgodzie. Zawsze można było zachorować, a nie zawsze się wyleczyć. Umarli przecież *Sach* i *Roth*, a następnie *Kofferbeck*. Ciężko chorowali *Van Losen* i *Bocker*, nie wyleczyło się z tyfusu kilku złośliwych „kapów" z kamieniołomów. Lepiej zatem mieć leczących przyjaciół, a nie wrogów. Poza tym niekiedy można dostać jakieś tabletki czy zastrzyki na wzmocnienie i potencję, wygrzać reumatyczne kości pod lampami, a nawet wyłudzić trochę alkoholu lub spirytusu denaturowanego, cenionego na równi z wódką.

Zależność tę wyzyskiwano w różnych akcjach. Np. po nawiązaniu stosunków z „kapo" i pracownikami kuchni obozowej i esesmańskiej oraz szefami magazynów żywnościowych i kantyny oficerskiej szpital zaczął otrzymywać więcej i lepiej przyrządzonego jedzenia oraz więcej chleba i dodatków żywnościowych. *Cybulski*, główny szef zaopatrzenia, wykazywał szczególnie dużo sprytu w tzw. organizowaniu i dostarczaniu chorym żywności.

Planowo przebiegała akcja pomocy w dożywianiu, ochrony w pracy oraz akcja umieszczania na lepszych stanowiskach najbardziej tego potrzebujących i najwartościowszych, zwłaszcza młodocianych więźniów. Zainteresowany „kapo" nie ważył się maltretować w pracy podopiecznego, o którego proszono, często dawał mu lepsze zajęcie lub przymykał oczy na jakieś przewinienie. Blokowi przestawali szykanować więźniów, którymi interesowali się pracownicy szpitala, a niektórzy kucharze, pracownicy kasyna, stołówki esesmańskiej, magazynów żywnościowych, niektórzy „sztubowi" dożywiali czasami całe grupy więźniów wskazanych przez lekarzy czy sanitariuszy. Możliwości swoje i znajomości wyzyskiwali „rewirowcy" przede wszystkim dla rekonwalescentów, których niedożywienie i ciężka praca po wyjściu ze szpitala narażałaby na ponowną utratę zdrowia oraz dla ludzi, którzy specjalnie zasługiwali na pomoc lub sami nie mogli sobie poradzić w ciężkich warunkach obozowych.

Organizatorzy konspiracji w szpitalu byli powiązani z grupą oporu działającą w obozie.

Gdy do obozu zaczęły napływać duże grupy więźniów innych narodowości, przede wszystkim Rosjan, Jugosłowian, Węgrów i Włochów, konspiracyjna grupa szpitalna, współdziałając z grupą obozową, zajęła się ratowaniem zgromadzonych w kwarantannie więźniów. Objęto ich opieką lekarską, zorganizowano dożywianie i udzielanie doraźnej pomocy, starano się o przydziały lekkiej pracy. Dzięki temu ocalała duża liczba oficerów, naukowców, inżynierów i innych ludzi, którzy następnie mogli się zająć swymi ziomkami. Poznając stopniowo warunki obozowe i obsadzając z kolei lepsze stanowiska, zaczynali oni również organizować grupy oporu w swoich środowiskach. W ten sposób na terenie obozu powstała cała sieć konspiracyjna obejmująca ludzi wszystkich narodowości.

Dzięki temu, że więźniowie obsadzili wszystkie praktycznie stanowiska, pracowali w barakach esesmańskich i kancelariach poza obozem oraz kontaktowali się z ludnością cywilną, można było nadać konspiracji jeszcze szerszy zakres. Do obozu przenikały najświeższe wiadomości o sytuacji na frontach i wypływały na zewnątrz szczegóły akcji i mordów popełnianych w obozie.

Wyzwolenie obozu i rozwiązanie szpitala

Pierwszym zwiastunem zbliżającej się wolności było wycofanie się, a raczej ucieczka, władz obozowych i pilnujących obozu esesmanów oraz objęcie posterunków przez członków policji pomocniczej. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdyż wiedzieli o zaplanowanej przez *SS* całkowitej likwidacji obozu.

Likwidację chciano przeprowadzić podczas alarmu, który miał być sygnałem do udania się wszystkich do sztolni i wykutych w skałach kamieniołomu chodników, gdzie miał być wpuszczony gaz. W szpitalu lekarz *SS* wydał zarządzenia na wypadek alarmu, ustalił kolejność wynoszenia chorych do sztolni. Pod karą śmierci zabroniono pozostawać w szpitalu w tym czasie.

Więźniowie postanowili drogo sprzedać swe życie. Sporządzono dokładne plany sztolni i w kilku miejscach pozakładano ładunki dynamitu skradzionego w kamieniołomach. Gromadzono broń, w laboratorium szpitalnym zaczęto produkować z dostępnych odczynników materiały wybuchowe (kierował tym prof. *Adamanis*) i rozprowadzać je pomiędzy wtajemniczonych więźniów, mających objąć przewodnictwo w czasie akcji. Wszystko to na szczęście okazało się niepotrzebne.

Gdy po ucieczce esesmanów zniknęło widmo śmierci, pojawiło się widmo głodu. Magazyny obozowe zostały ogołocone przez uciekających, a nowi strażnicy nie bardzo mogli sobie poradzić z administracją i utrzymaniem porządku w obozie. Otwarto bunkry ukryte na terenie szpitala, w których znajdowała się żywność gromadzona systematycznie w przewidywaniu podobnej sytuacji.

Szpital był już wtedy wyłącznie pod opieką lekarzy i personelu sanitarnego. Wraz z komendą obozu wyjechali również lekarz *SS* i *blokführerzy*.

Nocami z bijącym sercem oglądano łuny i słuchano detonacji dochodzących ze zbliżającego się frontu. Z utęsknieniem czekano na wymarzoną wolność.

W dniu 5 maja o godzinie 16.30 wśród zgromadzonych na placu apelowym więźniów powstało zamieszanie. Potem rozległy się radosne krzyki, wiwatowanie, popłynęła melodia polskiego hymnu narodowego, śpiewana przez tysiące ludzi. Chorzy i personel rewiru zrozumieli, że nadeszła wolność. Tymczasem krzyki w obozie się nasiliły. Obserwatorzy ze szpitala uświadomili sobie, że odgrywają się tam sceny samosądu nad znienawidzonymi ciemiężcami. Po chwili do bramy szpitala podbiegł główny pisarz obozu *Jahnke*, który uciekał przed tłumem goniących go więźniów. Zanim jednak zdążył się schronić w bezpieczne miejsce, został zabity i dosłownie rozszarpany na strzępy przez rozszalałych ludzi. Podobny koniec zgotowali więźniowie jeszcze 34 blokowym, „kapom" oraz ludziom znienawidzonym w obozie.

Cały personel „rewiru" mógł w tym czasie swobodnie chodzić i nikomu nikt nie uczynił żadnej krzywdy. Było to największe uznanie ogółu więźniów dla kolegów ze szpitala.

Jeszcze tego samego dnia część chorych, którzy czuli się na siłach, oraz niektórzy z personelu opuścili szpital i obóz. Pozostali opiekowali się najciężej chorymi do czasu przekazania ich amerykańskiemu szpitalowi ewakuacyjnemu.

Amerykanie przenieśli szpital do bloków po esesmanach. Utworzyli oddziały: chirurgiczny, internistyczny, biegunkowy, płucny i oddział rekonwalescentów. Kierownikiem szpitala był kpt. *R. Austrin*, naczelnym internistą kpt. *S. Smith*. Zarówno kierownicy, jak i liczni pracownicy szpitala byli nadzwyczaj życzliwie ustosunkowani do chorych ofiar obozu i dokładali wszelkich sił i starań, by chorzy mogli co rychlej wrócić do zdrowia.

Dr *Gościński* oraz kilku lekarzy i sanitariuszy pojechali do pobliskiego Linzu, by na zlecenie Czerwonego Krzyża zorganizować nowy szpital dla ofiar obozów koncentracyjnych, a reszta pracowników „rewiru" została przebrana w mundury khaki i pracowała nadal w blokach szpitalnych pod kierownictwem amerykańskich lekarzy. Wszyscy byli traktowani jak przyjaciele i koledzy i jedynie czerwona naszywka na rękawie z napisem *Poland* odróżniała ich od oficerów amerykańskich.

Po kilku tygodniach leczenia chorzy zostali przekazani do Mauthausen, skąd odjechali w transportach do krajów macierzystych. Amerykański szpital ewakuacyjny wyruszył spełniać dalej swoje zadanie, a „rewir" w Gusen przestał istnieć.

WYBÓR BIBLIOGRAFII OBOZU GUSEN

1. *Aldebert B.*: Chemin de croix en cinquante stations. De Compiegne à Gusen II, en passant par Buchenwald, Mauthausen, Gusen I. Paris 1946, A. Tayard, ss. 112. — 2. *Bellak G.*: Melodie Giovanni. Donne e bambini nei lager nazisti. Milano 1961, Associazione Nationale ex Deportati Politici nel Campi Nazisti, ss. 128, ilustr. (Praca zbiorowa dotycząca Oświęcimia, Ravensbrück, Dachau, Flossenbürga i Gusen). — 3. *Bielecki W.*: Obozy śmierci. Moskwa 1944, Związek Patriotów Polskich, ss. 42, nlb. 2. (Wspomnienia z Sachsenhausen, Dachau, Mauthausen, Gusen, Stutthof). — 4. *Bouard M.*: Le komando de Gusen. „Rev. Hist." 1962, nr 45, s. 45—70. — 5. *Cinca Vendrell (Armades)*: Do que Dante ne pudo imagines: Mauthausen, Gusen 1940—1945. Saint-Girous 1946, Descoins, ss. 194. — 6. *Generowicz Z.*: Prawda oskarża Niemcy hitlerowskie (3 lata obozu koncentracyjnego Oświęcim—Gusen). Poznań 1945, Księg. Wydawn., ss. 80. — 7. *Gostner E.*: 1000 Tage im K. Z. Ein Erlebnisbericht aus dem Konzentrationslager Dachau, Mauthausen und Gusen. Mit auth. Bildmaterial u. Dokumenten. Mannheim 1946, W. Burger, ss. 194, ilustr. — 8. *Grzesiuk S.*: Pięć lat kacetu. Warszawa 1962, Książka i Wiedza. — 9. *Habzina R.*: Gusenskij pochod. Brno 1945, GBS, ss. 15. — 10. Hein R.: La sombre route. Paris 1947, E. Corti, ss. 98, nlb. 2. (Wspomnienia wicedyrektora Musée National d'Histoire Naturelle z Gusen, Mauthausen, Buchenwaldu).

11. Jednodniówka wydana w 16-letnią rocznicę oswobodzenia hitlerowskich obozów koncentracyjnych Mauthausen-Gusen z okazji 8 koleżeńskiego spotkania w Bielsku-Białej. Bielsko-Biała 1961, Bielski zakł. Szop., ss. 39, ilustr. — 12. *Jego J. B. (Able)*: L'enfer de Gusen. Chapiare complémentoire de la vie de Marcel Callo, „Rennes". Riou-Reure 1948, ss. 24. — 13. *Junosza W.*: Podróż przez piekło. Paryż 1946, Elka, ss. 119. (Wspomnienia z Oświęcimia, Mauthausen, Gusen). — 14. *Liggeri P.*: Triangoloroso. Dalle carceri di San Vittore ai campi di concentramento e di eliminazione di Tossoli, Bolzano, Mauthausen, Gusen, Dachau. Varese 1953, Del. Rovo, ss. 424. (Wspomnienia). — 15. Liste officielle № 1 des decedes des camps de concentration. Mauthausen et ses kommandos. Paris bd., Edite pour le Bureau National des Recherches, ss. 89. — 16. *Myczkowski A.*: Poprzez Dachau do Mauthausen-Gusen. Kraków 1946, Księg. S. Kamińskiego, ss. 31 (Wspomnienia). — 17. *Nogaj S.*: Gusen. Pamiętnik dziennikarza. Cz. I—III. Katowice 1945, Komitet b. Więźniów Obozów Koncentracyjnych Gusen, ss. 192. — 18. *Ostrowski T.*: Więźniowie, czapki zdjąć! Pamiętnik dziennikarza z pobytu w obozach koncentracyjnych. Kraków 1945, Czytelnik, ss. 44. (Dachau-Gusen). — 19. *Osuchowski J.*: Gusen, przedsionek piekła. Warszawa 1961, Wyd. MON, ss. 206, nlb. 2, tab. (Wspomnienia długoletniego więźnia pełniącego różne funkcje). — 20. *Proudfoot M.*: European Refugees 1939—1952. A Study in Forced population Movement. London 1952, Faler and Faber, ss. 542.

21. *Sebille R.*: Sans craintes ni murmures. Essay. Paris 1945, Ed. du Myrthe, ss. 189. (Wspomnienia z Gusen). — 22. *Timofiejew G.*: Wysoki płomień. Wiersze z konspiracji i obozu. Bm. 1946, Książka, ss. 83. — 23. *Wantuła A.*: Z doliny cienia śmierci. Londyn 1947, Ewangelicko-Augsburska Parafia Polska w Londynie, ss. 94. (Wspomnienia z Gusen, Mauthausen, Dachau). — 24. *Wlazłowski Z.*: Szpital „Revier" w niemieckim obozie koncentracyjnym w Gusen. Lata 1940—1945. Ilustrowany dodatek tygodniowy „Głosu Wielkopolskiego". Poznań 1947. — 25. *Wnuk W.*: Byłem z Wami. Warszawa 1960, Pax, ss. 208. — 26. *Wnuk W.*: Obóz kwarantanny. Wspomnienia z Sachsenhausen. Kraków 1945, Księg. S. Kamińskiego, ss. 78, nlb. 2. — 27. *Załachowski F.*: Gusen, obóz śmierci. Poznań 1946, Zw. b. Więźniów Pol., ss. 15.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim—Brzezinka nr 20019

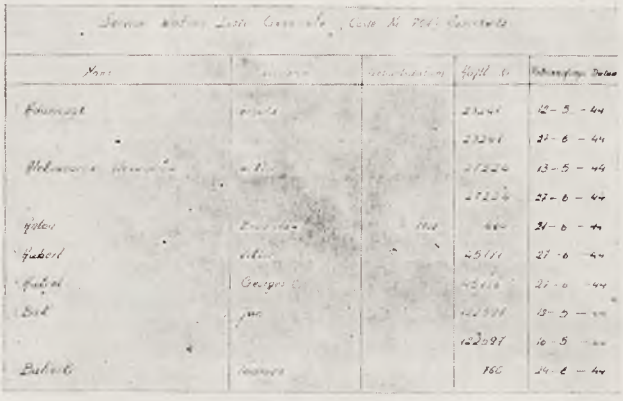
Paczki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów Oświęcimia

Do więźniów w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu docierały paczki żywnościowe nadawane przez Czerwony Krzyż z Genewy. Fakt ten, dotychczas mało znany szerszemu ogółowi, a nawet wielu więźniom tego obozu, można obecnie dokumentarnie wykazać i należycie naświetlić.

Władze Trzeciej Rzeszy skrupulatnie izolowały ludność podbitych krajów, przerywając kontakty z organizacjami międzynarodowymi, nawet charytatywnymi. Polski Czerwony Krzyż został rozwiązany, Międzynarodowy Czerwony Krzyż stracił możliwość pomagania ludności okupowanych krajów. Było to jawnym pogwałceniem obowiązujących praw międzynarodowych.

Oświęcim jako obóz zagłady odizolowany specjalnymi zarządzeniami *RSHA* miał pozostać „tabu" dla całego świata. Ścisłe straże i cenzura strzegły tajemnic tego odizolowanego kombinatu śmierci. Większość prób wykradzenia ich została udaremniona, a podejmujący je karani byli bezwzględnie śmiercią. A jednak wbrew wysiłkom ze strony władz *SS* obóz oświęcimski już w czasie okupacji został rozszyfrowany i wiadomości o nim znano nie tylko na terenie włączonego do Rzeszy Śląska, lecz także w Generalnej Guberni, w krajach neutralnych i w państwach sprzymierzonych. Powodem tego był sprawnie działający wywiad polskich organizacji podziemnych zarówno na zewnątrz obozu, jak i w samym obozie.

W dniu 17 sierpnia 1966 roku otrzymałem z Arolsen, tj. z siedziby Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, z Międzynarodowego Biura Poszukiwań 19-stronicowy wykaz nazwisk więźniów obozu oświęcimskiego, którzy w r. 1944 otrzymywali paczki w obozie, adresowane na swoje nazwiska (ryc. 1). Wykaz ten sporządził dyrektor wspomnianej placówki w Arolsen na podstawie znajdujących się tam ksiąg *„Service Watson, Liste Generale"*. Tych 14 ksiąg zawiera około 77 tysięcy nazwisk więźniów, którzy przebywając w różnych obozach koncentracyjnych, więzieniach, obozach jenieckich i innych obozach otrzymywali w czasie drugiej wojny światowej paczki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy. Przysłane zestawienie zawiera 254 nazwiska więźniów Oświęcimia, którzy potwierdzili Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi odbiór 472 paczek żywnościowych (ryc. 2). Paczki te masowo dotarły do więźniów w maju i czerwcu 1944 r., taką bowiem datę posiadają potwierdzenia ich odbioru przez więźnia. Więźniowie potwierdzali odbiór paczki imieniem i nazwiskiem, numerem obozowym, czasem datą swojego urodzenia oraz datą otrzymania paczki.



Ryc. 1. Fragment pierwszej stronicy wykazu więźniów, którzy otrzymywali paczki żywnościowe z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dostarczone do obozu w Oświęcimiu

Paczki, jak wynika z nazwisk, otrzymywali przeważnie więźniowie polscy. Analiza numerów więźniów, którzy odebrali czerwonokrzyskie paczki żywnościowe, wskazuje na to, że spisy więźniów, które dotarły do Genewy, wyszły z obozu oświęcimskiego po 19 grudnia 1943 roku. Najwyższy bowiem numer więźnia otrzymującego paczkę wynosił 169472. Więzień ten przybył transportem z Radomia i nazywał się *Jan Wiltowski*.

Analiza numerów obozowych tych więźniów, którzy otrzymywali paczki, wskazuje, że przygotowujący spisy starali się wykonać wykaz otrzymujących możliwie sprawiedliwie, tak aby paczki trafiały do więźniów z transportów przychodzących od początku istnienia obozu do aktualnego momentu wysyłania spisu. Rozbijając numerację więźniów na grupy numerów więźniarskich mieszczące się w kolejnych dziesiątkach tysięcy, stwierdza się, że w każdym takim odcinku znajduje się dość równomierna liczba więźniów wyznaczonych do otrzymywania paczek. Na przykład w obrębie numerów 60001 — 70000 znajdujemy numery 12 więźniów: 60039, 60049, 60746, 62125, 62125, 62157, 62378, 62740, 62760, 63052, 64830, 64850, a w grupie numerów 70001—80000 znajduje się 14 więźniów: 71346, 71821, 71856, 71884, 72021, 72236, 74535, 74616, 75751, 76891, 77600, 78056, 78063, 79053.

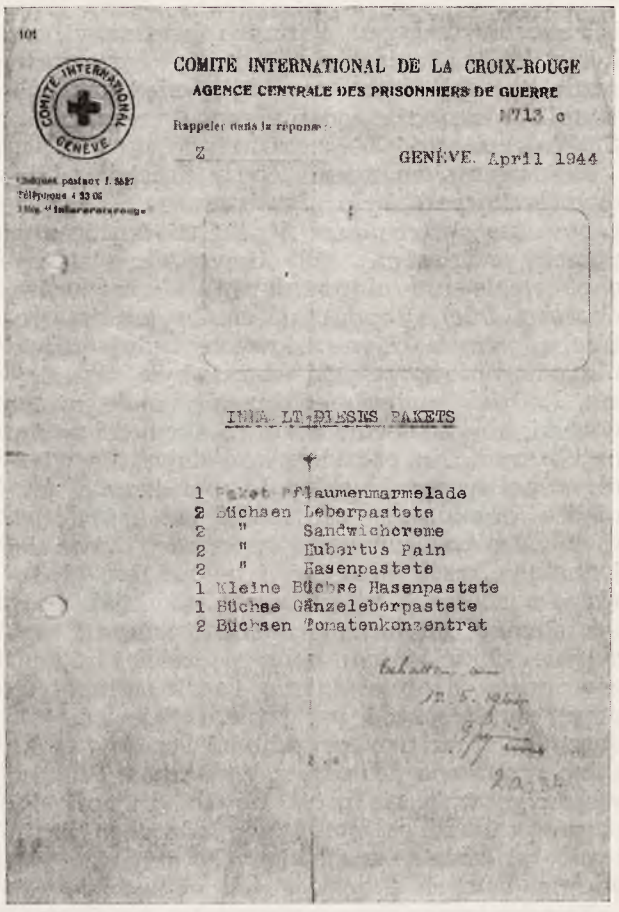
Miało to chyba ten cel, aby władze obozowe zrozumiały, że akcja ma na celu pomoc więźniom z całego obozu, a nie jednej grupie, np.

konkretnemu transportowi czy tylko starym numerom. W ten sposób utrudniono ewentualne ukaranie jednej grupy bądź doszukanie się jakiejś konspiracji w jednym transporcie. Orientując się również o oddziałach pracy więźniów otrzymujących paczki, stwierdzić należy, że więźniów tych nie łączyły wspólne komanda pracy. Takie ujęcie wykazu więźniów musiałoby uniemożliwić oddziałowi politycznemu obozu doszukanie się jakiejś zwartej grupy konspiracyjnej. Wskazuje ten spis i na to, że dostawcy nazwisk mieli wgląd w kartotekę wszystkich więźniów obozu. W numerowym zestawieniu więźniów otrzymujących paczki uderza wreszcie dość spora liczba więźniów-„założycieli" obozu, którzy piastując ważną pozycję w obozie oświęcimskim i pracując na ważniejszych tam stanowiskach mieli różne osobiste powiązania z *SS* i mniej musieli się obawiać represji ze strony *SS*. Nadto w omawianej liście zwraca uwagę fakt podania aż 7 Francuzów z transportu numerowanego od liczb zaczynających się na 45 tysięcy.

Następnym, przypadkowo zachowanym dokumentem jest oryginalny formularz z paczki żywnościowej, którą otrzymał więzień polityczny pracujący w tzw. oddziale politycznym obozu, *Tadeusz Szymański*, nr obozowy 20034, w dniu 11 maja 1944 roku. Jest to kartka, której fotokopię przedstawia ryc. 2. Kartka ta powinna była wrócić do Genewy z podpisem otrzymującego jako dowód pobrania. Dokument ten wędrował z więźniem *Szymańskim* od obozu do obozu jako „cenna pamiątka, przypominająca radość z otrzymania paczki i strach przed *Bogerem*, który węszył za śladami nielegalnej działalności więźniów, za ruchem oporu w obozie". Z dokumentu tego wynika data wysyłania paczek przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie; działo się to w kwietniu 1944 roku.

Z zestawienia istotnych dat można stwierdzić, że spisy więźniów były wysyłane przez oświęcimski ruch oporu po 19 grudnia 1943 roku i że do czasu kwietniowej wysyłki paczek spisy te musiały przejść całą konspiracyjną drogę z obozu w Oświęcimiu, przez ogniwa konspiracyjne na zewnątrz obozu, aby zjawić się w Genewie i już w kwietniu 1944 roku opuścić ją w formie gotowych paczek, które w maju trafiały do rąk potrzebującego odbiorcy.

Historię tych paczek spróbuję odtworzyć na podstawie własnej pamięci oraz dokumentów oświęcimskiej międzynarodowej grupy ruchu oporu. Geneza myśli przesyłania paczek żywnościowych więźniom Oświęcimia przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie jest udokumentowana w materiałach ruchu oporu w maju 1943 roku. W „grypsie" adresowanym do *Teresy Lasockiej-Estreicherowej*, działaczki krakowskiej komórki konspiracyjnej, zasugerowano: „może by się dało, byśmy otrzymywali paczki z Portugalii lub Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. To jest zupełnie możliwe, a odciążyłoby rodziny, bo wiemy, że u Was bardzo ciężko. Takie paczki już przy-


COMITE INTERNATIONAL DE LA CROIX-ROUGE
AGENCE CENTRALE DES PRISONNIERS DE GUERRE
GENÈVE. April 1944
INHA LT.-BLESES PAKETS
1 Paket Pflaumenmarmelade
2 Büchsen Leberpastete
2 " Sandwichcreme
2 " Hubertus Pain
2 " Hasenpastete
1 Kleine Büchse Hasenpastete
1 Büchse Gänseleberpastete
2 Büchsen Tomatenkonzentrat

Ryc. 2. Reprodukcja zachowanego dowodu odbioru paczki przysłanej przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż więźniowi Oświęcimia, *Tadeuszowi Szymańskiemu*. Widać wykaz zawartości paczki i potwierdzenie jej odbioru w dniu 12 maja 1944 roku

chodzą. Paczki te mogłyby być adresowane na nasze stare adresy i rodziny przesyłałyby je do obozu. Inaczej my bylibyśmy podejrzani (...) [Podpis:] *Stakło* [*Stanisław Kłodziński*]".

Projekt zorganizowanej wysyłki paczek z zagranicy do obozu nurtuje nadal kierownictwo ruchu oporu. Wynika to z grypsu wysłanego w dniu 20 czerwca 1943 roku: „...paczkarnia [obozowa] spełnia swe zadania świetnie; codziennie przychodzi 2 500 — 3 000 paczek, z tego 300 — 400 dla kobiet. Żydzi mają doręczane paczki na podstawie dawnych swych listów adresowanych *Arbeitslager Birkenau*. Przychodzą do nich paczki głównie z Francji i Holandii. Do Polaków przychodzą paczki z Portugalii, Anglii, Stanów Zjednoczonych i wszystkich państw Europy z wyjątkiem Bułgarii [1]. Trzeba, by zagranica masowo dostała nasze adresy, gdyż chodzi o udowodnienie Niemcom, że cały świat wie o Oświęcimiu. Tylko rzecz trzeba przeprowadzić masowo i podać tam przynajmniej 200 do 300 adresów naszych do poszczególnych państw. Chodzi o akcję masową, aby nas nie mogli pociągnąć do odpowiedzialności. Przy

[1] Hitlerowcy nie zdążyli eksterminować Żydów bułgarskich.

tym dobrze by było podać takie adresy także i Niemców w lagrze i innych [więźniów], np. komunistów sowieckich. Jednym słowem, by nagle zarzucić *lager* paczkami międzynarodowymi. Adresy na żądanie mogę przesłać (...) *Stakło*".

Planowanie zarzucenia obozu paczkami międzynarodowymi było dyskutowane i rozważane wszechstronnie. Aspekt żywnościowej pomocy więźniom był oczywiście istotny, choć wcale nie najważniejszy. Kierownictwo obozowe ruchu oporu doceniało istotną potrzebę paczek żywnościowych, gdyż dzięki nim możność przeżycia obozu była realniejsza. Rodziny uwięzionych czyniły maksymalne wysiłki, aby zapewnić dostawę żywności swoim najbliższym. Na paczki żywnościowe dla więźniów politycznych składały potajemnie pieniądze organizacje podziemne w kraju, jak również różne komitety społeczne. Żywności jednak w kraju było niewiele; ludność głodowała, a zdobycie takich produktów, jak smalec, słonina, cukier, marmolada, cebula i wysyłanie ich więźniom było najczęściej równoznaczne z odejmowaniem i tak szczupłych porcji żywności od ust sobie i dzieciom. Do obozu w paczkach przychodził często suchy chleb i pieczone lub surowe ziemniaki. Słuszna więc wydawała się myśl, aby o żywność dla obozu postarać się spoza wygłodzonego kraju i nie od rodzin pozbawionych jedynego żywiciela, samych pozostających w nędzy.

Kierownictwo obozowego ruchu oporu musiało wszakże przekalkulować na zimno sprawę zasadniczej wagi. Znane były reakcje *SS* na wszelkie oznaki świadczące o rozszyfrowaniu tajemnic Oświęcimia. Należało się liczyć z możliwością rozstrzelania tych, którzy by paczki otrzymali z zagranicy. Znane były już w latach poprzednich takie przykłady. Istniały wreszcie techniczne trudności konspiracyjnego zestawienia danych dotyczących więźnia, przesłania ich na zewnątrz z dużym ryzykiem przechwycenia materiału, trudności dostarczenia go do krakowskiej komórki konspiracyjnej do rąk *Teresy Lasockiej-Estreicherowej*, dalej — przekonania kierownictwa organizacji podziemnej o celowości akcji, przesłania materiałów drogą konspiracyjną do Genewy i wreszcie zgody Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Cały ten wysiłek i ryzyko łączyły się wreszcie z wielką niewiadomą, czy *SS* dopuści paczki do obozu, czy nie zgodzi się i akcję utnie.

Zaryzykowano, biorąc pod uwagę następujące argumenty. Ważniejszy niż sprawa dożywienia więźniów był aspekt moralno-polityczny tego przedsięwzięcia. Paczka żywnościowa przysłana więźniowi przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż odradzała go psychicznie. Pozwoliła mu wierzyć, że nie jest zaszczutym, zapomnianym, skazanym na śmierć numerem. Nawet w Szwajcarii o nim wiedzą, znają jego numer, nazwisko i imię, datę jego urodzenia. Wie o nim potężna organizacja międzynarodowa, która przez to samo wkracza na teren Oświęcimia, gdzie bezimiennie giną miliony ludzi. W dodatku sytuacja w obozie stawała się coraz bardziej niepewna. Zbliżał się zdecydowanie front wschodni. W obozie panowało słuszne, poparte dowodami przekonanie, że *SS* zacierać będzie ślady swych zbrodni, popełniając nowe zbrodnie przez likwidację świadków. Błysnęły więc nowe nadzieje dla więźniów: opieka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Te same argumenty w razie pomyślnego rozwoju akcji stawały się argumentami politycznymi w stosunku do *SS*. Zarówno załoga obozu, jak i *RSHA* w Berlinie musiały się uznać za pokonane na odcinku zachowania tajemnicy o zbrodniach oświęcimskich. Skoro bowiem Genewa oficjalnie posyła paczki szczegółowo adresowane do Oświęcimia, skoro z drugiej strony prasa podziemna i aliancka dowiadują się coraz to nowych szczegółów o tym obozie (lista katów, spisy *SS*, tajemnice bloków 10 i 11, wiadomości o masowym gazowaniu, o epidemiach obozowych, o stanie liczebnym więźniów, o ich wymieralności, o apelach, wyżywieniu, warunkach sanitarnych, grabieży mienia, transportach przychodzących do Oświęcimia i odchodzących stamtąd), to wszystkie te fakty razem z paczkami ze Szwajcarii stanowić musiały porażkę zbrodniarzy ufnych w swoją potęgę i metody kamuflażu.

Decyzja więc mimo dużego ryzyka zapadła. Podjął ją więzień *Józef Cyrankiewicz*. W ciągu krótkiego czasu, pisząc po nocach na wąskich skrawkach papieru, pracowali zaufani więźniowie. Pracowano po kryjomu w *schreibstubie* szpitala obozowego, w *schreibstubie* głównej, w oddziale politycznym, w sali chorych na dur wysypkowy. Pracowano bezbłędnie, podając wyrywkowo po kilka nazwisk, imion, dat urodzenia, numerów bloków więźniów z różnych transportów. Przygotowano w ten sposób spisy kilku tysięcy więźniów. Zamaskowane w świecach, pod opatrunkami, w wiecznych piórach przemycano je drogami konspiracyjnej łączności do rąk zaufanych cywilów pracujących na terenie obozu (tzw. „droga *Pierożka*", droga przez kantynę na Chrzanów, przez *Heleńkę Datoń*). Stąd dostawały się te wykazy przez granicę Generalnej Guberni do Krakowa, do mieszkania *Lasockiej* przy ul. Jagiellońskiej 11. Warunkiem powodzenia była precyzyjność, ścisła konspiracja, szybkość i masowość. Na każdym kroku bowiem groziła rewizja, tortury, rozszyfrowanie siatki konspiracyjnej obozu, w którym nie można się było schować ani uciec, wreszcie dekonspiracja tajnych zgrupowań przyobozowych i w Krakowie, a nawet międzynarodowych połączeń kurierskich czy radiowych.

Masowe pojawienie się w obozie oświęcimskim paczek Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w maju i czerwcu 1944 roku, brak jakichkolwiek represji ze strony władz obozowych na więźniach, którzy paczki otrzymali, a więc pełne powodzenie podjętej akcji, świadczy o prawidłowym wyczuciu sytuacji i sprawności konspiracyjnej międzynarodowej grupy

ruchu oporu w Oświęcimiu. Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie raz jeszcze pokazał światu swoją wspaniałą postawę humanistyczną.

Dostawa paczek, choć wkrótce została przerwana, spełniła swe zadanie. W „grypsie" z dnia 21 sierpnia 1944 roku oświęcimski ruch oporu zawiadamiał *Teresę Lasocką-Estreicherową*, że „przesyłki z zagranicznego Czerwonego Krzyża obecnie nie dochodzą; są albo wstrzymane, albo niedopuszczane. Ponieważ stoimy na stanowisku traktowania obozów koncentracyjnych dla więźniów politycznych na prawach obozów jeńców wojennych, przeto należy tę sprawę odpowiednio poruszyć. Chodzi tu nie tyle o żywność, ile o działanie propagandowe, że zagranica zdaje sobie sprawę, iż w obozach koncentracyjnych siedzą polityczni z całej Europy. W związku z tym uważamy za potrzebne jak najmocniejsze zaakcentowanie sprawy obozów koncentracyjnych na terenie nie tylko Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ale i na forum dyplomatycznym. Chodzi o odparcie z miejsca ostatniego oficjalnego stwierdzenia przewodniczącego *Volksgerichtu* dla generałów niemieckich [2]. Powiedział on, jak z prasy wynika, że w *lagrach*, które miały być przez feldmarszałka *Witzlebena* rozpuszczone, siedzą elementy czysto kryminalne. Takie powiedzenie musi się spotkać z ostrą i odpowiednio głośną oficjalną odprawą [3]. Puszczenie tego płazem może się stać niebezpiecznym precedensem i w odpowiedniej chwili «zalegalizować» jakieś zbrodnicze próby likwidacji tych czysto kryminalnych elementów. Powyższe przekazać do Krakowa jako pilne i do koniecznego załatwienia. [Podpisy:] *Stakło* i *Rot.* [*Józef Cyrankiewicz*]".

Również w innych „grypsach" z obozu oświęcimskiego przewija się sprawa pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża dla więźniów. Warto przytoczyć skrót „grypsu" z dnia 14 września 1944 roku, zawarty w materiałach pozostałych po organizacji Pomoc Więźniom Obozów Koncentracyjnych: „Dla Wawy [tzn. eksterminowanych z Warszawy, ogarniętej powstaniem] wprowadzono kategorię tzw. *zivilhäftlingów*. Zdrowi i w odpowiednim wieku mężczyźni przenoszeni będą do *Rüstungsindustrie*, kobiety do *Landwirtschaft* w Niemczech. Na razie siedzą tu. Ponieważ chodzi tu o ludność ewakuowaną, a nie aresztowanych, przeto należy spowodować ingerencję opieki społecznej i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Warszawa jest sprawą światową, przeto należy też zainteresowanie świata skierować na losy przymusowo ewakuowanej ludności, wpychanej w niemieckie obozy koncentracyjne. Przy okazji należy podnieść, co to są niemieckie obozy koncentracyjne. Żądać opieki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i przywiezienia lub przesłania oficjalnie lekarstw i paczek żywnościowych. Razem mężczyzn i kobiet i dzieci przyjechało do Oświęcimia 9219".

Ponieważ do ostatnich chwil istnienia obozu oświęcimskiego nie ustawało zagrożenie ze strony *SS*, oświęcimski ruch oporu w „grypsie" z dnia 12 grudnia 1944 roku stwierdził, że ewakuacja obozu jest równoznaczna ze zniszczeniem „przynajmniej 50% więźniów. Kontrola Czerwonego Krzyża w okresie *interregnum* [jest] niezbędna, aby jakiś *Sonderabteilung SS* nie wymordował chorych (...)".

Międzynarodowy Czerwony Krzyż, do którego więźniowie zwracali się z pełnym zaufaniem przez ogniwa konspiracyjne, starał się ich nie zawieść. Świadczy o tym między innymi omówiona już, obecnie, po 22 latach zestawiona lista więźniów, którzy w maju i w czerwcu 1944 roku otrzymali z Genewy paczki żywnościowe. Jakkolwiek nie jest ona jeszcze pełna, stanowi dokument świadczący o wygranej walce o humanizm. Walkę tę skutecznie na swoim odcinku prowadziła międzynarodowa grupa ruchu oporu w obozie oświęcimskim. O jej działaniu świadczy solidarna postawa więźniów, wzajemna pomoc i umiłowanie ojczyzny opłacone życiem najlepszych, którzy zginęli.

Dodać warto, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż w ostatnim okresie istnienia obozów hitlerowskich zdołał dotrzeć do więźniów w niektórych z tych katowni i udzielić im wstępnej, ale istotnej pomocy. Ponadto niekiedy przedstawicielom MCK udawało się uzyskać zgodę władz niemieckich na przedostanie się poza druty obozów, aby skontrolować warunki, w jakich żyją więźniowie. Ale wiadomo, że na czas takiej inspekcji hitlerowcy inscenizowali odpowiednio sytuację i przedstawiciele MCK opuszczali obóz, wynosząc z niego zafałszowany obraz rzeczywistości. Jednak domyślali się, że w istocie warunki więźniów nie są takie, jak by to im chcieli wmówić esesowcy. Np. w książce „*Zeugnisse und Berichte Auschwitz*" (wyd. *Reiner Europäische Verlagsanstallt*) podano informację, że we wrześniu 1944 roku delegowany Międzynarodowego Czerwonego Krzyża zwiedził Oświęcim. Pokazano mu obóz główny. Nie pozwolono mu rozmawiać z więźniami, aczkolwiek komendant i oficerowie *SS* byli „uprzejmi i z rezerwą". Delegat MCK odniósł wrażenie, że „tajemnica Oświęcimia pozostaje dobrze zamaskowana".

Opisana akcja dotycząca paczek żywnościowych — między innymi wsparta poczynaniami oświęcimskiego ruchu oporu — była poważnym wyłomem w maskowaniu tego, co *RSHA* usilnie starał się ukryć przed opinią światową.

[2] Działający z inspiracji opozycyjnej nacjonalistycznej grupy niemieckich generałów i prawicowych polityków płk *C. Stauffenberg* dokonał, jak wiadomo, 20 lipca 1944 roku nieudałego zamachu na *Hitlera* w jego kwaterze głównej w Kętrzynie (Rastenburgu). Po zamachu nastąpiła nowa fala terroru, a wyrokiem „sądu ludowego" nad grupą spiskowców stracono między innymi feldmarszałka *Witzlebena*.

[3] Jeszcze obecnie rewizjoniści zachodnioniemieccy i obrońcy „wojennej konieczności" terroru w krajach okupowanych przez hitlerowską Rzeszę próbują usprawiedliwiać masowe zsyłanie do obozów koncentracyjnych i więzień. Taktyka ta uwidacznia się też podczas powojennych procesów zbrodniarzy hitlerowskich.

MARIA ELŻBIETA JEZIERSKA Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 24449

Blok 46 obozu buchenwaldzkiego w marcu 1945 r.

Odnaleziono już wiele dokumentów, unaoczniających zbrodnie dokonywane przez lekarzy-esesmanów w obozach koncentracyjnych na więźniach, których bez ich zgody, pod przymusem używano jako królików doświadczalnych. Ostatnio udało mi się na podstawie dokumentów znajdujących się w Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce wyprowadzić wnioski dotyczące bloku nr 46 w Buchenwaldzie w ostatnim okresie przed uwolnieniem obozu, tj. w marcu 1945 r., które potwierdzają fakt, iż nawet w obliczu nadchodzącej klęski nie przerywano zbrodniczych eksperymentów.

Warto tu na marginesie zaznaczyć, iż zjawisko to nie dotyczy jedynie Buchenwaldu. Jak można stwierdzić na podstawie interesujących pamiętników dr *Miklosa Nyiszli*, profesora medycyny z Węgier, dziś już nie żyjącego, w ostatnich miesiącach istnienia obozu Oświęcim—Brzezinka dr *Joseph Mengele* nie tylko nie przerwał swych „doświadczeń" antropologicznych w obozie, ale nawet polecił urządzenie specjalnego gabinetu sekcyjnego w krematorium nr 3, gdzie dr *Nyiszli* wraz z pomocnikami-lekarzami musiał dokonywać sekcji zwłok bliźniąt, zamordowanych przez dr *Mengele* zastrzykami fenolu.

Jak wiadomo jednak, nawet najbardziej cyniczni w postępowaniu zbrodniarze hitlerowscy starali się zatrzeć ślady swej działalności, dlatego między innymi twierdzili, że w ostatnich miesiącach istnienia obozu w Buchenwaldzie w bloku 46 już nie przeprowadzano doświadczeń. Tymczasem zastanawiająca jest wymowa składu osobowego bloku oraz przybywanie nowych więźniów.

Dokument wylicza następujący stan bloku:

Data:	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
Liczba więźniów:	56	56	56	55	55	55	57	57	61	60	60	60	60

Data:	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
Liczba więźniów:	44	44	44	44	44	44	44	44	43	43	43	69

Ta liczba utrzymuje się do końca miesiąca.

Obok powyższych informacje dalsze znajdujemy w innym dokumencie, wyliczającym „zatrudnionych" w blokach 46 i 50. Jest to lista z dni 11 XII 1943, 19 VIII 1943, 21 I 1944 i 10 III 1944. Na tych listach znajdujemy nazwiska więźniów, którzy byli rzeczywiście w składzie funkcyjnych bloku, ale także nazwiska więźniów poddawanych eksperymentom.

Wreszcie interesujące jest zestawienie: dieta, kleik, dieta bez soli, dieta dla chorych na gruźlicę i z okresu marca 1944 r. dla szpitala i całego obozu. Oto tabela:

Dni miesiąca	Dieta	Bez soli	Kleik	Dla gruźlików
1	180	6	171	198
2	180	6	177	203
3	180	6	172	210
4	180	6	171	210
5	250	6	172	210
6	250	9	165	210
7	250	6	174	210
8	250	6	172	210
9	250	5	171	210
10	250	5	173	210
11	250	5	173	210
12	250	5	170	210
13	250	5	214	210
14	250	5	218	210
15	250	5	269	210
16	250	5	265	210
17	250	5	263	210
18	250	5	219	210
19	250	5	219	210
20	250	5	220	210
21	250	5	220	210
22	250	5	222	210
23	250	5	218	210
24	250	5	219	210
25	250	5	223	210
26	250	5	222	210
27	250	5	222	210
28	250	5	215	210
29	250	6	213	210
30	250	6	212	210

Zaskakująco jednakowe i zdumiewająco niskie są te liczby.

MARIA ELŻBIETA JEZIERSKA Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 24449

Zagadnienie małych obozów

Omawiając sprawę lecznictwa w obozach koncentracyjnych zazwyczaj nie rozpatrujemy zagadnienia małych obozów, zwłaszcza pomijamy sprawę zapewnienia opieki lekarskiej więźniom skierowanym na tzw. komenderówki.

Zagadnienie to niebłahe, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż w wielu obozach tylko pewna część więźniów pozostawała w obozie macierzystym, natomiast grupy mniej lub bardziej liczne kierowano poza ten ośrodek, do podobozów nieraz daleko położonych; grupy te były w sumie liczniejsze niż cały macierzysty obóz (por. np. Buchenwald, proporcja około 100 do 60).

Jeśli *kommando* znajdowało się blisko obozu macierzystego, zazwyczaj więźniów uznanych za chorych kierowano do szpitala w obozie macierzystym. Oczywiście o skierowaniu decydował w takim wypadku nie lekarz, gdyż go w podobozie nie było, tylko esesman, w najlepszym wypadku sanitariusz (*SDG*) lub felczer-więzień. Takie skierowanie z komenderówki do obozu macierzystego powodowało zazwyczaj utratę przez więźnia miejsca w *kommandzie* tam pracującym i przydział przez *Arbeitseinsatz* do innego *kommanda* po wyzdrowieniu. Było to wyzyskiwane przez więźniów dla ucieczki ze złych *aussenkommand*, ale także powodowało czasem fakty ukrywania choroby przez więźnia, który nie chciał stracić tzw. „dobrej pracy" i związanych z nią dóbr decydujących nieraz o życiu, tzn. znośnych warunków sanitarnych, własnego osobnego łóżka i im podobnych drobiazgów życia codziennego, a więc w obozie wręcz nieosiągalnych skarbów.

Lęk przed skierowaniem do innego *kommanda* powodował np., iż w podobozie Oświęcimia, tj. w Rajsku nawet ciężko chore kobiety nie zgłaszały się do lekarza, tylko przy pomocy koleżanek udawały się na miejsce pracy i tam ukryte leżały cały dzień aż do powrotu na blok. Niejednokrotnie choroba zwyciężała i trzeba było się zgłosić na rewir. Czasem udawało się wrócić do Rajska, jeśli chora była specjalistą-naukowcem.

Jako przykład *aussenkommanda*, które nie miało żadnego lekarza ani ambulatorium, może posłużyć np. podobóz Buchenwaldu, Leopoldshall; jeśli więzień był chory lub np. okaleczony przy pracy w kopalni, zgłaszał się do komendanta podobozu, podoficera *SS*, i gdy ten uznał, że więzień jest naprawdę niezdolny do pracy, pozwalał mu zostać w baraku i dawał — tabletkę aspiryny. Było to jedyne „leczenie".

Podobna sytuacja była w podobozie Gross-Rosen, tj. w Reichenau koło Gablonz, gdzie w ogóle nie zbudowano baraku przeznaczonego dla chorych, choć obóz liczył kilkanaście bloków. Wobec ogromnej liczby zachorowań, *Lagerführer Franz Braun* polecił wydzielić w bloku nr 1 pomieszczenie o powierzchni około 25 m², gdzie wstawiono trzypiętrowe łóżka. Do tego prowizorycznego „szpitala" kierował chorych sam *Braun*; byli to ludzie tak wykończeni głodem i chorobą, iż właściwie ta izba szpitalna miała charakter przedsionka trupiarni, zwłaszcza że przez cały czas istnienia obozu nie było w nim lekarza; jego funkcje pełnił więzień-sanitariusz narodowości ukraińskiej. Chory, który miał ciepłotę poniżej 39°, musiał chodzić do pracy; tak samo więzień chory na flegmony — tak liczne w obozie — musiał pracować, a jako jedyne leczenie stosowano obandażowanie ligniną z maścią ichtiolową i papierowym bandażem, podobnym do papieru klozetowego, a później cięcie lancetem.

Miejsca w tym lazarecie było najwyżej dla 28 chorych, przy stanie obozu około 2 000 ludzi. Śmiertelność była bardzo duża.

Inny przykład: podobóz Buchenwaldu, Leau-Plömnitz: początkowo było tylko pomieszczenie ambulatoryjne, później barak dla chorych. Na czele tego szpitala stał co prawda *SDG*, nikt z więźniów jednak go nie pamięta. Panem życia i śmierci był więzień podobno Ukrainiec, *Roman Biłyk*, nie wiadomo nawet, czy sanitariusz. Robił on na własną rękę nawet poważniejsze operacje, opatrunki itp. oraz decydował o przyjęciu do szpitala. Jak straszny był stan sanitarny i warunki obozu, świadczy fakt, iż *SS* było zmuszone wydawać tzw. *bettkarty* i *schonungi* dla lżej chorych, a w końcu istnienia obozu stworzyć drugi blok, tzw. inwalidów; byli to ludzie, których już nie leczono, tylko czekano, kiedy umrą. Chorzy otrzymywali połowę dziennej porcji wyżywienia.

Liczba więźniów w obozie wynosiła przeciętnie 2 000 dziennie; co dzień liczono kilkunastu zmarłych.

Jeszcze inny przykład: Police pod Szczecinem, podobóz Stutthofu. Wyruszający z obozu macierzystego pierwszy transport miał w swym składzie więźnia przewidzianego na funkcję lekarza; był nim dyplomowany lekarz *Bolesław Kaczyński* (zmarł po powrocie do Polski). Obóz początkowo mieścił się w szopie i namiotach; wtedy było tylko ambulatorium, potem zaś, gdy wybudowano baraki w Mścięcinie, był blok szpitalny — później rozbudowany. Nie było jednak lekarstw i brakło środków opatrunkowych. Nadzór nad szpitalem miał lekarz hitlerowski, ograniczało się to jednak w pierwszym rzędzie do wypisywania

aktów zgonu; jego podpis widnieje na licznych kartach.

Gdy po kilku miesiącach istnienia podobozu zebrała się zbyt duża liczba chorych, wzięto ich paręset na transport. Na szczęście dla nich był to transport do obozu macierzystego; tu po raz pierwszy wspominam o takim transporcie; były one praktykowane i w innych celach: wprost do komór gazowych lub na inną śmierć. Taki transport „inwalidów" też odszedł z Polic tuż przed ewakuacją podobozu. Chorzy zostali prawdopodobnie wymordowani w lesie sąsiadującym z obozem.

Należy tu jeszcze wspomnieć, że zdarzało się, iż zwłoki więźniów zmarłych w podobozach były bądź odwożone do obozu macierzystego, bądź spalane w krematoriach w pobliskich miastach niemieckich, bądź zakopywane w masowych mogiłach. Świadectwa zgonu — obyczajem powszechnym, stosowanym w obozach koncentracyjnych — podają najbardziej fantastyczne powody zgonu.

Powyższy szkic zagadnienia może zachęci lekarzy — byłych więźniów lub ich chorych w małych obozach — do nadsyłania informacji autorce (Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, Warszawa, al. Ujazdowskie 11). Umożliwi to opracowanie zagadnienia we właściwym rozmiarze i o stosownym pogłębieniu.

KAROL MARIAN POSPIESZALSKI Poznań

Wykaz pracowników Uniwersytetu Poznańskiego zmarłych w czasie wojny[1]

Podstawą opracowania listy strat osobowych Uniwersytetu Poznańskiego są następujące materiały:

1. Odpowiedzi zakładów naukowych i dziekanatów, zebrane w r. 1946 przez prof. dr *J. J. Bossowskiego*; teczka materiałów nosi tytuł: „Straty osobowe i rzeczowe Uniwersytetu Poznańskiego".

2. Sprawozdania nadesłane przez poszczególne zakłady uniwersyteckie w r. 1950 na ręce prof. dra *Zygmunta Wojciechowskiego* jako redaktora Kroniki uniwersyteckiej.

3. Książka *Halszki Szołdrskiej* pt. „Walka z kulturą polską. Uniwersytet Poznański podczas okupacji" (Poznań 1948, wyd. Księgarnia Akademicka); książka ta zawiera zbiór luźnych notatek zebranych przez autorkę oraz kilka sprawozdań opracowanych przez profesorów; materiał przedstawia wartość niejednolitą.

4. Lista strat ogłoszona w sprawozdaniu rektora, prof. dra *Stefana Dąbrowskiego*, pt. „Uniwersytet Poznański 1939—1945" (Poznań 1946, wyd. Księgarnia Akademicka).

5. Odpowiedzi członków rodzin ofiar okupacji hitlerowskiej, których adresy dostarczyła przeważnie profesorowa *Bossowska;* korespondencja zawarta jest w teczce pt. „Materiały do listy strat".

6. Życiorysy ogłoszone w różnych czasopismach naukowych.

7. Ustne wywiady przeprowadzone przez autora listy strat.

Punktem wyjścia badań była lista strat ogłoszona w r. 1946 w sprawozdaniu nie żyjącego już rektora *Dąbrowskiego* (zob. wyżej punkt 4). Każdą jej pozycję zbadano i ewentualnie uzupełniono. Poza tym dodano wiele nowych pozycji. W spisie nie umieszczono współpracowników naukowych, którzy nie byli pracownikami Uniwersytetu. Podano w nim jednak nazwiska studentów, jeśli byli takimi współpracownikami. Listę starano się ustalić przede wszystkim na podstawie informacji rodziny, co nie zawsze było możliwe. Wydrukowany niżej wykaz nie jest zapewne wolny od usterek, a może nawet błędów. Wydaje się jednak, że nie można było osiągnąć większego stopnia dokładności. Zebrane z okazji nowych badań materiały wraz z kartoteką, z której wynika, na jakiej podstawie w poszczególnym przypadku dokonano ustalenia, zostały złożone w archiwum Uniwersytetu Poznańskiego.

Z opisanej listy podaje się tutaj dane dotyczące pracowników medycznych.

3. Wydział Lekarski

Jan Bajoński, dr med., doc. ginekologii i położnictwa, członek Komisji Lekarskiej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, prymariusz Kliniki Położniczo-Ginekologicznej Poznańskiego Samorządu Wojewódzkiego, major rez., powołany do wojska wyjechał dnia 27 sierpnia 1939 r. do szpitala wojskowego nr 2 w Białowieży. Zginął w Katyniu.

Stanisław Chwojka, lekarz, mgr farm., st. asystent Kliniki Chorób Dziecięcych UP, zginął z rąk niemieckich w czasie powstania warszawskiego podczas wykonywania obowiązków lekarskich w Szpitalu Wolskim w Warszawie.

Stefan Horoszkiewicz, dr wszech nauk lekarskich, profesor zwyczajny medycyny sądowej, członek Komisji Lekarskiej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wskutek ciężkich przejść chorował w latach 1940 i 1941 na

[1] Opracowany w r. 1951.

płuca; po śmierci żony, która zginęła z rąk niemieckich w lipcu 1942 roku, zapadł ponownie na zdrowiu i zmarł 12 marca 1945 roku w Krakowie.

Stanisław Kalandyk, profesor zwyczajny fizyki doświadczalnej, dyrektor Zakładu Fizyki Doświadczalnej, dziekan Wydziału Lekarskiego na rok 1939/1940, członek Komisji Matematyczno-Przyrodniczej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, aresztowany dnia 28 października 1939 roku pod zarzutem, że posiadał w Zakładzie nadawczy aparat radiowy, został rozstrzelany w nocy z 28 na 29 stycznia 1940 roku na dziedzińcu Fortu VII w Poznaniu.

Bogusław Józef Kaloshay-Kalusza, dr fil., st. asystent Zakładu Biologii Ogólnej, zmarł dnia 11 maja 1945 roku w Poznaniu. Ciężkie warunki okupacyjne przyspieszyły jego zgon.

Roman Leszczyński, dr wszech nauk lekarskich, profesor nadzwyczajny farmakologii, kierownik Zakładu Farmakologii, zginął na początku 1945 roku w nieznanych okolicznościach.

Zenon Meisnerowski, lekarz, b. st. asystent Zakładu Anatomii Opisowej i Topograficznej, aresztowany w Poznaniu w związku ze sprawą dra *Witaszka*, zginął w więzieniu. Po nim zginęła aresztowana przez Niemców cała jego rodzina.

Leon Padlewski, dr med., emerytowany profesor zwyczajny UP w zakresie mikrobiologii, członek-korespondent Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, członek Komisji Lekarskiej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, aresztowany po wkroczeniu Niemców do Poznania, przebywał w więzieniu przy ul. Młyńskiej, następnie jako zakładnik miasta Poznania na ratuszu, wreszcie wysiedlony do tzw. Generalnej Guberni, zamieszkał w Warszawie i wykładał na Tajnym Uniwersytecie Ziem Zachodnich. Zmarł dnia 8 września 1943 roku na ropne zapalenie płuc w kilka miesięcy po zgonie starszego syna, *Jerzego*, który został stracony w Berlinie w lutym tegoż roku.

Jerzy Panek, asystent-wolontariusz przy Katedrze Chemii Ogólnej Wydziału Lekarskiego, został aresztowany w dniu 15 listopada 1943 roku za udział w pracy konspiracyjnej w Warszawie. Od tego czasu brak pewnych wiadomości o jego losach. Zginął prawdopodobnie w styczniu 1944 roku.

Franciszek Raszeja, dr wszech nauk lekarskich, profesor nadzwyczajny ortopedii, dyrektor Kliniki Ortopedycznej, redaktor „Chirurgii Narządów Ruchu i Ortopedii Polskiej", członek zarządu Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego i Traumatologicznego, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Zwalczania Gośćca, został zamordowany przez Niemców dnia 21 lipca 1942 roku w Warszawie przy ul. Chłodnej 9 (getto) podczas konsylium lekarskiego.

Walerian Sikorski, pułkownik piechoty, kierownik ćwiczeń Studium Wychowania Fizycznego, wizytator szkół średnich, powołany do służby wojskowej zginął bez wieści we wrześniu 1939 roku.

Zbigniew Sikorski, mgr, instruktor Studium Wychowania Fizycznego, powołany do 7 pułku artylerii ciężkiej jako porucznik rezerwy, zginął we wrześniu 1939 roku.

Walerian Spychała, dr med., b. st. asystent UP, kierownik Przychodni Lekarskiej dla młodzieży akademickiej UP, został aresztowany dnia 14 października 1943 roku za przynależność do organizacji konspiracyjnej i zginął dnia 6 listopada tegoż roku w Forcie VII w Poznaniu.

Michalina Stefanowska, dr nauk przyrodniczych Uniwersytetu Genewskiego, profesor fizjologii układu nerwowego i narządów zmysłu, były doc. fizjologii ogólnej Uniwersytetu Genewskiego, członek-korespondent Polskiej Akademii Umiejętności, członek Komisji Lekarskiej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zmarła w Krakowie w ciężkich warunkach materialnych.

Antoni Trzeciewski, dr med., emer. profesor zwyczajny farmakologii, członek Komisji Lekarskiej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w chwili wybuchu wojny przebywał w Zakopanem i tam zmarł w czasie okupacji.

Tadeusz Tucholski, dr fil., docent Politechniki Warszawskiej, kierownik ćwiczeń z zakresu chemii lekarskiej w Uniwersytecie Poznańskim, zginął w Katyniu.

Franciszek Witaszek, dr med., st. asystent higieny w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej, został aresztowany dnia 25 kwietnia 1942 r. w swoim gabinecie lekarskim w Poznaniu przy ul. Wrocławskiej 3 wraz z innymi osobami pod zarzutem kierowania akcją sabotażową i terrorystyczną. Po trzytygodniowym pobycie w siedzibie gestapo przy ul. Ratajczaka przebywał przez 8 miesięcy w Forcie VII w słynnej celi nr 66. Został stracony dnia 8 stycznia 1943 roku.

Leon Zbyszewski, dr wszech nauk lekarskich, profesor fizjologii człowieka, członek Komisji Lekarskiej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członek Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego, zmarł we Lwowie na udar serca dnia 17 kwietnia 1943 roku wskutek złych warunków życia.

Janusz Zeyland, dr wszech nauk lekarskich, doc. pediatrii, adiunkt Kliniki Chorób Dziecięcych, pracował w Szpitalu Wolskim w Warszawie i zginął tam w toku masowej rzezi dnia 5 sierpnia 1944 roku.

Marcin Zieliński, dr fil. i med., profesor nadzwyczajny neurologii i psychiatrii, dyrektor Kliniki Neurologiczno-Psychiatrycznej UP, członek Zarządu Głównego Towarzystwa Psychiatrów Polskich, odznaczony krzyżami *Virtuti Militari*, Walecznych i Niepodległości, został powołany do wojska jako lekarz major rez. i objął kierownictwo szpitala wojskowego w Łodzi, który następnie przeniósł swą siedzibę do Warszawy i Chełma Lubelskiego. Zginął w Katyniu.

Od redakcji

Hitlerowska akcja niszczenia nauki polskiej przybrała szczególnie drastyczne formy w Krakowie, Lwowie i Poznaniu. Hitlerowcy wkrótce po kampanii wrześniowej przystąpili między innymi do likwidacji przede wszystkim profesorów uniwersytetów polskich. Sprawa profesorów krakowskich (*Sonderaktion Krakau*) i lwowskich jest bardziej znana [2]; mniej znany jest los profesorów poznańskich. Krótką informację o Uniwersytecie Poznańskim po wkroczeniu hitlerowców podajemy według książki *T. Cypriana* i *J. Sawickiego* [3]:

„Wojska niemieckie do Poznania wkroczyły dnia 10 września. Natychmiast po zajęciu miasta władze hitlerowskie zajęły gmachy uniwersyteckie, a profesorów zaczęto aresztować w ich własnych mieszkaniach i zwozić do ratusza jako zakładników.

Akcja ta była przygotowana jeszcze przed wybuchem wojny, ponieważ Niemcy posiadali już przygotowane spisy profesorów (na liście były również nazwiska niedawno zmarłych) z adresami. Wskazywała na to również metodyczność aresztowań [4].

Aresztowanych traktowano jako zakładników. Jednym z pierwszych był profesor *J. J. Bossowski*. Wśród zakładników znaleźli się także profesorowie: *E. Taylor, B. Winiarski, L. Padlewski, S. Błachowski, S. Detloff, Z. Wojciechowski* i *S. Kasznica* oraz asystenci: *K. Kolańczyk* i *F. Lipiński*. Ponadto znalazła się tam grupa studentów złożona z dwudziestu osób oraz kilka osób nie związanych z uniwersytetem.

Aresztowani trzymani byli w ratuszu od 11 września do 30 października 1939 roku, potem kolejno w dwóch gmachach gimnazjalnych.

Liczba zakładników ulegała wahaniom, ponieważ jednych zwalniano, a innych aresztowano później. Na ogół było ich przeciętnie 25 do 35; odpowiadali oni swoimi osobami za spokój w mieście.

Na początku grudnia oficjalnie uchylono instytucję zakładników. Wobec tego zatrzymanych profesorów zwolniono, ale wkrótce wielu z nich aresztowano ponownie celem wysiedlenia ich z „Kraju Warty".

W tym samym czasie aresztowano wielu innych profesorów, którzy nie byli zatrzymani jako zakładnicy. Zostali oni osadzeni w więzieniu przy ul. Młyńskiej, w więzieniu policyjnym przy placu Wolności bądź w obozie wysiedleńczym na Głównej (Poznań wschodni). Wśród tych aresztowanych znaleźli się między innymi profesorowie: *Schechtl, Niklewski, Ohanowicz, Moczarski,* ponownie *Padlewski, Witkowski, Tymieniecki* i *Pawłowski*. Wymienieni profesorowie zostali po krótszym lub dłuższym pobycie w więzieniu zwolnieni, z wyjątkiem *Pawłowskiego*, którego przewieziono do Fortu VII i tam zamordowano 6 stycznia 1940 roku [5].

Fort VII, stanowiący pozostałość dawnych fortyfikacji poznańskich, był miejscem kaźni bardzo wielu Polaków, a wśród nich i grupy profesorów. Spośród tych profesorów, których tam umieszczono, pozostał przy życiu jedynie profesor *K. Nowakowski*, wszyscy inni zostali zamordowani. Wśród nich zginęli: profesorowie *R. Paczkowski, S. Kalandyk, E. Klich*; asystenci *K. Chmielewski* i *T. Kuczma*; bibliotekarz *L. Posadzy* i kilku pracowników administracyjnych uniwersytetu; dyrektor Muzeum Wielkopolskiego *M. Pajzderski*; grupa księży oraz sporo osób z kół inteligencji poznańskiej.

Warunki życia w Forcie VII były okropne. Ciemne, wilgotne cele bez okien, surowy reżim więzienny, maltretowanie, nie wystarczające pożywienie i ustawiczne rozstrzeliwanie ludzi pod murami Fortu, co dochodziło do wiadomości aresztowanych, zdających sobie sprawę z tego, że czeka ich taki sam los [6].

Trzecia grupa profesorów znalazła się w obozie wysiedleńczym na Głównej. Umieszczono ich tam w nie ogrzewanych barakach razem z rodzinami, małymi dziećmi, osobami chorymi i starymi. Aresztowanym pozwolono tylko zabrać ręczny bagaż. 30 listopada 1939 roku wywieziono z obozu osiemnastu profesorów wraz z rodzinami w towarowych wagonach do Ostrowca Kieleckiego, gdzie ich wysadzono z pociągu i pozostawiono własnemu losowi.

Wśród wysiedlonych znaleźli się profesorowie: *Bossowski, Kowalski, Sobeski, Ułaszyn, Taylor, Sajdak, Tymieniecki, Moczarski, Silnicki, Dziech, Łabendziński, Niklewski, Ohanowicz, Winiarski, Mayer, Klinger* i *Studniarski*.

Wielu spośród wywiezionych i skazanych na tułaczkę zginęło. Profesor *Sobeski* zmarł w Ostrowcu na zapalenie płuc. Profesorowie *F. Raszeja* i *J. Zeyland* zostali zamordowani

---

[2] Zob. między innymi: *S. Urbańczyk*: w Sachsenhausen i Dachau (w 25 rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich). Przegl. Lek. 1965, nr 1, s. 76. — *J. Miodoński*: Kilka wspomnień o Sonderaktion Krakau 1939. Przegl. Lek., 1963, nr 1, s. 69. — *S. Pigoń*: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940). Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 156. — O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów). Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 53. — *F. K. Walter*: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 50. — *Z. Albert:* Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. Przegl. Lek., 1964, nr 1, s. 58.

[3] *T. Cyprian, J. Sawicki*: Nie oszczędzać Polski. Warszawa 1965, s. 151.

[4] *J. J. Bossowski, K. M. Pospieszalski, K. Tymieniecki, Z. Wojciechowski*: Uniwersytet Poznański na początku hitlerowskiej okupacji. Przegląd Zachodni, 1953, nr 7/8, s. 580.

[5] *H. Szołdrska*: Walka z kulturą polską. Uniwersytet Poznański podczas okupacji. Księgarnia Akademicka, Poznań 1948, s. 5.

[6] *J. J. Bossowski* i inni: o. c.

w Warszawie. Profesor *B. Świderski* umiera po powrocie z obozu w Oświęcimiu. Umierają profesorowie *Cwikliński* i *Stefańska*. Ogółem zginęło wskutek terroru hitlerowskiego 24 profesorów Uniwersytetu Poznańskiego, 15 docentów i 26 asystentów [7]".

Syntetycznie opisana w przytoczonym cytacie dyskryminacja profesorów Uniwersytetu Poznańskiego oczekuje na szersze opracowanie, podobne jak o *Sonderaktion Krakau* i o losie wspomnianych już profesorów lwowskich oraz wileńskich [8].

[7] *T. Cyprian, J. Sawicki*: Sprawy polskie w Norymberdze. Instytut Zachodni, Poznań 1956, s. 257—258.

[8] Zob. między innymi: *S. Mahrburg*: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 86.

HENRYK TYCNER Warszawa

Grupa doktora Franciszka Witaszka w wielkopolskim ruchu oporu

Wśród wielu tysięcy bojowników antyfaszystowskich, którzy polegli w walce z hitlerowskim okupantem w Wielkopolsce, na szczególną pamięć zasługują lekarze i pracownicy służby zdrowia walczący w organizacji dra *Franciszka Witaszka*.



Ryc. 1. Dr *Franciszek Witaszek*

Działalność swoją prowadzili oni w swoistych warunkach, charakterystycznych dla tzw. *Wartheland* („Kraj Warty" — teren Wielkopolski i część województwa łódzkiego). Sytuacja tam panująca wymaga krótkiej charakterystyki.

Mimo włączenia „Kraju Warty" do administracyjnego zasięgu Trzeciej Rzeszy nie wprowadzono tam instytucji *„eingedeutsch"*, czyli automatycznego nadawania obywatelstwa niemieckiego; nie zmuszano do wpisywania się na *volkslistę*, jak to było na Pomorzu i na Śląsku. Ci, którzy po zakończeniu działań wojennych poczuli się Niemcami, musieli się ubiegać o przyjęcie na *volkslistę*, musieli udowodnić swoje niemieckie pochodzenie. W Poznaniu tego rodzaju *volksdeutschów* było w listopadzie 1939 roku około 7 tysięcy [1].

Gauleiter i *Reichsstatthalter Artur Greiser*, jeden z najbardziej fanatycznych i zaciekłych polakożerców, urodzony w Środzie Wielkopolskiej jako syn niemieckich kolonizatorów, uznawał tylko jedną formę rozwiązania sprawy polskiej: *ausrotten* — wyniszczyć. Stosował ją z żelazną, przerażającą konsekwencją od pierwszego do ostatniego dnia okupacji na tym terenie.

Natychmiast po wkroczeniu do Wielkopolski Niemcy rozstrzelali masowo kilka tysięcy Polaków na podstawie list sporządzonych jeszcze przed wojną przez *volksdeutschów* i działające na tych terenach oficjalne i tajne organizacje niemieckie. W wielu wypadkach w wielkopolskich miastach i miasteczkach na rynkach, w obecności spędzonych z mieszkań ludzi, *SS*, *Selbstschutz*, składający się z samych *volksdeutschów*, *Ordnungspolizei* lub *Feldgendarmerie* rozstrzeliwały Polaków bez sądów.

Dobór traconych był bardzo charakterystyczny. Odbywał się on w jednym tylko kierunku: zniszczyć wszystkich bez różnicy prze-

[1] Dane zebrane przez Instytut Zachodni w Poznaniu.

konań i poglądów politycznych, którzy w jakikolwiek sposób kierowali polskim społeczeństwem. Tak więc pod murami kamieniczek na rynkach w Wielkopolsce ginęli obok siebie komuniści i księża, robotnicy i przemysłowcy, socjaliści i chadecy, działacze ruchu ludowego i właściciele ziemscy, starzy spółdzielcy i kupcy. Ginęli inteligenci: lekarze, aptekarze, nauczyciele, weterynarze, urzędnicy, inżynierowie. W ogóle wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób wyróżniali się w danym miasteczku czy okolicy. *Ausrotten* (wyniszczyć) — to było celem tego ludobójstwa.

W Poznaniu tego rodzaju masowe egzekucje wykonywano w Forcie VII, w Lasku Dębińskim, na Sołaczu, w więzieniu przy ul. Młyńskiej, w siedzibie gestapo przy ul. Ratajczaka.

Ta bardzo starannie przygotowana akcja rozpoczęła się już w pierwszych dniach września i trwała aż do grudnia 1939 roku. A więc masowa eksterminacja Polaków rozpoczęła się w Wielkopolsce znacznie wcześniej niż w innych częściach naszego kraju. Później egzekucje odbywały się często w lasach i miejscach bardziej oddalonych od miasteczek i wsi.

Dobór osób na rozstrzelanie, sposób przeprowadzenia aresztowań i to nieraz dosłownie zaraz na drugi dzień po przybyciu wojsk niemieckich do danej miejscowości wskazuje na to, że listy ofiar zostały przygotowane i dostarczone gestapo przed wybuchem wojny.

W pierwszych dniach października 1939 roku Niemcy rozpoczęli masowe wyrzucanie Polaków z mieszkań i gospodarstw rolnych (w ciągu 10 minut, nieraz nawet bez jakiegokolwiek bagażu osobistego). W pierwszych latach okupacji wysiedlono z Poznania do Generalnej Guberni około 90 tysięcy osób, a z terenu Wielkopolski około 150—200 tysięcy mieszkańców. Jednocześnie w mieszkaniach Polaków osiedlono Niemców z krajów bałtyckich, Wołynia i Besarabii [2].

W ten sposób w Poznaniu nie było prawie kamienicy, a na prowincji wsi, w których by nie mieszkało chociaż kilku Niemców. Wszystkie przedsiębiorstwa, sklepy lub warsztaty rzemieślnicze zabrano Polakom.

Równocześnie w obławach ulicznych i wskutek aresztowań kilkadziesiąt tysięcy Polaków znalazło się w ciągu pierwszych dwóch lat w więzieniach i obozach koncentracyjnych lub zostało wywiezionych na roboty do Rzeszy. W latach 1940—1943 na terenie całego *Warthegau* gestapo aresztowało niekiedy dziennie do 2 tysięcy osób, a w samym Poznaniu — do 600 osób.

Zeznania więźniów przebywających w czasie okupacji w poznańskim więzieniu przy ul. Młyńskiej ujawniły także dalsze szczegóły straszliwych zbrodni. W latach 1941—1944 niektórzy więźniowie, znajdując się w celach w pobliżu miejsca straceń, nie mogli zasnąć z powodu łoskotu uderzeń 70-kilogramowego noża gilotyny. W te bezsenne noce liczyli oni uderzenia. Było ich niekiedy do siedemdziesięciu. A w tych latach egzekucje odbywały się w każdą noc z wyjątkiem nocy z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek.



Ryc. 2. Głowa dra *Franciszka Witaszka*, odcięta przez Niemców w Zakładzie Anatomii w Poznaniu i przechowana przez Polaka, woźnego w tym zakładzie

Wymowne są liczby. W Wielkopolsce znajdowało się 28 wielkich więzień, 3 wielkie obozy przesiedleńcze, 2 wielkie obozy karno-śledcze, 4 filie obozów koncentracyjnych, 67 większych obozów koncentracyjnych, 8 gett, 1 obóz masowej zagłady.

Polski ruch oporu w Poznaniu i w Wielkopolsce był zmuszony do szukania specjalnych metod walki z bezwzględnym okupantem, bezkarnie mordującym Polaków. Stała i szeroka penetracja społeczeństwa polskiego przez Niemców, niczym nie hamowane sposoby niszczenia okupowanej ludności, brak w Wielkopolsce wielkich obszarów leśnych, nadających się do prowadzenia partyzantki — pogarszały sytuację podziemia polskiego. Nic więc dziwnego, że pierwsze próby zorganizowania ruchu oporu w sposób, jaki obserwowaliśmy w Generalnej Guberni, skończyły się nie tylko rozbiciem, ale niemal całkowitym wyniszczeniem wszystkich członków tego rodzaju organizacji.

[2] *Wolfgang Wachtsmuth* w książce pt. „*Wege, Umwege, Weggenossen*" podaje, że z samej tylko Łotwy przybyło do Wielkopolski 50 tysięcy Niemców. Z tego 27 000 zamieszkało w Poznaniu.

Nie do wyjątków należało, że np. z 30 aresztowanych konspiratorów — 29 zostało ściętych. Masakry te były spowodowane nie zawsze nieostrożnością, zdradą, czy sprawnym działaniem gestapo. Niemcy przez samą swą liczbę i rozlokowanie wśród Polaków mieli możność obserwowania ich w każdej niemal chwili.

Ocenę sytuacji pod tym względem daje także praca ppłk mgr *Józefa Garasa* [3]. Stwierdza on między innymi: „Wymiar sprawiedliwości w stosunku do ludności polskiej nosił wszelkie cechy legalnego terroru. Sądy niemieckie wydawały ciężkie wyroki za wszystkie, nawet najbardziej błahe «przestępstwa». Kara śmierci groziła za potajemny ubój sztuki bydła, nawet na własne potrzeby, za przenocowanie obcego, a w niektórych wypadkach za nieprzybycie do pracy" [4]. „Po czterech latach akcji kolonizacyjnej w Wielkopolsce w posiadaniu chłopów polskich była tylko jedna trzecia gruntów użytkowych. Zwęziła się więc ogromnie baza terenowa, która na innych obszarach kraju stanowiła oparcie dla prowadzenia walki wyzwoleńczej" [5]. „Polski ruch konspiracyjny w Poznańskiem napotkał na szczególne trudności. W miastach i wsiach tej dzielnicy Polski zamieszkiwała pewna ilość Niemców, dawniej tu osiadłych, znających teren i ludzi. Żywioł niemiecki wzmocnił się jeszcze wskutek napływu przesiedleńców w okresie wojny. Współdziałanie licznych Niemców cywilnych z żandarmerią, policją i organizacjami hitlerowskimi sprawiło, że każdy Polak mógł być łatwo inwigilowany przez okupanta" [6].

Podziemie polskie znalazło się więc w sytuacji przymusowej i musiało się zdecydować na takie środki walki z przeciwnikiem bez skrupułów niszczącym ludność polską, które by rokowały widoki powodzenia. Sięgnąć więc musiano po taką broń, jak trucizny [7]. Było to w Wielkopolsce koniecznością. „Warunki na ziemiach tych były na tyle odmienne i gorsze, że jedynie te zasady walki cywilnej, które dotyczyły zachowania opornej i nieugiętej postawy, sabotażu rozporządzeń okupanta i tak zwanego «małego sabotażu» (np. niedbała obsługa maszyn w fabrykach, nadmierne zużywanie surowca) mogły tam być przestrzegane. O akcjach tego typu, co w Generalnej Guberni, przynajmniej niektórych, nie mogło być mowy" [8].

Z tych właśnie powodów kierownictwo organizacji „witaszkowców" przyjęło zupełnie inne, jak najbardziej utajone, a równocześnie radykalne metody i specjalnie silną broń. Chodziło o podjęcie akcji hamującej i paraliżującej śmierć zadawaną przez Niemców całemu narodowi.

Dowódcą tej organizacji był dr *Franciszek Witaszek*, młody, liczący w chwili wybuchu wojny 31 lat, wyjątkowo uzdolniony lekarz, patriota i społecznik. Od jego nazwiska nazwano później całą grupę „witaszkowcami".

Przed wojną był on asystentem Zakładu Higieny i Medycyny Społecznej, uruchomił mały zakład „Polski Catgut", produkujący jako jedyny wówczas w kraju struny operacyjne do szycia ran. Pracując naukowo w Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej Uniwersytetu Poznańskiego, dr *Witaszek* odkrył krótko przed wojną tzw. *clarovac*, środek umożliwiający wieloletnie konserwowanie owoców i warzyw. Poza tym pracował społecznie w zawodowych organizacjach lekarskich.

Gdy wybuchła wojna i Niemcy weszli do Poznania, odebrano mu oczywiście zakład, wyrzucono z mieszkania (co zresztą uchroniło go od natychmiastowego wywiezienia do Generalnej Guberni) i pozbawiono możliwości kontynuowania jakiejkolwiek pracy naukowej. Rozpoczął więc praktykę lekarską, jeżdżąc rowerem do najodleglejszych dzielnic miasta. Tam gdzie wiedział, że jest bieda, nigdy nie pobierał żadnej zapłaty. Dziś można jeszcze w Poznaniu spotkać ludzi, którzy opowiadają o bezinteresownej pomocy, udzielanej im przez doktora *Witaszka*.

Nędza, niesłychanie ciężkie warunki mieszkaniowe, brak opału, więcej niż mizerne wyżywienie powodowały, że wśród Polaków zaczęły się szerzyć choroby zakaźne. Dr *Witaszek* wraz z grupą polskich lekarzy rozpoczął natychmiast akcję potajemnego szczepienia, kontynuując ją zresztą aż do chwili aresztowania [9].

Nawiązany przez grupę lekarzy kontakt z ZWZ zrodził w kierownictwie tej organizacji myśl produkcji środków walki z Niemcami. Było to już po kilku hitlerowskich akcjach likwidacji polskich organizacji podziemnych. Na murach miasta coraz częściej ukazywały się czerwone plakaty z nazwiskami Polaków skazanych na śmierć, za błahe nieraz przewinienia. Zwiększyła się także liczba Niemców w mieście do tego stopnia, że trudno było zorganizować właściwie działający, ściśle wojskowy ruch oporu.

Już w pierwszych miesiącach okupacji organizacja znała plany całkowitej eksterminacji

[3] *J. Garas*: Oddziały Gwardii i Armii Ludowej w obwodzie łódzkim. „Wojskowy Przegląd Historyczny", 1962, nr 1. — *„Warthegau"* obejmował część województwa łódzkiego wraz z miastem Łodzią, Wielkopolskie i Poznań; w układzie organizacyjnym GL i AL należały do obwodu łódzkiego tych organizacji.

[4] Tamże, s. 193.

[5] Tamże.

[6] Tamże, s. 202.

[7] W czasie szukania materiałów w archiwach autor niniejszej pracy natrafił na ślady organizacji działających na innych terenach Polski w podobny sposób (między innymi „Związek Odwetu" w Cieszyńskiem, który otrzymywał preparaty z Krakowa, organizacje AK w Mielcu oraz Rzeszowie). Zob. też: *S. Kłodziński*: Rola trucizn jako *ultimum refugium* w obozie w Oświęcimiu. Przegl. Lek. 1964, nr 1, s. 122.

[8] *S. Korboński*: W imieniu Rzeczypospolitej... Instytut Literacki, Paryż 1954, s. 121.

[9] Autor niniejszego opracowania był również szczepiony przez dra *Witaszka* na kilkanaście dni przed jego uwięzieniem. Na propozycję zapłaty usłyszał: „Uważam, że to jest mój obowiązek pomagać Polakom bezinteresownie".

i wyrzucenia wszystkich Polaków z tego terenu i zupełnego zgermanizowania Wielkopolski. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Przed Niemcami, którzy łamali prawo międzynarodowe i nie przebierali w środkach zagłady okupowanego narodu, należało bronić się możliwie najskuteczniej. Istnienie narodu było w najwyższym stopniu zagrożone przez hitlerowskich zbrodniarzy, toteż do walki z nimi stanęli ludzie, którzy nigdy nie walczyli i nie zadawali człowiekowi śmierci, a teraz musieli spełnić swój święty obowiązek, przystępując do akcji przeciw okupantowi.

Rozmowy na temat podjęcia skutecznej walki, a przede wszystkim stworzenia organizacji, która by mogła akcję taką prowadzić, rozpoczęły się już w pierwszych miesiącach 1940 r. w gabinecie lekarskim dra *Witaszka*, mieszczącym się wówczas przy ul. Zamkowej. Wzięły one swój początek, jak w wielu podobnych wypadkach, od czytania tajnych gazetek i słuchania radia. Jednym z rozmówców i dyskutantów był zaprzyjaźniony z drem *Witaszkiem* również młody, bardzo energiczny człowiek i wielki patriota, dr *Henryk Günther*.

Po kilku naradach z odpowiedzialnymi osobami, posiadającymi najwyższy autorytet moralny na tym terenie, zostaje ostatecznie zaakceptowany plan produkcji środków niszczących i założenia laboratoriów, z których jedno miało między innymi dostarczać także bakterii. Ustalono przy tym wówczas prawdopodobnie, że będą one aplikowane tym Niemcom, bonzom hitlerowskim, o których wiadomo na podstawie sprawdzonych informacji, iż w najbliższym czasie wyjeżdżają na front.

W jakiś czas po tych naradach zaczyna zmieniać się tryb życia dra *Witaszka*. Ku zdumieniu żony i znajomych dotychczas nigdy nie palący lekarz kupuje sobie bogatą kolekcję fajek o najróżniejszych kształtach. Kilka z nich nosi stale przy sobie, zmieniając niespodziewanie prostą długą angielską na małą zakrzywioną lub ogromny cybuch. Dziś wiadomo, że przy ich pomocy, w omówiony sposób podawał sygnały osobom, z którymi łączyła go wspólna działalność przeciwko okupantowi.

Czasem w swoim gabinecie lub też w maleńkiej knajpce przy ul. Strzeleckiej albo w aptece przy obecnej ul. A. Lampego, a czasem na ulicach dalekich dzielnic Poznania spotykał się z łącznikami: *Czesławą Milian, Szwarcówną, Marią Gaussową* i *Mimi Cegłowską*, przekazując polecenia dla poszczególnych grup działania, wysłuchując sprawozdań lub zaopatrując w tajemnicze, niszczące środki. Łączniczki przekazywały je dalej poszczególnym członkom organizacji.

W tej chwili trudno stwierdzić, które z zakonspirowanych laboratoriów powstało pierwsze. Było to prawdopodobnie laboratorium u rodziny *Górznych* przy ul. Kwiatowej. Przeprowadzone w czasie okupacji badania i doświadczenia doprowadziły dra *Witaszka* do skomponowania kilku środków nie wywołujących objawów zatrucia, ale dokonujących w organizmie powolnego spustoszenia, które kończyło się zawsze śmiercią. Jeden z tych środków powodował, nawet po jednorazowej dawce, powolne, ale nieodwracalne niszczenie śledziony lub nerek i po około dwóch miesiącach zgon. Natomiast drugi działał na serce, doprowadzając po jakimś czasie do nagłego zaprzestania czynności układu krążenia.

Była to więc broń niepozorna, nieefektowna, cicho działająca, ale niesłychanie celna i gotująca nieodwracalnie śmierć, a więc odpowiedź za tysiące mordowanych w kaźniach i powolnie niszczonych Polaków.

Ze względu na znaczenie mieszkania *Górznych*, a przede wszystkim z uwagi na ogromne niebezpieczeństwo, rodzina ta z polecenia ruchu oporu podpisała tzw. *volkslistę*. Asystentką dra *Günthera* w tym laboratorium była młodziutka ich córka, *Sonia Górzna*. Pomagał w niektórych sprawach jej narzeczony, *Henryk Rakowski*.

Laboratorium zamaskowano w łazience, gdzie — pracując przy pomocy prymitywnego sprzętu — wiele godzin spędziło kilku jeszcze naukowców.

Drugie laboratorium mieściło się w kuchence mieszkania *Wojciecha Skrzypka* przy ul. Piekary. Pracował tutaj dr *H. Günther*, chemicy *Lucjan Nowicki* i *Zenon Pluciński* oraz jeszcze kilka osób. W tym laboratorium rozwinięto przede wszystkim produkcję miniaturowych bomb termicznych. Mimo iż puszki i pudełka były bardzo niewielkie, ładunek w nich umieszczony mógł łatwo podpalić nawet trudno zapalne materiały.

Tutaj też wytwarzano według wskazań dra *Witaszka* substancję, która dodawana do paliw, powodowała szybką korozję, a co jeszcze ważniejsze, zmiany strukturalne w metalach, z których były zbudowane silniki spalinowe.

W laboratorium u *Wojciecha Skrzypka* przygotowano specjalne gwoździe, które rozsypane na drogach przebijały opony samochodów, co w wielu wypadkach kończyło się katastrofami, pociągającymi za sobą śmierć Niemców.

Kilkuosobowa grupa pracowała przez dłuższy czas z największym narażeniem życia. Nie tylko bowiem wykrycie laboratorium było niebezpieczne, ale jeden nieostrożny ruch mógł przecież spowodować nagłą eksplozję lub olbrzymi pożar. Dalsze laboratorium umieszczono w warsztacie elektrotechnicznym *Mariana Spychały*. Produkowano tutaj także pewne ilości środków dodawanych następnie do benzyny.

Bomby termiczne produkował również inż. *C. G.*[10] Termit otrzymywał bezpośrednio od dra *Witaszka*, a zapalniki produkował w fabryce akumulatorów w Mechowie, gdzie równocześnie montował bomby.

Nieocenione usługi oddawała organizacji laborantka *Helena Siekierska*, która jako jedyna Polka pracowała w Zakładzie Bakteriologii.

Do chwili obecnej nie można stwierdzić,

[10] Prosił on o nieopublikowanie jego nazwiska, stwierdzając: „Chwała należy się tym, którzy polegli".

gdzie się odbywała produkcja szczepionek powodujących niezdolność koni do wykonywania jakichkolwiek prac (było to ważne, bo mimo wysokiego stopnia zmotoryzowania, *Wehrmacht* używał wielkiej liczby koni jako siły pociągowej) oraz bardzo silnych środków, zakażających zboże.

Czy ich skład chemiczny był dziełem dra *Witaszka*, trudno stwierdzić. Nikt z pozostałych przy życiu konspiratorów ani też skąpe materiały, opublikowane dotychczas w polskiej prasie, nie wyjaśniają tej sprawy. Być może, środki te wytwarzano w szóstym laboratorium, które, jak mówi nie sprawdzona wersja, istniało w jednej z poznańskich fabryk chemicznych.

Siła tej organizacji, mimo iż miała stosunkowo niewielu członków, była więc bardzo duża.

Ruch oporu stworzony przez dra *Witaszka* miał jeszcze jedną zaletę: był bardzo dobrze zorganizowany. Należeli do tej organizacji naukowcy, lekarze, laboranci, aptekarze, inżynierowie, kolejarze, kelnerzy. Grupa kelnerów składała się z dwóch części. Jedni pracowali w lokalach niemieckich. Wykonywali wyroki na gestapowcach, oficerach *Abwehry* i Niemcach specjalnie szkodliwych dla Polaków oraz prowadzili akcję odwetową w stosunku do oficerów rezerwy powołanych na front. Drudzy mieli szczególnie trudne i odpowiedzialne zadanie: likwidację konfidentów gestapo, których wielu kręciło się w paru lokalach dozwolonych dla Polaków.

Marian Schlegel, pracujący w restauracji „Cechowa", wykonał kilka wyroków na konfidentach i urzędnikach niemieckiej administracji okupacyjnej. *Stanisław Witkowski*, niepozorny, skromny i cichy człowiek, a równocześnie niezwykle odważny i zdecydowany, był kelnerem w kawiarni przy Alei Marcinkowskiego. Na rozkaz kierownictwa organizacji wykonał on kilka wyroków śmierci na gestapowcach, oficerach *Abwehry* i konfidentach. Mimo niesłychanie trudnych warunków spełniał spokojnie każdy, najtrudniejszy rozkaz. Pomagał mu w tym młodziutki kelner, *Hieronim Szepke*.

Do niemniej trudnych zadań należało podkładanie bomb termicznych do wagonów ze sprzętem wojskowym. Tego rodzaju transporty były zazwyczaj starannie pilnowane, a czasem w wagonach tkwili ukryci konwojenci, uzbrojeni w broń maszynową.

Prawdziwym majstersztykiem musiał być zapalnik, skonstruowany w bardzo prymitywnych warunkach przez jednego z członków organizacji. Zapalał on bowiem ładunek po bardzo długim czasie (prawdopodobnie nieraz po kilku, a czasem nawet po kilkunastu godzinach). Pożar wybuchał zwykle daleko od Poznania, co dezorientowało tak *Abwehrę*, jak i gestapo w poszukiwaniu sprawców.

Widomym znakiem tej działalności były spalone wagony, kilkakrotnie zwlekane z tras w r. 1941, a więc jeszcze przed wybuchem wojny ze Związkiem Radzieckim. Każde bombardowanie przeprowadzone przez aliantów (chociażby nawet jedna zrzucona bomba) na wschód od Odry stanowiły wówczas wielką sensację. Toteż można sądzić, że te akty dywersji wykonali „witaszkowcy".

Piszący te słowa kręcił się w latach wojny codziennie po terenach kolejowych w Poznaniu, a o jednym takim wypadku dowiedział się właśnie na poznańskim dworcu towarowym, przysłuchując się rozmowie trzech niemieckich kolejarzy. Z tego, co mówili, niedwuznacznie wynikało, iż pożar wybuchł nagle w bardzo starannie ochranianym przez Niemców pociągu. Wybuchająca amunicja spowodowała zniszczenie kilkunastu wagonów.

Faktem również jest, że jesienią 1941 roku z kilku większych zbiorników benzyny specjalna komisja niemiecka pobierała próbki do badań. Zjawiała się ona zwykle w towarzystwie oficera *Sicherheitsdienstu*. Badania te mogły mieć związek z prowadzoną przez „witaszkowców" akcją dywersyjną.

Można także stwierdzić na pewno, że inż. *C. G.* wspólnie z grupą kolejarzy wysadził w czternastu wypadkach wagony i części pociągów, załadowanych amunicją lub sprzętem wojskowym. To było prawdopodobnie przyczyną, iż gestapo, nie mogąc opanować sytuacji, spowodowało, że na pewien czas zmieniono trasy przebiegu transportów. Wówczas polscy kolejarze dowozili bomby na inne trasy do pociągów.

Wincenty Daroszewski, zajmujący się w czasie okupacji handlem domokrążnym (w rzeczywistości zaś realizowaną według planów inż. *Stanisława Karolczaka* dywersją, prowadzoną aż do chwili rozpoczęcia aresztowań), może poszczycić się znaczną liczbą podrzuconych bomb termicznych, wyprodukowanych w laboratorium u *Skrzypka*.

Wiadomo także, że w drugiej połowie 1941 r. w okolicach Poznania wydarzyło się kilka poważnych katastrof samochodowych i że w owym czasie *Schutzpolizei* bardzo silnie patrolowała drogi w tym rejonie *Warthegau*.

Wspomniana już *Helena Siekierska*, nazywana *Lusią*, młoda, o ujmującej dziewczęcej urodzie laborantka, była przykładem niezwykłej odwagi i bohaterstwa. Pracując jako jedyna Polka w Zakładzie Bakteriologii ówczesnego uniwersytetu niemieckiego, zorganizowała sama jedna przy stałej obecności kilkunastu Niemców hodowlę drobnoustrojów chorobotwórczych.

Mimo ciągłej obserwacji i wielkiej podejrzliwości personelu niemieckiego, narażając swe życie, wyniosła kilkadziesiąt razy pokaźne zasoby ampułek z surowicą do szczepień. Tę ostatnią na polecenie dra *Witaszka* wysyłała już od połowy 1940 r., używając oficjalnych opakowań zakładu, do znajomych lekarzy — do Gdańska, Lublina, Warszawy i Łodzi. Wersja mówiąca, iż część tych szczepionek została następnie przemycona w Gdańsku do Stutthofu, a w Warszawie i Łodzi — do dzielnic żydowskich, ma pewne cechy prawdopodobieństwa.

Wypadki, które się później potoczyły, świadczą też o tym, że na ślad znajdującej się w Mosinie oddzielnej grupy „witaszkowców" gestapo wpadło chyba dosłownie kilka dni przed rozpoczęciem aresztowań. „Sprawa mosińska" wymaga jeszcze wielu żmudnych badań. Ludzie z tej grupy mieli, jak się sądzi, możliwość dotarcia do magazynów zbożowych *Wehrmachtu* i transportów kolejowych, przewożących do *Reichu* żywność zarekwirowaną z *GG* i *Warthegau*.

Te przejawy natężającej się akcji podziemnej musiały oczywiście poważnie zaniepokoić władze okupacyjne, a przede wszystkim gestapo. Jednym z prowadzących śledztwo (a może kierującym nim) w sprawie „witaszkowców" był „zasłużony" w wykrywaniu polskich organizacji podziemnych gestapowiec *Karl Zeissner* (lub *Zeiske*, albo też *Zeichner*). Dokładne brzmienie nazwiska tego niesłychanie przebiegłego gestapowca z pewnością uda się ustalić podczas dalszych badań działalności „witaszkowców". Średniego wzrostu, lat około 40—45, atletycznie zbudowany, trochę łysawy, ze szramą na prawym policzku, lekko czerwonawy na twarzy, jeździł on często czarnym, 8-cylindrowym *fordem V-Köln*. W śledztwie potrafił przesłuchiwać swą ofiarę przez kilkanaście godzin. Współdziałał z nim prawdopodobnie gestapowiec *Holbe*. Do r. 1942 zdekonspirował on (lub brał w tym bardzo czynny udział) sześć polskich organizacji. Na rozprawach *Sondergerichtu* przeciwko grupie podziemnej *F. Wojciechowskiego* w Poznaniu i *M. Zaborowskiego* padało jego nazwisko jako prowadzącego śledztwo. On również w czasie przesłuchiwań zakatował na śmierć członka jednej z polskich organizacji, *Petermana*. Spośród dalszych gestapowców można wymienić *Felsa*, *Marka*, *Lorentza*, *Schneidera* i *Schaumberga* jako tych, którzy prawie na pewno współdziałali z *K. Zeissnerem*.



Ryc. 3. Dom przy ul. Wrocławskiej 5 w Poznaniu, gdzie w czasie okupacji ordynował dr *Franciszek Witaszek*. W tym domu gestapo aresztowało go w piątek 25 kwietnia 1942 r.

W 1941 r., kiedy organizacja już działała, dr *Witaszek* przenosi swój gabinet na ul. Wrocławską nr 5 do mieszkania *Walentyny Wizowej*. Pani *Wizowa* i jej syn, *Tadeusz* wynajmują jeden pokój dr *Witaszkowi*, który tu ordynował na zmianę z dr *Franciszkiem Pokorą*. Pani *Wizowa* zamieniała w ciągu dnia swój pokój na poczekalnię.

Tak trwało to wszystko do roku 1942. Bardzo starannie i coraz wnikliwiej dokonywane sekcje zwłok „nagle" zmarłych Niemców świadczą o tym, że gestapo prowadziło żmudne, na długi okres czasu planowane śledztwo.

Pierwszym śladem dla gestapowców była śmierć konfidenta, na którym wykonano wyrok w restauracji przy Moście Uniwersyteckim. Konfident ten „rozpracował" jedną z komórek organizacji poznańskich i spowodował zamordowanie przez gestapo kilku Polaków. Po podaniu mu preparatu organizm konfidenta zareagował tak szybko, że *gestapo* mogło stosunkowo łatwo ustalić miejsce, gdzie wykonano na nim wyrok. Dlatego też kelner ten musiał ratować się ucieczką.

Trudno jeszcze w tej chwili stwierdzić, czy wypuszczenie aresztowanych po tym fakcie ludzi jest rzeczywiście dowodem, iż gestapo uwierzyło wówczas w zmyśloną historyjkę, jakoby był to osobisty akt zemsty. Jest także możliwe, iż — jak mówi inna wersja podawana przez jeden z naszych tygodników — gestapo, nie mając jeszcze w pełni rozszyfrowanej organizacji, przeszło nad śmiercią konfidenta do porządku dziennego.

Natomiast faktem jest, że likwidacja w kawiarni przy Alei Marcinkowskiego postawiła na nogi cały aparat *gestapo* i *Abwehry*. Według dotychczasowych, niepełnych jeszcze stwierdzeń akcja ta miała następujący przebieg:

Kierownictwo organizacji otrzymało w połowie r. 1941 drogą radiową meldunek, że z Francji przybywa do Poznania pięciu wybitnych i bardzo niebezpiecznych oficerów *Abwehry*, którzy będą przez kilka dni w mieście i prawdopodobnie potem udadzą się dalej na wschód lub południowy wschód. Dowódcą tej grupy będzie wyższy stopniem oficer *Horst*.

Krótko przed ich przybyciem do Poznania odebrano jeszcze jeden szyfrowany meldunek, który polecał za wszelką cenę zlikwidowanie całej piątki. W dwa dni później udało się stwierdzić, że poszukiwani oficerowie niemieckiego wywiadu są już w Poznaniu. Dalsza obserwacja pozwoliła ustalić, że po zakończeniu przez nich pracy przychodzą oni codziennie do kawiarni „Cafe Sim" przy Alei Marcinkowskiego, w której pracuje dwóch „wi-

taszkowców", *Stanisław Witkowski* i *Hieronim Szepke*. Gdy przekazano drogą radiową wiadomość o wykryciu piątki z *Abwehry*, zaczęły napływać coraz to gwałtowniejsze nalegania o szybkie ich zlikwidowanie.

Wreszcie przychodzi dzień, w którym akcję trzeba bezwzględnie przeprowadzić, ponieważ za cztery dni oficerowie mają opuścić Poznań. Należało się spodziewać, że zajęci przygotowaniami do podróży mogą w ostatnich dniach nie zjawić się w kawiarni.

W momencie, gdy zajmują miejsca przy stoliku, jest już przy nich *Stanisław Witkowski*. Oficerowie zamawiają pięć kaw. *Witkowski* udaje się do przylegającego do sali kawiarnianej pomieszczenia, gdzie odbiera z kuchni pięć kaw w filiżankach. Jest przy nim jego kolega, *Hieronim Szepke*. Gdy kawy stoją na tacy, obaj kelnerzy wyjmują z kieszeni fiolki i wsypują w równej ilości biały proszek, powodujący po kilku dniach zaprzestanie działania serca. Dawki są bardzo silne i tak obliczone, że śmierć jest nieuknikniona.

Tacę bierze *Szepke*, a za nim idzie *Witkowski* z cukrem, aby pod tym pozorem sprawdzić, czy kolega poda kawę właściwym osobom. W chwili, gdy stają obaj u wejścia do sali kawiarnianej, widzą sytuację, która ich przeraża. Przy stole siedzi nie tylko pięciu oficerów *Abwehry*, ale jeszcze trzy cywilne osoby. Jest prawie pewne, że oficerowie dżentelmeńsko odstąpią swe kawy cywilom i tym samym trzech z nich ujdzie wyrokowi organizacji podziemnej.

Obaj kelnerzy wycofują się z powrotem z sali kawiarnianej. Moment jest drastyczny i pełen napięcia, bo w każdej chwili może wejść tutaj Niemiec, właściciel kawiarni. Poza tym nie mają już więcej proszku.

Witkowski wychodzi na salę i dowiaduje się przy stoliku oficerów, że siedzący tam cywile, którzy są bezspornie Niemcami, też zamawiają kawę. Po powrocie kelner pobiera w kuchni jeszcze dodatkowo trzy kawy. Chwyta dzbanek i wlewa do niego kawę z filiżanek. Idzie teraz pierwszy z tacą pełną filiżanek, a za nim *Szepke* z dzbankiem i cukrem. W chwili gdy znaleźli się już w sali, zatrzymuje ich nagle Niemiec, właściciel kawiarni.

— Jak wy podajecie kawę? W naszym zakładzie goście otrzymują kawę od razu w filiżankach! Ostatni raz toleruję takie rzeczy! — mówi groźnie Niemiec i na szczęście odchodzi.

Wreszcie kawa jest już rozlana w filiżankach na stole. Obaj kelnerzy szybko wychodzą do pomieszczenia obok sali. Są spoceni, zdenerwowani i niezmiernie zmęczeni. Pierwszy opanowuje się *Witkowski*. Wychodzi znów na salę i gdy po chwili wraca, rzuca krótko *Szepkemu*:

— Wszystko w porządku. Chyba się udało.

Kelnerzy, obsługując nowych gości, obserwują równocześnie oficerów. Ci po chwili wychodzą z kawiarni.

O tym, co się zaczęło dziać w dwa dni potem, dwaj bohaterscy kelnerzy nic nie wiedzieli. A wypadki potoczyły się szybko. W drugim dniu po wypiciu kawy w kawiarni przy Alei Marcinkowskiego umierają — jako pierwsze — dwie osoby cywilne. Nie wzbudziło to jednak jeszcze konkretnych podejrzeń. Dopiero w następnym dniu, gdy pożegnali się z tysiącletnią Rzeszą następna osoba cywilna i jeden z oficerów *Abwehry*, zaczyna się najpierw w miejscowej ekspozyturze wywiadu, a następnie w *gestapo* wprost niesamowita akcja, mająca na celu wykrycie wykonawców wyroku. Zostaje zarządzone dokładne zbadanie zwłok czterech „nagle" zmarłych.

Późno w nocy, prawdopodobnie profesorowie *Voss* i *Pensold* przekazują wyniki analiz gestapo. Nie znamy treści tych rozmów. Jednak musiały one zaalarmować tak *gestapo*, jak i *Abwehrę*, tym bardziej że w tych właśnie godzinach zmarł następny oficer wywiadu Trzeciej Rzeszy. Zbadano więc natychmiast pozostałych przy życiu trzech oficerów *Abwehry*. Konsylium najlepszych poznańskich lekarzy niemieckich orzekło, że oficerowie ci są absolutnie zdrowi i nic im nie zagraża.

Zmobilizowano do śledztwa nie tylko wszystkich gestapowców i pracowników *Abwehry*, ale wciągnięto także policję kryminalną. Rozpoczyna się drobiazgowe dochodzenie, prowadzone wspólnie przez *Abwehrę* i *gestapo*. Uczestniczą w nim także trzej pozostali przy życiu amatorzy kawy. Analizują oni każdy, najdrobniejszy szczegół z ostatnich kilku dni. Wreszcie przypominają sobie, że wszyscy wspólnie byli na kawie przy Alei Marcinkowskiego. Natychmiast zostaje doprowadzony właściciel lokalu. Zastanawiając się nad zadawanymi pytaniami, przypomina sobie tylko jeden szczegół. Kawę podawał *Witkowski* (o obecności przy tym *Szepkego* przypomniał sobie później) i to w dodatku w dzbanku, a nie jak zwykle w filiżankach. Od razu podchwytują to prowadzący śledztwo. *Witkowski* zostaje aresztowany. W momencie, gdy gestapowcy wywlekają go z auta przed Domem Żołnierza, pozostali trzej oficerowie *Abhwery* już nie żyją. Rozkaz został wykonany.

Rozpoczyna się teraz powtórne śledztwo. Gestapowcy mimo dokładnej rewizji nie znaleźli u *Szepkego* schowanych sześciu pastylek trucizny, które przygotowane były na wypadek, gdyby nie było można wytrzymać tortur. Połyka jedną, po dwóch godzinach drugą i czeka na śmierć. Wybrał ją dobrowolnie, aby nie zdradzić towarzyszy w czasie nieludzkich tortur. Wybawienie jednak nie nadchodzi. Połyka więc jeszcze jedną, a po chwili dalsze dwie. Niestety, trucizna nie działa. Pomyłka, przeoczenie, świadomy błąd?

Młody chłopak nie zastanawia się nad tym. Wygniata szkło z judasza i przecina sobie żyły. Poranna kontrola cel, przeprowadzona przez gestapowca, wykrywa fakt samobójstwa. Natychmiastowa transfuzja przywraca *Szepkemu* przytomność. Następnego dnia przegryzł sobie żyły na przegubach rąk, ale i wtedy gestapo przeszkodziło mu w śmierci. Swoją męczeńską drogę musiał przejść do końca.

W kwietniu 1942 roku było zimno. Padał

na przemian to deszcz, to śnieg. We czwartek, 24 kwietnia 1942 roku około godziny 18 w drzwiach gabinetu dra *Witaszka* stanęło dwóch rosłych mężczyzn. Krótkie warknięcie: *„Geheime Staatspolizei"*. A potem kilka pytań, zadawanych w dość uprzejmym tonie. Jedno z nich brzmiało:

— Czy się u pana doktora leczył (tu nazwisko nie ustalonego dotychczas łącznika, *„Edka"*)?

Przejrzeli kartotekę chorych, a ze szczególnym zainteresowaniem kartę *„Edka"*. Po chwili poszli, pozostawiając dra *Witaszka* w stanie najwyższego napięcia nerwów.

Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że *gestapo* zaciska krąg wokół organizacji. Tego dnia dr *Witaszek* przeprowadza z jednym ze swych najbliższych towarzyszy, *Marianem Spychałą*, zasadniczą rozmowę o sytuacji, jaka zaistniała.

Były dwie możliwości. Jedna — to przypuszczenie, że *gestapo* ciągle szuka po omacku i wtedy należy bezwzględnie zostać, aby swą ucieczką nie potwierdzić ich niepewnych informacji i nie zdekonspirować organizacji. Druga możliwość, to: *gestapo* jest na tropie, wie bardzo wiele i należy natychmiast, nie wracając do domu, uciekać i to najlepiej do Generalnej Guberni. Ale wtedy nie starczy czasu na ostrzeżenie innych. Poza tym *gestapo* zaaresztuje, a może nawet zniszczy po jakimś czasie całą rodzinę (co było w wypadkach ucieczek często praktykowane). To ostatnie wyjście nie mogło więc być przyjęte.

Dr *Witaszek* zdawał sobie sprawę, że nie może w żadnym wypadku nie ostrzec swoich współtowarzyszy. To było jego obowiązkiem, który spełnił.



Ryc. 4. *Czesława Milian* (trzecia od lewej) w towarzystwie rodziców i męża, majora *Miliana* (obecnie pułkownika) w 1938 r.

Autor tego opracowania doskonale sobie przypomina, że w piątek 25 i w sobotę 26 kwietnia łączniczka *Czesława Milianowa*, z którą pracował w jednej z niemieckich firm, niezwykle skrupulatnie przeglądała kilkakrotnie każdy papierek w swoim biurku i w jego obecności wrzuciła do pieca kieszonkowy kalendarz. Po pewnym czasie aresztowano ją.

Tymczasem we czwartek 24 kwietnia 1942 roku dr *Witaszek* wrócił do domu na swoim rowerze, dosłownie na minutę przed godziną policyjną. Był nie tylko zmęczony, tak jak normalnie jeżdżeniem do chorych, ale także wyraźnie zasępiony. Opowiedział żonie o wizycie *gestapo*. Uspokoił ją, że nie należy do tego przywiązywać specjalnej wagi. Na drugi dzień rano, w piątek, prosił żonę, aby przyniosła mu do gabinetu na ul. Wrocławską tampony. Pożegnał czulej niż zazwyczaj piątkę swych pociech i udał się rowerem na ranne wizyty do chorych.

W dniu tym uważny przechodzień mógł spostrzec, że na ul. Wrocławskiej, w pobliżu kamienicy oznaczonej numerem 5, od wczesnego rana kręciło się kilku mężczyzn, a opodal stało bardzo długie auto, w którym trzech ludzi w milczeniu paliło papierosy. Około godziny 13.30 wchodziła z siatką na zakupy w ręku żona dra *Witaszka*. Jeden z siedzących w pierwszym aucie, bez kapelusza, młody, niski, krępy, trochę łysawy szatyn wysiadł i po chwili dzwonił do mieszkania na IV piętrze. Otworzyła mu drzwi pani *Witaszkowa*. Ujrzała człowieka w brązowym ubraniu. Na zapytanie, czy jest dr *Witaszek*, usłyszał odpowiedź, że jeszcze nie przybył.

— Wobec tego przyjdę później.

Po kwadransie znów pytał o doktora. Poranny objazd chorych trwał tego dnia dość długo. Gdy człowiek ów ponownie się dowiedział, że dra *Witaszka* jeszcze nie ma, wrócił na ulicę i wolno przechadzał się po chodniku.

Nie wiadomo, czy panujący w tych godzinach duży ruch na tej ulicy zdezorientował go i nie dostrzegł wchodzącego z rowerem dra *Witaszka*, czy też chodziło o to, aby zebrało się więcej ludzi w poczekalni, a wśród nich ewentualni konspiratorzy. W każdym razie dzwonek zadźwięczał dopiero po około 45 minutach.

W drzwiach stał ten sam łysawy człowiek, a za nim czterech cywilów. Jeden z przybyłych zatrzymał się przy drzwiach, dwóch weszło do gabinetu dra *Witaszka*, a dwóch zaczęło legitymować chorych w poczekalni. Wszystkich przychodzących wpuszczano, ale nikt już nie mógł wyjść z mieszkania. Dopiero po dłuższym czasie pozwolono kilku chorym opuścić dom państwa *Wizów*. Jak w wielu podobnych wypadkach w czasie okupacji, tak i tutaj jeden z aresztowanych, dr *Pokora* miał niezwykłą okazję do ucieczki. Niestety, nie skorzystał z niej. Gdy zwolniono kilku pacjentów, jeden z gestapowców pozwolił i jemu opuścić mieszkanie. Dr *Pokora* chciał jednak włożyć palto. Wrócił więc po nie i te dosłownie kilkadziesiąt sekund zwłoki umożliwiły drugiemu gestapowcowi zorientowanie się w pomyłce i zatrzymanie lekarza, który nie był zresztą członkiem organizacji.

Zatrzymano także lekarza-ginekologa, dr *Marię Grabską*, praktykującą przy ul. Kopernika 4, która wpadła tylko na chwilę, aby odwiedzić dra *Witaszka*.

Gestapowcy przeprowadzili w jego gabine-

cie bardzo szczegółową rewizję, nie znajdując nic podejrzanego. Natomiast w pokoju państwa *Wizów* znaleziono walizę z rzeczami *Tadeusza Wizy*, który przygotowywał się jako łącznik organizacji do wyjazdu do Generalnej Guberni. Należy sądzić, że miał w tej walizie pewne rzeczy, które obciążyły go bardzo poważnie.

Po odebraniu dr *Witaszkowi* portfelu i notesu, a innym zaaresztowanym dokumentów, rozpoczęto ich wyprowadzać. Jako pierwszego gestapowcy wyprowadzili około godziny 15.30 *Witaszka, Romana Kamerdułę* (drugi łącznik organizacji, posiadał przy sobie komplet dokumentów do wyjazdu do GG) i *Tadeusza Wizę*.

Na samym końcu w eskorcie gestapowców opuściły mieszkanie przy ul. Wrocławskiej 5 żona dra *Witaszka* i dr *Grabska*. Po przewiezieniu do Domu Żołnierza, gdzie mieściło się gestapo, mężczyźni ustawieni zostali twarzami do ściany z podniesionymi rękami, a obie kobiety siedziały na ławce, co umożliwiło im chociaż częściowe uzgodnienie zeznań.



Ryc. 5. *Henryk Nickel*, mgr farm., ur. 2 maja 1912 r., zginął w Forcie VII 8 stycznia 1943 r.

Rozpoczęło się śledztwo. Już pierwsze przesłuchania mężczyzn połączone były z biciem i maltretowaniem. Uniknęły tego kobiety, których zeznania początkowo mniej interesowały gestapowców. Zadawane pytania były bardzo liczne i następnie drobiazgowo sprawdzane. *Halinie Witaszkowej* oglądano nawet ząb, który miał opatrywać dr *Pokora* właśnie w dniu aresztowania. Rewizja w domu *Witaszków* również nie dała żadnych wyników. Zabrano jedynie dwa pudełka cygar i dwie butelki wina.

Wieczorem odwieziono obie aresztowane do więzienia *gestapo* w Forcie VII, lokując je w celi nr 64. Natomiast mężczyźni sprowadzeni zostali do cel w piwnicach Domu Żołnierza. Po krótkiej przerwie rozpoczęło się piekło nocnego śledztwa.

Tzw. *„Haukommando"*, składające się z kilku sadystów, zdzierało ubranie, rozciągało aresztowanego na pryczy i biło od 25 do 100 razy różnego rodzaju specjalnie zrobionymi pejczami i żelaznymi prętami (po wyzwoleniu znaleziono ich mnóstwo w rozbitym gmachu *gestapo*). Rany powstałe po straszliwych razach posypywano solą, zdzierano paznokcie, podpalano stopy. Na drugi dzień przewieziono niektórych mężczyzn do Fortu VII, pozostawiając w *gestapo* kilku, wśród nich dra *Witaszka*. Dla nich piekło trwało dalej.

W drugim tygodniu widziano przez chwilę dra *Witaszka*, jak prowadzono go skutego na przesłuchanie.

Po dwukrotnym jeszcze przesłuchaniu w *gestapo* 8 maja zwolniono żonę dra *Witaszka*. Radość pięciorga maleńkich dzieci, znajdują-



Ryc. 6. *Helena (Lusia) Siekierska*

cych się pod opieką jego matki, była ogromna, tym bardziej że w czasie dokonywanej przed kilku dniami rewizji gestapowcy oświadczyli, iż tatuś i mamusia już nie wrócą. Znajdujące się przy dzieciach w chwili powrotu *Haliny Witaszkowej Lusia Siekierska* i *Danuta Feldówna* zostały ostrzeżone o grożącym im niebezpieczeństwie.

Lusia Siekierska, która była członkiem organizacji, ze względu na bliską godzinę policyjną miała spotkać się następnego dnia z *Haliną Witaszek*, aby otrzymać dokładne informacje o wszystkich sprawach. Niestety została aresztowana. W parę dni później ten sam los spotkał *Danutę Feldównę*. Jednak po dwóch miesiącach zwolniono ją.

W dzień po wyjściu z Fortu VII *Halina Witaszek* ostrzegła ks. *Jankowskiego*, o którego wielokrotnie dopytywali się gestapowcy. Później okazało się, że był on członkiem innej, śledzonej już wówczas organizacji.

Tymczasem *gestapo* szaleje po Poznaniu. Każdy, kto tylko miał jakikolwiek kontakt z kimś z organizacji, zostaje natychmiast aresztowany. W tych momentach przy gestapowcach często obecny był młody, lekko łysawy szatyn. Mówił on poprawnie polskim językiem. Nikt go nie znał, ale za to on świetnie orientował się w całym schemacie organizacyjnym.

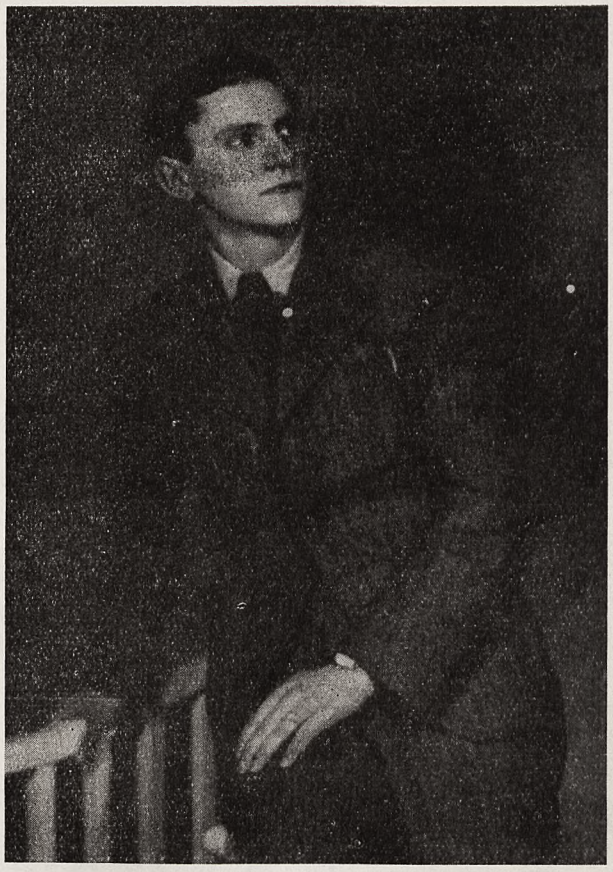
Przed wielki gmach *gestapo* co jakiś czas zajeżdżają szybkie 8-cylindrowe *fordy V-Köln*, służbowe wozy poznańskich gestapowców. Wyprowadzają z nich dra ekonomii *Guntrama Rolbieckiego*, łączniczkę *Czesławę Milian*, kelnerów *Hieronima Szepkego* i *Mariana Schlegla*, laborantów *Lucjana Nowickiego*, *Zenona Plucińskiego*, farmaceutów *Czesława Wachowiaka* i *Henryka Nickla*, kierowcę *Józefa Kunerta*, laborantkę *Sonię Górzna* i jej narzeczonego *Henryka Rakowskiego*, *Marie Gauss*, *Mimi Cegłowską*, *Pawła Bronikowskiego*, *Jarogniewa Guckiego*, *Teodora Konarskiego*, *Tadeusza Janowskiego*, *Henryka Kuleszę*, *Franciszka Stefaniaka*, *Władysławę Kwintkiewicz*, *Jerzego Przystanowskiego*, *Edwarda Norbeckiego*, *Floriana Przygodzińskiego*, elektrotechnika *Mariana Spychałę*, *Sylwestra Ulmańskiego*, inż. *Stanisława Karolczaka*. Ta lista nazwisk powiększa się jeszcze o tzw. grupę mosińską. Należeli do niej miedzy innymi farmaceutka *Stefania Dabińska*, dr wet. *Skibiński*.

Mimo potwornych tortur, zadawanych w czasie trwających wiele dni przesłuchań, postawa tych ludzi była wprost niezwykła. Gdy w trzecim tygodniu śledztwa wprowadzono dra *Witaszka* do przesłuchującego gestapowca, w sąsiednim pokoju stał kelner *Marian Schlegel*, czekając na swą kolej. Twarz lekarza była obrzękła i zsiniała, w wielu miejscach skóra przecięta od razów. Po kilku pytaniach, na które dr *Witaszek* nie odpowiedział, rozwścieczony gestapowiec zapytał:

— Czy chociaż żałujesz, że popełniłeś taką zbrodnię przeciwko Rzeszy?

W odpowiedzi usłyszał:

— Tak, żałuję, że jeszcze za mało działałem przeciwko wam.



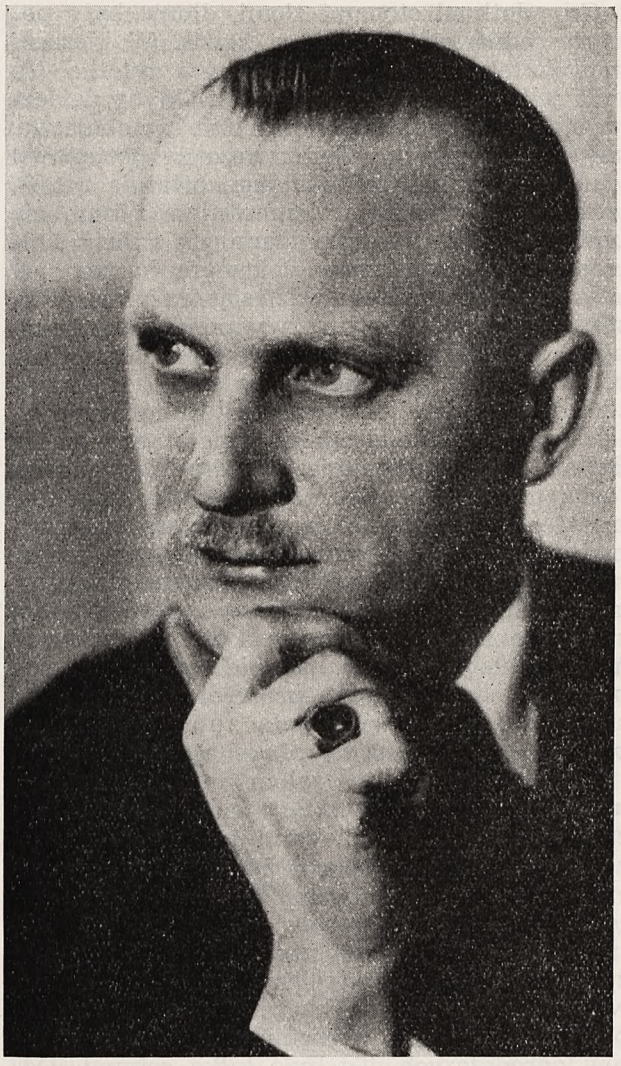
Ryc. 7. *Hieronim Szepke*, jeden z bohaterskich kelnerów, z grupy dra *Witaszka*. Po aresztowaniu dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo. Zginął w Forcie VII

W chwilę później zawleczono dra *Witaszka* z powrotem do piwnic, gdzie zmaltretowano go tak, że gdy po paru dniach wywożono go do Fortu VII, więźniowie wnosili lekarza do samochodu w stanie krańcowego wyczerpania i prawie nieprzytomnego.

W Forcie VII więźniowie byli codziennie poddawani szykanom. „Witaszkowcy", zamknięci w celi bez okien, w ciągu kilku miesięcy tylko raz lub dwa wyprowadzani byli na spacery.

Tymczasem 7 maja 1942 roku w drzwiach gabinetu dyrektora Instytutu Bakteriologicznego *„der Reichsuniversität in Posen"*, prof. *Ponsolda*, stanęło dwóch gestapowców, niosąc kilka sporych paczek. Po krótkiej rozmowie, w której ciągle powtarzało się słowo *schnell*, wyszli, pozostawiając paczki w gabinecie.

15 maja 1942 roku do *Geheime Staatspolizei* w Poznaniu wpłynął list oznaczony *Pr P/Kl*, a podpisany przez prof. *Ponsolda*. Na sześciu i pół stronach opisuje on oddane do analiz niektóre przedmioty, znalezione u trzech tylko oskarżonych: dra *Witaszka*, dra *Günthera* i *Edwarda Norbeckiego*. Z pisma tego niedwuznacznie wynika, iż znajdujący się w dziewięciu paczkach proszek jest termitem, umożliwiającym przez odpowiednie przygotowanie osiągnięcie 3 tysięcy stopni ciepła. Poza tym wśród badanych przedmiotów było 25 ołowianych rurek specjalnie odlanych, długości 6,1 cm i 7 mm przekroju, które instytut roz-



Ryc. 8. *Tadeusz Wiza*, ur. 22 września 1910 r., zamordowany w Tuchorzy pod Wolsztynem 9 lipca 1942 r.

poznał jako elementy zapalników bomb termitowych. W kilku fiolkach stwierdzono zawartość bakterii wąglika, a w innych bakterie duru. Wśród rzeczy znalezionych u *Edwarda Norbeckiego* wymieniono także różnego rodzaju truciznу oraz sporo sprzętu laboratoryjnego, jak kolby, pipety itp. W innych butelkach wskutek ich otwarcia (prawdopodobnie w *gestapo*) znajdujące się tam płyny wyschły, co uniemożliwiło badającym zupełnie pewne określenie ich przeznaczenia. W piśmie do *gestapo* stwierdzono jednak, że ich szkodliwość dla serca i śledziony nie jest wyłączona. I jeszcze jedno. W paczkach znaleziono sporo różnego rodzaju płynów dla fotolaboratorium. Pozwala to przypuszczać, że „witaszkowcy" poza akcją ruchu oporu przeprowadzali także pracę wywiadowczą.

Gdy pismo instytutu wpłynęło do poznańskiego *gestapo*, sprawa była już zupełnie jasna. Jednak śledztwo ciągnęło się jeszcze dość długo. A *gestapo* aresztowało między innymi inż. *C. G.*, który dzięki temu, że w czasie oczekiwania na przesłuchanie został zawiadomiony przez dra *Witaszka*, że w śledztwie nikt go nie obciążył zeznaniami, walczył rozpaczliwie o życie. Ten poważny, dziś już starszy człowiek wykazał niezwykłą przytomność umysłu. Gdy w czasie przesłuchiwań gestapowiec nagle okazał mu fiolkę z kwasem siarkowym, którą znaleziono u niego w domu, potrafił błyskawicznie znaleźć odpowiedź:

— To jest jedna z próbek kwasu przysłanych mi przed wojną przez różne wytwórnie.

W ten sposób po raz drugi uniknął śmierci gotowanej mu przez Niemców. Pierwszy raz udało mu się to w czasie powstania wielkopolskiego. Znajdując się w głębi Niemiec, dowiedział się o jego wybuchu. Porwał Niemcom samolot na jednym z lotnisk i przyleciał na Ławicę, która była wówczas jeszcze zajęta przez Niemców. Po wylądowaniu tylko cudem udało mu się uciec. Ale to było przed wielu laty. Jednak i ten fakt gestapo miało zanotowany w swoich kartotekach. Teraz, znów dzięki zachowaniu przytomności umysłu w śledztwie, po dwóch miesiącach wypuszczono go z kazamatów gestapo.

Wydawało się, że życie wszystkich pozostałych uczestników jest już przesądzone, że poza śmiercią nic nie może ich spotkać. Tymczasem Niemcy postanowili dać specjalną możliwość uratowania się dwom z nich, mianowicie dr *Witaszkowi* i dr *Güntherowi*. Któregoś dnia otwarły się drzwi celi i podoficer *gestapo*, nazwiskiem *Sondermayer*, wyprowadził dr *Günthera* do znajdującego się w Forcie VII kasyna oficerskiego. Po kilku minutach dr *Günther* wrócił, a wyprowadzono dra *Witaszka*. Był on w kasynie przeszło godzinę. Po powrocie okazało się, że przedstawiony został kilkuosobowej komisji z *Reichssicherheitshauptamtu* z Berlina. Zaproponowała ona najpierw dr *Güntherowi*, a później dr *Witaszkowi* możliwość uratowania życia.

Jednak dr *Günther* był już w ostatnim okresie gruźlicy i Niemcy uznali pertraktacje z nim za niepotrzebne. Natomiast usilnie namawiali dra *Witaszka*, aby skorzystał z okazji. Oczywiście nie miał to być podarunek bezinteresowny. Ofiarowano jemu i jego całej rodzinie wolność, dobrobyt i pełne bezpieczeństwo w zamian za współpracę. Dr *Witaszek* miał w laboratoriach *RSHA* w Berlinie wytwarzać te same preparaty, które stosował wobec Niemców, ale teraz jako ich dodatkową broń przeciw aliantom.

Aby stworzyć atmosferę zaufania i możliwość właściwej rozmowy, częstowano go dobrą kawą i papierosami. Mimo usilnego namawiania i perswazji gestapowcy nieodmiennie słyszeli od dra *Witaszka* jedną tylko odpowiedź: nie. Próbowano więc innej taktyki. Jeden z przedstawicieli centrali *gestapo* oświadczył:

— Jeśli pan ma jakieś skrupuły, damy gwarancję, doktorze, że produkowane przez pana środki nie zostaną użyte przeciw Polakom i wojskom zachodnim, a tylko przeciw Rosjanom. Przecież pan jako inteligent nie kocha chyba bolszewików!

Dr *Witaszek* był jednak nieugięty.

W pół godziny po jego powrocie do celi komisja berlińska zwiedziła przy okazji więzienie. Widziano wówczas wysokiego gestapowca z generalskimi dystynkcjami, jak w otoczeniu pułkowników i oficerów miejscowej placówki wędrował po Forcie VII. Tak więc ostatnia okazja uratowania życia została przez obu bohaterskich lekarzy odrzucona.

Tymczasem kilku pozostałych na wolności członków organizacji dokonywało niezwykłych wysiłków, aby uratować znajdujących się w śmiertelnym niebezpieczeństwie towarzyszy. Wkrótce zebrali oni spore sumy pieniędzy. Korzystając z różnych zawiłych dróg i ryzykując własnym życiem dotarli do gestapowców, którzy podjęli się nie dopuścić do wykonania egzekucji.

O wypuszczeniu z Fortu VII na wolność tak wielkiej grupy ludzi i to w dodatku należących do niezwykle głośnej organizacji nie mogło być oczywiście mowy. Postanowiono więc przewlekać sprawę, a po pewnym czasie, gdy będzie wysłany jakiś transport więźniów do obozu koncentracyjnego, dołączyć do niego całą grupę. Był to jedyny sposób odsunięcia, a może nawet zapobieżenia egzekucji. W listopadzie 1942 roku sądzono już, że akcja ta może się udać i na wiosnę 1943 r. „witaszkowcy" opuszczą z transportem Fort VII. Przy rosnącym coraz bardziej bałaganie była pewna możliwość, iż sprawa na dłuższy czas zostanie zagubiona.

Był jednak człowiek, który postanowił liczyć tylko na siebie i w każdym razie drogo sprzedać swoje życie. Kelner *Marian Schlegel* od pierwszej chwili, gdy został aresztowany, szukał okazji, aby wyrwać się z rąk *gestapo*. Gdy przewieziono go z „Domu Żołnierza" do Fortu VII i zamknięto w celi bez okien, stracił nadzieję. Tym bardziej, że w opinii więźniów ucieczka z Fortu była zupełnie niemożliwa.

Któregoś dnia gestapowcy chodząc po celach szukali garbarzy. *Schlegel* natychmiast się zgłosił. Wręczono mu skórki króliczo, które były własnością *lagerführera Langera*, oraz ałun, kwas solny i żyletki. Wprawdzie nigdy w życiu nie garbował skór, ale kiedyś w młodości widział, jak to robił jego ojciec, krawiec.

Skórek króliczych było sporo. Przez kilka dni pracował na wzgórku Fortu, skąd obserwował zachowanie się i zwyczaje gestapowców. Zauważył, że w porze obiadowej warty i psy opuszczają fosy. Zaczął się rodzić plan ucieczki. Pracujący u krawców więzień, *Czesław Parysek*, dostarczył mu trochę kolczastego drutu. Na wzgórzu, gdzie pasła się krowa, leżał kawałek łańcucha. W pobliskiej obórce znalazł spory hak.

Na szósty dzień od rozpoczęcia garbunku skórek, tuż przed południową przerwą zaczął — co było bardzo korzystne ze względu na zacieranie śladów — padać deszcz. *Schlegel* zaczepił hak o załom muru i opuścił drut kolczasty oraz łańcuch do ponad 8 m głębokiej fosy. Powoli, przygryzając wargi do krwi, aby stłumić potworny ból rąk rozrywanych kolczastym drutem, opuścił się do fosy.

Gdy dotknął stopami ziemi, dłonie były pokryte jedną raną, broczącą krwią. W kieszeni miał butelkę z kwasem solnym i żyletkę. To była jedyna broń, jaką posiadał. Gdyby ucieczka się nie udała, chciał popełnić samobójstwo, aby uniknąć tortur. Teraz wszakże postanowił walczyć o życie. To była jego ostatnia możliwość. Gdy w 1956 r. rozmawiałem z nim, nie umiał określić, ile razy zarzucał z fosy kolczasty drut zakończony żelaznym hakiem.

— Może to było pięćdziesiąt razy, a może sto. Nie wiem. Bez przerwy ponawiałem próby, a hak z piekielnym łoskotem, jak mi się wydawało, obijając się o mur spadał z powrotem do fosy. To było straszne! Mimo przejmującego zimna, pot lał się ze mnie strumieniami. Byłem cały rozdygotany. Na dłoniach miałem lepką maź z błota i krwi. Wreszcie, upadając prawie ze zmęczenia oraz krańcowo wyczerpany nerwowo, zdałem sobie sprawę, że z fosy nie wydostanę się ani na zewnątrz, ani też z powrotem do Fortu. Byłem w pułapce! Moją stawkę o życie przegrałem. I w tym też momencie usłyszałem ujadanie gestapowskich psów. To był znak, że przerwa obiadowa się skończyła. Za chwilę będą tutaj psy, które poszarpią mnie, a reszty dokonają gestapowcy.

Schowałem się za załom muru, aby psy mnie nie dostrzegły. Potrzebowałem trochę czasu. Koniecznie kilka minut, aby... skończyć ze sobą samym. Wyjąłem żyletkę, chcąc przeciąć żyły na przegubach. Żyletka złamała się jednak. Olbrzymie strupy, pamiątka po torturach w *gestapo*, były zbyt twarde dla ostrza żyletki. W chwili gdy sięgałem po butelkę, aby wypić kwas solny, zobaczyłem leżącą w pobliżu dużą, płaską skrzynię, ramę od inspektów ogrodniczych. To było kilka sekund. Dowlokłem skrzynię, oparłem o mur fosy, wdrapałem się i stojąc o około 2 m wyżej ponowiłem znów próby. Za drugim rzutem hak zaczepił się o załom muru na jego szczycie.

Wyjąc cicho z bólu, rwąc ręce o kolce drutu, wspinałem się coraz wyżej. Gdy byłem tuż przy samym szczycie, hak zaczął się rozginać i ślizgać po cegle. Ostatnim, nadludzkim wysiłkiem chwyciłem szczyt muru i oślepły z bólu i wyczerpania wyciągnąłem się z fosy. Mżący „kapuśniaczek" zamienił się w ulewę. Byłem pewien, że psy nie trafią na moje ślady. Hak z drutem zrzuciłem z powrotem do fosy, aby patrole nie spostrzegły od razu mojej ucieczki.

Po wydostaniu się z Fortu *Schlegel* pobiegł przez pole do tramwaju. Była to już późna jesień i zmrok zapadał bardzo wcześnie. Stanął na zapchanym ludźmi pomoście. Po kilku przystankach wysiadł i udał się do mieszkania kolegi. Nie było go w domu. Żona, przestraszona jego okropnym widokiem, nie poznała go. Mimo to dała mu koszulę, czapkę i opatrzyła ręce.

Do domu nie mógł wrócić. Jego najbliżsi przyjaciele albo byli w więzieniu, albo też zostali wywiezieni. Był bez dokumentów, pieniędzy i możliwości schronienia się. Zbliżał się wieczór. Poszedł do odległej dzielnicy Rataje,

gdzie mieszkał jego dobry znajomy. To była ostatnia możliwość ratunku. Mieszkanie znajomego było już zajęte przez Niemca. *Schlegel* znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Zaczął myśleć o samobójstwie. Nad pobliską Wartą wyszukał kamienie i kawałki drutu. Oplótł nim kamienie, a następnie chciał je przyczepić do ubrania i utopić się. Pragnął tak zniknąć, aby *gestapo* nie mogło go znaleźć. Jego ucieczka mogła przedłużyć życie tamtym na Forcie VII. Jeśli go złapią żywego, cała grupa zostanie wraz z nim powieszona. A więc lepiej samobójstwo. Aby jednak mógł to zrobić, musi być zupełnie ciemno i pusto. Zbyt wielu ludzi tutaj się kręciło.

Gdy stał tak, skulony, koło pobliskiego budynku, zobaczył go jakiś przygodnie kiedyś spotkany człowiek. *Schlegel* bojąc się go powiedział mu, że wprawdzie został zwolniony przez *gestapo*, ale spodziewa się ponownego aresztowania. Rozmowa ta rozładowała napięcie. *Schlegel* powlókł się na ulicę Łazienną do gospodarza domu, w którym kiedyś przed laty mieszkał. Tam odpoczął, zaspokoił głód i przespał spokojnie noc w łóżku z czystą pościelą.

— To chyba zadecydowało — wspomniał później po latach.

Następny dzień minął na szukaniu możliwości ucieczki z Poznania. Pod wieczór spotkał znowu jakiegoś mało mu znanego kolegę. Powtórzył swoją historię w podobnej wersji, jak poprzednio. Otrzymał od niego trochę pieniędzy i radę, aby wyjechać nie do Generalnej Guberni, lecz do Rzeszy. I to wydało się *Schleglowi* najlepsze.

Gdy zbliżała się godzina policyjna i szedł w kierunku torów kolejowych, zauważył na słupach rozlepione plakaty ze swoją fotografią. *Gestapo* dawało wysoką nagrodę za podanie jego miejsca pobytu. W czasie wędrówki po torowiskach spostrzegł, że przed opuszczonym semaforem stanął pociąg pospieszny. Był to niezwykły przypadek, że na tablicach wiszących z boku wagonu *Schlegel* w mroku odczytał napis: *„Warschau — Berlin über Frankfurt a/d Oder"*. Uczepiony podwozia wagonu, człowiek skazany na śmierć przez *gestapo* pojechał do samej jaskini lwa, do Berlina.

Gdy w toalecie dworca berlińskiego spojrzał w lustro, przeraził się. Zakurzona twarz była krwawo pocentkowana drobnymi kamieniami, porywanymi pędem pociągu z podtorza. W pobliskiej umywalni było pełno esesmanów, wojska i policji. Zamknął się więc w toalecie i umył twarz wodą, spłukującą muszlę klozetową.

Wyszedłszy na peron *Schlegel* usłyszał ludzi mówiących po polsku, robotników wywiezionych na roboty do Niemiec. Przyłączył się do nich, opowiadając, że zgubił swoje rzeczy i dokumenty. Gdy w chwilę później stał w oknie pociągu, zauważył człowieka obserwującego go z peronu. Był to *volksdeutsch* z poznańskiego *gestapo*. Tylko dzięki temu, że wyskoczył z drugiej strony wagonu i przebiegł na kilka metrów przed pędzącym pociągiem, a po drugiej stronie peronu wskoczył do innego, który właśnie ruszał — udało mu się uciec.

Wreszcie rozpoczął pracę w wielkim majątku koło Stendal.

Po latach wojny wrócił do Poznania, do żony. Przeżycia nie minęły jednak bez śladu. Coraz częściej zapadał na zdrowiu. Przed trzema laty bohaterski kelner *Marian Schlegel*, jedyny człowiek, któremu udała się ucieczka z Fortu VII, zmarł.

W Forcie VII ucieczkę tę wykryto dopiero po paru godzinach. Wściekłość gestapowców była straszna, ale wszystkie ich wysiłki, aby znaleźć zbiega, spełzły na niczym. Obostrzono regulamin więzienia, wzmocniono warty.

Nadszedł grudzień 1942 roku, a z nim cios, który pokrzyżował wszystkie plany ratowania uwięzionych towarzyszy przez znajdujących się na wolności członków organizacji. W *Dienststelle* poznańskiego *gestapo* zmieniono kilku gestapowców. Między innymi odeszli ci, których zdołano już przekupić. Kontakt się urwał. Nowi przeglądali wszystkie stare sprawy. Skutek był straszny. Wyżsi dowódcy *gestapo*, którzy mieli uprawnienia sądu doraźnego, otrzymali komplet akt całej grupy „witaszkowców". Kilka dni później polecono wykonać wyroki śmierci.

Rano 8 stycznia 1943 roku w Forcie VII więzienne życie prawie zupełnie zamarło. Wszystkie cele i korytarze zostały starannie zamknięte. Już ta złowroga cisza zapowiadała grozę tego, co się zbliżało z każdą minutą. Wszyscy więźniowie Fortu stali przy drzwiach cel, nasłuchując. Mroźne powietrze niosło przez szary świt styczniowego ranka odgłosy miasta budzącego się do życia. Czas wlókł się wolno. Około godz. 10 rozległy się na korytarzu kroki podkutych butów. Gestapowcy mijali drzwi poszczególnych cel, aż zatrzymali się przy celi nr 66. Po chwili wyprowadzili zakutych w kajdany członków organizacji doktora *Franciszka Witaszka*. On szedł na czele. Za nim — dr *Henryk Günther*, dr *Guntram Rolbiecki*, inż. *Stanisław Karolczak, Tadeusz Janowski, Paweł Bronikowski, Jarogniew Gucki, Teodor Konarski, Roman Kamerduła, Henryk Kulesza, Józef Kunert, Henryk Nickel, Edward Norbecki, Zenon Pluciński, Florian Przygodziński, Jerzy Przystanowski, Henryk Rakowski, Hieronim Szepke, Marian Spychała, Stanisław Witkowski, Sylwester Ulmański, Franciszek Stefaniak, Czesław Wachowiak*.

Na podwórzu Fortu, gdy wychodzili z korytarzy, czekały na nich kobiety. Skute kajdanami poszły z nimi *Czesława Milian, Helena Siekierska, Maria Gaussowa, Magdalena Cegłowska, Władysława Kwintkiewicz, Sonia Górzna*.

Wiedzieli oczywiście, że to już koniec, że idą na śmierć. Gdy ruszyli przez podwórze, otoczeni sforą gestapowców, dr *Witaszek* zaczął śpiewać. Ponad wkopane w ziemię forty uniosła się echem pieśń wielka i święta „Jeszcze Polska nie zginęła..." Ileż siły w tej pieśni musiało być, pieśni śpiewanej przez grupkę



Ryc. 9. *Teodor Konarski*



Ryc. 10. *Jerzy Przystanowski*

ludzi skatowanych i torturowanych, ludzi idących na śmierć, skoro umilkły gestapowskie ryki: *los, los, schneller, schneller!*

Wprowadzono wszystkich do bunkra, oświetlonego tylko żarówkami. U sufitu widniało dziewięć haków, ze zwieszającymi się sznurami. Więźniów ustawiono pod ścianą, a prowadzący egzekucję oficer *gestapo* odczytał im wyroki śmierci. Po każdym nazwisku padały słowa: *„Wegen Hochverrat zum Tode verurteilt..."* (za zdradę stanu — kara śmierci). Wydawało się, że nic już poza śmiercią spotkać ich nie może. Tymczasem najstraszniejsze miało dopiero przyjść. Gestapowiec, złożywszy papiery, zakomunikował skazanym, że równocześnie sąd wydał na członków rodzin wszystkich skazanych także wyroki śmierci, które zostaną wykonane w najbliższym czasie. To był cios najstraszniejszy i najpotworniejszy ból, jaki można było zadać ludziom stojącym pod szubienicami.

Po chwili na ławie stanęło pierwszych dziewięciu skazanych, wśród nich dr *Franciszek Witaszek*. Potem następne dziewiątki. Egzekucję wykonywało dwóch więźniów z *sonderkommando*.

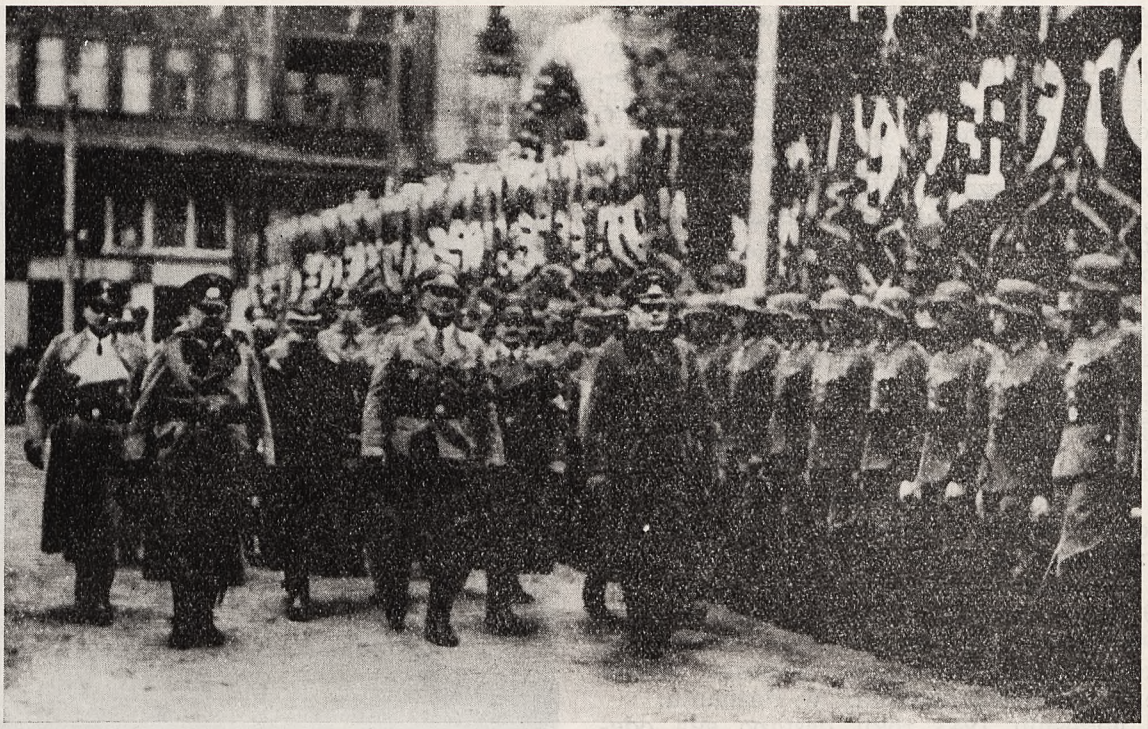
Maria Gaussowa, matka maleńkiej córeczki, pozostawionej w pustym domu, a której męża Niemcy zamordowali, stojąc pod szubienicą rzuciła przekleństwo na gestapowca prowadzącego egzekucję. W dwa miesiące później otrzymał on pilny telegram, w którym przeczytał: *„Komm sofort. Unsere Tochter ist tod"* (Przyjedź natychmiast. Nasza córka zmarła).

Ale nie tylko los mścił się na zbrodniarzach. Gdy w rok po straceniu „witaszkowców" poznaniacy przeglądali *„Ostdeutscher Beobachter"*, zobaczyli spory nekrolog *Karla Zeissnera*, gestapowca, który prowadził śledztwo przeciwko organizacji dra *Witaszka*. Istnieją niebezpodstawne przypuszczenia, że ktoś z pozostałych przy życiu członków organizacji wykonał na nim wyrok. Być może, dalsze badania historii ruchu oporu w Wielkopolsce wyjaśnią i tę sprawę.

Zginęli też po bohatersku dr *Franciszek Pokora, Bolesław Wojczak, Tadeusz Skrzypek* i *Tadeusz Wiza*. Niemcy powiesili ich 9 lipca 1942 roku we wsi Tuchorza, w powiecie Wolsztyn. Był to akt zemsty za zastrzelenie przez nieznaną osobę żandarma niemieckiego w pobliżu tej miejscowości. Zginęli razem z 11 innymi Polakami.

W parę dni po wykonaniu wyroku w Forcie VII *gestapo* przystąpiło do zrealizowania swojego planu zniszczenia rodzin „witaszkowców". *Helenę Witaszek* aresztowano ponownie 15 stycznia w nocy. Na łasce staruszki sąsiadki pozostało pięcioro maleńkich dzieci. Nie pokuszę się o opisanie tej sceny rozstania, bo jest ona godna innej miary pióra. Jak dramatyczny był moment, niech świadczy fakt, że trójka gestapowców straciła wówczas zupełnie pewność siebie i brutalność.

Po paru dniach, w celach Fortu VII znalazło się około 70 osób, najbliższych krewnych „witaszkowców". Były tam kilkunastoletnie dziewczynki i 82-letnia babcia *Koralczykowa*. Uwięziono także siostrę *Cegłowskiej, Józefę Drewniakową*, matkę ośmiorga nieletnich dzieci, *Zofię Kunertową*, która pozostawiła dwoje dzieci. Z rodziny *Lusi Siekierskiej*



Ryc. 11. Jeden z największych katów hitlerowskich, *Gauleiter* i *Reichsstatthalter Warthegau, Artur Greiser* w czasie przeglądu oddziałów policji w Poznaniu w 1941 r. (powieszony po wojnie w Poznaniu)

aresztowano jej matkę, dwie siostry i brata. Oprócz żony dra *Witaszka* uwięziono jeszcze jego staruszkę matkę i trzech braci. Samych kobiet z rodzin „witaszkowców" było w celach Fortu aż 44.

Gdy przywieziono matkę dra *Witaszka* z Kościana do Poznania, usłyszała od gestapowca: *„Na ja. Die Polen müssen ihren Sohn als einen Held ansehen, aber wir müssen ihn bestrafen"* (No tak, Polacy muszą uważać pani syna za bohatera, ale my musimy go ukarać).

Któregoś dnia wszystkie kobiety, które posiadały dzieci, stanęły przed komisją. Oglądano je dokładnie i mierzono. Nie wiedziały, jaki nowy, potworny cios szykowali Niemcy właśnie dla nich.

Znajdujące się w Forcie VII rodziny starały się dowiedzieć, co się stało z grupą bez-



Ryc. 12. Jedna z egzekucji publicznych na rynku w Kórniku pod Poznaniem w październiku 1939 r.

pośrednio oskarżonych o konspirację. Wiadomości jednak były sprzeczne. Jak zawsze w takich wypadkach, wierzono w tę najlepszą wersję, która mówiła, iż wszyscy zostali wywiezieni do obozu.

Nikt nie wiedział też, jaki los spotka ich w najbliższym czasie. Wszystko wskazywało na to, iż wyrok poznańskiego *gestapo* zostanie na rodzinach „witaszkowców" wykonany. Trudno jednak obecnie dokładnie stwierdzić, co wpłynęło nagle na zmianę wyroków śmierci na zesłanie do obozu w Oświęcimiu. W nocy z 24 na 25 marca cała ta grupa została przewieziona pociągiem do obozu zagłady. Przeżyło go niewiele osób.

Wróćmy jeszcze do Poznania. Rodzina *Witaszka* zlikwidowała mieszkanie. Pewnego dnia dzieci wezwano do *Rassenamtu*, gdzie zostały dokładnie zważone i zmierzone. Nie można się było zorientować, o co Niemcom chodzi. Rodzina tymczasem rozdzieliła dzieci wśród siebie. 9-letnia *Mariola* i 7-letnia *Iwonka* wyjechały do Kielc, jednoroczny *Krzyś* do Ostrowa Wielkopolskiego. Natomiast 5-letnia *Alusia* i 3-letnia *Daryjka* pozostały w Poznaniu.

We wrześniu 1943 roku *gestapo* siłą odebrało opiekunom *Alusię* i *Daryjkę*. Mimo szczególnych wysiłków i starań stracono po jakimś czasie ich ślad. Wiadomo tylko było, że mają one zostać zniemczone. Natychmiast też podziemie polskie rozpoczęło starania o uratowanie pozostałej trójki dzieci. Za wielką sumę pieniędzy jeden z gestapowców wykreślił nazwiska pozostałych dzieci dra *Witaszka* z listy tych, które miano zgermanizować.

Razem z *Alusią* i *Daryjką* *gestapo* zabrało także dwóch synów *Władysławy Witkowskiej*, trójkę dzieci *Zofii Kunertowej* i jeszcze kilkoro innych.

Wreszcie skończyła się wojna i ewakuowana wraz z obozem oświęcimskim *Halina Witaszkowa* wróciła z Niemiec do Poznania. Ze swych bliskich nikogo nie zastała. Nie wiedziała także nic o losie męża i sądziła, że w ciągu najbliższych dni wróci on do Poznania. Dowiedziała się także o tym, że dwoje jej dzieci zostało porwanych przez Niemców.

Po kilku dniach dotarła do niej straszna wiadomość. W piwnicy gmachu medycyny sądowej znaleziono trzy słoje, w których znajdowały się — w płynie konserwacyjnym — głowy trzech bohaterów, członków organizacji. Były to głowy: laborantki *Soni Górznej*, dra *Franciszka Witaszka* i dra *Henryka Günthera*. Po zbadaniu całej sprawy okazało się, że gdy przywieziono do spalenia w krematorium ciała 30 „witaszkowców", Niemiec, prawdopodobnie prof. anatomii *Hermann Voss*, orientując się, za co zostali straceni, kazał oddzielić te trzy głowy. Polak, który był wówczas woźnym w instytucie, przechował je przez okres okupacji.

Na słoju zawierającym głowę dra *Witaszka* znajdował się następujący napis: *„Der Kopf eines intelligenten polnischen Massenmörders Dr. Franz Witaszek"* (Głowa inteligentnego polskiego masowego mordercy dra *Franciszka Witaszka*).



Ryc. 13. Pomnik wzniesiony we wsi Tuchorza w pow. wolsztyńskim w miejscu stracenia 11 Polaków, między innymi członków grupy dra *Witaszka*. Napis na pomniku na tablicy górnej: „Niezłomnym w obliczu śmierci Rodakom, straconym w tym miejscu przez hitlerowskich barbarzyńców w dniu 9 lipca 1942, społeczeństwo powiatu wolsztyńskiego". Napis na tablicy dolnej: *„Below Stanisław, Bydołek Bronisław, Heński Leon, Czerniak Bronisław, Grześkowiak Heliodor, Jankowski Władysław, Maciejewski Stanisław, Kubicki Zbigniew, Olejniczak Edward, Wiza Tadeusz, Skrzypek Wojciech, Szumnarski Stefan, Szarata Piotr, Pokora Franciszek, Wojczak Bolesław"*.

25 listopada 1945 roku na Placu Wolności zebrały się tłumy poznaniaków, przedstawiciele władz uniwersyteckich i ZBoWiD-u, żegnając trzy trumny, w których znajdowały się głowy dra *Witaszka*, *dra Günthera* i *Soni Górznej*. Pogrzebane one zostały na Cmentarzu Bohaterów na stokach Cytadeli poznańskiej, gdzie leżą żołnierze radzieccy polegli w walce o oswobodzenie miasta, gdzie spoczywają także poznańscy ochotnicy, którzy ramię w ramię z Armią Radziecką walczyli przeciw Niemcom.

Pod koniec 1947 r. po wielu żmudnych poszukiwaniach wróciła do domu *Alusia Witaszek*. Hitlerowcy przewozili ją do różnych domów, aby wreszcie w *SS-Heim* w Połczynie Zdroju zmienić jej nazwisko na *Alice Witke* i oddać jako dziecko nieznanego pochodzenia rodzinie niemieckiej w Meklemburgii.

Dopiero we wrześniu 1947 roku natrafiono na pierwsze ślady porwanej *Daryjki*. Znajdowała się ona u rodziny austriackiej pod nazwiskiem *Dora Witke*.

Obie dziewczynki były już zniemczone. Nie znały zupełnie języka polskiego. Po ich powrocie zaczął się trudny proces repolonizacyjny: nauka ojczystej mowy, budzenie świadomości polskiej i powrót do rodziny zupełnie nieznanej.

Dziś *Alusia* i *Daryjka* ukończyły wyższe studia, a jedna z nich jest już zamężna.

Po wielu także trudach odnaleziono dzieci *Witkowskiego* i *Zofii Kunertowej*.

Organizacja dra *Witaszka* była jedną z wielu organizacji, które działały w Wielkopolsce. Relacja tutaj przedstawiona powstała na podstawie rozmów z ludźmi, którzy uratowali się przypadkowo z pogromu zgotowanego członkom tej organizacji i materiałów zbieranych od wielu lat. Jej dramatyczne i tragiczne losy zasługują na obszerniejsze przypomnienie.

Tworzenie tej organizacji rozpoczęło się w drugiej połowie 1940 roku, a więc w czasie, gdy hitlerowcy prowadzili już prawie rok bezwzględną, masową akcję eksterminacyjną, mającą na celu biologiczne wyniszczenie naszego narodu oraz zepchnięcie go do roli niewolników pozbawionych jakichkolwiek praw. Tak więc działalność „witaszkowców" wypływała z konieczności oporu Niemcom i odpowiedzi na ich terror.

Wielkopolska, jak cały kraj, również walczyła przeciw okupantowi. Dr *Witaszek* i członkowie jego organizacji nie byli wyjątkiem. Jak tysiące im podobnych, spełnili swój obowiązek jako prawdziwi Polacy. Spełniali go po bohatersku, umierając jak żołnierze w walce z hitlerowskim okupantem.

JANINA MISIEWICZ

Warszawa

Zapiski z dni powstania warszawskiego w Szpitalu Wolskim [1]

1 sierpnia 1944 roku (wtorek)

We wtorek przyszłam do Szpitala [2] o godz. 4.30 po południu. Po drodze nie zauważyłam nic tak bardzo niepokojącego. Uderzał niezmiernie mały ruch na jezdniach; samochodów niemieckich było bardzo mało, przechodzących żołnierzy czy policjantów chyba wcale nie spotkałam. Tramwaje, jak zwykle obecnie, chodziły tak rzadko, że od rogu Ordynackiej aż do Chłodnej nie widziałam ani jednego. Dopiero na Chłodnej przeszedł tramwaj. Odcinek od Placu Kercelego do rogu Młynarskiej i Górczewskiej przejechałam w tramwaju nr 1.

W szpitalu cicho, w hallu zwykłe twarze *(Duda, Chorzewski* oraz kierownik *Wójcicki)*. W moim pokoju na oddziale VIII zastałam dr *Drozdowskiego* z całym jego zespołem. Wyczuwałam tu ogólne podniecenie. Parę ostatnich pytań z ich strony: „Czy również należy opatrywać rannego wroga?" Odpowiedziałam stanowczo, że tak, należy. Za chwilę przyszli *Wiwa [Jaroszewicz]*, dr *Manteuffel*, dr *Chwojka* i dr *Wesołowski* (dyżur chirurgiczny). Omówiliśmy technikę przyjęć większej liczby rannych oraz obsadę zespołów chirurgicznych.

Punktualnie o godz. 17 rozpoczęły się strzały w stronie ul. Górczewskiej.

Nasz patrol sanitarny z torbami był gotów do wyruszenia. Obejrzałam go. Dziewczęta patrzyły już w oczy; wszystkie wyrywały się do jakiejś akcji, to widać było, ale w każdej widziałam jeszcze ich osobowość. Ta z odmą była blada, mogła nie przyjść, przyszła, wyglądała spokojnie. *Hanka* uśmiechnięta, pogodna. *Janka* „podciągnięta" po harcersku, w grubych bucikach, przed chwilą miała po dziecinnemu łzy w oczach, kiedy się dowiedziała, że ma dawać narkozę na chirurgii, a nie iść na ulicę (zamieniła się z *Wandą*, która przyszła tak zmęczona i bezsilna). *Lola* (wycofała się już z patrolu) jest w białym płaszczu, z żalem zgodziła się pójść „na narkozę", bo poznano, że jest w ciąży. *Jadzia*, najweselsza pozornie, jest najbardziej niespokojna, podniecona, niepewna siebie, mówi dużo o niczym, szczebiocze raczej. Dr *Drozdowski*, jak zawsze, wiem, że zrobi, co do niego należy, ale zewnętrznie brak mu wyglądu dowódcy. W zespole znają go. Wśród nie znających nie wzbudza zaufania należytego. Do tego dwóch „nie naszych": chłopiec 19-letni, wyglądający na 15 lat, syn naszego pracownika, i dziewczynka w wieku lat 17, protegowana jednego z „aktywistów".

O 5.15 zeszłam z *Wiwą* do izby przyjęć. Około 5.30 nadszedł dyrektor [3]; przyjął do wiadomości to, co poprzednio ułożyliśmy.

[1] Tytuł pochodzi od redakcji. Dziennik ten, pisany w czasie działań wojennych, autorka pozostawiła w ołówkowym rękopisie. Został on przystosowany redakcyjnie do druku, z koniecznymi poprawkami i drobnymi skrótami, nie zniekształcającymi treści i stylu. Publikacja została nadto przejrzana i uzupełniona przypisami przez profesorów z Warszawy, dra *Leona Manteuffla* i dr *Wiwę Jaroszewicz* (przyp. red.).

[2] Szpital Wolski (ul. Płocka 26), obecnie Instytut Gruźlicy. Od roku 1963 nazwę Szpitala Wolskiego całkowicie bezpodstawnie nadano Szpitalowi Miejskiemu Nr 1 przy ul. Kasprzaka 17 (Czyste).

[3] Dr *Józef Marian Piasecki*.

A więc zaczęło się. Te pierwsze godziny jak zwykle (piąty raz przeżywam osobiście rozpoczęcie działań wojennych w dużym mieście) przechodzą w nastroju (...) w gruncie rzeczy dziecinnie radosnego podniecenia. Wyglądam przez okno, oceniam, skąd idą strzały. O 5.40 dr *Drozdowski* z kol. *Napiórkowskim* i *Hanią* [4] wyruszyli w stronę Ulrichowa, ale po pół godziny wrócili; przez linię kolei obwodowej przejść nie zdołali. Około 6.30 przyniesiono pierwszego rannego, a do północy było ogółem 12 rannych przyjętych do szpitala. Ostatnią osobą, która przyszła „z miasta", była *H. Wiel[owieyska]*. Opowiada, że wyminęła szereg uzbrojonych grup cywilów i żołnierzy niemieckich, strzelających do siebie, jednak przeszła bez większych przeszkód. O godz. 8 stwierdziliśmy brak prądu w szpitalu. Światło z akumulatorni w salach operacyjnych chwilowo zawiodło, użyto więc do oświetlenia lamp spirytusowych i naftowych. Zresztą w kilka godzin potem akumulatory uruchomiono szczęśliwie (inż. *Kapica*). W izbie przyjęć ruch był nieduży. Pracowały tam obok *Wiwy* dr *Belke* i p. *Buraczewska* oraz oczywiście *H. Wielowieyska*, która bez pracy nie może istnieć. Około 7 dowiedzieliśmy się, że akcja na Ulrichowie nie udała się. Nasz patrol dostał rozkaz pozostania w szpitalu (później okazało się, że był on bardzo potrzebny w szpitalu).

Z lekarzy obecni są: dyrektor, dr *Sokołowski*, prof. *Zeyland* (z żoną), *Jaroszewicz*, *Drozdowski*, *Chmur.* [5], *Wesołowski*, *Belke* — to wszyscy oraz 2 gości (z ogólnej liczby 26 lekarzy).

W chwili rozpoczęcia powstania miejsc wolnych w szpitalu było około 200 (na ogólną liczbę 480). Chorzy wewnętrzni, a zwłaszcza chorzy na gruźlicę są niespokojni, wychodzą i stoją na korytarzach, chronią się na parter; z trudem udaje się sprowadzić ich do sal i wytłumaczyć, że nie chodzi tu o nalot. Co chwila któraś z moich chorych na ósemce zrywa się z łóżka, twierdząc, że strzelają w okno tej właśnie sali.

Około 11 na oddziałach cisza pomimo nie słabnącej strzelaniny. Idziemy spać. Operacje załatwiono do 2 godz. Do północy przyjęto 12 rannych (w tym 2 zgony) [6].

2 sierpnia (środa)

W nocy strzały nie milkły. Widać pożary wokoło szpitala. Rannych przywieziono zaledwie kilku. Dyżur pełnili w nocy dr *Belke* z p. *Buraczewską* i jeszcze z kimś z lekarzy, a od godz. 3.20 *Wiwa* z *Hanką Wielowieyską*. Z rana strzelanina się zwiększyła. Na wylocie Górczewskiej przy ul. Płockiej widzimy barykadę, koło niej jakichś 20—30 mężczyzn (częściowo 15—17-letnich chłopców), mają karabiny i jeden karabin maszynowy. Na ulicach widocznych z okien (Górczewska, Płocka) nie widać ludzi; czasem kilku pieszych mężczyzn przebiega do barykady i z powrotem. W szpitalu ruch chorych mały. Mówią o przyjeździe „tygrysów", że to one strzelają do barykad.

Koło godziny 11 rano barykada na Górczewskiej wydaje okrzyk radości i ludzie strzelają na wiwat w górę, podobno unieszkodliwili „tygrysa". W kilka minut potem jednak Polacy opuścili barykadę. Nadjeżdża czołg niemiecki, prowadząc przed sobą grupę Polaków zabranych z sąsiednich domów. Ci rozbierają barykadę. *Wielowieyska*, widząc to z okna i mniemając, że to nasi rozbierają barykadę celem wyruszenia naprzód, wychodzi ze szpitala, żeby im pomóc i tu dowiaduje się, że to Niemcy czekają na usunięcie przeszkody na swej drodze ku śródmieściu. Wnet potem przez Płocką przejeżdżają czołgi i samochody pancerne. Strzelają na prawo i na lewo, zwłaszcza celując do mężczyzn. Dom naprzeciw szpitala (Płocka 33), gdzie jest skład desek, zapalają. Pożar trwał do wieczora. Wiatr odwiewał płomienie od szpitala. W czasie gdy barykadę rozbierano i wnet potem, gdy niemieckie samochody przejeżdżały pod szpitalem, w szpitalu rozpoczął się nastrój paniki. Po pierwsze, zniknęli prawie wszyscy mężczyźni. Następnie chorzy stali się niespokojni; płaczą. W bramie pusto.

Około godz. 1 do szpitala przyszło (z samochodu pancernego) dwóch żołnierzy niemieckich. Żądają chirurga, polecając wyjść z noszami, żeby zabrać rannych Polaków. Przy okazji wyrażają zdziwienie, dlaczego Polacy walczą, znajdując się w tak beznadziejnej sytuacji, bo przecież i tak nie zwyciężą. Rozmawiał z nimi prof. *Zeyland*. Ta wizyta zmieniła nastrój szpitala na lepsze. Wydało się pociechą, że wróg rozmawiał spokojnie i że nie uważał za karygodne przyjmowanie do szpitala, a nawet zbierania rannych z ulicy. Tak mało nam potrzeba na pociechę...

---

[4] *Hanna Samsonowicz.*

[5] Pełnego nazwiska nie udało się odtworzyć.

[6] Wiadomości, które powtarzano sobie w poniedziałek (ostatni dzień lipca 1944 r.) nie były pomyślne. Mówiono, że powstanie wybuchnie lada chwila, natomiast sytuacja na froncie podwarszawskim uległa pogorszeniu. Niemieckie dywizje pancerne odrzuciły wojska radzieckie z przedpola Pragi. Szanse dla więcej niż źle uzbrojonych oddziałów Armii Krajowej przedstawiały się nad wyraz niepomyślnie.

Dnia 1 sierpnia pojawiło się w Szpitalu Wolskim dwóch mężczyzn w długich butach, wiatrówkach, w beretach, z torbami sanitarnymi przewieszonymi przez ramię. Starszy był, jak się okazało, szefem sanitarnym okręgu Wola, młodszy, student, jego adiutantem. Od nich personel szpitala dowiedział się, że powstanie wybuchnie o godzinie 17.

Szpital znalazł się w pierwszej linii frontu. W pobliskim Szpitalu Zakaźnym im. św. Stanisława dyrektor szpitala wraz z kierownikiem administracyjnym przestrzegali od pierwszej chwili rozpoczęcia akcji zbrojnej zasad neutralności. Nikt z powstańców nie był wpuszczany z bronią w ręku na teren szpitala. W Szpitalu Wolskim, do którego był w pierwszych dwóch dniach dość łatwy dostęp od ulicy Górczewskiej, utrzymanie podobnych rygorów nie było ani łatwe, ani nawet możliwe. Dyrektor szpitala, dr *Marian Józef Piasecki* starał się, żeby wizyty powstańców były dyskretne. Niestety, nie spotkało się to z właściwym zrozumieniem pełnych zapału i nieopatrznej naiwności młodych ludzi (przyp. prof. dr *L. Manteuffla*).

Pożarów w okolicy szpitala coraz więcej. Palą się domy na Wolskiej. Koło godziny 3 znów Polacy ukazują się na Górczewskiej i Płockiej. O godzinie 5 udaje się cała wyprawa ze szpitala do piekarni na Górczewskiej po chleb. Zakupują 800 kg chleba. Jest to bardzo pomyślne, bo szpital poza trzema workami kaszy i (...) cukrem nic nie posiada, a widzimy, że do żywienia będzie osób coraz więcej. I tu *Wielowieyska* była na czele. Woda i gaz są, prądu nie ma. Aż do wieczora okolica szpitala pozostaje chyba w strefie niemieckiej, a raczej na Górczewskiej nie ma Niemców, na Wolskiej zaś jeżdżą samochody niemieckie.

Dziś z rana przyszła do szpitala dr *Krzywiec* z okolic Chmielna-Bracka. O 7 wieczorem przyszedł z żoną dr *Woźniewski*. Szedł od ul. Kruczej od godziny 10 rano. Mówi, że w śródmieściu nastrój lepszy niż tu.

Jeszcze później, bo o 9.30 przyszły 3 łączniczki. Przyniosły B. I.[7] z 2 sierpnia, który wyszedł spod prasy dziś o godz. 6. Dużo w nim wiadomości pozytywnych, lecz na końcu podano, że „cała Wola do godz. 13 jest w naszych rękach". Że jednak to nie jest prawdą, więc i cała pozostała treść wzbudza nieufność. Dziewczęta te były bardzo zmęczone. U nas dostały jeść i przenocowały. Cała załoga szpitala pracuje dobrze i z zapałem, nikt od niczego się nie wymawia, zresztą, jak dotąd, nadmiaru pracy nie ma. Przewiduję, że z każdym dniem będzie więcej pracy, a zmęczenie będzie wzrastało, zastępstwa zaś nie będzie, bo czujemy dobrze, że jesteśmy odcięci od śródmieścia i sąsiadujemy z arterią odwrotu Niemców z Warszawy, z szosą Wolską, co czyni z tej okolicy ważne miejsce obrony niemieckiej oraz drogę ich wypadu do miasta. Do północy przyjęto 36 rannych, z nich wielu bardzo ciężko.

3 sierpnia (czwartek)

Od północy do godz. 5 rano prawie nie strzelano. Szpital spał dobrze. Wszyscy zdenerwowani, którzy pierwszej nocy nie spali, zasnęli.

Od rana zaczyna się kanonada dość ostra, dość blisko od nas i dość gwałtowna. Oddziały chorych rozszerzają się kosztem III i IV. Dr *Sokołowski* i ja obchodzimy swoje oddziały. Dr *Drozdowski* idzie na chirurgię. Cały mój pluton sanitarny w robocie chirurgicznej sprawia się bardzo dobrze. *Manteuffel* chwali ich.

O godz. 9.30 jakiś pocisk trafił w narożnik domu sąsiadującego z ogrodem szpitalnym. W szpitalu popłoch wśród chorych; schodzenie do schronów. Pali się szereg domów na Wolskiej. Mieszkańcy tych domów zdążają do szpitala. Brama od Działdowskiej szeroko rozwalona. Idą z tobołkami, okupując przysienie. Przez kilka godzin w szpitalu jest pełno tych obcych. Obecność ich niepokoi nas i wiemy, że stanowią oni źródło paniki i niepokoju zarówno dla chorych, jak i dla pracowników szpitalnych. A poza tym wiemy, że przysienie, które służy za schron w czasie nalotów, jest szpitalowi koniecznie potrzebne. Po kilku godzinach udaje się ewakuować przybyszów do dzielnic położonych bliżej miasta. Wszystko to odbyło się sprawnie. Mam wrażenie, że ewakuacji ich sprzyjała ta okoliczność, że położenie szpitala nie wydaje się zgoła bezpieczne.

Rannych przybywa miernie, z nich znaczny odsetek rannych w brzuch i klatkę piersiową umiera po paru godzinach. Ogólny nastrój w szpitalu dziś lepszy i fakt, że wewnętrzne przesunięcie się frontu ku miastu okazało się chwilowe, podniosło wszystkich na duchu, bo uważano, że Niemcom nie jest łatwo zgnieść powstania.

Dziś od rana widzimy wśród naszych żołnierzy AK, pięknie ubranych w angielskie (podobno) kurty, narzuty i czapy z płótna ochronnego i pięknie ustrojonych w „rozpylacze". „Chłopcy z lasu". Nb. słowo „rozpylacz" wymawiają u nas tu z czułością i zazdrością, bo nasi warszawscy chłopcy uzbrojeni są licho w rewolwery i karabiny, a ubrani nędznie. A że od wczoraj deszcz pada bez przerwy, więc są zziębnięci i zmoknięci. Ci zaś, co przyszli „z lasu", to wojacy „całą gębą", sam ich widok podnosi na duchu, a jak się który z nich odezwie, to ma ton tak imperatywny, że nasi odruchowo mają ochotę stawać na baczność.

W załodze szpitala jest dużo ludzi pracujących ofiarnie i z zapałem. Wyróżnia się wśród wszystkich *Wielowieyska*. W wypatrywaniu rannych, w znoszeniu ich do szpitala bije rekordy bezkonkurencyjne. Robi to przy tym z taką radością i zadowoleniem, że wzbudza w towarzyszach wiarę w powodzenie każdego powziętego przedsięwzięcia. A każdy wypad z noszami po rannego ujrzanego z okien szpitala, to marsz pod rojem kul. Poza znoszeniem rannych wyruszyła ona dziś z trzema naszymi pracownikami (*Ojer, Sydry, Dąbrowski*) do szpitala Św. Stanisława po prane tam fartuchy, które były koniecznie potrzebne dla sali operacyjnej. Udało się przynieść cztery duże toboły. *Wiwa* cały dzień w izbie przyjęć. Pani *Buraczewska*[8] sama jest tam stale. Choć nie lekarka i dla całości szpitala raczej obca, bardzo szybko zgrała się z lekarzem dyżurnym i jest nieoceniona jako pomocnica. Jej pogodny nastrój, ożywienie, wyraźna chęć do pracy i wytrzymałość (dyżuruje już dwie doby) działa orzeźwiająco na zespół izby przyjęć, która przecież ma najwięcej widoków ponurych (ciężko ranni, nieopatrzeni, umierający, zmarli).

Wszystkie siostry miłosierdzia pracują z oddaniem i nie opuszczają ani na chwilę swych oddziałów.

Dziś od rana większość personelu lekarskiego i pomocniczo-lekarskiego (wszyscy) została przywołana na chirurgię. Wydaje się, że tę niepełną liczbę lekarzy rozdzielono jak najbardziej racjonalnie. Należy zaznaczyć, że rozdział odbywał się właściwie samorzutnie. Chi-

[7] B. I. = Biuletyn Informacyjny.

[8] Mikrobiolog, obecnie doc. *Maria Buraczewska*.

rurg-szef (dr *Manteuffel*) widząc, że właściwy oddział chirurgiczny „zakłada się" rannymi coraz więcej, porozumiał się z szefem lekarzy-asystentów dr *Jaroszewiczową* i to, co uradzili, zostało przyjęte bez najmniejszego sprzeciwu przez ogół lekarzy i zaaprobowane przez dyrektora. W ten sposób dr *Drozdowski* objął jako asystent oddział III z lżej rannymi (ciężej ranni i operowani zostali na właściwej chirurgii, tzn. na oddziałach V i VI). Dziś koło południa nadszedł prof. *Grzybowski*, który objął znowu oddział IV i VI z rannymi kobietami. Wewnętrznie chorzy z oddziałów III i IV rozmieszczeni są na oddziałach I, II, IX, VII, VIII i III. Szczęśliwie dużo miejsc wolnych umożliwia te wszystkie „przekładanki".

O godz. 19 otrzymaliśmy z miasta B. I. nr 2, zawierający tylko pochwałę dla walczących kobiet i mężczyzn od szefa obwodu „Warszawa", *Montera*. Przez cały dzień strzelanina wokół szpitala nie ustaje. Ale ponadto od godziny chyba 15 słyszymy bezustannie dalekie strzały w głębokiej tonacji i chcemy rozpoznać w tym ciężką artylerię sowiecką. O 19.30 zjawiło się w szpitalu paru chłopców z lasu (z powodu ich plamistych kurtek nazywamy ich „tygryski"). Są w dobrym humorze, przyszli odwiedzić rannego kolegę, opowiadają, że Śródmieście jest w rękach naszych, ale w okolicy Pawiaka wre zacięta walka. Zapewniają też, że Rosjanie posuwają się ku miastu i że w nocy lub najdalej jutro rano zjawią się w Warszawie. Cieszy to wszystkich, nawet siostry szarytki przyjmują tę wiadomość z zadowoleniem. Mój Boże, jak dużo znaczy „koniunktura". Można by powiedzieć, że nic nie mogłoby tak zmienić na lepsze stosunku Warszawy do Rosjan, jak ich spodziewana pomoc w likwidowaniu Niemców w mieście, w utrwaleniu wyników powstania. Gdybym była sceptykiem, to mogłabym przypuścić, że inicjatywa powstania wyszła ze sztabu rosyjskiego...

Ranni, umierający, zmarli są w szpitalu zjawiskiem codziennym, jest ich zresztą niewielu. Większość naszej załogi, to ludzie, którzy przeżyli oblężenie Warszawy we wrześniu 1939 roku, gdy huragan ognia artylerii łączył się z huraganem bombardowania lotniczego, toteż obecne walki, w których występują jedynie karabiny ręczne, maszynowe i (dość często) działka „tygrysów", wydają się łatwiejsze do zniesienia. Istnieje też pięcioletnie przyzwyczajenie do nagłej straty bliskich ludzi, mienia, mieszkania, dlatego nie w takim stopniu wzruszają te zjawiska zarówno samych poszkodowanych, jak i świadków obcych. Natomiast momenty zabawne czy komiczne łatwiej wzbudzają wesołość i śmiech. Wiarygodne opowiadanie humorystyczne dra *Woźniewskiego* o jego wędrówce przez miasto szczerze bawiło słuchaczy.

Dziś znów zabawny wydaje się nam pozornie tragiczny epilog historii pewnego podoficera niemieckiego. Był on wczoraj ranny, koledzy odstawili go do szpitala Św. Łazarza (nasz sąsiad), spisali nazwiska tamtejszych lekarzy i zapowiedzieli groźnie, że ranny ma być wyleczony, w przeciwnym razie sroga śmierć czeka wszystkich lekarzy. Szpital Św. Łazarza nie jest szpitalem chirurgicznym i chcąc się pozbyć odpowiedzialności, prosi naszego dyrektora o delegowanie do nich chirurga, który by ocenił przypadek i ewentualnie wykonał należycie zabieg chirurgiczny. Dyrektor proponuje inne rozwiązanie: niech „Łazarz" [9] odeśle rannego do naszego szpitala; tu nasz oddział chirurgiczny zrobi, co trzeba. Uzgodniono wszystkie szczegóły, lecz ranny do nas nie przybył. Mija doba i oto zjawia się delegacja od „Stanisława" [10], a chorego u nas nie ma.

Wieczorem o dziesiątej obeszłam z *Wiwą* cały szpital, wszędzie spokój. W sali operacyjnej prof. *Grzybowski* kontroluje rannego w głowę; sala oświetlona lampą spirytusową. W suterenach wokoło kotłowni kilkadziesiąt obcych [osób] śpi.

Gdy tak chodziłam po ciemnym szpitalu, którego wszelkie zakamarki są mi znane, wracałam myślą do września — października 1939 roku, kiedy to tak często prawie co dzień obchodziłam cały szpital późnym wieczorem lub w nocy. Towarzyszyła mi często dr *Werkenthin*. Dla niej szpital — to było coś jeszcze bardziej swojego niż dla mnie, bo ja byłam wtedy w Wolskim nowicjuszem, ona zaś pracowała w nim 15 lat. W tych dniach myśli nasze często wracają do niej. Wczoraj dyrektor i *Hanka* zabrali łuski od pocisku działa tygrysa, żeby je użyć jako wazony do kwiatów pod portretem *Marychny* [11]. Każdy z nas mówi tylko o sprawach bieżących, zawodowych, lecz w myślach ma i tych, co już zginęli, i tych, co są w Warszawie. Gdy przychodzą łącznicy lub ktokolwiek z innych dzielnic miasta, to z napięcia, z jakim ktoś z nas słucha opowieści o tej czy innej dzielnicy, widać, że pozostał tam właśnie ktoś bliski, ktoś najdroższy. Dla tego, kto opowiada, wszystkie widziane dzielnice są jednakowo ciekawe, lecz wśród słuchaczy indywidualne zainteresowanie dzielnicą jest bardzo wyraźne.

Od godz. 23 w szpitalu cisza i spokój. Wszyscy śpią, czuwa tylko izba przyjęć i kolejny zespół chirurgiczny. Zespoły te zmieniają się co 8 godzin; jeżeli pracy będzie dużo, będą operować jednocześnie dwa, a nawet trzy zespoły. W ciągu 3 sierpnia rannych przyjęto 32. Po południu pogrzebano w ogrodzie 26 zwłok, w tym 13 zabitych i rannych w akcji wojennej.

4 sierpnia (piątek)

W nocy trochę strzelano, słychać też często głuchy, daleki odgłos jakby artylerii ciężkiej. Spaliśmy zresztą wszyscy spokojnie. O szóstej rano obudził mnie *Augustyniak*, tajemniczo mówiąc, że „nasz oficer ma ważną sprawę". Idąc do niego na dół myślałam z niepokojem,

[9] Szpital Św. Łazarza.
[10] Szpital Św. Stanisława.
[11] Dr *Maria Werkenthin*, zamordowana w obozie w Oświęcimiu dnia 2 lutego 1944 r.

jaka to sprawa; myślałam, że raczej coś bardzo złego o *Ewie* czy *Zosi* [12], chwilami znowu, że coś bardzo dobrego, np. o Pawiaku. Rzeczywistość była inna; był to mój pacjent, który chciał dopełnić sobie odmę. Jest w czepku ochronnym na cyklistówce z orzełkiem, postawa dziarska, wygląd kwitnący. Prosił o możność umycia się. Następnie przy piciu herbaty opowiadał swoje wrażenia i wnioski. Mówił, że duch wśród walczących jest bardzo dobry; to wiemy, to mówimy wszyscy. Ale amunicji i broni za mało... (Jak mi to boleśnie przypomina wrzesień 1939 roku). Niechby tylko była pogoda, to można będzie otrzymać zrzutki, karabiny maszynowe; wówczas w ciągu jednej doby można skończyć z Niemcami w Warszawie. Czyżby wszystko zależało od pogody tylko... O Pawiaku mówi, że powstańcy bronią dotąd getta i że samoloty (...) zrzucały im wczoraj broń i amunicję. Mój rozmówca jest porucznikiem, w cywilu studentem; jest inteligentny, spokojny, z jego wypowiedzi wynika, że położenie powstańców jest ciężkie i że Rosjanie nie spieszą się zbytnio do Warszawy. Wyliczając punkty zajęte już przez Niemców, podaje Pałac Paca i Ogród Saski, dom na rogu Królewskiej i Zielonej, mosty. Nie zdobyto też gmachów gestapo; nie wiadomo, co jest w dzielnicy mokotowskiej i na Ochocie. Chwali młodzież i dzieci ofiarnie i bohatersko pomagające powstańcom. Odszedł po chwili.

Z rana do południa w szpitalu wszyscy zajęci normalną pracą szpitalną, wizyty, zabiegi. Na moich oddziałach VII i VIII brak dziś gazu i uruchomiliśmy kuchenkę spirytusową (o 11 naprawiono rurę i gaz się zjawił). Strzelaniny słychać mało. O 9 krążą samoloty i wydaje się, że skierowują swój lot nad okolicę getta, a potem szybko wznosząc się ulatują w kierunku zachodnim.

O godzinie 14 zrzucono ulotki z samolotów. Ulotka podpisana: „*Bór*", Komendant Armii Krajowej, zawiera jego rozkaz zaprzestania walki z Niemcami [i wezwanie], żeby „razem z Niemcami iść na bolszewików". Jesteśmy przekonani, że to chwyt propagandy niemieckiej, bo wszystko to wygląda bardzo głupio i nielogicznie, a poza tym łączność dzielnic z komendą powstania jest dostatecznie dobra i nie ma potrzeby używać dla podobnych rozkazów ulotek.

O godz. 14 również zjawił się szef sanitarny Woli [13], który wyraził podziękowanie szpitalowi za obecną pracę. Przy tej okazji opowiedział, że w Szpitalu Karola i Marii oraz u Św. Stanisława lekarzy brak i praca [jest] niezorganizowana. Zasadniczo powinno nas to zmartwić, lecz tak już bywa, że źdźbło w oku bliźniego cieszy nas, zwłaszcza jeżeli chodzi o bliźniego „nieosobistego" (szpital). O 16.30 [przybyło] kilku rannych z rogu ulic Płockiej i Górczewskiej. O tej też porze dostaliśmy B. I. z 4 sierpnia. Podaje on, że *Mikołajczyk* rozmawia z Moskwą.

W tej chwili jest punktualnie godzina 17, minęło więc pełne trzy doby od chwili pierwszego strzału. I jak to zwykle bywa, przystosowanie się psychiczne mieszkańców szpitala, zarówno chorych, jak i obsługi, jest lepsze już niż w pierwszym dniu. Chorzy więcej dbają o swoje zdrowie, więcej leżą w łóżkach, regularniej mierzą gorączkę, dopominają się o leki. My zaś, personel, wytrąceni w pierwszym dniu z codziennego trybu zajęć, zdekompletowani (ordynatorzy interny pozbawieni asystentów, chirurdzy pracujący z przygodnymi zespołami) skwapliwie dążymy do ucodziennienia obecnej sytuacji. W ogóle ten piękny i nade wszystko silny instynkt życia nigdy nie ujawnia się tak wyraźnie, jak w chwilach grożącego życiu niebezpieczeństwa. Taki porucznik szukający dopełnienia odmy w chwili przerwy w działaniach wojennych; taki 14-letni powstaniec ranny w udo, niespokojnie wypytujący pielęgniarkę rozbierającą go w izbie przyjęć, czy aby w tym szpitalu są dość dobrzy chirurdzy, godni powierzenia im tej rannej nogi, która musi być wyleczona; taki mąż chorej na ciężką gruźlicę, sam walczący, przynosi wczoraj żonie „wałówkę" z domu, żeby okres powstania nie zepsuł jej leczenia.

Dziś o godz. 15 dyrektor rozmawiał z nami, ordynatorami na temat opieki nad uchodźcami z sąsiednich (spalonych) domów. Jest ich około 150 [osób]. W ogromnej większości są to kobiety i dzieci; gnieżdżą się w suterenie okalającej kotłownię. Uchwalono pomieścić ich w wygodniejszej izbie z wodą bieżącą i własnym ustępem, umożliwić im gotowanie posiłków dla dzieci. Wszystkim szpital wydaje gorącą kawę. Jest to duże obarczenie dla szpitala, tym bardziej, że ranni coraz więcej zapełniają szpital i każdy kąt w szpitalu staje się potrzebny, nie mówiąc już o trudnościach aprowizacyjnych. Zresztą taki szybki napływ rannych stwarza zawsze trudności w ich rozmieszczeniu i obsłużeniu. W środę przyjęto kobietę w ostatnim miesiącu ciąży. Amputowano jej nogę, a w kilka godzin po operacji rozpoczął się poród. Nowe przygodne położne z patrolu, *H. Samsonowiczówna* i *Żytkow* prowadziły poród. Dziecko przyszło na świat nieżywe. Na oddziale XI leży 3-letnia dziewczynka chora na *enterocolitis*.

Dziś mamy pierwszy przypadek zgorzeli gazowej, powstaje [więc] sprawa odseparowania tego rannego od innych, a separatek jest mało i wszystkie są zajęte. Należy stwierdzić zresztą, że wszystkie oddziały przystosowują się chętnie do potrzeb dnia, zapominając o oddziałowych ambicjach (...). Nawet tak „wybredna" dawniej „chirurgia" ma teraz chorych ciężkich i trudnych i utraciła swe cechy arystokratycznego oddziału w naszym szpitalu. Moja jedenastka, oddział separatek, jak zawsze w ciężkich okresach założony „szmelcem", filozoficznie to znosi.

Od kilku godzin wypogodziło się pięknie. W tej chwili godzina 18, niebo błękitne, bez chmurki, wiatru nie ma. Strzelanina dziś była mniej regularna; przez pół godziny strzelają,

[12] *Stefanowskie.*
[13] Mjr *Skiba* (dr *Cyprian Sadowski*).

później 1—1,5 godziny jest cicho i tak na zmianę.

Przed chwilą byłam na najwyższym strychu. Widziałam całą Warszawę przed sobą. Na lewo Żoliborz i getto; cicho, bez dymów, w okolicy Placu Teatralnego czy Placu Zamkowego wielki pożar. W okolicy mniej więcej Belwederu także widać dymy. Jak na dłoni widzę i z rozczuleniem poznaję wieżyce warszawskie od lewa w prawo; kościół na Lesznie, drapacz chmur PZUW na Kopernika, wieże kościoła św. Krzyża, Prudential, dalej nowy gmach Szpitala Wojskowego przy ul. 6 Sierpnia, wieże filtrów i zieleńce, kościół św. Jakuba na Placu Narutowicza i wielki blok Domu Akademickiego. Wszystko całe; dymów w porównaniu z wrześniem 1939 roku mało.

Od 8.30 do 9.45 wieczór przeżyliśmy coś w rodzaju huraganowego ognia artyleryjskiego na domy otaczające szpital. Trafień nie było, ale wyleciały szyby z okien frontu od Płockiej, wyrwało futrynę okna w gabinecie dyrektora oraz uszkodziło lekko futrynę drzwi balkonowych w sali czwartej oddziału VIII. Jeden z pierwszych strzałów uszkodził nieznacznie dach narożnika Płocka-Górczewska. Poszłam tam na strych i spotkałam dyrektora i inż. *Kapicę*. Ten ostatni skontrolował wszystkie strychy, wszędzie osadził dyżurnych z łopatami i kubłami (hydranty są na miejscu i piasek też).

W czasie tej półtorej godziny chorzy byli na parterze i do sal przeważnie nie wrócili. O godzinie 22.30, już po tym bombardowaniu, usłyszeliśmy z okna coś jakby plusk deszczu. Okazało się, że szelest taki wydają dwie ulotki spadające na teren szpitala. Były to ulotki podpisane znów „*Bór*", nawołujące do walki z Rosjanami. Uważamy je za persyflażowe ulotki, wyrzucane przez Niemców w celach dywersji moralnej. O jedenastej szpital ucichł. W nocy były poszczególne strzały, rannych nie przynoszono (...).

Nastrój ogólny w szpitalu raczej spokojny. Nikt nie mówi o celowości powstania, lecz w każdym wyczuwam tajone w duszy wątpliwości oraz niepokój o dom, o rodzinę, o domy warszawskie i ludność warszawską w ogóle.

5 sierpnia (sobota)

Od rana piękna pogoda, (...) lecz z okna idzie chłód już jesienny. Chorzy wrócili na swoje łóżka. Gaz i woda są, prądu podobno brak tylko w szpitalu i okolicy, bo na ogół w mieście prąd jest. Strzałów prawie nie ma. Od czasu do czasu słyszymy warkot samolotu, nie wiemy jaki, dokąd i po co samolot leci. Uczucie oczekiwania na bombę lotniczą miesza się z nadzieją, że to może ten samolot, co przyniesie broń naszym chłopcom. Ta nazwa „nasi chłopcy" stała się nazwą ogólnie przyjętą dla określenia żołnierzy Armii Krajowej. W izbie przyjęć cicho. Załoga szpitala i chorzy mało rozmawiają o wydarzeniach. Dyżurni w izbie przyjęć w chwilach bezczynności z zapałem grają „w inteligencję".

Na tych krótkich uwagach urywa się w sobotę 5 sierpnia 1944 roku zachowany tekst rękopisu autorki.

W tym dniu około południa prof. *Zeyland* i jeden z chirurgów poszli wezwani przez żołnierza *Wehrmachtu* na róg ulic Płockiej i Wolskiej. Stał tam czołg niemiecki, który strzelał do polskich kamienic. Z rozmowy z żołnierzami prof. *Zeyland* dowiedział się, że oni, *Wehrmacht*, nic złego szpitalowi nie zrobią. Niedługo jednak przyjdą formacje *SS* i wtedy los ludzi zgromadzonych w szpitalu będzie nie do pozazdroszczenia. Stało się oczywiste, że zbliża się katastrofa. Prof. *Zeyland*, dr *Piasecki* i może kilka innych osób zdawało sobie z tego całkowicie sprawę. Dr *Piasecki* polecił koledze *Woźniewskiemu* krótko przed wtargnięciem Niemców do Szpitala, aby namówił cywilnych mężczyzn, którzy szukali tam schronienia, do ucieczki w kierunku Śródmieścia. Nieliczni usłuchali tej rady; część z tych osób przeżyła powstanie.

O godzinie 2.30 grupa esesmanów (byli to Azerbejdżanie pod dowództwem oficerów i podoficerów niemieckich) wtargnęła do szpitala. W ciągu kilkunastu minut obsadzili oni cały teren, wypędzając wszystkich, którzy mogli chodzić. Dyrektor *Piasecki* i prof. *Zeyland* spotkali Niemców przy wejściu. Esesmani wprowadzili dyrektora, profesora *Zeylanda* i kapelana *Ciecierskiego* do gabinetu dyrektorskiego i tam ich zastrzelili. Następnie wszystkich chodzących chorych, lekarzy, siostry, pielęgniarki, służbę szpitalną i przygodne osoby cywilne wyprowadzili na pobliskie Moczydło, gdzie po niedługim czasie zaczęli w małych grupach rozstrzeliwać mężczyzn.

Zabito wtedy blisko 200 osób. Kilkunastu mężczyzn uniknęło śmierci dzięki najrozmaitszym okolicznościom, różnym zrządzeniom losu. Około godziny 6 po południu po wymordowaniu mężczyzn przerwano egzekucję, a następnego dnia wyprowadzono kobiety i pozostałych mężczyzn na Jelonki do prowizorycznego obozu. Po kilkunastu godzinach udało się im stamtąd wydostać.

W Szpitalu pozostał jeden lekarz, dr *Woźniewski* i jedna siostra szarytka, *Lucyna Lange*. Tych dwoje usiłowało podjąć jakąś opiekę nad licznymi chorymi, którzy pozostali jeszcze w szpitalu. Esesmani w niedługim czasie wyszli, zrezygnowawszy z niezupełnie jasnych przyczyn ze spalenia gmachu i wymordowania chorych.

W niedzielę w południe przybył wypędzony z pobliskiego Szpitala Karola i Marii personel lekarski i pielęgniarski wraz z pewną liczbą chorych. Szpital Wolski, którego czasowym dyrektorem czy też lekarzem naczelnym został dr *Woźniewski*, wznowił swą pracę. Szpital Św. Stanisława nie uległ rozgromieniu i pełnił nadal swe funkcje.

Wypędzone ze szpitala Wolskiego kobiety: lekarki, siostry i pracownice fizyczne rozpoczęły organizowanie prowizorycznego ośrodka szpitalnego. Pierwszy taki ośrodek był w Jelonkach. Kierownictwo i opiekę nad rozproszonym personelem i chorymi objęła — w ścisłej łączności ze Szpitalem Wolskim w Warszawie — dr *Janina Misiewicz* [14].

11 sierpnia (piątek)

Od rana wyruszają dwie wyprawy [z Jelonek]: *H. Wielowieyska* i siostra *Janina Aniołkowska* do Tworek, a dr *Pecynianka, Samsonowicz, Żytkow, Borkowska* i siostra *Bylica* do Włoch, aby przynieść zebrane tam dla nas rzeczy. O 3.30 ta ostatnia wyprawa wróciła szczęśliwie; wszystko przyniosły, ale za pięćsetki nic nie można kupić, a ja mam prawie już tylko pięćsetki.

Od rana przez trzy godziny starałam się rozszerzyć lokal szpitala, bo jest nam bardzo ciasno, a chorych wciąż przybywa (dziś jest

[14] Tekst wydrukowany petitem jest uzupełnieniem napisanym przez prof. dra *L. Manteuffla* (przyp. red.).

130). Wynik był taki, że sołtys otworzył nam jeszcze jedną salę: skład narzędzi pożarnych, dużą i czystą, ale bez okna. Tam umieszczamy położnicę z noworodkiem. Dziś jest druga kobieta uciekinierka w ostatnich dniach ciąży, ją też musimy przyjąć.

Wszyscy nasi pracownicy są zmęczeni i smutni, wszystkich niepokoi, co w Warszawie. Dr *Jaroszewicz* od rana leży z bólami wrzodowymi. Dr *Krzywiec* dopełnia odmy, *Napiórkowski* pracuje na chirurgii. Siostra starsza [15] ma kłopot z tym, że wiele sióstr jest bez kabatów i bez butów (tylko w rannych pantoflach).

Dzień dzisiejszy jest już dniem powszednim; każdy zadaje sobie pytanie: co dalej. Pociechą jest, że odnaleziona i naprawiona wczoraj kuchnia dziś już dobrze pracuje; oddział gruźliczy (56 osób) dostał dziś własne śniadanie. Odżywiamy obcych dwa razy dziennie zupą.

Dziś dostawy 100 kg chleba i obiecują na poniedziałek jeszcze góry. Mleka, jaj wcale dostać nie można.

Bestialstwa kałmuków ustały. Wczoraj były tu niemieckie patrole wojskowe i wystraszyły wszystkich. Czy na długo, czy skutecznie?

Dopiero o godz. 19 wróciła *Hanka* z Tworek. Przyniosła komunikaty, ubrania dla sióstr szarytek oraz wiadomości dla nas. Mianowicie jutro ma się zgłosić p. *Lipińska* [16], pielęgniarka z Ośrodka Zdrowia w Pruszkowie i przyjaciółka, dr *Jaroszewicz*. Ma przywieźć pozwolenie na przewóz naszych chorych na gruźlicę i rannych do Tworek, Pruszkowa i ewentualnie do Podkowy Leśnej.

Razem z *Hanką* przyszły nas odwiedzić dr *Belke*, dr *Gepner* i mgr *Buraczewska*. Dowiadujemy się od nich, że pociągi elektryczne kursują nie od Dworca Zachodniego, że nawet EKD [17] kursuje do Szczęśliwic i że w Milanówku, Brwinowie żyje się spokojnie.

Powinno by to nas raczej ucieszyć, ale nie: jeszcze tragiczniejszy wydaje mi się los opuszczonej przez wszystkich i wydanej na bezlitosne niszczenie Warszawy. W rozmowach z moimi towarzyszami i analizując własne uczucia, stwierdzam, że każdej z nas trudno odłączyć niepokój i rozpacz na myśl o losie kogoś bliskiego od myśli o tych wszystkich, co zginęli w tych czasach i o tych, co giną i zginą jeszcze.

Pożary nad Warszawą były wczoraj nieduże, ale ciągle są. Wieczorem nie znany nam p. *Matys* przysłał ze swego majątku wóz naładowany pomidorami i ogórkami dla chorych. Przyjęliśmy to z wdzięcznością, choć żywiąc chorych surowymi ogórkami lada dzień można spodziewać się rozwolnień i czerwonki. Dotąd, chwała Bogu, epidemii nie mamy.

[15] Przełożona szarytek, siostra *Jadwiga Rossipal*.

[16] *Nonna Lipińska-Łyżwańska*, dzięki której jedynie udało się uzyskać lokal i możność przetransportowania chorych do Podkowy Leśnej.

[17] Elektryczna Kolej Dojazdowa.

12 sierpnia (sobota)

Dziś o szóstej rano koleżanka (...) [18] w towarzystwie p. *Buraczewskiej* i *Belke* wyruszyły do Włoch, żeby się dowiedzieć, czy można by naszych chorych przewieźć koleją z Włoch do Pruszkowa. Byłoby to dla nas wielkim ułatwieniem, bo do Włoch z Jelonek jest jakieś 2—3 km, do Pruszkowa zaś około 10—12 i transport chorych byłby tu znacznie trudniejszy. Niestety, wróciły po trzech godzinach z wiadomością, że z Włoch nie można transportować. Wiemy, że przez Włochy idą stale transporty ludzi wywożonych przez Niemców z Warszawy; dr *Steffen* podał *Hance*, że dr *Bądzińska* odjechała w takim transporcie, jej rodzice zaś są przez niego jako chorzy zatrzymani w Pruszkowie.

Dziś jest piękny dzień; dalie, (...), groszki kwitną wszędzie bujnie. W naszym pokoju stoi bukiet pięknych goździków, białych i czerwonych. Krowa idylicznie porykuje w siąsieku, kura gdacze po zniesieniu jajka, ot zdawałoby się, nastrój wakacji, ale nikt (...) nie czuje tego. Widzę, jak uczucie radości z wyzwolenia ustępuje u nas wszystkich niepokojowi o to, co się dzieje w Warszawie, co będzie z nami i rozpamiętywaniu tych, którzy już zginęli dotąd. Imię prof. *Zeylanda* wymieniamy wszyscy na tym miejscu wśród naszych strat. Jedyną pociechą jest dla nas, że dr *Manteuffel* i dr *Wesołowski* uratowani chyba i będą żyli.

Nic nie wiemy o losie Szpitala Dzieciątka Jezus. Dr *Steffen* twierdzi tylko, że zabito prof. *Czyżewicza*. Smutek przytłacza nas wszystkich, choć młodzież dowcipkuje, układa wierszyki i piosenki, np. na temat Mongołów.

Siostry są coraz bardziej zdenerwowane, chcą iść do Warszawy. Zobaczymy, co powie nam dziś p. *Lipińska* o Tworkach i Pruszkowie.

O godz. 14 przybyły z Pruszkowa dr *Miłaszewska* (moja dawniejsza uczennica ze Szpitala Wolskiego) i p. *Lipińska*. Mają pozwolenie *Kreishauptmanna* na przeprowadzenie 60 chorych z gruźlicą z Jelonek do Podkowy Leśnej. Tam szykują lokal dla nas. O godzinie 3.30 wyrusza pochód. Wóz (tylko jeden niestety), na nim ci ranni (ośmiu), którzy nie mogą iść, a wymagają operacji. Jadą do Rakowa, a stamtąd EKD powiezie ich dalej. Trafić mają do szpitala w Pruszkowie (Wrzesin) oraz do Podkowy Leśnej — 50 rannych i z gruźlicą. Z personelu lekarskiego odchodzą z nimi dr *Jaroszewicz* jako lekarz-szef, *Samsonowicz*, *Żytkow*, *Lipińska*, (...) [19], 7 szarytek i 10 posługaczek. Ta część szpitala ma być rozlokowana w Podkowie Leśnej w budynku kasyna i w jednej lub dwóch willach. Położnice z noworodkiem odesłałam do dworu *Sznajdrów* (zgodzono się przyjąć).

Dziś przywieźli 100 kg węgla z Włoch oraz margarynę, groch i gęś. Nigdy nie zmęczona *Hanka Wielowieyska* przyniosła z Chrzanowa

[18] Nazwisko nieczytelne.

[19] Nazwisko nieczytelne.

15 kg mięsa końskiego. Obiad był dziś dla wszystkich bardzo dobry (krupnik z mięsem).

Moja kierownicza rola w momentach przełomowych jest zawsze przykra: część chorych nie wyznaczonych przez nas koniecznie chciała iść do Pruszkowa, część znowu wyznaczonych do ewakuacji chciała zostać. Musiałam użyć „dyrektorskiego" tonu — i w ciągu półtorej godziny ewakuacja się odbyła. Z personelu lekarskiego została nasza gwardia: dr *Halina Krzywiec*, dr *Janina Pecynianka*, *Staszka Stawicka*, *Hanka Wielowieyska*, obie *Lesieniówny*. Siostry oddziałowe także zostały. Wiele obcych szpitalowi ludzi pragnie przyłączyć się do pochodu. Odstraszamy ich, ale patrzymy przez palce. Odeszło razem chorych 60, cywilnego personelu 5 [osób], szarytek 7, salowych 10, razem 82 [osoby]. Pozostało około 100 [osób], w tym 15 starców. W sprawie tych starców poszły dziś trzy szarytki do Ołtarzewa. Jest tam przytułek dla starców, chcemy ich tam umieścić.

Dzień denerwujący: oczekiwanie na wiadomości z Pruszkowa i pośpieszne wysyłanie. Pogoda dopisuje, upał, niebo bez chmurki. Od strony Warszawy nie słychać strzałów, tylko huki jakby od wysadzania domów. Co tam się dzieje, nadal nie wiemy.

Tydzień temu w sobotę o tej porze (godz. 18.30) wyprowadzono naszych mężczyzn na śmierć, a my pozostawałyśmy w hali na Moczydle zduszone, spragnione, brudne i głodne. Powinniśmy się cieszyć, że dziś jesteśmy na swobodzie, ale ciągle, ciągle myślimy o tych, co zginęli; czuję to w każdej rozmowie i wiem, że w naszych myślach są oni ciągle obecni.

13 sierpnia (niedziela)

Piękny dzień. Szarytki, *Hania W.*, *Pecynianka*, *Lesieniówny* poszły do Włoch na mszę. Oglądam pozostałych chorych. O godz. 12 wróciły siostry ze Strzykuł i Ołtarzewa, razem parokonnym wozem. Przywiozły jarzyn, trochę chleba, dużo porzeczek oraz wiadomość, że w Ołtarzewie RGO i siostry urszulanki mogą przyjąć naszych starców. O drugiej tym samym wozem odjechały tam trzy szarytki i sześciu starców, a 6 starców pod opieką dr *Krzywiec* i siostry szarytki poszli pieszo.

Wyprawić 11 staruszek — to brzmi prosto, ale w rzeczywistości było z tym dużo kłopotu i trudności. Po ich odejściu pozostało jeszcze chorych na gruźlicę 23, chirurgicznych 36, starców 6, razem 65 oraz pracowników około 10, tj. 76 osób.

Dzień dziś niby świąteczny, mieszkańcy stoją wystrojeni i przechadzają się po ulicach tego naszego miasta-ogrodu, które jest osiedlem wybitnie brzydkim. Jedna z szarytek i *M. Lesień* były dziś w szpitalu na Płockiej. Przyniosły wiadomość, że dr *Manteuffel* i *Wesołowski* są w Szpitalu Św. Stanisława. Każda wiadomość o szpitalu wzrusza nas, wzmaga tęsknotę i niecierpliwość. Zgłasza się wiele posługaczek z prośbą przyłączenia się do personelu szpitala celem wspólnej dalszej ewakuacji, ale do pracy nie ma chętnych.

Dr *Krzywiec* wróciła o godz. 20. Odstawiła szczęśliwie starców do Ołtarzewa; na szosie posterunek niemiecki pomógł jej zdobyć wóz i odwiozła ich. Wróciła w świetnym humorze. Dwie szarytki były dziś w Szpitalu po obiedzie samochodem niemieckim. Wśród szarytek obserwuję rozprzężenie. Poszczególne siostry rządzą same sobą. Jest ich zresztą za dużo.

14 sierpnia (poniedziałek)

Dzień bez większych wydarzeń. Kilka sióstr i posługaczek poszło do szpitala i przyniosło swoje rzeczy. O naszych chorych wysłanych w sobotę do Podkowy Leśnej dowiedzieliśmy się, że mieszkają oni we Włochach, co nie jest prawdą. Warszawa pali się, czasem słychać huki. W nocy był nalot. Jest nudno, wszyscy niespokojni, niecierpliwi. Proza!

15 sierpnia (wtorek)

Nic nowego. Po południu przychodzi siostra *Irena* z Podkowy i opowiada, że tam jest niedobrze, że nie wiadomo, czy Szpital Wolski tam jest, czy też odstawiliśmy personel i chorych do szpitala podkowiańskiego, że szarytki nie wiedzą, jaki ma być ich stosunek do cywilnych „sióstr"; jednym słowem czuję, że sytuacja tam niezwykła. Chyba zdecyduję się iść jutro do Podkowy.

Z powodu święta była dziś smaczna kolacja u moich młodych lekarzy, a *Pecyna* i *Hania* były dziś w szpitalu na Płockiej i u Św. Stanisława. Przywiozły mi pozdrowienia od lekarzy i od dr *Manteuffla* i *Wesołowskiego*, którzy obecnie są u Św. Stanisława. Przywiozły od nich konserwy (...), herbatniki, zapałki i swoje rzeczy. Nastrój był dobry. Zostało miłe, zgrane towarzystwo.

16 sierpnia (środa)

O 6.30 wyruszyłam z *Hanką Wielowieyską* do Podkowy. Piękny, rosisty ranek (według słońca jest to 5.30). Idziemy przez Chrzanów, Mory, Gołąbki, Piasków do Pruszkowa, razem około 15—16 km, i na dziewiątą byłyśmy w Pruszkowie. Droga prawie pusta, ludzie boją się chodzić i jeździć, ale nas nikt nie zatrzymywał, o nic nie pytał.

W Pruszkowie. Nadchodzi p. *Lipińska*. Daje dla pozoru prowiant na wozie. Jedziemy do Tworek, stamtąd EKD do Podkowy. Tu *Wiwa* referuje mi stan rzeczy. Okazuje się, że w przeddzień sytuacja poprawiła się o tyle, że uznano szpital w Podkowie za Szpital Wolski, a mnie za dyrektora. Objęłam szpital rozlokowany w budynku kasyna i zajętej willi *Baniewicza* (prawdziwy pałacyk). Chirurgiem jest dr *Pawłowski*. Spotykam tam też dr *Hannę Nowosielską* i dr *Tomaszewską*. O siódmej pojechałam na nocleg (rozkoszny) do Milanówka, do dr *Nowosielskiej* razem z *Hanną Wielowieyską*. Ustaliłam też, że jutro trans-

port z Jelonek ma przybyć do Podkowy. *P. Łyżwańska* ma przepustkę od *Kreishauptmanna*. Dlatego ja jutro mam dotrzeć do Jelonek jak najwcześniej, żeby na czternastą przygotować ten transport.

17 sierpnia (czwartek)

O 7.12 jedziemy EKD do Malich. Stamtąd przez Reguły, Opocz, Raków, Ursus, Gołąbki, Chrzanów do Jelonek, a o godz. 10.30 razem około 17 km marszem. Organizujemy wyjazd, podział personelu, spis chorych itd. Niestety, trudno o konie i musimy zarekwirować.

O 2.30 przybyła p. *Łyżwańska*, ale dopiero o 4.30 udało się dostać dwa podwody. Pochód pieszych i wozy — razem około 100 osób. Cztery razy, ciągłe legitymowanie. Pani *Łyżwańska* z przepustką na swoje imię jedzie na pierwszym wozie. Ja zaczynam pochód pieszych. O szóstej jesteśmy w Rakowie. Ładujemy chorych do wagonów. W chwilę później jedna z chorych umiera (...). Szukam cmentarza we wsi. Pogrzeb bardzo nastrojowy o zachodzie słońca. Siostry się modlą. Rzucam grudkę ziemi na świeży kopczyk, dwa świeże kwiaty (mieczyki czerwone). O siódmej wraca p. *Łyżwańska*, która odprowadziła podwody i za chwilę jedziemy. Około ósmej jesteśmy w Podkowie Leśnej. Dziś zrobiłam pieszo około 25 km [20].

18 sierpnia (piątek)

O 8.12 jadę do Podkowy. Od 8.30 do 12.30 omawianie podziału personelu, spraw szpitala i „uzgadnianie" (...) [21]. Starania pozostają bez wyniku. Główne braki szpitala (...), to (...) dzbanki (...), miski, łyżki itd., nie mówiąc o kocach.

(...) Dowiaduję się, że dziś z rana o godz. 5 w Jelonkach była obława na niestałych mieszkańców. Zabrano do obozu parę tysięcy osób, w tym pozostałe tam nasze szarytki i salowe.

Ale w Pruszkowie czuwa p. *Łyżwańska* i wyzwala wszystkich naszych (...). Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Reszta chorych, lekarek i cztery siostry, które w czasie obławy były nieobecne, pozostały w Jelonkach i chcę, żeby tam były. O szóstej przyjechałam do Milanówka, gdzie znajduję *Hankę*. Zdejmuję buciki, daję do szewca i do jutra, do 13.30 jestem unieruchomiona.

19 sierpnia (sobota)

Hanka rano jedzie do Żyrardowa. Zaś ja z powodu szewca (brak butów) leżę aż do jedenastej. Wreszcie mam buciki i o 12.12 jadę do Podkowy. Znów „uzgadniamy" trudności z pogrzebem. O czwartej jesteśmy w RGO; o 5.22 wyjeżdżam do Milanówka.

O siódmej wieczorem przyjeżdża tam z Żyrardowa *Hanna*. Trochę przywiozła, ale wynika, że ja osobiście muszę tam jechać z „papierem" od RGO. Wobec tego nie idę jutro do Jelonek.

[20] Autorka spędziła noc w Milanówku.
[21] Nieczytelne.

20 sierpnia (niedziela)

O 6.12 jedziemy z *Hanką* do Podkowy na mszę świętą za dr *Piaseckiego*. Potem ona jedzie do Malich i stamtąd do Jelonek. Ja oglądam szpital (oba budynki).

O jedenastej przychodzi dr (...) [22] i dr *Józef May* z rodziną. Przyprowadzili prof. *Modrakowskiego* i proszą, żebym go urządziła w Podkowie. Co prawda nie moja to rzecz, ale się podejmuję. Po wczesnym obiedzie idziemy do RGO [prosić] o mieszkania, a potem do Stawisk i stamtąd do Brwinowa. Niedziela dzisiejsza upalna, męcząca.

21 sierpnia (poniedziałek)

Od rana jadę do Żyrardowa z czterema paniami. Po rozmaitych przeszkodach na drugi dzień, we wtorek 22 sierpnia, dostaję dużo rzeczy. Ciekawe, że sprawę ułatwiło to, że od razu załatwiłam porady lekarskie dyrektorowi Zakładów Żyrardowskich.

22 sierpnia (wtorek)

Wróciłam do Milanówka o 4.30 z częścią rzeczy. Położyłam się zmęczona (upał). Około godz. 6 wchodzi *Wiwa*, a za nią *Krysia O.* [23] Tak długo, tak niecierpliwie, a ostatnio tak beznadziejnie czekałam na nią i wreszcie po 34 miesiącach Pawiaka jest na wolności. Jestem bardzo wzruszona. Długa noc, rozmawiamy.

23 sierpnia (środa)

Od rana łapanki w Milanówku, mnie przepuszczają. Jadę do Podkowy. Tam „uzgadniam" bez końca i nadaremnie tracę czas na czekanie w RGO. Wracam o godz. 5. Upał. Dzień płynie monotonnie, codzienna orka. Kwestia sienników, basenów, kłótnie oddziałów o łyżki, kubki, talerze. Młodzież nasza smutna, bez humoru. Wieczorem wiadomość o wzięciu Paryża, bolesna zazdrość, nic na to nie poradzę. O Warszawie wiemy mało. Chcemy zawsze myśleć, że za kilka dni Niemcy opuszczą Warszawę. Zresztą jest piękny, letni dzień. Ludzie leniwie spacerują na peronach.

W obozie w Pruszkowie ciągle ruch; coraz to nowe transporty. Pociągi PKP Pruszków — Żyrardów od dziś po południu nie kursują. Czy to znaczy, że tory są zajęte na ostatni transport (...) z Warszawy?

24 i 25 sierpnia (czwartek i piątek)

Stare kłopoty. Przyszła *Hanka Wielowieyska*.

26 sierpnia (sobota)

Idę z *Hanną Wielowieyską* i siostrą *Janiną* do Jelonek bez przepustek. O 9.15 jesteśmy na miejscu. Moja „gwardia" ucieszyła się bardzo. Wszystko tam mniej więcej w porządku.

[22] Nazwiska nie można odtworzyć.
[23] Dr *Krystyna Ossowska* została przeniesiona z Pawiaka do obozu w Pruszkowie, skąd uwolniła ją p. *Lipińska-Łyżwańska*.

Cały dzień „urzędowałam". Wieczorem młodzież urządziła wieczór artystyczny, na którym między innymi zaśpiewali piosenkę na temat „gwardii" w Jelonkach.

27 sierpnia (niedziela)

O jedenastej wróciłam do Milanówka z siostrą *Janiną*, przyprowadziwszy z sobą pewną chorą do założenia odmy. *Wiwa* przyszła z Podkowy. Dowiedziałam się więc, że w Podkowie nic się nie dzieje i zostałam cały dzień w Milanówku. Odpoczywałam. Nastrój domu, serdeczności, które stale znajduje się tu u dr *Nowosielskiej*, są tak dobroczynnie kojące dla nas wszystkich.

28 sierpnia (poniedziałek)

Jadę do Grodziska do *landkomisarza*, żeby zdobyć podpisy na zestawieniach personelu. Niestety — to smutne — mam wrócić jutro. Innych spraw nie mogłam już załatwić. Kłopot mamy największy z „góralami" [24], których nie możemy zmienić (...) [25].

29 sierpnia (wtorek)

Znów do Grodziska. Dostajemy zaświadczenia. O 11.30 spotykam się z lekarzem obwodowym (dr *Żebrowska*). Jedziemy razem do Milanówka i tu oglądam szpital. O drugiej jest zebranie wszystkich u kierownika tych szpitali. Jest tu tak: 1. Chirurgia (mała) w willi „Perełce" z „dr" *Kiełbasińską* i dr *Dobrowolskim* na czele; 2. Oddział wewnętrzny + + oczy + nerwy + (...) w szkole, dr *Ziębiński*; 3. Teatr letni — dom noclegowy; 4. Chirurgia — z dr *Wagnerem;* 5. II Klinika Wewnętrzna w Brwinowie (willa „Harenda") — z dr *Rydygierem*; 7. ja w Podkowie. Razem jest około 600 miejsc (...) [26] Dziś poznałam bliżej „dr" *Tyszkiewicz-Kiełbasińską*. Zalecałam jej środki wzmacniające. Potem w domu z *Krystyną*.

30 sierpnia (środa)

Dzień kłopotów z uregulowaniem pracy w oddziale chirurgicznym (...). O czwartej wracam do domu. Życie moje staje się monotonne (...). Dziś był brat prof. *Zeylanda (...)* [27].

* * *

Dane o losach Szpitala Wolskiego oraz biografie opublikowane są m. in. w następujących opracowaniach:

1. *W. Jaroszewicz*: Prof. dr *Janina Misiewicz*. „Gruźlica" 1959, nr 8, s. 701—712. — 2. *F. Olbrychski*: Pamiętny sierpień Szpitala Wolskiego. „Służba Zdrowia" 1950, nr 32, s. 4. — 3. *J. Roguski*: Tajne nauczanie studentów medycyny w latach 1943—1944 w oddziale chorób wewnętrznych Szpitala Wolskiego w Warszawie. „Pol. Tyg. Lek." 1946, nr 5, s. 166—167. — 4. *Z. Woźniewski*: Pierwsze dni powstania warszawskiego w szpitalach na Woli. „Pol. Tyg. Lek." 1947, nr 1, s. 31—32, nr 2, s. 61—64, nr 3, s. 94—96, nr 4, s. 126—128. — 5. *Z. Woźniewski*: Szpital Wolski w latach okupacji (1939—1944). „Arch. Hist. Med." 1958, nr 3/4, s. 185—226. — 6. *Z. Woźniewski*: W Szpitalu Wolskim tego nie było (Na marginesie wspomnień o powstaniu warszawskim). „Biul. Gł. Bibl. Lek." 1959, nr 11, s. 827—830. — 7. Biografie: dr *M. Werkenthin*, dr *J. M. Piasecki*, prof. dr *J. Zeyland*, dr *O. Sokołowski*, dr *K. Drozdowski*. „Gruźlica" 1947, nr 1. O dr *M. Werkenthin* zob. też „Przegl. Lek." 1961, nr 1a, s. 82—83.

---

[24] „Góralami" w czasie okupacji powszechnie nazywano banknoty 500-złotowe.

[25] Zdanie nieczytelne.

[26] Zdanie nieczytelne.

[27] Dr *Misiewicz* przy pomocy licznych dzielnych współpracowników przygotowała teren dla dwóch dalszych ośrodków, do których miał być ewakuowany Szpital Wolski. Istniały więc: oddział w Podkowie Leśnej pod kierownictwem dr *Wiwy Jaroszewicz*, w Pszczelinie pod Brwinowem pod kierownictwem dr *Zbigniewa Woźniewskiego* i w Olszance pod Radziwiłłowem; kierownictwo nad tym ostatnim ośrodkiem objęła dr *Misiewicz*.

Dnia 24 i 25 października opuściły Szpital Wolski ostatnie ekipy personelu i ostatni chorzy, ażeby rozpocząć pracę w trzech prowizorycznych ośrodkach szpitalnych rozproszonych w okolicach podwarszawskich.

18 stycznia 1945 roku, zaraz po oswobodzeniu Warszawy, ekipa szpitalna wraz z dr *Misiewicz* na czele wyruszyła do Szpitala Wolskiego. Szpital kierowany przez dr *Misiewicz* wznowił w niedługim czasie pracę jako pierwszy szpital w lewobrzeżnej Warszawie. Oddział chirurgiczny wznowił swą pracę 1 marca 1945 r. Oddział wewnętrzny pod kierunkiem doc. dr *Roguskiego* pracował już przeszło miesiąc (przyp. prof. dr *L. Manteuffla*).

ALEKSANDER BIBERSTEIN Givataim (Izrael)

Z problematyki żydowskiej służby zdrowia w Krakowie pod okupacją hitlerowską

Działalność Żydowskiej Komisji Sanitarnej (1940—1943)

W pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej znacznie wzrosła liczba ludności żydowskiej w Krakowie. Było to związane z wygnaniem i przesiedleniem Żydów z Łodzi, Kalisza, częściowo z Warszawy i innych miast Polski oraz z przenoszeniem się ich do Krakowa ze wsi i ośrodków miejskich województwa krakowskiego ze względu na bezpieczeństwo. Trzeba było zagęścić mieszkania żydowskie i zorganizować masowe kwatery dla przesiedleńców.

Nakazem chwili stała się akcja profilaktyczna dla zapobieżenia wybuchowi epidemii, ko-

nieczny był nadzór sanitarny nad skupiskami ludności żydowskiej.

Z inicjatywy dra med. *Maurycego Habera*, członka Zarządu Gminy Żydowskiej, zorganizowano Komisję Sanitarną. Do bezpłatnej pracy w jej ramach zgłosiło się 156 lekarzy i 110 pracowników służby zdrowia (pielęgniarek, farmaceutów, laborantów medycznych, dentystów). Plan działania komisji ustalono na ogólnym zebraniu wszystkich członków w dniu 26 lutego 1940 roku. Postanowiono wtedy, że akcja obejmie dzielnice Kazimierz, Stradom i Podgórze. Dzielnice te podzielono na rejony, w których skład miały wejść bloki mieszkalne, po 5—6 domów każdy. Zespoły sanitarne z 3—4 osób miały za zadanie kontrolować domy, mieszkania i podwórza wyznaczonych bloków oraz uświadamiać mieszkańców o konieczności i sposobach walki z brudem, robactwem, gryzoniami itp. jako przyczynami chorób zakaźnych. Wizytacja odbywała się początkowo dwa razy tygodniowo, później raz w tygodniu.

Praca Komisji Sanitarnej była szczególnie ciężka w domach stanowiących zbiorowe kwatery. Przedmiotem skarg ludności były: wadliwa kanalizacja lub jej brak, zamarzanie rur wodociągowych, niewywożenie śmieci, brak wystarczającej ilości mydła. Zwłaszcza wielkie zbiorowiska śmieci groziły wybuchem epidemii.

Częste odwiedziny bloków, akcja uświadamiająca, interwencje w Zakładzie Oczyszczania Miasta niewątpliwie poprawiały stan sanitarny w dzielnicach, w których działała Komisja. Później akcja sanitarna została przeniesiona do getta i była prowadzona aż do momentu jego likwidacji. Liczba zachorowań na choroby zakaźne była w tym czasie mniejsza niż poza nim.

Komisja Sanitarna podlegała bezpośrednio niemieckiemu lekarzowi miejskiemu, z którym kontaktował się dr *Haber*. Szefami sanitarnymi byli kolejno: dr *Reichel*, dr *Buurmann* i dr *Ohrloff*. Dr *Buurmann* dorobił się majątku na wydawaniu Żydom zaświadczeń o zdolności do transportu w latach 1940—1941, kiedy były ważne wyłącznie zaświadczenia lekarza niemieckiego. Zabronił on prowadzenia wykazu urodzin i zgonów Żydów. Dr *Ohrloff* wsławił się u Żydów tłumaczeniem małej liczby zachorowań na dur wysypkowy symbiozą wszy i Żydów.

Akcją leczniczą Komisji Sanitarnej zostały objęte wszystkie kwatery zbiorowe, gdzie udzielało się bezpłatnych porad lekarskich, a chorzy otrzymywali bezpłatne leki (280 recept w latach 1940—1944). Dla mieszkańców kwater zbiorowych uruchomiono trzy zakłady kąpielowe i łaźnie przy ulicach: Paulińskiej 28, Szerokiej 6 i Józefińskiej 3. Duże usługi w utrzymywaniu czystości oddał wyposażony przez gminę żydowską zakład dezynfekcyjno-dezynsekcyjny przy ul. Gertrudy 17, do którego kierowała Żydów Komisja Sanitarna. Po utworzeniu getta wybudowano przy łaźni w Podgórzu (ul. Józefińska 5) zakład dezynfekcyjno-dezynsekcyjny, który miał znacznie większą przepustowość.

Z zakładu tego korzystali także więźniowie tzw. *julagów* (*Judenlager*) przy ul. Wielickiej, w Prokocimiu i Bieżanowie, gdzie przebywali od r. 1941 Żydzi z różnych stron Polski, stłoczeni w ciasnych pomieszczeniach, narażeni na zawszenie i choroby. Zakład kąpielowy z urządzeniem dezynfekcyjno-dezynsekcyjnym chronił ich aż do likwidacji getta przed epidemiami, trzeba powiedzieć, dość skutecznie. Później wydano zakaz korzystania z tego zakładu. Skutki okazały się fatalne. W *julagu* przy ul. Wielickiej wybuchła wielka epidemia duru wysypkowego, której ofiarą padło 80% mieszkańców tego obozu, a wśród nich dr *Kon* i dr *Kurz*. Zachorowała również dochodząca do obozu dr *Lichtig*, ale zdołała się wyleczyć po umieszczeniu jej na oddziale zakaźnym szpitala obozowego w Płaszowie.

Komisja miała także do dyspozycji ruchomą kolumnę sanitarną, która przeprowadzała dezynfekcję w zbiorowych kwaterach i w poszczególnych mieszkaniach.

Liczba mieszkań objętych różnymi akcjami Komisji sięgała 10 tysięcy. Z biegiem czasu działalność Komisji musiała ulec zmniejszeniu ze względu na kurczenie się stanu liczbowego jej członków, którzy ginęli i byli przesiedlani. Z ogólnej liczby 353 lekarzy-Żydów w Krakowie na początku wojny 182 straciło życie wskutek prześladowań rasowych.

Świadczenia Ubezpieczalni Społecznej w Krakowie w czasie okupacji dla ubezpieczonych Żydów

Lekarze Ubezpieczalni Społecznej w Krakowie, którzy pozostali na miejscu we wrześniu 1939 roku, wznowili swoją pracę, ochłonąwszy z pierwszego wstrząsu i zaczęli przyjmować chorych w przychodniach i gabinetach. Komisarzem niemieckim Ubezpieczalni Społecznej mianowano Austriaka *Schmidta*, naczelnika wydziału świadczeń kasy chorych w Wiedniu, zastępcą został niejaki *Kainz*. Pierwszą ich czynnością było obniżenie wynagrodzenia lekarza na 400 zł miesięcznie.

W listopadzie 1939 roku dowiedziałem się od dra *Cieńkiewicza*, który po powrocie z niewoli objął w październiku stanowisko naczelnego lekarza Ubezpieczalni Społecznej, że dr *Giller*, doradca lekarski w rządzie Generalnej Guberni, polecił komisarzowi *Schmidtowi* zwolnić z pracy wszystkich lekarzy-Żydów. Wskutek interwencji dra *Cieńkiewicza* komisarz tego zlecenia nie wykonał, zasłaniając się argumentem, wysuniętym zresztą przez polskiego doktora, że nie jest to zarządzenie władzy bezpośredniej. Dopiero w lutym 1940 roku z inicjatywy i na wniosek lekarza ukraińskiego dra *Petryły* (*Ukrainischer Vertrauensmann bei der Gesundheitskammer*) niemiecki komisarz krakowskiej Izby Lekarskiej dr *Kroll*, stały zastępca szefa służby lekarskiej w Generalnej Guberni, rozkazał *Schmidtowi* usu-

nąć z Ubezpieczalni wszystkich lekarzy-Żydów. Na zwolnione miejsca *Petryło* polecił 25 lekarzy, w tym 23 Ukraińców i 2 Polaków.

Dr *Ciećkiewicz*, powołując się na inne zarządzenie *Krolla*, które zakazywało leczenia Żydów przez nie-Żydów, uzyskał zgodę na zatrudnienie trzech lekarzy żydowskich, *Bibersteina*, *Leinkrama* i *Pechnera*, mimo że *Kroll* chciał pozostawić tylko jednego. Później jeszcze udało się naczelnemu lekarzowi uzyskać zezwolenie na zaangażowanie na 8 godzin dziennie lekarzy specjalistów ze szpitala żydowskiego. Zostali wtedy zatrudnieni: chirurg dr *Józef Nüssenfeld*, ginekolog dr *Jan Lachs*, dermatolog dr *Lila Wandstein*, okulista dr *Schnell*, laryngolog dr *Edward Machauf*, rentgenolog dr *Otto Schwarz*. Na tej samej zasadzie uzyskał pracę przebywający wówczas w Wiśniczu dr *Henryk Czapnicki*.

Zatrudnienie w Ubezpieczalni Społecznej było przez cały czas ochroną przed wysiedleniem i przed innymi niebezpieczeństwami. Polskie kierownictwo używało nieraz swego wpływu, by zapobiec grożącym ciągle zwolnieniom.

Lekarzom-Żydom obniżono wynagrodzenie o 20%. Składki ubezpieczeniowe Żydów były opłacane w normalnej wysokości, ale świadczenia Ubezpieczalni ograniczono wyłącznie do świadczeń leczniczych (lekarz, leki, opłaty szpitalne). Innych świadczeń (zasiłków chorobowych, szpitalnych, położniczych, środków przeciw zniekształceniom i kalectwu itp.) ubezpieczeni Żydzi nie otrzymywali.

Ostateczne zwolnienie lekarzy-Żydów nastąpiło 31 grudnia 1942 roku, kiedy wskutek zarządzenia generalnego gubernatora zaczęto Żydów traktować jak więźniów podległych władzy *SS*. Za pracę każdego z nich *SS* otrzymywało 5 zł dziennie, ale nie wypłacało pracującemu żadnego wynagrodzenia.

W okresie, kiedy byłem zatrudniony w Ubezpieczalni Społecznej, apteka Ubezpieczalni wydawała ubezpieczonym Żydom za pośrednictwem ich lekarzy wszystkie w miarę możliwości leki proste, złożone i materiały opatrunkowe. Leki te odbierałem osobiście wprost z apteki przy ul. Batorego i zawoziłem dorożką gminy żydowskiej. Lekarz niemiecki dr *Puppe* dwa razy mnie wzywał do siebie i karcił za rozrzutność leków przepisywanych Żydom. Zawsze jednak miałem obrońcę w osobie dra *Ciećkiewicza*.

Należy podkreślić bardzo pozytywny i życzliwy stosunek do ubezpieczonych Żydów ze strony polskich pracowników Ubezpieczalni. Wszystkie sprawy były załatwiane chętnie i szybko, często z narażaniem się kierownictwu niemieckiemu, które z góry było uprzedzone do wszelkich spraw dotyczących Żydów i traktowało je negatywnie i wrogo.

Bezpośredni kontakt z apteką Ubezpieczalni umożliwiał mi także porozumiewanie się z przyjaciółmi i znajomymi spoza getta. Dzięki temu przemycałem wiadomości, listy, środki pieniężne dla mieszkańców getta.

Osobiście poczuwam się do wdzięczności wobec dyrektora *Kropacza* i kol. dra *Ciećkiewicza* za ich skuteczną interwencję w mojej sprawie u komisarza *Schmidta* w marcu 1941 roku, tj. w okresie tworzenia getta. Bez wiedzy *Schmidta* odważyłem się wtedy zamienić moje mieszkanie poza terenem getta na mieszkanie dra *Ludwika Żurowskiego* znajdujące się w obrębie dzielnicy żydowskiej. *Schmidt* groził mi zesłaniem do obozu koncentracyjnego. Muszę tu podkreślić niezwykle przyjacielskie, życzliwe i serdeczne podejście dra *Żurowskiego* do całej tej sprawy. Również w czasie mego pobytu w obozie okazał mi on dużo serca i pomocy.

Szpital żydowski w Krakowie przy ul. Skawińskiej 8

Krakowski szpital dla Żydów mieścił się od połowy XIX w. w parterowym budynku przy ul. Skawińskiej 8, gdzie miała także swoje biura gmina żydowska. Z początkiem XX w. dzięki wydatnej pomocy finansowej Żydów z Krakowa i z zagranicy nadbudowano piętro, a w latach trzydziestych wybudowano z fundacji rodziny *Wasserbergerów* trzykondygnacjowe ambulatorium i rozpoczęto nadbudowę drugiego piętra. Wszystkie oddziały zostały wyposażone w nowoczesny sprzęt medyczny i urządzenia gospodarcze.

Opieka lekarska spoczywała w rękach doświadczonych klinicystów praktyków, takich jak dr *Blassberg*, dr *Goldgart*, dr *Bornstein*, dr *Nüssenfeld*, dr *Merz*, dr *Rosenhauch*, dr *Blühbaum* i inni. Przed wojną pracowało w szpitalu dużo młodszych asystentów, wolontariuszy, lekarzy z zagranicznymi studiami, ubiegających się o nostryfikację swoich dyplomów.

Bezpośrednio przed wojną szpital dysponował 156 łóżkami i 12 przychodniami specjalistycznymi. Zatrudnionych było w nim 64 lekarzy, w tym 15 etatowych. Na początku września szpital opustoszał. Część lekarzy powołano do wojska, część wyjechała na wschód, pozostali nieliczni. Chorzy także opuścili lecznicę; na krótki czas zawieszono jej działalność.

Kiedy we wrześniu wzrosła liczba Żydów w Krakowie, a co za tym idzie, powiększyło się zapotrzebowanie na usługi lekarskie, mała garstka doświadczonych lekarzy musiała sprostać z pomocą młodych adeptów medycyny niezwykłym zadaniom, nie mając potrzebnych funduszów i zaplecza gospodarczego. Poza tym lekarze i personel pomocniczy byli ustawicznie narażeni na szykany, zabierani do różnych prac w mieście, stale poniewierani i bici.

Pracowali oni w tych warunkach z niezwykłym poświęceniem, przyjmując w ciągu 11 miesięcy, od listopada 1939 roku do 30 września 1940 roku, około 14 tysięcy chorych. Z tej liczby 1 828 obłożnie chorych leczono w szpitalu. Także i w następnych miesiącach, kiedy zmniejszały się stale dotacje ze strony gminy żydowskiej, a zubożali pacjenci nie mogli opłacać leczenia, wskaźnik porad ambu-

latoryjnych sięgał liczby 3 tysięcy miesięcznie, hospitalizacji zaś 2,5 tysięcy „osobodni". Praca lekarzy była tym trudniejsza, że stan chorych zgłaszających się do szpitala był ciężki już to z powodu niedożywienia, przydziały żywnościowe bowiem były daleko nie wystarczające, już to z powodu częstego bicia w czasie przymusowej wyczerpującej pracy.

W czwartym kwartale 1940 r. została ponownie uruchomiona przy szpitalu poradnia przeciwgruźlicza Towarzystwa Ochrony Zdrowia, finansowana przez Żydowską Samopomoc Społeczną. Przychodnię tę prowadziły z wielkim poświęceniem dr *Matylda Loew* i dr *Regina Katzowa*, które zorganizowały tu rozdzielnię tranu, mleka i bułek dla dzieci. Poradnia była stale zaopatrywana w leki, odżywki i tran w znacznych ilościach przez aptekę Samopomocy, prowadzoną przez dra *Artura Juranda* (*Bibersteina*), który osobiście dostarczał wymienione materiały. Towarzystwo Ochrony Zdrowia zostało rozwiązane dekretem okupanta 20 marca 1940 roku.

Zarządzenie władz Generalnej Guberni o utworzeniu żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej w Podgórzu, wydane 5 marca 1941 roku, przekreśliło wielki wkład pracy i ofiarności społeczeństwa żydowskiego. Szpital został przeniesiony do budynku czynszowego przy ul. Józefińskiej 14, zajmowanego dotychczas przez policję granatową i urząd skarbowy. Dom, w którym powierzchnia użytkowa wynosiła 20% powierzchni dotychczasowego szpitala, był zupełnie zaniedbany i wymagał remontu oraz nakładów finansowych. Zapewniła je znowu wielka ofiarność ludności żydowskiej. Remont trwał do października 1941 roku.

Było to coś w rodzaju namiastki szpitala. Umieszczono tu 120 łóżek, urządzono salę operacyjną i pracownię. Szpital był stale przepełniony, co było następstwem zakazu przyjmowania chorych Żydów do innych szpitali, jak również wzmożonej zachorowalności wśród Żydów, niedożywionych i mieszkających w zagęszczonych mieszkaniach.

Budynek szpitalny przy ul. Skawińskiej, gdzie od stu lat leczono chorych, został zamieniony na skład mebli zrabowanych u Żydów, a przeznaczonych dla Niemców. Ma też swoją wymowę fakt, że nie oddano go na cele lecznictwa Polaków, mimo że liczba łóżek w szpitalach dla nich została znacznie uszczuplona przez oddanie szpitala Ubezpieczalni Społecznej na wyłączny użytek Niemców.

W zaadaptowanym na cele szpitalne budynku uruchomiono oddziały: wewnętrzny, chirurgiczny, ginekologiczno-położniczy i pediatryczny oraz przychodnie specjalistyczne, poradnie i pracownie. Wszystkich izb było 30.

Ze szpitala korzystali Żydzi getta krakowskiego oraz gett okolicznych miast i miasteczek, a także więźniowie obozów w Prokocimiu, Bieżanowie i przy ul. Wielickiej, nazywanych *julagami*.

Ogromna ciasnota i braki nie były przeszkodą w utrzymywaniu lecznictwa na względnie wysokim poziomie. Pracowali tu wytrawni klinicyści i ich asystensi. Koledzy Polacy, proszeni na częste konsylia i wykonujący operacje w szpitalu w getcie, podziwiali pracę naszych kolegów, wyrażając im najwyższe uznanie. Aby rozładować nieco panującą ciasnotę, dr *Aleksandrowicz* i dr *Bornstein* podjęli się zorganizowania w czynie społecznym oddziału przewlekle chorych. Dla starców i kalek urządzono lecznicę przy ul. Limanowskiego 15. Prowadził ją dr *Kranz*. Nie trzeba dodawać, że wszystkie te izby były stale przepełnione.

Działanie szpitala w getcie krakowskim należy podzielić na dwa okresy. W pierwszym, trwającym około roku, istniały pewne możliwości pomocy z zewnątrz mimo łapanek, aresztowań, wysyłek do obozów koncentracyjnych. Grupy pracujące na placówkach poza gettem wracały zaopatrzone w pewne artykuły żywnościowe i miały kontakt z przyjaciółmi spoza dzielnicy żydowskiej. W tym czasie pracujący korzystali z leków Ubezpieczalni Społecznej i pomocy lekarskiej z tej instytucji, choć zasiłków pieniężnych nie otrzymywali. Drugi okres rozpoczął się w końcu maja 1942 roku i trwał do zupełnej likwidacji getta. Był to okres wysiedleń, masowych mordów, strzelania do ludzi na ulicach, wysyłki do komór gazowych w Bełżcu. W tym czasie szpitale były zapełnione pobitymi, rannymi, a trupy zapełniały podworzec szpitalny.

W czasie pierwszych wysiedleń w końcu maja i na początku czerwca chorzy i personel szpitala nie byli objęci akcją Niemców; wyzyskały to szpitale i przyjęły poważną liczbę kilkuset ludzi, chroniąc ich w ten sposób chwilowo przed zagładą. Niemniej jednak wysiedlono i zamordowano kilku przypadkowo złapanych lekarzy i pracowników szpitala.

Do najtragiczniejszych wydarzeń w getcie należały wysiedlenia w dniu 28 października 1942 i 13 marca 1943 roku. Za pierwszym razem wysiedlono do Bełżca około 8 tysięcy ludzi, nie oszczędzając przy tym chorych ze szpitala. Między innymi ściągnięto z łóżka porodowego rodzącą i załadowano do transportu, mimo że wystawiono jej zaświadczenie zezwalające na zatrzymanie się w szpitalu. W czasie tego wysiedlenia zabrano i zastrzelono lub zagazowano kilkudziesięciu lekarzy i pracowników szpitalnych.

W dniu likwidacji getta, 13 marca 1943 roku, wydano polecenie pozostawienia chorych bez opieki. Wielu z nich opuściło szpital i o własnych siłach udało się razem ze wszystkimi do Płaszowa. Obłożnie chorzy zostali podczas nocnej rewizji zastrzeleni. Zginęli wtedy również dr *Fischer*, dr *Blauówna*, dr *Palin* z rodziną i woźny. Gdy po dwóch dniach przybyła do getta grupa lekarzy i pielęgniarek dla zabrania do obozu inwentarza i urządzeń, zastała na każdym łóżku kałuże krwi, na podwórzu stos trupów sięgający pierwszego piętra, a wszędzie ślady krwi i mordów.

W ten sposób uległ zagładzie szpital żydowski w Krakowie, placówka, która się pięknie zapisała w historii polskiego szpitalnictwa, którą kierowali wybitni lekarze i która, szcze-

gólnie w okresie przedwojennym, szkoliła wielu młodych lekarzy. Całkowicie przepadły bogate nowoczesne urządzenia i instrumenty medyczne, wyposażenia ambulatoriów, sprzęt gospodarczy, urządzenia zakładu rentgenowskiego, zakładu lecznictwa fizykalnego i wielojęzyczna, wspaniała, kilkutysięczna biblioteka o historycznej wartości.

W obozie w Płaszowie szpital pomieszczono w trzech niewykończonych barakach bez okien, bez kanalizacji, bez pieców, bez zabezpieczenia przed wiatrem i deszczem. Kierownictwo tzw. rewiru lekarskiego spoczywało na polecenie komendanta obozu, *Amona Goetha*, w rękach młodego lekarza, który był ślepym narzędziem władz niemieckich, nieczułym na potrzeby chorych, szpitala i personelu. Chorzy stale byli poddawani selekcjom, często wyciągano ich z łóżka i mordowano w obozie. Codziennie w szpitalu zjawiali się sanitariusze niemieccy, tzw. *Sanitätsdienstgrad*, którzy wybierali chorych do wysyłki i zastrzelenia, ograniczali czas ich pobytu w szpitalu, wypisywali przed wyzdrowieniem. Niemniej jednak udawało się czasem ocalić chorego przed wysyłką i śmiercią przez ukrycie go na czas grożącego niebezpieczeństwa lub odesłania do baraku.

Kierownik szpitala nie uwzględniał interwencji lekarzy oddziałowych w sprawach chorych i szpitala; interwencje takie narażały lekarza na kary ze strony szefa. W najgorszej sytuacji w Płaszowie byli lekarze starsi, którzy sukcesywnie byli pozbawiani pracy lekarskiej, tzw. przydziału lekarskiego. Kierowanie ich do innej pracy kończyło się zwykle śmiercią. Było to również powodem strat w stanie osobowym lekarzy żydowskich. Zginęło ich łącznie w okresie istnienia szpitala 34.

Żydowski szpital zakaźny w getcie krakowskim
Organizacja, działalność, zagłada

Szpital żydowski w Krakowie przy ul. Skawińskiej 8 nie miał przed drugą wojną światową oddziału zakaźnego. Chorych zakaźnie hospitalizowano w Szpitalu św. Łazarza i w szpitalu miejskim na Prądniku Czerwonym.

Wielki napływ Żydów do Krakowa po zakończeniu działań wojennych, pogarszające się stale warunki sanitarne w masowych kwaterach w bożnicach, szkołach żydowskich, lokalach stowarzyszeń, w barakach i w innych pomieszczeniach, a z drugiej strony dyskryminacja, prześladowania, zakaz umieszczania chorych Żydów w szpitalach państwowych i miejskich, groźba zupełnego zamknięcia Żydów na wypadek wybuchu epidemii, co zapowiadało gestapo, jak również pierwsze wypadki duru brzusznego w listopadzie 1939 roku nakazywały jak najszybciej zorganizować szpital dla zakaźnie chorych.

Zadanie było nadzwyczaj ciężkie z powodu braku lokalu, funduszów, inwentarza itp. Powołana przez gestapo gmina żydowska borykała się z olbrzymimi trudnościami i poza uznaniem konieczności stworzenia takiego szpitala nie była w stanie nic zrobić w tej sprawie.

Z inicjatywy piszącego te słowa został zorganizowany komitet pań, które zbierały datki, inwentarz, bieliznę dla tworzącego się szpitala. Żydzi hojnie ofiarowali pieniądze i część wyposażenia. Do bezpłatnej pracy w szpitalu zgłosiło się kilku lekarzy: doktorzy *Aleksander Biberstein, Stanisław Eibenschütz, Amalia Goldmann, Władysław Sztencel, Paulina Wasserberg*, później również dr *Anna Lichtig* i dr *Maria Pechnerowa*. Badania analityczne wykonywała dr *Berta Silberg*. Jedynym płatnym lekarzem był lekarz domowy, dr *Zygfryd Weinreb*.

Na szpital uzyskano budynek przy ul. Rękawka 30 (przed wojną żydowska szkoła religijna), który mieścił w swoich siedmiu salach około 60 mieszkańców z różnych stron Polski. Dom był pozbawiony urządzeń sanitarnych, nie miał kanalizacji. Dzięki zebranym funduszom oraz dzięki pomocy, w dużej mierze bezpłatnej, inż. *Morgenbessera* dom ten skanalizowano i przystosowano do prowizorycznego funkcjonowania jako szpitala zakaźnego. Przewodniczący internatu dla religijnych dziewcząt, *Alter Spira*, dostarczył szpitalowi łóżek z materacami i kołdrami, szafek nocnych i innych części inwentarza. Bieliznę i koce otrzymał szpital od dra *Steinberga* po likwidacji „Centosu".

Pielęgniarkami szpitala były: *Tekla Abkin, Erna Posner, Lidka Kirschner* i *Emilia Fei*.

Cały personel pielęgniarski i fizyczny, opłacany z funduszów szpitalnych, cechowały niecodzienna ofiarność, pilność, uprzejmość i troska o dobro chorych. Tylko dzięki temu możliwe było prowadzenie szpitala w niezmiernie ciężkich warunkach.

Po ukazaniu się zakazu przyjmowania chorych Żydów do szpitali państwowych i miejskich z początkiem 1940 r. szpital zapełnił się chorymi z terenu całego województwa krakowskiego. Leczono tu wszelkie choroby zakaźne.

Wpływającymi darami i datkami uzupełniano w dalszym ciągu inwentarz, instrumentarium szpitalne i wyposażenie.

W czasie od października 1940 roku do lutego 1941 roku leczyliśmy w szpitalu około 60 chorych Żydów, więźniów z ul. Montelupich, którzy z powodu panującej w szpitalu więziennym epidemii duru wysypkowego nie znaleźli tam miejsca. Chorych tych przetrzymywaliśmy możliwie długo, aby oszczędzić im przez ten okres tortur więziennych. W czasie organizacji getta pewnego dnia bez zawiadomienia zabrano tych chorych bez względu na ich stan zdrowia; jak się później dowiedziałem, zostali oni zastrzeleni.

Po utworzeniu getta szpital zakaźny znalazł się w jego granicach. W czasie zimy 1941/42 r. zagęszczenie szpitala było bardzo duże. Po-

ważna subwencja Żydowskiej Samopomocy Społecznej, kierowanej przez dra *Weicherta*, i dalsze uzupełnienia inwentarza przez dra *Józefa Steinberga* pozwoliły nam finansowo przetrzymać ten okres, a po opanowaniu epidemii płonicy i czerwonki mogliśmy nawet, przy wydatnej pomocy inż. *Morgenbessera*, cały budynek odświeżyć, wymalować, wypokostować i w dalszym ciągu kupować konieczne wyposażenie lekarskie, jak również uzupełniać urządzenia sanitarne. W warunkach getta szpital robił bardzo korzystne wrażenie, a chorzy chwalili sobie pobyt w nim.

Wizyty Niemców podówczas były rzadkie, obawiali się bowiem zakażenia.

W czasie czerwcowego wysiedlania w r. 1942 w szpitalu przebywało około 10 rekonwalescentów. Sądząc, że Niemcy nas jak zwykle ominą, przyjęliśmy przejściowo kilkuset zdrowych, starszych ludzi, zapisując ich w stan chorych i chroniąc w ten sposób przed wysiedleniem. Po zakończeniu akcji wysiedleńczej uzyskali oni dalsze prawo pobytu; wielu z tych ludzi przeżyło okupację.

Podczas wspomnianego wysiedlania Niemcy dwukrotnie odwiedzili szpital, grożąc represjami i bijąc kolbami. Grozili wysiedleniem lekarzy, a w szczególności mnie, czego jednak nie wykonali.

Niedługo szpital cieszył się pięknym wyglądem i dobrym pomieszczeniem. Po czerwcowym wysiedleniu zmniejszono teren getta, wydzielając pewne ulice, między innymi Rękawkę. Wielki trud i koszt poszedł na marne. Otrzymaliśmy polecenie opróżnienia budynku w ciągu dwóch dni. Ówczesny komisarz, *Gutter*, nie okazał najmniejszego zainteresowania dalszymi losami szpitala. Zamianowany przez gestapo komisarzem gminy żydowskiej, był przesadnym wykonawcą rozkazów, bardziej rygorystycznym niż Niemcy. Mimo to nie ominęła go kula gestapo po przeniesieniu go do obozu w Płaszowie.

Dzięki poparciu dra *Emila Wasserlaufa*, ówczesnego referenta mieszkaniowego gminy żydowskiej, uzyskaliśmy dom przy pl. Zgody 3 niemal w ostatniej chwili. Z żalem opuściliśmy Rękawkę, dom, w którym urządziliśmy piękny szpital, tak pożyteczny dla wielu chorych, a różnym ludziom ratujący życie w okresie czerwcowego wysiedlania.

Dom przy pl. Zgody otrzymaliśmy w stanie zupełnego zaniedbania i zanieczyszczenia. Znów dzięki pomocy inż. *Morgenbessera* i inż. *Grünberga*, jak też dzięki licznym datkom ze strony społeczeństwa doprowadzono budynek do stanu używalności. Po przewiezieniu wyposażenia szpital zapełnił się chorymi. Przeważała płonica, były też przypadki duru wysypkowego i czerwonki. Szpital był utrzymywany hojnymi datkami i niedzielnymi zbiórkami ulicznymi. Leki i odżywki dostarczała w dostatecznej ilości Żydowska Samopomoc Społeczna. Gmina żydowska z *Gutterem* na czele nie udzielała szpitalowi pomocy materialnej i nie chroniła go przed przykrościami.

Od czasu wysiedlenia czerwcowego mówiono stale o likwidacji getta. W październiku 1942 roku zaczęto na dwóch cmentarzach żydowskich przy ul. Wielickiej w Podgórzu wznosić baraki dla mieszkańców getta. W dniu wywiezienia z getta kilkunastu tysięcy Żydów, 28 października tegoż roku, w szpitalu zakaźnym przebywało przeszło 40 chorych na płonicę, czerwonkę i dur brzuszny. Dzieci ukryliśmy przejściowo w sąsiednich domach na strychach, rekonwalescentów ubraliśmy w płaszcze lekarskie i pielęgniarskie (personel lekarski i pomocniczy nie podlegał wysiedleniu). W ten sposób zostały uratowane osoby, które byłyby na pewno wywiezione. Dodać należy, że w szpitalu znajdowali się wtedy członkowie rodzin personelu lekarskiego i inni przygodni ludzie szukający ochrony.

Już wieczorem zebraliśmy chorych z powrotem i szpital znowu zapełnił się chorymi. Pracowaliśmy w ciężkim nastroju, niepewni jutra naszych chorych oraz losu własnego i naszych rodzin, szczególnie wobec budujących się baraków i przenoszenia poszczególnych placówek pracy do Płaszowa.

W tym czasie dr *Weichert* dostarczał nam poważnych ilości produktów odżywczych i leków, wspomagał też finansowo. Przez cały czas częstymi konsultantami byli lekarze z miasta, a wśród nich prof. *Kostrzewski*, dr *Łapiński*, dr *Gołąb* i inni. Miłe dla nas były zawsze słowa uznania dla naszej pracy w tak niezmiernie ciężkich warunkach.

13 marca 1943 roku otrzymaliśmy polecenie natychmiastowego opuszczenia wraz z personelem szpitala, zostawienia chorych bez opieki i zgłoszenia się na miejsce zbiórki. Zrozumieliśmy ten rozkaz i poleciliśmy chorym, aby jeśli mogą, zgłosili się razem z nami do transportu. Chore dzieci oddaliśmy rodzicom i opiekunom. Niestety, trojga nieprzytomnych chorych nie dało się uratować; tego dnia wieczorem zostali zastrzeleni przez gestapo na łóżkach szpitalnych.

Większa część pracowników szpitala zginęła. Dr *Władysław Sztencel*, znany lekarz krakowski, znakomity internista, został zastrzelony w obozie w Płaszowie. Przemycał on do tego obozu niewielkie ilości środków żywnościowych dla wynędzniałych więźniów. U jednego z rzemieślników zajmujących się tym samym procederem znaleziono przy rewizji „gryps" napisany przez chorą szpitala, p. *Froń*, gdzie była wzmianka o jej dobrodzieju, doktorze *Sztenclu*. To wystarczyło, aby pozbawić go życia. Dr *Stanisław Eibenschütz* został wywieziony do Bełżca i tam zagazowany. Dr *Amalia Goldmann*, zabrana z mieszkania 28 października 1942 roku podzieliła jego los. Dr *Paulina Wasserberg*, współzałożycielka szpitala, długoletnia lekarka Ubezpieczalni Społecznej, świetny fachowiec i społecznik, przewieziona w marcu 1943 roku z siostrą, dr *Dorą Wasserberg*, do Szebni, zginęła w czasie likwidacji tego obozu. Tam też zginęła dr *Berta Silberberg*. Dr *Maria Pechner* straciła życie po li-

kwidacji obozu w Płaszowie. Zdołali się uratować dr *Anna Lichtig* i dr *Biberstein* (oboje w Izraelu).

Z czterech pielęgniarek *Tekla Abkin* zginęła w Płaszowie, *Erna Posner* została zastrzelona 28 października 1942 roku w szpitalu, gdzie leżała nieprzytomna z powodu duru brzusznego. Ocalały *Emilia Fei* i *Lidka Kirschner* (obie w Izraelu). Z kilkunastoosobowego zespołu pomocniczego szpitala pozostały przy życiu dwie osoby.

Zginęli również wszyscy przyjaciele szpitala, którzy swoją bezprzykładną ofiarnością, pracą i oddaniem pomogli w zorganizowaniu i utrzymaniu tej instytucji, wśród nich ofiarni inżynierowie *Morgenbesser* i *Grünberg*.

TADEUSZ SEWERYN Kraków

Wielostronna pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej

Wstęp

W przemówieniu do dowódców wojskowych w Obersalzberg, wygłoszonym 22 VIII 1939 roku, *Hitler* oświadczył: „Postawiłem w stan pogotowia moje *Totenkopfverbände* na Wschodzie. Wydałem rozkaz zabijania bez litości i pardonu wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka. Tylko w ten sposób zdobędziemy teren, którego tak bardzo potrzebujemy... Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem".

Tak nakazywał *Hitler*, ale *Himmler* był innego zdania. Nie Polacy, ale Żydzi powinni być najpierw zgładzeni. „Żydzi są odwiecznymi wrogami niemieckiego narodu i muszą zostać wytępieni. Wszyscy Żydzi, których dostaniemy w nasze ręce, będą w czasie tej wojny bez wyjątku zgładzeni" [1]. Szła więc na Żydów zagłada z całą teutońską furią. Ciosy spadające na Żydów znaczyły nagimi faktami nie tylko historię ich gehenny w Polsce. Pisały one przyszłość również i dla Polaków. Dzisiaj wam, a jutro nam. To trzeba było dojrzeć [2].

Pomoc, jaką podczas okupacji niosło społeczeństwo polskie Żydom, była tylko fragmentem walki wyzwoleńczej, prowadzonej przez naród z najeźdźcą [3]. Po upadku państwa polskiego agresor uderzył szerokim frontem w naród, którego zniszczenie było warunkiem *sine qua non* pełnego zwycięstwa. Zgodnie ze swym planem operacyjnym, posługując się potężnie rozbudowanym aparatem represji i depcąc prawo międzynarodowe, starał się terrorem osiągnąć swój cel ludobójczy.

Jeśli narody podbite przez *Hitlera* nazwały umęczoną Polskę „natchnieniem narodów", to parafraza ta o tyle ma swoje uzasadnienie, że Polacy budujący w podziemiu zręby przyszłego państwa szybko rozkonspirowywali metody walki najeźdźcy i na każdym odcinku jego szerokiego frontu starali się mu przeciwstawić. Gdy hitlerowcy wymagali od ludności wzmożonej wydajności pracy, podziemne Kierownictwo Walki Cywilnej nieustannie wzywało do biernego oporu, a przede wszystkim do zwolnienia tempa produkcji. Na murach zakładów pracy pojawiał się rysunek żółwia, który dla robotników był instrukcją. Obliczono, że wydajność produkcji w zakładach przemysłowych spadła o 30%, a w rolnictwie jeszcze bardziej. Nasilały się obławy po wsiach i miastach, trwały deportacje do niewolniczej pracy w Rzeszy, a w Polsce w odwet za to sabotaże gospodarcze nieustannie wzrastały. Na hitlerowskie sądy policyjne, będące parodią sprawiedliwości, odpowiedziało polskie podziemie Komisjami Sądzącymi, Wojskowymi i Cywilnymi Sądami Specjalnymi, opartymi na prawie. Na hitlerowski wywiad, do którego sieci wprzągnięto agentów od *Hitlerjugend, volksdeutschów* i administracji cywilnej, aż po gestapo, odpowiedziano powołaniem placówek Ekspozytury Śledczej, wywiadem wojskowym i wywiadem działających w podziemiu stronnictw politycznych. Po zamknięciu wszystkich szkół średnich i wyższych podziemne władze polskie wskrzesiły tajne nauczanie na różnych szczeblach szkolnictwa. Zarzucono naród gadzinową prasą, redagowaną przez zaprzańców polskich; podziemie przeciwstawiło się tym organom niemieckiej propagandy dużą ilością pism konspiracyjnych, których liczba 1 300 stawia Polskę na pierwszym miejscu wśród narodów Europy podbitych przez *Hitlera*. Prasa ta dobrze spełniła swe zadanie; podnosiła ducha narodowego i przygważdżała kłamstwa propagandy niemieckiej. Na hitlerowski terror odpowiadaliśmy terrorem podziemnej dywersji bojowej i ofensywną akcją oddziałów partyzanckich.

Że zaś następstwem tej walki były ofiary, przeto koniecznością okazało się powołanie do życia różnych organów opieki społecznej nad wysiedlonymi, więźniami obozów koncentra-

[1] *Lord Russel of Liverpool:* Proces *Eichmanna*. Warszawa 1966, s. 53. Zob. też Wspomnienia *Rudolfa Hössa*, Warszawa 1956.

[2] *T. Seweryn:* Chleb i krew. W trzecią rocznicę zagłady getta w Krakowie. Kraków 1946, s. 163.

[3] *H. Jabłoński:* Formy walki ruchu wyzwoleńczego. Za wolność i lud, 1966, nr 12 z 16—30 VI.

cyjnych, obozów pracy przymusowej, gettami, ukrywającymi się Żydami, jeńcami wojennymi, spadochroniarzami wojsk alianckich i w ogóle nad wszystkimi ofiarami faszyzmu, bez różnicy rasy, języka, religii i przynależności narodowej. Konspiracyjne organy opieki społecznej działalnością swą prowadziły konsekwentną walkę z realizowaniem hitlerowskich planów „dzieła przebudowy Europy", jako sprzecznych z ideą demokracji i duchem humanitaryzmu. Jednym z takich organów była Rada Pomocy Żydom, a więc ludziom, których niemiecki narodowy socjalizm, dyszący nienawiścią rasową, pozbawił wszelkich praw.

Rada Pomocy Żydom w Krakowie

Jedyną jawną organizacją żydowską z początkiem okupacji była Żydowska Samopomoc Społeczna (*Jüdische Soziale Selbsthilfe*), której przewodniczący dr *Michał Weichert* reprezentował tę instytucję wobec władz niemieckich, a gospodarzył w oparciu o dotacje polskiej Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) oraz subwencje *American Joint Distribution Commitee*. Potem JSS została przemieniona na *JUS (Jüdische Unterstützungsstelle)*, a wreszcie w roku 1944 i ta organizacja została zlikwidowana. Tu trzeba zaznaczyć, że zarówno *JSS*, jak i *JUS* były instytucjami, które miały służyć niemieckiej propagandzie za granicą i wykazywać światu, że Żydzi w Polsce nie są *„ohne Rechte"*, jeśli są objęci opieką rządu niemieckiego.

W warunkach życia okupacyjnego, w których wzrastająca agresywność najeźdźcy w stosunku do Żydów przybierała formy zdecydowanego ludobójstwa, zaszła potrzeba powołania do życia specjalnej tajnej organizacji, mającej na celu niesienie pomocy zarówno nieszczęśliwej ludności spędzonej do gett i zamkniętej w obozach koncentracyjnych, jak też ukrywającej się po wsiach i miastach. Organizacja taka powstała naprzód w Warszawie 20 października 1942 roku pod nazwą Rady Pomocy Żydom, kryptonim „Żegota" [4]. W lutym 1943 roku otrzymałem od swych władz centralnych zlecenie utworzenia w okręgu krakowskim Rady Pomocy Żydom, składającej się przede wszystkim z przedstawicieli stronnictw politycznych, należących do tzw. „grubej czwórki", do której, jak wiadomo, wchodziło Stronnictwo Ludowe (kryptonim Trójkąt), Polska Partia Socjalistyczna (Koło), Stronnictwo Narodowe (Kwadrat) i Partia Pracy (Romb). Sprawa szła opornie. Ludowcy odnieśli się do niej pozytywnie, socjaliści i demokraci również, ale kierownictwa Partii Pracy i Stronnictwa Narodowego wprawdzie przyrzekły swą współpracę, ale delegatów swych na zebrania tej organizacji nie przysyłały. Niemniej 12 marca 1943 roku powstał w Krakowie „Komitet Pomocy Żydom", który podporządkowawszy się Głównej Radzie Pomocy Żydom w Warszawie, nazwał się Radą Pomocy Żydom, w skróceniu „RPŻ Kraków".

Przewodniczącym Rady został dr *Stanisław Dobrowolski*, pseudonim *„Staniewski"*, sekretarzem mgr *Władysław Wójcik*, pseud. *„Żegota"*, obaj z PPS, skarbnikiem nauczycielka *Anna Dobrowolska (Michalska)* ze Stronnictwa Demokratycznego, ja zaś (tj. *„Socha"*) wraz z działaczem wiciowym dr *Jerzym Matusem* reprezentowaliśmy Stronnictwo Ludowe; ponadto jako okręgowy kierownik Walki Cywilnej zaznaczałem w pracach Rady udział władz podziemnych. W niektórych posiedzeniach Rady uczestniczył *Ferdynand Arczyński* z SD (Prostokąt), przedstawiciel Głównej Rady Pomocy Żydom. Z ramienia społeczeństwa żydowskiego weszła do Rady *Maria Hochberg-Mariańska*.

Nim jednak krakowska Rada rozpoczęła swe agendy, spadła na getto w Podgórzu od dawna przygotowana zagłada. Wieczorem po godzinie 18 dnia 13 marca 1943 roku hitlerowcy dokonali bestialskiej masakry dzieci, kobiet i starców, a resztę żywych zapędzono do obozu w Płaszowie. Te fakty pobudziły nasz zespół do gorączkowej działalności we wszystkich możliwych dla nas kierunkach. Uznaliśmy za stosowne, aby wezwać całe społeczeństwo polskie do niesienia pomocy ofiarom rasistowskiego ludobójstwa, a przede wszystkim tym, którzy zachowali swe życie dzięki ukryciu się w tajnych schronach po wsiach i miastach. Zleciłem więc powielić drukowaną jeszcze we wrześniu 1942 roku, ale naówczas, tj. w r. 1943 bardzo aktualną odezwę Kierownictwa Walki Cywilnej:

„Obok tragedii przeżywanej przez społeczeństwo polskie, dziesiątkowane przez wroga, trwa na naszych ziemiach od roku blisko, potworna, planowa rzeź Żydów. Masowy ten mord nie znajduje przykładu w dziejach świata, bledną przy nim wszelkie znane w historii okrucieństwa. Niemowlęta, dzieci, młodzież, dorośli, starcy, kaleki, chorzy, zdrowi, mężczyźni, kobiety, Żydzi, bez żadnej przyczyny innej, niż przynależność do narodu żydowskiego, są bezlitośnie mordowani, truci gazami, zakopywani żywcem, strącani z pięter na bruk, przed śmiercią przechodząc dodatkową mękę

[4] Inicjatywa utworzenia tej organizacji wyszła od katolickiej grupy konspiracyjnej, Frontu Odrodzenia Polski (FOP), a w szczególności od dwóch kobiet zaangażowanych już w ruchu podziemnym, *Zofii Kossak (Weronika)*, autorki „Krzyżowców", ukrywającej się przed gestapem, oraz *Wandy Krahelskiej-Filipowiczowej (Helena)*, wsławionej wykonaniem zamachu bombowego na carskiego gubernatora *Skałłona*. Kiedy ich odezwę, wydaną w sierpniu 1942 roku, poparł żywo pełnomocnik rządu generała *Sikorskiego* na Kraj, prof. *Jan Piekarkiewicz* i główny dowódca AK, gen. *Stefan Rowecki (Grot)*, powołana została w Warszawie w październiku 1942 roku Rada Pomocy Żydom, do której weszli przedstawiciele PPS *Julian Grobelny (Trojan)* jako przewodniczący, *Piotr Gajewski (Piotruś)* i ze Stronnictwa Demokratycznego *Ferdynand Arczyński (Marek)* jako skarbnik i *Emilia Hiżowa (Barbara)*, ze Stronnictwa Ludowego *Tadeusz Rek (Różycki)* jako wiceprzewodniczący, z Frontu Odrodzenia Polski *Ignacy Barski (Józef)* i *Władysław Bartoszewski (Ludwik)*, przedstawiciel Delegatury Rządu *Witold Bieńkowski (Wencki)*, a społeczeństwo żydowskie reprezentował *Leon Feiner (Mikołaj)* z Bundu jako drugi wiceprezes oraz *Adolf Berman (Borowski)* z Poale Syon.

powolnego konania, piekło poniewierki i cynicznego pastwienia się katów. Nie mogąc czynnie temu przeciwdziałać Kierownictwo Walki Cywilnej w imieniu całego społeczeństwa protestuje przeciw zbrodni dokonywanej na Żydach. W tym proteście łączą się wszystkie polskie ugrupowania polityczne i społeczne. Podobnie, jak w sprawie ofiar polskich, odpowiedzialność fizyczna za te zbrodnie spadnie na katów i ich wspólników".

Zespół nasz był zdania, że społeczeństwo polskie, pomimo że samo żyje w grozie terroru, nie powinno się ograniczyć do samego protestu przeciwko zbrodniom dokonywanym na Żydach, lecz przystąpić do realnego działania. Zgodnie z tym krakowska Rada Pomocy Żydom postanowiła się starać o: 1) zapewnienie jak największej liczby schronów, umożliwiających ludziom ściganym przez faszystów przetrwanie okrutnego czasu okupacji, 2) nawiązanie kontaktu z więźniami za murami i drutami kolczastymi obozów, 3) służenie pomocą w „przerzucie" przez granicę na Węgry, 4) zaopatrywanie w żywność, medykamenty i zasiłki pieniężne, 5) zaopatrywanie w „lewe" dokumenty, 6) Żydów pozbawionych wszelkich praw wziąć w ochronę polskiego prawa podziemnego, 7) zorganizować wywiad, który by zdekonspirował i unieszkodliwił podstępną działalność żydowskich i polskich konfidentów hitlerowskich, 8) odpierać hitlerowską propagandę dyskryminacyjną Żydów.

Program, jak widać, szerokofalowy, przerastający możliwości działania nielicznego zespołu, którego członkowie byli przeciążeni pracą jeszcze w innych podziemnych organizacjach niepodległościowych, a nadto niektórzy z nich musieli się ukrywać przed gestapem. Ale też uważaliśmy krakowską RPŻ głównie za organizację, mającą tylko rzucać inicjatywę, dostarczać przykładów działania, pomagać dotychczasowym, samorzutnym wysiłkom społecznym i propagować scalanie jej ideologii z programami wszystkich antyfaszystowskich grup społecznych i politycznych w podziemiu.

Wielki wpływ na ukształtowanie się pozytywnego stosunku do zagadnienia pomocy Żydom miało przemówienie premiera rządu emigracyjnego, generała *Władysława Sikorskiego*, który 5 maja 1943 roku tak przez radio brytyjskie mówił do Kraju: „Dokonuje się największa zbrodnia w dziejach ludzkości. Wiem, że pomagacie udręczonym Żydom, jak możecie. Dziękuję wam w imieniu własnym i Rządu. Proszę was o udzielanie im wszelkiej pomocy, a równocześnie o tępienie tego strasznego okrucieństwa".

Program RPŻ wspierał się częściowo o niedawne tradycje krakowskiego środowiska socjalistycznego. Wszakże już w roku 1940 *Józef Cyrankiewicz, Mieczysław Bobrowski, Adam Rysiewicz, Stanisław Cekiera* i *Władysław Wójcik* zajmowali się przygotowaniem kryjówek i „lewych" dokumentów dla działaczy narażonych na niebezpieczeństwo aresztowania. Od kontynuowania tych doświadczeń i my rozpoczynaliśmy swoją pracę na tym odcinku.

Z początku opieką RPŻ objęty był tylko Kraków i jego najbliższe okolice. Potem zasięg naszej działalności sięgnął na wschodzie po Lwów [5], (gdzie wprawdzie istniała też placówka RPŻ, ale podczas okupacji nikt nie kwestionował tego przekraczania terytorialnej kompetencji), a na zachodzie po ziemie śląskie włączone do Rzeszy.

Miesięczna dotacja krakowskiej RPŻ z Centrali wynosiła początkowo zaledwie 50 000 złotych. Bardzo to nikła suma w stosunku do ogromu potrzeb. Podległa mi radiostacja „Wisła" rzucała w świat wołania o pomoc dla ginących. Pieniądze napływały, ale jednocześnie niepomiernie wzrastały potrzeby. W kilka miesięcy przed wypędzeniem Niemców z Polski przez Armię Czerwoną wzrósł nasz budżet ponad 1 milion, ale i to z natury rzeczy było kroplą w morzu. W roku 1944 mieliśmy 570 osób na liście pobierających stałe zasiłki, co razem z korzystającymi doraźnie z zapomóg nie przekraczało liczby 1 000 podopiecznych [6], niezależnie od materialnej pomocy udzielanej zbiorowo dla ludzi w obozach. Przy tym uwzględnić należy, że do Krakowa ciągnęli uchodźcy ze wschodu, zbiegowie z więzień hitlerowskich i obozów, a nadto po upadku powstania warszawskiego także i Żydzi ze stolicy.

Nie jestem przygotowany do pisania o całej pomocy Żydom podczas okupacji, ograniczam się jedynie do wycinkowego sprawozdania ze skromnej pracy prowadzonej przez krakowską RPŻ w województwie krakowskim i to tylko w oparciu o fakty ilustrujące działalność nielicznych ludzi z mego najbliższego środowiska konspiracyjnego [7]. Uważam, że większość społeczeństwa polskiego nie potrzebowała komenderowania w sprawach, które reguluje elementarz humanitaryzmu, narzucający głosem sumienia, że w bliźnim należy widzieć człowieka. Dlatego integracja ideologiczna, leżąca u podstawowych założeń naszej organizacji, dokonała się w społeczeństwie polskim rychło. Akcję pomocy Żydom prowadziły podczas okupacji wszystkie antyfaszystowskie organizacje wojskowe i cywilne, które uznawały, że ludobójcze znęcanie się nad Żydami jest hańbieniem pojęcia ludzkości, a pomoc wszystkim

[5] Na czele RPŻ we Lwowie stał socjalista *Przemysław Ogrodziński*. O organizacji tej pisał *Paweł Lisiewicz:* Przyczynek do zagadnienia pomocy Żydom w okresie okupacji hitlerowskiej. Kultura, 1966, nr 37.

[6] Główna Rada Pomocy Żydom w Warszawie, dysponująca większymi funduszami, miała na liście pobierających zapomogę około 4 000 Żydów.

[7] W Tygodniku Powszechnym 1963, nry 15, 18, 20, 33, 38, 51 i w r. 1964, nry 1, 3, 6, 9, 11, 14, 17, 19 znajdują się chwalebne wzmianki o rodzinach polskich, niosących pomoc Żydom, prześladowanym przez hitlerowskie władze okupacyjne. Na zainicjowaną w tej sprawie ankietę przez *Władysława Bartoszewskiego* odpowiedzieli przeważnie mieszkańcy stolicy, natomiast z województwa krakowskiego, gdzie przykładów pomocy Żydom było bardzo wiele, niestety nie padła ani jedna odpowiedź.

ofiarom faszyzmu należy do obowiązków obywateli Polski walczącej.

Nietrudno bowiem było dostrzec, że teren Polski, na którym dokonywano systematycznego mordowania ludzi z powodów rasistowskich, był tylko poligonem, na którym imperializm niemiecki przygotowywał się do kolejnego po Żydach wyniszczenia narodu polskiego. W procesie norymberskim wyszło na jaw, że *Generalplan Ost Reichsführers SS Heinricha Himmlera* przewidywał zesłanie na Syberię 50 milionów Słowian, w tym 20 milionów Polaków. *Hitler* dufnie twierdził, że militarnie zgruchotana i skuta terrorem Europa nie ośmieli się zagrodzić mu drogi w marszu do tego celu. Jedynie Polska, choć była pod większym uciskiem niż którykolwiek naród zachodniej Europy, zdobyła się na powołanie placówek Rady Pomocy Żydom i ten fakt nadaje historyczną rangę tej organizacji.

Schrony

Dyrektor fabryk posługujących się niewolniczą pracą Żydów, *Walter C. Többens*, stwierdziwszy przy pomocy swego wywiadu, że Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB) wzywa robotników żydowskich, aby nie słuchali kłamliwych obiecanek niemieckich i dobrowolnie nie wyjeżdżali do pracy w fabrykach broni w Trawnikach i Poniatowie, wydał do Żydów odezwę, którą rozplakatowano w getcie:

„Żydowscy robotnicy zbrojeniowi! Nie wierzcie tym, którzy chcą was wprowadzić w błąd. Podżegają was, aby spowodować skutki, które są nie do uniknienia. W schronach nie ma żadnego bezpieczeństwa i życie nie jest możliwe, podobnie jak i w dzielnicy aryjskiej. Sama niepewność i bezczynność rozbije moralnie przyzwyczajonych do pracy robotników zbrojeniowych. Komenda Organizacji Bojowej nie pomaga wam i daje tylko czcze obietnice. Sprzedają wam w bunkrach miejsce za ciężkie pieniądze, by was wygnać potem na ulicę i zostawić waszemu losowi" itd. Ta obłudna życzliwość hitlerowskiego spekulanta wojennego, niepozbawiona mimowolnego humoru, nie każdemu przypadła do przekonania. Żydzi woleli iść do „aryjskich bunkrów", grzebanych w ziemi, niż na przesiedlenie, bo *Aussiedlung* znaczyło zwykle śmierć. Ludzie kopali lochy, podziemne chodniki, kryjówki, ziemianki, które Niemcy zwali *Judenbunker*. Wświdrowywali się w ziemię, jak chomiki, borsuki, lisy lub świstaki, którym instynkt samozachowawczy nakazywał kryć się przed silniejszym wrogiem, wczołgiwali się nieraz w te nory, jak zwierzęta. Ale samo naśladowanie zwierząt nie wystarczyło. Umysł ludzki pracował. Rozpoczęła się osobliwa twórczość, rozkwit budownictwa podziemnego.

Twórcami tej nowej dziedziny kultury materialnej byli przeważnie chłopi. Jeden z filozofów chłopskich powiedział, że „w Polsce jest dość ziemi, przytuli ona nie tylko umarłych, ale i żywych". Lecz o przytulenie żywych nie było tak łatwo. *Adolf Rudnicki*, świetny pisarz, żydowskiego pochodzenia, trafnie zauważył, że „nie można brać nikomu za złe odmówienia noclegu, bo za nocleg płaci się głową" [8]. Wszakże szef dystryktu warszawskiego, *Fischer*, obwieszczeniem z 5 września 1942 r. zapowiedział, że śmiercią karać będzie każdego, kto Żydom „udzieli świadomie schronienia lub im w inny sposób pomaga". To *Bekanntmachung* nie było czymś nowym w województwie krakowskim, bo generalny gubernator *Frank* jeszcze 15 X 1941 r. obwieścił podobną zapowiedź całej ludności Generalnej Guberni.

W tych warunkach było trudno postępować według nakazów chrześcijańskich: „głodnego nakarmić, pragnącego napoić, a bezdomnego w dom przyjąć". Przed wsią polską stanęły ważne zadania. Samorzutnie, bez specjalnej akcji propagandowej, bez kazań i nakazów organizacji podziemnych chłop polski przeciwstawił się obłudnym metodom spod znaku swastyki, idąc za głosem własnego sumienia, własnej etyki, własnego światopoglądu i przekonań politycznych.

Trafiały się oczywiście przykłady o innej wymowie, trafiali się ludzie, których zagarnęła rasistowska propaganda — o tych wyjątkach u nas i u Żydów też trzeba mówić, ale dziś wysuńmy na czoło fakty, które zrodziły się ze szlachetnej idei miłości bliźniego i właściwie pojętej idei demokratycznej, bratającej ludzi bez względu na rasę, język, kulturę i religię. Ale idee te nie zrodziły się ani z natchnienia, ani tradycji. Trzeba ich było dopatrzeć się w toku życia okupacyjnego, to zaś krwawymi faktami pouczało, że rasizm to barbarzyństwo. *Ilja Ehrenburg* pisał, że „antysemityzm, jako krańcowa postać szowinizmu, stanowi najniebezpieczniejszy relikt kanibalizmu". Nie, nie! To zbyt delikatne określenie.

W pierwszych dniach okupowania południowej Polski doszła nas wiadomość, że nazajutrz po zajęciu Limanowej przez niemieckich motocyklistów i czołgistów, a więc 6 września 1939 roku aresztowano 9 Żydów, których władowano do samochodu brutalnie, łżąc ich i kopiąc. Nie ulegało wątpliwości, że tej grupie aresztowanych zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Wtedy miejscowy listonosz *Jan Jakub Semik* z rodziny *Talików*, umiejący nieco po niemiecku, próbował interweniować, dowodząc, że ci w aucie to porządni ludzie. Hitlerowcy jednak, nie wdając się z nim w rozmowę, kazali mu wsiąść do samochodu, po czym wywieźli go do lasku Na Cieniawie we wsi Mordarka i tam zastrzelili wraz z Żydami. A więc hitlerowcy ledwie wmaszerowali na teren Polski, już pokazali, czym są. W takich warunkach ludzie wiejscy, nie mogąc się pogodzić z rasistowskimi metodami najeźdźców, przechodzili dość wcześnie do czynnego pomagania Żydom w ukrywaniu się przed tropiącymi ich wyznawcami mordu.

Gdy swego czasu zwróciłem się do starego działacza ludowego (dziś już nieżyjącego), *Jó-*

[8] *Adolf Rudnicki:* Złote okna. Warszawa 1963, s. 25.

zefa Marka z Żarnówki w powiecie wadowickim z prośbą o odpowiedź, czy i w jaki sposób brał udział w walce z okupantem, otrzymałem list dowodzący mi, że *Marek* uważał ochronę Żydów za swój patriotyczny obowiązek żołnierza Polski walczącej. Oto wyjątek z jego pisma: „W roku 1941 przyszedł do mnie nieznany mi dotychczas *Mieczysław Jarowski*, opowiedział mi swoje przejścia i prosił, abym go przyjął na mieszkanie. Był oficerem w czasach I wojny światowej, a po wojnie dyrektorem banku w Łodzi. Stamtąd został wysiedlony wraz z żoną, przechrzcianką. Niemcy wyrzucili ich w tym tylko, co mieli na sobie, nic im nie wolno było zabrać. Tych to nieszczęśliwych ludzi przygarnąłem, dałem im mieszkanie, łóżko, pościel, garnki, bo nie mieli nic swojego. Ale nieszczęście nie spało. Sekretarka, którą *Jarowski* prosił listownie o zasiłek, zdradziła go, bo chciała posiąść jego majątek w Łodzi. Przyjechali Niemcy, znaleźli go u mnie i aresztowali. Pytali go, czy wie, że jego żona wywodzi się z Żydów. Odpowiedział, że wie. Krzyczeli okropnie, że do trzeciego pokolenia Żydzi są ścigani, a on, który o tym wiedział, a nie zameldował, poniesie za to karę. Osadzili go w więzieniu w Nowym Targu. Przysłał mi karteczkę z prośbą o ratunek. Zawiozłem im, co miałem, a naczelnik więzienia mówił mi: Człowieku, czy wiesz, na co się narażasz? Za to może cię spotkać taki sam los, jak ich. Zabrali im pierścionki, kolczyki, drogie zegarki i złote pudełko na papierosy, a potem ich zastrzelili 4 grudnia 1941 roku, to jest *Mieczysława* — oficera, żonę i syna, magistra ekonomii, a mnie mieszkanie zapieczętowali, bo szukali bogactw.

W roku 1942 mieszkając w Makowie, przyjąłem wdowę po sędzim i oficerze wojska polskiego, *Giełczyńską*, przechrzciankę wraz z córką. Tych też wykryli, aresztowali i osadzili w więzieniu w Nowym Targu. Nosiłem im wraz z żoną jedzenie, aby nie zmarli z głodu. Ich również zastrzelili z powodu żydowskiego pochodzenia 1 IX 1942 roku".

Słyszało się o śpiących w piwnicach, ogrodach, szopach, chlewach, strychach, polach i lasach. Bogatsi dawali sobie radę jeszcze jako tako, ale biedota przechodziła straszną gehennę. Nie wiedzieli, do kogo się zwrócić o pomoc, do jakich ludzi i organizacji. Ważne zadanie w Radzie Pomocy Żydom miał delegat Stronnictwa Ludowego, działacz wiciowy, dr *Jerzy Matus*. Wyjeżdżał on w teren, zachęcał, przekonywał i głosił hasła miłosierdzia. Wiadomo, że tych spraw nie można było załatwiać inaczej, jak tylko osobiście, bo na wsi więcej wierzą swoim, niż pisanym „gazetkom". Wnet doszły nas wiadomości o wynikach tej akcji. W Woli Skrzydlańskiej w powiecie limanowskim *Władysław Hyziak* i *Władysław Kozak* ukryli u siebie rodzinę *Grüblów*, a kiedy ci podopieczni zostali u nich zdekonspirowani, przyjęła ich do siebie *Helena Pazdur* w Woli Skrzydlańskiej. W gromadzie Stróże tejże gminy Skrzydlnej *Maciej Sieja* przez długi czas ukrywał *Eichhorna*, Żyda, rolnika na 6 morgach. Kiedy zaś na jego ślad wpadł zdrajca, komendant policji granatowej *Józef Kubala*, przyjęli go inni sąsiedzi i podawali go sobie z rąk do rąk aż do końca okupacji. Po ucieczce Niemców *Eichhorn*, szczęśliwy, że on jeden z całej rodziny ocalał, odwdzięczył się swym dobroczyńcom, obdzielając ich swymi morgami.

Rychło zorientowali się chłopi, że schron dla Żydów trzeba przygotować z chytrym przemyślunkiem. Zaczęli tworzyć, ale w tajemnicy przed sąsiadami, bo języki ludzkie są niebezpieczne. W jednej wsi schronem była stodoła, ale w razie niebezpieczeństwa można było z niej uciec pod osłoną gęstych krzaków do stajni, a z niej do tajemnego podkopu, zaopatrzonego w piec, którego komin ukryty był w gęstych zaroślach. Gdzie indziej na strychu wstawiono ze starych desek przepierzenie, ale tak wąskie, że zaledwie jeden człowiek mógł się tam położyć. Wejście do tej kryjówki było na dachu — po odsunięciu blachy koło komina, a wejście na dach ułatwiała drabina, którą gospodarz miał zwykle opartą o strzechę chaty. W innej znów wsi właz do schronu był pod łóżkiem w izbie. Podnosiło się kawałek deski podłogowej, a wchodziło po drabinie do podkopu wiodącego do stajni, stamtąd zaś do chlewu, gdzie legowisko było wymoszczone słomą. Leśne zaś bunkry zaopatrzone były w dwa wyłazy, jak nory lisie. W podziemnych schronach oświetlenie lampką karbidową nie zdało egzaminu, bo przykra woń karbidu dekonspirowała ukrytych w norze. Z tych samych względów nie wolno było załatwiać się w podziemnym lochu. W schronach grzebanych w wertepach na odludziu w przypadkach konieczności fizjologicznych posługiwano się łopatką, którą ryto dołek w ziemi, a ekskrementy zakopywano. Wyglądało to jak kopczyki krecie. Takie sanitarne zabiegi w sąsiedztwie domostw byłyby co najmniej ryzykowne.

Ważnym problemem było wyżywienie podopiecznych. Trzeba było zakupywać dla nich chleb, pęcak, jaglankę, słoninę, cebulę, czosnek, świece, zapałki, sacharynę itp. Jeśli schron znajdował się w obrębie domostwa, nie przedstawiało to większych trudności poza tym, że ciężar przygotowania strawy obarczał gospodynię. Jeśli jednak chłop *Jan Mirek* wykopał w ziemi schron w zalesionym wzgórzu w Łętowni pod Jordanowem i stale nosił pożywienie zamieszkałemu w tej ziemiance *Izaakowi Windstrauchowi* z żoną *Anną* [10] i to z górą przez okres dwóch lat, to czynność ta była bardzo niebezpieczna, gdyż jego częste chodzenie do lasu mogło być łatwo dostrzeżone przez złych ludzi.

Ale trzeba się było z tym zgodzić, że kto w czasie okupacji zdecydował się ukryć Żyda, bezsprzecznie komplikował sobie życie, bo akt litości nieszczęśliwym bliźnim zbyt często nie ograniczał się do użyczenia mu schronu. To są

[10] *Anna Windstrauch* pozostawiła po sobie pamiętnik pisany w swym bunkrze w Łętowni.

rzeczy znane. Nie każdy z tych dobroczyńców miał warunki, by dla dobra obcych mu ludzi wlec za sobą łańcuch coraz to nowych trosk spędzających sen z oczu.

Jan Ciepły, syn chłopa z Jaśkowic, powiat Wadowice, podczas wojny ekonom w dworze Konopków w Opatkowicach, powiat Proszowice, zgodził się ukryć *Izraela Goldsteina* z żoną, dwiema córkami i babką *Meiselsową*. Jedyny schron, jaki mógł im dać, to stodoła dworska, którą zamykał podrobionym kluczem. Ale pięcioro ludzi potrzebowało pożywienia. Więc w nocy *Ciepły* zabierał swych podopiecznych do siebie, częstował ich ciepłą wieczerzą, oni zaś z suchym prowiantem wracali do stodoły. Była to idylla. Ale po kilku tygodniach późną jesienią zdarzyło się, że złodzieje próbowali w nocy otworzyć drzwi stodoły, w której znajdował się magazyn maku. Żydzi wpadli w panikę i nieostrożnie zdradzili swą kryjówkę. Nazajutrz polowy wypędził ich i zmusił do tułaczki, która zakończyła się aresztowaniem ich i wysłaniem do getta. Najmłodszy z synów *Izraela Goldsteina*, 14-letni chłopak o wyglądzie aryjskim, błąkający się w okolicy, znowu szukał schronienia u *Jana Ciepłego*. Otrzymał od niego kartę rozpoznawczą, wykonaną w biurze delegalizacyjnym Kierownictwa Walki Cywilnej i pracę w młynie dworskim w Pieczonogach. Każdej niedzieli nosił chleb swoim rodzicom, siostrom i babce, i zawsze potrafił przemycić go do getta. To trwało jednak niedługo, bo rodzina jego została „przesiedlona", tzn. wysłana do komory gazowej i na ruszta krematorium. Ostatni z synów *Goldsteina, Majer*, został rozpoznany i aresztowany na ulicy w Krakowie przez Cygana *Cabaja*, szpicla tropiącego Żydów i partyzantów. Bity podczas śledztwa, chwycił się podstępu i zeznał, że w Opatkowicach rzekomo zakopał złoto, srebro i dolary. Przesłuchujący go hitlerowiec wsadził go do auta i przywiózł do Opatkowic, by wskazał miejsce ukrycia skarbu. *Majer Goldstein*, otrzymawszy łopatę, rąbnął nią w głowę amatora dolarów, po czym klucząc między zabudowaniami, zbiegł. Schronił się znowu u *Ciepłego*. Ten zaś, słysząc, że *Cabaj* odgraża mu się za opiekowanie się Żydami, „podrzucił" *Majera* swemu teściowi, *Wojciechowi Małkowi*, potomkowi *Bartosza Głowackiego* w Rzędowicach. *Małek* ukrył go na strychu swej starej chaty, stojącej na skraju wsi, a niedługo potem otrzymał w opiekę jeszcze *Józefa* i *Jasię Wachselbaumów* z Krakowa. Kiedy w sprawach konspiracyjnych bawiłem w Proszowskiem, odwiedziłem tego zacnego gospodarza, oczywiście w towarzystwie *Jana Ciepłego* i jego żony, *Anieli* z *Małków*, do których przyjeżdżałem w czasie, gdy w Krakowie byłem poszukiwany przez gestapo. Podczas tej wizyty, gdy rozmowa zeszła na temat ukrywających się Żydów, *Małek* powiedział: „Trudno, mam wisieć za jednego, to już lepiej za trzech". Taka postawa dosadnie charakteryzuje tego potomka sławnego *Bartosza*.

Tak było na wsi, gdzie — jak się mówiło — było życie łatwiejsze niż w miastach. W Krakowie obowiązek zabezpieczenia mieszkań dla bezdomnych ukrywających się i ściganych spadł na socjalistów. Pomimo niezwykle trudnych warunków życia w stolicy Generalnego Gubernatorstwa, gęsto naszpikowanej wszelakiego rodzaju policją hitlerowską, koledzy z PPS w swoich karnych szeregach zdołali przygotować około 150 „melin", tj. kryjówek dla poszukiwanych i prześladowanych. Na jednym z posiedzeń krakowskiej RPŻ przewodniczący *Dobrowolski* zakomunikował nam, że „w starym młynie w Mogile (dziś na terenie Nowej Huty) syn młynarza, socjalista *Włodzimierz Lelito*, ukrywa przez czas dłuższy dwie bardzo liczne rodziny żydowskie" [11]. Ktoś inny informował, że *Rudolf Przetaczek* z Wieliczki wraz z żoną wykopał „bunkier", w którym ukrywają się *Bergmanowie* i *Perlbergerowie*. *Władysław Wójcik* podał również sensacyjną wiadomość, że kobieta wiejska, *Anna Berata*, we wsi Borowna nr 104 w powiecie bocheńskim ukrywa dziewięciu Żydów: *Szymona Lieblicha* z córką i bratem, *Juliana Roleckiego*, *Drängera* i innych. Te i inne przykłady utwierdzały nas w przekonaniu, że idea ochrony ludzi, zagrożonych przez barbarzyńskiego agresora, znajduje w społeczeństwie oddźwięk w realnym działaniu.

Po upadku powstania w getcie warszawskim znaleźli schrony w Krakowie także ci spośród członków ŻOB, którzy zdołali się przedostać na teren objęty specjalną „opieką" generalnego gubernatora. W tej niezwykle trudnej pracy brał udział *Władysław Wójcik*, sekretarz RPŻ, *Józef Porczak*, *Mieczysław Bobrowski*, którego mieszkanie było punktem zbornym aktywistów lewicowych organizacji podziemnych, *Anna Kuciel*, *Stanisława Cebulakowa (Ewa)*, *Henryk Ziffer*, *Marian Bomba* i wielu innych. Wśród tych „melin" bezsprzecznie pierwsze miejsce zajął podziemny schron pod mieszkaniem krakowskiego robotnika na dalekim przedmieściu, mogący z powodzeniem konkurować z najchytrzej przemyślanymi „katakumbami" na wsi. Z tych względów, sądzę, warto mu tutaj poświęcić nieco uwagi.

Dzięki częstym kontaktom ze *Stanisławem Nawarą*, adiutantem i oficerem broni w Zgrupowaniu Żelbetu (AK), poznałem tę niezwykle pomysłową, podziemną kryjówkę, wykopaną w Krakowie na Wieczystej (Czyżyny) w posiadłości przy ul. Ogrodniczej 357. Autorem pomysłu tego schronu był *Adam Kowalski*, kapral 40 p.p., a podczas okupacji podoficer sanitarny w partyzantce Żelbetu, podporządkowany doktorowi *Tadeuszowi Płatkowi*, pseud. *Tygrys*. Z zawodu był woźnicą, stąd nadał sobie pseudonim „*Koński*". Mieszkał w jednej izbie parterowego domku w ogrodzie wraz ze swą żoną *Leonią* i małoletnią córką. Był to żołnierz odważny, sprytny i wierzący w niezawodność swoich pomysłów. Kiedy w zi-

[11] *Stanisław Dobrowolski:* Krakowska Żegota, Nasz Głos (*Fołksztyme*), 18 IV 1963.

mie 1943 roku przyszedł do niego *Kuba Liebermann* i błagał o ukrycie go, *Koński* zgodził się bez namysłu. Ale gdy *Kuba* wnet sprowadził do siebie brata *Henryka*, *Koński* umieścił obydwóch w piwnicy 4 × 4 m, do której właz zamaskował blachą o wymiarach 30 × 40 cm, wpuszczoną w podłogę tuż pod drzwiczkami u kaflowego pieca. Do tego schronu ściągnęli rychło aż trzej bratankowie: *Lolek Liebermann*, *Józek* i *Staszek*, potem jeszcze *Daniel Goldberger*, a wreszcie *Hanka*, aryjka, narzeczona *Henryka* — razem 7 osób. Tych wszystkich swoich lokatorów zaprzęgnął *Koński* do ciężkiej pracy, zresztą w ich własnym interesie. Wspólnymi siłami postawili wzdłuż jednej ściany piwnicy ściankę przedziałową na jedną cegłę, z niezamurowanym włazem w kącie. Miejsce to zakrywała stara szafa do przechowywania narzędzi gospodarskich, żelaziwa, flaszek itp. W przedłużeniu włazu wykopali tunel szerokości 40 cm, wysokości 50 cm, a długości aż około 30 metrów. Wylot tunelu zakrywała płaska skrzynka wypełniona ziemią, w której rosła z roku na rok kukurydza. W razie niebezpieczeństwa ukrywający się w piwnicy odsuwali szafę tak zainstalowaną na biegunach, że z łatwością dawała się obrócić o 90° i zamykali ją za sobą, jak drzwi, potem czołgali się na kolanach ku wylotowi, gdzie tunel był wyższy i tam pierwszy z uciekinierów barkami podnosił skrzynkę z kukurydzą, a zakryty gęstymi krzewami, uchodził. Do tego sławnego w konspiracji krakowskiej schronu zachodził z rzadka *Władysław Wójcik*, kolega szkolny *Henryka Liebermanna*, a nadto *Stanisław Nawara*, jako zwierzchnik wojskowy *Końskiego*.

Wyżywienie podziemnym domownikom dawała *Leonia*, której w kuchni pomagali *Kuba* i *Henryk*. Kiedy raz zobaczyła ich przy pracy *Maria Wójcik*, mieszkająca w sąsiedniej izbie po drugiej stronie sieni, można było przypuszczać, że długo nie utrzyma tajemnicy mieszkania *Kowalskich*, ona jednak nawet się nie zapytała *Leonii*, co to za jedni i co tu porabiają, nikomu też o swoim spostrzeżeniu słowa nie pisnęła. Po zakupy chodziła *Zielińska*, narzeczona *Henryka*, a zasiłki z RPŻ dla ukrywających się u *Końskiego* Żydów przekazywało Kierownictwo Oporu Społecznego na ręce *Kordiana*, komendanta Żelbetu. Po wojnie dokonano rozrachunku i *Kuba* w drodze ekwiwalentu za świadczenia *Kowalskich* na rzecz *Liebermannów* notarialnie przepisał na *Adama Kowalskiego* swój stary dom na Dębnikach przy ul. Zielnej 19, który rychło uległ rozbiórce.

Przez mury i druty kolczaste

Oprócz apteki „Pod Orłem" w getcie krakowskim, prowadzonej przez Polaka, mgr farmacji *Tadeusza Pankiewicza* [12], istniała tam jeszcze druga placówka kierowana przez Polaka, a mianowicie wytwórnia szkieł optycznych („meniski" i „bi") przy ul. Targowej 6. Kierował nią *Feliks Dziuba*, dyrektor „Spectrum" przy ul. Grzegórzeckiej 64, tj. fabryki szkieł zegarkowych oraz szyb „sigla" i „torax" do szklenia samochodów. Była to wytwórnia pracująca dla wojska, tzn. *wehrmachtverpflichtete Werkstatt*, podlegająca *Heereskraftfahrpark*, i z tej racji *Dziuba* łatwo otrzymał stałą przepustkę do getta, także jego zaufana prokurentka i księgowa *Wanda Kłosowa*, ślusarz *Józef Mika* i starszy robotnik, *Tomasz Perski*. Ludzie ci przybywać mogli do getta o każdej porze i przy tej sposobności przynosić Żydom chleb, kiełbasę, cebulę, lekarstwa, których nie było w aptece „Pod Orłem" itp. Wprawdzie dr *Weichert* otrzymywał dla JUS lekarstwa z Czerwonego Krzyża w Genewie, ale zezwolenie na użycie droższych leków zależało każdorazowo od komendanta getta lub obozu. Z biegiem czasu ta samorzutna organizacja pomocy Żydom zaczęła rozszerzać swe środki działania. W roku 1942 *Dziuba* wraz z *Józefem Zającem* wyprowadzili z getta *Beniamina Halbreicha*, dzielnego bojowca, członka Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB), który pod zmienionym nazwiskiem przyjęty został do pracy w „Spectrum". Potem gdy zanosiło się na likwidację getta, *Dziuba* postarał się w niemieckim urzędzie pracy, znajdującym się na terenie getta przy ul. Józefińskiej, o 20 imiennych niebieskich kart zatrudnienia dla niektórych Żydów w „Spectrum". W owych czasach zwano te *„Blauscheiny"* „kartami życia", bo chroniły przed wysiedleniem, a *Aussiedlung* znaczyło to samo, co wysyłka do komór gazowych.

Naówczas zameldowany byłem w firmie „Spectrum" pod nazwiskiem *Bronisława Kozłowskiego* jako pomocnik magazyniera i miałem możność stwierdzania, że Żydzi ci w ogóle nic nie pracowali, ale wyżywienie otrzymywali. W takich warunkach wielu Żydów uratowanych zostało od śmierci. Jedną z tych ocalonych była *Helena Poznańska*, która w roku 1946 specjalnie przyjechała z Czechosłowacji do Krakowa, aby podziękować swemu opiekunowi za umożliwienie jej przetrwania tragicznych czasów okupacji.

RPŻ w Krakowie utrzymywała kontakt z więźniami obozów koncentracyjnych i przymusowych obozów pracy za pośrednictwem ofiarnych łączniczek. Najdzielniejszą z nich była *Józefa Rysińska* (*Ziutka*), która wyjeżdżała kilka razy do Lwowa, by pomagać niektórym więźniom w ucieczce ze srogiego obozu „janowskiego" i przewozić ich do Krakowa. Wyjeżdżała też do Pustkowa (*Heidelager*) pod Dębicą i do Szebni pod Jasłem, zawożąc niektórym więźniarkom zasiłki, lekarstwa, fałszywe dokumenty, a zabierając „grypsy", które wedle życzeń adresantów rozprowadzała. Gdy w drodze do Tarnowa aresztowało ją gestapo, skatowało podczas śledztwa i wysłało do obozu w Płaszowie, zastąpiła ją *„Mituśka"*, która za druty kolczaste tej kaźni potrafiła przemycać lekarstwa, żywność i „grypsy".

[12] *T. Pankiewicz:* „Apteka Pod Orłem" w getcie krakowskim. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 89.

Łącznik *Tadeusz Bilewicz* jeździł do przymusowego obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej, by na życzenie niektórych więźniów, pożółkłych od zabójczego pyłu pikryny i kaszlących od oparów gotowanego trotylu, przemycać im do obozu polskie „gazetki" konspiracyjne, bo z nich czerpać chcieli otuchę. Funkcję łącznika pełnił też *Mieczysław Kurz (Piotrowski)*, który przerzucony został na Węgry, późniejszy mąż *Marii Hochberg-Mariańskiej*.

Krakowska RPŻ posiada na swym koncie kilka udałych akcji pomocy więźniom, którzy odważyli się na ucieczkę z obozu w Oświęcimiu. Ograniczę się tutaj do jednego przykładu: kapelusznikowi warszawskiemu, *Szymonowi Zajdowowi*, członkowi KPP, dąbrowszczakowi, aresztowanemu na terenie Francji przez gestapo i wysłanemu do obozu w Oświęcimiu, RPŻ udzieliła pomocy w ucieczce z tej „fabryki śmierci", ukrywała go w „melinach" Krakowa i Wieliczki i zaopatrzyła w „lewe" papiery na nazwisko *Szymona Wojnarka*. Opiekunem jego na terenie Krakowa był właśnie sekretarz RPŻ. Szukano jeszcze innego sposobu niesienia pomocy więźniom obozu płaszowskiego, a mianowicie za pośrednictwem ludzi zatrudnionych w firmach krawieckich, szyjących dla wojska. Kierownikami tych przedsiębiorstw byli: *Juliusz Madritsch* z Wiednia i jego szwagier *Rajmund Tisch*, a nadto *Heinrich Bayer*. Znani oni byli z ludzkiego stosunku do robotników, o czym wiedziałem od mego łącznika, *Maksymiliana Skowrona*, pracującego w *wehrmachtverpflichtete Werkstatt Madritscha*. Oczywiście nie czynili tego w imię idei walki z hitlerowskim rasizmem, ani też z powodów humanitarnych, lecz po prostu asekurowali się, cenili dobrych rzemieślników, co nakazywał im dobrze pojęty interes osobisty.

Z tychże samych powodów dyrektor fabryki *Deutsche Emailwerke* w Krakowie na Zabłociu, *J. Schindler*, odnosił się względnie uczciwie do pracujących u niego Żydów. Jeszcze w czasie istnienia getta *Madritsch* zjednał sobie kierownika *Arbeitsamtu* przy ul. Józefińskiej, w budynku dawnej Kasy Oszczędności, Austriaka *Schepetschiego* i namówił go, aby wydawał jak najwięcej kart pracy dla jego zakładu. Za przekroczenie wyznaczonego przez gestapo *numerus clausus* został *Schepetschi* aresztowany, a konfident Żyd *Marcel Grüner*, który wiernie służąc Niemcom, zadenuncjował go, został przez wywiad polski zastrzelony.

Dzięki firmie *Madritscha* i *Tischa* oraz zatrudnionym w niej pracownikom krakowska RPŻ mogła dostarczać do obozu w Płaszowie mąkę do wypieku chleba, fasolę, kaszę i mąkę do kotła, w którym gotowano posiłek (zupę taką zwano „*Jus-Suppe*" — zupa JUSowa). Produkty te oczywiście trzeba było zakupywać na wolnym rynku. Woził te wiktuały autem niemieckim stryjeczny brat mego łącznika *Zbigniewa Kuźmy*, *Antoni Kozłowski*, magister ekonomii, a podczas okupacji woźnica w zakładzie *Madritscha*. Zdarzało się, że czasem tego rodzaju przesyłki przysparzały więźniom więcej przykrości, niż korzyści. Gdy na Wielkanoc 1944 r. przesłała RGO do Płaszowa biały chleb, bigos i sałatę, komendant obozu *Amon Goeth*, dowiedziawszy się o tym, kazał więźniów zapędzić na cały dzień do pracy w kamieniołomach.

Tymczasem pod koniec lipca 1944 r. zaczęto już likwidować obóz w Płaszowie. Z tajnej Małopolskiej Agencji Prasowej z 22 IX 1944 r. dowiedzieliśmy się, że z Płaszowa wywieziono 15 000 Żydów, z czego do Oświęcimia 6 000 i 1 500 do Mauthausen i innych obozów w Rzeszy. Bliższych szczegółów tej ewakuacji nie znaliśmy. Wtedy *Madritsch* wyjawił, że „nasi podopieczni żyją, pracują w fabryce amunicji w Brünlitz (Brynicy) koło Zwittau w Sudetach". Na posiedzeniu RPŻ postanowiono zaryzykować wysłanie pomocy materialnej do tego obozu. Dysponowaliśmy wówczas pewnym zapasem gotówki i wcale zasobnym własnym magazynem, w którego posiadanie weszliśmy dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Oto Niemcy likwidując *JUS*, zagrabili podręczny magazyn tej instytucji, ale zapomnieli o dużej zbiornicy różnych zapasów, pomieszczonych w Radzie Głównej Opiekuńczej (RGO). Wtedy dr *Dobrowolski (Staniewski)* postarał się o to, że za zgodą dyrektora RGO *Edmunda Seifrieda* i pułkownika *Szebesty* z Czerwonego Krzyża, a w obecności dr *Michała Weicherta*, została reszta majątku JUSu przekazana Radzie Pomocy Żydom. Było więc czym wypełnić jeden wagon drobnicy. Wysłano pociągiem ubrania, buty i żywność. Nie bardzo wierzyłem w powodzenie tego ryzykownego eksperymentu, tymczasem, o dziwo, po wojnie niektórzy Żydzi, którzy wrócili do kraju z obozu pracy przymusowej w Brynicy, zapewniali nas, że transport ten doszedł do ich rąk. „Nie tyle zawartość wagonu — mówili — cieszyła nas, ile świadomość, że tam daleko w Krakowie znaleźli się ludzie, którzy o nas myśleli. A co najciekawsze, tamtejsi Niemcy byli niemało zdziwieni, że w ogóle taki transport mógł dojść do nas".

Oto jakimi drogami chodziły metody konspiracyjnego działania RPŻ. Ale były jeszcze inne metody. Wiadomo, że ucieczka zza murów i drutów kolczastych nie należała do niemożliwości. Ułatwiali ją policjanci granatowi, pełniący straż w bramach getta, jedni przekupieni, drudzy z przekonania i obowiązku, osobliwie należący do polskiego ruchu podziemnego. Jednym z nich był *Stefan Małecki*, który w KWC otrzymał dyspenzę na wstąpienie do *Kriminalpolizei*, czyli *Kripo*. Miał on już za sobą kilka śmiałych wyczynów, które w środowisku Żelbetu i KWC wyrobiły mu dobrą opinię. Uprowadził on omal z przedsionka gestapo, bo z biura inspektora policji kryminalnej *Schuberta*, aresztowanego na plantach krakowskich mego łącznika, *Alfreda Zarębę* [13],

[13] *Alfred Zaręba*: Konspiracyjne studia filologiczne. Alma Mater w podziemiu, Kraków, 1964, s. 95—97.

dziś profesora UJ. *Małecki* wywiózł też z pierścienia obławy, przeprowadzonej w Piaskach Wielkich, instruktora AK, *Kazimierza Balona (Juhas)*, późniejszego dowódcę partyzantki „Huraganu". Nadto na prośbę dyrektora gimnazjum w Krakowie, mgr *Emila Weidmanna*, a na moje zezwolenie dostarczał żywność do więzienia w getcie mgr *Helenie Weinreb*, której całą rodzinę Niemcy wymordowali. Potem gdy nad gettem zawisło niebezpieczeństwo zagłady, bo o tym mówiło się już powszechnie, *Małecki* wyprowadził swą podopieczną „na stronę aryjską", przeciąwszy w miejscu zaciemnionym druty kolczaste i wywiózł do Warszawy, gdzie mgr *Weinreb*, zaopatrzona w „lewe" dokumenty, znalazła pracę w szpitalu jako pielęgniarka.

Po tych i innych śmiałych wyczynach zleciłem mu uprowadzenie uwięzionego *Henryka Rowida*, który powróciwszy ze Lwowa 8 XI 1939 r. mieszkał przy ul. Lelewela 6 w Krakowie, nie podporządkowując się obwieszczeniu krakowskiego *Stadthauptmanna*, nakazującemu wszystkim Żydom przeniesienie się do getta. Przez trzy lata nie wychodził ze swego pokoju, pracując bez wytchnienia nad zagadnieniami pedagogicznymi. Dnia 10 VIII 1943 r. podczas kontroli mieszkań aresztowano *Rowida*, wywieziono do Podgórza i wtrącono do więzienia w krakowskim getcie, zlikwidowanym 13 marca 1943 roku. *Małecki*, który miał za sobą naukę w seminarium nauczycielskim w Tomaszowie Mazowieckim, słyszał coś niecoś o *Rowidzie* [14], niemniej jednak zapytał, czy *Rowid* będzie potrzebny Polsce. Tak, będzie potrzebny w organizowaniu demokratycznego szkolnictwa. *Małecki* przyjął „zamówienie". Po kilku tygodniach ustalił, że więzienia w getcie pilnują nie tylko żandarmi hitlerowscy, ale również Ukraińcy i granatowi policjanci. Byłem pewny, że w tych warunkach *Małecki* da sobie radę. Po opracowaniu planu ucieczki zaszła jednak trudność nie do pokonania: *Rowid* nie chciał się zdecydować na ucieczkę, oświadczając, iż według jego orientacji nie zagraża jego życiu żadne poważniejsze niebezpieczeństwo. Potem gdy przesiedlono go z getta do obozu w Płaszowie, *Władysław Wójcik* za pośrednictwem łączniczki *„Mituśki"* przesłał mu gryps, w którym oferował mu pomoc w ucieczce. *Rowid* znowu odmówił. Podobną, jak słyszałem, ofertę odrzucił docent dr *Griffel*, więziony w obozie janowskim we Lwowie. Obaj przepadli.

Z *Henrykiem Rowidem* straciliśmy kontakt koło połowy 1944 r. Istnieje jedna wersja, że z początkiem maja 1944 r. wywieziono go z Płaszowa do obozu zagłady w Oświęcimiu [15], a druga, że stało się to 31 sierpnia 1944 roku, tj. w ostatnim etapie likwidowania obozu w Płaszowie. Obie wersje są zgodne w tym, że *Rowid* poniósł śmierć męczeńską w komorze gazowej.

Ponieważ zdarzały się wypadki, że niektórzy Żydzi w okresie przebywania w getcie nie chcieli zgodzić się na proponowaną im pomoc w ucieczce z tego miejsca odosobnienia, powstało zagadnienie, na jakim podłożu psychologicznym rodził się ten opór.

Żydzi długo nie wierzyli, by to odcięcie ich od świata murami i drutami kolczastymi mogło być wstępem do ich zagłady. Chyba wiedzieli, że 10 marca 1942 roku wywieziono Żydów z Mielca do Sobiboru pod Włodawą i uduszono ich gazem. Potem 5 i 12 czerwca 1942 roku wywieziono Żydów z Krakowskiego i słuch o nich zaginął tak samo, jak po Żydach wywiezionych z Wadowic 3 lipca 1942 roku. Niepoprawnych optymistów to nie przekonało. Z nimi tak mogli postąpić, ale z nami? Rozumowali tak: Przecież hrabia *Roniker* pisał memoriał do *Franka*, w którym dowodził, że będzie to wielką szkodą dla handlu i przemysłu Krakowa, jeśli się nas tutaj w getcie trzymać będzie bezczynnie.

Podczas akcji wysiedleńczej hitlerowcy kłuli Żydów bagnetami, strzelali i mordowali. Można było oczekiwać, że udręczeni ludzie stawią opór. Naród nasz — mówiono — przetrzymał w ciągu dziejów tyle prześladowań, zniesie więc i te. Niemcy, chcąc zabić w masach samą myśl o oporze, zastosowali taktykę podstępną. Pomagali Żydom myśleć poprawnie. Spokojnie i poważnie dowodzili: Nam potrzebna jest wasza praca. Gdybyśmy was wymordowali, musielibyśmy żołnierzy odwołać z frontu, aby was zastąpili przy maszynach, wtedy kto by zwyciężał? W tych słowach była niespornie jakaś magia logiki. Widać, że ten mechanizm hitlerowskiego kłamstwa, podstępu i zbrodni [16] opracowali także i psychologowie. I ta właśnie logika zasiała w umysłach Żydów zaufanie do tzw. *„Kopfmenschen"*, a posłuszeństwo rozkazom władzy stawało się wewnętrznym nakazem każdego. Rzucono hasło: „Kto chce żyć, musi pracować". Dawniej zabiegali o jakieś pieczątki, które miały być zaświadczeniem dla ludzi pracy, a potem o błękitne kartki, zwane „kartkami życia", Niemcy zapewniali, że każdy otrzyma pracę, stosowną do wieku. Nikt nie przypuszczał, aby mogło być inaczej, bo to nie mieściło się nawet w normach myślenia człowieka normal-

[14] *Henryk Rowid* był założycielem i redaktorem Ruchu Pedagogicznego, wykładowcą w Studium Pedagogicznym UJ, autorem „Psychologii pedagogicznej", „Szkoły twórczej", „Systemu daltońskiego w szkołach powszechnych", „Pedagogiki" i innych.

[15] *Ignacy Jakubiec:* Działalność *Henryka Rowida*, Ruch Pedagogiczny, roczn. 39, Warszawa 1945—1946.

[16] W hitlerowskim słownictwie gett i obozów koncentracyjnych *die Aussiedlung*, to było istotnie wysiedlenie, ale w krainę śmierci, *Inhalationsraum*, to była istotnie inhalatornia, w której ludzie wdychiwali, ale morderczy cyklon B, a dobrotliwe wyrażenie *Überstellung zur leichteren Arbeit* (przeniesienie do lżejszej pracy) albo *zur Sonderbehandlung* (do specjalnego traktowania) oznaczało oddanie w opiekę specjaliście od wstrzykiwania fenolu w serce lub zastrzelenie koło latryny. Przeznaczeni *zur Entläusung* (do odwszenia) szli do *Baderaum*, tj. łaźni, z której już nie wychodzili żywi. A gdy chodziło o *Endlösung der Judenfrage* (ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej), to nawet hitlerowscy *führerzy* nie znajdowali innego jej rozwiązania, jak tylko przez masowy mord.

nego. Niestety, ani Żydzi, ani Polacy do połowy marca 1943 roku nie zdawali sobie sprawy z tego, że utworzenie gett ma na celu tylko ułatwienie zaplanowanej zagłady Żydów. Ludzie skądinąd rozumni, ale ślepi i głusi na rzeczywistość, istniejącą poza logicznymi prawidłami, ujrzeli właściwą prawdę dopiero wtedy, gdy zbliżała się nieuchronna śmierć.

To była jedna z przyczyn, która kierowała ludźmi odmawiającymi przyjęcia pomocy w ucieczce z getta. Mogły tu również wchodzić w grę skrupuły natury etycznej, a mianowicie świadomość, że za ucieczkę jednostki mogą ponieść karę współtowarzysze niedoli. A może poczucie solidarności z powierzoną im gromadą, wierność głoszonym przez siebie zasadom, wierność aż do śmierci. W imię tych wielkodusznych idei poszli na śmierć *Janusz Korczak* i *Anna Feuerstein* w Krakowie. Może wyciągniętą ku nim rękę pomocną uznali za chwyt prowokatora. A może jeszcze strach przed ryzykiem i brak odwagi zdecydowania się na życie w nieznanych warunkach po stronie „aryjskiej". Lecz to jeszcze nie wszystko. Życie w gettach, a szczególnie w obozach rujnowało w ludziach pozytywne pierwiastki psychiczne. Głód, zimno, brud, ciągłe przebywanie w tłoku, w zbiorowisku, przymusowe asystowanie przy wymiarze kar fizycznych itd. osłabiało wrażliwość ludzką i powodowało zachwianie podstawowych, pozytywnych pierwiastków psychiki ludzi udręczonych. Niektórzy więźniowie zatracali w sobie zdolności adaptacyjne, właściwe każdemu aktywnemu człowiekowi. Zrezygnowali już z wiary w wytrwanie, zwątpili w jakąkolwiek pomoc z zewnątrz, zobojętnieli na wszystko, popadli w stan stressu, ogarnięci apatią, widzieli już tylko beznadziejność własnego losu. Nie potrafili zmobilizować resztek swej woli na tyle, by wszystko postawić na jedną kartę, jak to uczynił prof. *Julian Aleksandrowicz*, który w chwili, gdy zanosiło się na akcję zagłady getta krakowskiego, jeden z pierwszych rzucił się w czeluść kanału wraz z żoną i synem, zaryzykował i wygrał życie.

Doskonale wyczuł psychologię tych nieszczęśliwych ludzi *Adolf Rudnicki*, gdy pisał: „Jedno z pytań w prasie zagranicznej, na które się natknąłem w związku z rocznicą powstania w getcie warszawskim: Dlaczego Żydzi szli bezwolnie na rzeź? Pytania tak sformułowane przychodzą jedynie z zachodu, gdy u nas podobnych nikt nie stawiałby, jest to więc kwestia, najogólniej mówiąc, miejsca. Myślę, że do dnia dzisiejszego zachód jest niezdolny do całkowitego zrozumienia totalizmu, w którego następstwie ludzie zachowują się tak, iż nie sposób nie zapytać: dlaczego?" [17].

Przerzuty

Krakowska Rada Pomocy Żydom organizowała dwa rodzaje przerzutów: 1) uprowadzanie więźniów ze srogiego obozu „janowskiego", tj. znajdującego się przy ul. Janowskiej we Lwowie i przewożenie ich do Krakowa oraz 2) przeprowadzanie Żydów przez południową granicę Polski na Węgry.

Akcję przerzutu niektórych ludzi ze Lwowa do Krakowa zainicjował *Adam Rysiewicz (Teodor)*, wybitny działacz socjalistyczny w czasie okupacji, który dowiedziawszy się od kolejarzy krakowskich, że znajdujący się w janowskim obozie *Maksymilian Boruchowicz*, zdolny literat i dobry organizator, prosi o pomoc w ucieczce z tej kaźni, zlecił *Władysławowi Wójcikowi*, aby wyjechał do Lwowa i przygotował plan uprowadzenia *Maksa* oraz przywiezienia go do Krakowa. Kiedy *Wójcik* wywiązał się z zadania, we wrześniu 1943 roku wyjechała do Lwowa łączniczka, *Józefa Rysińska (Ziutka)*, która wręczyła *„Michałowi"* dokumenty na *Michała Boruckiego, Bahnasistenta*, i przewiozła go do Krakowa. Na Dworcu Głównym odebrał go *Wójcik*, przenocował u swej matki przy ul. Bosackiej 11, następnie u *Zdzisława Kasperka* przy ul. Bosackiej 14, a potem wysłał go w Proszowskie, gdzie *Borwicz*, pseudonim *Zygmunt*, zorganizował mały oddział dywersyjny.

Od czasu uwolnienia *„Michała"* mówiono w obozie janowskim o Krakowie jako o bramie wolności i wymarzonym azylu. Jedną z takich marzycielek była 12-letnia dziewczynka, *Janina Hescheles*, znana w obozie jako autorka wierszy „bez rymu". Pisała też pamiętnik swego niedługiego życia, istny dokument czasów okrutnych i ponurych. Napisała w swym zeszycie: „Nie mogłam spać w nocy i ogromnie marzłam. Pocieszali mnie, że wyjdę jeszcze na «aryjską» dzielnicę i wyjadę do Krakowa. Nie wierzyłam im. Nie mogłam zresztą wyobrazić sobie, aby ktoś mógł się o mnie starać, bym żyła. Ludzie są przecież wielkimi egoistami i dla jakiejś tam *Heschelesówny*, której przed wojną było dobrze, ktoś narażałby własne życie, i to za darmo?" Wreszcie, gdy już zaczęła wątpić, aby w ogóle ktoś mógł się o nią zatroszczyć, przyjechała z Krakowa *Ziutka*, odebrała ją w wyznaczonym miejscu kontaktowym i wsadziła do pociągu. W Krakowie ulokowano ją u *Wandy Janowskiej* (późniejszej żony *Władysława Wójcika)* przy ul. Zamojskiego, która ją zameldowała u siebie jako swą siostrzenicę. Że jednak u *Janowskiej* zameldowany był już Żyd *Zygmunt Nowak* pod nazwiskiem *Zygmunt Łowin*, przeto *Heschelesównę* przyjęła w swą opiekę *Maria Hochberg-Mariańska*, która swą podopieczną ulokowała w sierocińcu *Jadwigi Strzałeckiej* w Poroninie. Z wdzięczności za wyrwanie jej z janowskiego piekła młodociana autorka ofiarowała swój pamiętnik krakowskiej RPŻ za pośrednictwem swej „cioci" *Mariańskiej* [18].

W akcji niesienia pomocy ludziom tępionym z powodów rasistowskich, niektóre jednostki z mego najbliższego środowiska konspiracyj-

[17] *Adolf Rudnicki:* Niebieskie kartki. Świat, 1. V. 1966 r.

[18] Po wojnie Wojewódzka Żydowska Komisja Historyczna w Krakowie wydała ten pamiętnik w r. 1946 pod tytułem „Oczyma dwunastoletniej dziewczyny".

nego podejmowały się czynów co najmniej ryzykownych. Mój główny łącznik w kierownictwie WC, a później oporu społecznego i kierownictwa Walki Podziemnej, *Zbyszek Kuźma* nie chciał być gorszy od *Ziutki* i bez nakazu wyjechał jako pracownik firmy *Siemens* do Lwowa i przywiózł stamtąd ukrywającą się przed gestapem *Stefanię Milwin* wraz z córką *Marleną*. W Krakowie ulokował je u swej matki, *Władysławy Kuźmowej*, zamieszkałej koło Wawelu przy ul. Bernardyńskiej 9, gdzie w małym przeludnionym mieszkaniu wszystkie niewiasty spały pokotem. *Marlenie* wystarał się *Zbyszek* o dokumenty na nazwisko *Stefanii Onychro*, a potem o posadę telefonistki w szpitalu Narutowicza. Ponadto p. *Kuźmowa* ukrywała u siebie *Edmunda Ehrlicha*, a jego bratu i ojcu, znajdującym się w obozie na Grzegórzkach, nosiła żywność i zasiłki otrzymywane z RPŻ. *Marlena* jest dziś aktorką na Ziemiach Zachodnich, a *Stefania Milwin*, przebywając w Katowicach, zaświadczyła powyżej podane fakty pismem, które kończy słowami: „Pani *Kuźmowa* uratowała nam więcej niż życie, bo uratowała w nas wiarę w człowieka".

Dodatnie osiągnięcia w swej działalności łączniczki miała *Ada Próchnicka*, która z namowy *Ferdynanda Arczyńskiego*, działacza Stronnictwa Demokratycznego, wyjeżdżała kilka razy do Lwowa i przywoziła stamtąd do Krakowa między innymi: *Rozę Kfare* alias *Janinę Górnicką*, która znalazła schronienie w Sieciechowicach, powiat Olkusz, u *Krystyny Moskalik*, siostry *Witolda*, akowca (dziś przewodniczącego Komisji Historycznej Okr. Zarządu ZBOWiD w Krakowie), *Helenę Szumańską*, dr *Zinę Paduchową*, której przytułek dali pp. *Mrozowie* w Calinach koło Sieciechowic, *Helenę Ehrlichową*, którą *Witold Moskalik* oddał w opiekę swemu ojcu, zamieszkałemu w Warszawie na Okęciu przy ul. Krakowskiej i innych. Ci wszyscy ludzie żyją. Dr *Paduchowa* jako dobrze znająca język francuski znalazła pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Natomiast nie żyje ofiarna *Ada*. Kiedy bowiem któryś tam raz jechała do Lwowa, by z narażeniem własnego życia nieść wyzwolenie swym bliźnim, została w pociągu aresztowana przez żandarmów hitlerowskich i zamordowana w nieznanych okolicznościach.

Druga łączniczka, *Józefa Rysińska*, pseud. *Ziutka*, mająca za sobą wiele brawurowych osiągnięć, wyjeżdżająca do Lwowa, do obozu w Pustkowie (Heidelager) koło Dębicy i do Szebni koło Jasła, została w pociągu koło Tarnowa aresztowana przez gestapo jako podejrzana, maltretowana podczas przesłuchań, a wreszcie zesłana do obozu w Płaszowie. Łączniczki RPŻ składały po powrocie z terenu raporty sekretarzowi Rady, *Władysławowi Wójcikowi*, w mieszkaniu przy ul. Bosackiej 11, którego głównymi bohaterami były: matka *Władysława, Józefa Wójcikowa* i siostra, *Helena*. One bowiem ukrywały u siebie dr *Roberta Kaufmanna*, one godziły się bez protestu na przyjmowanie przesyłek z bronią, na odbywanie w ich mieszkaniu posiedzeń o charakterze politycznym i wojskowym, a także RPŻ, one odbierały od polskich kolejarzy w niemieckich mundurach aparaturę radiostacji, przysłaną nam z Centrali. Tu spotykałem się z *Adamem Rysiewiczem* i innymi działaczami Koła itd. Zadziwiające, że ten ważny w Krakowie punkt konspiracyjny nie został podczas wojny wykryty.

Na Sądeczyźnie akcję przerzutu na Węgry prowadził radykalny ludowiec *Mieczysław Cholewa*, pseud. *Obłaz*, były nauczyciel szkoły powszechnej, a podczas okupacji komendant małego oddziału dywersyjnego, Ubocz. Trasy przerzutu wytyczał też *Adam Rysiewicz*, pseud. *Teodor* i *Marian Bomba* linią sądecką. Najdzielniejszym był sądeczanin, *Franciszek Krzyżak*, działacz socjalistyczny, urodzony w Budapeszcie, znający Węgry i wszystkie graniczne przełęcze, doświadczony przewodnik „na tamtą stronę", umożliwił ponad 50 osobom przedostanie się do Budapesztu. Jemu też można było powierzyć specjalnie ważne zlecenia przerzutowe.

W roku 1943 przywieziono z Warszawy do Krakowa nieznanego bliżej w kołach polskiej konspiracji wojskowej *Wertensteina*, o którym szeptano, że jest to sławny w świecie, wielki uczony. Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że jest to *Ludwik Wertenstein*, profesor fizyki jądrowej i chemii jądrowej w Warszawie, założyciel Zakładu Fizyki Atomów, w którym prowadził znane w świecie naukowym badania nad promieniami kosmicznymi, fizyką neutronową i rozszczepianiem jądra atomu. Krakowska RPŻ powierzyła opiekę nad tym uczonym *Władysławowi Wójcikowi*. Początkowo proponował on profesorowi ukrywanie się w Krakowie lub na wsi, ale *Wertenstein* zapytał: Przyjacielu, jaką mi dajesz gwarancję bezpieczeństwa tutaj? Nikt z Polaków nie może sobie zagwarantować, że doczeka jutra, my tu wszyscy ryzykujemy. Więc pójdziemy na Węgry, zadecydował *Wertenstein*, a stamtąd na zachód. Wobec tego *Wójcik* dwa razy wyjeżdżał do Sącza, by przygotować trasę, spotkał się z *Krzyżakiem* w Sączu na ulicy Nawojowskiej i ustalił z nim czas i miejsce jazdy, przeprowadził *Wertensteina* z domu przy ul. św. Jana 9, gdzie ukrywał się wraz z rodziną, na peron dworca przez kontrolę żandarmów i ulokował w pociągu. Na przystanku przed Stróżami wysiedli, aby ominąć kontrolę dokumentów przez jakieś *Einsatzkommando*, o czym cichaczem ostrzegał pasażerów jakiś kolejarz. Szli więc pieszo. Na umówionym „punkcie kontaktowym" czekał już *Krzyżak*. Gdzie indziej odpoczniemy — powiedział — bo widzę, jesteście zmęczeni, teraz ruszamy! I trzepnąwszy profesora w ramię, dodał: Głowa do góry! W Budapeszcie został prof. *Wertenstein* ulokowany dobrze, ale po zajęciu Węgier przez Niemców warunki jego bytu uległy pogorszeniu. Podczas zbliżania się armii czerwonej do Budapesztu słyszał w schronie przeciwlotniczym wybuchy bomb zrzucanych przez samoloty radzieckie. Z tego

schronu, w którym znajdowało się kilku przygodnie zebranych ludzi, *Wertenstein* wyszedł, aby postarać się o chleb dla chorej i głodnej osoby. Podczas pełnienia tego czysto ludzkiego obowiązku został ciężko ranny od wybuchu miny w pobliżu. Męczył się długo i krwawił. W takich okolicznościach, niemal w kilkanaście godzin przed wyzwoleniem Budapesztu, zmarł szlachetny wielki uczony, zapowiadająca się chluba nauki polskiej. Nie było mu dane skorzystać z oferowanej mu pomocy wielkich uczonych, *Nielsa Bohra* z Danii, *Ireny Curie* i *Fryderyka Joliot* we Francji, *Jamesa Chadwicha* i *Johna Cockcrofta* z Anglii, którzy czynili duże wysiłki, aby tego uczonego z iskrą geniusza co rychlej wyrwać z terenu wojny i władztwa obłędnego rasizmu, a stworzyć mu warunki, w których mógłby pracować dla dobra nauki w przyszłości i szczęścia ludzkości.

W dwudziestą rocznicę jego zgonu odbyło się 28 maja 1965 roku uroczyste posiedzenie naukowe Polskiego Towarzystwa Fizycznego w Warszawie, na którym prof. dr *Józef Rotblat*, wybitny uczony angielski polskiego pochodzenia, złożył prof. *Ludwikowi Wertensteinowi* hołd między innymi za to, że prowadząc badania w czołówce nauki światowej, „pracę nad udoskonaleniem metod niszczycielskich uważał za profanację nauki" [19]. Hołd ten składał nie tylko jako uczeń wielkiego uczonego, ale także jako jeden ze współtwórców I bomby jądrowej w ośrodku atomowym w Los Alamos podczas II wojny światowej, a dziś sekretarz generalny Międzynarodowego Stałego Komitetu *„Pugwash"*, skupiającego uczonych całego świata w celu utorowania drogi do powszechnego rozbrojenia, międzynarodowego odprężenia i pokojowego współistnienia narodów.

Sprawy medyczne

Wiejska służba zdrowia nie znalazła dotychczas odbicia w drukowanym słowie. Należałoby sięgnąć do czasu, gdy nawet krajowi politycy twierdzili, że wojna w Polsce skończy się w roku 1943, a zadecyduje o tym ogólne powstanie. Wtedy kierownictwo Ruchu Oporu Chłopskiego (ROCH) zleciło Ludowemu Związkowi Kobiet (LZK) zorganizowanie służby sanitarnej dla potrzeb Batalionów Chłopskich (BCh), Ludowej Straży Bezpieczeństwa (LSB) i ludności cywilnej. W związku z tym komendant BCh wydał instrukcję w sprawie powołania przez LZK wydziału Zielonego Krzyża (ZK). W każdym plutonie BCh miała być czołówka ZK, składająca się z 3—5 sanitariuszek. Zorganizowano liczne kursy sanitarne w Warszawie i w terenie, na których dziewczęta uczyły się ratownictwa, bandażowania, leczenia ran, służenia pomocą rannym i chorym. Prowadzono też akcję, mającą na celu podnoszenie poziomu oświaty sanitarnej, zapobieganie chorobom zakaźnym i wyjaśnianie konieczności współdziałania z czynnikami lekarskimi w zwalczaniu epidemii. Kursy te były bardzo popularne na wsi, a niektóre powiaty, a nawet gminy, prześcigały się w zagęszczaniu sieci placówek sanitarnych. Np. w powiecie miechowskim w Racławicach było 41 sanitariuszek z ukończonymi kursami sanitarnymi, w Wawrzeńczycach — 25, w Łętkowicach — 20, w Igołomii — 17, w Pałecznicy — 12 itd.

W związku z tą akcją Kierownictwo ROCha zabiegało o zakup leków, środków opatrunkowych i zachęcało do tworzenia aptek polowych. Podczas okupacji doszły mię wieści, że w powiecie brzeskim placówki sanitarne i apteczki wiejskie w Zakliczynie, Czchowie, Wojniczu, Dębnie i w Iwkowej dobrze funkcjonowały. W niektórych powiatach przedsiębiorcze kobiety na własną rękę sprawiały apteczki ZK, np. w powiecie łańcuckim *Anna Szponarowa* zakupiła aż 7 aptek z pieniędzy zdobytych przez oddział dywersyjny LSB. W powiecie jarosławskim *Maria Malawska*, przewodnicząca trójki LZK w Pawłosiowie zorganizowała 6 aptek wiejskich. Obsługiwały one raczej ludność cywilną, w tym także niektórych Żydów, ukrywających się przed policją niemiecką i polskimi donosicielami. Oczywiście, były to apteczki tajne i stąd Żydzi bezpośrednio nie mogli z nich pobierać lekarstw, lecz za pośrednictwem ukrywającego ich gospodarza i to wtedy, jeśli córka jego była sanitariuszką ZK.

Wszystkich tajnych aptek ZK na terenie województwa krakowskiego (łącznie z rzeszowskim) było około 400.

Bardzo wielkie zasługi w utworzeniu podstawowych trójek LZK w województwie krakowskim położyła *Barbara Matus (Kwiatkowska)*, która nieustannie jeżdżąc po terenie, z niesłychaną energią i podziwu godnym zapałem budowała zręby tego Związku w 27 powiatach i zachęcała działaczki wiejskie do rozwoju placówek sanitarnych. Bywając u niej często i interesując się jej bardzo pożyteczną pracą, dowiedziałem się, że ludność wiejska odnosi się do jej sanitariuszek z szacunkiem i że dzięki tym dokształcającym się ciągle dziewczętom wzrasta ogólny poziom oświaty sanitarnej na wsi.

Od *Barbary Matus*, żony *Jerzego*, członka Rady Pomocy Żydom, dowiedziałem się także, że na niektórych terenach współpracowali z Zielonym Krzyżem żydowscy lekarze, którzy z tej racji byli pod opieką LZK. Taką właśnie podopieczną LZK w powiecie radzyńskim była lekarka dr *Janina Krajewska*, która z powodów rasistowskich zbiegła z Warszawy, leczyła rannych bechowców i wykładała na kursach sanitarnych, organizowanych przez *Irenę Golcównę* z Turowa. W powiecie opatowskim również pod opieką LZK znajdowała się dzielna kobieta, dr *Anna Wolf*, która wykształciła ponad 20 sanitariuszek, a kiedy *„dr Anka"* mianowana została szefem sanitarnym sztabu obwodu III AL, placówka ZK ofiarowała jej dużą aptekę polową do dyspo-

[19] Postępy Fizyki, T. XVI, zesz. 6, Kraków 1965, s. 637.

zycji. W Warszawie *Weronika Ogarkowa*, redaktor „Żywii", organu Stronnictwa Ludowego, zatrudniała w swym domu *Ziutę Hejmanową*, której synka umieściła w sierocińcu na Czerniakowie, a jej męża, lekarza, również LZK wziął pod swą opiekę. Po powstaniu *Hejmanowie* zamieszkali w Lipcach i Godzianowie, pracowali w tajnym nauczaniu, kształcili sanitariuszki na kursach i leczyli ludność cywilną, zawsze pod opieką LZK.

O zestawie leków tych apteczek niewiele mogę powiedzieć. W każdym razie ich skład nie był jednakowy. Była tam jodyna i morfina, surowica przeciwtężcowa, szczególnie potrzebna na górzystych terenach Polski południowej, jako endemicznych dla tężca; maść przeciwświerzbowa, bo brud nieuchronny w ciężkich warunkach okupacji i spanie dzieci blisko siebie sprzyjały częstemu występowaniu tej choroby skórnej. Ból zębów uśmierzano weronalem. Dolegliwości serca łagodzono walerianą lub koraminą, a nerwy uspokajano bromem. Nerwowe życie w gettach i schronach powodowało, że zapotrzebowanie na brom wśród Żydów było duże. Głównym środkiem nasennym był luminal. W czasie gdy we wsi zbliżała się obława żandarmów, małą dawkę luminalu dawano dziecku, by usnęło i płaczem nie zdradziło kryjówki. Kto mimo dużego znużenia miał strażować przez całą noc, zażywał tabletkę psychedryny. Środka tego nie można było dostać w aptekach. Polacy zazwyczaj kupowali go u lotników i strażników niemieckich. W cebion wierzono przesadnie i to do tego stopnia, że nawet znani mi bojowcy przed wyruszeniem na akcję dawali sobie robić zastrzyk dożylny z witaminy C, uważając ten środek za cudowny lek, wzmacniający przytomność umysłu i odwagę. W roku 1944 popularne były na wsi sulfonamidy, a nawet niektórzy lekarze interniści, uległszy pośpiesznie reklamie tych preparatów, widzieli w nich panaceum na różne dolegliwości, póki lekarze praktycy nie zaczęli przyrównywać sulfonamidów do obosiecznego miecza. Tragiczne warunki życia okupacyjnego sprawiły, że cyjanek potasu, zwany „cyjankami", był wśród Żydów i nie tylko Żydów bardzo pokupny, a cena jego z miesiąca na miesiąc wzrastała, dochodząc do 3000 złotych za jedną dawkę. Powstał nawet zawód handlowy tą trucizną. Sanitariuszki ZK nie miały oczywiście nic wspólnego z tym przestępczym procederem. Chirurgiczne zabiegi z zasady powierzała sanituriuszka lekarzowi.

Wielka liczba lekarzy chirurgów w Krakowie sprawiała, że jeńcy zbiegli z obozów koncentracyjnych przybywali do Krakowa i zwracali się przede wszystkim do chirurga w celu usunięcia tatuowanych numerów na ciele, bo w wypadku aresztowania i odkrycia tych znaków *häftlinga* byłby to dla zbiega wyrok śmierci. Ludzie RPŻ pośredniczyli w kontaktach tego rodzaju chorych z odpowiednimi lekarzami. Pamiętam, że *Władysław Wójcik* prowadził zbiega oświęcimskiego, pepesowca warszawskiego, *„Kostka" Jagiełłę*, do lekarza przy ul. Filipa, gdzie dr *Gerhart* usuwał mu tatuaż na ręce.

W związku z tymi „kosmetycznymi" operacjami należy wspomnieć, że Żydzi podczas okupacji gorączkowo interesowali się „wynalazkiem" doktora *Lachsa* [20], który propagował usunięcie śladów obrzezania bez zabiegu chirurgicznego, a jedynie za pomocą długotrwałego naciągania skóry, w wyniku czego miało się uzyskać pożądane przekształcenie anatomiczne, od biedy mogące uchodzić za *„Ausweis* aryjskości". Dr *Jan Lachs*, lekarz w getcie krakowskim, zachęcał do owinięcia napletka podwójnym przylepcem, z którego obwodu rozchodziło się kilka sznurków, obciążanych z biegiem czasu coraz to większymi ciężarkami. Oczywiście nie był to wynalazek dr *Lachsa*, gdyż jeszcze przed wiekami pisano nawet w Polsce, że różne ludy lubowały się w przekształceniach somatycznych drogą naciągania skóry. Np. w Kronice *Marcina Bielskiego* z XVI wieku [21] czytamy, że w kraju „Nigrytów każdy ma u gęby wielką spodnią wargę, która aż do pasa wisi". Tubylcy podcinali wargi poniżej dziąseł od strony wewnętrznej, zakładali drewienka coraz większe, aż warga się z czasem wydłużyła. Tak deformują twarz szczepy negerskie w zachodniej Afryce, Makonde i Matambwe, brazylijscy Botokudowie i wiele innych. A czynią to ze względów medycznych i estetycznych. W tejże *Marcina Bielskiego* Kronice z r. 1554 na karcie 310 jest wzmianka o ludziach „z tak długimi uszyma, że im ramiona zakrywały" [22]. Dawni Inkasi w Peru zwani byli z tego powodu „Orejones", tj. długouchy. Jako odznaka przynależności szczepowej występował ten zwyczaj w Indonezji, we wschodniej Brazylii, u Masajów w Tanzanii itp.

Te przekształcenia anatomiczne uzyskiwano skutkiem utrzymywania skóry i podskórnych mięśni w naprężeniu przez kilka lat. Metoda pośpiesznego postępowania nie dawała pożądanych wyników. Z tej przyczyny „wynalazek" dr *Lachsa* nie mógł przynieść zamierzonych rezultatów w okresie okupacji.

Osobnego omówienia wymaga zagadnienie pożywienia ukrywających się Żydów. Ponieważ ani ja, ani nikt nie prowadził badań w tej dziedzinie kultury materialnej, ograniczę się jedynie do kilku wzmianek. Zestaw potraw, którymi karmili się Żydzi ukrywający się w schronach wiejskich, z natury rzeczy odpowiadał pożywieniu ludności wiejskiej: ziemniaki i mleko, przede wszystkim zaś chleb, słonina, czosnek i cebula. Z kasz przeważnie pęcak, ale najbardziej poszukiwana była jaglanka, bo najszybciej da się gotować, a nawet rozmoczona w gorącej wodzie „da się zjeść".

[20] *J. Aleksandrowicz*: Kartki z dziennika doktora *Twardego*. Kraków 1962, s. 37.

[21] *Marcin Bielski:* Kronika, to jest Historia świata, w Krakowie 1564 k. 450, *T. Seweryn*, Ikonografia etnograficzna, odb. z XXXVII t. „Ludu", Lublin—Kraków 1947.

[22] *T. Seweryn*, op. cit., odb. z XXXIX t. „Ludu", Kraków—Poznań 1952.

W uzupełnieniu tego monotonnego pożywienia niektórzy Żydzi zjadali surowe lub gotowane, białawe od spodu liście lebiody (*Chenopodium album*). Było to dawniej pożywienie głodowe chłopów pańszczyźnianych, ale w erze *Adolfa Hitlera* na nowo weszło w życie jako pokarm ludzi wydziedziczonych z wszelkich praw. Osobliwością w południowej Polsce było picie herbaty ze skrzypu (*Equisetum arvense*). Dotychczas wiedzieliśmy, że w rachunkach kuchni królewskiej na Wawelu figurują wydatki na skrzyp z Puszczy Niepołomickiej, z którego herbatę pijał *Władysław Jagiełło*, a nadto było nam wiadomo, że ludność wileńska w okresie zimowym, szczególnie gdy z wiosną śniegi stopnieją, zbiera pędy skrzypu i pije wywar tej rośliny, zawierającej cenną dla ustroju krzemionkę i sole mineralne. Przypuszczać należy, że zwyczaj popijania skrzypowej herbaty podczas jedzenia przywieźli do południowej Polski Żydzi z Wileńszczyzny.

Pozostaje do poruszenia problem higieny psychicznej — zagadnienie nadające się do odrębnego opracowania przez specjalistów lekarzy i psychologów. Podczas okupacji niezmiernie poczytna była prasa podziemna głównie z tego powodu, że pokrzepiała na duchu, napawała wiarą w wyzwolenie i dawała otuchę do wytrwania. Popularne też były różne przepowiednie, np. wśród Polaków przepowiednia „z Tęgoborza" w powiecie sądeckim, a wśród Żydów jakiś werset z Biblii, odnoszący się do *Hitlera*. Odkrył go jakiś stary Żyd, który pochylony nad Biblią dniami i nocami szukał w niej pociechy, a więc lekarstwa, które może uratować uciemiężony naród. Zadałem sobie trudu, aby stwierdzić, czy istotnie ten sensacyjny szczegół ma pokrycie w księdze świętej Żydów. W polskim XVI-wiecznym wydaniu Biblii [23], w Apokalipsie, kap. 13, znalazłem słowa: „Ujrzałem bestię... a na rogach jej dziesięć koron, a na koronach imiona bluźnierstwa... a rozkazała wszystkim małym i wielkim, bogatym i ubogim... mieć piętno na ręce... żeby nikt nie mógł kupować ani sprzedawać... A liczba jej 666". Popularne podczas wojny kabalistyczne rozwiązanie tej zagadki brzmiało: *Hitler*, bo bestia ta zdobyła 10 państw, nosi znak bluźnierstwa w postaci złamanego krzyża, a zarządzenie generalnego gubernatora *Franka* groziło karą śmierci każdemu, kto by Żydowi sprzedał środki żywnościowe. A więc zgadza się. Ale co oznacza liczba 666? Tu już w pomoc trzeba się było udać do kabalistów. Po tej bestii przyjdzie *Mesjasz*, a stanie się to w roku *„tszab"*, tj. wedle ery żydowskiej w r. 5702, co odpowiada rokowi 1942 wedle ery chrześcijańskiej [24]. Gdy zauważyłem, że rok 1942 już się skończył, odpowiedziano mi: Co się będziemy spierać o jeden rok, *di jeszyje kimt szojn* — wybawienie już nadchodzi. Jeśli taką interpretację podtrzymywali w Polsce także baptyści, trudno było te irracjonalne prawdy zaliczać tylko do żydowskiego folkloru, wszakże podtrzymywała je cenna dla higieny psychicznej wiara, że koszmar nocy okupacyjnej runie w przepaść, a nastanie dzień święty, *szabat*. Bo słowo *szabat* mieści się w słowie *„tszab"*, oba składają się z tych samych liter. A *szabat*, to odpoczynek, święto.

Tej wiary w przyszłość poszukiwały niektóre jednostki z dala od przepowiedni w starych księgach i kabalistycznych obliczeniach. W Skarżysku-Kamiennej był pewien robotnik imieniem *Bernard*, który skomunikowawszy się z łącznikiem RPŻ w Krakowie, *Tadeuszem Bilewiczem*, wyraził życzenie, aby mu dostarczać polską prasę konspiracyjną. Było to życzenie co najmniej dziwne, bo do czego potrzebna była tego rodzaju literatura więźniom żółtym, żółtozielonym i rudym od pyłu zabójczej pikryny, więźniom w ubraniach z powypalanymi dziurami, kaszlącym i krztuszącym się od oparów gotowanego trotylu? Po prostu łaknęli słowa podziemnego, darzącego wiarą i nadzieją w przetrwanie. Kiedy kontakty tego więźnia z *Bilewiczem* podpatrzył służący Niemcom policjant żydowski z Krakowa, *Rosenbaum*, *Bernard* został przez gestapo zakatowany na śmierć, ale nie zdradził, od kogo otrzymywał „gazetki" i komu je dawał do przeczytania. Żyją jeszcze w Krakowie niektórzy Żydzi, więźniowie tego groźnego obozu pracy przymusowej, mówiący o *Bernardzie* jako o bohaterze.

Dzieci

Dzieci żydowskie uważane były za groźnego wroga III Rzeszy, toteż hitlerowcy walczyli z nimi kolbami karabinów i kulami rewolwerów lub dusili je cyklonem B. Już w czasie drugiego wysiedlenia Żydów z krakowskiego getta wszystkie dzieci z dużego sierocińca, przeniesionego do ciasnych pomieszczeń w getcie, wyprowadzone zostały za miasto i wystrzelane. Gdy matka błagała o litość nad dzieckiem, padała od kuli. Nie lubili, aby przemawiano im do uczucia. Srożono się więc okrutnie zgodnie z zasadą wypisywaną na ścianach kantyn żandarmskich: *gelobt sei, was macht hart*. A potem przy ul. Krakusa 17 otwarto przytułek pod nazwą *Tagesheim;* organizował go z nakazu niemieckiego oficer żydowski *Symche Spira*. Jeszcze raz posłużono się dawnym chwytem — dzieci muszą pracować. Ktoś postarał się o drzewo i włosie z końskich ogonów i dzieci robiły szczotki. Matki dały się skusić i same przyprowadzały dzieci do *Tagesheimu* albo porzucały je przed drzwiami tego przytułku, nie przypuszczając, że ta koncentracja dzieci to pułapka. W okolicznych wsiach i miasteczkach odbywały się wtedy obławy, jak na zwierzynę leśną. Schwytane sieroty odstawiano do *Tagesheimu* w Krakowie, gdzie panował już nieopisany ścisk. Było tam już wtedy około 250 dzieci. Gdy matki z niepokojem pytały *Spirę* i *Dawida Guttera*, prezesa gminy żydowskiej, co się stanie z dziećmi, zapewnili je solennie,

[23] Biblia, *M. Szarffenbergera*, w Krakowie 1577, k. 754.

[24] *Betti Ajzensztajn:* Ruch podziemny w gettach i obozach. Warszawa, Łódź, Kraków 1946, s. 15.

naśladując Niemców, że dzieciom nic złego się nie stanie. Mówili to tonem spokojnym i poważnym, który nie budził żadnej wątpliwości. Tymczasem nazajutrz, tj. 14 kwietnia 1943 r. wszystkie dzieci skoncentrowane w *Tagesheimie* zastrzelono w Płaszowie, a zwłoki wrzucono do wspólnego grobu.

Z tych pogromów urządzanych w całej Polsce ocalała pewna liczba jednostek, które dzięki sprytowi, odwadze i fizycznym walorom przezwyciężały ogromne trudności życia. Słyszeliśmy o chłopcach, którzy mieszkając razem z rodzicami w getcie, przyjmowali na siebie obowiązki żywicieli rodzin. Wymykali się za mury getta, zakupywali żywność, a nocą jak koty wspinali się po murze, by karmić swych najbliższych. Wielu tych śmiałków przypłaciło życiem te wyprawy na „aryjską stronę". To jednak nie odstraszyło innych. Po wymordowaniu rodziców rozproszyli się po wsiach, wałęsając się o chłodzie i głodzie, podejmowali się za łyżkę strawy odpowiedniego dla swego wieku zajęcia, aby tylko stać się jednostkami użytecznymi społecznie. Tłukli kamienie przy drodze, pomagali w karczowaniu lasu, budowali we dwójkę lub trójkę „jaskinię", pożyczywszy od chłopa siekiery. Myśleli o przyszłości, nie mogli zawsze spać w stogach siana. Młodsi pasali gęsi, a starsi krowy. Nauczyli się chłopskiej gwary, katolickiego pacierza na pamięć, a nawet małego katechizmu. Zadziwiali sprytem życiowym i zapobiegliwością. Gdy na wsi trudno było o bibułki do kręcenia papierosów, jeden z młodych spryciarzy zakupił w Tarnowie paczuszkę bibułek „Solali", poszedł na wieś, sprzedawał na sztuki i żył z tego. Inni zaopatrywali się w zapasowe ubrania odmiennego koloru, aby przebrać się na wypadek, gdy będą zdemaskowani. Jeśli który miał „zły" wygląd, albo jak mówiono, był „podobny", małe miał możliwości utrzymania się przy życiu. Natomiast dzieci o „aryjskim" wyglądzie, czyli „niepodobne", stosunkowo łatwo potrafiły wtopić się w swe nowe otoczenie. Autorzy książki „Dzieci oskarżają" [25] podają wiele nazwisk ludzi, którzy tym bezdomnym sierotom dali przytułek, ale wydaje mi się, że zbyt mało dokumentaryzują stanowisko ludzi, którzy uległszy rasistowskiej propagandzie hitlerowskiej odnosili się wrogo do tych młodocianych obcych przybyszów.

Ponieważ interesuje nas tutaj tylko sprawa opieki, ograniczę się do podania kilku wybranych przykładów.

Dla *Hochweiserów* z trojgiem dzieci życie w getcie stawało się coraz przykrzejsze. Jedyną ich pociechą w tej niedoli była *Karolcia, Karolina Sapetowa,* która codziennie przychodziła przed bramę getta, by choć z daleka popatrzeć na dzieci *Samusia, Salusię* i *Izia.* Była ich opiekunką, wychowała je i polubiła. Codziennie potrafiła trochę żywności przemycić dla nich za mury i druty kolczaste, choć sama żyła w niedostatku. Aż nadszedł straszny dzień 13 marca 1943 roku, gdy kompania *SS* w hełmach bojowych otoczyła getto, a potem żandarmi zaczęli dzielić ludzi na takich, którzy mają prawo pracować i takich, którzy mają jechać „na wysiedlenie", tj. do komór gazowych, wszystkie zaś dzieci odłączono od rodziców. Rozległ się krzyk i płacz. Żandarmi strzelali, jak szaleńcy, a widok krwi podniecał ich i rozbestwiał. (Ojca zabito już dawniej, a matkę wraz z *Iziem* przeznaczono do gazu). Niektóre dzieci rozbiegły się w popłochu. *Salusi* i małemu *Samusiowi* udało się przesmyknąć koło nóg Ukraińców stojących w bramie i wybiec na ulicę. Stała tam *Sapetowa,* którą ciągłe strzały w getcie tutaj sprowadziły. Przerażona tym, co widziała przez bramę, porwała dzieci za ręce i poprowadziła je daleko od miasta, aż do swej wsi rodzinnej, do Witanowic w powiecie wadowickim. Dzieci bawiły się swobodnie koło domu. Lecz przyszli do niej ludzie i biadają: *Sapetka,* co wy robicie, żydowskie dzieci trzymacie? Przecież esesmani chodzą po wsiach i szukają, ściągniecie na siebie nieszczęście, pójdziecie do obozu, dom wam spalą, a może i wieś, że ludzie wiedzieli, a nie zawiadomili. Broniła się: a cóż mam robić, zabić? A choćby zabić. Niemcy was nie ukarzą, a Pan Bóg wam to odpuści. Nie mogła ich przekonać, więc udała, że ją przekonali. Rozmowę tę podsłuchał *Samuś,* a wieczór położywszy się do snu, tuliwszy się do *Sapetowej,* prosił: *Karolciu,* jeszcze dziś nas nie zabijajcie. Wzruszona tym błaganiem poszła nazajutrz do sąsiadów i powiedziała, że nie ma serca ich zabijać, ale je potopi. Wieczorem wyjechała z dziećmi wozem do lasu, przeczekała tam do nocy, a potem kazała się dzieciom położyć na półkoszkach i powróciła. Umieściła dzieci na strychu u sąsiadki, którą przekupiła. Odtąd nie wolno im było pokazywać się ludziom. Siedziały cicho na glinianej polepie, a był lipiec, upał i duszno, kaszlały od kurzu, na ich brudnym ciele wystąpiły wrzody, szczególnie u końców palców. *Sapetowa* nie mogła na to patrzeć. Zabrała blade, źle odżywiane dzieci od sąsiadki i ulokowała je u siebie w stajni. Wkrótce potem zdawało się, że już nadszedł kres. Niemcy przeprowadzali rewizję w całej wsi, dom po domu, a sąsiedzi jakoś nie pomyśleli, żeby *Sapetową* o tym powiadomić. Niespodziewanie Niemcy ukazali się na podwórzu i weszli do stajni. A tam mały *Samuś* nabrał naręcze mierzwy i odwróciwszy się tyłem do Niemców, ze spokojem układał ściółkę słomy pod krową. To przytomne dziecko uratowało groźną sytuację [26].

Gdzieniegdzie dzieci miały lepsze szczęście. Proboszcz w Przydonicy w powiecie nowosądeckim, ks. *Konstanty Cabaj,* znalazł na drodze dziecko żydowskie, porzucone przez matkę idącą na stracenie, zaopiekował się nim [27]

[25] *Maria Hochberg-Mariańska* i *Noe Grüss*: Dzieci oskarżają. Kraków, Łódź, Warszawa 1947.

[26] Zeznania *Karoliny Sapetowej* zostały w skróceniu zaprotokołowane i wydrukowane w książce „Dzieci oskarżają".

[27] *Włodzimierz Wnuk*: Walka podziemna na szczytach. II wyd. Warszawa 1965, s. 146.

i żywił na plebanii. Kiedy jednak po kilku miesiącach ktoś zawiadomił o tym gestapo, ks. *Cabaj* przekazał sierotę kurii biskupiej w Tarnowie, ta zaś ukrywała ją w swoim majątku.

Podziwu godną jest odwaga *Jadwigi Strzałeckiej*, która w Poroninie ukryła w prowadzonym przez siebie sierocińcu aż 11 dziewcząt żydowskich. Tamże znalazła schronienie 12-letnia *Janina Hescheles*, która została uprowadzona z obozu „janowskiego" we Lwowie przez łączniczkę krakowskiej RPŻ, *Józefę Rysińską*.

Słyszało się, że różne zakony męskie i żeńskie ukrywają potajemnie żydowskie dzieci, choć za to groziła kara śmierci albo obóz koncentracyjny. Tak było również i w Zakładzie Braci Alberta w Krakowie. Zdarzyło się, że do mego kolegi, radykalnego ludowca, *Bronisława Chrzana*, kierownika Szkoły Powszechnej nr 26 im. ks. Józefa Poniatowskiego w Podgórzu, przyszedł z początkiem 1944 roku brat, przełożony tego zakładu, zdaje się nazwiskiem *Jabłoński*, i prosił o przyjęcie do szkoły chłopca Żyda, *Zygmunta Weinreba*. Na zapytanie, dlaczego on sam nie chce go ukrywać, odpowiedział, że chłopiec ten był wychowywany razem z chłopcami chrześcijańskimi, więc nauczycielka poleciła mu, aby przed wspólną kąpielą w „Łaźni Rzymskiej" wdziewał majteczki kąpielowe. Tak też uczynił, lecz naszym chłopcom to się nie podobało. Zdejmuj, czemu się wstydzisz? Rzucili się na niego, ściągnęli mu majteczki i wtedy wydało się, że to Żyd. Chyba byłoby niebezpieczne trzymać takiego chłopca, bo dzieci rozpowiedzą i sprowadzą na nas i na tę sierotę nieszczęście. Kierownik *Chrzan* przyjął więc tego chłopca do szkoły, wpisał jego nazwisko na listę uczniów, wydał mu legitymację szkolną i opiekował się *Zygmuntem* do końca wojny. Później *Zygmunt* zmieniał swoje nazwiska, jak to czynili wytrawni konspiratorzy, w jednej miejscowości zwał się *Zygmunt Zarucki*, w innej *Czesław Bojdach*, a wreszcie za namową kierownika *Chrzana* wrócił do swego nazwiska pierwotnego.

Podczas okupacji dzieci żydowskie pojawiały się nieraz w niezwykłych okolicznościach. Opowiadał mi kolega z konspiracji, oficer w zgrupowaniu partyzantów Żelbetu, *Nawara*, że 7 sierpnia 1944 roku, w dzień po tzw. „czarnej niedzieli" w Krakowie, w miejscowości Owczary, powiat Miechów, patrol terenowy AK zatrzymał czterech chłopców, jadących na dwóch nowych bryczkach, zaprzężonych w parę siwków i w parę kasztanów. Dostawieni do komendanta partyzantki Żelbetu *„Bicza"* (*Artur Korbel*) zeznali, że ukrywali się w Krakowie, a widząc, że w mieście Niemcy wszystkich aresztują, postanowili uciec do partyzantki. Bryczki i konie zabrali dyrektorowi *Arbeitsamtu*. *„Bicz"* pochwalił ich i przyjął do partyzantki. Dopiero podczas przeglądu lekarskiego, przeprowadzonego przez dr *Tadeusza Płatka* (*Tygrys*) okazało się, że organizator tego brawurowego przyjazdu czwórką koni do partyzantki, chłopak o pseudonimie *„Orzeł"* jest Żydem.

Przytoczyłem tutaj tylko nieliczne przykłady ilustrujące problem opieki nad dziećmi żydowskimi podczas okupacji hitlerowskiej: jeden ze środowiska wiejskiego (*Karolina Sapetowa* z Witanowic), polskie sierocińce reprezentuje *Jadwiga Strzałecka* z Poronina, kler — ks. *Konstanty Cabaj* z Przydonicy, zakony i zakłady charytatywne — albertyni w Krakowie, szkoły — mgr *Bronisław Chrzan* i wojsko — Żelbet.

Tu trzeba jednak dodać, że w czasie, gdy dokonywała się w Polsce tragedia dzieci żydowskich, Polacy przechodzili podobną tragedię. Wszakże na koniec listopada 1942 roku przypada okrutne wysiedlenie polskiej ludności z powiatu Zamość, Biłgoraj, Hrubieszów i Krasnystaw. Z samej tylko Zamojszczyzny wysiedlono wtedy 120 tysięcy Polaków, w tym około 30 tysięcy dzieci (w całej Lubelszczyźnie około 50 tysięcy). Cały naród cierpiał z powodu bezlitosnego rozprószenia ich po obozach w Świnoujściu, Starogardzie, Hamburgu i z powodu zbójeckiego wysłania około 500 dzieci wprost do komór gazowych w Sobiborze. Nie zapomnimy tego nigdy, że żadne z tych dzieci nie dojechało żywe do Sobiboru, bo wszystkie w drodze pomarzły. Poza tym opowiadano już szeptem o tworzeniu w Łodzi gigantycznego, największego w Polsce obozu zagłady dzieci, który tymczasem służyć będzie wyniszczeniu dzieci żydowskich, a potem polskich.

Na „lewych" papierach

Ukrywającym się Żydom, jako też wszelkim, jak się mówiło, „spalonym", trzeba było kupić odzież na tandecie lub w sklepach i przygotować dla nich „lewe papiery". Dokumenty te robił początkowo *„Władysław"*, kierownik biura delegalizacyjnego Stronnictwa Demokratycznego, b. kierownik szkoły w Podolszu, powiat Wadowice, *Władysław Wichmann*, pozyskany do akcji „Żegoty" przez *Ferdynanda Arczyńskiego*. *Władysław* dysponował pieczątkami krakowskimi, hrubieszowskimi, grójeckimi i warszawskimi (te ostatnie przesłał po powstaniu warszawskim do Pruszkowa); że zaś zwolnienia od pracy w okopach potwierdzali Niemcy coraz to nowszymi pieczątkami, przeto tempo wykonania każdej nowej pieczątki musiało być szybkie. Cały swój warsztat przechowywał *Władysław* w blaszanym pudełku. Gdy groziła mu rewizja, opuszczał swe mieszkanie w Podgórzu przy ul. Krasickiego 8, a jego gospodyni, nauczycielka *Adela Niezabitowska*, wynosiła konspiracyjne pudło do ogrodu, kładła je w uprzednio wykopany dołek i przysypywała ziemią. Tajemnica autentycznych dokumentów, wyrabianych przez *Władysława* polegała na tym, że na oryginalnych blankietach przybijał najczęściej autentyczną pieczątkę.

Potem wybiło się biuro delegalizacyjne Koła (kryptonim PPS), któremu wysoki poziom techniczny nadał *Edward Kubiczek*, grafik

i malarz, wykonywał on po mistrzowsku urzędowe pieczątki, a *Zdzisław Kasparek* fotografie potrzebne do niektórych aktów urzędowych. W tej fabryce „lewych" dokumentów wyrabiano nie tylko towar pospolity, jakim była karta rozpoznawcza (*Kennkarte*), ale i świadectwa urzędów pracy, szpitala, zarządu miasta i przedsiębiorstw wojskowych, metryki urzędów parafialnych, przepustki nocne, karty rowerowe, zwolnienie od kopania okopów, bilety kolejowe, rozkazy jazdy itp.

Biuro delegalizacyjne Koła, mieszczące się w Krakowie przy ul. Wrzesińskiej 3, w lokalu *Wandy Janowskiej*, działało niezwykle sprawnie, a liczbą wydanych „lewych" dokumentów przewyższała je tylko akowska „Karta", kierowana przez krakowskiego rytownika *Jana Widlińskego*. Dokumenty z „firmy PPS" jako mistrzowskie przykłady sztuki fałszowania miały w sobie coś z magii. Gdyby nie to, ani sekretarz krakowskiej RPŻ, mgr *Władysław Wójcik* (*Żegota*), ani ja już byśmy nie chodzili po świecie.

Z takimi dokumentami w kieszeni, przechodząc plantami obok Drzewa Wolności koło dworca kolejowego, wpadliśmy obaj w obławę. Zażądano od nas dowodów osobistych. *Wójcik* grzebie w portfelu powoli, nie mogąc się zdecydować, którym papierkiem ma się legitymować. Wreszcie wyciągnął coś żółtego i podał. Dokument poszedł do oględzin fachowców, od szpicla do szpicla, aż do oficera. Potem podał papierek drugi, trzeci, czwarty. Sytuacja naprężona. Wreszcie oficer uznał wszystkie nasze dokumenty za legalne i puścił nas wolno.

„Lewe papiery" z tej pepesowskiej fabryki wysyłał *Wójcik* za pośrednictwem kolejarzy aż do Lwowa. Nie słyszeliśmy, aby gdziekolwiek i ktokolwiek odważył się je kwestionować. Tego rodzaju fabryczkę dla potrzeb Trójkąta (kryptonim Stronnictwa Ludowego) prowadził szef łączności Batalionów Chłopskich, *Jan Mazurek*, a do użytku Okręgowej Delegatury Rządu inż. *Zygmunt Zaremba*.

Ochrona prawna

Zagrożeni niebezpieczeństwem śmierci byli także Żydzi, ukrywający się po wsiach, miasteczkach i miastach. Przeciwko szantażystom, którzy chcieli ciągnąć materialne korzyści z wykrycia tajnych schronów, zamieszkałych przez Żydów, wydałem następujące drukowane obwieszczenie:

„Z różnych okolic dochodzą nas wieści, że niektórzy Żydzi, ukrywający się pod obcymi nazwiskami przed zbirami hitlerowskimi, otrzymują listy, w których anonimowi szantażyści grożą im wydaniem w ręce gestapo, jeśli w określonym miejscu i czasie nie złożą wyznaczonego okupu. Ten zbrodniczy sposób żerowania na tragedii ludzi, mordowanych w imię obłąkanej ideologii rasistowskiej, piętnujemy nie tylko jako fakt jaskrawego pogwałcenia zasad najprymitywniejszej etyki oraz przekroczenia artykułów kodeksu karnego, ale jednocześnie jako zbrodniczy zamiar współdziałania z gestapo i inną policją niemiecką.

Wszelkie tego rodzaju listy należy natychmiast przekazywać Kierownictwu Walki Cywilnej wraz z informacjami, które mogłyby naprowadzić na drogę wykrycia złoczyńców. Okręgowe Kierownictwo Walki Cywilnej".

Odezwa ta rozplakatowana była na dużym obszarze województwa krakowskiego (obejmującego podczas wojny również obszar województwa rzeszowskiego). W związku z denuncjacjami i szantażystami jako współredaktor broszury pt. Nakazy Kierownictwa Walki Podziemnej (1943) wprowadziłem do przepisów odnoszących się do zachowania się obywateli państwa polskiego następujące artykuły:

„Art. 21. Kto drogą denuncjacji spowodował prześladowanie, uwięzienie, zesłanie lub śmierć obywatela państwa polskiego,

Art. 22. Kto szantażuje obywateli państwa polskiego, ukrywających się przed zbirami gestapo,

Art. 25. Kto bierze udział w mordowaniu obywateli państwa polskiego — karany będzie śmiercią".

„Nakazy" te wydrukowane były w ilości 5 000 egzemplarzy w KWZW (w Konspiracyjnych Wojskowych Zakładach Wydawniczych) w Kosocicach pod Krakowem i zostały rozpowszechnione w szerokim zasięgu społeczeństwa polskiego. To nie były słowa na wiatr. Nie cofnęliśmy się przed wyciąganiem surowych konsekwencji z faktów żerowania na cudzej tragedii. Chodziło nam o upowszechnienie zasady, że jedno prawo obowiązuje wszystkich bez wyjątku obywateli państwa polskiego. Gdy stwierdziliśmy, że jeden z podziemnych sądów specjalnych w południowej Polsce, odchylając się od zasad podanych w „Nakazach", pobłażliwie odnosił się do zgłoszonych mu przestępstw rasistowskich, postaraliśmy się o jego rozwiązanie.

Reszty dokonały sądy podziemne. Oto jeden z wyroków krakowskiego Sądu Specjalnego: „W imieniu Rzeczypospolitej Cywilny Sąd Specjalny w Krakowie po rozpoznaniu sprawy *Antoniego Pajora*, kierownika zlewni mleka w Dobranowicach koło Wieliczki, oskarżonego o denuncjowanie do policji niemieckiej chłopów ukrywających Żydów, o współudział w schwytaniu dwóch obywateli państwa polskiego i dzieci pochodzenia żydowskiego, współwinę w ich mordowaniu, dekonspirowanie ukrywających się na wsi działaczy niepodległościowych, nadmierną gorliwość służbową oraz znęcanie się nad ludnością gromady podczas odliczania kontyngentu mlecznego — uznał go winnym popełnienia czynów przestępczych, zarzuconych mu w akcie oskarżenia i skazał go za nie na karę śmierci". Wyrok wykonano 27 października 1943 roku o godz. 20,15 przez zastrzelenie.

W roku 1944 procedura sądownictwa specjalnego została znacznie skrócona. Zgodnie z rozporządzeniem pełnomocnika Rządu na Kraj z dnia 7 lutego 1944 roku, gdy utworzone

zostały w powiatach okręgu krakowskiego „Placówki Ekspozytury Śledczej", tzw. PESy, otrzymały one rozkaz strzelania bez sądu denuncjatorów i szantażystów. Jeden bowiem z rozkazów wydanych PESom brzmiał:

„Przestępcy winni szantażu i wymuszania korzyści materialnych na tle pochodzeniowym i działalności politycznej, przychwyceni na gorącym uczynku, traceni są na miejscu".

Oprócz tego ulotka Polskich Organizacji Podziemnych w maju 1943 roku głosiła:

„Każdy Polak, który współdziała z ich morderczą akcją, czy to szantażując, czy denuncjonując Żydów, czy to wyzyskując ich tragiczne położenie lub uczestnicząc w grabieży, popełnia ciężką zbrodnię wobec praw Rzeczypospolitej Polskiej i będzie niezwłocznie ukarany, a jeżeli uda mu się uniknąć kary lub schroni się przed nią pod opiekę nikczemnych zbrodniarzy okupujących nasz Kraj, niech będzie pewny, że już niedaleki jest czas, kiedy pociągnie go do odpowiedzialności sąd Odrodzonej Polski" [28].

Dzięki temu, że w Krakowskiem surowo i szybko tępione były przestępstwa na tle rasistowskim, dokonywane przez moralnie upadłe jednostki, gangrena szantażowania Żydów nie przybrała tutaj takich rozmiarów, jak gdzie indziej.

Wywiad

W październiku 1943 roku rozeszła się wieść, że z obozu w Płaszowie zwolniono kilkudziesięciu Żydów, którzy zobowiązali się pracować na rzecz gestapo, a przede wszystkim wykrywać Żydów nielegalnie mieszkających w Krakowie. Zdrajcy ci chodzili po mieście bez opasek, posiadali legitymacje, dające im swobodę poruszania się, otrzymywali dogodne mieszkania w śródmieściu i rzeczywiście działali zgodnie z nakazem gestapo. Przy pomocy wywiadu Kierownictwa WC, informacji otrzymywanych od ukrywających się Żydów, jako też wywiadu wojskowego ustalone zostały dwie grupy tych konfidentów, jedną kierował *Diamand*, któremu podlegali między innymi *Julek Appel*, *Natan Weissmann* i *Stefa Bradstätter* vel *Stefania Poklewska*, vel *Stefa Czacz*, vel *Helena Czacz*, mieli swe biuro przy ul. Sławkowskiej 6 w oficynie na I piętrze. Drugą grupą kierował *Förster*, zamieszkały przy Rynku Głównym w Pałacu Spiskim u *Spinarczyka*, a podkomendną jego była *Marta Puryc* vel *Panecka*, mieszkająca przy ul. Zyblikiewicza 5, *Tataruch*, z ul. Trauguta 12. Inni zwali się: *Symche Spira*, *Białobroda*, *Chilowicz* z żoną, *Bladek*, *Finkelstein*, *Marcel Goldberg*, *Grüner*, *Artur Löffler*, *Kleinberger*, *Kerner*, *Michał Pacanower*, *Szymon Rosen*, *Marian Rotkopf*, *Ignacy Taubmann*, *Weininger* i inni.

Byli wśród nich tacy, jak *Weissmann* i *Appel*, którzy wykrywali kryjówki Żydów w powiecie bocheńskim, *Chilowiczowa*, która wykrywała dzieci w obozie płaszowskim, *Symche Spira* znęcający się nad swymi rodakami w getcie krakowskim, *Białobroda*, którego interesowały także tajemnice AK i inni, którzy za marny ochłap wolności tropili zarówno Żydów, jak i polskie organizacje niepodległościowe. Banda tych i innych konfidentów została zdemaskowana i ujawniona w prasie podziemnej, w ślad za czym groźni dla Żydów judasze zmienili swoje mieszkania i zaczęli się ukrywać przed wywiadem polskim. Mając utrudnione warunki swej pracy, stawali się coraz mniej wydajni, a w związku z tym gestapo rozpoczęło systematyczne ich tępienie.

Gdy przenieśli swe biuro na Paulińską 22, zostali wytropieni przez gestapo, a czterech konfidentów zostało na miejscu zastrzelonych. Podobną masakrę urządziło gestapo w innej ich melinie przy ul. Blich. Tylko mały procent tych zdrajców zginął od kuli polskiego wywiadu wojskowego.

Przeciwko wysługującym się okupantowi policjantom granatowym, którzy tropili zarówno Żydów, jak i ukrywających się Polaków, wydałem odezwę piętnującą ich imiennie i oddającą ich w „opiekę" Placówkom Ekspozytury Śledczej. Znalazł się na tej liście krwawy zbir *Józef Kubala* z powiatu limanowskiego i *Jan Ratajczak*, komendant policji granatowej w Niepołomicach, *Kazimierz Guzik* z Ojcowa, *Szmenda* z Wiśnicza, *Kazimierz Nowak* z Miechowa, *Volksdeutsch* z Wielkopolski i *Paweł Piątek* ze Skrzydlnej, a potem z Nowego Sącza i inni.

Propaganda

Hitlerowska propaganda dyskryminacyjna ludności Polski szła w dwóch kierunkach: przeciwko Żydom i przeciwko Polakom. Urządzono wielką wystawę antysemicką i do jej zwiedzania zapędzano młodzież masowo. Plakatami zatytułowanymi: „Żydzi — wszy — tyfus plamisty" starano się opluć Żydów, poniżyć, zdeptać i budzić do nich wstręt. Ponadto wystawą tą chciano przekonać widzów, że w dziejach ludzkości wszelkie zło powstało za sprawą Żydów. Wtedy Małopolska Agencja Prasowa (organ AK), wykpiwając te „prawdy historyczne", głosiła: Żydzi są przyczyną wojny, Żydzi powodują trzęsienie ziemi, wulkany i zapalenie ślepej kiszki, *Juliusz Cezar* zamordowany został przez Żydów, *Dżengiz-chan* był Żydem, Konstantynopol został zburzony przez Żydów itd.

Antysemicką propagandę hitlerowcy prowadzili także za pomocą kin, w których obrazami nieustannych zwycięstw oręża niemieckiego zamierzano doprowadzić naród do załamania psychicznego, a wyświetlaniem pogromów żydowskich pogodzić Polaków z nieodwracalną zagładą Żydów. Gdy ogłoszony przez Kierownictwo Walki Cywilnej bojkot kin nie dał wyników pozytywnych, użyte zostały represje, a więc polewanie ubrań nałogowych kinomanów kwasami żrącymi, rzucanie petard, któ-

[28] *T. Seweryn*: Walka z hitlerowskim rasizmem, Wieści, 31 III 1963; także: Polskie sądownictwo podziemne, Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 212.

rych wybuchy wzniecały nieopisany popłoch wśród publiczności, strzyżenie kobiet, niszczono aparaturę rozgłośnikową i demolowano urządzenia operatowni [29]. Ale propaganda niemiecka szła dalej. Gdy *Amon Leopold Goeth*, komendant obozu w Płaszowie skazał pięciu więźniów, w tym czterech Żydów i Polaka na szubienicę, a Żyda *Feinera* zmusił do wykonania egzekucji, od razu rozwrzeszczały się niemieckie „szczekaczki" radiowe, że Żydzi wieszają Polaków [30].

Dużą zasługę w poinformowaniu Wielkiej Brytanii i USA o ogromnej tragedii przeżywanej przez Żydów w Polsce okupowej przez Hitlera ma Żyd *Jan Kozielewski*, występujący za granicą jako *Jan Karski*, znany w świecie profesor Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie. Książką swoją *„Story of a secret State"* (Historia tajemnicy państwowej) wstrząsnął on na chwilę sumieniem narodów. Był to rok 1942, tymczasem właściwa katastrofa runęła na naród żydowski dopiero w roku 1943. Lecz wtedy po raz wtóry nie odważył się *Karski* przyjechać do Polski.

Najsilniejszy atak propagandy niemieckiej na Polaków prowadzony był w czasie likwidowania wszystkich gett w Polsce i masowych morderstw, szczególnie podczas powstania w getcie warszawskim (19 kwietnia do 16 maja 1943 r.). Chcąc usprawiedliwić swoje zbrodnie przed światem propaganda hitlerowska głosiła przewrotnie, że za gehennę Żydów w Polsce ponoszą winę Polacy. W odpowiedzi na to oskarżenie Pełnomocnik Rządu na Kraj wydał 30 kwietnia 1943 roku oświadczenie, które przedrukowała Rzeczpospolita, a potem powtórzyły Polskie Organizacje Niepodległościowe w odezwie „Do ogółu Społeczeństwa Polskiego". Z odezwy tej przytaczamy jeden fragment:

„Mordowanie setek tysięcy ludzi bezbronnych w krajach podbitych, masowe zabijanie gazami trującymi milionów Żydów w imię zbrodniczej teorii rasistowskiej stara się krzyżacki zbrodniarz maskować i ukryć przed światem, by nie ściągnąć na siebie gniewu całego świata. A w maskowaniu tym posuwa się tak daleko, iż już obecnie wmawia w świat, że Polacy współuczestniczą w mordowaniu i rabunkach dokonywanych na Żydach".

Ale kłamliwa propaganda hitlerowska szła nadal w świat z niewstrzymaną siłą. Wtedy to zdarzył się fakt, który podczas wojny nie był nam znany, a wyszedł na jaw dopiero podczas procesu *Eichmanna* w Jerozolimie. Oto generał *Blaskowitz* w oparciu o wywiad wojskowy zaraportował marszałkowi polnemu *von Brauchitschowi*, ówczesnemu głównemu dowódcy *Wehrmachtu:*

„Stosowane środki i metody rzeźnika przynoszą nam niepowetowane szkody... Popełniane na Żydach gwałty wywołują nie tylko wstręt wśród z gruntu pobożnej ludności polskiej, ale wytwarzają także uczucie głębokiego współczucia dla ludności żydowskiej. Polacy i Żydzi, nasi zaprzysięgli wrogowie na wschodzie, popierani przez Kościół katolicki, szybko się sprzymierzą na bazie nienawiści do swych ciemiężycieli" [31]. Ale *Goebbels* nie zmieniał swoich zapalczywych poleceń i propaganda antypolska szła nadal w świat. *Róża Bauminger* pisze w swych przejmujących grozą wspomnieniach z obozu pracy przymusowej w Skarżysku-Kamiennej [32], że propagandę polakożerczą uprawiano nawet w obozie, spędzając robotników do sali, w której pokazywano im film przedstawiający, jak Polacy mordowali Żydów, a dopiero Niemcy wzięli ich w opiekę, dali im pracę i uchronili ich od śmierci.

Na zajadłość takiej złośliwie kłamliwej propagandy nie znajdowaliśmy rady. Doszło już do tego, że obłudny krzyżak spod znaku swastyki siebie czynił „obrońcą cywilizacji i chrześcijaństwa". Wtedy umieściłem w „lewym" „Gońcu Krakowskim" z dnia 1 grudnia 1943 roku obfitą serię złośliwych inseratów, np.:

Uczę miłości chrześcijańskiej, kultury europejskiej i nowego ładu, mordując dzieci i kobiety lub wysyłając ich do komór gazowych. *Heinrich Himmler.*

Biżuterię żydowską oczyszczoną z krwi sprzedam, *Goeth*, komendant obozu żydowskiego w Woli Duchackiej.

Niemowlęta w getcie zabijam od jednego strzału, a po pijanemu wykrywam spiskowca w każdym Polaku, *Joachim Thum, Bauinspektor* Kraków, Prokocim, baraki.

Meble niearyjskiego pochodzenia sprzedaję tylko nordykom, *Möbelverwaltung*, Krakau, Felicjanekstrasse.

Zegarki męskie i damskie, wyroby ze srebra, banknoty, jedwabie, futra i tłuszcze zabiera *Heinemeyer, SS Obersturmbannführer IIIA*, Pomorska 2.

Sprzedajemy ubrania zabrane przez gałganów niemieckich, *Heeresverpflegung*, Krakau.

Mydło toaletowe wyrabiane z tłuszczu dzieci zabitych w *Judenvernichtungslager* w Bełżcu, do sprzedania w *Seifenzentrallstells*, Krakau, Riebentropstrasse 59.

Tego rodzaju walka z Niemcami za pomocą drukowanych złośliwości była w okresie okupacji bardzo popularna. Zjadliwe piętnowania „narodu panów" lotem błyskawicy rozchodziły się po mieście i okolicy, niosąc pokrzepienie ducha i wytwarzając przychylniejszą atmosferę do działania konspiracyjnego. Od tego właśnie zależał pomyślniejszy rozwój działalności RPŻ.

Ale niemniej do dziś trwa goebbelsowska propaganda szkalująca Polaków, a wybielająca tych, którzy rozwiązanie zagadnienia żydowskiego widzieli jedynie w masowym mordzie. Na to nie znajdujemy rady, bo tymi sprawami rządzi dolar.

Niedawno *Leon Uris* napisał powieść pt. *„Exodus"*, której tłumaczenie na język niemiecki wydano rychło w Monachium, aby niemieckim rewizjonistom dostarczyć miłej dla nich lektury. W powieści tej bowiem Polacy biorą żywy udział w eksterminowaniu Żydów, a tym samym wytwarzają dogodne warunki

[29] *T. Seweryn*: Atak na kina. „Wieści" z 16 V 1965.
[30] *J. Aleksandrowicz*: op. cit. s. 35.
[31] *Lord Russel of Liverpool*, op. cit., s. 78.
[32] *Róża Bauminger*: Przy pikrynie i trotylu. Kraków 1946.

do organizowania w Polsce obozów zagłady dla narodów Europy.

Stanisław Dygat, zapoznawszy się z tematyką książek najbardziej rozchwytywanych przez amerykańskiego czytelnika, pisze: „Na wszelkich wyrafinowanych morderstwach i okrucieństwach z podłożem psychologicznym i najlepiej w połączeniu ze zboczeniami erotycznymi można zarobić ładne pieniądze. Okrucieństwa wobec Żydów za okupacji poszukiwane, ale pod warunkiem, że sprawcami nie są Niemcy. To nazbyt już monotonne i ograne. Bardzo mile widziani w tej roli Polacy" [33]. Zresztą dobrą znajomość potrzeb światowego rynku wykazują również podobno Polacy, jak *Roman Polański* w filmie *„Repulsion"* i *Jerzy Kosiński*, który w książce „Malowany ptak" łączy modne okrucieństwa nie tylko ze zboczeniami erotycznymi, ale i znęcaniem się Polaków nad Żydami za okupacji. „Pełnia szczęścia dla amerykańskich wydawców i bardzo łakomy kąsek dla żądnych niebanalnych wrażeń czytelników". W doborze tematyki utworów beletrystycznych dolar znaczy wiele.

Tym pisarzom pozazdrościł sławy i dolarów *Jean François Steiner*, którego książka „Treblinka — bunt w obozie zagłady" stała się we Francji bestsellerem w r. 1966. Wprawdzie tygodnik „Combat" surowo skrytykował autora za zniekształcenie prawdy historycznej w przedstawianiu stosunku Polaków i Żydów do hitlerowskiego okupanta, wprawdzie Stowarzyszenie Żydowskie Pisarzy i Dziennikarzy oskarżyło *Steinera* za haniebne sprofanowanie pamięci męczenników Treblinki, wprawdzie polska prasa zagraniczna protestuje przeciw publicznemu obrzucaniu błotem honoru żołnierzy Polski podziemnej i tragicznego losu Żydów w Polsce — to wszystko nie ma znaczenia, jeśli „Treblinka" *Steinera* rozeszła się w 80.000 egzemplarzy, a autor jej, niefrasobliwy fałszerz historii, pełniący funkcję agenta *Goebbelsa* — zapamiętajmy to zaciskając zęby — otrzymał wysoką nagrodę — *Prix littéraire de la Resistance*.

Zadziwia prawnik dr *Michał Weichert* w państwie Izrael, który ośmiela się pisać: „Gdzież są ci Żydzi, którzy ocaleli dzięki stałej pomocy RPŻ? Ani jednego nazwisko nigdy nie wymienione", pytanie co najmniej smutne, bo przecież wiadomo, że dr *Michałowi Weichertowi*, gdy Niemcy zlikwidowali JUS w Krakowie, groziło aresztowanie i wtedy dr *Stanisław Wincenty Dobrowolski* ukrył go u swej siostry, docent dr *Jadwigi Miklaszewskiej*, wiadomo też, że doc. dr *Miklaszewska* z kolei oddała go w opiekę swej przyjaciółce *Wandzie Dwernickiej* przy ul. Zyblikiewicza 5 m. 24 (dziś Bitwy pod Lenino), a następnie, że za utrzymanie dr *Weicherta* aż do wyzwolenia płacił dr *Dobrowolski* z kasy RPŻ.

Pytanie więc dr *Weicherta* przekracza granice nawet prymitywnie pojętej uczciwości.

Ofiary na polu miłosierdzia

Obliczono, że po ostatniej wojnie około 300 000 Żydów zachowało się w Polsce dzięki pomocy, jaką społeczeństwo polskie niosło ofiarom hitlerowskiego rasizmu. Nie próbowano jednak dotychczas choćby w przybliżeniu podać liczby ofiar, które padły w tej walce po stronie polskiej. Wprawdzie w aktach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich znajduje się wiele nazwisk chłopów, którzy ukrywali Żydów w powiatach bocheńskim, tarnowskim, limanowskim, dębickim, łańcuckim, sanockim, krośnieńskim i innych, te wszystkie materiały jednak są nie wystarczające, ci zaś, którzy podczas tej strasznej wojny odważyli się widzieć człowieka w każdym bliźnim prześladowanym, nie chcą dziś szczycić się tym i nie chcą, aby ktokolwiek pisał o tym ich miłosierdziu. A jednak jest to sprawa ważna, mówi ona bowiem o ideologii Polski Walczącej. Z tych powodów uważam za potrzebne podać poniżej listę Polaków, którzy ponieśli śmierć w walce z hitlerowskim rasizmem. Składają się na nią przygodnie zebrane materiały z województwa krakowskiego.

Józef Adamski [34], około 60-letni murarz, zgodnie ze swą zasadą, że „tyle człowiek jest wart, ile drugiemu może pomóc", dzień w dzień przejeżdżając tramwajem obok getta w Krakowie, rzucał uwięzionym tam Żydom paczuszki z żywnością, bielizną lub „gazetkami", a przychwycony przez policjanta niemieckiego został okrutnie pobity, w następstwie czego zmarł w kilka tygodni później.

Za udział w fałszowaniu dokumentów dla ukrywających się Żydów został 11 września 1943 r. aresztowany i poniósł śmierć z ręki hitlerowców *Michał Kliś*, pseudonim *Wojtek*, funkcjonariusz policji granatowej w Krakowie, ul. Szlak 40, a jednocześnie pracownik krakowskiego kontrwywiadu AK.

Dr *Władysław Zapałowicz*, zamieszkały przy Małym Rynku 6 w Krakowie, znany działacz ludowy, został za przechowywanie Żydów aresztowany w roku 1944 i wywieziony do Oświęcimia, skąd już nie wrócił. Niemcy, postępując wedle totalistycznych zasad zbiorowej odpowiedzialności, wywieźli do obozu w Oświęcimiu także jego żonę i syna *Zbigniewa*.

W Klikowej w powiecie tarnowskim za ukrywanie dwóch Żydów została zastrzelona *Anna Niepstej*, lat 45.

We wsi Szarwark w tymże powiecie rozstrzelali Niemcy 5 lipca 1943 r. całą rodzinę *Mendelów*, składającą się z siedmiu osób, a zagrodę ich spalili.

W Szynwałdzie koło Tarnowa mieszkało 100 wysiedlonych, w tym wielu Żydów „na lewych papierach". Niektórzy, jak *Józef Stańczyk*, *Piotr Smoleń* i *Stanisław Kopacz* ukrywali i żywili Żydów przez cały okres wojny. Powie ktoś, że przecież nie czynili tego bezinteresownie. Może. Ale jeżeli tenże *Stanisław*

[33] *Stanisław Dygat*: Kupno i sprzedaż. Polityka, 16 kwietnia 1966.

[34] *J. Aleksandrowicz*: Kartki z Dziennika doktora *Twardego*, Kraków 1962, s. 176.

Kopacz ukrywał także żołnierza radzieckiego, to chyba nie skłoniły go do tego pobudki materialne, bo czegóż mógł się spodziewać od żołnierza? Podczas pacyfikacji Szynwałdu w sierpniu 1944 roku *Stanisław Kopacz* poszedł na śmierć za swą odwagę i podanie pomocnej ręki bliźnim.

W powiecie bocheńskim na cześć powszechną zasłużył chłop ze Starego Wiśnicza, *Gitara* za to, że zaopiekował się dzieckiem żydowskim, zepchniętym do rowu przez matkę, którą zastrzelił gestapowiec, gdy zasłabła w drodze pędzona na stracenie. *Gitara*, zadenuncjowany przez policjanta granatowego, *Szmendę*, został zastrzelony.

Były także „niepoprawne" typy, jak *Antoni Sora* w Tarnowie w tymże powiecie, który za ukrywanie *Steinerów* z Mstowa został aresztowany z wiosną 1943 roku i osadzony w więzieniu, ale ledwie został zwolniony, już przyjął do siebie Żyda i ukrywał go przez wiele miesięcy.

Na hołd zasłużył sobie również *Franciszek Zając*, zamieszkały na Dzielcu w Woli Skrzydlańskiej w powiecie limanowskim, za ukrywanie Żydówki, mimo iż wiedział, że za to czeka go śmierć, jeżeli nie z rąk gestapo, to od srożącego się w okolicy komendanta policji granatowej, *Józefa Kubali*, który z równą zaciekłością tropił Żydów, jak i działaczy niepodległościowych. Zdrajca *Kubala* wykrył Żydówkę, ukrywającą się u *Zająca*, własnoręcznie roztrzaskał jej głowę kolbą swego karabinu, a jej opiekuna aresztował i oddał w ręce oprawców niemieckich. *Franciszek Zając* wysłany został do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie zginął śmiercią męczeńską.

W Łacku w powiecie sądeckim aresztowano wielu chłopów za sprzedawanie żywności Żydom, a za to samo *Volksdeutsch*, burmistrz Mszany Dolnej, *Władysław Gelb* zakatował na śmierć górala *Adamczyka*, potem kazał miejscowemu lekarzowi wystawić świadectwo, że *Adamczyk* zmarł na udar serca. A działo to się wszystko zgodnie z obwieszczeniem *Franka* z dnia 15 października 1941 roku, w którym groził śmiercią każdemu, kto sprzedał Żydowi kawałek chleba lub masła, kto podał mu wody, kto pozwolił mu spać w stodole lub w chlewie itd.

Za to zginęli również *Józef* i *Weronika Ruchałowie* z Librantowej w powiecie nowosądeckim, ludzie bardzo biedni, odważni i szlachetni.

Za systematyczne niszczenie donosów na ukrywających się Żydów i członków organizacji niepodległościowych został w marcu 1942 roku aresztowany urzędnik pocztowy w Nowym Sączu, *Eugeniusz Stępniowski* i tak skatowany przez kata Sądeczyzny, *Hamanna*, że przewieziony do więzienia w Tarnowie zmarł.

W Bobowej w powiecie gorlickim aresztowano doktora medycyny *Józefa Pietrzykowskiego*, którego jedynym „przewinieniem" było zaopiekowanie się dzieckiem żydowskim, sierotą. Szef gestapo w Nowym Sączu, *Heinrich Hamann*, wywlókłszy doktora spośród więźniów, kazał go rozstrzelać.

Na procesie *Eichmanna* w Jerozolimie zeznawał Żyd z Przemyśla, *Józef Burzmiński*, że za ukrywanie jednego dziecka żydowskiego zostało zastrzelonych osiem osób z jednej polskiej rodziny.

W Brzozie Królewskiej w powiecie łańcuckim za ukrywanie Żydów zastrzelili hitlerowcy 70-letniego *Sebastiana Kozaka* i 65-letnią *Katarzynę Kozak* oraz *Tomasza Wacha*, lat 41.

W Jaworzu Dolnym w powiecie dębickim rozstrzelani zostali za to samo „przestępstwo": *Jan Psioda* lat 71, *Maria Kałuża* lat 28 i *Józef Ryba* lat 24.

W Brzozowej w powiecie sanockim za pomoc Żydom skazano na śmierć *Zofię Gargasz*.

W Krępie w powiecie miechowskim zastrzelili Niemcy rolnika *Józefa Wydmańskiego* za ukrywanie Żydów, a zabudowania jego spalili, aby rzucić postrach na ludność okoliczną.

Przytoczone fakty są przeważnie dorywczo wypisanymi szczegółami z raportów otrzymywanych z terenu przez Okręgowe Kierownictwo W. C. i Oporu Społecznego. Specjalnych badań problemu wielostronnej pomocy Żydom we wszystkich powiatach województwa krakowskiego i rzeszowskiego dotychczas nie prowadzono. Materiały z tego zakresu, zebrane przez mgr *Józefa Guzika* na terenie powiatu miechowskiego i proszowickiego, pozwalają rzucić większy snop światła na walkę, prowadzoną przez chłopów polskich z hitlerowskim rasizmem i na groby, które dokumentują liczbę ofiarnie poległych w tej walce. Z materiałów tych przytaczamy niektóre fakty:

W Wierzbicy, gmina Kozłów, 29 stycznia 1943 roku wystrzelali hitlerowcy trzy rodziny, łącznie 15 osób, a mianowicie: *Izydora Kucharskiego*, *Stefana*, *Mieczysława*, *Bronisława Kucharskiego*, *Zygmunta* i *Bronisława* (syna), *Nowaka* (ojca) wraz z dwuletnią córką, *Franciszka Książka* lat 50, *Julię Książek* lat 40, *Jana* lat 21, *Zygmunta* lat 18 i innych. Z jakiej przyczyny dokonali hitlerowcy takiej masakry? Ponieważ trzech Żydów ukrywało się u tych rodzin.

Również w Posądzy, gmina Koniusza, dokonali Niemcy masowego mordu 22 czerwca 1943 roku na siedmiu ludziach. Rozstrzelani zostali wtedy za przechowywanie Żydów: *Stanisław Wierzbanowski* lat 60, *Maria Wierzbanowska* lat 68, *Katarzyna Żmuda* lat 40, *Teresa Żmuda* lat 18, *Zdzisław Żmuda* lat 10, *Teofil Nowak* lat 2 oraz *Zębala*.

W Wierzbnie 18 lutego 1943 roku zastrzelili Niemcy trzech Polaków za to, że żywili Żydów i dali im u siebie przytułek. Zgładzono również wówczas *Stanisława Wilka* lat 45, *Katarzynę Wilk* lat 52 i żołnierza BCh lat 20, *Mieczysława Wilka*.

W Wierzbowisku, gmina Wielko-Zagórze 15 marca 1943 roku rozstrzelani zostali przez policję hitlerowską *Wincenty Boranek* wraz z żoną *Łucją*, dwojgiem dzieci i teściową *Kopciową*.

W Gruszowie, gmina Pałecznica, członek Ruchu Oporu Chłopskiego, *Kasper Woda*, za ukrywanie Żydów wywieziony został w listopadzie 1943 roku do Oświęcimia, gdzie zginął śmiercią męczeńską.

Za to samo „przewinienie" *Michalski* wraz z synem ze Słomnik zostali zastrzeleni w Miechowie w marcu 1943 roku, a w Rzędowicach, gmina Książ Wielki, Niemcy zastrzelili *Franciszka Chybowskiego* lat 60 i jego żonę *Julię* lat 54.

W Giebułtowie, gmina Książ Wielki, policja granatowa zastrzeliła w maju 1944 roku 17 Żydów ukrywających się u gospodarza *Koniecznego*. Zamordowano wtedy jego żonę *Natalię* z córką, mąż zaś uratował się ucieczką.

W Wesołej, gmina Niedźwiedź uśmiercono w sierpniu 1944 roku 184 Żydów z powiatu miechowskiego i pińczowskiego. Hitlerowcy przed dokonaniem tej masakry pastwili się nad skazanymi na śmierć, nękając wszystkich długotrwałym głodem. Starsi wytrzymywali te katusze, ale dzieci płakały i błagały o chleb. Wtedy *Stanisław Mirek* z Ratajowa, członek powiatowej trójki ROCHa, zwrócił się do Niemców z prośbą, aby mu wolno było dostarczyć mleka i chleba skazańcom. Za wyrażenie tej prośby mógł być aresztowany lub natychmiast zastrzelony, zgodnie z zarządzeniem *Franka*, ale żandarmi byli w dobrym humorze. Jeść? — śmiali się z niego. Po co? Przecież oni i tak będą rozstrzelani! Przecież to nasi bliźni, tak nam nasza wiara nakazuje — odpowiedział. Szydzili z niego, ale się zgodzili. *Mirek* pobiegł na wieś, wnet wrócił z kobietami, które przyniosły 30 litrów mleka i 8 bochenków chleba. Gdy Żydzi spożyli posiłek, hitlerowcy rozpoczęli okrutną rzeź. Zabili wszystkich, nawet dzieci. Wedle obliczenia kierownictwa ekshumacji w styczniu 1962 r. zamordowano wtedy 184 osoby.

Nie wszędzie Żydzi dali się aresztować bez czynnego oporu. Były przypadki, że zdobywszy broń walczyli i ginęli z bronią w ręku, uległszy przeważającej przemocy. W Książniczkach, gmina Michałowice, 3 czerwca 1943 roku podczas pacyfikacji trzej Żydzi ukryli się w stodole, a zbliżających się Niemców przywitali strzałami. Podczas oblężenia przez 40 żandarmów jeden z Żydów padł przeszyty kulami, drugi zdołał zbiec, a trzeci broniąc się do ostatka, zginął w płomieniach palącej się stodoły. Niemcy, chcąc dać upust swej mściwości, zastrzelili *Stefana Kaczmarskiego* i *Stanisława Stojka*, u których ci Żydzi się ukrywali.

Przytoczone przykłady tylko z jednego powiatu dowodzą niezbicie, jak bardzo mylą się zachodnioeuropejscy i amerykańscy „rzeczoznawcy", twierdząc, że chłopów w Polsce nic nie obchodził los Żydów.

Przedstawiona tutaj wyrywkowo sytuacja w województwie krakowskim posiada odpowiednik i na innych terenach. *Tatiana Berenstein* i *Adam Rutkowski* podają, że w województwie kieleckim hitlerowcy spalili dom ze wszystkimi domownikami, gdy stwierdzono, że w domu tym ukrywali się Żydzi. W Ciepielowie Starym (powiat Iłża) spalono 13 osób w nędznej chałupie, a w sąsiedniej wsi Rokówka spalono całą rodzinę, składającą się z 10 osób, w tym dwie kobiety i 6 dzieci od 3 do 13 lat. W gminie Ciepielów 6 grudnia 1942 r. za ukrywanie Żydów esesowcy spalili żywcem 33 Polaków, w tej liczbie kobiety i dzieci od 7 miesięcy do 14 lat [35].

W posłowiu zaś do cytowanej już sławnej książki filozofa *Russella* pisze *Janusz Gumkowski:* „Warto może przypomnieć, że w Polsce za okazywanie pomocy Żydom wymordowano wiele tysięcy osób. Między innymi w obozie zagłady w Bełżcu zagazowano za tego rodzaju działalność przeszło tysiąc Polaków z okolic Lwowa. A przecież gestapo nie wykryło wszystkich Polaków, którzy pomagali Żydom" [36]. Tu również warto przypomnieć garść nazwisk inteligencji polskiej, która w dobie szalejącego terroru, zrodzonego z nienawiści, śmiercią swą pieczętowała wierność idei miłości bliźniego: prof. Uniw. Poznańskiego dr *Franciszek Raszeja*, znakomity chirurg, został w lipcu zastrzelony w getcie warszawskim podczas udzielania pomocy lekarskiej choremu Żydowi.

Prof. dr *Kazimierz Kolbuszewski*, znakomity historyk literatury i dziekan Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, został w roku 1943 aresztowany za pomoc niesioną swoim studentom Żydom i zesłany do Majdanka, gdzie poniósł śmierć męczeńską [37].

Dr *Ewa Rybicka*, psycholog, asystent w Uniwersytecie Warszawskim, została zastrzelona za pomoc Żydom. Do obozu koncentracyjnego zesłano w roku 1942 proboszcza we Włochach koło Warszawy, ks. *J. Chróścickiego* za to, że pomoc Żydom uważał za swój chrześcijański obowiązek.

Kronikarz getta warszawskiego dr *Emanuel Ringenblum*, dwukrotnie wyrwany przez Polaków z rąk niemieckich, został w marcu 1944 r. zamordowany wraz z *Ludomirem Marczakiem* i całą jego rodziną, która dała mu schronienie w Warszawie w kryjówce na terenie ogrodu warzywnego przy ul. Grójeckiej 81, gdzie ukrywało się 34 Żydów [38].

To tylko strzępy odchodzącej w przeszłość naszej historii. Gdyby odgrzebać z zapomnienia nazwiska wszystkich Polaków, którzy heroicznie ryzykując życie, padli w walce z okrucieństwami hitlerowskiego rasizmu, długo trwałby apel poległych.

---

[35] *Tatiana Berenstein* i *Adam Rutkowski:* Pomoc Żydom w Polsce 1939—1945. Warszawa 1963, s. 48.

[36] *Lord Russel of Liverpool*, op. cit., s. 354.

[37] *W. Bartoszewski:* O pomocy Żydom w latach okupacji. Przekrój, 17. III. 1963.

[38] *P. Godlewski:* Zagłada Żydów a Polska Walcząca. Kultura, 31. VII. 1966; *T. Berenstein* i *A. Rutkowski*, op. cit.

W S P O M N I E N I A

ZBIGNIEW GARNUSZEWSKI Szczecin

Wspomnienia lekarza z konspiracji i partyzantki

W chwili wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku miałem za sobą pięć lat studiów lekarskich. Studia te, rozpoczęte w r. 1934 w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, udało mi się ukończyć w pierwszym roku okupacji niemieckiej w Warszawie. Z tymczasowym dyplomem lekarskim w kieszeni, który wręczono mi w przededniu likwidacji Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, udałem się w początku maja 1940 roku na prowincję i osiedliłem się w Opolu Lubelskim. Była to skromna mieścina, licząca około 8 tysięcy ludności, położona w południowej części powiatu puławskiego i odsunięta od głównych szlaków komunikacyjnych. Starego typu kolejka wąskotorowa łączyła Opole Lubelskie z Nałęczowem i trasą kolejową Warszawa—Lublin. W miasteczku tym czynny był szpital pięćdziesięciołóżkowy, kierowany w tym czasie przez dr *Michała Szczypkę*, który zatrudnił mnie na stanowisku asystenta. Pracowałem tam przez cztery brzemienne w wydarzenia lata okupacyjne.

W Opolu Lubelskim, podobnie jak w każdym większym miasteczku, władze niemieckie osadziły żandarmów i urzędników, mających pilnować wykonania zarządzeń urzędowych. Odkomenderowano tu mały oddział żandarmów, który zajął na swą siedzibę duży murowany budynek w centrum miasteczka. Obok w gminie urzędował „landkomisarz" niemiecki, sprawujący władzę cywilną nad południową częścią powiatu puławskiego. Zainstalował się tu również *Arbeitsamt*, w którym urzędowało dwóch renegatów ze Śląska. Proces infiltracji Opola Lubelskiego i sąsiednich gmin przez Niemców postępował z biegiem czasu. W końcu r. 1941 wywłaszczono większość majątków i obsadzono je bądź przez *treuhänderów*, bądź, jak Kluczkowice, przez formację *SS*. Na terenie ziemi opolskiej stacjonowały obok stałych placówek cywilnych i wojskowych mniej lub bardziej liczne oddziały wojskowe. Prawdziwy najazd zielonych mundurów przeżyliśmy w latach 1940—1941. Bezpośrednio po zakończeniu kampanii we Francji przerzucono liczne pułki *Wehrmachtu* do Generalnej Guberni. Większość majątków zajęto na kwatery. Dla żołnierzy wybudowano solidne baraki, oficerów zaś umieszczono w budynkach dworskich. W maju 1941 roku byliśmy świadkami koncentracji ogromnych sił, przygotowujących się do napaści na Związek Radziecki. Na drogach prowadzących do Opola Lubelskiego panował niespotykany ruch. Liczne kolumny samochodów ciężarowych z żołnierzami w pełnym uzbrojeniu i ze sprzętem wojennym, pojazdy konne, broń pancerna i działa różnych typów tarasowały drogę.

Nawet po agresji hitlerowskiej na Związek Radziecki i przerzuceniu głównych sił na wschód Niemcy nie dawali nam spokoju. Opole Lubelskie, będące siedzibą władz południowej części powiatu puławskiego, stale było nawiedzane przez przedstawicieli *Herrenvolku*. Częstym gościem była tu żandarmeria z Puław i Lublina, zaglądało gestapo i urzędnicy ze starostwa oraz dystryktu, troszczący się o to, aby z tego terenu wycisnąć jak najsprawniej i jak najwięcej zboża, mięsa i innych produktów rolnych. Co pewien czas zjawiali się przedstawiciele *Arbeitsdienstu*, urządzający przymusowy pobór młodzieży i *Arbeitsamtu* z Puław z nowymi zleceniami dla miejscowej placówki, gdyż zapotrzebowanie robotników dla Rzeszy stale rosło.

Również nie pozostawiono w spokoju szpitala, w którym pracowałem. Ciągle zaglądali tu wysłannicy starostwa, przeważnie Niemcy lub Ukraińcy, „landkomisarz" i żandarmi. Spokój zapanował po wybuchu epidemii duru wysypkowego. Niemcy w tym czasie przezornie unikali szpitala. Na widok tablicy z napisem *Flecktyphus* hardzi Niemcy miękli, tracili pewność siebie i szybko się wycofywali.

Jakkolwiek życie zmusiło nas do utrzymywania w pewnym niewielkim zakresie stosunków z władzami niemieckimi, to jednak mowy nie było o jakiejkolwiek współpracy. Przeciwnie, staraliśmy się w miarę możności bojkotować zarządzenia urzędowe i działać na szkodę okupanta. Jako lekarz szpitala oraz ośrodka zdrowia, w którym dodatkowo pracowałem, byłem niejednokrotnie wzywany do oceny stanu zdrowia ludzi wysyłanych na roboty do Niemiec. Część tych ludzi udało mi się uratować od wywozu, wydając im „naciągane" świadectwa lekarskie z rozpoznaniem jaglicy lub gruźlicy płuc.

Okazję do działania na szkodę Niemców miałem w komisjach lekarskich podczas poboru młodzieży polskiej do *Arbeitsdienstu*, który odbywał się raz w roku w ośrodku zdrowia w Opolu Lubelskim. Na każdej komisji udało mi się uwolnić co najmniej kilkunastu zupełnie zdrowych młodzieńców. Zamiast wysługiwać się najeźdźcom, mogli oni wrócić do

domu i pomagać w gospodarstwie rodzicom, niejednokrotnie starym i niedołężnym.

Mieszkańcy Opola Lubelskiego, podobnie jak całe społeczeństwo polskie, szybko otrząsnęli się z przygnębienia wywołanego klęską Francji i nieustannym pasmem sukcesów niemieckich i nie wątpili o ostatecznym zwycięstwie słusznej sprawy. Młodzież niecierpliwiła się i rwała się do czynu. Coraz żywszą działalność zaczęły przejawiać organizacje podziemne skupiające patriotów zdecydowanych na wszystko. Pod koniec r. 1941 zjawił się u mnie przedstawiciel Związku Walki Zbrojnej i zaproponował mi wstąpienie do szeregów tej organizacji. W odpowiedzi uścisnąłem mu mocno dłoń. Wkrótce zaprzysiężono mnie i zapoznano z czekającymi na mnie zadaniami, które miały polegać głównie na udzielaniu pomocy lekarskiej członkom podziemia. Związek Walki Zbrojnej, do którego wstąpiłem, po pewnym czasie przemianowano na Armię Krajową.

Wstępując do tej organizacji nie interesowałem się programem politycznym i społecznym. Wystarczyła mi świadomość, iż głównym zadaniem jej jest walka z Niemcami. Wychodziłem z założenia, że ustrój polityczny i społeczny Polski jest sprawą przyszłości i że po odzyskaniu niepodległości naród wybierze sobie najbardziej odpowiednią formę. Osobiście, podobnie jak większość młodych lekarzy, byłem zwolennikiem reform społecznych i hołdowałem poglądom postępowym.

Odtąd moja działalność antyniemiecka miała charakter zorganizowany. Na zlecenie moich zwierzchników wystawiałem świadectwa lekarskie, zwalniające ludzi wskazanych przez organizację od świadczeń na rzecz *Arbeitsamtu* lub *Arbeitsdienstu*. W miarę nasilenia akcji zbrojnych przeciwko Niemcom wzywano mnie coraz częściej do rannych żołnierzy podziemia. Byli oni poumieszczani w gajówkach, leśniczówkach lub stodołach. Stan ich zdrowia niejednokrotnie wymagał zabiegów chirurgicznych, które musiałem wykonywać w warunkach prymitywnych. Najczęściej usuwałem z ran pociski i odłamki granatów. Zdarzały się jednak i amputacje kończyn. Przypominam sobie młodego studenta Politechniki Warszawskiej ze strzaskaną kulami kończyną dolną, którą zmuszony byłem odjąć w narkozie eterowej. Ze względu na obowiązek zgłaszania żandarmerii wszystkich przypadków zranień bronią palną leczonych w szpitalu nie można było umieszczać tam rannych. Zresztą szpital pozostawał pod stałą inwigilacją niemiecką. Niemniej jednak w przypadkach wymagających interwencji chirurgicznej w warunkach szpitalnych ryzykowaliśmy i umieszczaliśmy rannych w opolskiej lecznicy.

Pomocy lekarskiej nie ograniczałem do żołnierzy Armii Krajowej. Opatrywałem żołnierzy Batalionów Chłopskich i członków ugrupowań lewicowych. W przypadkach wymagających poważniejszych zabiegów chirurgicznych zwracałem się do mego dyrektora (od r. 1943) Szpitala dr *Juliana Tomaszewskiego*, który jakkolwiek nie był członkiem AK, to jednak udzielał jak najdalej idącej pomocy partyzantom.

Niekiedy przeżywaliśmy szczególnie dramatyczne chwile. W ostatnim roku wojny przywieziono do szpitala młodego człowieka z przestrzeloną nogą (jak mi wiadomo, członka Armii Ludowej). Następnego dnia żandarmi umieścili w naszym szpitalu *volksdeutscha* w mundurze z uszkodzoną przez kulę kością ramieniową. Po poprawie stanu zdrowia odbywał on spacery w ogrodzie szpitalnym. W czasie jednego ze spacerów zajrzał przez okno na parterze sąsiedniego pawilonu i na łóżku ujrzał człowieka z unieruchomioną kończyna dolną, w którym rozpoznał sprawcę strzałów do niego. Natychmiast wszczął alarm i zawiadomił żandarmerię o swoim spostrzeżeniu. Na szczęście żandarmi byli zajęci innymi pilniejszymi sprawami i tego dnia nie zjawili się w szpitalu. Ta okoliczność uratowała partyzanta. Uprzedzeni przez nas o grożącym niebezpieczeństwie koledzy rannego wykradli go w nocy ze szpitala i ukryli w bezpiecznym miejscu. Następnego dnia rano przekazaliśmy żandarmerii wiadomość o zniknięciu rannego wśród zagadkowych okoliczności. Przez pewien czas obawialiśmy się represji niemieckich, ale na szczęście o sprawie tej zapomniano.

W kilka tygodni później znowu przeżyliśmy chwile grozy. Któregoś wiosennego dnia r. 1944, wychodząc z pawilonu chirurgicznego po obchodzie porannym, zastałem przed kostnica zbiegowisko, które wywołał pomocnik stróża, młody chłopak, niedawno przyjęty do pracy. Robiąc porządki w kostnicy zajrzał przez ciekawość do szuflady stołu sekcyjnego i znalazł tam dwa chlebaki wypełnione nabojami karabinowymi. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, podzielił się sensacyjną wiadomością z pozostałą służbą szpitalną, a co gorzej, z osobami przypadkowo znajdującymi się na terenie szpitala. Nie ulegało wątpliwości, że wiadomość o odkryciu dotrze do żandarmów. Należało się więc liczyć z rewizja na terenie szpitala, która mogła doprowadzić do odkrycia innych skrytek z bronią i amunicją.

Trzeba było działać natychmiast. Po naradzie z dyrektorem zawiadomiłem o zajściu komendanta policji granatowej, wachmistrza *Sorokę*, który w przeciwieństwie do niektórych swoich kolegów był sympatykiem ugrupowań podziemnych i z nimi czynnie współpracował. Wachmistrz *Soroka* nie zawiódł naszych nadziei i wybawił szpital z opresji. Przybył natychmiast do szpitala i zabrał chlebaki z nabojami na posterunek, skąd zawiadomił żandarmerię niemiecką o fakcie znalezienia na łąkach za szpitalem porzuconej amunicji. Tym razem również udało nam się, gdyż żandarmi, przygnębieni klęskami na froncie wschodnim, przejawiali mniejszą gorliwość w spełnianiu swoich obowiązków aniżeli w okresie poprzednim. Dla uniknięcia w przyszłości podobnych sytuacji przeprowadziliśmy dochodzenia w związku z tymi wydarzeniami. Okazało się,

że intendent szpitala, również należący do AK (o czym nie wiedziałem), poukrywał na terenie szpitala w różnych, rzekomo pewnych skrytkach broń i amunicję, którą musieliśmy przenieść do innych schowków.

Działalność moja jako lekarza podziemia nie uszła uwagi Niemców, którzy mieli swoich konfidentów donoszących im o wszystkim, co się działo w Opolu Lubelskim i okolicy. Jesienią r. 1943 ostrzeżono mnie, że moje nazwisko umieszczone jest na liście osób podejrzanych o wrogą działalność i że grozi mi aresztowanie. Informacji tej nie zlekceważyłem i postanowiłem mieć się na baczności. Spałem na poddaszu, opatulony w burkę i zagrzebany w sianie. Przyjemny zapach traw i ziół upajał i usypiał. Nie narzekałbym, gdyby nie szczury, których nie brakowało w szopie. Wstrętne gryzonie, niektóre wielkości małych kotów, łaziły po mnie i obwąchiwały nieproszonego gościa. Po pewnym czasie przyzwyczaiły się do mnie i pozostawiły w spokoju. Któregoś ranka w chwili, gdy zamierzałem spuścić drabinę, aby zejść ze strychu, zauważyłem kilku żandarmów zbliżających się gęsiego z bronią gotową do strzału. Struchlałem sądząc, że przyszli po mnie. Odetchnąłem swobodniej dopiero wtedy, kiedy patrol minąwszy szopę, skierował się na przylegające do szpitala łąki. Wkrótce wyjaśniła się zagadka dziwnego zachowania się Niemców. Tejże nocy wylądowali w pobliżu miasta spadochroniarze zrzuceni przez samoloty radzieckie. Po dotarciu wiadomości o skoczkach radzieckich do posterunku żandarmerii, Niemcy rozpoczęli gorączkowe przeszukiwanie terenów podmiejskich. Na szczęście wysiłki ich spełzły na niczym.

W parę dni później przeżyłem wraz z mieszkańcami Opola Lubelskiego jeszcze bardziej denerwujące chwile. Wkrótce po śniadaniu wpadł do szpitala łącznik i przyniósł wiadomość o zakrojonej na dużą skalę obławie niemieckiej. Jeszcze bardziej denerwującą wiadomość przekazał mi stróż szpitalny, *Władysław*, który właśnie wrócił z miasta. Z jego relacji wynikało, że żandarmi spędzili grupę mężczyzn i zmusili ich do kopania dużego dołu w sąsiedztwie rynku. Wiadomość ta utwierdziła mnie w przekonaniu, że miastu grozi nieszczęście i że należy się liczyć z egzekucjami. Przez chwilę poddałem się panice, ale po paru minutach odzyskałem równowagę i zacząłem się zastanawiać nad możliwościami wydostania się z pułapki. Po krótkim namyśle postanowiłem przedrzeć się łąkami za szpitalem do stawów i tam ukryć się w trzcinach. Niestety, spóźniłem się o parę minut. Nie udało mi się dobiec do szuwarów przed nadejściem tyraliery niemieckiej. Żołnierze, zauważywszy mnie, oddali na postrach kilka strzałów. Kule bzyknęły nad moją głową. Cofnąłem się i ukryty za torem kolejowym pobiegłem w stronę dworca. Na szczęście tory były zapchane załadowanymi burakami przeznaczonymi dla cukrowni. Za tą zasłoną przedostałem się niezauważony przez moich prześladowców na teren cukrowni i ukryłem się za kopą siana ustawioną pod murem.

Przesiedziałem tam do wieczora, a następnie o zmroku opuściłem schronienie i wróciłem do szpitala, gdzie przekazano mi szczegóły dotyczące ostatnich wydarzeń. Okazało się, że wyprawa niemiecka na Opole Lubelskie miała na celu wyłapanie młodzieży na roboty do Niemiec. Łapankę przeprowadzono z ogromnym rozmachem. Przetrząśnięto wszystkie mieszkania, strychy, piwnice i komórki. W rezultacie wywieziono kilkudziesięciu młodzieńców i grupę dziewcząt do Lublina, a stamtąd do *Reichu*. Dół, który napędził ludności strachu, nie miał żadnego związku z akcją niemiecką i był przeznaczony na ziemniaki dla posterunku żandarmerii.

W ostatnim roku okupacji byłem świadkiem niezwykłego zjawiska, którego istoty nie byłem wówczas w stanie wytłumaczyć. Pod koniec kwietnia, wracając wieczorem ze szpitala do domu, zauważyłem wyraźne poruszenie wśród przechodniów. Ludzie zatrzymywali się, zadzierali głowy i przyglądali się z zainteresowaniem niebu. Kiedy poszedłem za ich przykładem, zauważyłem na dużej wysokości mały, wydłużony przedmiot kształtu cygara, wolno szybujący w przestworzach. Po chwili dał się zauważyć silny błysk, pojazd powietrzny pomknął przed siebie i po chwili znikł za horyzontem. Osobiście odniosłem wrażenie, że była to próba nowego wojskowego aparatu latającego. Zjawisko to było różnie komentowane przez mieszkańców Opola Lubelskiego.

W tydzień później mieszkańców naszego miasteczka zbudził w nocy potężny huk, od którego zadrżały szyby. Rano rozeszła się pogłoska, że w lasku oddalonym od Opola Lubelskiego o 2 km spadł samolot niemiecki i eksplodował. Na miejsce eksplozji przybył z Lublina oddział żandarmów i otoczył lasek kordonem. Żandarmi przetrząsnęli starannie zagajnik, pozbierali szczątki i zabrali ze sobą.

Później okazało się, że oba te wypadki były powiązane z sobą. Były to pierwsze próby nowej broni niemieckiej V-1. Niemcy mieli w lasach na terenie południowych powiatów województwa lubelskiego wyrzutnie rakietowe, z których startowała *wunderwaffe*.

Na wiosnę r. 1944 wobec nieustającego naporu armii radzieckiej i ustawicznego „planowego" cofania się oddziałów niemieckich nie ulegało już żadnej wątpliwości, że klęska hitlerowców jest nieunikniona. Od połowy czerwca słyszało się wieczorami cichy grzmot dział od strony Bugu, który nasilał się z każdym dniem. W związku ze zbliżaniem się frontu i prawdopodobieństwem mobilizacji oddziałów AK, mających uderzyć na cofających się Niemców, polecono mi przygotować większy zapas materiału opatrunkowego i leków. W tym celu wybrałem się 17 lipca na parę dni do Warszawy. W tym czasie ruszyła ofensywa radziecka i front w ciągu trzech dni przesunął się znad Bugu na prawy brzeg Wisły.

Moje próby powrotu do Opola Lubelskiego

spełzły na niczym. Nie mogąc dostać się do domu drogą przez Dęblin, usiłowałem sforsować Wisłę od zachodu na wysokości Radomia i Zwolenia. Niestety, zamiaru tego nie udało mi się zrealizować. Piechota niemiecka zdążyła już zająć pozycje na lewym brzegu rzeki i nikogo nie przepuszczała na wschód. Po dwóch tygodniach pobytu u dr *Papuzińskiego* w Ciepielowie, który gościł mnie nadzwyczaj serdecznie, stało się jasne, że front utrwalił się na dłuższy czas. Wówczas cofnąłem się do Radomia i odszukałem mojego kolegę, dr *Konrada Vietha*, który udzielił mi daleko idącej pomocy. Po paru dniach w zaufaniu przyznał mi się, że jest lekarzem AK obwodu radomskiego.

W połowie sierpnia *Konrad* przyniósł mi wiadomość o zamierzonej koncentracji oddziałów AK mających ruszyć na odsiecz Warszawy. Poprosiłem go o skierowanie do tych oddziałów w charakterze lekarza. Na wiosek dr *Vietha* dowództwo okręgu radomsko-kieleckiego AK przydzieliło mnie do 72 pułku piechoty leśnej i poleciło udać się do lasów przysuskich, w których pułk ten miał się formować. Korzystając z punktów kontaktowych, dotarłem po dwóch dniach, bez godnych uwagi wydarzeń, do niewielkiego osiedla pod Skrzynnem, gdzie musiałem przeczekać pięć dni. Po nawiązaniu kontaktu z dowództwem zgrupowania przysłano po mnie łączniczkę, która doprowadziła mnie do skraju obszaru leśnego i oddała w ręce patrolu partyzanckiego. W towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy AK podążyłem do miejsca postoju 72 pułku. Po przebyciu 3 km ukazały się pola orne, a na nich, na zboczu niewielkiego wzniesienia porozrzucane wiejskie chałupy. Były to Gałki, w których kwaterował zimą 1939/40 roku mjr *Henryk Dobrzański*, pseud. *Hubal*, urodzony w r. 1896, w latach międzywojennych znany sportowiec w zawodach hippicznych, pierwszy polski partyzant ostatniej wojny.

Mimo woli cofnąłem się myślami do niezwykłej historii tego nieustraszonego człowieka, który niestety swego bezgranicznego patriotyzmu nie umiał połączyć z realizmem politycznym. We wrześniu 1939 roku, kiedy inni pogodzili się z klęską i koniecznością zdjęcia munduru, on postanowił dalej walczyć. Na czele swojego oddziału sformowanego 23 września z takich samych, jak on straceńców, krążył przez siedem miesięcy po lasach spalskich, świętokrzyskich i przysuskich, ścierał się z Niemcami i zadawał im ciężkie straty, np. 30 marca 1940 roku pobił ich we wsi Huciska koło Końskich. W końcu, osaczony przez dwie dywizje niemieckie, poległ 30 kwietnia 1940 roku w lasku opodal Anielina. Rozbestwieni żołdacy, mszcząc się na poległym za dotychczasowe niepowodzenia, rzucili ciało zmarłego na wóz z gnojem. Jednak nie wszyscy Niemcy ulegli szaleństwu. Dowódca sił niemieckich rzuconych przeciwko hubalczykom, gen. *Blaskowitz*, zdobył się na niebywały jak na żołnierza niemieckiego gest. Na widok powalonego bohaterskiego przeciwnika zatrzymał auto, stanął przed ciałem majora *Hubala* na baczność i zasalutował. Na rozkaz *Blaskowitza* przeniesiono zwłoki do samochodu i wyprawiono poległemu żołnierski pogrzeb. Na krzyżu wzniesionym na grobie podobno wyryto na rozkaz *Blaskowitza* napis: *Hier liegt ein Held* (Tu leży bohater). Pozostali przy życiu hubalczycy walczyli jeszcze do 25 czerwca 1940 roku pod dowództwem *Marka Szymańskiego*, po czym przeszli do konspiracji w różnych organizacjach.

Rozmyślając o hubalczykach wkroczyłem do Gałek. Rzuciły mi się w oczy prowizoryczne budynki, postawione na zgliszczach dawnych domostw, spalonych przez Niemców w r. 1940 po odejściu oddziału *Hubala*. Na podwórzach gospodarstw krzątały się kobiety i dzieci w różnym wieku. Zwróciłem uwagę na brak mężczyzn. Niebawem dowiedziałem się okrutnej prawdy. Gałki drogo odpokutowały swą patriotyczną postawę i gościnę udzieloną hubalczykom. Niemcy zemścili się na mieszkańcach w bezprzykładnie bestialski sposób, mordując wszystkich mężczyzn.

Po przybyciu do Gałek zgłosiłem się do sztabu zgrupowania. Przyjął mnie adiutant dowódcy 72 pułku, ppor. *Delfin*, który zajął się mną bardzo troskliwie. Po krótkiej rozmowie skierował mnie na kwaterę i polecił przekazać zapasy leków, narzędzia chirurgiczne, pozostały sprzęt lekarski oraz materiał opatrunkowy. Tegoż dnia po południu przyjął mnie dowódca pułku mjr *Stefan*, który poinstruował mnie o zakresie moich obowiązków na stanowisku lekarza pułku.

Siedemdziesiąty drugi pułk piechoty leśnej liczył w chwili mego przybycia około 700 żołnierzy i 20 oficerów. Była to przeważnie młodzież w kwiecie wieku. Wielu chłopców miało za sobą podchorążówkę konspiracyjną. Oficerowie rekrutowali się częściowo z wojskowych zawodowych, a częściowo z rezerwy. Wszyscy promieniowali wiarą w rychłe zwycięstwo nad Niemcami. Pułk sformował się z małych grup partyzanckich działających od dłuższego czasu w różnych okolicach ziemi radomskiej i z oddziałów świeżo mobilizowanych.

Dawnym partyzantom trudno było podporządkować się rozkazom nowych przełożonych. Z trudem znosili ograniczenie swobody, podobnie jak rumak stepowy buntuje się, kiedy nakładają nań wędzidło i siodło. Młodzi zapaleńcy kipieli energią i rwali się do czynu. Nie mogli zrozumieć, dlaczego mają wstrzymywać się od akcji przeciwko Niemcom w czasie patrolowania skraju lasu, kiedy to zwierzyna sama wpadała im w ręce. Mam tu na myśli samochody nieprzyjaciół przejeżdżające szosą Radom—Opoczno. Trudno było ich przekonać, że w okresie formowania pułku istniała konieczność zachowania spokoju i niezwracania na siebie uwagi Niemców.

Oficerowie dokładali starań, aby w jak najkrótszym czasie stworzyć pełnowartościową jednostkę o dużej sprawności bojowej. Dużo czasu poświęcano na ćwiczenia, wykłady, musztrę, przegląd i kompletowanie broni oraz

ostre strzelanie. Uzbrojenie było raczej skromne. Mieliśmy kilka ckm-ów, kilka lkm-ów, trzy piaty, kilkanaście pistoletów maszynowych typu Sten i Bergman, sporo karabinów, niezgorszy zapas granatów głównie własnej produkcji oraz amunicji. Broni nie starczyło dla wszystkich. Osobiście nie mogłem się doczekać broni bocznej. Dowództwo uważało, że nie jest ona potrzebna lekarzowi.

Czas w Gałkach upływał szybko. Zajęty czynnościami lekarskimi, szybko straciłem rachubę czasu. W izbie przyjęć, którą urządziłem w mojej kwaterze, udzielałem codziennie kilkanaście porad. Najwięcej było chorób skórnych. Wielu żołnierzy zgłaszało się z czyrakami, wypryskami, bąblami i oparzeniami stóp wskutek noszenia niedopasowanych butów. Nie brak było również przypadkowych skaleczeń wymagających opatrunku. Z moich porad korzystali również mieszkańcy Gałek.

Odżywianie nie było nadzwyczajne. Na śniadanie podawano chleb ze smalcem i kawą zbożową z cukrem, na obiad krupnik lub kartoflankę, a na drugie danie mięso wołowe lub baranie z ziemniakami. Wieczorny posiłek składał się z kaszy, chleba i kawy. Odczuwaliśmy brak jarzyn i owoców. Natomiast nie potrzebowaliśmy uskarżać się na brak wody. Studnie dostarczały doskonałej wody pitnej, a przepływający w dolinie strumyk wykorzystywaliśmy do mycia się. Dokładałem starań, aby nie dopuścić u żołnierzy do wszawicy. W tym celu robiłem przeglądy odzieży i bielizny, którą w razie potrzeby poddawało się gotowaniu.

Przez dziesięć dni mieliśmy zupełny spokój ze strony Niemców, którzy jak gdyby udawali, że nas nie spostrzegają, jakkolwiek nasze patrole dwukrotnie, mimo surowego zakazu dowództwa, ostrzelały przejeżdżające obok lasu samochody niemieckie. Niedługo jednak cieszyliśmy się spokojem. Wkrótce Niemcy rozpoczęli wielką akcję, mającą na celu oczyszczenie zaplecza frontu z oddziałów partyzanckich. Piętnastego lipca doniesiono nam o koncentracji dookoła lasów przysuskich silnych oddziałów niemieckich w sile jednej dywizji. Ogłoszono stan alarmowy i wzmocniono warty. Mjr *Stefan* zakazał rozbierać się na noc i polecił nie rozstawać się z bronią.

Około godziny drugiej w nocy obudziła nas bliska strzelanina, która wkrótce ucichła. Dowódca pułku, nie mając już najmniejszych złudzeń co do zamiarów Niemców, zarządził nad ranem alarm bojowy. Na drodze przed budynkiem dowództwa stanęły trzy bataliony poruczników *Zrywa*, *Cypriana* i *Wióra* w sile około 650 ludzi. Komendant zwołał krótką odprawę dowódców kompanii i po omówieniu sytuacji ustalił plan obrony. W wypadku przełamania naszych linii przez przeważające siły wroga i wdarcia się do Gałek, z czym należało się poważnie liczyć, mjr *Stefan* przewidział wycofanie się oddziałów do strefy położonej w głębi lasu, wyznaczonej w czasie ćwiczeń aplikacyjnych, przeprowadzonych uprzednio przez ppor. *Delfina*. Wkrótce oddziały wymaszerowały na wyznaczone pozycje.

O świcie mjr *Stefan* wezwał mnie do siebie i polecił przygotować się na przyjęcie rannych. Licząc się z możliwością ewakuacji ambulatorium w głąb lasu, załadowaliśmy większość sprzętu sanitarnego, materiałów opatrunkowych i leków na wóz, który zaprzężony w konie czekał w pogotowiu.

Z pierwszym brzaskiem z dwóch stron odezwał się grzechot ciężkich karabinów maszynowych, przeplatany hukiem eksplodujących granatów ręcznych i pocisków z działek polowych, w które byli uzbrojeni nasi przeciwnicy. Odgłosy walki dochodziły także z sąsiedniej wsi, Stefanowa, w którym stacjonował 25 pułk piechoty leśnej. Pomimo wielokrotnej przewagi liczebnej i uzbrojenia wroga nasi odpierali wszystkie ataki i nie myśleli się cofać. Po pewnym czasie Niemcy uzyskali przewagę na jednym z odcinków linii walki. Jeden z naszych batalionów zarzucony lawiną pocisków został zepchnięty ze swoich pozycji. Na rozkaz dowódcy pułku por. *Cyprian* uderzył na Niemców swoim batalionem z boku i wyparł ich ze zdobytych pozycji. Cofnęli się oni na skraj lasu i przycichli.

Do punktu pierwszej pomocy zaczęli napływać ranni, u których stwierdziłem rany postrzałowe i szarpane od odłamków granatów kończyn i tułowia. Mieliśmy pełne ręce roboty. Mycie ran, opatrunki, zabiegi unieruchomienia kończyn na szynach, wstrzyknięcia środków znieczulających, nasercowych i bakteriostatycznych (prontosil, antystreptyna, septazyna), iniekcje surowicy przeciwtężcowej — oto czynności, które byliśmy w stanie wykonać w warunkach polowych. O laparotomii oczywiście w warunkach polowych nie było mowy. Uderzał bojowy nastrój rannych. Rozgrzani walką zapominali o cierpieniach. Wszyscy byli przekonani o pomyślnym dla nas przebiegu walki.

W południe Niemcy sprowadzili nowe siły i skomasowanym atakiem zmusili nasz pułk do cofnięcia się około godziny pierwszej do Gałek, a następnie do lasu położonego na południe od tej miejscowości. Odwrót dobrze utkwił mi w pamięci. Rannych załadowaliśmy na furmanki i wysłaliśmy w głąb lasu, a nasza ekipa sanitarna, składająca się z lekarza, tj. mnie, z sanitariuszki i sanitariusza, podążyła w kwadrans później w tym samym kierunku, już pod silnym ogniem niemieckich karabinów maszynowych i miotaczy granatów. Kule natrętnie bzykały koło uszu, a granaty z gwizdem padały obok nas. Udało się nam jednak bez szwanku dopaść do zbawczego lasu i schronić się za kamiennym murkiem, który otaczał szkółkę leśną.

Za nami biegli partyzanci z batalionu por. *Zrywa*. Zajęli oni pozycję na skraju lasu i zaczęli prażyć Niemców, ukrytych w zabudowaniach Gałek. Wkrótce potem rozpoczął się szturm na Stefanów. Mjr *Roman*, dowódca 25 pułku, zażądał posiłków. Na odsiecz pospieszył por. *Cyprian*. Wkrótce dały się słyszeć od strony Stefanowa głośne okrzyki „hurra". To

dzielni chłopcy z 25 pułku, prowadzeni przez mjr *Romana* z bergmanem w ręku, z niebywałą furią runęli na przeciwnika i zmusili Niemców do odwrotu.

Nad wieczorem strzały ucichły. Niemcy wycofali się na skraj lasu, a nasze oddziały 72 i 25 pułku po przegrupowaniu skupiły się w głębi lasu na z góry wyznaczonych pozycjach. Dowódcy batalionów i kompanii dokonywali przeglądu oddziałów, obliczali straty w ludziach, stan broni i zapasy amunicji. W toku walk straciliśmy łącznie z 25 pułkiem dwudziestu dwu żołnierzy, którym urządzono uroczysty pogrzeb. Ponadto czterech żołnierzy zaginęło. Rannych naliczyłem osiemnastu. Oba nasze pułki zdobyły na Niemcach 3 ckm-y, 7 lkm-ów, dwa samochody osobowe, 1 motocykl i 1 samochód pancerny. Straty niemieckie w ludziach, jak wynika z obserwacji ludności okolicznych wsi, która oglądała wycofujące się z lasu oddziały nieprzyjacielskie, były bez porównania większe od naszych. Napastnicy stracili około 150 żołnierzy i wywieźli z pola bitwy około 150 rannych.

Z uwagi na zaginięcie w czasie walk lekarza pułku piotrkowskiego, spadł na mnie obowiązek opatrzenia wszystkich rannych. W grupie tej u trzech stwierdziłem ciężkie postrzały jamy brzusznej. Stan ich był beznadziejny. Nie mogąc ich uratować, starałem się zmniejszyć cierpienia i pocieszyć. Morfina zrobiła swoje. Pozostali ranni trzymali się nieźle. Po opatrzeniu ran żartowali, przekomarzali się, opowiadali sobie nawzajem fragmenty ostatnich przeżyć i komentowali poszczególne epizody wydarzeń. Noc spędziliśmy pod gołym niebem. Z uwagi na dokuczliwy deszcz rozpięliśmy namiot dla rannych.

Przetrzebiony wróg pozostawił nas nazajutrz w spokoju. Nie mieliśmy jednak żadnych złudzeń co do jego dalszych zamiarów. Toteż na odprawie oficerów i dowódców obu pułków zapadła decyzja opuszczenia o zmroku lasów przysuskich i przebicia się do lasów białaczewskich pod Opocznem. Przed zmierzchem wysłano trzy kompanie do miejscowości Przysucha z poleceniem zaatakowania sił niemieckich tam skoncentrowanych, celem odwrócenia uwagi i odciągnięcia oddziałów przeciwnika od lasów przysuskich. Manewr ten spełnił swoje zadanie i umożliwił nam wydostanie się z lasu. Podczas akcji w Przysuchej dwóch chłopców zostało lekko rannych, jeden kulą w ramię, a drugi odłamkiem granatu w nogę. Na szczęście kości były nietknięte.

Po sformowaniu kolumny marszowej, bocznymi drogami, ruszyliśmy w kierunku lasów białaczewskich. Po trzech godzinach natknęliśmy się na tor kolejowy strzeżony przez posterunki niemieckie. Na kilometr przed nasypem kolejowym zatrzymano całą kolumnę. Wysłano jedną drużynę, która ubezpieczyła przejście przez tory, ustawiając na nasypie karabiny maszynowe. Forsowanie toru przez tabory (mieliśmy dwadzieścia wozów) wymagało pewnego czasu i nie mogło pozostać niezauważone przez Niemców. Ci jednak nas nie zaczepiali, obawiając się naszej przewagi.

Pomimo usilnego marszu brzask zastał nas w polu. Aby dostać się do lasu, musieliśmy przebyć trzy kilometry na otwartej przestrzeni. Wreszcie około godziny ósmej rano dotarliśmy do zbawczej ściany drzew. Na pierwszej polanie zatrzymaliśmy się wymęczeni, ale w zupełnie dobrym nastroju i odśpiewaliśmy „Kiedy ranne wstają zorze". Wkrótce potem wkroczyliśmy do małej osady Górki Niemojewskie, położonej wśród lasów białaczewskich i stanęliśmy na kwaterach. W jednej z chałup urządziliśmy szpital. Ranni pomimo nużącej podróży czuli się nadspodziewanie dobrze. Najbliższe dni wyzyskaliśmy na odpoczynek i na nieforsowne ćwiczenia. Na łączce obok mojej kwatery ćwiczyli ułani pod nadzorem doświadczonego kawalerzysty, chorążego wojsk polskich. Był to nasz zwiad konny. Patrząc na uśmiechniętych partyzantów, z zapałem wykonujących ćwiczenia, miałem przez chwilę wrażenie, że to podworzec koszar w czasie pokoju.

Nie mogłem narzekać na brak zajęcia. Ranni wymagali częstych opatrunków i starannej pielęgnacji. Ponadto stale zgłaszali się żołnierze z poobcieranymi w czasie forsownego marszu stopami i z czyrakami.

Sielanka nie trwała długo. Po pięciu dniach spokoju Niemcy zaczęli nam deptać po piętach. Późnym popołudniem zagrzmiały działka polowe i pociski zaczęły padać w las w pobliżu wsi. Natychmiast ogłoszono alarm bojowy. Zwiadowcy donieśli, że Niemcy gromadzą się pod lasem od strony Opoczna. Okazało się, że ścigali oni trzeci pułk piechoty z Kielc, który szukał schronienia w lasach białaczewskich. Dowództwo nasze wobec skąpych zapasów amunicji (w bitwie w Gałkach zużyliśmy większość nabojów i granatów) postanowiło uniknąć starcia z Niemcami. Dlatego też opuściliśmy Górki Niemojewskie późnym wieczorem. Po całonocnym marszu dotarliśmy nad ranem do lasów żarnowskich, gdzie biwakowaliśmy przez trzy dni. Następnie przerzuciliśmy się do Rucisk w powiecie koneckim.

W osadzie tej spotkaliśmy się z niewielkim oddziałem powstańców warszawskich, którzy po nieudanym ataku na lotnisko Okęcie przedostali się najpierw do Puszczy Kampinoskiej, a następnie próbowali przedrzeć się w Góry Świętokrzyskie. Dowódca oddziału, wysoki, barczysty porucznik miał obandażowaną nogę i lekko utykał. Po zdjęciu opatrunku stwierdziłem flegmonę prawego podudzia po zranieniu odłamkiem granatu. Po nacięciu ropnia i wyjęciu odłamka chory doznał ulgi i poczuł się lepiej. Następnego dnia zjawili się wysłannicy tamtejszego podobwodu AK, którzy zabrali naszych rannych wymagających leżenia, a wraz z nimi i rannego porucznika, na zakonspirowane kwatery.

Z Rucisk pomaszerowaliśmy w lasy szydłowieckie. Celem naszym była pewna gajówka, w której czekał na nas współpracujący z partyzantami gajowy. Poprowadził nas bocznymi

drogami leśnymi do małej osady. Następnego dnia rozpętała się w sąsiedztwie strzelanina, która po paru minutach ucichła. Po kwadransie zajechała przed moją kwaterę podwoda z silnie zakrwawionym żołnierzem w mundurze niemieckim o mongolskich rysach twarzy. Z relacji woźnicy-partyzanta wynikało, że nasz patrol wysłany po żywność natknął się w głębi lasu na grupę żołnierzy w mundurach niemieckich, którą zasypano kulami. Jeden z przeciwników został poważnie ranny w nogę. Wkrótce sytuacja się wyjaśniła. Okazało się, że grupa dawnych żołnierzy radzieckich z Azerbejdżanu, których Niemcy zwerbowali w obozie jenieckim, uciekła do lasu i tu próbowała nawiązać kontakt z partyzantami. Niestety, spotkanie to dla jednego z nich skończyło się niefortunnie. U rannego, który w czasie badania nawet nie skrzywił się i zaimponował mi ogromnym spokojem i opanowaniem, stwierdziłem postrzał kości udowej tuż nad kolanem. Nogę unieruchomiłem w szynie sięgającej do stawu biodrowego, a rany wlotową i wylotową zabezpieczyłem aseptycznym opatrunkiem.

Azerbejdżanów, do których nie mieliśmy zbytniego zaufania, przydzielono po dwóch do plutonów. Z biegiem czasu zaczęliśmy przekonywać się do nich. Byli oni nadzwyczaj karni, wytrwali i zawsze uprzejmie uśmiechnięci. Uderzała nadzwyczajna dbałość o broń, którą ustawicznie czyścili.

Po kilku dniach spokoju zasygnalizowano nam zbliżanie się silnych jednostek nieprzyjacielskich, przygotowujących obławę skierowaną przeciwko nam. Dowództwo nasze znowu stanęło na wysokości zadania i tym razem również na czas wyprowadziło oddziały leśnym duktem z lasu szydłowieckiego jeszcze przed zamknięciem się pierścienia wojsk niemieckich.

Sytuacja zaczęła się stawać wyraźnie niepokojąca. Liczne brygady *Wehrmachtu*, żandarmerii, oddziały *SS* i wojska pomocnicze na żołdzie niemieckim (Ukraińcy, Kozacy, Uzbecy i Mongołowie) tak gęsto obsadziły zaplecze frontu, że z każdym dniem malała swoboda ruchów grup partyzanckich. Niemcy ponawiali próby oczyszczenia lasów i nie dawali spokoju zarówno jednostkom walczącym, jak i ludności wiejskiej nastawionej patriotycznie. Wzmogły się represje w stosunku do mieszkańców wsi podejrzanych o sprzyjanie partyzantom. Sytuacja ludności wiejskiej stała się opłakana. Okupant, nie mogąc uporać się z uzbrojonymi członkami ruchu oporu, mścił się na bezbronnej ludności. Aresztowania masowe mężczyzn, deportacje oraz rozstrzeliwania i palenie dobytku odbywały się na porządku dziennym. Wieś znalazła się między młotem i kowadłem. Z jednej strony obowiązek patriotyczny, a z drugiej strony groźba utraty życia i mienia. Nic więc dziwnego, że wśród mieszkańców wsi wzdłuż trasy naszego przemarszu dawały się coraz częściej zauważyć objawy panicznego lęku.

Zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, która na nas ciąży, zaczęliśmy unikać postojów w obrębie wsi. Pozostałe dni naszej epopei spędziliśmy wyłącznie w lesie. Tu nocowaliśmy, cierpiąc dotkliwy chłód. Na dobitek złego pogoda nie dopisywała i deszcz zaczął nam dokuczać. Z zaopatrzeniem w żywność również było nie najlepiej. Celowość dalszego pobytu w lesie stanęła pod znakiem zapytania. Z dowództwa naszego zaczęły coraz częściej przeciekać do szeregów wiadomości o zamierzonej częściowej demobilizacji naszych oddziałów. Wkrótce dowódca oświadczył nam, że wobec opóźnienia się ofensywy radzieckiej, ogromnego nasilenia działalności wojsk niemieckich i żandarmerii na zapleczu frontu, wzmożenia represji w stosunku do ludności wiejskiej udzielającej nam pomocy i wreszcie zbliżania się zimy, dalsze utrzymywanie się zgrupowania nie znajduje uzasadnienia.

Mjr *Stefan* zarządził powrót w okolicę Radomia, gdzie miała nastąpić częściowa demobilizacja. Po dwóch dniach o świcie znaleźliśmy się w małym lasku między Guzowem a Wolanowem. W czasie śniadania rozległy się strzały, które poderwały nas na nogi. Zwiadowcy przynieśli wiadomość, że oddziały niemieckie przeprowadzają w pobliżu ostre strzelanie. Wydano rozkaz opuszczenia lasku i zarządzono ciszę. W południe Niemcy skończyli ćwiczenia i wrócili do kwater. Późnym popołudniem mjr *Stefan* zarządził zbiórkę pułku, na której przedstawił bez ogródek sytuację i zawiadomił o decyzji rozwiązania dwóch batalionów, a pozostawienia w lesie trzeciego pod dowództwem porucznika *Cypriana*. Większość partyzantów miała wrócić do domów, natomiast „spaleni" mieli być skierowani na kwatery konspiracyjne i pozostawać do dyspozycji Komendy Obwodu. Mnie zaliczono do tych ostatnich. Mjr *Stefan* polecił mi udać się razem z rannymi i z kompanią por. *Zrywa* na kwatery we wsi Soszyn koło Skrzynnej. Przybyłych rozlokowano u zaufanych gospodarzy. Sierżant-szef ulokował się w gajówce. Mnie z chorymi i zastępcą dowódcy kompanii ppor. *Stefanem* wyznaczono kwaterę u jednego z większych gospodarzy. Zabudowania gospodarstwa położone były w małym lasku w pobliżu wsi.

Przez kilka dni odsypialiśmy trudy okresu leśnego. Wygodne łóżko, czysta pościel, ciepła izba i regularne ciepłe posiłki, a więc wszystko to, co stanowiło szczyt marzeń partyzanta, stało się naszym udziałem. Toteż na parę dni zapomnieliśmy o grożącym nam niebezpieczeństwie. Niemcy, którzy jak się później okazało, mieli niezły wywiad, rychło ustalili miejsce naszego postoju. Pod koniec listopada w nocy żandarmeria i gestapo otoczyły całą wieś i przeprowadziły szczegółową rewizję, w wyniku której aresztowano wszystkich partyzantów kwaterujących w chałupach. Na szczęście kilku z nich nocowało w gajówce i w ten sposób ocalało. Nasze gospodarstwo Niemcy pozostawili w spokoju, prawdopodobnie dlatego, że było ono ukryte w lasku i oddalone od wsi

o 300 metrów. Wypadki tej nocy przygnębiły mnie ogromnie. Ustawicznie stawały mi przed oczyma twarze uwięzionych i strąconych do lochów gestapo w Radomiu. W dwa dni później otrzymałem rozkaz przewiezienia rannych do małego miasteczka oddalonego o 15 km od Soszyna, skąd miano ich przetransportować na mniej znane Niemcom kwatery.

Wkrótce spotkało nas nowe nieszczęście. W tydzień po obławie niemieckiej ppor. *Stefan* został wezwany do Radomia, dokąd wybrał się bryczką. W mieście został rozpoznany przez konfidenta. Zawiadomiona żandarmeria wysłała w pogoń ciężarowe auto z uzbrojonymi żołnierzami. Dopadli oni zbiegów w połowie drogi między Radomiem i Skrzynnem, skuli i oddali w ręce gestapo.

Opóźniający się powrót współtowarzysza wzbudził mój zrozumiały niepokój. Około godziny 21 zjawił się łącznik i opowiedział o aresztowaniu ppor. *Stefana*. Polecił mi natychmiast opuścić zajmowaną kwaterę, gdyż jak oświadczył, należało się liczyć z rychłą wizytą gestapo. Szybko spakowałem najbardziej niezbędne przedmioty osobistego użytku, trochę leków, narzędzi i materiału opatrunkowego i ruszyłem w lodowatym deszczu przed siebie. Skierowałem się w stronę lasu i usiłowałem znaleźć osłonę od deszczu. W czasie marszu przez pole natknąłem się na stertę żyta. Zatrzymałem się i postanowiłem urządzić sobie tutaj legowisko. Tuż nad ziemią wygrzebałem w ścianie sterty niewielką jamę, do której udało mi się wpełznąć. Mimo dotkliwego zimna natychmiast zasnąłem i spałem aż do rana. O świcie wysunąłem głowę ze schronienia. Nie widząc nic podejrzanego, opuściłem stertę i skierowałem swe kroki do pobliskiego lasu. Odszukałem gajówkę, lecz niestety nikogo z naszych tam nie zastałem.

Nad wieczorem zjawił się szerżant-szef z sześcioma partyzantami. Po ogłoszeniu alarmu cała grupa opuściła gajówkę i schroniła się w lesie. W chwilę potem nadszedł por. *Zryw* i zabrał mnie do swojej kwatery. Po kilku dniach dotarła do nas wiadomość o bohaterskiej śmierci ppor. *Stefana*. Przesłuchiwany w gestapo zeznał, że w lesie za Skrzynnem zakopana jest broń. Czterech gestapowców w asyście grupy żandarmów powiozło go na wskazane miejsce. Przez pół dnia wodził on Niemców po lesie udając, że ma trudności w odnalezieniu skrytki. Kto wie, czy więzień nie miał nadziei na odbicie przez naszych. Niestety, za późno dowiedzieliśmy się o wyprawie Niemców do lasu. Późnym wieczorem gestapowcy ze skutym ppor. *Stefanem* wracali do Radomia. W Skrzynnem zatrzymali się na chwilę przed gospodą. Trzech z nich weszło do restauracji, a czwarty z *bergmanem* w ręku pilnował więźnia. Ten, nie namyślając się długo, zdzielił przez głowę kajdankami gestapowca, wyrwał mu broń, zeskoczył z samochodu i popędził przed siebie. Zaalarmowani gestapowcy wypadli z gospody i zaczęli ostrzeliwać zbiega. Dzielny oficer dopadł do mostka nad strugą, oparł się o barierę i przyjął kulami nadbiegających Niemców. Jednego z nich położył trupem, a drugiego zranił. Niestety, i jego dosięgły kule. Zachwiał się, broń wypadła mu z bezwładnych dłoni i osunął się martwy na ziemię. Tak więc spełniło się jego życzenie, które niejednokrotnie wypowiadał w rozmowach ze mną, gdyż znalazł śmierć z bronią w ręku w walce z najeźdźcą.

Wkrótce uzyskałem parodniowy urlop, który wykorzystałem na poszukiwanie rodziny, wywiezionej z Warszawy. W tym czasie zjawiło się gestapo w gajówce i w mojej kwaterze. Ofiarą Niemców padło trzech chłopców z naszego oddziału, którzy nie zdążyli na czas wycofać się do lasu. Gestapowcy pilnie dopytywali się o mnie, podając dokładny rysopis. Spotkał ich jednak zawód i musieli się ograniczyć do skonfiskowania leków, materiału opatrunkowego i moich rzeczy osobistych. Po powrocie do Radomia mój zwierzchnik dr *Vieth* powiadomił mnie o poszukiwaniach gestapo i zakazał mi poruszać się po mieście. Wystarał mi się o mały pokoik na poddaszu w budynku RGO. W ciągu dnia przesiadywałem w domu, a późnym wieczorem wymykałem się do ogrodu, należącego do RGO, gdzie zażywałem ruchu. Na szczęście, nie musiałem się długo ukrywać. Pod koniec stycznia wojska radzieckie przełamały front i wkroczyły do Radomia. Opuściłem schronienie i rozpocząłem normalne życie. Zgłosiłem się do władz służby zdrowia. Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia w Lublinie powierzył mi stanowisko lekarza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Tomaszowie Lubelskim. W cztery miesiące później wysłano mnie na ziemie odzyskane, gdzie powierzono mi zadanie zorganizowania służby zdrowia na terenie powiatu Syców.

Jakkolwiek minęło przeszło dwadzieścia lat od opisanych przeżyć, to jednak dość często wracam myślami do walk prowadzonych z okupantem niemieckim. Z głębokim wzruszeniem i czcią wspominam tych uczestników konspiracji i walk partyzanckich, którzy w imię wolności ojczyzny złożyli największą ofiarę, na jaką człowiek może się zdobyć, a mianowicie ofiarę własnego życia.

„Cześć dla życia jest podstawą etyki lekarskiej, jest głównym źródłem emocjonalnym naszej służby życiu i zdrowiu człowieka".

W. Szenajch: Myśli lekarza. PZWL, Warszawa 1958, str. 75.

PIOTR WESEŁUCHA Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Mathausen-Gusen nr 43368

Niemcy
Wspomnienia z Działdowa, Dachau i Mauthausen-Gusen

Podczas lektury „Krzyżaków" Sienkiewicza czułem się jako chłopiec przytłoczony Niemcami, ich sposobem myślenia, postępowania, obłudą, tchórzostwem i okrucieństwem. Czytanie było dla mnie strasznym snem, który na szczęście można było łatwo przerwać, zakończyć.

Niemców właściwie nie znałem. W moim rodzinnym miasteczku było ich dwie albo trzy rodziny, ale przy mieszaninie różnych narodowości, z których składali się mieszkańcy i przy braku jakichkolwiek poważniejszych zgrzytów na tle narodowościowym nienawiść rasowa wydawała się nonsensem. W szkole średniej sytuacja była podobna. W gimnazjum im. T. Kościuszki w Słonimie Polacy, Żydzi, Białorusini, Rosjanie, Tatarzy, kilku Niemców — wszyscy tworzyli zwartą, przyjaźnie współpracującą rodzinę.

Nauczycielka języka niemieckiego *Elma Firguff-Tode* z entuzjazmem wpajała w nas przeświadczenie, że Niemcy, to naród Schillerów, Goethe'ów, Mozartów i Wagnerów. Pokazywała nam w albumach wspaniałe autostrady, obozy sportowe dla młodzieży niemieckiej, fabryki.

Obraz Niemca z „Krzyżaków" stawał się powoli coraz mniejszy, mniej prawdziwy. By w r. 1939 nagle, gwałtownie ożyć. Przeżycie aż bolesne, tak nieoczekiwanie, okrutnie realne. Kolumny motocyklowo-samochodowe pełne sztywno siedzących, w hełmach nasuniętych na oczy, najprawdziwszych Krzyżaków. Była to czołówka dywizji pancernej, która już 8 września chciała z marszu zdobyć Warszawę. Nasza obrona była krótka i mimo dysproporcji siły ognia na tyle skuteczna, że na kilka tygodni zatrzymała Niemców.

Dostałem się do niewoli, nasza kompania została bowiem okrążona i ostrzelana ogniem artylerii i karabinów maszynowych, a pozostałe niedobitki musiały się poddać. Po trzeciej w ciągu jednego miesiąca ucieczce z niewoli znalazłem się w *Polizei-Gefängnis*, Königsberg jako, jak to później określono w nakazie aresztowania (nb. okazanym mi w pół roku po aresztowaniu), „fanatyczny Polak".

Przed wywiezieniem do Dachau znalazłem się na okres 5—6 tygodni w Działdowie. Zorganizowano tam obóz przejściowy dla masowo zwożonych „przestępców". Niemcy dążyli do zlikwidowania tej części społeczeństwa polskiego, która odgrywała w nim jakąkolwiek wychowawczą czy przywódczą rolę. Nauczyciele, działacze społeczni i polityczni, księża, a często takie nic nie znaczące płotki jak ja, dostawali się w niemiecką sieć.

W Działdowie przeżyłem następny, kolejny wstrząs psychiczny. W dużej izbie koszarowej ulokowano nas na słomie rozsypanej na betonowej podłodze. W małej społeczności, jaką stanowiła kilkunastoosobowa grupa więźniów, powstała jeszcze mniejsza, nasza grupka: trójka chłopców ubrana w wojskowe, letnie mundury. Dwóch junaków i trzeci, uciekający z więzienia w Rawiczu młody więzień, który przebrał się w mundur wojskowy. Reszta odseparowała się od nas, dzieląc się nawzajem ciepłymi futrami, czapkami, szalami, swetrami itp. Mrozy były kilkunastostopniowe. Mimo że składaliśmy razem nasze bluzy mundurowe i przykrywaliśmy się nimi, przytuleni do siebie, to jednak było bardzo zimno. Mieliśmy odmrożone nosy, uszy, ręce i nogi. Na dodatek, mimo że byliśmy „chłodniejsi", na naszych ciałach i ubraniach zlokalizowała się większość wszy, a były ich całe armie.

Dostawaliśmy dziennie jedną pajdę chleba i miseczkę wodzianki na jakiejś kaszy. Może dlatego wystarczyło jednorazowe na dobę wyprowadzanie zbiorowe na komendę do latryny. Czasem dawano do naszej izby 3—4 miski repety. Gremium sali orzekło, że ponieważ my, „mundurowi" nie stanowimy żadnej wartości dla społeczeństwa, a poza tym i tak nam już mało zostało do życia, więc repeta zostanie podzielona między działaczy.

Głód jest straszny. Powoduje, że ginie gdzieś humanizm, etyka, miłość bliźniego. A może to tylko humaniści i ludzie wysoce etyczni nie stają się nigdy działaczami? Nie wiem. Boję się uogólnień, gdyż być może przemawia przeze mnie poczucie krzywdy.

Transportem przewieziono nas jako *Führergeschenk* 20 kwietnia 1940 roku do Dachau. Po wyładowaniu z pociągu zbliżaliśmy się w marszowej kolumnie do słynnego, pokazowego obozu koncentracyjnego. „Popatrzcie, to muszą być groźni przestępcy, ci w pasiakach. Chyba nas nie umieszczą razem z nimi. My, wybitne osobistości, jesteśmy przecież zakładnikami". Była to powszechna opinia w szeregach. Weszliśmy do obozu przez bramę, nad którą umieszczono ogromny napis: *Arbeit macht frei.* Na dachu jakiegoś dużego budynku, zdaje się łaźni, znów napis ogromnymi, białymi literami: *Es gibt nur einen Weg zur Freiheit. Seine Meilensteine heissen: Nüchtern, sauber, fleissig und Liebe zum Vaterland.* Ładne rzeczy, bo właśnie za miłość do ojczyzny idę do „lagru".

W łaźni „dokumentne" strzyżenie, kąpiel, jakiś królewsko-bawarski, specjalnie na więziennie udrapowany mundur, numer 3771,

zdjęcia do albumu przestępców. Ponieważ ważyłem wówczas niewiele więcej ponad 40 kg, nie miałem siły na dopędzenie świetnie znającej język niemiecki grupy, z którą przyjechałem, podobnie zresztą, jak moi dwaj mundurowi przyjaciele. Dokopano nas do jakiejś kolumny więźniów, zaprowadzono do baraku, zdaje się nr 18. Ho, ho! Jaki barak! Jadalnia, szafki na menażki, sypialnia, na kocach i poduszkach pokrowce w kratkę.

Wyczerpani usiedliśmy na podłodze w kącie jadalni, aż tu nagle wpadł jakiś więzień w pasiaku z czerwonym „winklem" (później dowiedzieliśmy się, że był to Niemiec, polityczny, komunista, jakich wielu siedziało w Dachau) i wrzasnął po niemiecku, by ze stojących na stołach pudeł wypakowywać menażki i łyżki i wkładać je do szafek. Ponieważ nikt nie zareagował, bo jak się okazało, nikt tu nie znał niemieckiego, zaczął najbliższych obdzielać kuksańcami. Ja, który wówczas byłem już nieźle oblatany w niemieckim, ożyłem i zabrałem się do wyładowywania menażek. To był moment zwrotny w mojej karierze więźnia, bo zostałem tłumaczem. Dostawałem czasem pół menażki repety i nie musiałem przez cały dzień ćwiczyć w bardzo silnym wówczas słońcu. Kwarantanna polegała bowiem na stałej mustrze.

Za miesiąc odesłano całą tzw. inteligencję do Mauthausen-Gusen. Przez niedopatrzenie i ja tam wylądowałem. Przybyliśmy 25. V. 1940 r. o północy po sześciu kilometrach marszobiegu. Po drodze zastrzelono kilku maruderów, co stworzyło odpowiedni nastrój w szeregach. Ustawieni na placu apelowym, otoczeni wrzeszczącymi esesmanami i dziesiątką ich wilczurów, oświetleni reflektorami, a sami nic nie widzący, przypominaliśmy nieco pierwszych chrześcijan na arenach cyrków w starożytnym Rzymie. I gdy znowu rozległ się wrzask: *Dolmetscher!* — koledzy, szczęśliwi, że to nie oni muszą, wypchnęli mnie przed szereg. „Tłumacz" przylgnął do mnie. Przez kilka tygodni wywrzaskiwałem nazwiska i imiona więźniów przybywających w kolejnych transportach. Przy okazji informowałem ich w imieniu *Lagerführera*, że „komin krematorium stanowi jedyną dla nich drogę do wolności".

Pewnego dnia *Lagerführer* zauważył, że jakoś nieszczególnie wyglądam i polecił zatrudnić mnie w kuchni obozowej. Był to następny zwrotny moment w moim życiu więźnia. Przestałem być głodny, a nawet mogłem pomagać dość licznej grupie przyjaciół.

Bardzo podtrzymywały nas na duchu tzw. *Scheissparole*. Ktoś widział wagony przygotowane już do zawiezienia nas do domu. Ktoś inny słyszał, że sporządza się spisy więźniów, którzy mają być zwolnieni. I tak mijały dni i tygodnie, a większość nas już kończyła się fizycznie. Stan psychiczny, nadzieja na jakieś cudowne rozwiązanie pomagała, ale coraz słabiej. Ludzie zaczęli puchnąć, pojawiły się obrzęki głodowe. W tym stanie uczucie głodu było nieco mniejsze, ale wszyscy poruszali się jak w narkozie. Podczas apelów coraz więcej zwłok układano obok szeregów, wszyscy musieli być przecież na zbiórce. *Lagerführer* polecił samorządowi więźniów wykończenie garstki Żydów, która znalazła się w naszym obozie. Samorząd stanowili tzw. *B. V. (Berufsverbrecher)*, czyli niemieccy kryminalni recydywiści, oznaczeni zielonymi trójkątami. Byli tam kasiarze, sutenerzy, fałszerze pieniędzy, oszuści, specjaliści od „mokrej roboty" itp. Sprawowali funkcje tzw. blokowych i sztubowych (administracja wewnątrzobozowa) oraz kapów (dozorcy w pracy). Do pomocy mieli pisarzy, którymi byli Niemcy, a niekiedy Czesi i Polacy. Wszyscy, jeżeli nie szkodzili, to na pewno nie pomagali swoim współtowarzyszom niedoli. Nad całym życiem w obozie dominowały najbardziej zwierzęce popędy ludzkie, chęć przeżycia za wszelką cenę, kosztem nawet najbliższych sobie istot, okrucieństwo, jakaś bezmyślna, straszna gorliwość w podporządkowaniu się rozkazom zbrodniarzy.

Analizując ówczesne postawy ludzkie, trudno rozróżnić esesmana od zielonego przestępcy, czy np. od polskiego pisarza blokowego, czy „kapo" z kamieniołomu Kastenhofen mgra *Zdziarskiego* z Poznania. Wszyscy ci ludzie działali w sposób tak bezgranicznie gorliwy, że wartownicy esesmańscy musieli bardzo się wysilić, aby otrzymać dodatkowy urlop za zastrzelenie więźnia podczas „próby ucieczki".

Jak wspomniałem, ów samorząd otrzymał rozkaz zlikwidowania Żydów. Ze łzami w oczach przyszli pożegnać się z nami. Odważniejsi poszli sami na druty wysokiego napięcia. Pozostałych utopiono w ogromnych dołach kloacznych przy głośnym rechocie nastawionych rozrywkowo owych „pracowników samorządu".

Wybuchła epidemia tyfusu. Wszystkich chorych w „rewirze" zabijano zastrzykami benzyny wprost w serce. Była to metoda bardziej inteligentna niż ta, którą zastosowano w stosunku do Żydów. Techniczna, bo za pomocą strzykawki. Wykonana przez fachowy personel, który stanowili przyuczeni w kryminałach bandyci.

Ogromna liczba więźniów chorowała na tzw. flegmony. Miałem taką jedną na udzie. Powędrowałem do „rewiru". Naciął ją jeden ze wspomnianych fachowców i jakoś po pół roku zagoiło się.

Podczas epidemii duru ratowaliśmy się, jak tylko potrafiliśmy. Więzień sprawujący funkcję *lagerältestera*, który z zawodu był dość inteligentnym włamywaczem i w ogóle okazywał niekiedy jakieś ludzkie uczucia, stworzył w każdym bloku dodatkowe rewiry dla chorych, tajne. Przemycano ze szpitala esesmańskiego jakieś leki dla tych biedaków — no i udało się. Ja również przeszedłem w tym okresie jakąś poronną postać tyfusu.

Ale takie akcje na wiele się nie zdały. Postanowiono zrobić kilka tysięcy wolnych miejsc dla przychwyconych w podbitej dopiero co Francji republikańskich Hiszpanów.

Była późna jesień, dość mroźna. Rozbieraliśmy się do naga i po śniegu maszerowaliśmy blokami do „kąpieli". Łaźnia odległa była o kilkaset metrów. Tam pod lodowatą wodą zostawaliśmy kilkanaście minut. Potem nago do bloków, gdzie były ręczniki. I tak przez wiele dni. Utworzono blok inwalidów, nr 32. Tego numeru nie można zapomnieć. Blok 32 mieścił się obok „rewiru" i przeznaczony był dla tych z obrzękami głodowymi. Uzupełniany stale i codziennie nowymi. Ci umierali już podczas „kąpieli". Czasami pomagano im, wkładając gumowego węża do ust. Taki człowiek pęczniał aż do skutku.

Skrupulatność niemiecka zdała i tym razem egzamin, bo dla Hiszpanów było 2 000 wolnych miejsc. Dla nas nastąpił okres ulgi. Teraz przyszła kolej na Hiszpanów. Niemcy bowiem bardzo lubią porządek i są sprawiedliwi. Hiszpanie ginęli szybciej niż Polacy. Siedzieli już po kilka lat w obozach francuskich. Z głodu zabijali szczury i jedli je na surowo. Stworzyli drużynę piłki nożnej, by w niedzielę zrobić esesmanom i prominentom z samorządu przyjemność, grając przeciw drużynie polskiej. Bo Niemcy byli mecenasami sportu i wszyscy piłkarze otrzymywali specjalne wyżywienie, a nawet mogli utrzymać przy okazji kilku kolegów.

Zapomniałem powiedzieć, że Niemcy byli również mecenasami sztuki. Dla prominentów grała orkiestra prawie symfoniczna. Wspaniale grała! Moja nauczycielka niemieckiego, p. *Elma Firguff-Tode (nomen omen)* miała jednak trochę racji.

Wydawało mi się, że opanowałem bezbłędnie technikę niereagowania na codzienną przerażającą makabrę, że wzruszenie stało się dla mnie czymś obcym. A jednak był okres, gdy łamałem się. Boże Narodzenie! Chór *Szopińskiego,* dokoła tłumy „muzułmanów", kolędy i ciężkie, smutne łzy.

Poza okresem świątecznym także „muzułmanie" mieli swoją orkiestrę, tzw. Warszawiaków. Założycielem jej i kierownikiem był zmarły niedawno *Stanisław Grzesiuk,* autor książki pt. „Pięć lat kacetu". Był zawsze pogodny i cechował go duży humanizm. Przyjaźniliśmy się z sobą i sądzę, że wielu z nas miało dzięki niemu chwile odprężenia, tak bardzo wówczas potrzebnego.

Straszne były ucieczki. Tak dla uciekiniera, który zawsze ginął, jak i dla reszty więźniów. Wszyscy musieli bowiem tak długo stać na placu apelowym, aż uciekiniera pochwycono. Umierało wówczas z wyczerpania lub z bicia przynajmniej kilkanaście, a często kilkadziesiąt osób. Mimo to żal nam było oglądać umierającego uciekiniera.

Równie straszna była dezynsekcja obozu, przeprowadzana przez firmę *Slupetzky* z Linzu. Wszystkich więźniów do naga rozebranych grupowano na placu apelowym, opryskiwano jakimś świństwem, drzwi i okna baraków oklejano papierem i baraki wewnątrz gazowano. W dzień słońce prażyło niemiłosiernie, w nocy znów było zimno. Podczas samego gazowania umierało zawsze kilkaset osób. Zwłoki składano w jednym miejscu.

„Frajdę" miało krematorium, gdy zmarł ktoś tatuowany. Przy krematorium było bowiem *Pathologische Abteilung,* a jakże! Zajmowano się tam garbowaniem skór ludzkich na abażury. A skóra z ładnym tatuażem to był rarytas. Blokowym w bloku nr 1 był *Schubert,* bandzior z Wiednia. Miał całe ciało pokryte tatuażami. Na plecach była wytatuowana szkoła, przed szkołą dzieci bawiące się w piłkę. Był to romantyczny typ bandyty.

Sytuacja Hiszpanów wyraźnie się poprawiła, gdy Niemcy najechali ZSRR. Przyjechały bowiem początkowo nieliczne, po tysiąc osób zaledwie liczące, a potem dalsze kolejne transporty Rosjan. Niszczono ich metodycznie, bo Niemcy są także metodyczni.

W tym czasie zwalniano pojedyncze grupki Polaków ze Śląska, z Wielkopolski i Pomorza. Patrzyłem na nich z zazdrością. Nie miałem widoków. Rodzice pisali do mnie już od połowy r. 1940, ale z listów wynikało, że zupełnie nie zdawali sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znajdowałem. Jeden z moich przyjaciół, którego zwolniono w drugiej połowie r. 1942, obiecał skontaktować się z moimi rodzicami. Strach przed Niemcami i konsekwencjami, którymi grozili, był jednak silniejszy. Przeznaczone mi widać było pozostanie w obozie do końca wojny.

Tymczasem w kuchni zachorował magazynier. Kazano mi go zastępować. O trzeciej czy czwartej nad ranem (pracę zaczynaliśmy o pierwszej w nocy) przyszedł zatrudniony w kuchni *SS* pewien Polak, rzeźnik z zawodu, po mięso. Twierdził, że codziennie odbierał około 50 kg mięsa, gdyż porcje dla esesmanów były za małe. Odmówiłem wydania. Powiedziałem, że przeliczyłem wszystko dokładnie i że nie mam zamiaru zmniejszać i tak już głodowych racji więźniów. Po tygodniu wylądowałem w pewnego rodzaju karnej kompanii. Maszerowaliśmy 5 km do brudnego, szarego Dunaju (była to jesień) i tam nosiliśmy na kilometrowym odcinku na ramieniu ciężkie głazy. Osiem razy przed południem i siedem razy po południu. Eskorta esesmańska miała tego marszu dość i dlatego kto upadł, ginął. „Próba ucieczki", a więc w nagrodę urlop z jakąś Gretchen.

Było już ze mną całkiem niedobrze, gdy po dwóch miesiącach uratował mnie przyjaciel. Był mechanikiem, naprawiał motocykl komendanta. Poprosił okrutnie łamaną niemczyzną o przeniesienie mnie, niby „szwagra", do pracy w kamieniołomie Gusen. Zostałem maszynistą małych lokomotywek na ropę. Ponieważ zwaliłem się z całym pociągiem wagoników kilka razy w przepaść, orzekł, że nie mam talentów technicznych i stałem się gońcem w biurze kamieniołomów.

Wówczas odwiedził nasz obóz sam *Himmler.* Efekt jego wizyty był wyjątkowo korzystny. Postanowiono utworzyć przy naszym obozie oddział zakładów *Messerschmitta* oraz filię oddziału wytwórni pistoletów maszynowych

i karabinów *Steyer-Daimler-Puch A. G.* Ta ostatnia zażądała paru wybitnych księgowych i biuralistów. Ja i jeszcze jeden kolega, również goniec, zostaliśmy natychmiast „sprzedani".

Skończyło się w obozie masowe zabijanie. Zezwolono na przysyłanie więźniom paczek żywnościowych. Od r. 1943 zaczęliśmy swobodniej oddychać. Mieliśmy szczegółowe informacje z frontów i to informacje nareszcie podnoszące na duchu.

W połowie r. 1944 wezwany zostałem do *Lagerführera Seidlera. Entlassungsvernehmung!* (Przesłuchanie zwolnieniowe). Rozmowa była zwięzła.

— *Polenschutzhäftling Nummer 43368 meldet sich zur Stelle.*

— Jak długo jest pan w obozie?

— Pięć lat.

— I pan jeszcze żyje? Precz!

I tak starania moich rodziców o zwolnienie mnie zawiodły. Powiedziano im bowiem, że gdy się okaże, że poprawiłem się, to wyjdę z obozu. A ja byłem niepoprawny, bo jeszcze żyłem, mimo trzymiesięcznej normy.

Po powstaniu warszawskim przywieziono do nas nowy, kilkusetosobowy transport. Eskortowali Polacy, granatowi policjanci. Zamknięto wszystkich i wszystkich przebrano w pasiaki. Było wśród nich również kilku szpicli. Natychmiast pierwszego dnia zgłosili się do samorządu więźniów („zielonych") meldując im o tym i prosząc o natychmiastowe wypuszczenie ich na wolność. Trafili fatalnie. Zginęli wszyscy na atak serca tej samej nocy. Może wzruszyli się niesprawiedliwym ich potraktowaniem?

Paczek dostawaliśmy coraz mniej. Rok 1945 stawał się, mimo zasadniczo znośnego traktowania, rokiem głodowym. Natomiast strawa duchowa była wspaniała. Np. całe floty bombowców alianckich przelatywały nad nami. Szef oddziału *Steyer-Daimler-Puch A. G., Richard Sturmberger* tak się tym przejmował, że strzelał z pistoletu do samolotów lecących na wysokości 2 000 metrów. Stanowiło to dla mnie całkiem interesujące studium psychologiczne.

Jak radykalnej zmianie na korzyść uległa nasza sytuacja w latach 1943—1945, odzwierciedli najlepiej chyba rozmowa między kretynowatym Bawarczykiem, więźniem politycznym, aresztowanym za słuchanie audycji zagranicznych (wydała go własna żona) i wykształconym fałszerzem pieniędzy, wiedeńczykiem, *Richardem Wodstrčilem.*

Richard zarzucał Bawarczykowi, że jest mu właściwie obce pojęcie obozu koncentracyjnego, ponieważ aresztowany został w r. 1944. Co innego on, *Richard,* który znalazł się w Mauthausen już w r. 1938. Na to Bawarczyk odpowiedział, że najgorszy obóz jest niczym w porównaniu z posiadaniem zboczonej żony. To chyba wystarczy dla zobrazowania sytuacji obozowej pod koniec wojny.

Na początku r. 1945 wyżywienie uległo pogorszeniu. Przestaliśmy bowiem otrzymywać paczki z tej prostej przyczyny, że Polska została już wyzwolona. Cieszyliśmy się bardzo wszyscy, że kraj nasz uniknął straszliwego losu, jaki mu chcieli zgotować *kulturträgerzy.*

Zwrócił się do mnie jeden z przyjaciół obozowych, *Jasiek Dziżyński,* z propozycją przyłączenia się do tajnej organizacji, która wówczas powstała w obozie. Podał mi, że celem organizacji jest niedopuszczenie do planowanej przez *SS* masowej eksterminacji wszystkich więźniów. Niemcy zbudowali bowiem przy naszej pomocy tunele w górach otaczających obóz. Tunele te miały być halami fabrycznymi i miały stanowić obronę przed bombardowaniami. Ponieważ plany związane z przeniesieniem fabryk zawiodły, zamieniono hale na schrony przeciwlotnicze dla więźniów. Był to dość słabo nawet maskowany wybieg, którym Niemcy zamierzali się posłużyć, by po wysadzeniu dynamitem wejść do schronów, zagazować nas wszystkich. Zgodziłem się oczywiście należeć do organizacji, bo była to jakaś malutka możliwość uratowania się. Rosjanie zbliżali się już bowiem do Dunaju.

Podówczas powołano prawie wszystkich naszych niemieckich prominentów do *SS.* Ubrano ich w mundury *Afrikakorps,* uczono jeszcze na terenie obozu musztry, a potem całe to towarzystwo od „mokrej roboty" ruszyło ramię przy ramieniu z esesmanami na front, odległy o kilkadziesiąt już kilometrów.

Miejsce esesmanów zajął tzw. *Volkssturm,* składający się z panów po sześćdziesiątce, ubranych w najdziwaczniejsze strażackie i inne c.k. austriackie mundury. Ich dowódca oświadczył, że żadnemu z nas nie zrobi krzywdy, że wstrzymuje pracę przymusową, że oddaje obóz pod opiekę Czerwonego Krzyża. Gdy to usłyszałem, poczułem się dziwnie. Czy naprawdę będę żyć? Maszerowałem błędnie między barakami, gdzie zawołał mnie jeden z kolegów, *Józef Nowak* z Cieszyna, do swojego baraku. Między piętrowymi łóżkami użyczył mi jednego kielicha koniaku. Pierwszy koniak w życiu i to w obozie! Pustka w kiszkach, jaką mieliśmy od dwóch dni, spowodowała, że do swojego baraku wszedłem w stanie wybitnej euforii. Blokowy zwrócił się do mnie o przetłumaczenie wszystkim więźniom usłyszanego przed chwilą oświadczenia komendanta obozu. Tłumaczyłem jak nigdy, jak szatan! W jednym zdaniu były słowa polskie, niemieckie, hiszpańskie, rosyjskie, francuskie. Mimo to wszyscy zrozumieli.

I nadszedł 5 maja 1945 roku. Była prawie piąta po południu. Staliśmy zebrani na placu apelowym w szeregach, jak zwykle. Nagle podbiegł do mnie *Jasiek Dziżyński.* Wręczył mi biało-czerwoną opaskę i oświadczył, że od tej chwili jestem blokowym w bloku 11. Miałem trochę głupią minę, ale polecenie wykonałem, maszerując do swojego baraku.

Tymczasem dla „kapów" i pozostałych w obozie Niemców nastał dawno oczekiwany dzień. Chociaż ich życie nie mogło być kompensatą za tyle zgładzonych przez nich istnień ludzkich, to jednak, chociaż częściowo,

wyrównywano stare, nieuregulowane rachunki. Widok był straszny, chociaż... Dzisiaj oceniam go jako straszny, ale wówczas nie dorównywał w żaden sposób normom esesmańskim i praktycznie nie zrobił na mnie większego wrażenia. Nie brałem w tym udziału, gdyż... Nie wiem dlaczego nie włączyłem się do tej akcji. Zdobyłem natychmiast broń, przespałem noc w obozie i na drugi dzień wyruszyłem w świat.

Na nasz widok Niemcy stawali na baczność, zdejmowali czapki (*Mützen ab!*), czekali na nasze odejście z bladymi, zimnym potem pokrytymi twarzami.

Zetknąłem się z nimi bliżej w czerwcu lub lipcu 1945 roku w Regensburgu. Działałem wówczas przez wiele dni w biurze mieszanej policji amerykańsko-niemieckiej jako „spec" od rozpoznawania tylko z samej twarzy esesmanów ubranych po cywilnemu lub w mundury *Wehrmachtu*. Przechodziły bowiem przez biuro tysiące uciekinierów z terenów zdobytych przez wojska radzieckie, jak również tysiące zwolnionych z obozów jeńców. Wszyscy musieli się zarejestrować. Esesmanów rozpoznawałem nieomylnie, tak jak dzisiaj nieomylnie rozpoznać można np. płaskostopie.

Tam otrzymałem cywilne, prawie nowe ubranie, po jakimś esesmańskim oficerze, koloru typowo wojskowego, i czarny gumowy płaszcz. Obiady jadałem wówczas w jednym *gasthauzie* i uważany byłem przez stałych bywalców (*Stammgäste*) za ukrywającego się esesmana i to pochodzącego z Wiednia, gdyż akcent miałem wiedeński (dla Bawarczyków oczywiście). Kryli mnie tam solidarnie, ostrzegali przed możliwością „wsypy". Przy moim dziesięcioosobowym stole większość stanowili uciekinierzy z okolic Wrocławia. Przy stole nie mieli żadnych tajemnic. Opowiadali z dumą, jak znęcali się nad Polakami, pracującymi u nich na roli. Z jaką nienawiścią o nich mówili! Jak żałowali, że nie dało się wybić i oczyścić Europy z całego „słowiańskiego świństwa"! Ja milczałem na razie, a oni moje dyskretne milczenie traktowali ze zrozumieniem. Amerykanie i niemiecka policja poinformowali mnie, że takie wypowiedzi nie są karalne.

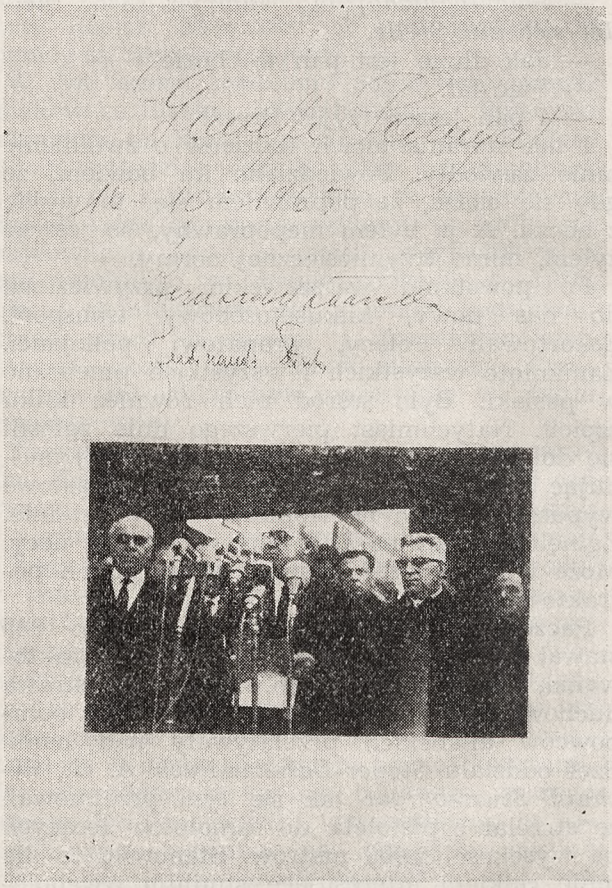
Postanowiłem wówczas jak najszybciej opuścić ten tak dla mnie gościnny kraj. W ostatnim dniu pobytu udałem się jak zwykle do swojego stołu w „moim" *gasthauzie*. Pokazałem tam podczas drugiego dania mój „dowód więźnia". Reakcja Niemców była aż przykra. Jeden przed drugim przekonywał mnie, że oni to tak nie myśleli, że trudne warunki, w jakich się znajdowali, były powodem tak głupich wypowiedzi.

Pożegnałem ich słowami, że ich wszystkich dobrze zapamiętałem i że zastanowię się, co później zrobię. I postąpiłem potem dość charakterystycznie. Opuściłem tę zamożną i gospodarną krainę, dałby Bóg, na zawsze. Strzepnąłem na granicy kurz z moich szat i sandałów i wtedy dopiero poczułem się w pełni szczęśliwy.

*

* *

Jerzy Osuchowski (Gusen, przedsionek piekła; wyd. MON, Warszawa 1961) podał statystykę zgonów w obozie koncentracyjnym Gusen od maja 1940 r. do maja 1945 r. (według tablicy wywieszonej w Gusen, na bloku D, po wyzwoleniu); w poszczególnych latach zmarło: 1940 (od 25. V. 1940) — 1 469 więźniów, w 1941 — 5 793, w 1942 — 6 088, w 1943 — 5 225, w 1944 — 4 789, w 1945 (do 5. V. 1945) — 10 700. Do Hartheim wywieziono 1 132 więźniów, do Mauthausen zaś — 1 900 więźniów-inwalidów. Egzekucja warszawiaków pochłonęła 315 ofiar. Razem zginęło 37 411 więźniów.



Reprodukcja wpisu do księgi pamiątkowej Muzeum w Oświęcimiu z dnia zwiedzania byłego obozu oświęcimskiego przez prezydenta Włoch, *Giuseppe Saragata*. Wygłosił on tam przemówienie przed mikrofonami Polskiego Radia oraz kamerami telewizji włoskiej i polskiej. Wśród osób towarzyszących dostojnemu gościowi z Włoch widoczny jest na zdjęciu Przewodniczący Rady Państwa *Edward Ochab*. Warto przypomnieć, że *Saragat* mocno podkreślił ogólnoludzkie znaczenie Oświęcimia i konieczność ciągłego przypominania prawdy o tym obozie zagłady. Wyraz „Oświęcim" stał się symbolem hańby hitlerowskich oprawców oraz bohaterstwa tych, którzy walczyli przeciw faszyzmowi. Czerwony napis „Oświęcim", przecięty kolczastym drutem, corocznie drukowany na okładce naszych zeszytów, odnosi się do tego szerokiego, symbolicznego znaczenia wyrazu, który przekaże następnym pokoleniom pamięć o straszliwej epoce pieców i o walce przeciw faszystowskiej dyktaturze. Czas zaciera wspomnienia, toteż tym bardziej należy utrwalać prawdę o czasie nieludzkim, o latach ostatniej wojny. Pogląd ten potwierdzają między innymi najwybitniejsze osobistości z całego świata, które zwiedzają Muzeum w Oświęcimiu. — Reprodukcję nadesłała dyrekcja Muzeum w Oświęcimiu.

KAZIMIERZ HAŁGAS Paczków
były więzień obozów koncentracyjnych Oświęcim—Brzezinka nr 5670 i Gross-Rosen nr 1487

Z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen
(Wspomnienia lekarza)

Do obozu w Gross-Rosen (obecnie Rogoźnica na Dolnym Śląsku) zostałem przywieziony 24 grudnia 1941 roku wraz ze starszym kolegą, doktorem *Józefem Żegleniem*, z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie obaj przebywaliśmy od września 1940 roku. Byliśmy delegowani jako lekarze do obozu radzieckich jeńców wojennych. W Gross-Rosen byłem do stycznia 1944 roku, a potem wywieziono mnie do fabryki gazów bojowych w Dyherfurth II (obecnie Brzeg Dolny), skąd w styczniu 1945 roku powróciłem do Gross-Rosen. W lutym tego roku zostałem przesłany ostatnim transportem ewakuacyjnym z rewiru do obozu w Leitmeritz (Litomierzyce), gdzie doczekałem się wyzwolenia przez Armię Radziecką.

Obóz koncentracyjny w Gross-Rosen został założony dnia 2 sierpnia 1940 roku jako *Arbeitslager* Gross-Rosen, filia obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, przy kamieniołomach *Deutsche Erd und Steinwerke*, własności *SS*. Pierwszy transport więźniów liczył 100 ludzi, w tym 98 Polaków. Komendantem obozu został *SS-Hauptscharführer Anthon Thuman*. Od 1 czerwca 1941 roku obóz uzyskał samodzielność jako *Konzentrationsstraflager d. II Kl.*; pomyślany był jako obóz cięższej pracy w kamieniołomach. W tym dniu liczba więźniów wynosiła już 360 ludzi (Polaków — 254). Stanowisko komendanta obozu objął wtedy *SS-Obersturmbannführer Roedl*. *Lagerführerem* był nadal *Thuman*, a *raportführerem SS-Unterscharführer Siegfried Schwarze*. W drugiej połowie 1941 roku obóz rozrósł się bardzo szybko. Pod koniec roku stan więźniów sięgał liczby 1 000, a numeracja bieżąca liczby 1 487. Oznaczało to, że już do tego czasu zmarło około 500 więźniów, tj. 35% stanu osobowego obozu.

Później liczby zaczęły rość w zawrotnym tempie. W chwili mego wyjazdu z obozu było w nim około 5 tys. ludzi, a numeracja obozowa przekraczała 13 tys. Z tej liczby około 8 tys. należy uznać za zmarłych i zabitych, a to wynosi 65% stanu osobowego w pierwszych trzech latach istnienia obozu. W ciągu roku 1944 liczebność obozu wzrosła znacznie; numeracja obozowa osiągnęła liczbę 100 tys. Biorąc pod uwagę, że w miarę wymierania ludzi powtarzano, nieraz po kilka razy, te same numery, można przyjąć, że przez obóz w Gross-Rosen przeszło 140—160 tys. ludzi, przy czym zmarło na miejscu 40—50 tys. więźniów. Do tych samych liczb dojdziemy, obliczając wydajność pieców krematoryjnych.

Za pośrednictwem Gross-Rosen ewakuowano wiele tysięcy ludzi z innych obozów. Niektóre transporty przychodziły i odchodziły, nie zmieniając nawet numeracji obozowej. Transporty te były dziesiątkowane na drogach i w innych obozach. Z niektórych podobozów Gross-Rosen, a było ich dokładnie 78 (tyle przynajmniej dotychczas stwierdzono), nie ma ani jednego świadka. Nie znamy losu niektórych komand roboczych, które wyszły z obozu, ale nigdzie nie doszły. Nie znamy losu chorych pozostawionych w Gross-Rosen w rewirze i w barakach tzw. oświęcimskich pod opieką *Entressa* i *Klehra*. Było tych osób 1 500—2 000.

Według dotychczasowych ustaleń co najmniej 60—70% stanu osobowego obozu w Gross-Rosen, tzn. 90—100 tys. ludzi, którzy znaleźli się w tym obozie, nie przeżyło wojny.

Obóz ten założono w kotlinie zasłoniętej od drogi, w odległości około 500 m od kamieniołomu, na skalistym i bezwodnym gruncie, co bardzo utrudniało wszelkie prace budowlane, zaopatrzenie w wodę, urządzenie niezbędnych kanalizacji itp. Miał on charakter obozu wyniszczającego przez nadmiernie ciężką pracę w kamieniołomach, niedożywienie, stosowanie przemocy fizycznej, bicie, tortury i szykany. W drugiej połowie r. 1941 sprowadzono więźniów Niemców wybranych z różnych obozów, przestępców kryminalnych, homoseksualistów i zboczeńców, którzy stworzyli kadrę obozową blokowych, kapów, *vorarbeiterów* itp. Ci ludzie właśnie nadawali ton obozowi i byli narzędziem masowego wyniszczania i deprawowania Polaków, Rosjan i innych więźniów.

W październiku 1941 roku, podobnie jak w Oświęcimiu, podzielono obóz na dwie części. W części tylnej urządzono obóz jeńców wojennych radzieckich, których tu przywieziono w liczbie przeszło 2 500 ze *stalagu* w Lamsdorf (Łambinowice). Obóz ten był początkowo pod dozorem *Wehrmachtu*, ale nie było różnicy w traktowaniu więźniów przez *Wehrmacht* i *SS*. Od listopada 1941 roku zresztą cały obóz znajdował się już pod władzą esesmanów.

Obozy były od siebie oddzielone drutem kolczastym, a wzajemne kontakty były zakazane. Tylko prominenci obozowi zachodzili nocami do „ruskiego lagru", do blokowego *Prilla*, bandyty i homoseksualisty, u którego odbywały się orgie z wybranymi jeńcami. Ofiary potem duszono lub w inny sposób uśmiercano.

Do obozu tego przydzielono najgorszych kapów i blokowych, toteż stan jeńców zmniejszał się z dnia na dzień mimo kilkakrotnych uzupełnień. W dniu mojego przybycia do Gross-Rosen było jeszcze około 500 jeńców, z których duża część była już u kresu sił na skutek złego odżywienia, bicia i ciężkiej pracy.

Tuż po świętach Bożego Narodzenia, około połowy stycznia 1942 roku wybrano spośród jeńców rzekomych podoficerów i komisarzy politycznych, w sumie blisko 70 ludzi, i wysłano nocą w nieznane. Wyprowadzono ich nie główną bramą, którą się wychodziło do drogi i do kolei, ale tzw. ruską bramą, prowadzącą do kamieniołomu i do krematorium. Równocześnie udał się w tamtym kierunku lekarz obozowy w towarzystwie sanitariuszy *SS*. Z całą pewnością Rosjan zlikwidowano.

Pewnego wieczoru pod koniec stycznia 1942 roku zjawili się w „ruskim lagrze" lekarz obozowy *SS-Untersturmführer Babor* i sanitariusz niemiecki *SDG Kurze* oraz niemieccy sanitariusze więźniowie *Grabowski*, *Krause* i *Losche*. Dr *Babor* polecił doktorowi *Żegleniowi* i mnie udać się do rewiru dla więźniów. Tej nocy dokonali oni w blokach przeglądu jeńców radzieckich, wybrali przeszło stu wyniszczonych i osłabionych, przyprowadzili ich do rewiru i zgładzili razem ze wszystkimi chorymi w liczbie około 220 osób.

Odbyło się to w ten sposób, że podawano do wypicia z kieliszka rzekomo krople nasercowe, a w rzeczywistości cyjankali, nalewane z litrowej flaszki z fabrycznym napisem „Sympatol". Każdy chory otrzymywał truciznę przy drzwiach; zapytywano go o nazwisko, aby się przekonać, że zawartość została połknięta, i popychano do wyjścia; za drzwiami sanitariusze niemieccy układali martwych jak snopy na podłodze.

Kiedy przybyliśmy następnego dnia do rewiru, jeszcze uprzątano zwłoki i wywożono do krematorium. To był straszny widok.

W ten sposób liczebność obozu spadła do około 70 osób. Poprawiło się odżywienie. Chorych nie było, bo obawiali się stracić życie. Ponieważ nie mieliśmy żadnego zajęcia lekarskiego, musieliśmy wykonywać różne prace porządkowe, jak zamiatanie ulic, czyszczenie latryn itp. W lecie 1942 roku zniesiono podział między obozami; jeńcom radzieckim dano normalną numerację obozową, a nas posłano do pracy w kamieniołomie. Po pewnym czasie dr *Żegleń* otrzymał funkcję sanitariusza komanda, a mnie skierowano do pracy sprzątacza w obozie uczniów kamieniarskich *Hitlerjugend*.

Komendantami obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen byli kolejno: wspomniany już *Arthur Roedl* (do jesieni 1942 r.), *SS-Obersturmbannführer Gideon*, pełniący swą funkcję dość krótko oraz *SS-Sturmbannführer Johannes Hasebroeck* (od r. 1943). *Hasebroeck* został powieszony w r. 1948 w Hamburgu za zlikwidowanie grupy lotników angielskich w Gross-Rosen.

Pierwszy *lagerführer*, *Anthon Thuman*, późniejszy komendant Majdanka, po wojnie skazany został na śmierć; był polakożercą i mordercą więźniów. Lubował się w widokach krwi i śmierci. Cały dzień krążył po obozie, a za nim szli zwykle gończy lub sam *lagerälterster*, niosąc tzw. kozła do bicia. *Thuman* wymierzał osobiście kary chłosty za najmniejsze przewinienia. Ponadto miał specjalnie tresowanego psa, który na wskazanie palcem rzucał się na więźnia i rozrywał mu szyję. Lubił ten sadysta także stosować kary słupka, polegające na przywiązywaniu czy wieszaniu więźniów na słupach oświetleniowych w obozie.

Następną *Thumana* był *SS-Obersturmführer Walter Ernstberger*, sprawujący funkcję *lagerführera* od marca 1943 roku do końca istnienia obozu. Wprowadził on niedzielne zawody w piłce nożnej i boksie, a sam uprawiał kopanie ludzi i walenie w szczęki więźniów, przy czym aż dwa razy złamał sobie palec ręki, który musiałem mu nastawiać i gipsować.

Stanowisko *raportführera* w Gross-Rosen zajmowali: *SS-Unterscharführer Siegfried Schwarze*, *SS-Unterscharführer Gieschke*, homoseksualista, a od grudnia 1941 roku do końca *SS-Unterscharführer Helmuth Eschner*, wyrafinowany sadysta, który całą swą karierę osiągnął w obozie Gross-Rosen, dokąd przybył w r. 1940 jako prosty esesman. Nie miał on równego sobie w zbrodniczej perfekcji. Wychowanek osławionego *Thumana* naśladował swojego mistrza i budził postrach więźniów. Był dodatkowo złodziejem; kradł wszystko i wszędzie. Odsyłał stale do domu paki różnego rodzaju skradzionych rzeczy. Nie znosił Polaków i wielu z nich zamordował własnoręcznie, zwłaszcza w karnej kompanii, gdzie razem z blokowym *Voglem* mordowali, dusili, kopali ludzi, wyładowując swe niecne instynkty.

Jak wszędzie w obozach koncentracyjnych, tak i w Gross-Rosen starannie obsadzano stanowiska blokowych, kapów i *vorarbeiterów*; im większym któryś z nich był bandytą, tym wyższe osiągał szczeble hierarchii obozowej.

Praca więźniów była bardzo ciężka i trwała od godz. 6 rano do 5 po południu z przerwą godzinną na obiad. Po powrocie z kamieniołomów więźniowie byli zatrudniani dodatkowo przy pracach na terenie obozu i poza obozem. Szczególnie ciężką była praca przy budowie nowych baraków na kamienistych stokach, kopaniu kanałów, budowie stopni i tarasów kamiennych. Do r. 1942 więźniowie pracowali także w niedziele i święta. Pierwszym dniem wolnym od pracy był dzień 25 grudnia 1941 roku.

Pracy więźniów towarzyszyły szykany i znęcanie się kapów. Do wiosny 1942 roku do pracy wyruszało się i wracało biegiem. Mordercze tempo pracy utrzymywano za pomocą pięści i pałki. Często zabijano ludzi, zrzucając ich ze skał kamieniołomu lub też pędząc ich na *posta*, skąd zwykle znoszono martwych na marach po pracy. Zdarzały się też wypadki samobójstw wyniszczonych i zmaltretowanych fizycznie i moralnie więźniów.

Szczególnie ciężkie prace wykonywała kompania karna, do której posyłano za najdrobniejsze przewinienia. Oczywiście tam ginęli przede wszystkim Polacy, Rosjanie i przedstawiciele innych narodowości, Niemcy natomiast nawet w kompanii karnej bili innych i wypasali sobie brzuchy. Stąd nie wolno było zgła-

szać się do lekarza i do rewiru, gdzie dostarczano dopiero zmarłych i zabitych. Chodziły uporczywe wieści, że w kompanii karnej dokonuje się różnych doświadczeń na ludziach lub samowolnych zabiegów.

Wyżywienie więźniów w Gross-Rosen było zasadniczo gorsze niż w Oświęcimiu. Na śniadanie wydawano 1/4—1/3 litra wodnistej zupy zwanej *Avo* lub jej różne odmiany. Drugie śniadanie otrzymywali tylko pracujący w kamieniołomach. Składało się na nie około 50 g chleba (połowa cienkiej kromeczki) z dodatkiem plasterka końskiej kiełbasy. Na obiad było tylko jedno danie, tj. wodnista, często cuchnąca zupa w ilości około 600 g. Gotowano zupy z suszonej brukwi, zupy tzw. zielone ze szczawiu, liści mangoli, kapusty, karpieli i innych mieszanek nie znanych u nas, a przywożonych od okolicznych *bauerów* drabiniastymi wozami i zrzucanych widłami wprost do kuchni. Kartofle wrzucano do zupy w minimalnych ilościach, z zasady w łupinach, gdyż obowiązywał zakaz obierania ziemniaków. Przywożono nawet i dodawano do zupy obierki z kuchni *SS*. Nie częściej niż raz w tygodniu była lepsza zupa, kartoflanka lub grochówka.

Na kolację podawano całodzienną porcję chleba w ilości 250—300 g (różnie w różnych okresach), a pięć razy w tygodniu dodawano 25—30 g margaryny lub tyleż sera albo łyżeczkę marmolady. Więzień otrzymywał też herbatę ziołową bez cukru. Należy dodać, że te tzw. dodatki były ciągle rozkradane, a blokowie, kapowie i esesmani handlowali nimi. Dużą część przydziałów mięsa zabierano dla psów.

Tak więc, praktycznie rzecz biorąc, więzień otrzymywał 1 000—1 200 kalorii, czyli niedobór kalorii u ciężko pracującego człowieka wynosił przeszło 2 000 kalorii. Nic zatem dziwnego, że więzień, który nie otrzymywał żadnych paczek żywnościowych, nie mógł żyć dłużej w tych warunkach, jak 3—4 miesięcy.

W pożywieniu poza tym nie było dostatecznej ilości witamin. Stąd w lecie nagminnym zjawiskiem było jedzenie trawy, także z głodu. Widziało się grupy ludzi, którzy przeprowadzani przez trawnik dosłownie rzucali się na trawę i wyrywali ją z korzeniami.

Także odzież obozowa nie sprzyjała przetrwaniu obozu. Cienkie drelichy niedostatecznie chroniły ciało przed wpływami klimatycznymi, stąd nieraz całymi tygodniami więźniowie chodzili przeziębieni.

W latach 1941—1943 w lecie chodziło się do pracy boso. Skóra na nogach bardzo szybko ścierała się na ostrych granitach kamieniołomu i powstawały bolesne owrzodzenia. Tylko na niektórych stanowiskach pracy, np. przy maszynach, gdzie mogło nastąpić uszkodzenie mechanizmu na skutek wypadku, wydawano rękawice ochronne. Otrzymywane przez więźniów obuwie drewniane było bardzo niewygodne do chodzenia po nierównym kamieniu, po schodkach kamiennych, po skałach i innych miejscach pracy.

Na okres zimowy więźniowie dostawali nieco grubsze ubrania z pokrzyw, płaszcze, skarpety lub onuce, rękawice, a nawet nauszniki. Rzecz w tym jednak, że jedna sztuka odzieży miała służyć przez całą zimę. Nie brało się pod uwagę naturalnego zużywania się materiałów. Co kilka dni robiono kontrolne przeglądy i sprawdzano stan odzieży. Za podarte skarpety, rękawice itp. groziły ostre kary, przede wszystkim cielesne. Tak czy owak ubranie było niedostateczne i nie chroniło organizmu nawet w minimalnym stopniu. Bardzo często zdarzały się niebezpieczne odmrożenia, owrzodzenia lub nawet wypadki śmierci z przemarznięcia.

Rewir w Gross-Rosen mieścił się początkowo w połowie baraku kuchennego. W r. 1941 dodano mały barak poniżej kuchni, w którym mieściło się właściwe ambulatorium. Rok następny przyniósł nową zmianę: na szpital przeznaczono następny barak, gdzie urządzono oddział tzw. zakaźny, a część przykuchenną zlikwidowano. W zimie 1942 roku dodano duży barak, tzw. ruski rewir, przede wszystkim dla chorych na biegunkę. Nieco później dla lżej chorych otwarto tzw. *schonung* w bloku 16, a na wiosnę 1943 dodatkowo w bloku 8. Latem 1943 trzeba było urządzić kolejny duży barak dla chorych zakaźnie. W baraku położonym w dole obok kancelarii obozowej znalazł pomieszczenie oddział jagliczy.

W r. 1941/42 stan chorych wynosił 30—40 ludzi na około 950 więźniów, czyli około 5% ogółu. Na skutek bardzo zaostrzonych rygorów przy przyjmowaniu do rewiru, nie było się łatwo tam dostać, a i tak niewiele mogło to pomóc choremu, bo w szpitalu nie było ani jednego lekarza czy sanitariusza. Dopiero w lecie 1942 roku w rewirze zaczęło pracować dwóch lekarzy więźniów (dr *Żegleń* i ja). Stan chorych pod koniec r. 1942 wynosił przeszło 800 ludzi, czyli 25% stanu obozu. W r. 1943 zostali zatrudnieni w rewirze dalsi lekarze (*Jachna, Frączek, Mianowski* i *Jabłoński*), a stan chorych powiększył się do liczby 1 500, tj. 35% załogi. Byli to chorzy, którzy musieli leżeć; nie wlicza się tu chorych pozostających w blokach i zatrudnionych w komandzie *Weberei*, którzy byli zmuszani do pracy przy przebieraniu odpadów fabrycznych, pleceniu pasów do karabinów i sporządzaniu różnych drobnych przedmiotów dla wojska. Komando *Weberei* liczyło niekiedy około tysiąca ludzi.

Zresztą już w tym czasie co najmniej połowa stanu liczbowego obozu nie była zdolna do pracy na skutek wycieńczenia i różnych chorób nabytych z powodu braku zasadniczych środków odżywczych, witamin, z powodu złego traktowania, bicia itd.

Warunki bytowania chorych były niezwykle ciężkie. Do r. 1942 otrzymywali oni zaledwie połowę racji żywnościowych. Poza blokami 1 i 2, gdzie zasadniczo przebywali tzw. prominenci obozowi, czyli Niemcy, i chorzy zakaźnie, rzadko który chory leżał na łóżku sam. Najczęściej jedno posłanie zajmowało dwóch lub trzech więźniów, a zdarzało się, że i czterech. Do r. 1942 tylko dwie sale w rewirze

miały łóżka, a w innych chorzy leżeli na siennikach na podłodze.

W baraku nr 3, tzw. ruskim, zainstalowano pryczę pomysłu *lagerführera Thumana*. Urządzenie to, zwane „pryczą *Thumana*", długości około 5 m, obite było papą i stało na betonowej posadzce. Pod pryczą był rynsztok ze ściekiem. Całość zajmowała połowę tzw. *tagensraumu* w baraku i była zagrodzona przepierzeniem z desek o wysokości dwóch metrów, pomalowanym we wzorki. Wchodziło się tu przez otwierające się na dwie strony półdrzwi, takie jakie się widzi w amerykańskich westernach. Na pryczę kładło się chorych z ciężkimi przypadkami biegunek, zanieczyszczających się, często nieprzytomnych. Leżeli oni nago, bez żadnego przykrycia, a mający dyżur tzw. *pfleger* polewał pryczę wodą z węża gumowego, aby zawsze była czysta. Czynność ta była wykonywana szczególnie gorliwie, gdy zbliżał się twórca pryczy, *lagerführer Thuman*, lub któryś z funkcyjnych esesmanów. Prycza ta była zresztą utrzymywana także po odejściu *Thumana*.

Chorzy, z wyjątkiem Niemców, przy przyjęciu do rewiru musieli oddać swe odzienie i bieliznę, toteż blokowi wymieniali choremu wszystkie rzeczy na najgorsze. Po załatwieniu formalności chory wędrował od bloku do bloku nago i dobrze było, jeżeli tego samego dnia otrzymywał bieliznę, bo były często braki w magazynie. Dopiero wtedy kładł się na posłaniu.

Lżej chorzy, dla których nie było miejsca w rewirze, byli kierowani do tzw. bloków *schonungowych*, gdzie przebywali we własnych ubraniach i bieliźnie. Pozostawali oni pod opieką jednego sanitariusza przydzielonego do bloku. Co trzy dni lekarz obozowy robił wizualny przegląd tych ludzi, zwalniając według własnego uznania na bloki do pracy.

Jeszcze inni chorzy, całkowicie wyczerpani pracownicy kamieniołomów pracowali w obieralni jarzyn w kuchni lub w komandzie tkaczy i byli normalnie zakwaterowani i żywieni w swoich blokach. Stanowili oni komanda robocze i lekarze niewiele mieli wpływu na zmianę obsady tych grup, tak że w zasadzie bardzo trudno było się do nich dostać. Poza tym, jeżeli taki chory nie opłacał się odpowiedniemu kapo, był bity i sam uciekał do prac cięższych.

Zwykły tok przyjmowania do rewiru był taki jak w innych obozach. Chory zgłaszał się najpierw do swego blokowego i ten był jego pierwszym „lekarzem". Jeżeli blokowy uznał za stosowne skierować chorego do rewiru, delikwent stawał po apelu wieczornym przed obliczem *lagerführera*, który dokonywał przeglądu zgłoszonych i decydował, kto ma się udać do lekarza. Oczywiście chory zbierał po drodze szturchańce i znosił bicie, a jeżeli przypadkiem nie został przyjęty do rewiru np. z powodu braku miejsca, jako tzw. symulant był narażony na znęcanie się swoich przełożonych i często umierał w bloku.

Personel rewiru był bardzo przypadkowy. Brak było fachowców, sanitariuszami byli ludzie wyznaczeni przez *lagerführera*. W Gross-Rosen do r. 1943 byli to przeważnie Niemcy. Bili oni chorych i oszukiwali na jedzeniu. Pamiętam nawet wypadek przetrzymywania przez trzy dni przez niemieckiego sanitariusza na oddziale zakaźnym zwłok zmarłego, leżącego na łóżku między chorymi; sanitariusz pobierał przez te dni 1 porcję chleba więcej.

Pierwszym lekarzem *SS* obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen był od r. 1941 *SS-Obersturmführer Friedrich Entress*. Był on podobno z pochodzenia Poznaniakiem, w każdym razie mówił dobrze po polsku. Odszedł pod koniec r. 1941 do Oświęcimia, ale bywał w Gross-Rosen. W jesieni 1943 roku szukał razem z komisją lekarską chorych zakaźnie. W końcowym okresie ewakuacji przed wyzwoleniem widywałem go w obozie w towarzystwie osławionego truciciela z Oświęcimia, sanitariusza *SS Klehra*.

Od 25 grudnia 1941 roku *lagerarztem* w Gross-Rosen był *SS-Untersturmführer Kurt Babor*. To on przeprowadził trucie jeńców radzieckich za pomocą cyjankali, on polecał uśmiercać niektórych chorych na dur wysypkowy. Do pomocy w tym dziele miał *Babor* sanitariusza-sadystę *SS-Scharführera Kurtza*.

Trzecim lekarzem obozowym od wczesnej wiosny do lata 1942 roku był *SS-Obersturmführer Schmitz* lub *Schutze*. W związku z wypadkami duru wysypkowego w obozie przeprowadził on odwszawienie więźniów. Na okres tego zabiegu sanitarnego ogłoszono dwutygodniową kwarantannę. W tym czasie poza lekarzem i esesmanami nie wolno było nikomu wchodzić do obozu, a więźniowie nie pracowali. Trzeba przyznać, że odtąd zelżał nieco terror w obozie i skończyła się praca biegiem (*im Laufschritt*).

Funkcję *lagerarzta* pełnił później *SS-Hauptsturmführer Karl Jobst*, prawdopodobnie *sudetendeutscher*, który ukończył Uniwersytet Karola w Pradze. Ten znowu bardzo mało osobiście interesował się rewirem, zdając wszystko na swoich sanitariuszy *SS* i kapo rewiru. Za jego czasów byli to wyjątkowi sadyści. Wyróżniał się wśród nich *SS-Hauptscharführer Dehnel*, który sprawował całą władzę lekarską. Był zapalonym zwolennikiem eutanazji i głównym jej wykonawcą; węszył ciągle w rewirze, czy nie ma w nim chorych zakaźnie i tzw. nieuleczalnych. Wykonywał prawie codziennie wyroki śmierci „sądu" obozowego. On w lecie 1943 roku osobiście zaszprycował 10 chorych na gruźlicę, poleciwszy ich odtransportować do krematorium.

Po odejściu *Jobsta* w jesieni 1943 roku kolejnymi lekarzami obozowymi byli: *SS-Obersturmführer Schmiedt*, *SS-Obersturmführer Heinrich Rindfleisch*, *SS-Obersturmführer Koenig*, *SS-Hauptsturmführer Heinz Thilo* i wreszcie znowu *Entress*.

Entress po wojnie został powieszony, *Babor* był nadwornym ginekologiem w Addis Abebie, o innych nic nie wiadomo.

Osobna wzmianka należy się sanitariuszom

SS, tzw. *SDG (Sanitätsdienstgrad, Sanitätsdienstgehilfe)*. Najbardziej znienawidzony z nich — to wspomniany *Dehnel*, którego się stale widywało ze strzykawką znajdującą się w rękawie i z butelką z napisem *Sympatol*. Grasował on po obozie od 1941 do 1945 r.

W latach 1940—1942 funkcję tę pełnił także *SS-Scharführer Kurze*, zbrodniczy sadysta i złodziej. Kradł on złoto dentystyczne wyrwane ze szczęk zmarłych więźniów. Często kontrolował usta chorych i jeżeli znalazł złote zęby lub mostki, truł ludzi, aby zdobyć dla siebie cenny kruszec. Podobno w r. 1942 był sądzony za okradanie III Rzeszy.

Sanitariuszy *SS* przydzielano do komand roboczych, których było 78, a tylko nieliczne miały lekarza *SS*. Kierowano tam jako *SDG* esesmanów przeszkalanych na krótkich kursach gazowania i szprycowania. Jednego z takich sanitariuszy opisuje w swoich wspomnieniach prof. *Gibiński*. Ów *SDG* jednego z komand roboczych w Gross-Rosen taki był biegły w swoim „zawodzie", że jednym pchnięciem igły trafiał do *cisterna magna* więźnia posadzonego okrakiem na krześle i wstrzykując fenol, zabijał niemal natychmiast.

Pomocnikiem *lagerarzta* i kierownikiem rewiru był kapo rewiru. Stanowisko to zajmowali więźniowie niemieccy. Jeden z nich, *Hermann Loesche*, pospolity przestępca i złodziej chętnie wykonywał bez najmniejszych skrupułów każdą rzecz, na której można było zarobić, uczestniczył we wszystkich akcjach zabijania i trucia w latach 1941—1942.

Inni nie byli lepsi. *Walter Richter*, nożownik, morderca, 44 razy karany sądownie, czym się przechwalał w obozie, działał w Gross-Rosen do r. 1943, kiedy został zmobilizowany do *SS* dla zwalczania partyzantów. Na skutek jakichś przewinień został przywieziony nocą do obozu po czterech miesiącach i stracony w krematorium. *Alfred Stoll*, pospolity złodziej, domagał się od więźniów łapówek, a jeśli ich nie otrzymywał, zwalniał z rewiru. Odznaczał się złośliwością. *Gotlieb Kaiser*, butny polakożerca rządził w sposób bezwzględny w rewirze, bił nawet lekarzy. Został zamordowany przez wspólników — karciarzy Niemców po nocnej libacji. *Georg Prill*, jeden z najkrwawszych blokowych, *lagerältester* radzieckiego obozu jenieckiego był homoseksualistą, który w nocy mordował swe ofiary.

Oprócz nich pracowali w rewirze niemieccy sanitariusze bez żadnego przeszkolenia, którzy nadawali ton życiu rewirowemu. Byli to: *Bruno Serocki* z Gdańska, *Franz Grabowski* z Berlina, *Stockinger, Fietze* i inni. Blokowymi bloków schonungowych byli także Niemcy: w bloku nr 16 — *Winkelmann*, w bloku nr 8 — *Zimmermann*.

Do r. 1942 nie pracował w rewirze ani jeden polski lekarz, ani jeden sanitariusz. W sierpniu tego roku zatrudniono dwóch Polaków: *Józefa Żeglenia* i mnie. Po dwóch miesiącach zresztą wysłano dr *Żeglenia* do komanda *Lissa*. W ciągu r. 1942 przybył jeszcze do obozu i do rewiru dr *Frączek* (w r. 1943 zwolniony do domu), a potem jeszcze dr *Jachna* i dr *Jabłoński*. W r. 1943 pojawili się dr *Antoni Mianowski* i lekarz francuski dr *Lafon* (?). Dopiero w kwietniu 1944 roku przybyła większa grupa lekarzy polskich przywiezionych z Majdanka. Znajdowali się w niej: prof. *Mieczysław Michałowicz*, doc. *Stanisław Konopka, Romuald Sztaba, Jan Nowak, Tadeusz Kosibowicz, Stanisław Różycki, Walenty Popek, Mieczysław Kotarbiński, Kornel Gibiński, Ludwik Fiszer, Kazimierz Majewski, Władysław Zapałowicz, Władysław Bernadzikowski, Leonard Szadurski, Mieczysław Reisner, Kazimierz Biały, Wejrowski, Czesław Czerpikowski, Jan Woźniak, Kasper Dębosz, Jerzy Dutkiewicz, Alojzy Szewczyk, Kazimierz Popiołek, Zygmunt Kulik, Konrad Dunglaszewski, Stanisław Domin, Natan Lienfeld, Jan Wójcicki, Jan Dadak, Stanisław Mazurek, Władysław Żołądź, Zygmunt Witalis, Gutentag, Ryszard Hanusz, Włodzimierz Doktor* i inni (według wykazu *Romana Olszyny*).

Równocześnie od r. 1942 do rewiru zaczęto powoli wprowadzać polskich sanitariuszy, którzy długo nie mogli zdobyć zasadniczej przewagi nad sanitariuszami niemieckimi. Między innymi pracowali tutaj: *Władysław Kotula, Stanisław Orłowski, Władysław Dąbrowski, Ryszard Kalista, Zbigniew Kazimierski, Chojnacki, L. Wacławek, S. Czarnek* i wielu innych, którzy swą uczciwą pracą pielęgniarską uratowali niejedno życie, a wielu dobrym słowem umilili ostatnie chwile. Nie sposób ich wszystkich wymienić; pamięć ludzka jest ograniczona. Wspomnę tylko jeszcze nazwisko kol. *Mariana Jarosińskiego*, któremu osobiście sam wiele zawdzięczam, może nawet życie.

Wyposażenie sanitarne rewiru było nadzwyczaj skromne. Narzędzia, sterylizatory robili sami więźniowie. Wszystko trzeba było „organizować". Bandaże początkowo organizowano w *Bekleidungskammer* (robiono je z prześcieradeł), gips w komandach budowlanych, lekarstwa w rewirze *SS* i w kamieniołomie, gdzie była dość obficie zaopatrzona apteczka itd., itd. Później, kiedy były dopuszczane paczki, wszelkie medykamenty przesyłane więźniom trafiały zasadniczo do rewiru, co w pewnych okresach było bardzo istotną pomocą. Leki i wyposażenie sanitarne dostarczane były ze składnic *SS* na podstawie zamówień okresowych, prowadzonych przez *SDG Dehnela*. Były one nader skromne i mało celowe. Nie mieliśmy jednak na to żadnego wpływu.

W tych warunkach praca lekarza w rewirze była bardzo ciężka. W r. 1942 przy stanie 1 300 chorych pracowałem sam jeden. Potem było nas dwóch. Do r. 1943 na jednego lekarza więźnia przypadało przeciętnie co najmniej 800 chorych w rewirze i jeden blok *schonungowy*, a do r. 1944 po około 600 chorych. W niektórych komandach było znacznie gorzej.

Zachorowalność w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen była bardzo wysoka i nie pozostawała w żadnym wypadku w jakimś nor-

malnym stosunku do liczby wolnych miejsc w blokach rewirowych oraz do możliwości leczniczych, które równały się prawie zeru.

Zmienny podgórski klimat, podłe wyżywienie, brak odzieży, wyczerpująca praca, przy której masowo zdarzały się urazy, zwłaszcza u nie przeszkolonych pracowników, bosych i bez ochronnych rękawic, stałe bicie na blokach i w pracy, brud, złe zakwaterowanie, brak wody, kanalizacji — oto główne przyczyny zatrważającego stanu zdrowia więźniów.

W obozie np. przez długi czas były tylko polowe latryny, wodę sprowadzano z gór. Nalewano ją rano i wieczorem do koryta do mycia ludzi i naczyń. Umywalnie i klozety wybudowano dopiero w latach późniejszych. Rzecz prosta, warunki te nie pozostawały bez wpływu na szerzenie się chorób zakaźnych, z których najczęstsze były biegunki i dury. Zawszawienie obozu, zwłaszcza w pierwszych latach, było znaczne i choć po akcji dezynfekcyjnej wiosną 1942 roku obserwowało się zmniejszenie zachorowalności na dur wysypkowy, to nie trwało to długo. W zimie 1943 roku znów było wiele zachorowań.

Z innych chorób zakaźnych spotykało się, podobnie jak w innych obozach, róże, zwłaszcza przyranne, oraz grypy, katary i anginy, które dawały się więźniom we znaki zwykle w okresie wiosennym i jesiennym.

Poza tym w Gross-Rosen w r. 1943 wystąpiła epidemia jaglicy, która dotknęła 1 500 z górą więźniów. Rozpoczęła się ona w transporcie jenieckim i rozszerzała się gwałtownie. Pierwsze przypadki zostały potwierdzone przez lekarza okulistę, pułkownika *Wehrmachtu*, stacjonującego w Świdnicy. Dzięki ofiarności więźniów, którzy zdołali uzbierać przeszło 30 tys. marek na lekarstwa i narzędzia, mogliśmy bardzo energicznie i szybko zlokalizować i zlikwidować chorobę, chroniąc równocześnie chorych od gazu. Kiedy przyjechała komisja z Oświęcimia z dr *Entressem* na czele, nie było już chorych. Poszczególne przypadki zresztą pojawiały się jeszcze dość długo. Charakterystyczne, że do jesieni 1943 roku nikt z chorych nie oślepł z powodu jaglicy; dopiero później można było zanotować kilka przypadków utraty wzroku.

Leczenie jaglicy było następujące: Pod osłoną albucidu w tabletkach i zastrzykach, po znieczuleniu roztworem perkainy wprowadzanej do worka spojówkowego lub po zastrzyku nowokainy wygniatano jagły za pomocą specjalnych penset (tzw. *rollpinzetten*), następnie przemywano oko roztworem argolawalu i przez trzy dni robiono okłady z fizjologicznego roztworu soli. Trzy razy dziennie zakraplano oko argolawalem, lapisowano lub dawano roztwory Hg-oxycyanat, zależnie od możliwości i wyszkolenia sanitariusza. Po 3 i 7 dniach kontrolowano oczy i w razie potrzeby ponownie wygniatano jagły.

Była to praca bardzo ciężka, jeśli zważyć, że wykonywało ją dorywczo dwóch lekarzy i trzech sanitariuszy, którzy przyjmowali 200—250 pacjentów dziennie. To był wyścig z czasem. Chorych zakaźnych z reguły nie meldowaliśmy, tłumacząc to trudnością w rozpoznawaniu choroby. Jedynie w części przypadków duru, których rozpoznanie przychodziło z laboratorium we Wrocławiu, dokąd odsyłało się próbki krwi, kału i moczu, trzeba było zgłaszać chorobę zakaźną. Oczywiście nie sposób było przesyłać próbki od wszystkich chorych. Rozpoznania gruźlicy nie dokonywaliśmy celowo, ponieważ była ona dość częsta na skutek odnawiania się starych ognisk u wyniszczonych ludzi.

W r. 1942 przysłano nam z rewiru *SS* mikroskop i odczynniki. Wieczorem badałem plwociny naszych chorych i byłem zaskoczony częstością występowania prątków. Natychmiast odesłałem mikroskop, twierdząc, że nikt z nas nie potrafi wykonać prób. W następnym roku *Dehnel* wykradł gdzieś lekarzowi karteczkę ze spisem chorych podejrzanych o gruźlicę, zrobił nam awanturę, że ukrywamy chorych zakaźnych i jeszcze tego samego dnia zabił dziesięciu ludzi w krematorium zastrzykiem fenolu. Niemcy mieli specjalną fobię przed gruźlicą.

Poza chorymi zakaźnie, którzy tylko w zasadzie w pewnych okresach stanowili problem, najliczniejsi byli chorzy z wycieńczenia, niedożywiania, chorzy z awitaminozą. Wyniszczenie organizmu następowało w nieprawdopodobnym tempie. Nigdy np. nie zapomnę gwałtownego wychudzenia pewnego starszego mężczyzny, u którego po trzymiesięcznym pobycie w obozie utworzył się fartuch skórny sięgający kolan, a będący pozostałością dość wydatnego brzucha. Chorzy tacy byli w obozie pospolicie nazywani muzułmanami, podczas gdy lekarze niemieccy określali ich stan jako *allgemeine Körperschwäche*.

Wskutek bicia, infekcji ran i skaleczeń, tak częstych w kamieniołomie, nagminnym zjawiskiem były rozległe ropienia, ropowice (*phlegmonae*), które przy osłabieniu ogólnym organizmów nierzadko kończyły się śmiertelnie.

Złamania lub zmiażdżenia, zwłaszcza kończyn dolnych, prowadziły nieraz do amputacji. Złamania były leczone w sposób prymitywny wyciągami plastrowymi, opatrunkami gipsowymi, bez kontroli radiologicznej, gdyż aparatu rentgenowskiego nigdy w obozie nie było.

W okresach wiosennym i jesienno-zimowym obserwowało się nasilenie przypadków zapalenia płuc i opłucnej, ropniaków opłucnej. W zimie 1942/43, gdy choroby te były szczególnie częste, wykonano chyba około 40 resekcji w przypadkach ropniaków opłucnej, przy czym z powodu bardzo złych warunków szpitalnych i leczniczych około połowa chorych zmarła. Niektóre ropniaki były olbrzymie; zawartość ich dochodziła do 6 litrów ropy.

Jak w innych obozach, tak i w Gross-Rosen był dość duży odsetek chorych z obrzękami głodowymi, zwłaszcza na kończynach dolnych.

Śmiertelność w obozie była zawsze dość wysoka, a ponieważ prawie wszystkie komanda robocze przysyłały swych zmarłych do obozu

macierzystego, czasami dwupiecowe krematorium nie nadążało z paleniem zwłok. Były oczywiście różne okresy nasilenia śmiertelności w obozie, co było zależne od pogody, stanu sanitarnego obozu, a przede wszystkim od nastawienia komendantury i funkcyjnych. Bywały dni, kiedy zgony w blokach na skutek bicia i maltretowania więźniów dorównywały liczbie zgonów w rewirze. Najczęściej zdarzało się, że traciło życie w obozie 10—12 osób w każdym dniu. W lecie było 7—8 zgonów, ale zimą znacznie więcej. Jesienią i zimą 1943 roku śmiertelność była największa i sięgała liczby 30 osób dziennie. Za cały czas mego pobytu w Gross-Rosen było zaledwie około 10 dni, w których nikt nie umarł.

Legalizacja zgonów odbywała się w prosty sposób. Z rewiru wysyłaliśmy tylko tzw. karty zgonu (*Totenmeldung*), na których niekoniecznie trzeba było pisać przyczynę śmierci. Jedynie numer musiał się zgadzać. W rewirze *SS* więzień niemiecki *Jacobi* prowadził główny rejestr zgonów. Miał on szablon opisów około 30 jednostek chorobowych i według własnego uznania określał przyczynę śmierci oraz wpisywał przebieg choroby do akt.

W Gross-Rosen, podobnie jak w innych obozach, od czasu do czasu selekcjonowano więźniów i wysyłano ich w transportach rzekomo do Dachau, Buchenwaldu i innych miejsc pracy. Jak wynika z ujawnionych po wojnie dowodów, zwłaszcza transporty chorych wybranych przez lekarzy *SS* odchodziły do miejsc zagłady, do zakładów eutanazyjnych. Tak np. z akt procesu norymberskiego wynika, że w styczniu 1942 roku wybrano do transportu 214 chorych, przeważnie Polaków i Żydów, których po dłuższej korespondencji przekazano w marcu tego roku do likwidacii w zakładzie eutanazyjnym w Bernburg. Kol. *R. Olszyna* z warszawskiego oddziału ZBoWiD-u opracował imienną listę całego transportu.

Z jego badań także wynika, że z Gross-Rosen wychodziły transporty chorych i wyniszczonych więźniów, po których wszelki ślad zaginął. Udało się mu ustalić nazwiska 780 Polaków z Gross-Rosen, którzy wysłani z obozu, nigdzie nie dojechali. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że wszyscy zginęli.

Nie znamy jeszcze wielu innych pociągnięć kierownictwa obozu, bo dokumenty obozowe zaginęły lub zostały dobrze ukryte, a winni milczą i utrudniają poszukiwania. Nie znamy np. losu chorych pozostałych w obozie podczas ewakuacji (była to grupa co najmniej 2 tys. ludzi), nie wiemy, co się stało z wieloma komandami, które rozpoczynały ewakuację, ale nigdzie nie dotarły. Według *Olszyny* były to komanda: Bad-Warbrunn, Faulbruck, Feuerstein, Grunberg, Ludwigsdorf, Namslau, Neisse, Peterswaldau, Rauscha, Reichenbach, Schmiedeberg, Tannhausen, Wirschkowitz, Wittenschenau, Wüstewaltersdorf. Częściowo nieznany jest los komand: Pampitz, Gassen, Gebharsdorf, Gross-Koschen, Halbau, Kaltwasser Märtzbachtal, Mittelstein.

Nie wiemy także, czyje zwłoki kryje zbiorowa, 70-osobowa mogiła na terenie obozu poniżej urządzeń kanalizacyjnych. Tej mogiły nie było w obozie do ostatniego transportu ewakuacyjnego. Nie mogli to być chorzy rewirowi, ponieważ znaleziono szczątki obuwia, pasków, guziki, a chorzy nie posiadali ubrań i butów.

Wiele jeszcze tajemnic kryje ziemia dolnośląska, tak obficie zroszona polską krwią. Sprawcy zapomnieli już o wszystkim dawno.

Post scriptum.

1. Zdziwiłem się niedawno, kiedy przeglądałem materiały z procesu w r. 1948 w Hamburgu przeciw byłemu komendantowi obozu w Gross-Rosen *Hasebroeckowi, raportführerowi Eschnerowi* i *blokführerowi Drozdowskiemu,* ponieważ...
   - — skazano ich na śmierć przez powieszenie za... zlikwidowanie 9 angielskich lotników;
   - — o sytuacji w obozie koncentracyjnym nawet nie wspomniano;
   - — na sali sądowej było 5 osób.

2. W lecie 1966 roku prasa doniosła, że były adiutant komendanta obozu w Oświęcimiu *Mulka,* skazany w r. 1965 we Frankfurcie nad Menem na 14 lat więzienia za zbrodnie wojenne, został zwolniony dla poratowania zdrowia i wyjechał na wakacje do Hiszpanii.

Komentarze zbyteczne.

„Humanizm! Humanizm w całym życiu zbiorowym narodu, a w szczególności w ustroju zdrowotnym państwa, w jego służbie zdrowia. Szlachetna praca wykonywana przez lekarzy nakłada na nich szczególne obowiązki, wzywające lekarzy do ochrony życia i zdrowia człowieka zawsze i we wszelkich okolicznościach. «Lekarz pod żadnym pozorem nie powinien odstępować od tych obowiązków. W swej działalności nie może oddzielać leczenia poszczególnych chorych od spraw medycyny społecznej. Praca lekarza nigdy, pod żadnym pozorem nie może być oderwana od swego głównego celu: zachowania życia» (Uchwała Międzynarodowego Kongresu Lekarzy, Wiedeń r. 1953)".

W. Szenajch: Myśli lekarza. PZWL, Warszawa 1958, str. 19.

ELŻBIETA PIEKUT-WARSZAWSKA Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 46506

Dzieci w obozie oświęcimskim
(Wspomnienia pielęgniarki)

Do obozu w Oświęcimiu zostałam wywieziona 13 czerwca 1943 roku z więzienia w Kielcach. Dostałam się do bloku kobiet pracujących na zewnątrz obozu przy kopaniu rowów, noszeniu kamieni itp. W bloku tym przebywało nas około 1 500 osób. Były tam Polki, Żydówki z Niemiec, Węgier, Belgii, Holandii, Francji, Grecji, Związku Radzieckiego. Moja praca polegała na udzielaniu pomocy koleżankom wracającym z pracy (opatrywaniu ran na nogach, rękach, głowach pobitych więźniarek), a również na oddziaływaniu psychicznym. Miało ono szczególne znaczenie, gdyż uwięzione kobiety wskutek wyczerpującej pracy ponad siły, głodu, zimna, szybko się załamywały i dlatego potrzebowały serdeczności i odpowiedniego podejścia.

W r. 1944 dowiedziałam się, że zorganizowano blok dla żydowskich bliźniaków. Sama będąc u kresu wyczerpania fizycznego i nerwowego (ciężki dur wysypkowy, paraliż kończyn dolnych, trwający 6 miesięcy), bliska kompletnego załamania się, ogarnięta poczuciem beznadziejności, zdawałam sobie też sprawę z tego, że jako Żydówka mogę przy najbliższej selekcji zostać skierowana do krematorium. Postanowiłam zgłosić się do pracy na wymieniony blok w nadziei, że zmieni się dzięki temu moja sytuacja, znajdę sens w życiu obozowym i odzyskam równowagę. Świadomość możliwości opiekowania się dziećmi była dla mnie zbawienna, mimo że mnie uprzedzono, iż z chwilą zakończenia „badań" dzieci więźniowie przy nich pracujący pójdą razem z nimi na śmierć.

Myśl tę odsunęłam od siebie. Najważniejsze, że będę mogła zapomnieć o sobie. Przydam się dzieciom, którym będę potrzebna. Znalazłam w tym swój cel.

Na blok *zwillingów* przyszłam w lipcu 1944 roku. Był to drewniany budynek, wzdłuż którego przechodził ceglany piec. Wewnątrz ustawione były drewniane prycze.

W tym okresie nasilały się transporty Żydów przybywających z Theresienstadt. Po selekcjach na rampie sprowadzono do tego bloku około 350 par bliźniąt w wieku od 1. do 16. roku życia, jednej lub różnej płci. Ich rodzice oczywiście poszli do gazu. Były to dzieci żydowskie, pochodzące z różnych krajów (Francja, Holandia, Belgia, Węgry, Niemcy). Wyglądały jeszcze zdrowo i ładnie, tylko wystraszone i zapłakane. Sypiały po dwoje lub czworo na jednej pryczy, zależnie od wieku, na siennikach, bez prześcieradeł i poduszek. Na każdej koi znajdowały się dwa koce.

Wyżywienie stanowił czarny chleb obozowy, margaryna (w niedziele dżem i białe pieczywo), czarna kawa, zupa mleczna, kluski, manna, raz w tygodniu kiełbasa, ziemniaki z gotowaną brukwią, żółty ser. Niezależnie od wieku dzieci otrzymywały jednakie porcje, bardzo niskie pod względem kalorycznym i odżywczym, zupełnie pozbawione witamin (owoców itp.) i tłuszczu.

Do obsady bloku należała blokowa oraz dwie koleżanki, które zostały przydzielone mi do pomocy (ich nazwisk nie pamiętam, byłyśmy bowiem razem tylko przez dwa miesiące).

Lipiec i sierpień tego roku były bardzo upalne i prawie bezdeszczowe. We trójkę musiałyśmy codziennie myć dzieci (starsze nam pomagały) w małych miskach z niewielką ilością wody. Przestrzeganie higieny osobistej dzieci było jedynym zabiegiem profilaktycznym, aby nie dopuścić do zakażeń bądź epidemii. Ale okazało się, że jest to zadanie o wiele trudniejsze. Wodę trzeba było tak samo „organizować", jak każdą inną potrzebną rzecz. Toteż warunki higieniczne mimo naszych wysiłków pozostawiały wiele do życzenia i odbijały się fatalnie na stanie zdrowia naszych dzieci.

Już w najbliższych tygodniach wystąpiły u dzieci pierwsze objawy awitaminozy (szkorbut), stany zapalne gardła czy oczu, obrzęki kończyn, zapalenie płuc. Największym niebezpieczeństwem były szczury wielkości dużych kotów. Hasały bezkarnie w dzień i w nocy. Zdarzały się wypadki, że szczury dusiły śmiertelnie dzieci w nocy we śnie. Światła nie wolno było w nocy palić. Nasze kolejne dyżury nocne niewiele pomagały, gdyż blok był bardzo długi i zanim usłyszałyśmy kwilenie czy krzyk dziecka, zanim zdążyłyśmy przybiec na miejsce, dziecko leżało już martwe z przegryzioną szyją. Można sobie wyobrazić, jak straszne to było.

Sytuację pogarszał jeszcze zupełny brak bielizny dla dzieci i odzieży na zmianę oraz brak leków. Pod każdym względem byłyśmy zdane na własną „organizację". Nikt na terenie obozu nie udzielał nam nawet najmniejszej pomocy. Jednak udało mi się nawiązać kontakt z dwoma lekarzami z obozu męskiego, tj. z doktorem *Zygmuntem Hermanem* (chirurg) i doktorem *Fastmanem* (laryngolog). Ci dwaj lekarze przesyłali mi przez druty trochę środków antyseptycznych, aspiryny, maści, kropli i materiały opatrunkowe.

W cięższych przypadkach zachorowań, gdy trzeba było dziecko zaprowadzić na „rewir", już stamtąd nie wracało do nas.

Zadawałyśmy sobie pytanie, jaki był cel takiego bloku. Wkrótce sprawa się wyjaśniła.

Minęło około trzech tygodni, kiedy dano nam znać, że do naszego bloku przyjdzie komisja. Rzeczywiście, w połowie sierpnia, w samo południe zjawił się w bloku dr *Mengele* w asyście dwóch niemieckich podoficerów i *lagerälteste* (starsza lagrowa) *Steni*. Po zlustrowaniu bloku zarządzono, abym według wykazu numerów (wszystkie dzieci miały tatuaże na rączkach) przyprowadzała dzieci grupami i według wieku do ambulatorium znajdującego się w męskim obozie. Okazało się, że mają one być „przebadane". Później się wyjaśniło, że były to badania antropometryczne, rentgenologiczne i morfologiczne. Miały to być przygotowania do późniejszych operacji eksperymentalnych; tak mnie poinformowała jedna z lekarek polskich.

Badania antropometryczne odbywały się w ten sposób, że dzieci rozbierano do naga i godzinami (od 2 do 5 godzin) czyniono pomiary za pomocą precyzyjnych przyrządów (kątomierze, cyrkle, suwaki). Badano pary bliźniaków i kontrolowano, czy wymiary są identyczne. Dużo notowano. Były to dla dzieci ciężkie przeżycia. Wystraszone, zmęczone, głodne i zziębnięte wstawały o szóstej rano i przebywały półtorakilometrową drogę z bloku do ambulatorium.

Następne badania, mianowicie rentgenologiczne, odbywały się w tych samych warunkach. Było już bardzo chłodno, nastał bowiem przełom września i października, a pokój badań nie był ogrzewany. Badane dzieci stawały nago przed ekranem rentgenologicznym na 5—15 minut, ponieważ przy prześwietlaniu omawiano i dyskutowano dany obraz. Skutki tych „badań" nie dały na siebie długo czekać. Po powrocie dzieci te gorączkowały, następowały anginy, silny kaszel, zapalenia zatok, nierzadko zapalenia płuc. Fachowcy mogą ocenić, że istotną rolę odgrywało tutaj przedłużone poddawanie dzieci działaniu promieni rentgenowskich, często tło nerwowe i opisane warunki.

Szczególnie dramatyczne były ostatnie badania: morfologiczne. Dzieciom pobierano krew z palca, a następnie z żyły, czasem po dwa, trzy razy u tych samych ofiar. Dzieci krzyczały, broniły się, nie pozwalały się dotknąć. Bardzo bały się ukłuć. Personel uciekał się do przemocy. Płakałam razem z dziećmi. Kazano mi wyjść, nie byłam bowiem w stanie uspokajać ich. Potem, po wyjściu z pokoju, rozszlochane rzucały mi się na szyję; całowałam je gorąco i serdecznie, powoli uspokajałam.

Tymczasem grupy badanych dzieci zmieniały się i u „przebadanych" już pobierano krew z żyły (20 cm^3). Krew była konserwowana w osobnych butelkach dla każdego dziecka. Podobno była przeznaczona dla żołnierzy frontowych. Każde z tych wybranych dzieci oddawało przeciętnie 20—50 g krwi w ciągu sześciu tygodni.

Od lipca do października liczba żyjących dzieci zmalała do około trzystu.

Stosowano również zakraplanie płynów do oczu. Samego zabiegu nie widziałam, gdyż dzieci zabierano do sąsiedniego pokoju. Jednej parze dzieci zakraplano oboje oczu, innej tylko jedno oko. Polecono mi tylko obserwować reakcję i nie interweniować w żaden sposób w razie jakiejkolwiek zmiany, zaczerwienienia czy obrzęku. Skutki tych praktyk były bolesne dla ofiar. Następowały silne obrzęki powiek, pieczenie i wzmożone łzawienie. Reakcja taka pojawiała się po około 6—8 godzinach. Po dwóch dniach miałam się zgłosić z tymi dziećmi. Ponieważ dzieci bardzo cierpiały, a nie znałam zastosowanego u nich środka, działając instynktownie postarałam się o mleko bądź serwatkę i przykładałam na obolałe oczy. Obrzęki nie ustępowały, ale według relacji dzieci cofało się pieczenie. O to mi tylko chodziło, aby dzieci nie cierpiały. Przy następnej wizycie, kiedy pytano mnie o reakcję dzieci na zabieg, nie przyznałam się do tych okładów. Dzieci te zostały zatrzymane i nie wróciły ze mną na blok.

W końcu października przeniesiono nasz blok do obozu cygańskiego. Personel nieżydowski pozostał w Brzezince, natomiast ja poszłam wraz z dziećmi. Tutaj warunki były jeszcze gorsze, ponieważ dostaliśmy się do bloku dla dorosłych, w którym były piętrowe koje i brakowało pieca. Badania dzieci trwały nadal. Choroby coraz bardziej atakowały wyczerpane organizmy. Wystąpiły obrzęki jamy ustnej, szkorbut, silne ropienie oczu, biegunki. Dzieci umierały. Znów niejednokrotnie zatrzymywano ofiary po badaniu; nigdy się nie dowiedziałam, co się z nimi stało.

W bloku było coraz zimniej, spadł pierwszy śnieg i malała nadzieja, że pozostałe przy życiu dzieci przetrwają nadchodzącą zimę. Stan taki trwał do 17 stycznia 1945 roku, tzn. do ewakuacji obozu. Wszystkim zdrowym i dorosłym kazano opuścić obóz, wraz z nimi i mnie. Pozostawiłam w bloku około 150 dzieci. Nie zdążyłam się nawet z nimi pożegnać.

Wkrótce obóz został oswobodzony, a pozostałymi w obozie zajął się Czerwony Krzyż.

Ta sucha relacja nie oddaje całkowicie okrutnej rzeczywistości i atmosfery pełnej grozy i zastraszenia; jest tylko szkicem tego, co przeżyłam i widziałam. Przekonałam się, jak istotną rolę odgrywa serdeczność i troskliwość w warunkach, w których tak bardzo ograniczone były możliwości wszelkiej profilaktyki i realnej pomocy pielęgniarskiej. Dzięki tym dzieciom odzyskałam równowagę i chęć życia, a tak niewiele mogłam dla nich uczynić.

Warto dodać, że niektóre dzieci przeżyły. W sierpniu 1944 roku przyszedł mały transport Żydów z Płaszowa. Między nimi był 6-letni *Henryś Sytner* wraz z matką. Matka została od niego odłączona. *Henryś* ukrywał się u mnie na bloku. Przetrwał on obóz, jest dziennikarzem i pracuje w Polskim Radio. Po wojnie cudem odnalazł swoją matkę.

DOROTA LORSKA Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 52325

Z pobytu w Oświęcimiu

Wszystko, co działo się w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka, było potworne. Od chwili skierowania tam przybyłego z daleka transportu więźniowie spotykali się na każdym kroku z rzeczami przerażającymi i najczęściej przekraczającymi ludzką fantazję.

O wiele wcześniej przed przybyciem do Oświęcimia, w czasie wojny w Hiszpanii, słyszałam od *Egona Erwina Kischa* zdanie, które uderzyło mnie później trafnością, a mianowicie, że nie ma niczego bardziej fantastycznego niż rzeczywistość. To, co dawniej odnosiłam do różnorodności ludzkich przeżyć i losów, raczej do pojęć wzniosłych, bo z nimi na ogół kojarzy się fantazja, można było teraz powiedzieć o stopniu upodlenia gatunku ludzkiego. Rzeczywistość przechodziła ludzką fantazję. Trudno było w nią uwierzyć i nam, którzyśmy żyli wśród niej, a jeszcze trudniej tym, do których docierały sprawozdania.

Jednym z najbardziej wstrząsających dokumentów o obozie w Oświęcimiu jest pamiętnik *Hössa*, komendanta obozu. Dzieło to, beznamiętnie wyliczające wydarzenia, które doprowadziły do tego, że autor dyrygował wielką fabryką śmierci, będąc — jak sam o sobie myśli — łagodnym i dobrym człowiekiem, mrozi krew w żyłach.

W jakiej to epoce żyliśmy? Najazdy Hunów? Średniowieczne inkwizycje, palenie na stosie? Ależ to były dziecinne igraszki w porównaniu z tym, co systematycznie, z premedytacją, z dokładnym planem wykonywali przedstawiciele *Herrenvolku* w stosunku do milionów niewinnych istot. Niektórzy spośród nich, sądzeni we Frankfurcie, jeszcze po latach cynicznie spoglądali na świadków, których nie zdążyli zgładzić przed 20 laty. Niestety, wielu nie znalazło się dotąd na ławie oskarżonych.

Każdy dzień w obozie przynosił wstrząsające przeżycia. Z czasem na pewno każdy więzień w sposób mniej ostry reagował na wydarzenia wokół siebie. Wrażenia z pierwszych godzin, dni i tygodni należą do najsilniejszych. Osobiście nie mogę się uwolnić od natrętnie powracających wspomnień z przybycia i pierwszych tygodni pobytu w dziesiątym bloku [1]. Niektóre chciałabym opowiedzieć, bo te fakty lepiej niż opisy oddają wzajemne stosunki między więźniami i atmosferę, która panowała w obozie.

Przybycie. Sierpniowy, upalny wieczór po kilku dobach podróży w zaplombowanych wagonach dla bydła. Wygania się kijami pół przytomnych pasażerów. Oszołomienie jest tak wielkie, że nie bardzo się wierzy w realność tego, co się dzieje. Sceny, jak to zapisał w swym pamiętniku *Kremer*, jeden z lekarzy *SS* obozu oświęcimskiego, takie, wobec których bledną sceny z piekła dantejskiego. Na tym tle „pracuje" tego pamiętnego dla mnie wieczoru lekarz *SS*, *Wirths*.

Diabelski mechanizm postępowania hitlerowców przejawiał się między innymi w tym, że nie komendant obozu, ale właśnie lekarz oceniał w ich pojęciu z punktu widzenia biologicznego, kto się nadaje do natychmiastowej zagłady, a kto zasługuje na prolongatę egzystencji, w rzadkich przynajmniej wypadkach dającą możliwość nie tylko przedłużenia życia, ale też przeżycia.

Przed skierowaniem do bloku mieszkalnego procedura nie zapomniana: strzyżenie włosów. W porównaniu z innymi przeżyciami rzecz mniejszej wagi, ale wcale niebłaha dla kobiety. Pamiętam własne „golenie" głowy. Wykonywała to Słowaczka, więźniarka, z którą później się zaprzyjaźniłam. Owego wieczoru zwróciłam się do niej po czesku, usiłując nadać żartobliwy ton mym słowom: „Nie ciągnij tak włosów, zostaw mi przynajmniej skórę". Na to ona: „Bądź zadowolona, że ci zostawiam głowę".

Więźniarki, które dłużej przebywały w obozie, z małymi wyjątkami były bardzo okrutne dla nowo przybyłych, jakby się bały, że może nowym zostaną oszczędzone te męki, przez które przeszły same. Wyjątek stanowili więźniowie polityczni, których łączyła wspólna idea walki przeciw faszyzmowi. Ona tylko zdolna była przełamać barierę uprzedzeń narodowościowych, wyznaniowych czy rasowych i łączyć poszczególnych więźniów-antyfaszystów mocnym łańcuchem solidarności, który jedyny mógł przeciwstawić się okrucieństwom życia obozowego, narzuconym przez system hitlerowski. Trzeba pamiętać, że w Oświęcimiu znajdowali się obywatele dwudziestu kilku państw Europy.

Ciekawie ukształtowały się postawy ludzi, którzy dostali się do obozu jako bardzo młodzi, bez wyraźnych zapatrywań. Wszyscy oczywiście pragnęli końca wojny i przeważnie też klęski Hitlera, ale trudniej im było zrozumieć, na czym polega faszyzm i do czego jest zdolny. Zresztą i dla ludzi dojrzałych, wcześniej zaangażowanych w partiach lewicowych, obóz okazał się wyższą szkołą polityczną zrozumienia istoty faszyzmu w całym jego bestialstwie i pozwalał zrozumieć siły międzynarodowej solidarności i humanizmu najszlachetniejszego, ogarniającego ludzkość.

Biblijna legenda mówi o tym, że świat nie zginie, póki znajdzie się w nim 36 sprawiedliwych. Jestem przekonana, że ci, którzy prze-

[1] Zob. też: *D. Lorska*: Blok X w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1965, nr 1, s. 99—104.

żyli obóz oświęcimski, przynajmniej w dużej mierze zawdzięczają swe ocalenie sprawiedliwym, działającym wśród więźniów dla ogółu. Między nimi byli Niemcy i Rosjanie, Polacy i Francuzi, byli Żydzi z różnych krajów Europy i inni obywatele większości krajów europejskich.

Już w obozie narzucało się wrażenie, że w tym mrowisku ludzi, w ciągłym napięciu oczekiwania śmierci dochodzi do jakiejś kondensacji uczuć; ludzie źli stawali się chyba jeszcze gorsi, a ci, co mieli pozytywne cechy charakteru, stawali się może jeszcze lepszymi. Ale nie zawsze tak było. W obozie nie czekało się tylko na śmierć; tam się też żyło. Mimo problemów przytłaczających, drobne sprawy też odgrywały rolę, jak w życiu normalnym. Ludzie się zmieniali i zdarzało się, że ktoś, kto na początku niemalże służył esesmanom, stopniowo lub nagle przejmował zupełnie inną rolę.

Ta młoda dziewczyna, która mi ogoliła głowę po moim przybyciu do obozu, była Żydówką ze Słowacji i nazywała się *Różenka*. Ze swej ojczyzny, w której rządził *Tiso*, przybyła jednym z pierwszych transportów. Z tej grupy zostało kilka dziewcząt, pochodzących z tego samego małego miasteczka Humene na Podkarpaciu. Rodziny zginęły w komorach gazowych, a one chciały żyć za każdą cenę. Na ogół pomagały pilnie dozorczyniom-esesówkom, zastępując je w pracy i odnosząc się z dużą dozą okrucieństwa do przybyłych więźniarek. Przeważnie były na stanowiskach, które decydowały o prowadzeniu bloku.

Tak było w dniach, kiedy przybyłyśmy do dziesiątego bloku. Stosowałyśmy z czasem różne sposoby, które bardzo zmieniały warunki życia w tym bloku. Między innymi wiele pomagała nam w tym *Różenka*. Była ona typem wiejskiej, słowackiej, ładnej dziewczyny. Mimo dwóch lat przebywania w obozie była dość tęga, kiedy ją poznałam. Charakterystyczna była jej pucołowata buzia z czerwonymi policzkami i jasnymi, żywymi oczami. Ze względu na swe uprzywilejowane stanowisko zastępczyni blokowej *Różenka* była w porównaniu z innymi więźniarkami dobrze ubrana i wyglądała właściwie jak okaz zdrowia, energii i młodości. Dzięki swej funkcji mogła wielokrotnie wychodzić z bloku w ciągu dnia, z *aufzejerką* wprawdzie, ale pozwalało jej to zatrzymywać się w różnych placówkach na terenie rewiru.

Kontakty na zewnątrz ułatwiali również mężczyźni, którzy starali się przychodzić do bloku nr 10 pod rozmaitymi pozorami. Przynosili beczki z zupą, przychodzili naprawiać różne usterki, załatwiać pewne sprawy administracyjne. Na terenie szpitala obozowego łatwiej było o preteksty do spotykania się więźniów z więźniarkami, w placówkach szpitalnych, u dentysty, w rentgenie czy w przedsionku sali operacyjnej. Przy tej okazji nawiązywały się sympatie, a czasem platoniczna miłość. W warunkach odosobnionego życia na cmentarzysku, jakim był Oświęcim, każde spotkanie mężczyzn z kobietami samo w sobie stanowiło duże przeżycie. Niekiedy możliwości spotkań kojarzyły się z dość trywialnymi przygodami, często za chleb, za margarynę. Ale zadzierzgiwały się nici sympatii bez żadnych trywialnych i materialnych dodatków. W szarzyźnie życia obozowego podnosiło na duchu wymienione serdeczne spojrzenie przed blokiem w czasie powrotu z *komanda*, czasem parominutowa rozmowa, niekiedy ryzykowny list, a nawet, choć dziwnie to brzmi, parę kwiatków, przemyconych z *Gärtnerei*.

Spośród mężczyzn, którzy przedostawali się do naszego bloku, warto wymienić między innymi więźnia politycznego z *Bekleidungskammer* (magazyn odzieżowy), *Bernarda Świerczynę*, jednego z przywódców oświęcimskiego ruchu oporu. Przychodził on często do „naszego" bloku, toteż i ja miałam możność poznać go bliżej. Już po paru rozmowach wiedziałam, że mam do czynienia z uświadomionym antyfaszystą, który do obozu dostał się z powodu działalności patriotycznej, a nie przypadkowo. Był wierzący, ale nie miał żadnych uprzedzeń religijnych ani rasowych i choć wiele nas dzieliło, wkrótce zaprzyjaźniliśmy się.

Z krótkich wizyt w bloku nr 10 *Bernard* oczywiście nie mógł znać konkretnie mechanizmu działania „władzy" w bloku. Jak wiadomo, kobiety tam kierowane były przeznaczone do doświadczeń lekarskich i nie chodziły do pracy. Stałe przebywanie w tłumie paruset ofiar, pomijając wiele innych okoliczności, jak np. sąsiedztwo dziedzińca egzekucji jedenastego bloku, samo tylko było doświadczeniem niełatwym.

Prócz poszczególnych lekarzy *SS*, kierowników grup doświadczalnych, którzy mieli prawo eksperymentowania, blokiem rządziła esesówka, *Frau Afseherin*, w języku obozowym *aufzejerka*. Na ogół funkcję tę pełniły prymitywne, młode kobiety, czasem z odruchami sadyzmu w rodzaju zamiłowania do częstego szturchnięcia czy kopnięcia starszej kobiety, najczęściej osoby ograniczone, nieczułe na to, co się działo wokoło nich, chciwe i chętnie zagrabiające okruchy z dóbr, które przywoziły miliony ludzi z całej Europy, zwożonych tu na zagładę. Do wykonywania różnych potrzebnych funkcji w bloku powołany był sztab spośród więźniarek z blokową na czele, pod dozorem *aufzejerki*. Ten sztab miał ustaloną hierarchię i zależne od niej przywileje, ale prawie wszystkie więźniarki, które do niego należały, uważały się z tego tytułu za lepsze od innych i manifestowały to, wykazując swoją władzę w różny sposób. Mogły bądź to okradać, zmniejszając nieco porcje lub odpowiednio manewrując warząchwią w kotle przy rozdawaniu zupy, bądź rozdawać szturchańce i nieżyczliwie traktować zwłaszcza więźniarki nowo przybyłe. Oczywiście nie należy tego uogólniać. Zdarzały się też funkcyjne innego pokroju, jednak rzadko.

Taki stan zastałyśmy w sierpniu 1943 roku, kiedy mój transport z Francji został skiero-

wany do bloku nr 10. Na sprawy zasadnicze nie mogłyśmy mieć wpływu w obozie, ale grupa nasza, tzn. więźniarki polityczne, uczestniczki ruchu oporu we Francji, spróbowała wpłynąć na atmosferę w bloku, zależną od spięć między więźniarkami. I to się udało. Jednym z ogniw działających w tym kierunku był *Bernard*. Wpłynął on na *Różenkę*, od której, jako zastępczyni blokowej, wiele zależało. W tym czasie „panowały" Słowaczki. Próbowałam, korzystając ze znajomości języka czeskiego, przemówić im do sumienia. Ale szkoda było słów. Szermowały argumentem, że są w obozie już od dwóch lat i gorsze rzeczy musiały przeżyć. Póki byłam jedną z wielu z ogoloną głową, w śmiesznej, czerwonej sukni ze złotymi cekinami, którą dostałam jako pierwszy strój w obozie, syte, dobrze ubrane Słowaczki nie reagowały na moją logiczną argumentację.

Ale *Bernard* zrozumiał w lot, o co mi idzie. I czego nie mogłam dokazać, udało się jemu. *Różence*, która odnosiła się do niego z sympatią, przemówił do przekonania. *Bernard* umiał szybko zorientować się, jaki *Różenka* miała charakter, i w rozmowach z nią potrafił właściwie wpłynąć na jej myśli i postępowanie. Przyczynił się w ten sposób do poprawy jej stosunku do nas, przebywających wtedy w dziesiątym bloku. Nie wiem, co mówił, ale uzyskał wynik szybki i wyraźny. *Różenka* zmieniła się tak, że zaczęła sama używać naszych argumentów w stosunku do swoich Słowaczek i tłumaczyć im, że więźniowie nie powinni pomagać esesmanom w gnębieniu więźniów, a odwrotnie, powinniśmy sobie sprzyjać i zachowywać się z godnością. *Różenka* przestała krzyczeć i dbała o to, żeby inne również zachowywały się przyzwoicie, a że miała też wpływ na *aufzejerkę*, niejedno można było dzięki niej załatwić. Na dobro uwięzionych kobiet wpłynęło korzystne oddziaływanie *Bernarda* na psychikę tej prymitywnej, ale rozsądnej i w istocie na pewno niezłej dziewczyny.

Bernard Świerczyna nie przeżył obozu, z którego pragnął uciec do partyzantki. Grupowa ucieczka przywódców obozowego ruchu oporu, podjęta w październiku 1944 roku, nie powiodła się. Zostali oni schwytani i po długim śledztwie straceni w dniu 31 grudnia 1944 roku w czasie publicznej egzekucji na placu apelowym przez powieszenie. Wśród powieszonych zginął *Bernard*.

Jego tragiczne losy znane są większości byłych więźniów Oświęcimia. Myślę o nim często, bo jest dla mnie przykładem, jak w każdych warunkach wzajemne oddziaływanie ludzi na ludzi może być decydujące dla ich losu. Tym bardziej że obóz był obrazem życia w warunkach nienormalnych i nieludzkich, właśnie na tym tle odcinały się uczucia i czyny wzniosłe, które z pewnością warte są przypomnienia.

ZBIGNIEW KĄCZKOWSKI Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 125727

Próba ucieczki z obozu oświęcimskiego

Z zamiarem ucieczki nosiłem się [1] już od wiosny 1944 roku. 13 stycznia tegoż roku zmarła w obozie kobiecym moja matka, dr med. *Zofia Kączkowska* (nr obozowy 46442), przestałem się więc obawiać, że moja ucieczka mogłaby spowodować jakieś represje w stosunku do niej. Zacząłem się rozglądać za możliwościami wyjścia z obozu. Pracując w szpitalu (blok 21) nie miałem zbyt wielkich możliwości, bo prawie nie wychodziłem z terenu małej *postenketty* [2].

Jeden z chorych, którego nazwiska nie pamiętam, imieniem *Józek*, radził mi skorzystać z pewnej kryjówki na terenie *„Bauhofu"* [3]. Od czasu do czasu chodziliśmy tam, ciągnąc *rollwagę*, aby z jednego z magazynów zabrać wodę sodową dla szpitala *SS*. Według projektu *Józka* należało zdobyć klucz od tego (lub innego) magazynu, wejść do środka, od wewnątrz otworzyć drugą bramę zaryglowaną tylko od środka, zamknąć drzwi, którymi się weszło, aby ostatecznie zaryglować się wewnątrz, a nocą opuścić kryjówkę i przejść linię dużej *postenketty* [4]. Projekt ten jednak w moich warunkach był bardzo trudny do zrealizowania. Poza tym, nie mając kontaktów po drugiej stronie drutów, mogłem się obawiać rychłego schwytania w drodze do Generalnej Guberni.

Nie przypominam już sobie, w jaki sposób o moim zamiarze ucieczki dowiedział się *Józef Cyrankiewicz*. Wydaje mi się, że skontaktował nas *Tadeusz Hołuj, szrajber* w moim bloku, albo dr *Steinberg*, Żyd francuski, pracujący też w 21 bloku. W każdym razie kontakt ten został nawiązany. *Cyrankiewicz* przebywał wówczas w sąsiednim bloku 20 „w charakterze chorego". Do tej grupy należał również dr *Kłodziński*, który zaszczepił mi szczepionkę weiglowską przeciw durowi wysypkowemu, oraz pewien Austriak.

[1] Autor przebywał w Oświęcimiu jako *Zbigniew Kaczanowski*.
[2] Wewnętrzny łańcuch straży.
[3] Magazyny budowlane.
[4] Zewnętrzny łańcuch straży.

Józef Cyrankiewicz skontaktował mnie z kucharzem zatrudnionym w kuchni esesmanów, o którym wiem tylko tyle, że był oficerem zawodowym i że nosił okulary [5]. Według planu ucieczki przedstawionego mi przez *Cyrankiewicza* miałem ukryć się nad jadalnią *SS*, w nocy przejść linię *postów* i w bród przedostać się na drugą stronę Soły, a następnie idąc w górę rzeki, natknąć się w odległości około 2,5 km na most drewniany, przed którym znajdowały się zarośla wikliny. Dochodząc tam miałem gwizdnąć melodię „Hej, góral ci ja, góral". Oczekujący tam łącznik miał się mną dalej zaopiekować. Dokładną instrukcję dotyczącą drogi i sposobu skontaktowania się z łącznikiem otrzymałem bezpośrednio od dr *Stanisława Kłodzińskiego*.

Cyrankiewicz był osobiście zainteresowany moją ucieczką. Istniała bowiem możliwość, rozważana przez nas, abym uciekł razem z nim. Miałem możliwość wyprowadzenia go poza teren małej *postenketty*, wychodząc z obozu jako kapo *rollwagi*, obsługiwanej zazwyczaj przez kilkunastu *pflegerów* lub rekonwalescentów. O ile pamiętam, *Cyrankiewicz* miał ochotę skorzystać z tej okazji. Zachodziła jednak obawa, że któryś z esesmanów rozpozna go podczas przechodzenia przez bramę, co mogłoby skończyć się dla niego tragicznie z uwagi na to, że był on obowiązany nosić czerwony punkt [6]. Ostatecznie zapadła decyzja, że ucieknę sam.

W przeddzień ucieczki, wieczorem, poprosiłem *Staszka Oszackiego*, który był blokowym w bloku 21, aby wysyłając następnego dnia *rollwagę*, wyznaczył mnie na jej kapo. Wyjaśniłem mu, że da mi to większą swobodę w zamierzonej „organizacji". *Staszek* nie był zorientowany w rzeczywistych moich planach.

We czwartek, dnia 27 lipca 1944 roku około godziny 9 wyszedłem więc z obozu jako kapo *rollwagi*, mając ze sobą kilkunastu ludzi ciągnących i popychających wóz. Niespodziewanie dla mnie przydzielono mi konwojenta w osobie młodego esesmana. Na szczęście w pewnym momencie *post* ten zwrócił się do mnie, abym poprowadził sam *rollwagę*, gdyż on ma coś do załatwienia w „rewirze" *SS*. Gdy tylko zniknął mi z oczu, poprosiłem kolegów, aby jechali sami, ponieważ chciałbym „zorganizować" coś w pobliskiej rzeźni.

Zbliżając się do jadalni *SS*, z daleka już dojrzałem owego okularnika, obierającego ziemniaki. Skinął mi głową na znak, że droga wolna. Niezauważony przez nikogo wszedłem tylnym wejściem do jadalni *SS*, a ściślej — na scenę oddzieloną od właściwej jadalni kurtyną. Po żelaznych schodach i przygotowanym krzesełku dostałem się na poddasze. Przyzwyczajając się stopniowo do panujących tam ciemności, posuwałem się ostrożnie w głąb, bacząc, aby stąpać tylko po belkach. Do belek tych od spodu przybita była tektura, przysypana z wierzchu watą szklaną. W straszliwym upale czekałem kilka godzin na odezwanie się syreny obwieszczającej ucieczkę więźnia. Dopiero po południu rozpoczęły się poszukiwania. Do mojej kryjówki oczywiście nikt nie zajrzał.

Wieczorem odbył się na scenie jakiś koncert estradowy, po którym jadalnia opustoszała. Zszedłem ostrożnie na dół i opuściłem budynek, aby spróbować szczęścia. Ponieważ jednak silne reflektory oświetlały z budek strażniczych cały teren dużej *postenketty*, wróciłem do swojej kryjówki, wiedząc o tym, że duża *postenketta* po trzech dniach zostanie na noc ściągnięta. Nie warto było ryzykować. Przez środek strychu biegł pomost utworzony z ułożonych na belkach desek. Na tym pomoście, szerokości około 80 cm, spędziłem noc.

Koło południa następnego dnia ujrzałem z przerażeniem, że ktoś wszedł na górę i ostrożnie posuwał się w moją stronę. Okazało się, że jest to już następny uciekinier korzystający z tej samej drogi. Był to kapitan *Jerzy Sokołowski*, zajmujący się w organizacji kierowanej przez *Cyrankiewicza* szyfrowaniem i rozszyfrowywaniem korespondencji prowadzonej między organizacją obozową i krajem.

Po wysłuchaniu wieczornego koncertu wyszliśmy z zamiarem przejścia przez *postenkettę* obok betonowych rur kanalizacyjnych, leżących mniej więcej na wprost naszej meliny. Reflektory wprawdzie nie świeciły, ale gęsto rozstawiony łańcuch *postów* skłonił nas do zaniechania i tym razem naszego zamiaru. Liczyliśmy na to, że najpóźniej w niedzielę *postenketta* zostanie ściągnięta.

Wróciwszy do naszej kryjówki, położyłem się znowu na owym pomoście. Zachęcałem do tego również swego współtowarzysza, który jednak uważał, że należy odsunąć się dalej od sceny. Idąc dalej, zgubił kierunek i natrafiwszy nogą w próżnię (obok pomostu), wywrócił się z hałasem na sufit. Na szczęście nie spadł do jadalni, lecz zatrzymał się na belkach konstrukcji. Ponieważ jednak przebił ręką dziurę w suficie, trzeba było uznać kryjówkę za spaloną.

Wyszliśmy więc ponownie z budynku, świadomi, że droga powrotna jest odcięta. Przez linię *postów* postanowiliśmy przejść tuż koło budki strażniczej, ponieważ strażnik stojący wysoko mniej widzi w nocy aniżeli *post* chodzący po ziemi. Zdjąwszy buty, aby nie robić hałasu przy przebieganiu przez żwirowaną szosę, doczołgaliśmy się bruzdami ziemniaczanymi na odległość niespełna 4 metrów od rowu przy szosie. Ten ostatni odcinek, porośnięty wysoką trawą, należało przebyć skokiem. Nie wiedzieliśmy, że nad samym rowem rozpostarty był niski zasiek z drutu kolczastego, na który wywróciliśmy się, czyniąc tym sporo hałasu. Hałas ten sprowadził oczywiście *posta*, który stanął nad nami po przeciwnej stronie rowu. Byłem zdecydowany rzucić się na niego, uważając to za jedyną możliwość ocalenia. Kolega mój siłą przytrzymał mnie na ziemi.

Tymczasem mijały długie sekundy, wyda-

[5] Był to *Piotr Piąty* (przyp. red.).

[6] Znak na ubraniu obozowym więźnia, któremu nie wolno było wychodzić poza ścisły obręb obozu.

jące się nam godzinami, a *post* stał na miejscu i prawdopodobnie przyglądał się nam. Coraz mniej rozumiałem, na co on czeka. Wreszcie odszedł pozostawiając nam wyraźnie otwartą drogę na wolność. I tacy ludzie zdarzali się wśród *postów!* Podejrzewaliśmy jednak, że nie był to Niemiec.

Nie zważając już zupełnie na zgrzytanie drutów, wydobyliśmy się z zasieku, przebiegliśmy szosę, przeskoczyliśmy przez niski faszynowy płotek i znaleźliśmy się nad Sołą. Kilkadziesiąt kroków wyżej przeszliśmy w bród przez rzekę.

Po drugiej stronie prawie biegiem (dla rozgrzewki) posuwaliśmy się w górę rzeki, przedzierając się przy tym przez porastające brzeg wikliny. Szliśmy tak do świtu, pogwizdując stale umówioną melodię, ale niestety do mostu nie doszliśmy. W pewnym momencie zarośla się urwały, a we mgle porannej dojrzeliśmy podrywające się z ziemi sylwetki żołnierzy biegnących tyralierą. Z dalszego marszu musieliśmy zrezygnować.

Zatrzymaliśmy się więc nad stromym w tym miejscu brzegiem rzeki pomiędzy krzewami jeżyn i leszczyny. Zdjąwszy buty, z których trzeba było wylać wodę, suszyliśmy się i grzali na słońcu, które wkrótce wzeszło. Około godziny 11 natknęli się tam na nas starszy mężczyzna i chłopak mniej więcej siedmioletni, którzy dopóki nas nie dostrzegli, rozmawiali z sobą po polsku.

Trzeba tu wyjaśnić, że zgodnie z otrzymaną instrukcją miałem uciekać w pasiakach, a ubranie cywilne powinienem otrzymać od łącznika. Ponieważ jednak *Jurek Sokołowski* miał dwa kombinezony robocze, ubrałem się w jeden z nich. Obaj byliśmy więc w kombinezonach włożonych na lewą stronę, aby ukryć czerwone lampasy. *Jurek* zabrał jednak z sobą czapkę pasiastą, aby przy przechodzeniu *postenketty* nie błyszczeć zbytnio ostrzyżoną głową. Ja byłem z gołą głową, również starannie ostrzyżoną. Nie trudno więc było zorientować się owemu starszemu mężczyźnie, kogo ma przed sobą.

Po chwili chłopak wracając, przeszedł znów koło nas, przyglądając się nieufnie. Wkrótce zbliżył się do nas stary, pytając, czy nie widzieliśmy małego. Wywiązała się krótka rozmowa po polsku, z której dowiedzieliśmy się, że stary jest wujem chłopaka i że niedawno przyjechał z Tczewa. Gdy tylko stary się oddalił, zrozumiałem, że chłopak poszedł na policję. Próbowałem bezskutecznie przekonać swego towarzysza o konieczności natychmiastowej ucieczki z tego miejsca. Niestety, byliśmy już otoczeni przez żołnierzy z artylerii przeciwlotniczej (*Flakartillerie*), prowadzonych przez małego *volksdeutscha*.

Żołnierze zaprowadzili nas na posterunek żandarmerii w miejscowości Grojec, koło której się znajdowaliśmy. Tam ów mały chłopiec, *Bogdan Mikołajczyk*, otrzymał od komendanta posterunku kilka cukierków w nagrodę za swój szlachetny czyn.

Stojąc przez kilka godzin skuci razem przed posterunkiem, mogliśmy szczegółowo omówić ze sobą zeznania, jakie przyjdzie nam złożyć w obozie. Chodziło o to, aby przypadkiem nie zaplątać w naszą sprawę osób, które ułatwiły nam wyjście za druty. Po południu wyszliśmy pieszo pod eskortą w stronę obozu. Po drodze spotkała nas karetka więzienna, z której wysypali się esesmani jadący po nas. Z radości spowodowanej spotkaniem skopali nas porządnie i wkopawszy nas do samochodu, zawieźli pod *Politische Abteilung*, gdzie oczekiwał nas już *Boger*.

Boger przeprowadził bardzo szczegółową rewizję, kazawszy nam rozebrać się do naga. Pozwolił mi jednak zostać w slipach, dzięki czemu nie znalazł małego woreczka przyczepionego w najniższym miejscu slipów, a zawierającego kilka złotych przedmiotów, znalezionych bądź nabytych przed ucieczką. W woreczku tym znajdował się między innymi pierścionek mojej matki, który mi po jej śmierci przesłały jej koleżanki z obozu żeńskiego. Tymczasem zjawił się również *lagerführer Franz Hössler*, który nie mógł pojąć, dlaczego więzień nie cierpiący głodu, mający możliwość pójścia na mecz bokserski, do kina lub do „pufu" [7], rezygnuje z jego ojcowskiej opieki i próbuje uciekać. Każdy z nas próbował na swój sposób wyjaśnić mu motywy ucieczki: ja tęsknotą do żony i córeczki, której jeszcze nie znałem, Jurek — obawą, że w przypadku likwidacji obozu z powodu zbliżania się „nieprzyjaciela", Polacy zostaną wybici. Oczywiście moje tłumaczenie bardziej przypadło do gustu sentymentalnemu Niemcowi aniżeli *Jurka*. Najważniejsze, że obu nam uwierzył.

Po wstępnym badaniu kazali nam prowadzić się wzdłuż trasy ucieczki. Zaprowadziłem ich na *„Bauhof"*, gdzie wskazałem jeden z magazynów, twierdząc, że w nim się ukryłem. Opowiedziałem przy tym ową bajeczkę opisaną uprzednio. Poza szczegółem, że patentowy zamek otworzyłem za pomocą wytrycha, we wszystko uwierzyli. Podejrzewali jednak, że byłem w zmowie z esesmanem, mającym klucz od magazynu. Okazało się wszakże, iż jest on na urlopie, a nikt poza nim nie ma klucza. Nie można więc było nawet sprawdzić, czy rzeczywiście mój opis wnętrza magazynu zgadza się ze stanem faktycznym. Również *Jurkowi* udało się wskazać na terenie *„Bauhofu"* kryjówkę, z której skorzystanie było prawdopodobne. Mianowicie w ogromnej, na kilka metrów wysokiej stercie pustaków ceramicznych (*Ackermana*) znajdowało się naturalne zagłębienie między konarami drzewa rosnącego w środku sterty.

Następnie rozdzieliliśmy się. *Jurek* poszedł pokazać miejsce, w którym rzekomo przeszedł linię *postów*, ja zaś, zgodnie z naszą umową, poszedłem wskazać rzeczywistą trasę naszej ucieczki. Z daleka już dostrzegłem z przerażeniem wyraźne dwa równoległe ślady przejścia przez zarośnięty trawą rów. Wybiegłem więc

[7] Obozowy dom publiczny.

szybciej naprzód i depcąc jeden ze śladów wskazywałem nadchodzącym za mną Niemcom drugi ślad. Byli wyraźnie zadowoleni, że mówię prawdę.

W drodze powrotnej intensywnie myślałem, jak wytłumaczyć się z posiadania klucza do zamka patentowego, bo wytrych rzeczywiście nie mógł tu być przydatny. Po przyjściu do *Politische Abteilung* miałem już gotowe tłumaczenie. Wyjaśniłem, że biorąc kiedyś z tego magazynu wodę sodową, spostrzegłem wiszący przy kłódce pęk kluczy. Odcisnąłem więc w chlebie potrzebny mi klucz, a jeden z obozowych kryminalistów-fachowców sporządził mi na podstawie odcisku odpowiedni klucz. Podałem przy tym nazwisko „zielonego" Niemca, który niedługo przedtem poszedł do wojska. I w to uwierzyli.

Zbliżał się czas wieczornego apelu. Zaprowadzono nas przed 24 blok, gdzie na środku obozowej ulicy ustawiono stół. Od bramy do owego stołu prowadził mnie esesman *Kaduk* w ten sposób, że trzymał mnie za kark i szybko biegnąc przyginał mnie jak najniżej do ziemi. W końcu z zamachem puścił mnie naprzód, chcąc mnie przewrócić. Nie udało mu się. Stanęliśmy obaj na stole. Dano nam do rąk tablicę z napisem: *Hurra, hurra, wir sind wieder da! Kommanda* wracające z pracy przedefilowały przed nami w ten sposób, iż piątki rozdzielały się przed naszym stołem, tak że znajdowaliśmy się wewnątrz nurtu idących więźniów. Po „defiladzie" dano nam do rąk werble, ale zrezygnowano z oprowadzania nas po obozie. Zaprowadzono nas przed kuchnię, gdzie po przemówieniu *Hösslera* otrzymaliśmy na koźle po 25 razów „bykowcem". Gdy po egzekucji *Rapportführer SS-Oberscharführer Wilhelm Clausen* kazał mi zrobić 10 przysiadów, byłem przekonany, że to dodatkowa kara. Jednak już po pierwszym przysiadzie przekonałem się, że się mylę. Doznałem ogromnej ulgi, a jednocześnie odniosłem wrażenie, że spodnie wypełniają mi się krwią, tak mi się tam zrobiło gorąco.

Po apelu zaprowadzono nas na 28 blok, gdzie wysmarowano nam pośladki *ersatzem* jodyny, tzw. sepsem. Przy tej okazji udało mi się wręczyć uratowany w czasie rewizji woreczek *Józefowi Weberowi* i *Czesławowi Sowulowi*.

Warto może jeszcze wspomnieć o naszym pobycie w bunkrze na 11 bloku, gdzie pozostawaliśmy do 13 sierpnia 1944 roku, tj. przez kilkanaście dni. W naszej celi siedział w tym czasie *Edek Galiński*, słynny ze swej ucieczki z Brzezinki w dniu 24 czerwca 1944 r. wraz z Żydówką z Antwerpii, *Malą Zimetbaum*. Ucieczka ta jest jednym z motywów filmu *Wandy Jakubowskiej* „Ostatni etap". Nadano jej co prawda zbyt duże znaczenie polityczne. Jedyną rzeczą prawdziwą była gorąca miłość tych dwojga młodych ludzi. Miłość ta nie wygasła i w ponurym bloku śmierci. Co noc przykładając usta do szpary w drzwiach, *Edek* wygwizdywał pewną oryginalną melodię, na którą otrzymywał gwizdaną odpowiedź w tej samej melodii od siedzącej w którejś z innych odległych cel *Mali*. Historię ich obojga opisał *T. Sobański* w swojej książce „Ucieczki oświęcimskie". *Edek* został powieszony w obozie 15 września 1944 r., a *Mala* na widok jego egzekucji popełniła samobójstwo. Prócz niego przewinęło się przez naszą celę czterech Czechów (w tym jeden Żyd czeski), którzy zostali również złapani podczas ucieczki. Ów Żyd został któregoś dnia (około 10 sierpnia) wyprowadzony na plac apelowy, gdzie dwukrotnie wieszany, dwukrotnie urywał się ze stryczka. Wieczorem wyjechał do gazu.

W parę dni po przybyciu do bloku 11 otrzymaliśmy od *Cyrankiewicza* „gryps" ukryty w papierosie, z którego między innymi dowiedzieliśmy się o wybuchu powstania w Warszawie.

Uniknęliśmy śmierci może dzięki temu, że w tym okresie zelżał już nieco reżim obozowy. Dnia 13 sierpnia wyjechaliśmy w karnym transporcie do Buchenwaldu, skąd po kilku dniach wysłano nas do Dory. Szczęśliwym trafem papiery nasze zaginęły. Podobno w czasie bombardowania Buchenwaldu spaliły się. W związku z tym w Dorze pracowaliśmy już jako zwykli więźniowie bez czerwonego punktu. Niestety z przyczyn trudnych dziś do wyjaśnienia po pewnym czasie przypomniano sobie o *Jurku*, który dostawszy czerwony punkt pracował odtąd w *Sonderkommando*. Stamtąd został wysłany w czasie ewakuacji Dory w pierwszych dniach kwietnia 1945 roku jednym z pierwszych transportów, o którym chodziły później wieści, że został on zbombardowany [8].

Do końca pracowałem pod ziemią jako *szrajber* w *Bereitstellungslager III* w firmie „Zawadsky". W obozie starałem się podtrzymywać ducha rodaków, deklamując po rozmaitych sztubach i blokach wiersze patriotyczne. Szczególnie mocne wrażenie zawsze robił znany wiersz *Jana Kasprowicza:*

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha...

[8] W r. 1965, po ukazaniu się w Przekroju (nr 1064 i 1067) mego listu do redakcji w sprawie *Bogera*, zgłosił się do mnie *Jerzy Sokołowski*, który mieszka i pracuje w Warszawie.

„Dobrobyt ogółu, jego stan moralny i poziom kultury, moc wewnętrzna i obronna państwa nie są niczym innym jak wykładnikiem sprawności, dzielności i moralności jego obywateli, wykładnikiem ich zdrowia fizycznego, umysłowego i moralnego".

W. Szenajch: Myśli lekarza. PZWL, Warszawa 1958, str. 11.

ANTONI MAKOWSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 131791

Warszawa

Wspomnienia lekarza z obozów koncentracyjnych w Monowicach, Buchenwaldzie i Zwieberge-Langensteinie [1]

24 kwietnia 1945 r. Halberstadt, Harz, Niemcy. 20 Field Hospital U.S. Army.

Od dwóch dni znajduję się w szpitalu polowym 9. armii amerykańskiej, znajdującym się w Halberstadcie. Stało się to zupełnie niespodziewanie, gdyż wojsko amerykańskie w ciągu trzech dni ewakuowało cały obóz, przewożąc wszystkich do szpitala polowego, a razem ze wszystkimi także i nas — personel szpitala obozowego.

Z rozgwaru ostatnich dni w obozie po wyzwoleniu nas przez Amerykanów, z koszmarnych dni obozowych przeszedłem nagle do krańcowego spokoju, do zorganizowanego, dostatniego życia amerykańskiego wojska. Kontrast tak nagły, tak dziwny, że aż się prawie wierzyć nie chce, aby to wszystko mogło być prawdziwe. Mundur, który tu włożyłem zaraz po przyjeździe z obozu, koleżeńskie, przyjacielskie wprost traktowanie lekarzy — oficerów amerykańskich, praca lekarska w porządnym szpitalu, wszystko to stwarza warunki psychicznego uspokojenia, nerwowego i fizycznego odpoczynku.

Kiedy przeto, leżąc w swojej kwaterze i mając dużo wolnego czasu, sięgam pamięcią w przeszłe przeżyte chwile, przychodzi mi na myśl, że dobrze by było utrwalić na piśmie swoje wrażenia i przeżycia z obozu, jeśli w ogóle to wszystko da się opisać i zobrazować.

Logicznie biorąc, byłoby najsłuszniej zacząć od aresztowania, od więzienia w Opatowie lub od początku pobytu w Oświęcimiu-Brzezince czy w Bunie-Monowicach. Lecz szczegóły tamtego odległego okresu zatarły się już częściowo w pamięci, zacznę tedy od momentu ewakuacji obozu w Monowicach w obliczu rozpoczętej ofensywy rosyjskiej w połowie stycznia 1945 roku.

* * *

Na początku roku 1945 obóz koncentracyjny Monowice-Buna pod Oświęcimiem, zwany obozem pracy, liczył z górą 11 tysięcy ludzi. Skład narodowościowy według niemieckiej klasyfikacji rasowej przedstawiał się w przybliżeniu następująco: Polacy — 80, Niemcy — 600, Francuzi, Włosi i inni — 600 (razem 1280), Żydzi niemieccy — 250, polscy — 4 000, węgierscy — 4 000, francuscy — 1 000, inni — 500 (razem 9 750). Z tej liczby przeszło 1 000 osób znajdowało się w *KB (Krankenbau* — szpital obozowy). Poza tym było około 200 chorych zwolnionych od pracy.

Pracowałem w szpitalu jako lekarz oddziału wewnętrznego I. Razem ze mną byli tu zatrudnieni następujący Polacy: dr *Stefan Budziaszek* z Krakowa, dr *Czesław Jaworski* z Warszawy, dr *Bronisław Rutkowski* z Warszawy, *Leon Sylman* z Częstochowy, *Mieczysław Maneli* z Warszawy, dr *Zenon Drohocki* z Krakowa, *Józef Czylok* z Krakowa, *Eugeniusz Niedojadło* z Tarnowa, *Jerzy Kowalski* z Warszawy, *Gustaw Kwaśny* z Krakowa, *Franciszek Kmieciński* ze Zduńskiej Woli, *Edward Nowakowski* z Warszawy i *Mieczysław Pospieszyński* z Warszawy.

Pozostali Polacy w obozie też mieli jakieś funkcje: w orkiestrze, magazynie, stolarni, kuchni, pracowali jako technicy-elektrycy.

Buna. Fabryka, której budowę rozpoczęto w r. 1940 rękami więźniów Oświęcimia, była olbrzymim kompleksem fabrycznym. Zatrudniała ona około 30 tysięcy robotników wszelkiej kategorii i narodowości: *häftlindzy* z naszego obozu, Polacy z cywilnych obozów pracy przymusowej, jeńcy wojenni Anglicy, cywilni robotnicy: Niemcy, Francuzi, Włosi, Rosjanie, mężczyźni i kobiety. Produkowało się tu ostatnio karbid, metanol (alkohol metylowy) i bunę (syntetyczną gumę).

* * *

Około 15 stycznia 1945 roku można było zaobserwować olbrzymie poruszenie w obozie. Rozpoczęła się ofensywa rosyjska na froncie wschodnim, który był od nas odległy o około 120—140 km. Słychać było strzały ciężkiej artylerii niemieckiej. Co noc bombardowania w bliższej i dalszej okolicy z oświetlaniem terenu rakietami na spadochronach, „świecami Stalina".

W związku z ofensywą spodziewamy się

[1] Skrót obszernego pamiętnika dr *Antoniego Makowskiego*, który został wywieziony do Oświęcimia w lipcu 1943 roku. Od września tegoż roku aż do ewakuacji 19 stycznia 1945 roku pracował jako lekarz w podobozie Buna-Monowice. Następnie przebywał w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, a od 10 lutego 1945 roku w jego filii Zwieberge-Langenstein w górach Harzu pod Halberstadtem. Tam 12 kwietnia 1945 roku został uwolniony przez wojska amerykańskie. Do 29 maja 1945 roku był lekarzem w amerykańskim szpitalu polowym, gdzie leczono byłych więźniów obozu. Duża część pamiętnika, nie publikowana, dotyczy tego okresu życia autora (przyp. red.).

ewakuacji obozu. Przygotowania do tej ewakuacji czynione były już dawniej. W połowie grudnia zażądano od *KB* zestawienia, ilu w przybliżeniu chorych jest zdolnych do marszu, odbywały się kwalifikacje. Pomimo tego gorączkowego nastroju praca w warsztatach *KB* nad ukończeniem instalacji aparatu rentgenowskiego idzie całą parą. 15 stycznia dokonuje się pierwszego próbnego zdjęcia. Na zębowej kliszy prześwietlony palec ręki. Aparat funkcjonuje dobrze; szkoda, że nie będzie nam już służył.

W tym samym dniu bowiem przygotowania do ewakuacji *KB* wyraźnie się wzmagają, otrzymaliśmy rozkaz wypisania do obozu wszystkich chorych zdolnych do marszu, spakowania lekarstw i narzędzi. Te zarządzenia, wydawane przez lekarza obozowego *SS-Untersturmführera* dr *Königa*, traktuje się jeszcze niby prowizorycznie, „na wszelki wypadek", ale wszyscy zdają sobie sprawę, że to tylko mydlenie oczu i ewakuacja jest kwestią dni, jeżeli nie godzin. Toteż niezależnie od przygotowań ogólnych trzeba myśleć o zestawieniu sobie ekwipunku marszowego.

Stefan Budziaszek wydostał z magazynu kilka plecaków, które rozdzielił między swych najbliższych. O żywność mamy się zasadniczo sami starać. Ja mam jeszcze kawał słoniny, trochę cukru i suszonych owoców z ostatniej mojej paczki sprzed świąt Bożego Narodzenia. Chleba będziemy mieli chyba wystarczająco.

Ubranie mam zupełnie dobre, gdyż przewidując możliwość takiego nadzwyczajnego przymusowego spaceru, od dłuższego czasu przygotowywałem sobie różne części odzieży, naprawiałem buty, skarpetki, rękawice itd. Jednak wielu ludzi pracujących na moim oddziale nie ma wystarczającej odzieży. Braki te staram się uzupełnić, szukam dodatkowych bluz, swetrów, płaszczy, co mi się w dużej mierze udaje.

Grupę naszą stanowią: dr *Karol Sperber* z Pragi czeskiej — chirurg, *Józef Czylok* — pielęgniarz I sali, *Kurt Littwitz* z Wrocławia — pielęgniarz II sali, dr *Schönzweig* z Węgier — pielęgniarz II sali, *Otto Schuller* z Hodonina w Czechosłowacji (wyżywienie) oraz kilka osób z tzw. kursu dla lekarzy, które nie pracują oficjalnie w *KB*: dr *Spazierer* z Nicei, dr *Weiner* z Węgier, dr *Bela Fischer* z Węgier.

17 stycznia zapanował całkiem nastrój przedewakuacyjny. Szycie rękawic, chlebaków, plecaków itp., rozmowy, dyskusje, dociekania: dokąd, kiedy, jak? Czy uciekać? Czy będzie można? „Kommanda" pracujące w fabryce jeszcze normalnie wychodzą do pracy, ale w fabryce nie ma już żadnej pracy. Przyszło zarządzenie, że obóz ma maszerować grupami po tysiąc ludzi i że do każdej grupy trzeba przydzielić po kilkunastu ludzi z *KB*. Na przodzie ma jechać wózek *KB* ze sprzętem i materiałem, ciągnięty przez personel szpitala, a w połowie i na końcu kolumny dwa posiadane przez nas wózki-nosze. Siedzimy do późna w nocy, nie mając właściwie nic konkretnego do roboty. Zrozumiałe podniecenie spędza nam sen z powiek.

Około północy zjawił się nagle nasz bezpośredni zwierzchnik, pomocnik lekarza obozowego, podoficer sanitarny *SS Neubert* [2] i własnoręcznie zabrał kartotekę z ambulansu *KB* oraz papiery dotyczące chorych, zaniósł je do maszyny parowej przy dezynfekcji i spalił.

Rankiem następnego dnia wszyscy pozostali w obozie, nikt nie wyruszył do pracy. Komendantura *SS* pali swoje papiery. Przyjeżdża *Lagerarzt* i osobiście sprawdza, kogo zakwalifikowaliśmy jako niezdolnego do marszu. Wszyscy w obozie starają się wyekwipować jako tako do drogi. Wolno zabierać, co tylko kto chce. Magazyn wydaje wszystkie posiadane ubrania i bieliznę. Z Oświęcimia mają przywieźć dodatkowo kilka tysięcy kompletów. Spodziewamy się z godziny na godzinę rozkazu do wymarszu.

Nagle po południu gong, zbiórka i większość obozu wyrusza do fabryki, „do pracy". Całkowita dezorientacja.

W szpitalu sytuacja nasza jest bardzo trudna. Miałem dotychczas prawie nieograniczone zaufanie chorych na moim oddziale. Starałem się zawsze iść prostą drogą i jedynie w najtragiczniejszych momentach transportów do Brzezinki ukrywałem prawdę, co do której miałem prawie sto procent pewności. Teraz od mojego sumienia i decyzji zależy, czy ludzie mają pójść z nami, czy zostać. Zostać na niepewne. Co zamierza *SS* zrobić z chorymi pozostałymi w obozie, nie wiadomo. Znając bezwzględność postępowania Niemców, można się spodziewać najgorszego. Z drugiej strony, polecono przecież pozostawić 18 lekarzy, starszych i słabszych, którzy nie mogą maszerować, dla opieki nad chorymi. To mogłoby świadczyć, że chce się chorych porzucić, a nie likwidować. Druga ewentualność: marsz. Połowa stycznia, mróz, śnieg. Należy się liczyć, że pójdziemy co najmniej kilkadziesiąt kilometrów. Kto będzie słaby, padnie w drodze i nikt go nie podniesie.

W tej sytuacji ja mam decydować. Niektórzy muszą zostać (pneumonie, stany po pneumoniach, stany po niedawnych operacjach), wielu może iść, ale z największym wysiłkiem. Tym zostawiam do pewnego stopnia wybór, starając się przedstawić sytuację, w jakiej się znajdujemy. Musiałem zakwalifikować do pozostania między innymi 52-letniego *Alberta Tadlewskiego*, pianistę, ucznia Paderewskiego. Leżał on od przeszło miesiąca w *KB* ze stanami podgorączkowymi (podejrzewaliśmy gruźlicę nerek i płuc), a kilka dni temu zemdlał, wracając z umywalni. Do marszu całkowicie niezdolny. Przyjął ten fakt spokojnie, a ja go zapewniałem, bez większego przekonania zresztą, o całkowitym bezpieczeństwie. Ogółem pozostało w *KB* około 900 chorych nie mogących się zdobyć na wysiłek marszu.

Po południu przyszedł jeszcze lekarz *SS König* i kazał sobie przedstawić wszystkich

[2] Skazany w drugim procesie frankfurckim w r. 1966.

„aryjczyków", którzy mieli pozostać. Nic nie zmienił, nic nie powiedział, ale jego kontrola znów nas zaniepokoiła.

19 stycznia kończymy gorączkowo przygotowania do marszu, który definitywnie ma dziś nastąpić [3]. Rano dostaliśmy bieliznę, gotowane jedzenie i chleb. Czekamy na wymarsz, który się rozpoczyna o godz. 15. Nasza grupa ma wyjść najpóźniej, o 19. Jeszcze straszny nie do opanowania bałagan przy wydawaniu dodatkowego chleba, ostateczne przekazanie szpitala lekarzom, którzy mają pozostać (są to przeważnie Węgrzy) i wreszcie wieczorem wymarsz w zupełnych już ciemnościach.

Droga prowadzi nas wzdłuż fabryki buny, przez Oświęcim. Eskorta *SS* pogania nas, jak dotychczas tylko głosem. Niektórzy, zwłaszcza starsi, już na początku tego forsownego marszu są zmęczeni. Z trudem idzie *Tony Braunsberg*, nasz „nadworny" fryzjer w szpitalu, już od ośmiu lat przebywający w obozach.

Pogoda dość nam sprzyja. Nie ma wielkiego wiatru, jest tylko, jak się wydaje 5—7° mrozu, śnieg nie pada, szosa jest dość twarda, ubita, świeci księżyc, jest na ogół dość jasno.

Kolumna marszowa rozciąga się wyraźnie. Za Oświęcimiem zaczynamy spotykać maruderów, którym siły odmawiają posłuszeństwa. Wloką się zaledwie lub leżą przy drodze. Próbujemy im pomóc w marszu. Razem z *Karlem Minzem* (z magazynu żywnościowego *KB*) i z *Kapłanem* (z warsztatów) podnosimy niektórych, lecz próżny to trud. Po dwóch krokach zrobionych z naszą pomocą ludzie ci pozostawiają po prostu nogi za sobą. U jednego z nich stan kolapsu, przy którym byłoby wymagane ciepłe łóżko, leżenie przynajmniej przez 5—6 dni, zastrzyki kardiazolu. Cóż możemy mu ofiarować? Nie mamy nawet żadnego wozu do naszej dyspozycji, którym by można podwieźć go do najbliższego postoju.

Przypomina mi się jeden z chorych, który dziś rano gwałtem wydostał się z *KB*, sam zdobył sobie ubranie i wbrew wstrzymującym go pielęgniarzom wyrwał do obozu, by wyruszyć z wszystkimi. Był to Węgier liczący 19 lat, bardzo słabej budowy ciała, z wysiękiem opłucnej po zapaleniu płuc, z gorączką 38°. Nie dał sobie wytłumaczyć konieczności pozostania w szpitalu. Jakby jakiś szał opanował tego chłopca; poszedł, aby zapewne tak upaść przy drodze, jak ci wszyscy, których mijamy teraz w marszu.

Kolumna rozciąga się niebywale. W drodze spotykamy odrębne kolumny z Fürstengrube i innych obozów. Idą dosyć zwarcie, poganiani i pilnowani przez swych konwojentów-esesmanów. Nasi „opiekunowie" sami ledwo się wloką, niektórzy siadają pod drzewami przydrożnymi i czekają na samochód sanitarny, który podwozi tych wojskowych maruderów.

Zdawałoby się, że jest okazja do ucieczki, ale wokoło puste pola, jest względnie widno, a uciekać w sposób niezorganizowany, to ogromne ryzyko. Trzeba by jeszcze dzisiejszej nocy oddalić się na jakieś 10—15 km od naszego traktu, ale czy się gdzieś nie spotka innych kolumn ewakuacyjnych?

Droga wydłuża się, czas mija. Jestem coraz bardziej zmęczony i idę automatycznie przed siebie. Mamy podobno dzisiaj dojść do Mikołowa, ale jakoś tego miasteczka nie widać.

Zaczyna już świtać, musi być godzina 5 rano, kiedy z dala zaczyna być widać jakiś kompleks zabudowań. W miasteczku żywej duszy na ulicy. Z okien patrzą trwożliwe twarze, przeważnie kobiece. Jesteśmy wszyscy strasznie zmęczeni, nie wyspani, zziębnięci, jedynym naszym marzeniem jest znaleźć jakieś miejsce do przespania się, odpoczynku. Myśl o ucieczce nurtuje we mnie, ale jest ona jak gdyby na drugim planie, przygłuszona przez zmęczenie.

W pewnej chwili wysiada z zatrzymującego się przy naszej grupie auta *SS-Lagerarzt König* i komunikuje nam, że mamy zarezerwowaną kwaterę. Sam nas do niej prowadzi. Odłączyć się już teraz nie można, idziemy więc we wskazanym kierunku. Naszą kwaterą jest położona na skraju miasta stodoła w jakimś dworze. Rozkładamy się w niej na dobre, pożywiamy się trochę i zapadamy w sen, który zresztą nie trwa zbyt długo. Po jakichś 6 godzinach, około 13 budzą nas gwałtownie do dalszego marszu.

Ogarnąwszy się, zmieniamy onuce (służy do tego celu prześcieradło, z którego robi się trzy zmiany onuc), szykujemy się do drogi. Przed wymarszem robię zastrzyk kardiazolu jednemu ze starszych *häftlingów*, który ledwie trzyma się na nogach ze zmęczenia. Jak się później dowiedziałem, pomógł mu — o dziwo! — ten zastrzyk, choć robiłem go bez większego przekonania.

Dzisiaj, a jest już 20 stycznia, mamy dojść do Gliwic, do których, jak słychać jest 28 km. Marsz jest teraz bardziej zwarty. Żołnierzy jest jakoś więcej i bardziej nas pilnują. O okazję do ucieczki — bardzo trudno. Przed zmrokiem mijamy lasek niedaleko Gliwic, nie mogąc się zdecydować na ryzykowny krok. Kilku ludzi, którzy poszli do lasku niby dla załatwienia potrzeby fizjologicznej zaraz zatrzymano i zawrócono.

O zmroku doszliśmy do Gliwic. Zaprowadzono nas do jednego z istniejących tam obozów, filii Oświęcimia. Był to obóz przy fabryce zbrojeniowej, kilkanaście baraków, które miały pomieścić około 7 tysięcy ludzi. Tyle mniej więcej doszło do Gliwic; pozostali nocowali poza Mikołowem i poszli gdzie indziej. Nasza grupa zakwaterowała się w miejscowym *KB*.

Śpimy w małym pokoiku lekarskim w dziesiątkę: *Stefan, Sperber, Ertinger, Stein, Szczedrin*, trzech *Schullerów*, mały *Hary Schustermann, Malkinson* i ja.

Cały dzień 21 stycznia spędzamy w Gliwicach. Leży już kilkunastu zmarłych.

Od rana następnego dnia krążą wieści, że ruszamy dalej pociągiem, ale nie wiadomo do-

[3] Data ewakuacji podana przez autora jest właściwa, mimo że Kalendarz wydarzeń obozowych *Danuty Czech* podaje inną (przyp. red).

kąd. W każdym razie w dwu partiach po 3 i pół tysiąca ludzi, bo aptekę i sprzęt sanitarny kazano nam podzielić na dwie części, dla każdej grupy osobno. Personel *KB* też ma być rozdzielony. Jest to grupa 100 ludzi; *Stefan* próbuje dokonać jakiegoś podziału według nazwisk, stosując sobie tylko wiadomy klucz.

Około południa już wiadomo, że jedna grupa ma jechać do Buchenwaldu, druga do Mauthausen. Wolimy jechać raczej do Buchenwaldu, bo słyszeliśmy fatalne opinie o Mauthausen. Natomiast niemieccy Żydzi, którzy dwa lata temu przyjechali do Buny z Buchenwaldu, wypowiadali względnie pozytywne sądy o tym obozie. Na każdym kroku porównywali porządki i urządzenia Oświęcimia i Buchenwaldu, wyżej ceniąc te ostatnie (*"bei uns in Buchenwald..."*). Który jednak transport idzie do Buchenwaldu, a który do Mauthausen?

Decyzja zapadła po południu. Jedziemy w pierwszym transporcie do Buchenwaldu. Grupa 85 ludzi z *KB* ciągnie bagaż na wózku na rampę kolejową, gdzie czeka już około 4 tysięcy ludzi. Około godziny 20 podstawiono pociąg: 60 otwartych wagonów na węgiel. Dla *SS* wydzielono 10 wagonów: 5 z tyłu i 5 w pewnych odstępach dla wartowników. Do pozostałych wepchnięto wszystkich ludzi. Dla *KB* wyznaczone są dwa wagony. Mamy sporo sprzętu, a poza tym mają z nami jechać dwaj podoficerowie sanitarni *SS*. Zajęliśmy te wagony, do jednego ładując wszystek sprzęt. Pojadą nim także mniejsza grupa więźniów i podoficerów *SS*.

Jako starzy, doświadczeni obozowcy umieliśmy przewidywać trudy podróży i przygotowaliśmy sobie z obozu parę sienników, dwa piecyki, dwa dzbanki na wodę, trzy ławki, z rampy kolejowej zabraliśmy węgiel oraz, co najważniejsze, deski na przykrycie wagonu, gwoździe, narzędzia stolarskie itp. Toteż skoro tylko weszliśmy do wagonu, zajęliśmy się urządzeniem naszego *locum* w jak najwygodniejszy sposób. W środku wagonu stanął piecyk, dookoła niego ławki. W obydwu końcach wagonu było miejsce na spanie. Ze sprzętu składającego się ze skrzynek i walizek ustawiliśmy ściankę, która jedną „sypialnię" zasłaniała prawie całkowicie od wiatru. *Gustaw Kwaśny* z *Frankiem Kmiecińskim* zmajstrowali z desek pierwszorzędny dach. W tych warunkach będzie można zapewne jakoś przebiedować.

Około godz. 22 pociąg wreszcie ruszył, ale przez noc ujechaliśmy raptem około 15 km. 23 stycznia jesteśmy w Knurowie aż do popołudnia. Znaleziono tu dzisiaj zwłoki *Oliwiera Jakubowskiego* i dwóch kobiet. *Olek* był w Bunie w kuchni *SS* i pojechał do Gliwic na takąż funkcję. Zadurzył się tu w jakiejś kobiecie również uwięzionej i razem mieli uciekać. Zastrzelono go w lesie pod Knurowem.

W czasie postoju dostaliśmy dzięki miejscowej organizacji dobroczynnej po litrze zupy z kaszą.

Jedziemy do Czechosłowacji, mijamy Morawską Ostrawę. Tempo posuwania się transportu jest względnie szybkie, nie stoimy na stacjach zbyt długo. Mróz niewielki, 5—8°, w nocy trochę więcej. Życie w wagonie uregulowało się powoli. Spać wygodnie może równocześnie tylko połowa ludzi. Druga połowa musi usiąść przy ogniu i przesiedzieć dzień czy noc. Jedziemy zasadniczo w całkowitej harmonii, jak zresztą można się było tego spodziewać po ludziach kulturalnych i względnie zgranych ze sobą przez długą wspólną pracę w *KB*. Do tej harmonii przyczynia się również możliwe zaopatrzenie w żywność. Wody do picia nabieramy na większych stacjach przy pomocy jadących z nami podoficerów *SS*, którzy, można powiedzieć, nawet dbają o „swoich ludzi" z *KB*.

Inaczej jest w pozostałych wagonach. Liczba jadących dochodzi do 80—90 ludzi. Komendantem jest jakiś „kapo" lub *Vorarbeiter*, którego los powierzonych ludzi mało obchodzi. Przy rozdawaniu chleba (codziennie dostajemy 300—500 g) rozdział w wagonach jest niesprawiedliwy, po prostu silniejsi rabują chleb słabszym. Nie ma mowy o wychodzeniu z wagonów dla załatwiania potrzeb fizjologicznych lub nabrania wody.

To wszystko w połączeniu z zimnem, niedostatecznym ubraniem, osłabieniem ludzi przez marsz do Gliwic powoduje wiele śmiertelnych przypadków. Zwłoki zmarłych przenosi się do ostatniego wagonu. Pod koniec podróży do Buchenwaldu były już prawie pełne dwa wagony. Podobno zmarło około trzystu ludzi!

Co się stało z częścią ludzi, którzy zostali w Gliwicach i mieli jechać do Mauthausen — nic nie wiemy. Wyruszyli czy pozostali na miejscu? W Gliwicach słyszeliśmy pogłoski, że rosyjskie pancerne straże przednie dochodzą do Opola, przecinając drogę Gliwice—Wrocław. Może dotarły również do Gliwic? Jeszcze przed załadowaniem do pociągu w Gliwicach stwierdziliśmy, że brak kilku ludzi. Nie ma *Gienka Niedojadły*, *Leona Sylmana* i *Mietka Manelego* [4]. Prawdopodobnie odłączyli się w czasie drogi i próbowali ucieczki. Czy im się to udało? Wiemy o tym, że pod samym Oświęcimiem trzech ludzi spostrzeżono w polu podczas przebierania się w ubrania cywilne i zastrzelono na miejscu.

27 stycznia przyjechaliśmy rano do Weimaru, gdzie odłączono połowę naszego pociągu i po dość długim oczekiwaniu ruszyliśmy do odległego o 10 km Buchenwaldu. Przyjeżdżamy tu po południu. Dworzec znajduje się w odległości około kilometra od bramy obozowej. Idziemy tam, popędzani przez miejscowych esesmanów i policję obozową *(Lagerschutz)*.

Wszystkich przybywających kieruje się ku ogromnej przestrzeni, na której stoi duży namiot. Zimno, śnieg, my musimy czekać na swoją kolejkę do dezynfekcji. Tak minął czas do jakiejś godz. 23, kiedy wszystkich jeszcze nie zdezynfekowanych zaprowadzono do bloku na nocleg. Wszystkie posiadane rzeczy w plecaku i w chlebaku zabrano nam po drodze.

[4] Uciekli z transportu (przyp. red.).

Barak, w którym nas umieszczono, to stajnia z górnymi okienkami, przejściem w środku i dwoma rzędami prycz wzdłuż bocznych ścian. Prycze są czteropiętrowe z cienkimi siennikami. Miejsca zresztą nie ma dla wszystkich. Zapędzono około tysiąca ludzi do tego bloku. W każdym razie to lepiej niż czekać w zimnym namiocie na stojąco! Przywitano nas tu gorącą zupą.

28 stycznia zaczyna się nasza kwarantanna w Buchenwaldzie. Przeszliśmy dezynfekcję. Ostrzygli nas dokładnie, potem trzeba się było zanurzyć w kadzi z roztworem dezynfekcyjnym. W magazynie dostajemy koszulę, spodnie, marynarkę, czapkę, onuce i drewniaki. Nie mamy kalesonów, płaszcza, rękawic. To dostaje się dopiero przy wyjeździe do pracy. Potem formalności w kancelarii i długi, półtoragodzinny apel na mrozie i wietrze.

Dnie kwarantanny mijają monotonnie i uciążliwie. Nieudolny blokowy nie może sobie poradzić ze zorganizowaniem i uporządkowaniem spraw obozowych tysiąca ludzi. Szczepienia, kontrole sanitarne, bałagan przy wydawaniu chleba, uciążliwe apele. Masa ludzi choruje. W naszym bloku utworzono coś w rodzaju izby chorych, gdzie grupuje się ludzi nie mogących utrzymać się na nogach. W czasie apelu mają siedzieć na ławkach w bloku dla przeliczenia. Istnieje co prawda tu szpital, zwany „rewirem", podobno bardzo ładnie i porządnie zorganizowany, ale jest on przeznaczony wyłącznie dla mieszkańców tzw. dużego obozu. My jesteśmy w „małym obozie", w kwarantannie, otoczeni drutem, strzeżeni przez policję obozową. Nie wolno nam wychodzić do obozu dużego. Toteż dla nas urządza się tzw. mały rewir w stajennych barakach. Lekarstw podobno wcale nie ma. Lekarz blokowy przynosi nieco tabletek, od czasu do czasu daje jedną aspirynę, przy bardzo silnych biegunkach 1—2 tabletek węgla. To wszystko. Chorzy umierają jeden za drugim. Codziennie widzimy sanitariuszy z wózkiem, odwożących ciała zmarłych.

Na początku lutego czynimy starania, aby chociaż pewną liczbę lekarzy przyjęto do „rewiru", do pracy. Ścierają się tu wpływy różnych narodowości. Najwięcej mają do powiedzenia Francuzi i Czesi. Nad wszystkimi znajduje sie „kapo rewiru", Niemiec, nie lekarz, ale administrator.

Stefan Heiman, który jako stary buchenwaldczyk zna tu prawie wszystkich funkcyjnych, konferuje z odpowiednimi ludźmi w sprawie zatrudnienia lekarzy. Wreszcie ściągają dane personalne od dziesięciu ludzi. Ja znajduję się w ich liczbie. Podobno obiecano przyjąć sześciu. Po kilku dniach rzeczywiście niektórzy, jak laryngolog dr *Cuenca* i okulista dr *Sternberg*, zaczynają pracować w małym „rewirze" w ambulatorium. *Stefan* zostaje przyjęty na chirurgię do dużego „rewiru". *Samuelidesowi* i mnie obiecują (*Heiman* twierdzi, że to całkiem pewne) funkcje lekarzy blokowych, tylko musimy mieć trochę cierpliwości. Kilku lekarzy: *Silber, Waitz, Sperber* dostało się na własną rękę do „rewiru" tymczasem jako chorzy. *Eitinger*, nie wierząc w możliwość dostania się do rewiru, został pisarzem w naszym bloku.

Jedzenie dają nam względnie niezłe: około 350 g chleba, 20 g margaryny, trochę kiełbasy lub marmolady i litr zupy (dwa razy tygodniowo brukiew z kartoflami, dwa razy krupnik, dwa razy kartofle w mundurkach i pół litra mięsnej zupy, jeden raz makaron). Zupy dosyć gęste, pożywne. Wszystko to razem jest oczywiście za mało przy takim chłodzie i braku ubrania, ale ostatecznie nie pracując można wytrzymać.

Stosunki w obozie w Buchenwaldzie ilustruje między innymi obrazek następujący: jeden z naszych współwięźniów, dr *Drohocki*, wszedł do umywalni w bloku, aby wyczyścić sobie zabłocone buty. W ręku miał nieco wełny drzewnej do umycia butów. Spostrzegł to jeden z funkcyjnych bloku, Niemiec, i od razu zabrał się do bicia (pod pozorem, że wełna drzewna zapycha przewody kanalizacyjne i że takie mycie jest zabronione). Dr *Drohocki*, jak nam opowiadał, zasłonił się rękami, a może i odepchnął „sztubowego". Na to ten z okrzykiem: „Co, ty rzucasz się na mnie!" począł go okładać kijem, a następnie zaciągnął do bocznej izby w bloku i bił go dalej, gdzie popadło. Skutek był taki, że *Drohocki* wyszedł ze złamaną ręką. Zrobiliśmy mu pierwszy opatrunek i wysłaliśmy do rewiru, gdzie mu założono gips i dano zwolnienie od pracy na miesiąc.

Wszelkie skargi, próby dochodzenia sprawiedliwości były bezskuteczne. Blokowy wystąpił ze zwykłym długim moralizatorskim przemówieniem, inni „sztubowi" Francuzi, Belgowie namawiali *Drohockiego*, aby zgłosił się do policji obozowej, ale po dłuższych rozważaniach poniechał on wszelkich kroków, nie chcąc zadzierać ze wszechmocnym blokowym.

6 lutego byliśmy w „rewirze" na badaniu lekarskim. Lekarz *SS* chyba nie dłużej niż pięć sekund patrzył na rozebranych więźniów i na tym polegało całe badanie. Spodziewamy się w związku z tym odtransportowania nas gdzie indziej. Ja przyjmuję wszystko spokojnie, będąc pewnym, że pozostanę w Buchenwaldzie, bo mam obiecane zatrudnienie w szpitalu. Ale po dwóch dniach wywieszono na bloku listę ludzi przeznaczonych do transportu, oznaczonego szyfrem B-2. Ja również znajduję się na tej liście. Wszyscy wyznaczeni mają się udać do budynku kina na ponowny przegląd lekarski.

Przegląd odbył się dość szybko. Wszyscy pomaszerowaliśmy w ubraniach, piątkami przed oficerem *SS* (lekarzem?), który kilku ludzi o słabszej budowie skreślił z listy, resztę zaś zakwalifikował do transportu.

Po powrocie do bloku zastaliśmy scenę, która mroziła po prostu krew w żyłach. Oto w głębi bloku wisi na belce uwiązany za ręce jakiś człowiek. Dłonie ma już sine, obraca się wkoło. To wszystko musi już trwać kilkanaście minut. Staramy się dowiedzieć, o co tu

chodzi. Po krótkim czasie podstawiono wiszącemu stół pod nogi. Wkrótce blokowy za pośrednictwem pisarza ogłasza, że ukarany człowiek, który pełnił funkcję sprzątającego przy chorych w bloku, dopuścił się „zbezczeszczenia zwłok", a mianowicie wyrwał złoty ząb z ust zmarłego. Poza tym miał okradać chorych z ich porcji jedzenia. Blokowy jest obowiązany zameldować o tym wypadku kradzieży jeszcze dzisiaj do apelu wieczornego, ale „byłoby jeszcze lepiej, gdyby przed apelem nie było już o czym meldować". Było to danie do zrozumienia, że ten człowiek powinien być zabity. Blokowy oświadcza dalej, że w razie meldunku cały blok będzie ponosił konsekwencje, oddaje zatem tego przestępcę do dyspozycji jego mieszkańców.

Człowieka zdjęto z belki i pilnowano w kącie bloku. Znalazło się kilku sadystów, którzy podeszli do niego z kijami i zaczęli go bić. Trwało to kilkanaście minut; bity jęczał i prosił o litość. Wreszcie wmieszał się w to lekarz blokowy, który przyglądał się od początku tej scenie z całym spokojem. Kazał zaprzestać bicia, „bo to jest znęcanie się, które nie prowadzi do niczego". Sądziłem, że na tym zakończy się samowolne wymierzanie sprawiedliwości. Ale na pół godziny przed apelem wieczornym pisarz bloku poruszył ponownie w imieniu blokowego sprawę poranną. Ten człowiek, którego blokowy powiesił przed południem na belce, musi co najmniej w nieprzytomnym stanie być oddany jeszcze dziś do „rewiru". Inaczej cały blok rzekomo poniesie karne konsekwencje w postaci transportu do obozu o zaostrzonym regulaminie.

Miałem wrażenie, że blokowy, popełniwszy samowolę, obawiał się odpowiedzialności i dlatego nakłaniał mieszkańców bloku do zlinczowania złodzieja. W każdym razie to polowanie na życie współkolegi — chociażby i przestępcy — sprawiało przygnębiające wrażenie. Wśród szpalerów stojących po obu stronach współwięźniów przeprowadzano złodzieja. Wielu biło go tak, że już w połowie drogi słaniał się i upadał. Wieczorem w stanie nieprzytomności oddano go na „rewir".

Cała ta ponura sprawa zrobiła na mnie potworne wrażenie, chociaż człowiek stał się już w ogóle twardy w obozie. To ma być ten słynny „porządek" w Buchenwaldzie! To jest terror stosowany na więźniach za pomocą więźniów! I jeszcze druga strona medalu: w krematoriach przed spaleniem zwłok wyrywane są złote zęby; tamto nie jest „bezczeszczeniem zwłok". Tutaj kradzież indywidualna, tam zorganizowana z góry przez *SS*.

Tego samego dnia około godziny 10 wieczorem nadeszła z kancelarii obozowej ostateczna lista transportowa, na której ostatecznie, pomimo obietnic *Heimana*, że zostanę w Buchenwaldzie, umieszczono moje nazwisko. Zaprowadzono nas zaraz do sali kinowej, gdzie są zgromadzeni wszyscy przeznaczeni do jutrzejszego transportu. Ogółem jest około tysiąca ludzi. Z Polaków z Buny wyznaczeni jesteśmy do transportu jedynie *Czylok* i ja.

Po bezsennej nocy jeszcze przed świtem wyprowadzono nas na plac apelowy pod bramę. Tam czekaliśmy prawie godzinę, aż się rozwidniło i wymaszerowaliśmy do stacji kolejowej. Tutaj załadowano nas do pociągu po 50 do jednego wagonu towarowego; mamy podobno jechać w stronę Magdeburga, do odległego o 180 km Halberstadtu.

Po kilku godzinach jazdy pociąg stanął w szczerym polu. Jednocześnie usłyszeliśmy nad naszymi głowami huk motorów lotniczych i po krótkiej chwili grzechot karabinów maszynowych. Ogarnęło nas dziwne uczucie bezradności. Zamknięci jesteśmy w wagonach pod strażą, narażeni na kule i to w dodatku sprzymierzonych. Strażnicy nie pozwalają opuszczać wagonów, nie wiadomo, co się dzieje na zewnątrz. Po krótkiej chwili znowu warkot samolotu tuż nad głowami i terkot strzałów. Instynktownie się pochyliłem, lecz w nasz wagon żaden pocisk nie trafia. Wartownicy wyskoczyli z naszego wagonu, położyli się w rowie twarzą do pociągu z bronią gotową do strzału i znów nam nie pozwalają wychodzić. Nie minęło parę minut, gdy samolot nadleciał po raz trzeci. Tym razem i w naszym wagonie posypały się drzazgi ze ścian.

Nie patrząc już na wartę niemiecką, jak obłąkani wyskakujemy z wagonu i zaczynamy biec w pole, byle dalej od przeklętego pociągu. Ja byłem w trzecim wagonie za lokomotywą. Z tylnych wagonów, które zostały najpierw zaatakowane, wszyscy więźniowie wyskoczyli już przedtem. Całe pole obok toru zaczerniło się od postaci biegnących w stronę szosy i widniejącego w odległości pół kilometra mostku. Razem z nami biegli żołnierze niemieccy.

Tymczasem nadleciał ponownie samolot, ale tym razem lotnik, zorientowawszy się zapewne po pasiakach, że ma do czynienia z więźniami, nie oddał już ani jednego strzału.

Po jakimś czasie zaczęto nawoływać do powrotu. Rozległy się gwizdki, strzały, ale więźniowie, ogarnięci paniką, nie spieszyli się zbytnio do pociągu. Starałem się zwołać znajomych, aby być znów w swojej paczce. Wszyscy byli na miejscu, nikogo nie brakowało. Powoli wracaliśmy do pociągu.

Tutaj oczom naszym przedstawił się okropny widok: kilkudziesięciu więźniów pokrwawionych, w poszarpanym ubraniu snuło się wzdłuż pociągu, na próżno szukając jakiejkolwiek pomocy. Ciężej rannych poczęto składać na brzegu torowiska. Wraz z innymi lekarzami, którzy byli w transporcie, zabraliśmy się do opatrywania rannych. W braku wszelkiego materiału opatrunkowego rozdzierałem koszule zabitych, robiąc bandaże.

Żołnierze *SS* z konwoju zupełnie stracili głowy. Zapędzali wszystkich do wagonów, co im się nie udało właściwie. Po około dwóch godzinach zjawili się różni umundurowani przedstawiciele władz miejscowych, sanitariusze i sanitariuszki z Czerwonego Krzyża. Ciężko rannych przeniesiono na noszach do samochodów i odwieziono do jakiegoś szpitala, lżej ranni pozostali w pociągu. Zabitych przenie-

siono do ostatniego wagonu. Ogółem było około 60 zabitych, w tym trzech żołnierzy, około 150 ciężko rannych, w tym 6—8 żołnierzy. Liczby te są pewnie niedokładne, oceniałem tak na oko.

Około godziny 4 po południu wszyscy ranni byli już opatrzeni i odtransportowani. Zapędzono nas do wagonów i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Po długich postojach na różnych stacjach zajechaliśmy 10 lutego rano do Halberstadtu, a stąd boczną linią do miejscowości Langenstein.

*

* *

Do obozu Zwieberge szliśmy przez wieś Langenstein, czystą i murowaną, a potem błotnistą drogą jakieś cztery kilometry. Obóz położony jest w lesie między pagórkami. Znajdujemy się tu u podnóża, a właściwie już na pierwszych stokach gór Harzu. Położenie bardzo malownicze, ale niebawem mieliśmy się przekonać, że życie i praca w obozie zabijają wszelką chęć do podziwiania pięknej okolicy.

Przywitanie i pierwszy dzień w obozie dały nam przedsmak dni następnych; obserwowaliśmy dezorganizację, surowość, bezwzględność w wyzyskiwaniu sił ludzkich.

Na placu apelowym 800 ludzi w kolumnie, tak jakeśmy przyszli. Na środku placu przy dwóch słupach dwóch więźniów z rękami związanymi w tyle za słupami. Ledwie się już trzymają — pewnie stoją tak już kilka godzin na zimnie. Widok odpychający.

Komendant obozu, *Lagerführer* w stopniu starszego sierżanta (*Oberscharführer*) wezwał do siebie tłumaczy (polskiego, rosyjskiego, francuskiego, włoskiego i węgierskiego) i wygłosił „powitalne" przemówienie, objaśniając nam przepisy, jakie w tym obozie obowiązują. Co drugie słowo: sabotaż, kije, gestapo, kara śmierci, kara słupka.

Po tym przemówieniu rozpoczęto w specjalnym pustym baraku formalności zapisywania. Odbywało się to w tak chaotyczny, źle zorganizowany sposób, że zajęło nam około czterech godzin. Po wpisaniu zresztą nie wiedzieliśmy, co dalej robić, gdzie się udać. Wreszcie uzyskaliśmy informację, że Żydzi z naszego transportu mają mieszkać w bloku 14, my zaś w 13. Błąkamy się w poszukiwaniu bloku 13. Spotkani więźniowie nie umieją nam wskazać dokładnie, gdzie się znajduje ten nowy blok. „Gdzieś tam dalej".

Wreszcie dotarliśmy do swego pomieszczenia, leżącego na drugim końcu obozu. Tutaj, nie spotkawszy żadnej władzy, weszliśmy do pierwszej lepszej izby. Starszy izby, Czech, polecił nam „zorganizować" sobie sienniki, bo inaczej będziemy spać na gołych deskach. Przytaszczyliśmy więc sienniki z jakiegoś bloku, którego mieszkańcy przeprowadzili się właśnie do bloku 13. Ledwieśmy przygotowali sobie łóżko i zabrali się do jedzenia litra wodnistej zupy, gdy starszy izby, tzw. sztubowy, zawiadamia nas, że musimy się przenieść gdzie indziej. W tej izbie mają być sami Czesi, więc my, pięciu Polaków, musimy ustąpić im miejsca. Izba, do której się udaliśmy, nie ma ani łóżek, ani prycz. Sienniki leżą na ziemi. Większość więźniów, to Rosjanie, jest kilku Węgrów i Polaków. Z trudem udało nam się zdobyć dla siebie parę sienników i to w najgorszym miejscu, w przejściu koło drzwi. Tak więc położyliśmy się spać zmęczeni podróżą i całym dniem załatwiania przyjęcia w obozie.

Od samego przyjazdu staraliśmy się dowiedzieć od dawniej będących tu więźniów, jakie są warunki bytowania w obozie, jaki jest rodzaj pracy. Nie otrzymywaliśmy dokładniejszych informacji. „Zobaczycie sami — mówili — budowa „tunelu", podziemnej fabryki". Napawa mnie to niepokojem, bo wiem z opowiadań więźniów z innych obozów, że to praca bardzo ciężka. Zresztą wystarczy spojrzeć na ludzi: na pierwszy rzut oka widać, że większość jest wybitnie anemiczna, niedożywiona.

Mam nadzieję dostania się do pracy w szpitalu. Gdyśmy przechodzili przez bramę obozową, zauważył mnie podoficer sanitarny *SS Neubert*, który był przełożonym nad szpitalem w Monowicach. Podszedł następnie do mnie, gdyśmy stali na placu i obiecał zatrudnić w szpitalu. Miało nas tam pójść czterech: dentysta *Ullmann*, chirurg *Lengyel* z Węgier, pielęgniarz *Czylok* i ja. Oczywiście na drugi dzień zgłosiliśmy się do kancelarii obozu, gdzie nam powiedziano, że w odpowiednim czasie zawiadomi się nas o zatrudnieniu. Gdyśmy wychodzili z biura, spotkał nas przypadkiem *Neubert* i polecił iść za sobą do rewiru. Tu kazał sekretarzowi wpisać nas w stan funkcjonariuszy. Uważaliśmy, że sprawa ułożyła się dla nas pomyślnie. Mieliśmy tylko udać się do „kapo rewiru", więźnia, niejako kierownika szpitala, aby nam wyznaczył przydział pracy i mieszkania.

„Kapo rewiru" był Niemcem, przebywającym w obozach koncentracyjnych od 7 czy 8 lat. Przyjął nas sucho i nieżyczliwie. Nie jest to lekarz jak wielu takich w obozach koncentracyjnych w Niemczech. Odnoszę wrażenie, że nie chce mieć do czynienia z ludźmi, których mu do pewnego stopnia narzuca *SS*. To, co uważaliśmy za szczęśliwy dla nas przypadek, obróciło się przeciw nam. „Kapo" tłumaczy nam, że wszystkie funkcje są obsadzone. Wprawdzie ma być otwarty jeszcze jeden blok dla „rewiru", ale to jest jeszcze sprawa pewnego czasu. Tymczasem więc przyjąć nas nie może; możliwe, że za kilka czy kilkanaście dni, jak będą jakieś wolne miejsca, zatrudni nas w szpitalu. Teraz zaś będziemy musieli pójść do normalnej pracy obozowej.

Tak więc piękne marzenia o funkcji w obozie spełzły na niczym. Wiem z doświadczenia, że funkcja niejednokrotnie ratuje po prostu życie. Ja zresztą nie jestem wprawiony do pracy fizycznej, a zatem przy tym podłym wyżywieniu, które nam tu dają, i ciężkiej pracy, zapewne cała zabawa skończy się tragicznie.

W poniedziałek 12 lutego zostałem wyznaczony do pracy w grupie roboczej (komando) 29. Jest nas tu 30 ludzi. Praca w tunelu. Pobudka była w bloku około godziny 3.30. Na 5 rano mamy stanąć na placu apelowym. Wyprowadzono nas znacznie wcześniej i marzliśmy przeszło półtorej godziny przed wymarszem. W tym czasie funkcyjni z biura obozowego formowali poszczególne komanda i wywoływali do bramy obozu do wyruszenia.

Wszystko to odbywało się przy świetle elektrycznym, bo na dworze panowała jeszcze ciemna noc. Od godziny 6 zaczął się marsz do pracy. Droga błotnista, wielkie kałuże. Wartownicy popędzają kolumnę krzykiem, a często i kolbą. Słabsi zostają trochę w tyle, trzeba więc często dobiegać, by dołączyć do kolumny.

Po około 15 minutach marszu dotarliśmy do wejścia do tunelu. Kilometr drogi w tunelu, oświetlonej częściowo, częściowo zupełnie ciemnej. Potykając się o szyny kolejki, podkłady, rury, doszliśmy wreszcie do miejsca pracy, bez pracy już porządnie zmęczeni.

Znajdujemy się w bocznej hali, wyższej i szerszej od tunelu, w którym szliśmy. Strop podparty żelaznymi szynami, oszalowany deskami, częściowo obmurowany. Praca nasza ma polegać na wykonywaniu robót murarskich. Po rozdzieleniu na grupy przystępujemy do roboty. Pracą kieruje majster, cywilny Niemiec. Jest tu także dwóch cywilnych robotników-murarzy i żołnierz *SS*, zapewne częściowy inwalida, który jest również nadzorcą naszej pracy. Ja dostaję do roboty mieszanie zaprawy murarskiej. Praca niezbyt ciężka, ale monotonna.

Po przerwie obiadowej (pół godziny, od 12 do 12.30) zacząłem pracować dalej, lecz nagle poczułem dziwne osłabienie, zawrót głowy, zimny pot wystąpił na czoło. Zameldowałem majstrowi, że nie mogę pracować, że zachorowałem. Kazał mi usiąść i odpocząć i wszystko to odbyło się, o dziwo, bez krzyku. Żołnierz *SS* zauważył mnie siedzącego (w czasie pracy nie wolno ani na chwilę usiąść) i również ku mojemu wielkiemu zdziwieniu pozwolił mi dalej siedzieć. Zauważył, że to zapewne z nieprzyzwyczajenia do powietrza w tunelu. Ja raczej sądzę, że to zwykłe osłabienie powstało po prostu z głodu: swoją całodzienną porcję chleba zjadłem wczoraj wieczorem, a dziś rano wypiłem tylko trochę kawy.

Tego dnia już więcej nie pracowałem. Nikt mnie do pracy nie zmuszał, a ja znów nie paliłem się do niej. Ale przy odmarszu zostałem pominięty przy rozdziale kartek na dodatkowe wyżywienie (pracujący w *komandach* w tunelu dostają dodatek ciężko pracujących 3—4 razy tygodniowo, składający się z 200 g chleba, 20 g margaryny i około 30 g kiełbasy).

Tak przeminął mój pierwszy dzień pracy w tunelu. O 18.30 przybyła nocna zmiana, my zaś wyruszyliśmy w drogę powrotną. Znów na dworze ciemno, idziemy przy świetle lamp elektrycznych. Mam więc w perspektywie ciężką pracę bez oglądania promieni słonecznych. Po powrocie do obozu poszedłem do swego bloku. Jedzenia jeszcze nie wydawano, ale stanąłem w ogonku. Dopiero po upływie pół godziny zaczęto wydawać strawę. Brak misek, łyżek, o wszystko trzeba się starać, prosić, wszystko pożyczać.

Zjadłem wreszcie ten litr wodnistej zupy i czekam na przydzielenie należnego chleba i dodatków. Mieszkańcy jednej izby otrzymują jedzenie zbiorowo i muszą się sami nim dzielić. Dostaliśmy chleb, margarynę i kiełbasę. W trakcie dzielenia nagle zgasło światło. Alarm lotniczy. Gdy po mniej więcej godzinie światło zapaliło się ponownie, stwierdziliśmy, że brakuje jednego bochenka chleba. Ktoś skorzystał z okazji i ukradł chleb należący do kolegów. Oczywiście nie znaleziono ani sprawcy, ani chleba.

Zmęczony 17-godzinnym staniem na nogach od 4 do 21 położyłem się spać znów na sienniku na podłodze. Nazajutrz pobudka o 4. Trzy kwadranse wcześniej obudzono dyżurnych, którzy mają iść do kuchni po kawę, przy tej sposobności obudzili się wszyscy. Rozpoczął się taki sam szary dzień roboczy, jak poprzedni. Pracowałem cały dzień. Znów nie dostałem *„zulagi"* — dodatku żywnościowego, bo akurat dla mnie zabrakło.

W obozie starałem się dowiedzieć, jakim sposobem można by się dostać do pracy w szpitalu. Dowiedziałem się, że naczelnym chirurgiem jest Polak, dr *Reklíński*. Postanowiłem na wszelki wypadek udać się do niego. Następnego dnia udało mi się dostać się do dr *Reklińskiego*. Przedstawiłem mu swoją sytuację; przyrzekł porozmawiać z „kapo", ale nie robił mi żadnych nadziei, gdyż on sam nie ma nic do powiedzenia w „rewirze".

Minął tydzień pobytu w obozie, tydzień ciężkiej pracy, codziennych kłopotów z brakami najpotrzebniejszych przedmiotów, tydzień ciągłego niedosypiania i niedojadania. W ciągu tego czasu przydzielano mnie kolejno do trzech różnych komand roboczych, wylądowałem wreszcie w firmie budowlanej Gozgas, prowadzącej roboty murarskie w halach podziemnych.

W obozie postarałem się o przeniesienie do izby lepszej, w której były łóżka, stół, ławki. Trzymamy się razem z *Józkiem Czylokiem*, zajęliśmy jedno łóżko. Sprawa mojego przyjęcia do „rewiru" posunęła się nieco naprzód. Dr *Reklíński* w rozmowie z „kapo" wyjaśnił mu, że ja nie zwracałem się do *SS* o protekcję. „Kapo" obiecał, że zatrudni mnie, skoro tylko utworzy się wakans.

Dnie płyną monotonnie, dręczy tylko myśl, co będzie dalej. Dr *Reklíński* nie ma żadnego wpływu na „kapo", który jest dla Polaków nieżyczliwy, a w ogóle nieobliczalny w decyzjach. Oto przybyły razem z nami w transporcie lekarz dr *Szczedrin*, Rosjanin, został przyjęty nagle do „rewiru" jako pielęgniarz. Rosjanie są w ogóle faworyzowani przez kierownictwo obozu.

Jedyną pociechą w tym szarym życiu są wiadomości z frontu, gromadzone i przekazy-

wane nam przez dr *Reklińskiego*. O końcowej fazie wojny świadczą ciągłe, systematyczne i masowe przeloty samolotów. Co dzień rano około 10.30 i wieczorem około 20.30 alarm lotniczy. Nocą słychać warkot samolotów całymi godzinami. Wszystkie te wiadomości i oznaki stwarzają w obozie nastrój pewnego oczekiwania i pozwalają się cieszyć nadzieją bliskiego już wyzwolenia.

W końcu lutego porzuciłem pracę pod ziemią i za wstawiennictwem inż. *Bracha* dostałem się do pracy w komandzie 70, wykonującym roboty ziemne w okolicy obozu przy wyrównywaniu terenu pod baraki w obozie *SS*. Praca, niezbyt ciężka odbywa się na wolnym powietrzu, majstrowie specjalnie nie poganiają. Z całą świadomością postanowiłem tak kręcić się w obozie, aby nie wydawać z siebie zbyt wiele energii, której i tak ma się mało przy marnym pożywieniu.

Sytuacja żywnościowa w obozie zaczyna się wybitnie psuć. Dostajemy mniejszą rację chleba: około 360 g dziennie, a przede wszystkim zupy stają się już całkiem wodniste. W litrze lury znajduje się 3 — 4 łyżek gęstej treści — marchewki i łupin z kartofli. Śmiertelność w obozie wzrasta gwałtownie. Codziennie umiera 25 — 35 ludzi. Przeważnie przyczyną zgonu jest wycieńczenie.

6 marca poszukiwano kandydatów do komanda 1, jednego z cięższych komand; zajmuje się ono budową nowych tunelów. Praca polega na wierceniu dziur na naboje dynamitowe, ładowaniu wysadzonego kamienia na wózki i pchanie pełnych wózków. Jedyna dobra strona — to czas pracy: 8 godzin. Po powrocie ma się trochę więcej czasu dla siebie, na odpoczynek, na mycie się itp.

Zgłosiłem się do tej pracy, bo brałem pod uwagę fakt, że pogoda się popsuła i pobyt na wolnym powietrzu może się smutno skończyć — chorobą. Zgłosiłem się na nocną zmianę, która ma tę dodatnią stronę, że odpada poranny apel, a wieczorem zyskuje się godzinę lub więcej, bo czeka się do końca alarmu. Te regularne alarmy, przeloty dużej liczby samolotów, zwłaszcza nocą, napawają nas otuchą, że wojska sprzymierzone całkowicie panują nad obszarem powietrznym Niemiec, a wkrótce okażą swą siłę także i na lądzie. Nastroje wśród Niemców są minorowe, co się łatwo daje zauważyć po ciągłych rozmowach majstrów z żołnierzami, wspólnym czytaniu gazet itd. Niektórzy zupełnie otwarcie mówią do więźniów, że wojna jest dla Niemców przegrana i to w ciągu krótkiego czasu.

9 marca, idąc w nocy do pracy, nadwichnąłem sobie nogę w kostce. Ledwo dowlokłem się do tunelu i z powrotem. Dzięki wstawiennictwu dr *Reklińskiego* dostałem 5 dni zwolnienia od pracy. Przy okazji dr *Rekliński* pocieszył mnie, że zapewne wkrótce zostanę przyjęty do pracy w szpitalu, gdyż ma być otwarty nowy barak dla chorych, a „kapo" obiecał mu załatwić pozytywnie moją prośbę.

W ostatnim dniu mojego zwolnienia, w czasie którego wylegiwałem się w łóżku, myłem się nareszcie dokładnie i tępiłem wszy z żadnym skutkiem zresztą, spędzono wszystkich więźniów mających *Schonung* (zwolnienie od pracy) na plac apelowy i przeprowadzono generalną kontrolę. Przegląd ten był prowadzony przez podoficera *SS* i lekarza. Mniej więcej jednej trzeciej chorych cofnięto zwolnienie, między innymi mnie. Moja noga zresztą już wydobrzała, pogoda zrobiła się ładna. Toteż specjalnie się nie martwiłem, zwłaszcza że dla tych, którym odebrano zwolnienie, zorganizowano lekką pracę: noszenie kamieni do obozu *SS* na brukowanie drogi. Pilnują nas przy pracy nie majstrowie cywilni, ale żołnierze *SS*. Kilku z nich, to Węgrzy i Słowacy, którzy swego zadania nie traktują zbyt serio. Boją się tylko podoficerów; w ich obecności nas poganiają, a poza tym pozwalają nam odpoczywać, siadać itp.

Za kilka dni mam nowe zatrudnienie: kopiemy dół, w którym ma stanąć murowana kostnica dla zmarłych w obozie. Pogody są ładne, robota niezbyt wyczerpująca, odpada marsz z obozu na miejsce pracy. Urodziłem się widać pod szczęśliwą gwiazdą, bo jak dotąd wiedzie mi się prawie nieźle.

Po wykonaniu robót zostałem przydzielony do komanda, które kopało zbiorowe groby w pobliżu obozu. Śmiertelność ostatnio wzrosła niepomiernie. Dotychczas zwłoki były gromadzone w małych drewnianych budach i co kilka dni wywożono je do Quedlinburga do krematorium. Obecnie, czy to z braku materiału opałowego w krematorium, czy też z powodu trudności transportowych, poniechano tego postępowania i zaczęto grzebać zwłoki w masowych grobach koło obozu. Jeden grób był już zapełniony, trzeba było na gwałt kopać następny wielkości $10 \times 3 \times 3$ m.

Wreszcie 29 marca, kiedy przyszedłem do bloku na przerwę obiadową, dowiedziałem się, że wzywano mnie, abym natychmiast przyszedł do „rewiru". A więc angażują mnie do pracy. Zgłosiłem się zaraz do „kapo", który oznajmił mi, że mam objąć funkcję pielęgniarza w nowo otwartym „rewirze" III. Poszedłem natychmiast do łaźni, wykąpałem się, dostałem z magazynu nowe ubranie. Chciałem raz na zawsze pozbyć się wszy, które sprawiały mi tyle kłopotu.

Kierownikiem „rewiru" III jest Czech, *Franz Havranek*, student medycyny, który pracował w szpitalu prawie od samego początku. Jednym pielęgniarzem jestem ja, mam sale dla gruźlików i chorych zakaźnie, drugim *Stefan Borkowski*, który opiekuje się chorymi na biegunkę. Sprawami żywnościowymi zajmuje się Francuz *Roger Dedieu*. Trzech Rosjan z funkcjami „kalefaktorów" dopełnia personel „rewiru".

Chorych jest już prawie komplet. Zostali oni przeniesieni z poprzedniego „rewiru" II.

Pierwszy raz od dłuższego czasu śpię przyzwoicie na swoim łóżku czysty i pod czystymi kocami.

W następnych dniach wciągam się powoli

do pracy, która jest zupełnie inna niż praca w *KB* na Bunie.

Możliwości leczenia są minimalne: żadnych prawie lekarstw; ludzie krańcowo wycieńczeni nie mają już odporności, siły życiowej. Toteż na oczach naszych giną ludzie, umierają jak muchy, przeważnie z powodu biegunki, która jest ostatnim aktem wyniszczenia ustroju.

Przeżywam zmienne nastroje, bo z jednej strony patrzę bezsilnie na beznadziejną sytuację chorych, a z drugiej odczuwam wyraźnie poprawę moich warunków bytu. Nie potrzebuję stawać na apel, pracuję zasadniczo bez kontaktu z Niemcami, w swoim zawodzie, mogę sobie sam rozłożyć pracę, odpocząć, usiąść.

Na niedzielę 1 kwietnia przypada Wielkanoc. Dzień w obozie nie różni się niczym od innych. Praca odbywa się jak zwykle. Ludzie z radością dzielą się tylko wiadomościami o ofensywie sprzymierzonych na Zachodzie. Ren został przekroczony, przecięta autostrada Kolonia—Frankfurt nad Menem. Jeśli to byłaby prawda, to za kilka dni należy się spodziewać w naszym rejonie jakichś wydarzeń. Jesteśmy około 400 km w prostej linii od Kolonii, a nie zanosi się na żadną linię obronną w Niemczech.

Pierwsze dni kwietnia minęły spokojnie; sensacją stało się 5 kwietnia zatrzymanie w obozie popołudniowej zmiany, która miała wyruszyć do pracy o godzinie 13. Wieczorna zmiana również nie wyszła. *Lagerführer* oświadczył na apelu, że wszyscy pozostają w obozie dla wypoczynku. Na podstawie doświadczeń z Buny przewidujemy jakiś transport, ale dokąd? Anglicy i Amerykanie posuwają się w głąb Niemiec, Rosjanie stoją nad Odrą i lada dzień również ruszą.

Przez następne trzy dni rósł nastrój niepewności. Nikt nie wyruszył do pracy. Jedzenie dostawaliśmy takie, jak dotychczas. Codziennie widzieliśmy całe chmary samolotów, słyszeliśmy odgłosy spadających bomb i huk eksplozji w bombardowanym pobliskim Halberstadcie.

W poniedziałek 9 kwietnia od samego rana zajechały na plac apelowy duże wozy chłopskie na gumowych kołach. Obserwując to, nabraliśmy pewności, że transport nastąpi lada chwila. Nie wiadomo tylko, kto pójdzie, a kto zostanie. Około południa dowiadujemy się, że do transportu wyznaczeni są wszyscy zdrowi, a spośród personelu „rewiru" — wszyscy stali pracownicy. Oficjalnie zatem zostają wszyscy chorzy i ci, którzy są na stałe zwolnieni z pracy. Na kierownika tego szpitalnego już obozu został wyznaczony dr *Rekliński,* który dobrał sobie kilku pielęgniarzy, przeważnie Polaków. Zwrócił się do mnie z zapytaniem, co zamierzam zrobić ze sobą. Zdecydowałem się już dawno zostać. Z lekarzy pozostaje również dr *Szczedrin,* Rosjanin, z którym przyjechałem razem z Buny i Buchenwaldu.

Wszyscy, którzy mają wymaszerować, przygotowywali się gorączkowo do drogi. Około południa komendant obozu zwołał do siebie wszystkich funkcyjnych: blokowych, zastępców blokowych, policji obozowej i innych funkcjonariuszy — w sumie około 70 — i oświadczył im, że za dobre sprawowanie się w obozie zwraca im wolność. Mogą oni włożyć cywilne ubrania bez numerów pod warunkiem, że pomogą wartownikom *SS* doprowadzić do celu przewidziany transport.

Około godziny 17 rozpoczął się wymarsz. Jeszcze przedtem załadowano na wozy prawie całą żywność z magazynu i wywieziono przed bramę obozu. Wymaszerowało już pięć grup; personel „rewiru" ma być w grupie ostatniej. Wszyscy zebrali się już na placu apelowym. My obserwujemy wszystkie te przygotowania z okien naszego baraku. Ostatnia grupa stoi jakoś bardzo długo na placu. Zapadnie już wkrótce zmierzch. Nagle grupa około 40 esesmanów kieruje swe kroki w stronę baraków. Serce we mnie zamarło: czyżby chcieli oni zlikwidować na odchodnym chorych niezdolnych do marszu?

W rewirze III, w którym pracuję, zostaję właściwie kierownikiem, bo *Havranek* odchodzi z transportem. Stanąłem więc przed barakiem i czekam na to, co ma nastąpić. Podchodzi do mnie dwóch żołnierzy i każe mnie i dwu pielęgniarzom iść na plac, dołączyć do transportu. Kiedy im jednak wyjaśniłem, że barak ten jest barakiem dla chorych, a my jesteśmy personelem sanitarnym, odeszli bez słowa. Odetchnąłem z ulgą: nie mają więc oni zadania zlikwidowania chorych, lecz jedynie wyszukania tych, którzy uchylają się od transportu.

W obozie pozostało około 1 400 ludzi. Do pilnowania nas pozostało około 40 żołnierzy. Jak się dowiedzieliśmy wieczorem, okazało się przed wymarszem ostatniej grupy, że brakuje 380 ludzi do pełnej liczby 3 tysięcy osób, które musiały opuścić obóz. Żołnierze szukali ich bezskutecznie po blokach, wreszcie trafili tam, gdzie byli zgrupowani tzw. *Schonung,* czyli zwolnieni, przeznaczeni do pozostania w obozie. I dla uzupełnienia brakującej liczby zapędzili 380 ludzi spośród chorych na plac apelowy. Byli to ludzie wyczerpani, przeważnie niezdolni do wymarszu, skazani niewątpliwie na śmierć w czasie marszu. Oto przykład bezdusznego, bezwzględnego niemieckiego postępowania. Byle liczba się zgadzała!

Po dniu pełnym emocji spałem snem sprawiedliwego. Rankiem rozpoczęła się dla pozostałych w obozie ciężka praca. Komendant obozu, podoficer *SS,* rozkazał przenieść wszystkich ludzi do tzw. małego obozu, który był wydzielony z obozu i ogrodzony drutem kolczastym. Poprzedniego dnia już się tam zakwaterowali wszyscy ludzie z obozu, obecnie mamy przenieść wszystkich chorych z „rewiru". Dopiero dzięki interwencji i perswazji dr *Reklińskiego* udało się przekonać komendanta, że chorzy z oddziału chirurgicznego i chorzy na biegunkę są tak wyczerpani, iż nie grozi z ich strony żadna próba ucieczki. Jedynie chorych wewnętrznie musieliśmy przenieść z „rewiru" II do małego obozu.

Na funkcjonariuszy „rewiru" spadły obowiązki gospodarcze, obsadzanie kuchni i magazynu. Dr *Rekliński* organizował wszystko z dużą energią, nie szczędząc wielkich wysiłków. Okazało się, że *SS* i kierownictwo obozu tak rozporządziło żywnością, że na dzień 10 kwietnia przydział wynosi 1/10 bochenka chleba na głowę (około 180 g) i 20 g margaryny. Ludzi chętnych do pracy nie ma. Trzeba samemu nosić beczki z jedzeniem do bloków.

Wszyscy czekamy na ważne wydarzenia. Jeszcze nic nie wiadomo, ale czujemy, że koniec wojny się zbliża. Wartownicy *SS* siedzą przy bramie małego obozu z karabinami na kolanach. Rozmawiają swobodnie z nowo zorganizowaną policją obozową. Oni też mają dość tego wszystkiego.

W nocy rozszalała się nad naszymi głowami bitwa artyleryjska. Świadczy to, że wojska alianckie są już w pobliżu. Już prawie jest pewne, że jesteśmy uratowani. Resztki esesmanów uciekły nieznacznie, nikt nas nie pilnuje. Jednak mało kto próbuje wychylać się z obozu. W nocy *Julek Bisanz* z II „rewiru" pełni wartę przed blokami „rewiru", aby zapobiec ewentualnym próbom napadu i grabieży ze strony nieodpowiedzialnych czynników w obozie.

Nastał piękny słoneczny dzień 11 kwietnia. Żołnierzy *SS* już przy bramach ani na wieżach nie widać, tylko tu i ówdzie pod lasem lub drogą przemykają się uciekający na rowerach ludzie w mundurach. Radujemy się na ten widok, ale kłopoty wewnątrzobozowe nie pozwalają na zastanawianie się nad sytuacją ogólną i na obserwację otoczenia. Ludziom trzeba dać jeść, o chorych trzeba dbać. W blokach znajduje się wielu zmarłych, których trzeba pochować. Grzebiemy ich w masowym grobie w środku obozu. Był to dół służący jako zbiornik przeciwpożarowy. Kuchnia pracuje pełną parą. Gotuje się kaszę mannę i drugą zupę gęstą na południe.

Przychodzą wieści, że w Langensteinie — 3 km od nas — są już Amerykanie. Ale nikt ich właściwie nie widział.

W nocy miałem wartę przed „rewirem". Było zupełnie spokojnie, kilku tylko ludzi zmierzało do baraków *SS* dla zdobycia jakichś skarbów: jedzenia, bielizny itp. Dr *Rekliński* polecił mi w porozumieniu z dr *Müllerem* przejrzeć bloki w tzw. małym obozie i przynieść ciężko chorych do „rewiru". Zrobiłem ten przegląd, przy czym dr *Müller*, Francuz z Alzacji, i drugi lekarz, Hiszpan, wyszli z obozu „na krótką chwilę, do Langensteinu" i w ogóle się więcej nie pokazali. Zwyczajna dezercja lekarzy z posterunku.

Przenosimy chorych bardzo powoli, bo właściwie nie ma tylu ludzi silnych, aby można się szybko z tym uporać. W obozie brak prądu elektrycznego, a zatem i wody, więc warunki higieniczne pogarszają się z godziny na godzinę. Niektórzy, silniejsi i bardziej przedsiębiorczy wędrują z obozu na wieś, aby zdobyć coś do zjedzenia.

Zygmunt Tinz, dobrze mówiący po angielsku, natknął się w Langensteinie na patrol amerykański, któremu opowiedział o obozie i tragicznej w nim sytuacji. Żołnierze poradzili mu, aby się udał do dowództwa w Blankenburgu, o sześć km dalej. Przyjęto go tam bardzo uprzejmie, a kapitan wojsk amerykańskich kazał mu siąść ze sobą do samochodu i przyjechał razem z nim do obozu.

I oto nagle około południa 12 kwietnia 1945 roku zobaczyliśmy po raz pierwszy naszych wyzwolicieli, żołnierzy sprzymierzonej armii amerykańskiej, wysiadających z dwóch aut przybyłych do obozu. Jakie było nasze zdumienie, zresztą niezmiernie miłe, gdy kapitan przemówił do nas po polsku. Trochę twardo, widać, że z pewnym trudem, ale zupełnie poprawnie.

Kapitan *Sienkiewicz* — takie nosił nazwisko ów oficer — zainteresował się naszym losem, pytał o najważniejsze potrzeby i obiecał, że da znać do swych władz przełożonych o istnieniu tego obozu koncentracyjnego, aby pospieszono nam z pomocą. Porozmawiał z nami krótko, rzeczowo, po wojskowemu. Po 15 minutach odjechał, zostawiając nas w niezwykle radosnym nastroju, że oto skończyła się niewola, że zaczyna się okres, kiedy człowiek nareszcie przestanie być numerem, zbrodniarzem, przestępcą, pogardzanym i poganianym wołem roboczym, a stanie się na nowo człowiekiem, człowiekiem wolnym.

„Społeczna wartość człowieka jest jednym z ważnych motywów, dla których państwo powinno otoczyć człowieka swoją opieką, ale głównym i zasadniczym motywem naszej służby życiu i zdrowiu człowieka jest «cześć dla życia» (*Albert Schweitzer*), poszanowanie człowieka, oddanie się wszelkiemu życiu naokoło nas jak własnemu życiu, oddanie się życiu każdego człowieka, któremu mamy możność i sposobność służyć".

W. Szenajch: Myśli lekarza. PZWL, Warszawa 1958, str. 12.

JÓZEF GRENDA Kielce

Wspomnienia z pracy szpitala PCK w Oświęcimiu po wyzwoleniu obozu

W kilka dni po wyzwoleniu obozu w Oświęcimiu Polski Czerwony Krzyż w Krakowie zorganizował zespół lekarzy i pielęgniarek, aby nieść pomoc tym w obozie koncentracyjnym, którzy pozostali przy życiu. Grupą naszą kierował dr med. *Józef Bellert* [1]. Po przyjeździe do Oświęcimia część zespołu pozostała na miejscu, mnie zaś z innymi wysłano do Brzezinki (Birkenau). Obozem zarządzali wojskowi radzieccy. Przyjęli nas życzliwie, gdyż pracy było bardzo dużo, rozpoczęła się bowiem epidemia biegunki. Z rozbitych magazynów, a także od wojsk radzieckich dostarczano żywności. Chleb, masło, mięso, kawę, o których, jak mi opowiadał jeden z więźniów, marzyli wszyscy przez długie dni i noce zamknięci, katowani, mordowani, rozstrzeliwani. Najeść się do syta — to było pragnienie czasem równe tęsknocie za wolnością. Wreszcie jeść, jeść...

Byli więźniowie ani nikt z tych, którzy ich oswobodzili, nie wiedzieli, że nadmiar pokarmu dla wynędzniałego, odwodnionego ustroju, który nie był zdolny go asymilować, może być tragiczny. Zjedzony pokarm opuszczał układ pokarmowy w ciągu kilku minut. Odwodnienie nasilało się, odbiałczenie postępowało. Oswobodzeni więźniowie masowo zaczęli umierać. Do najbardziej tragicznych wspomnień należą te, gdy rozmawiałem z więźniami, którzy cieszyli się, że wreszcie wrócą do swoich rodzin, a nie przypuszczali, iż czasem są to już ich ostatnie słowa. Wprawdzie byłem wtedy jeszcze studentem, ale byli ze mną lekarze doświadczeni, których taki stan zupełnie zaskoczył. Mimo ciężkich doświadczeń wojennych świat lekarski nie miał wypracowanych form postępowania w tego rodzaju wypadkach, gdyż z opisanym stanem spotkali się po raz pierwszy. Nie wiedzieli o tym również ci, którzy powodowani humanitaryzmem dawali byłym więźniom żywność w nadmiarze. Dlatego każdy, kto przybył z pomocą dla nieszczęśliwych, mógł liczyć tylko na własne siły, pomysłowość, wiedzę.

Do współpracy dobrałem sobie dwóch „sanitariuszy". Jeden, z zawodu nauczyciel, p. *H. Kodź*, przeszedł przeszkolenie w powstaniu warszawskim, wcześniej zaś jeszcze w jednym ze szpitali warszawskich, gdzie był operowany. Drugi, pracownik fizyczny, p. *M. Stępowski* znalazł się w naszym zespole przypadkowo. Przydzielono nam blok 118, gdzie było 130 chorych. Blokowy jeszcze z czasów niemieckich stosował wobec więźniów dawne metody. Krzyczał, ubliżał, czasem próbował rękoczynów. Po naradzie usunęliśmy go z bloku, gdyż więźniowie czuli przed nim paniczny strach. Więźniowie byli tak zastraszeni, że gdy wchodziliśmy do bloku podnosili się na łóżkach, stawali „na baczność", kłaniali się do pasa, stukali obcasami.

Po jednej i drugiej „wizycie" u chorych zorientowałem się, że dwie są choroby, które ich obecnie niszczą. Biegunka, choroby skórne i odleżyny. Trzeba było temu zaradzić. Z pomocą sanitariuszy wybrałem z rozbitej apteki lekarstwa, które wydawały mi się potrzebne do leczenia. Inna trudność polegała na tym, jakie leczenie zastosować w tych warunkach. Więźniowie nie rozumieli, że nadmiar pokarmu i jego wysoka kaloryczność mogą być przyczyną biegunki. Moje tłumaczenia na ten temat nie miały znaczenia, czasem wprost słyszało się: „dajcie nam się najeść". W tych warunkach o ujęciu leczenia w jakiś schemat nie mogło być mowy. Jasne jest, że leczenie parenteralne nie wchodziło w rachubę. Jak zaznaczyłem, zasadniczą przyczyną umieralności było gwałtowne odwodnienie. Należało je zatrzymać. Zastosowałem salol z węglem i tanalbiną. Obchodziłem łóżka z chorymi trzy razy dziennie i dawałem im leki. Zastosowane dawki odbiegały daleko od tych, jakie przewidywała farmakologia. Podawałem bowiem trzy razy dziennie po trzy tabletki salolu z trzema tabletkami węgla lub tanalbiny. Już najbliższe dni były dla mnie radosne. Biegunka zatrzymywała się. Chorzy przestali umierać. W rozmowie z jednym z lekarzy opowiedziałem o tym spostrzeżeniu. Zrozumiałem, że pojął moje uwagi jako przechwalanie się. Ja jednak nadal stosowałem powyższy sposób.

Stały pobyt wśród chorych, opieka nad nimi, podawanie im leków przyczyniły się do lepszego wspólnego zrozumienia. Zaczęli się zgłaszać i z innych bloków z różnymi chorobami. Męczyłem się wiele, żeby im pomóc, ale nie wiem, czy zawsze dobrze ich leczyłem. Dużą pomoc w tej pracy okazał mi p. *Kodź*.

W tym czasie w obozie zaprowadzono organizację i byłych więźniów, a zwłaszcza ciężko chorych przesyłano z Brzezinki do Oświęcimia, gdzie umieszczano ich w szpitalu.

Na zlecenie radzieckich władz obozowych pozostałem w Brzezince najdłużej, gdyż Rosjanie doszli do wniosku, że *„choroszo rabotajesz"*. Moi chorzy przewiezieni zostali także do Oświęcimia. Z ostatnimi chorymi z obozu w Brzezince przybyłem do Oświęcimia. Dowiedziałem się, gdzie są moi chorzy. Poszedłem do nich. Gdy wszedłem na salę i usłyszeli mój głos, szli do mnie. „Nasz doktor przyjechał". Czułem, że po czterech tygodniach pracy wśród nich w Brzezince zasłużyłem na to określenie. Miałem łzy w oczach.

Wiem, że w czasie pracy z nimi okazałem im, że są ludźmi takimi, jak ja i to była moja pierwsza diagnoza i lekarstwo. Druga diagnoza i właściwy lek — to był salol, węgiel i tanalbina w dawkach, jak wyżej podałem.

[1] Zob. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, s. 66.

WANDA LORENCZUK Gdańsk-Oliwa

Wspomnienia z prac ekshumacyjnych na Pomorzu po wyzwoleniu

Po wyzwoleniu Torunia zaczęłam pracować w Polskim Czerwonym Krzyżu, w którym uprzednio działałam konspiracyjnie do czasu uwięzienia mnie przez gestapo. Z czołówką przyfrontową razem z wojskiem przyjechałam do Gdańska, który po stoczeniu w dniach 28—30 marca 1945 roku ciężkich walk został wyzwolony przez wojska II Frontu Białoruskiego przy udziale polskiej I Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Zaczęliśmy tam organizować placówki PCK, których celem była pomoc powracającym z niewoli, z więzień i z robót przymusowych. Urządzaliśmy stołówki, domy noclegowe, ambulatoria. Rejestrowaliśmy jeńców wojennych wszystkich narodowości i prowadziliśmy szeroko zakrojoną akcję poszukiwania rodzin.

Na początku roku 1946 Zarząd Główny PCK w Warszawie zorganizował kursy dla kierowników wojewódzkich biur informacji i poszukiwań. Wojewódzki Oddział PCK w Gdańsku delegował mnie na ten kurs. Tam podano nam praktycznie sposób prowadzenia ekshumacji zwłok ludzi pomordowanych przez hitlerowców.

Na terenie województwa gdańskiego, na Żuławach Wiślanych znajdował się w latach 1939—1945 hitlerowski obóz koncentracyjny Stutthof (Sztutowo). Przeszło 65 tysięcy osób zginęło tam w komorach gazowych. W okolicy istniały podobozy Stutthofu. Po powrocie z Warszawy dowiedziałam się, że Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich poszukuje masowego grobu pomordowanych przedstawicieli Polonii gdańskiej i nie może go odnaleźć. Z miejsca zgłosiłam się do tej akcji. Zorganizowałam ekipę, w której znaleźli się byli więźniowie Stutthofu, dr *Duszyński* i inż. *Lewandowski* i pojechaliśmy do Sztutowa. Inż. *Lewandowski* miał szkic topograficzny z zaznaczoną polaną przy skrzyżowaniu dróg. Tam podobno, jak opowiadał, miała być wykopana studnia do użytku obozu, ale esesmani powiedzieli, że nie wolno tam kopać ze względu na bliskie sąsiedztwo grobu.

Na każdej polanie próbowaliśmy szukać grobu, ale bez rezultatu. Postanowiliśmy zorganizować większą ekipę i znowu kopać. Milicja sprowadziła około trzydziestu Niemców miejscowych z łopatami. Kopali oni we wskazanych miejscach przez cały dzień, ale nic nie odnaleziono.

Gdyśmy wracali, zatrzymała samochód jakaś kobieta w średnim wieku i powiedziała, że chce mówić z pielęgniarką z PCK, ponieważ sama jest pielęgniarką Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Wyszłam z samochodu i ona mi oznajmiła, że wie, gdzie jest grób, którego szukamy, gdyż swego czasu, dokładnie w piątek wielkanocny 1940 roku [1] esesmani zmobilizowali miejscową ludność niemiecką do sadzenia drzew na polanie i już wówczas dowiedziała się, że las sadzono w celu zamaskowania grobu. Pojechaliśmy do lasu z tą pielęgniarką i w dużym zagajniku odnaleźliśmy grób.

Wykopano drzewa i ekshumowano około 40 zwłok. Wszystkie zostały rozpoznane przez rodziny. Niemcy strzelali w tył głowy. Ofiary były wybitnymi działaczami Polonii gdańskiej. Zwłoki zostały przez nas pochowane na cmentarzu Zaspy w Gdańsku.

Następnie brałam udział w ekshumacji zwłok kolejarzy polskich, pomordowanych przez Niemców w Szymankowie w roku 1939. Przy drodze w rowie znajdował się olbrzymi grób kolejarzy i ich rodzin. Odnalezienie grobu nie sprawiało trudności, gdyż jednemu z kolejarzy udało się uratować życie, opowiedział więc o tragedii kolegów. Esesmani przychodzili i zabierali z domu polskich kolejarzy i ich rodziny. Strzelali w tył głowy. Zwłoki zakopali w przydrożnym rowie między Szymankowem i Malborkiem. Prawie wszystkie zwłoki zostały rozpoznane przez rodziny. Jeden z zamordowanych miał w kieszonce chusteczkę z czystego jedwabiu, która po wypraniu wyglądała zupełnie świeżo; rodzina widząc tę chusteczkę ustaliła imię i nazwisko zamordowanego.

Brałam również udział w ekshumacji zwłok w lasach szpęgawskich pod Starogardem. Była to olbrzymia polana, otoczona lasem, a na tej polanie zgliszcza grobów, z wyjątkiem jednego, masowego, który ekshumowaliśmy. Opowiadał nam o tym grobie stary dróżnik, który pracował na torze kolejowym jeszcze w czasie okupacji. W r. 1940 któregoś dnia posłyszał on szum motorów samochodowych, przejeżdżających przez las polną dróżką. Zainteresowany obecnością tych samochodów, podglądał, co to za fortyfikacje budują na tej polanie. Hitlerowcy otoczyli polanę drutem kolczastym i umieścili tablicę z napisem zakazującym pod karą śmierci wchodzić na polanę. Na drugi dzień znów pojawiło się tam dużo samochodów ciężarowych. Sprytny staruszek namówił chłopca, który w pobliżu pasł krowy, do wydrapania się na drzewo i obserwowania stamtąd, co się na tej polanie dzieje. Oczom jego przedstawił się niesamowity widok. Hitlerowcy przywieźli mnóstwo ludzi. Byli to chorzy z zakładu psychiatrycznego w Kocborowie, księża kurii biskupiej w Pelplinie i ludność cywilna.

[1] Wielki piątek 1940 roku przypadł na dzień 22 marca (przyp. red.).

Przywiezieni w pierwszej kolejności kopali doły, a następnie układano ich w tych dołach rzędami i strzelano. Rozlegał się ogromny jęk i płacz. Bestialskie okrucieństwo trwało codziennie przez kilka tygodni. Po zasypaniu zwłok w grobach ziemia się jeszcze ruszała.

Przy ekshumacji zauważyliśmy, że pomordowani zakrywali oczy dłońmi. Jak wspomniano, grób pozostał tylko jeden, a było ich bardzo dużo. W r. 1943 znów okoliczni mieszkańcy zostali zatrwożeni hukiem samochodów, który rozległ się w lesie. Okazało się, że przyjechało wielu esesmanów i przywieźli smołę w beczkach. Następnie otwierano groby, zalewano smołą i podpalano. W ten sposób hitlerowcy chcieli zamaskować zbrodnię. Pozostały tylko poprzepalane metalowe cząsteczki przedmiotów, które pomordowani mieli przy sobie (krzyżyki, nożyczki, papierośnice itp.).

Zarówno przeżycia okupacyjne, jak i obrazy widziane podczas prac ekshumacyjnych pozostaną w pamięci do końca życia.

TADEUSZ MÜLLER Oświęcim

Wspomnienia internowanego i jeńca wojennego

Po ogłoszeniu mobilizacji dnia 31 sierpnia 1939 r. stwierdziłem, że mam się zgłosić dziesiątego dnia w Przemyślu w szpitalu garnizonowym. Na drugi dzień radio podało, że wojska hitlerowskie wkroczyły do Polski, a lotnictwo nieprzyjacielskie od razu rozpoczęło bombardowanie miast, czyniąc spustoszenia i wzniecając pożary. Przed upływem wspomnianego dziesięciodniowego terminu na wezwanie Powiatowej Komendy Uzupełnień w Drohobyczu wyruszyliśmy z dr *Gorczyńskim* na poszukiwanie naszego szpitala na wschód. Wyjechaliśmy najętą furmanką do Drohobycza, gdzie przyłączył się do nas dr *Hoffman*, kierownik szpitala Ubezpieczalni Społecznej. Po drodze wiodącej do Stryja widzieliśmy już zabitych i pożar dużej rafinerii nafty Polmin.

Do Stryja przyjechaliśmy w nocy. Panował tam niesamowity popłoch. W dzień zbombardowano miasto. Było wielu zabitych i rannych. Ludność z bagażami szła na wschód. Skierowaliśmy się pieszo również w stronę Chodorowa. Od najbliższej stacji kolejowej resztę drogi odbyliśmy pociągiem. W komendzie wojskowej w Chodorowie polecono nam udać się do Halicza. Pojechaliśmy dalej i w nocy przybyliśmy na miejsce. Po przenocowaniu zastaliśmy tylko komendę Policji Państwowej, która okazała się zupełnie bezradna. Udaliśmy się dalej, do Stanisławowa, gdzie nazajutrz zgłosiliśmy się w Komendzie Garnizonu. Polecono nam przyjść wieczorem po dokumenty i zaraz jechać do Nadwórnej. Przybyliśmy tam w nocy. Rano zameldowaliśmy się w Komendzie Garnizonu u płk *Tworzydły*. Mnie polecono zorganizowanie służby sanitarnej, a kolegów skierowano do Tarnopola. Moim zastępcą został por. *Stefan Wiktor*. Na drugi dzień przyjechała z Warszawy kolumna sanitarna pod dowództwem mjra *Szweryna*. Tu poznałem też por. *Rużyłłę* (obecnie profesor Akademii Medycznej w Warszawie).

Na drugi dzień rano zjawił się nad Nadwórną samolot, zrzucił bombę w okolicy dworca i został strącony. Okazało się, że był to samolot radziecki. Pilota odstawiono do szpitala. Z radia dowiedzieliśmy się, że Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski.

Tegoż dnia wieczorem zapowiedziano ewakuację Nadwórnej. Ruszyliśmy kolumną pod dowództwem mjr *Szweryna* w kierunku Jaremcza na Worochtę. W Tatarowie skierowano nas i wszystkie oddziały wojskowe do Przełęczy Tatarskiej i tu 18 września po południu przeszliśmy granicę węgierską w obecności wojskowych węgierskich i generała WP, *Kołłątaja-Srzednickiego*. Ze łzami pożegnaliśmy ojczyznę, zdając sobie sprawę, że idziemy na tułaczkę nie wiadomo jak długą.

Przez całą noc jechaliśmy do miejscowości Raho. Tu zdano sprzęt wojskowy i państwowy. Nazajutrz ruszyliśmy dalej, wszędzie przyjmowani serdecznie i gorąco przez ludność węgierską. W Beregszasz na Rusi Podkarpackiej, która w latach 1939—1944 należała do Węgier, otrzymaliśmy zaliczkę na żołd. Było tam sporo naszego wojska. Spotkałem tam mojego przyjaciela, prof. *Hilarowicza*. Namawiał mnie, żeby wrócić do kraju. Odmówiłem towarzyszenia mu, on zaś wrócił, by po dwóch latach zginąć od kul hitlerowskich podczas masakry lwowskich profesorów.

Z Beregszasz posłano nas dalej. Wszędzie po drodze okazywano nam dużo współczucia i serdeczności, zwłaszcza ze strony oficerów węgierskich, którzy przyjmowali nas bardzo gościnnie. Dalej pojechaliśmy pociągiem przez Debreczyn do Budapesztu, skąd skierowano nas do obozu internowanych w pięknej miejscowości naddunajskiej Nagymaros. Dostaliśmy bardzo dobre kwatery prywatne. Założono kasyno oficerskie. Towarzyszące nam Polki prowadziły kuchnię. Wyżywienie było bardzo dobre i tanie. Komendant obozu, por. *Petüs*, był wobec nas życzliwy i wyrozumiały.

Stąd wyruszali nasi oficerowie do Budapesztu i otrzymywali paszporty oraz cały cywilny ekwipunek i wyjeżdżali do Francji, do armii gen. *Sikorskiego*. Przez kilka miesięcy

przedostało się tam kilkadziesiąt tysięcy oficerów i żołnierzy, co byłoby niemożliwe bez przychylnego i życzliwego stanowiska władz węgierskich.

Jako starszemu lekarzowi polecono mi opiekę nad obozem internowanych. Do końca mego pobytu na Węgrzech sprawowałem opiekę lekarską w obozach. W pierwszym obozie przebywałem do czerwca 1940 roku, po czym zostałem przeniesiony do Kiskunlachaza i tu zostałem jako lekarz do grudnia 1944 r.

Przy Ministerstwie Honwedów działało przedstawicielstwo Wojska Polskiego. Przedstawicielem został płk *Król*. Przy Węgierskim Czerwonym Krzyżu powstała Sekcja Lekarzy Polskich; jej przedstawicielem był gen. *Kołłątaj-Średnicki*. Oba te przedstawicielstwa zaopatrywały obozy w ubrania, bieliznę i buty oraz leki potrzebne chorym. W obozie było ambulatorium i izba chorych na 10 łóżek. Ciężko chorych odwoziłem do Szpitala Honwedów w Budapeszcie, gdzie przyjmowano ich bardzo chętnie. W tamtejszym szpitalu nr X pracował dr *Rudolf Arend*, neurolog (obecnie profesor Akademii Medycznej we Wrocławiu), który swe wspomnienia z emigracji na Węgrzech opisał w zeszycie 4 „Archiwum Historii Medycyny" z r. 1964. Nie szczędził on trudu, pracował wspaniale i zasłużył na dużą wdzięczność ze strony chorych kierowanych pod jego opiekę.

Organizacja służby zdrowia w obozach internowanych na Węgrzech była bardzo dobra i sprawna. W każdym obozie było ambulatorium pod komendą lekarza węgierskiego. Ja byłem kierownikiem jako lekarz Polak. Codziennie o godzinie ósmej rano przyjmowano zgłaszających się chorych. Chorzy otrzymywali potrzebne leki, przydzielane przez władze węgierskie, a nadto dostarczane przez sekcję lekarzy Węgierskiego Czerwonego Krzyża. Otrzymałem też pieniądze na zakup leków. Lżej chorzy pozostawali w kwaterach, część leżała w izbie chorych, a jak wspomniałem, w razie potrzeby wysyłano chorych do Szpitala Honwedów w stolicy. Kobiety ciężarne przewożono na poród do pięknego położniczego szpitala wojskowego. Pracy lekarskiej w obozach było bardzo dużo, ale wyniki leczenia dawały zadowolenie. Dobre odżywienie i odpowiednie warunki wpływały korzystnie na stan zdrowia internowanych. Z ciężkich spraw zetknąłem się z kilkoma bardzo zaawansowanymi chorobami serca i z jednym przypadkiem raka serca; chory ten zmarł w szpitalu w Budapeszcie.

Pomimo dobrych warunków pobyt na Węgrzech nie mógł zastąpić pobytu w kraju. Wzrastała tęsknota i przyczyniała się do złego samopoczucia. Z tym większą wdzięcznością więc wspominam stosunek Węgrów do internowanych. Węgrzy — to naród bardzo dobry, a ich wielka sympatia do Polaków często była wzruszająca. Wyrozumiali, pełni uczucia, stwarzali warunki wprost nadzwyczajne. Mieszkałem u zamożnego Węgra, który miał żonę i syna. Okazywali mi dużo zrozumienia, a nawet czułości. Często dawali mi rozmaite środki żywności i wino. Nie mogąc się niczym zrewanżować, pomagałem im w czasie winobrania. Gdy wyjeżdżałem na stałe, pożegnali mnie z płaczem, obdarowawszy na drogę prowiantem i winem. Wspominam ich dotąd zawsze bardzo serdecznie. Podobne warunki mieli i inni koledzy, choć nieraz zachowywali się wobec Węgrów niewłaściwie. Gdyby nie nacisk Niemiec hitlerowskich na Węgry i opanowanie tutaj władzy przez faszystów, moglibyśmy tak przetrwać do końca wojny, tym bardziej że pod każdym względem ułożyliśmy sobie życie na emigracji. Np. grupa naszych nauczycieli za zezwoleniem władz węgierskich założyła szkołę i gimnazjum, aby dzieci polskie nie traciły lat szkolnych.

Spokojne warunki przerwał rok 1943. Zaczęły się bombardowania Niemiec i Węgier. Od południa leciały klucze samolotów na północ. Były to samoloty amerykańskie i angielskie. W Budapeszcie doszczętnie zbombardowano największą rafinerię nafty. Zginęło dużo ludności. Na Węgrzech rozpoczęły się prześladowania ludności żydowskiej. Całe transporty Żydów szły do komór gazowych Oświęcimia. W Budapeszcie utworzono getto. Żydów zmuszono do noszenia żółtych gwiazd. Niepokój i strach powiększał się z każdym dniem. Wśród emigrantów rosło zdenerwowanie.

Nadszedł rok 1944. 19 marca Niemcy okupowały Węgry. Uwięziono regenta *Horthy'ego*, który przewidując klęskę państw „osi" próbował nawiązać pertraktacje z aliantami, a rządy objęli węgierscy faszyści, tzw. „strzeliste krzyże" z premierem *Szalasi*. Gestapo zaczęło swą bandycką pracę. Nastąpiły masowe aresztowania i znęcanie się nad ludnością. Tymczasem od wschodu zbliżał się front.

Jednego dnia polecono nam spakować się i nazajutrz rano wyruszyliśmy w drogę. Nasz bagaż załadowano na furmankę. Doszliśmy do Dunaju i musieliśmy czekać, aż nas przewiozą promem na drugi brzeg. Nocowaliśmy bez namiotów na trawie. Dopiero następnego dnia przewieziono nas przez rzekę i skierowano pieszo na zachód. Po całym dniu marszu załadowano nas na pociąg, który wiózł nas dalej aż za Balaton do Zalacany. Tu spędziliśmy pewien czas, po czym odbyliśmy marsz aż do granicy austriackiej, gdzie umieszczono nas w olbrzymich spichrzach. Po kilku dniach codziennie transportowano nas grupami do obozu jeńców wojennych w Keisersteinbruch.

Nasze wrażenie było straszne. Przy wejściu do obozu poddano nas rewizji, po czym skierowano do baraków. Po dezynfekcji i spisaniu ewidencji dostaliśmy się do baraku z jeńcami radzieckimi, gdzie oblazły nas wszy i pluskwy. Jeńcy radzieccy, wynędzniali i głodzeni, sprawiali wstrząsający widok. Żywiono ich zupą z brukwi, w której pływało parę na pół zgniłych ziemniaków. kromeczką chleba, a na kolację raczono moczopędną namiastką herbaty. Przeszliśmy na ten wikt. Niektórzy oficerowie mieli jeszcze skromne zapasy słoniny i kiełbasy, ale prędko się one wyczerpały.

Mniej więcej po dwóch tygodniach wysłano nas na dworzec i załadowano do wagonów towarowych. Tu dano nam po kawałku chleba i słone kwargle (małe, zgliwiałe serki). Wagony zaplombowano i tak przez trzy dni trzymano nas na stacji. Mróz dochodzący do 15 stopni dotkliwie dawał się we znaki w tych żelaznych wagonach. Wreszcie po trzech dniach pociąg ruszył.

Komendantem transportu był por. *Janke* z *Wehrmachtu*, przed wojną oficer w armii polskiej, bardzo wrogo do nas nastawiony. Przez cały czas trwania podróży nie dał nam wody, a pragnienie, zwłaszcza po kwarglach, szczególnie męczyło. Po drodze uczepiono do blaszanki sznurek i przez szparę w drzwiach łapano śnieg, którym choć trochę gasiliśmy pragnienie. Wreszcie po 8-dniowym transporcie przewieziono nas do Luckenwalde pod Berlinem i w tym obozie przebywaliśmy do końca wojny. Rozmieszczeni w dwóch barakach po 500 osób, spaliśmy na trzypiętrowych pryczach. Zaczęło się ciężkie bytowanie w strasznym głodzie. Różnica między naszym obozem a obozami koncentracyjnymi była tylko taka, że nie zmuszano nas do pracy i nie mordowano.

Nasi oficerowie zaczęli się załamywać. Przypadki nerwic nasilały się. Ponadto liczne były ciężkie biegunki i grypy. Miałem to szczęście, że polecono mi opiekę lekarską, toteż pracując bardzo ciężko od rana do późnej nocy miałem zajęty czas i to mnie ratowało. Moim zastępcą był dr *Felker* z Warszawy, z którym prowadziłem oddzielne ambulatorium i „rewir" 20-łóżkowy. Pomagał nam sanitariusz. Borykaliśmy się z brakiem potrzebnych leków, ale uzyskaliśmy nawet w tych warunkach niezłe wyniki. Chociaż stan wielu uwięzionych od początku był zły i niebezpieczny, to jednak na ogół udawało się unikać strat. Zmarło około 5 ludzi, szczególnie schorzałych. Co parę dni przychodził niemiecki lekarz i wtedy były awantury i krzyki, że Polacy za dużo potrzebują leków i skreślał zapotrzebowanie do połowy. Do bardzo ciężkich biegunek, wyniszczających i długotrwałych, dołączyła się w lutym 1945 roku ciężka grypa z częstymi powikłaniami płucnymi, a opanowanie ich było też bardzo trudne. Mimo zimna, głodu i braku leków epidemia ta minęła. Przysłowiową kroplą w morzu był przydział 20 porcji diety z pęcaku dla rewiru, a ponieważ potrzebujących było o wiele więcej, ta znikoma ilość stwarzała tylko pretensje i zadrażnienia. Dopiero jenieckie paczki amerykańskie poprawiły stan zdrowia przebywających w barakach.

W obozie było przeszło 1 000 oficerów angielskich z RAF (lotnictwo), 1 500 oficerów norweskich, kilkunastu Włochów z dwoma generałami i grupa oficerów amerykańskich. Stosunki wzajemne układały się dobrze. Nasz chór, prowadzony przez prof. *Zawadzkiego*, dawał koncerty dla Anglików, Norwegów i Amerykanów. W marcu wydano amerykańskie paczki Czerwonego Krzyża dla jeńców. To poprawiło nasze samopoczucie. Wiadomości z zewnątrz były coraz lepsze. Zbliżał się koniec wojny. Front był coraz bliżej. Obserwowaliśmy walki powietrzne lotników i nasłuchiwaliśmy huku dział.

Dnia 22 kwietnia 1945 roku po rannym apelu zniknęli wszyscy żołnierze i oficerowie niemieccy, stanowiący załogę obozu. Porządek i opiekę przejęli oficerowie angielscy. Na drugi dzień rano zbudził mnie hałas. Wyjrzawszy, zobaczyłem czołg radziecki. Zapanowała niebywała radość. Po dwóch dniach obóz objęli oficerowie radzieccy. Komendantem został mjr *Kotow*. Wydano nam przepustki do miasta i pozwolono spacerować poza obozem.

Zaczęły się rozmaite namawiania i agitacje, by jechać na zachód, do armii angielskiej i amerykańskiej. Po wysłuchaniu audycji radiowej z Warszawy, wzywającej nas do powrotu do kraju, od razu nieodwołalnie postanowiłem wrócić. Czekała na mnie żona i 15-letni syn, którzy wyczerpani terrorem okupacyjnym, wymagali mojej opieki. Zdawałem sobie też sprawę z tego, że wielu polskich lekarzy zginęło, toteż obowiązkiem moim było stanąć do pracy w kraju.

Tymczasem do obozu skierowano z Berlina i okolic robotników, zesłanych z wielu krajów na przymusowe roboty do Niemiec. Przybyło ich kilka tysięcy. Po jeńców angielskich, amerykańskich i norweskich przyjechały specjalne kolumny samochodowe zza Łaby i wszyscy odjechali do swych krajów. Po dwóch tygodniach również nas zawiadomiono, że rozpoczyna się nasza ewakuacja do Polski. Codziennie odjeżdżało kilkunastu oficerów, zaopatrzonych w suchy prowiant, najpierw do Berlina, a stamtąd przez Frankfurt nad Odrą do Polski. Komendant *Kotow* powiedział mi, że pojadę ostatnim transportem z chorymi, których było kilkunastu.

Dnia 26 czerwca po południu załadowano nas do wagonów, zaopatrzono w suchy prowiant i wyprawiono w drogę do Polski. Jechaliśmy pociągiem towarowym. Postoje były częste i długie. Wreszcie przekroczyliśmy Nysę Łużycką i Odrę. 29 czerwca przyjechaliśmy do Poznania. Tu powiedziano nam, że wieczorem dwa wagony osobowe odejdą do Krakowa, a dwa do Warszawy. Chorych polecono mi oddać w placówce Czerwonego Krzyża. Poszedłem do baraku PCK obok dworca, a gdy oddałem listę z chorymi, natychmiast zabrano ich i sanitarkami porozwożono do szpitali.

W nocy przyjechałem do Katowic. Uraczono nas tam gorącą kawą i doskonałym chlebem. Po godzinie pociąg ruszył do Krakowa, ale przez Olkusz i Tunel, gdyż przez Katowice prowadził tor szeroki, dostosowany do rozstawu kół w transportach radzieckich. W Krakowie byłem wieczorem i na szczęście znalazłem w domu rodzinę zdrową, ale bardzo wyczerpaną okupacyjnymi przejściami. Po kilku dniach wybrałem się do Włoch pod Warszawą celem stawienia się przed komisją weryfikacyjną. Przygnębiające wrażenie wywarła na mnie zniszczona Warszawa, a w sercu odżyła znów nienawiść do hitlerowców.

Za namową kilku kolegów z obozu osiedliłem się w Oświęcimiu. Przyjęty tam bardzo serdecznie przez burmistrza, p. *Marcina Krzemienia*, urządziłem się z rodziną w nowym mieszkaniu i podjąłem pracę lekarską, głównie jako położnik. Skutki wojny dawały się we znaki. Do najbliższego szpitala było 20 km, o izbach porodowych nie można było nawet marzyć, a środki lokomocji były bardzo złe. Do chorych szło się albo piechotą, albo dostawało się nędznymi furmankami. Widząc teren byłego obozu oświęcimskiego, naocznie się przekonałem, jak potwornego dzieła dokonali tutaj hitlerowcy. Muszę przyznać, że gdy byłem obecny na egzekucji byłego komendanta Oświęcimia-Brzezinki, *Rudolfa Hössa*, uczułem coś jakby satysfakcję i radość.

Wśród Niemców spotykałem ludzi dobrych i uczciwych, ale niewielu. O ich okrucieństwie, zarozumiałości i rasistowskim fanatyzmie przekonałem się w Niemczech, które stanowiły jaskrawy kontrast w porównaniu z gościnnością i serdecznością Węgrów.

Ze względu na ograniczoną objętość zeszytu nie można było w roku bieżącym opublikować następujących prac, przygotowanych do druku:

W dziale naukowym:

Jerzy Budny: Wpływ przebywania w obozie koncentracyjnym na uzębienie byłych więźniów.

W dziale historyczno-dokumentarnym:

Komunikat Polsko-Radzieckiej Komisji Nadzwyczajnej do zbadania zbrodni niemieckich dokonanych w obozie unicestwienia na Majdanku.

Stanisław Kłodziński: Proces lekarza *SS*, *Horsta Fischera*.

Edward Hanke: Refleksje więźnia obozu koncentracyjnego w Dachau, *Wincentego Spaltensteina*.

W dziale wspomnień:

Władysław Salwa („Mazur"): Wspomnienia rannego partyzanta.

Marian Kiciarski („Jur"): Olkusz pod okupacją hitlerowską. Wspomnienia lekarza.

Bronisław Rubin: Wspomnienia lekarza z obozów w Falkenbergu i Ebensee.

Leon Głogowski: Moje pierwsze dni w obozie oświęcimskim.

Anna Tytoniak: Jesień 1942 roku w szpitalu kobiecym w Brzezince.

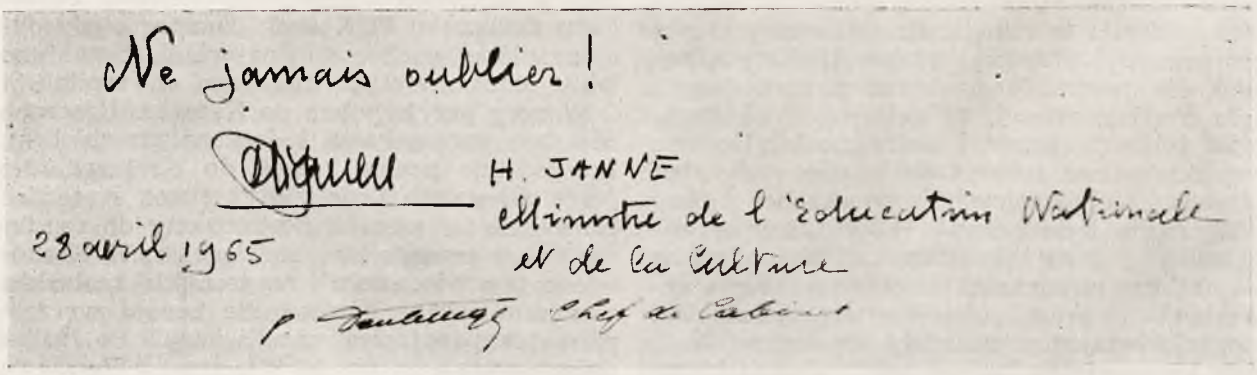
Józef Kret: Ze wspomnień oświęcimskich.

Jan Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen. Część II.

W dziale biograficznym:

Jan Nowak, Stefania Perzanowska: Dwugłos o profesorze *Mieczysławie Michałowiczu.*

Wymienione prace zostaną opublikowane w kolejnym, ósmym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".



Reprodukcja wpisu ministra oświaty Belgii, *H. Janne* do księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu w dniu 28 kwietnia 1965 roku. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu). W poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" na str. 64 u dołu reprodukowano wpis nie min. *Janne*, ale ambasadora Italii w Polsce, *E. Aillauda* do tejże księgi.

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

MAŁGORZATA DOMINIK

Kraków

Dr Halina Jankowska

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *Karol Spett*)

Często przypominamy bohaterskie postacie minionej wojny, czcząc zwłaszcza pamięć tych, którzy ze szczególnym poświęceniem poszli na śmierć. Wystarczy wspomnieć *Janusza Korczaka*, dobrowolnie dzielącego ostatnią drogę swych wychowanków w czasie likwidacji getta warszawskiego, czy też ojca *Maksymiliana Kolbego*, który zginął w Oświęcimiu śmiercią głodową, zgłosiwszy się również dobrowolnie zamiast jednego z wyznaczonych na śmierć współwięźniów. Natomiast postać dr *Haliny Jankowskiej*, która zginęła wraz ze swymi chorymi pod gruzami Szpitala św. Jana Bożego, nie doczekała się dotychczas wyczerpującej biografii, jakkolwiek dość obszernie opisano wojenne dzieje tego szpitala [1]. Bliższe informacje o dr *Jankowskiej* warto podać, tym bardziej że są one źródłowym przyczynkiem do nowszych dziejów psychiatrii polskiej, między innymi z okresu okupacji hitlerowskiej.



Ryc. 1. Dr Halina Jankowska

Dr *Jankowska* była szeroko znana w przedwojennym środowisku lekarskim. Urodziła się 24 września 1890 roku w Berdyczowie na Wołyniu. Ojciec był inżynierem kolejowym, matka działaczką oświatową. Wykształcenie średnie otrzymała w prywatnej pensji *Jadwigi Sikorskiej*, studia wyższe zaś ukończyła w r. 1918 w Żeńskim Instytucie Medycznym w Petersburgu. Dyplom petersburski nostryfikowała po powrocie do Polski w Uniwersytecie Warszawskim. Pracę lekarską rozpoczęła w Winnicy na Podolu, a wkrótce poświęciła się psychiatrii, przenosząc się na rok do Szpitala w Tworkach (przełom lat 1919 i 1920) za czasów dyrekcji doc. *Witolda Łuniewskiego*, następnie zaś do Szpitala św. Jana Bożego w Warszawie, skąd jesienią 1923 roku przyjechała do Wilna.

Objęła tam stanowisko starszej asystentki w Katedrze Psychiatrii Uniwersytetu Stefana Batorego, prowadzonej przez prof. dr *Antoniego Mikulskiego*. Tamtejsza klinika psychiatryczna mieściła się w obrębie oddziału neurologiczno-psychiatrycznego Szpitala Wojskowego, a warunki pracy zupełnie nie odpowiadały potrzebom klinicznym. W kwietniu 1925 roku zmarł prof. *Antoni Mikulski*. Przez następne dwa lata katedra pozostawała nie obsadzona. Dopiero po objęciu profesury przez dr *Rafała Radziwiłłowicza* uzyskano odpowiedni lokal i rozpoczęto w r. 1927 organizację wileńskiej kliniki psychiatrycznej z uwzględnieniem potrzeb naukowo-pedagogicznych. Przebywając w środowisku wileńskim, dr *Jankowska* specjalizowała się w definitywnie już wybranej przez siebie dziedzinie psychiatrii. Bezpośrednią relację z tego okresu oraz informacje dotyczące okoliczności wyjazdu dr *Jankowskiej* z Wilna podaje dr *A. Kulikowska:*

„Dr *Jankowska* brała bardzo czynny udział w organizacji kliniki [wileńskiej]. Prowadziła oddział kliniczny, opracowywała materiał do wykładów i prowadziła ćwiczenia ze studentami. W r. 1929 zmarł nagle prof. *Radziwiłłowicz* i katedra wileńska znowu pozostała osierocona na czas dłuższy. Dr *Jankowska* nadal prowadziła klinikę [psychiatryczną], zajmowała się pracą pedagogiczną ze studentami, pracowała naukowo. Ten ciągły stan przejściowy w katedrze wileńskiej przysparzał wiele trudności, z którymi dr *Jankowska* dzielnie sobie

[1] Zob. m. in. *A. Falkowski:* Szpital św. Jana Bożego w latach 1939—1944. Rocznik Psychiatryczny, 1949, t. XXXVII, nr 1, s. 67—74.

radziła, chociaż wówczas sama była jeszcze młodym i mało doświadczonym lekarzem [...] W r. 1931 przybył na katedrę wileńską prof. dr *Maksymilian Rose* [...] [Wkrótce po jego przyjeździe dr *Jankowska*] opuściła klinikę, przechodząc do organizowania opieki rodzinnej dla psychicznie chorych i rekonwalescentów. Sprawa opieki nad chorymi była ówcześnie kwestią palącą [...] Niektóre wsie [na Wileńszczyźnie wobec dotkliwego braku miejsc szpitalnych dla chorych psychicznie] samorzutnie organizowały taką opiekę [2] bez obsady lekarskiej i fachowej służby sanitarnej. Było przy tym wiele wyzysku i krzywdy chorych. Dr *Jankowska* z całą właściwą jej energią zajęła się likwidowaniem tej »dzikiej opieki«, a zorganizowaniem prawidłowej. Wymagało to nie tylko wiele trudu, ale i niemałej odwagi. Władze wojewódzkie nie kwapiły się z pomocą. Dzięki bezinteresownemu, bezkompromisowemu stanowisku oraz wielkiemu taktowi udało się dr *Jankowskiej* stworzyć piękną placówkę psychiatryczną. W opiece tej pozostawało około 800 chorych. Została [jej twórczyni] odznaczona Medalem Dziesięciolecia Polski za wzorową pracę fachową i społeczną. Teren, w którym mieszkali chorzy, był bardzo rozległy. Wizytacja trwała zbyt długo, pochłaniała cały czas bez reszty i chociaż praca dawała dobre wyniki i zadowolenie, uniemożliwiała wyżycie się zainteresowaniom naukowym. Dr *Jankowska* zaczęła rozglądać się za miejscem pracy, gdzie by te pragnienia mogła zaspokoić. W tym czasie wakowała w Szpitalu św. Jana Bożego w Warszawie ordynatura. Dr *Jankowska* zgłosiła swoją kandydaturę. Zdała z pozytywnym wynikiem egzamin konkursowy [...] i objęła [w r. 1935] stanowisko ordynatora [oddziału II kobiecego]. Na tym stanowisku pozostawała do końca życia" [3].

Bliższe dane o okolicznościach dotyczących opuszczenia kliniki wileńskiej przez dr *Jankowską* podaje dr *Marzyński:* „W okresie bezkrólewia w klinice, tj. po śmierci prof. *Radziwiłłowicza,* a przed przyjazdem prof. *Rosego,* adiunktem i kierownikiem *de nomine* był dr *Tokałło,* ale faktycznie rządy sprawowała dr *Jankowska.* Stosunki z profesorem *Rosem,* początkowo bardzo dobre, szybko się zepsuły. Poglądy naukowe, sposób patrzenia na świat i doświadczenia tych dwóch indywidualności nie były zbieżne. Szybko powstawać zaczęły konflikty, gdyż ani p. *Jankowska* nie mogła podporządkować się *Rosemu,* ani *Rose* nie chciał, czy nie umiał, wykorzystać ogromnych zdolności p. *Haliny,* aby ją wprowadzić w swój sposób myślenia i nagiąć do pracy tak bardzo różnej od przyzwyczajeń i sposobów myślenia ukształtowanych przez prof. *Radziwiłłowicza*" [4].

Uzyskanie stanowiska ordynatora było wówczas dla stosunkowo młodej lekarki dużym osiągnięciem w karierze zawodowej, a w warunkach przedwojennych zapewniało samodzielną i zaszczytną pozycję oraz korzystne warunki finansowe. Wierna swym zamiłowaniom naukowym, dr *Jankowska* nawiązała współpracę z kliniką psychiatryczną, która mieściła się w tym samym budynku przy ul. Konwiktorskiej, co Szpital św. Jana Bożego [5].

Już w czasie swej pracy w Wilnie dr *Jankowska* uzyskała stypendium naukowe na wyjazdy za granicę. Kilkakrotnie wyjeżdżała wtedy, aby się zapoznać z ośrodkami psychiatrycznymi w Niemczech, we Francji, w Anglii. Korzystała z każdej okazji, aby pogłębiać swe wiadomości naukowe. Swoje spostrzeżenia lekarskie i wyniki własnych badań naukowych dr *Jankowska* publikowała przeważnie w „Roczniku Psychiatrycznym", jak również w „Polskiej Gazecie Lekarskiej", „Warszawskim Czasopiśmie Lekarskim" i „Pamiętniku Wileńskiego Towarzystwa Lekarskiego" [6]. W swych ogłoszonych pracach zajmowała się głównie psychopatologią („Przypadek psychozy urojeniowej w przebiegu parkinsonizmu pośpiączkowego", „Przypadek parafrenii rozwijającej się po przebytym zespole sensytywnym urojeń ksobnych *Kretschmera*", „Przypadek ostrej omamowej psychozy alkoholowej", „O depersonalizacji w omamach", „Z zagadnień biologii wzruszeń"). Zainteresowania jej dotyczyły także neurologii („Przypadek niemoty czuciowej przy lewostronnym porażeniu", „Napady osłupienia negatywistycznego w przebiegu *tabo-paralysis*", „Przyczynek do zagadnienia dziedziczności w dystonii torsyjnej"). Spośród innych prac warto wymienić publikacje dotyczące psychologii dzieci („Poziom inteligencji dzieci szkół powszechnych miasta Wilna"), medycyny społecznej („Opieka rodzinna nad psychicznie chorymi na Wileńszczyźnie") i innych zagadnień, między innymi z pogranicza

[2] Według rękopisu pamiętnika *M. Marzyńskiego,* „dr *Podwiński* i dr *Wirszubski* odkryli samodzielnie istniejące od kilkudziesięciu lat opieki rodzinne dla psychicznie chorych w Dokszanie i różnych wsiach tego okręgu. Starali się nadać im możliwie humanitarne i zorganizowane formy. Po przyjeździe do Wilna profesor *Rose* zainteresował się tym zagadnieniem i dzięki swemu autorytetowi i stosunkom był w możności uporządkować zagadnienia prawne tej swoistej i ówcześnie jedynej w Polsce formy opieki nad psychicznie chorymi. Kto wystąpił z inicjatywą powierzenia kolonii dr *Jankowskiej,* nie wiem. Lecz zapaliła się do tego zagadnienia. Poświęciła mu ogromnie dużo energii i inwencji, nie szczędziła trudów i wysiłków. Byłem z nią na kilku objazdach w terenie. W deszcz i słotę, w zimę podczas mrozów i śniegów chłopskimi »powózkami« lub saneczkami odwiedzała niezmordowanie swoich podopiecznych. Zorganizowała wreszcie opiekę pozazakładową i gotowe zręby oddała swoim następcom".

[3] Listowna relacja *A. Kulikowskiej* z 20 czerwca 1966 r. dla redakcji „Przeglądu Lekarskiego". Zob. też *T. Bilikiewicz* i *J. Gallus:* Psychiatria polska na tle dziejowym. PZWL, Warszawa 1962, str. 225—231.

[4] Fragment rękopisu pamiętnika *M. Marzyńskiego,* pisany w 1943 roku.

[5] Dane z życiorysu *H. Jankowskiej* są zaczerpnięte między innymi z informacji opublikowanych przez *Z. Filara* w „Polskim Słowniku Biograficznym", 1962, t. X, str. 530—531, z ustnej relacji *Z. Jaroszewskiego,* z wiadomości uzyskanych od *F. Szumigaja,* z cytowanego listu *A. Kulikowskiej.*

[6] Bibliografię prac *H. Jankowskiej,* niepełną jednak i niedokładną, ogłosił *S. Łoza* w książce pt. Czy wiesz, kto to jest? (Warszawa 1938, str. 286).

różnych dyscyplin lekarskich („Badanie sprawności czynności wątrobowej w padaczce"). Prace te wyróżniają się rzetelnością badań, szeroką dokumentacją (liczne opisy przypadków chorobowych, bardzo bogate zaplecze bibliograficzne, starannie opracowany materiał statystyczny), wyzyskaniem możliwości różnych eksperymentów (np. badania na zwierzętach, wnikliwa analiza biochemiczna), toteż nawet mimo upływu kilkudziesięciu lat publikacje te zachowały dużo wartości [7].

Działalność naukowa dr *Jankowskiej* nie ograniczała się tylko do ośrodków lekarskich. Ta doświadczona już w psychiatrii lekarka podjęła od r. 1935 wykłady z zakresu psychopatologii dziecka w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Współtwórca tego Instytutu i jego dyrektor do chwili obecnej, prof. dr *Maria Grzegorzewska* tak charakteryzuje dr *Jankowską*:

„Głęboki stosunek do pracy, zainteresowania naukowe, poczucie odpowiedzialności i związane z tym całkowite oddanie się chorym nie pozostawiało jej zupełnie czasu na kontakty towarzyskie, toteż znaliśmy ją tylko z pracy. Natychmiast po zakończeniu wykładu w Instytucie spieszyła do szpitala. Czasem zostawała chwilę, aby wyjaśnić coś słuchaczom, pomóc któremuś z nich w zrozumieniu trudnego zagadnienia. Do Instytutu wnosiła osobowością swoją atmosferę mocy ducha, ładu i spokoju. Siła moralna, hart, zdecydowanie, odwaga przekonań i prawda wewnętrzna była w wyrazie jej oczu, w głębokiej, poważnej i życzliwej dla wszystkich tonacji głosu. Czuło się w niej harmonię wewnętrzną w tym, co jest najważniejsze: w świadomości życia, prawdzie swojej drogi i stosunku do człowieka. W szpitalu, gdy wchodziła na salę, jej pacjenci, ludzie psychicznie chorzy, szli ku niej jak ku słońcu [...] Zaufali jej, a ona nie zawiodła" [8].

Również w środowisku lekarskim oceniano bardzo dodatnio dr *Jankowską*. Dr *Franciszek Szumigaj*, który aż do czasu powstania warszawskiego pracował w oddziale przez nią kierowanym, wspomina ją jako szczególnie uzdolnioną lekarkę, dobrego organizatora i kierownika, liberalnego wobec współpracowników i humanitarnego dla chorych. Chory liczył się u niej przede wszystkim. Nie szczędziła chorym nawet swego prywatnego czasu. Sylwetka dr *Jankowskiej* była bardzo popularna. Wysoka, o wyrazistych rysach, głębokim spojrzeniu, opanowana, zdecydowana, energiczna, „twarda i zasadnicza", jak podają osoby, które z nią współpracowały, a przy tym serdeczna i ujmująca w obejściu, wywierała duży wpływ na otoczenie. Z drugiej strony była bardzo kobieca, subtelna, skłonna do romantyzmu. Jej osobowość i styl życia wywierały wrażenie, jak gdyby dążyła do heroizmu, co mocno podkreślają ludzie, którzy się z nią stykali [9].

Dr *Jankowska* szeroko udzielała się w pracy społecznej. Już w okresie studiów należała do stowarzyszenia „Odrodzenie" i stowarzyszenia studentek „Spójnia". Jak wspomniano, w Wileńskiem była pionierką organizowania opieki domowej nad psychicznie chorymi oraz inspirowała i przeprowadzała badania dzieci w szkołach powszechnych; swą działalność społeczną rozwijała również w Warszawie.

Postać dr *Jankowskiej* nie uszła uwagi wybitnych pisarzy. Wystarczy zacytować *Jerzego Zawieyskiego*: „Kiedyś w otoczeniu pani *W. N.* mignęła mi postać, której także nigdy nie zapomnę. Z krótką wizytą przyszła dr *Jankowska*, psychiatra, ordynator Szpitala Jana Bożego w Warszawie. Jeszcze młoda i piękna osoba. Dowiedziałem się później, że w czasie okupacji Niemcy wywozili umysłowo chorych, by ten balast ludzki wytruć gazami; nie opuściła ich, jak i *Korczak*, i tak, jak on, zginęła, mogąc się przecież uratować. Pani doktor *Jankowska* była także niezwiązana z żadnym wyznaniem, z żadnym kościołem" [10].

Wybuch wojny polsko-niemieckiej w r. 1939 zastał dr *Jankowską* w Szpitalu św. Jana Bożego. Ten okres jej życia relacjonuje dr *Zdzisław Jaroszewski*: „Gdy wybuchła wojna, dr *Halina Jankowska* [...] potrafiła zdobyć się na wyjątkowy hart ducha, opanowanie, siłę woli i spokój. Podczas obrony Warszawy w r. 1939 Szpital św. Jana Bożego wypełnił się rannymi, oprócz normalnego kontyngentu umysłowo chorych. Dla tych rannych i umierających dr *Halina Jankowska* była dobrym duchem opiekuńczym, niosącym ulgę w cierpieniach, ukojenie, pociechę. Ciemna noc okupacji. Dzielna, odważna, już wczesną wiosną 1940 roku zaczyna brać udział w konspiracji, podjąwszy się przygotowania pod względem lekarsko-sanitarnym terenu Warszawa-Północ na wypadek powstania. A więc organizuje: placówki lekarsko-sanitarne, szkolenie pielęgniarek wraz z praktyką, gromadzenie leków i materiałów opatrunkowych, przygotowanie szpitali na przyjęcie rannych itp. Prócz tego udziela swego mieszkania na różnego rodzaju spotkania konspiracyjne, na przechowywanie wszelkich kompromitujących przed władzami okupacyjnymi przedmiotów, do broni i materiałów wybuchowych włącznie, na punkt rozdzielczy dla pracy podziemnej. Przechowuje i leczy rannych partyzantów. Udziela również dwukrotnie dłuższego schronienia lekarzom-kolegom żydowskiego pochodzenia oraz ich żonom, a następnie pośredniczy w dostarczaniu im do późniejszych miejsc ich ukrywania się paczek z odzieżą, żywnością itp. Nie waha się dla ratowania osób, którym się ziemia pali

[7] Bliższa analiza prac naukowych *H. Jankowskiej* oczywiście wykracza poza możliwości szkicu biograficznego. Według informacji *Z. Jaroszewskiego*, najbardziej kompetentny do oceny jej dorobku naukowego jest prof. dr *Mieczysław Kaczyński*, obecnie kierownik Kliniki Chorób Psychicznych AM w Lublinie.

[8] *M. Grzegorzewska*: Listy do młodego nauczyciela. Cykl II. Warszawa 1958, str. 8 — 9.

[9] Według ustnej informacji *F. Szumigaja*.

[10] *J. Zawieyski*: Droga katechumena. „Znak" 1958, R. 10, nr 1 (43), str. 28.

pod nogami, wystawiać fałszywe świadectwa lekarskie [...] na inne nazwiska i pod nie istniejącymi adresami w Warszawie celem wyrobienia dla nich dowodów (*kennkart*) w starostwie. Pomimo dwukrotnych ostrzeżeń osób nieznajomych i z innej organizacji (obie kobiety) o przejęciu dwóch anonimowych doniesień do gestapo, jednego już w samym gestapo, nie zaprzestaje swej działalności patriotyczno-społecznej, przedsięwziąwszy jedynie pewne środki ostrożności. W końcu jednak musi wraz z siostrą opuścić na jakiś czas mieszkanie (na terenie Szpitala św. Jana Bożego) i nocować u różnych znajomych, prawie do wybuchu powstania" [11].

Dr *A. Kulikowska*, która ostatni raz widziała dr *Jankowską* w jesieni 1940 roku, wspomina, że „była ona bardzo przygnębiona ogólną sytuacją kraju i ciężkimi przeżyciami osobistymi. Wiedziała już wtedy o zamordowaniu najmłodszego brata, którego od dziecka wychowywała. Nie była jednak załamana, ale pełna hartu i woli walki z wrogiem" [12].

Gdy 1 sierpnia 1944 roku wybuchło w Warszawie powstanie, znów od pierwszych godzin działań wojennych zaczęli do Szpitala św. Jana Bożego przybywać ranni. „Od pierwszego dnia szpital znajdował się pod silnym obstrzałem. Przed budynkiem szpitala zostały wzniesione barykady, co spowodowało zbliżenie się czołgu pancernego »tygrysa«, który ostrzeliwał szpital i barykady, wzniecając pożar" [13]. Dr *Jankowska* znalazła się więc dosłownie w ogniu, tym bardziej że do ostrzeliwania szpitala dołączył się pociąg pancerny z Dworca Gdańskiego, a już w pierwszym tygodniu sierpnia zaczęły się ataki lotnicze. Jak podał dr *Leon Uszkiewicz*, od dnia 13 sierpnia grozę sytuacji wzmagało nękające ostrzeliwanie artyleryjskie i miotaczami min. Szpital od początku działań powstańczych ponosił straty; już 1 sierpnia zginęło trzech chorych psychicznie [14].

Klimat tych tragicznych dni znalazł swe sugestywne odzwierciedlenie w notatce *Janusza Jankowskiego*, brata dr *Haliny*: „Gdy w huku bomb, granatów, salw i pocisków, w łoskocie czołgów najlepsza młodzież warszawska stawiała czoło w nierównej, rozpaczliwej walce z okrutnym okupantem na barykadach, w podziemiach i suterenach walących się domów, dzień i noc przez dwa miesiące pracowały setki lekarzy chirurgów, lekarzy asystujących, sióstr szpitalnych i pielęgniarek zawodowych i ochotniczek, ochotników mężczyzn w starszym wieku. Piszący te słowa pamięta operacje w podziemiach szpitala przy świecach, łojówkach, z brakiem wody, z długą kolejką leżących na noszach, umierających na noszach przed operacją, pamięta siwych, starszych wiekiem lekarzy, operujących, mdlejących z wyczerpania («Życie Warszawy» 1963, nr 26 i nr 42). W Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, w tym bastionie Starówki w walce powstańczej przez miesiąc na punkcie opatrunkowym z największym poświęceniem pracowała bez wytchnienia dnie i noce dr *Petrynowska*, przeprowadzając operacje rannych powstańców. Zginęła w PWPW na posterunku lekarskim dnia 1 września 1944 r. Mąż dr *Petrynowskiej*, również lekarz PWPW, został wywieziony poprzednio do obozu w Mauthausen i po 3 miesiącach pobytu tam został zamordowany. W sąsiedztwie PWPW znajdował się szpital dla umysłowo chorych im. Jana Bożego. Szpital [...] przejmował wielkie ilości rannych ze Starówki, spod Dworca Gdańskiego, z walk z pociągiem pancernym od strony terenu getta. Oprócz lekarzy psychiatrów w szpitalu dzień i noc pracowali lekarze chirurdzy z zewnątrz" [15].

Płk *Tarło* (pseudonim dr *Tarnawskiego*), szef sanitarny Starego Miasta podczas powstania, relacjonował Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce: „6 sierpnia 1944 roku zostałem skierowany do Szpitala Jana Bożego, gdzie otrzymałem zlecenie zorganizowania oddziału dla ciężko rannych na 40 łóżek, który prowadziłem przez kilka dni. Wszystkie budynki na terenie szpitala były przepełnione rannymi, którzy napływali w dużej ilości z kierunku getto-Wola oraz z okolic szpitala. Na miejscu zorganizowany był zespół chirurgiczny, który pracował dniem i nocą, w bardzo ciężkich warunkach, na czele z doktorem płk *Strońskim*, z doktorem *Krauzem* oraz kilku lekarzami miejscowymi. Personel pielęgniarski był dość liczny. Rannych było około 300. Z każdym dniem stan pogarszał się, gdyż rozpoczął się systematyczny obstrzał szpitala przez artylerię, z trzech stron. Po zniszczeniu całkowitym dwóch pawilonów, za zgodą doc. *Falkowskiego* udałem się do dowódcy Starówki, płk *Wachnowskiego*, z propozycją przeniesienia rannych oraz całego zespołu chirurgicznego w głąb Starówki, na co otrzymałem całkowitą aprobatę oraz zarządzenie zorganizowania i prowadzenia tych nowo powstałych szpitali. Zorganizowano szpitale na ul. Freta, Długiej i Podwalu" [16].

Cytowaną notatkę uzupełnia urywek relacji dr *Leona Uszkiewicza*: „Od 7 sierpnia 1944 r. [przebywałem] w Szpitalu Jana Bożego; było tam około 300 rannych. Z lekarzy miejscowych byli tam: dr *Szumigaj*, doc. *Falkowski*, dr *Lidia Wiśniewska*; przybyło 7 lekarzy, m. in. dr *Stroński*, dr *Krauze*, dr *Tomaszewski*, dr *Sadowski*, dr *Tarnawski* [...] Pomimo licznych znaków rozpoznawczych [znaki Czerwonego

[11] Cytat z nie opublikowanej notatki, sporządzonej przez *Z. Jaroszewskiego* między innymi według artykułu *B. Jarmużyńskiego* pt. Pamięci bohaterów b. Szpitala Jana Bożego („Życie Warszawy" 1959, nr 197).

[12] Cyt. list *A. Kulikowskiej*.

[13] *A. Falkowski*: o. c., str. 70. Tamże bliższe szczegóły o losach szpitala podczas powstania.

[14] Zeznanie *L. Uszkiewicza* z dnia 31 grudnia 1947 roku przed Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (t. VI akt w sprawie zbrodni hitlerowskich w okresie powstania warszawskiego, nr zespołu 1100 z., k. 1441 — 1442).

[15] Maszynopis *J. Jankowskiego* pt. Pamięci bohaterskich lekarek i pielęgniarek powstania.

[16] Cyt. VI tom akt, k. 1447, zeznanie z dnia 23 grudnia 1947 r.

Krzyża] Szpital Jana Bożego był od pierwszego dnia powstania ostrzeliwany przez stronę niemiecką" [17].

Uzupełniając na podstawie bezpośrednich źródeł obraz sytuacji Szpitala św. Jana Bożego, w którym przebywała wówczas dr *Halina Jankowska*, warto zacytować informację podaną przez doc. dr *Adolfa Falkowskiego*: „Do dnia 14 sierpnia 1944 r. byłem dyrektorem Szpitala Jana Bożego. 12 sierpnia władze powstańcze zażądały ewakuacji chorych, ponieważ szpital znalazł się na linii frontu [...] Jeżeli chodzi o akcje bojowe, to uprzytamniam sobie natarcie niemieckie od ulicy Barokowej na Pałac Krasińskich, natarcie na PWPW, na Szpital Jana Bożego" [18].

Jeszcze jeden cytat z nie opublikowanych źródeł:

„[Od kiedy] szpital ostrzeliwany był ciężką artylerią niemiecką, pracował bez światła i wody. Dr *Jankowska* miała w opiece lekarskiej psychicznie chorych i salę z ciężko rannymi, asystowała przy operacjach, przenosiła rannych, pełniła przy nich wszelkie posługi. W warunkach pełnych grozy w końcu stopniowo ewakuowano rannych do szpitala przy ul. Długiej 7. Nie było jednak możliwe przewiezienie w bezpieczniejsze miejsce wszystkich rannych oraz psychicznie chorych. Aby ich nie opuścić, dr *Halina Jankowska* jako jedyny lekarz pozostała z nimi i z oddanymi chorym siostrami [*Eufemią*] *Izdebską* i [*Julią*] *Kowalską*; cały pozostały personel szpitala został ewakuowany. Świadkowie mówili, że wiele osób odznaczało się wtedy opanowaniem i hartem ducha. Dr *Halina Jankowska* jednak szczególnie wyróżniała się wśród wszystkich spokojem, ofiarnością i bohaterstwem. Wielokrotnie namawiana do opuszczenia straconej placówki mimo krańcowego wyczerpania odpowiadała niezmiennie, że pozostanie z chorymi do końca" [19].

Dr *Franciszek Szumigaj* opisał następujący epizod. W piwnicy Szpitala św. Jana Bożego mieściła się sala operacyjna, przeniesiona tam po wybuchu powstania, jednak będąca w dość dobrym stanie, nawet wyłożona kafelkami. Dr *Szumigaj* operował, wykonując amputację ręki studenta politechniki z Gdańska, dr *Jankowska* asystowała, trzymała światło, podawała instrumenty. Podobnie zresztą pomagała innym chirurgom. Jeszcze po 22 latach dr *Szumigaj* podkreśla, że była ona dzielna, odważna, pracowała bez przerwy [20].

Na szczególną uwagę zasługuje zachowanie się psychicznie chorych, podopiecznych dr *Jankowskiej*, których w Szpitalu św. Jana Bożego zastało powstanie warszawskie. *Hanna Rewska* (pseud. „*Renata*") pisze w swym pamiętniku:

„Raz, pamiętam, musiałam czy kogoś odszukać, czy też zwrócić się do którejś z sióstr, i zgłębiłam się w labirynt podziemi [Szpitala św. Jana Bożego]. Były one bardzo ciasne i mroczne, a małe salki-piwnice okropnie zatłoczone chorymi, wariatami lub też cywilami, wśród których kręciły się siostry zakonne. Na podwórzu, szczególnie w jego pierwszej części, ogródkowej, z grządkami jarzyn, kręciło się omal stale kilku «cichych» wariatów, w rozchełstanych koszulach; bodaj ogoleni czy krótko przystrzyżeni, snuli się zapatrzeni we własny świat przeżyć; zupełnie nie reagujący na to, co się wokół nich działo, na huki, odłamki, nie zdawali sobie widać sprawy z niebezpieczeństwa. Większe skupienie wariatów było w prawym skrzydle, na Konwiktorskiej. Tam na sali leżeli na stołach, ławach, na ogół w milczeniu" [21].

Jedna z kobiet, psychicznie chora, młoda dziewczyna, tancerka, prawdopodobnie węgierska Żydówka, jak gdyby nie zauważając ognia nieprzyjacielskiego, wybiegła do ogrodu, zatańczyła i wirującym krokiem oddalała się w głąb zieleni i pyłu. Oczywiste było, że nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa sytuacji. W pewnej chwili wybuch pocisku wzniósł obok niej kłęby ziemi i dymu, a ona — przywodząc na myśl przerażonym świadkom tej sceny taniec Salome — niesiona siłą podmuchu wirowała dalej. Nie wiadomo, w której sekundzie rozerwane ciało oddalającej się chorej uniosło się w powietrze. Rozpłynęła się w tym tańcu [22].

W miarę pogarszania się strategicznej sytuacji powstańców również dla Szpitala św. Jana Bożego nadchodziły coraz cięższe dni. *Janusz Jankowski* relacjonuje:

„Gdy hitlerowcy rozpoczęli 13 sierpnia ostrzeliwanie szpitala armatami i szpital stał się wojenną placówką powstańczą, po 15 sierpnia rozpoczęła się ewakuacja rannych i lekarzy-chirurgów. Umysłowo chorych nie można było ewakuować. Do tragicznego końca pozostała z nimi tylko dr *Halina Jankowska*, ordynator szpitala, trzy bezgranicznie ofiarne siostry szpitalne: *Eufemia Izdebska*, *Kazimiera Kobla*, *Julia Kowalska*, grupa powstańców i inni bezimienni bohaterowie" [23].

Dnia 17 sierpnia pluton I kompanii batalionu „Zośka" zajął pozycje ogniowe w murach Szpitala św. Jana Bożego. W piwnicach urządził swoje kwatery. Przebywającym w szpitalu coraz trudniej było opanować wzniecające się pożary. Pełnym ogniem budynki zapłonęły w nocy z 20 na 21 sierpnia, ponieważ pociski niemieckie podpaliły jedno skrzydło i ogień przenosił się dalej. Uczestnik wydarzeń wspomina: „Pełnię służbę dowódcy placówki w drzwiach szpitalnej kaplicy. Mam

[17] Cyt. VI tom akt, k. 1441 — 1442, zeznanie z 31 grudnia 1947 r.

[18] Cyt. VI tom akt, k. 1443 — 1444, zeznanie z 7 listopada 1947 r.

[19] Cytat z pisma ZG Pol. Tow. Psychiatrycznego do Prezydium Stołecznej Rady Narodowej m. st. Warszawy, z dnia 4 marca 1959 r., 1. dz. 30/59—12 (podpisali: *Z. Jaroszewski* i *B. Ałapin*).

[20] Według relacji *F. Szumigaja*.

[21] *H. Rewska*: Pamiętnik powstania warszawskiego 1944, spisany przez uczestniczkę batalionu „Marguerita". (Rękopis, Biblioteka Narodowa, sygn. akc. 7852, str. 102).

[22] Podług ustnej relacji *F. Szumigaja*.

[23] Urywek z cytowanego maszynopisu *J. Jankowskiego*.

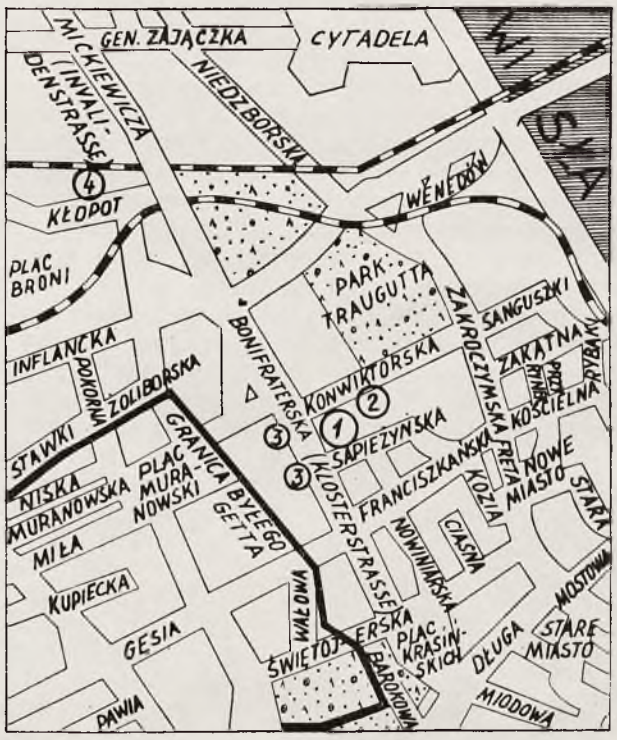
przy sobie dwóch kolegów [...] Razem z nami w kaplicy jest grupa saperów, którzy poprawiają kanał, łączący kaplicę z gettem [...] Artyleria niemiecka od czasu do czasu przysyła kilka «kuferków», które z szumem i hałasem padają na dach kaplicy. Czasem któryś z nich zawadzi dla odmiany o płonący dach szpitala [...] 21 sierpnia około południa kaplica przestała się palić" [24].

Z punktu widzenia powstańców z batalionu „Marguerita" *Hanna Rewska* wspomina: „18 na 19 sierpnia. Noc. Teren Szpitala Jana Bożego, suterena pierwsza na lewo od wejścia ul. Sapieżyńską. Dużo osób, jakieś ogólne podniecenie, gwar [...] Na korytarzu dużo łączniczek, sanitariuszek, które nawet dokonywały prowizorycznych opatrunków [...] Jeśli szło się dalej, np. na teren Szpitala Jana Bożego, to znowu którąś klatką schodową trzeba było spuszczać się do piwnic, aż wychodziło się na podwórze domu wiodące już na Sapieżyńską. Przez Sapieżyńską ku bramie terenu szpitala prowadził przekop; trzeba było wyczekać chwili słabszego ostrzału i szybko, nieco pochylonym, przebiec na drugą stronę. Tu, u wejścia na podwórze szpitala, stała zawsze warta; należało podać hasło dnia [...] 20 sierpnia. Stanowiska rkm-ów obejmowały i narożnik Szpitala Jana Bożego, ul. Bonifraterską i bodajże róg Bonifraterskiej i Sapieżyńskiej" [25].

Gdy zabudowania Szpitala św. Jana Bożego znalazły się w pierwszej linii ognia, chorzy mieścili się już w podziemiach, przygotowywanych do obrony przeciwlotniczej w latach okupacji. Piętra zajmowali powstańcy i bronili się stamtąd na swych stanowiskach ogniowych. Podziemia okazały się dla chorych zawodną osłoną. A kiedy 20 sierpnia ciężkie pociski uderzyły w pawilon szpitala, wielu rannych i część personelu szpitalnego została przysypana gruzami, ponosząc śmierć. Już wcześniej niektórych chorych psychicznie, dawnych pacjentów szpitala, przeprowadzono do szpitala przy ul. Freta. Ale nie wszystkich. Reszta pozostała nadal na miejscu, pod opieką dr *Haliny Jankowskiej* i dr *Franciszka Szumigaja* [26].

Niewątpliwie, jak pisze prof. *Maria Grzegorzewska*, „nadeszła chwila ostatnia i dla Szpitala Jana Bożego. Rozpuszczono wszystkich chorych, ale niektórzy trzymali się kurczowo ścian, przyrastali do framug okiennych — jakiś lęk upiorny przed światem skrwawionym, płonącym, zdruzgotanym, przed wyzwoloną z okowów moralności nienawiścią, rozdygotanym w jęku ludzkim, w huku bomb, szrapneli i trzasku walących się domów. Wszyscy lekarze opuścili już szpital. Została tylko ona [dr *Jankowska*] z tą właśnie grupą ludzi w szale. Nic nie pomogły rozpaczliwe nalegania kolegów lekarzy, że wyjść należy bez zwłoki, natychmiast, bo nic im [chorym] pomóc nie zdoła. Ani chwili wahania. Zostaje z nimi, z chorym człowiekiem. Nie było czasu do stracenia. Odeszli. Za chwilę dach szpitala runął" [27].

Jak podała *Hanna Rewska* jako naoczny świadek, w dniach 23—26 sierpnia Niemcy szturmowali Szpital św. Jana Bożego, postanowiwszy ten punkt oporu powstańców zdobyć za wszelką cenę. Naloty bombowe ustawały tylko nocą, wzmogło się działanie ognia osławionych w powstaniu „szaf" [28]. W tej



Ryc. 2: Szkic topograficzny Szpitala św. Jana Bożego w Warszawie w czasie okupacji hitlerowskiej (1 = zabudowania szpitalne, 2 = budynek Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, 3 = najbliższe niemieckie stanowiska ogniowe, 4 = Dworzec Gdański)

ostatniej fazie walk na Starówce czynnych było jeszcze w tym odizolowanym rejonie obrony 20 lekarzy i kilkanaście pielęgniarek wykwalifikowanych, nie mogących oczywiście zapewnić normalnej opieki sanitarnej przypadającej im liczbie 6 tysięcy rannych. Lekarze pracowali dosłownie bez przerwy, a chirurdzy ponad siły opanowywali znużenie i sen, nie opuszczając pomieszczeń operacyjnych. W tych ostatnich dniach sierpnia beznadziejność sytuacji stawała się oczywistą już dla wszystkich. Po dokuczliwym od dawna braku elektryczności coraz bardziej dawały się we znaki brak żywności, wody, leków, nawet opatrunków. Skłoniło to dowódcę Starówki, płk *Wachnowskiego*, do rozpaczliwego, prób-

[24] *J. Rafałowski* (pseud.): Szlakiem „Zośki". (Pamiętnik podchorążego I kompanii batalionu „Zośka": akcja powstańcza na Starówce w sierpniu 1944 r. i przeżycia szpitalne po kapitulacji). Rękopis, Biblioteka Narodowa, sygn. akc. 293.

[25] *H. Rewska*, l. c.

[26] *S. Podlewski*: Przemarsz przez piekło. Warszawa 1957, str. 253.

[27] Cytowany maszynopis *J. Jankowskiego*.

[28] *H. Rewska*: o. c., rkp., str. 120.

nego uderzenia w nocy z 29 na 30 sierpnia w celu przedarcia się wśród ruin do Śródmieścia. Jednak ów zwrot zaczepny pozostałej garstki powstańców nie udał się wobec przeważającej przewagi Niemców [29].

W tym czasie dr *Jankowska* już nie żyła. „Dnia 23 sierpnia 1944 roku o godz. 6 rano pociski artyleryjskie zniszczyły sklepienia pozostałych jeszcze pomieszczeń [Szpitala św. Jana Bożego], w których znajdowali się ranni i chorzy pod opieką dr *Jankowskiej* i sióstr, grzebiąc ich pod gruzami" [30]. Według *S. Podlewskiego*, w gruzach — oprócz chorych i dr *Jankowskiej* — zginęło przeszło 300 ciężko rannych [31]. Nie zdążyła ona odejść z pozostałymi chorymi. Trudno dzisiaj wdawać się w teoretyczne spekulacje i próbować oceniać nie tyle nawet motywy, ile okoliczności, które zdeterminowały jej postępowanie. Faktem jest, że w Szpitalu św. Jana Bożego liczono na rychły koniec powstania i ustabilizowanie sytuacji. Zawodne to były przewidywania, o czym ludzie przebywający tam od tygodni ciężkich powstańczych walk zapewne wiedzieli dobrze. Z drugiej strony drogi ucieczki dla lekarzy przynajmniej od kilku dni były znane i może nawet nęcące. Dr *Szumigaj*, otrzymawszy odpowiedni rozkaz, odszedł wcześniej do szpitala mieszczącego się w kościele św. Jacka, objął bowiem kierownictwo tego pomieszczenia dla rannych i nie mógł ich opuścić.

Dr *Jankowska* została, gdyż moralny obowiązek, rozkaz sumienia wiązał ją ze swymi chorymi. Sklepienia piwnic, w których w ostatnich chwilach swego życia przebywali jej chorzy, zawaliły się w końcu od pożaru i bombardowań. I ona, i jej chorzy znaleźli śmierć w tych gruzach, przytłoczeni do ziemi [32].

Według relacji wspomnianego już *Leona Uszkiewicza*, pewien kolejarz, którego nazwiska autor nie podał, stwierdził, że „po wkroczeniu Niemców w dniu 26 sierpnia 1944 r. część chorych, mogących chodzić, otrzymała rozkaz wyjścia z Warszawy w kierunku Żoliborza" [33]. *Adolf Falkowski* podał, iż z personelu sanitarnego zakonnic szarytek ze Szpitala św. Jana Bożego pozostała do końca siostra *Jadwiga Paszkowska* oraz felczer *Feliks Rozumek* [34].

Zwłoki dr *Haliny Jankowskiej* zostały odnalezione w gruzach tego szpitala, w miejscu jej śmierci na rogu ulic Konwiktorskiej i Bonifraterskiej [35]. Tamże wydobyto również zaginiony później rękopis jej ostatniej pracy, której tytułu wszakże nie udało się odczytać [36]. Po ekshumacji zwłok pochowano dr *Jankowską* 15 stycznia 1947 roku na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w kwaterze batalionu powstańczego „Gustaw", jednego z tych, których żołnierzami się opiekowała [37].

Dr *Halina Jankowska* została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Walecznych. Imieniem jej nazwano oddział psychiatryczny Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego w Toruniu przy ul. Mickiewicza 24, utworzony przez dr *Mastalerz-Wilkansową* i dr *Z. Chmielewską*. W latach powojennych na ogół tylko sporadycznie wspominano o dr *Jankowskiej*. Przez 22 lata powojenne nikt nie opublikował o niej obszerniejszej, osobnej biografii. Pojawiały się tylko okolicznościowe wzmianki. Silniejszym akcentem było uroczyste uczczenie pamięci dr *Jankowskiej* w XV rocznicę jej śmierci, zarówno na terenie ruin Szpitala św. Jana Bożego, jak i na Cmentarzu Powązkowskim. Brat jej, *Janusz Jankowski*, stwierdzał w swym piśmie z dnia 6 listopada 1963 roku, skierowanym do Zarządu Głównego ZBoWiD, że miejsce, w którym zginęła jego siostra, nie jest zarejestrowane jako jeden z bohaterskich ośrodków obrony, walki i męczeństwa. Przyrzeczono uznać tę placówkę w wykazie dodatkowym. Przypomnieć należy tutaj, że prof. *Andrzej Jus*, znający losy i działalność dr *Jankowskiej*, już przed 13 laty w radzieckim lekarskim czasopiśmie naukowym dodatnio ocenił jej postać [38].

W piętnastą rocznicę śmierci dr *Jankowskiej* pod ruinami Szpitala św. Jana Bożego, gdzie obecnie przed ul. Konwiktorską czytelnicy oglądający tamto miejsce owych tragicznych wydarzeń zobaczyć mogą stojący jeszcze krzyż, *Zdzisław Jaroszewski* wygłosił okolicznościowe przemówienie, określając los dr *Jankowskiej* „jako symbol, który zawsze będzie nam przykładem, jak służyć chorym". Z jego inspiracji XXVII Zjazd Naukowy Psychiatrów



Ryc. 3: Widok (z r. 1959) ruin zabudowań Szpitala św. Jana Bożego. Po lewej odbudowany kościół ojców bonifratrów

[29] Z cytowanego uprzednio zeznania *Tarnawskiego*.
[30] Cytat ze wspomnianego pisma ZG PTP.
[31] *S. Podlewski*: o. c., str. 640.
[32] Według ustnych informacji *F. Szumigaja*.
[33] *L. Uszkiewicz*, cyt. zeznanie.
[34] *A. Falkowski*, cyt. zeznanie.
[35] Z cytowanego pisma ZG PTP.
[36] Polski Słownik Biograficzny, *Z. Filar*, l. c.
[37] Z cyt. pisma ZG PTP.
[38] *A. Jus*: Sostojanije polskoj psichiatrii. „Żurnał Niewropatołogii i Psichiatrii im. S. S. Korsakowa" 1953, nr 7, str. 527.

Polskich powziął uchwałę, aby poprzeć „starania w Prezydium Stołecznej Rady Narodowej dotyczące ufundowania tablicy ku czci dr *Haliny Jankowskiej*" [39]. Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego [40] proponował przemianowanie ul. Konwiktorskiej w Warszawie imieniem *Haliny Jankowskiej*, co nie mogło zostać zrealizowane z uwagi na konieczność utrzymania historycznych nazw starych warszawskich ulic.

Może doczeka się ufundowania od strony ul. Bonifraterskiej tablica pamiątkowa o treści następującej, proponowanej przez Zarząd Główny i Oddział Warszawski PTP [41]:

W tym miejscu
w dniu 23 sierpnia 1944 roku
zginęła bohaterską śmiercią
w powstaniu warszawskim
w gruzach byłego Szpitala św. Jana Bożego
DR HALINA JANKOWSKA
lekarz-psychiatra,
ordynator Szpitala,
odznaczona pośmiertnie Krzyżem Walecznych
oraz wielu chorych, siostry zakonne
i inni pracownicy Szpitala
Ich pamięci tablicę tę ufundowało
Prezydium Stołecznej Rady Narodowej
m. Warszawy i społeczeństwo
w uznaniu Ich zasług i poświęcenia

*

* *

Za życzliwe udzielenie cennych informacji dotyczących dr *Haliny Jankowskiej* oraz za pomoc w zbieraniu źródeł i dokumentów składam podziękowanie serdeczne prof. dr *Marii Grzegorzewskiej*, dr *Annie Kulikowskiej*, mgr inż. *Januszowi Jankowskiemu*, dr *Zdzisławowi Jaroszewskiemu*, dr *Marianowi Marzyńskiemu*, dr *Franciszkowi Szumigajowi*.

[39] Pamiętnik XXVII Zjazdu Naukowego Psychiatrów Polskich. Kraków 1963, str. 234 i 262.

[40] W piśmie z dnia 17 maja 1959 r., wysłanym z XXVI Zjazdu Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego do przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej m. Warszawy.

[41] Cyt. pismo PTP z dnia 4 marca 1959 r.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim—Brzezinka nr 20019

Kraków

Dr Dorota Lorska

Przedwczesna śmierć dr *Doroty Lorskiej*, która zmarła 15 października 1965 r., zaskoczyła liczne grono jej przyjaciół i środowiska, w których aktywnie działała. Odejście dr *Lorskiej* stanowi niepowetowaną stratę nie tylko dla rodziny i zakładu pracy, lecz także dla organizacji politycznych i społecznych.



Dr Dorota Lorska

Dorota Lorska, z domu *Goldscheider*, urodziła się 3 listopada 1913 r. w Kielcach. Koleżanki pamiętają ją jako dziewczynkę o dużych, niebieskich oczach, ujętych w ramkę bujnych blond kędziorków. Była dzieckiem wesołym, lecz nad wiek poważnym. W jej pogodnym spojrzeniu malowała się zaduma, snadź spowodowana troskami i kłopotami rodziny i otoczenia.

W r. 1930 ukończyła gimnazjum w Kielcach. Była wzorową uczennicą. Wyróżniała się szczególnymi zdolnościami, które łączyła z obowiązkowością, pracowitością i uczynnością. Nad wiek poważne podejście do życia wyniosła z atmosfery domu rodzinnego. Jej ojciec, rzemieślnik, malarz pokojowy, był znanym działaczem kieleckiego ruchu robotniczego, powszechnie szanowanym socjalistą. Wolne chwile poświęcał córce, wpajając w nią umiłowanie prawdy i poczucie potrzeby walki z krzywdą ludzką. Przekazywał jej z trudem nabyte doświadczenia i wiedzę o życiu. Zmarł przedwcześnie, gdy *Dora* miała lat 16.

Chętnie pomagała licznym swym koleżankom, ucząc je bezinteresownie. Dominowała w ich środowisku, gdyż górowała nad nimi zarówno wiedzą i umiejętnościami, jak i skromnością. Cierpliwie i skutecznie tłumaczyła im zawiłości matematyczne i gramatyczne, nie podsuwając gotowych rozwiązań, ale prowadząc ich tok myślenia w sposób twórczy. W uczennicach swoich

szukała wszystkiego, co pozytywne i konstruktywne.

Po maturze mimo piętrzących się trudności *Lorska* wybrała studia lekarskie. W Polsce przedwrześniowej praktycznie biorąc istniał *numerus nullus* dla kandydatów Żydów, starających się studiować medycynę. Z tego powodu wyjechała z Polski do Pragi czeskiej, aby tam osiągnąć zamierzony cel. Studiowała tam w niedostatku i biedzie. Zaprzyjaźniła się z *Różą Coutelle*, z którą wspólnie mieszkała na stancji, w małym pokoiku na Slavojowej w Nuslech. Szybko przystosowała się do obcego środowiska. Długo w noc spędzała czas nad nauką. Gospodyni domu i jej dwie córeczki stały się jej nową, przybraną matką i siostrzyczkami.

Wytrwałą pracą przezwyciężyła trudności językowe, toteż egzaminy zdawała bez trudu. Oprócz czeskiego opanowała język francuski i esperanto, którego rolę od razu doceniła jako uniwersalny środek porozumienia ze wszystkimi potrzebującymi pomocy. Włączyła się również w tok szerszego życia studenckiego. Trafiła w kręgi najradykalniejszych, lewicowych ugrupowań młodzieży. Żywo interesowała się nabrzmiałymi problemami międzynarodowego ruchu robotniczego, a w czasie, kiedy kończyła studia, toczyła się w Hiszpanii wojna domowa, która przykuwała jej uwagę. Ponieważ *Lorska* należała do ludzi, u których niedaleko od słowa do czynu, wkrótce po promocji udała się w drogę do Hiszpanii, dokąd dążyło wielu ochotników na pomoc walczącemu ludowi hiszpańskiemu.

Wyjazd z Czechosłowacji do Hiszpanii nie był dla Polki łatwy. Problem podróży rozwiązała zmiana obywatelstwa na czechosłowackie, którą uzyskała dzięki fikcyjnemu małżeństwu. W lipcu 1937 r. — już jako *Sławka Kleinowa* — *Lorska* przybyła do Albacete na wyżynie La Mancha, miejsca zgrupowania brygad międzynarodowych. Dotarła tu z ambulansem, na którego zakup uprzednio zgromadziła fundusze. Przydzielono ją do czechosłowackiego szpitala polowego im. Jana Amosa Komenskiego. Szpital ten stacjonował w Benicasim. *Dora-Sławka* była tu najmłodszą lekarką, nie tylko w tej placówce, lecz w całym mieście. Pracowała z hiszpańskim lekarzem dr *Alonso* i z dr *Vlastą Veselą*, która stała się jej najbliższą przyjaciółką. W szpitalu poza swoimi normalnymi czynnościami lekarskimi opiekowała się dodatkowo ciężej chorymi po poważniejszych zabiegach operacyjnych. Nie skąpiła czasu na rozmowy z chorymi, pisała im listy, czytała na głos książki i chętnie spełniała różne indywidualne życzenia chorych. Przy tej pracy poznała się i zaprzyjaźniła z *Andrzejem Lorskim*, przyszłym swoim mężem.

W Benicasim powzięła też *Dora* jedną z najważniejszych decyzji swojego życia, mianowicie wstąpiła do Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Swojemu wyborowi pozostała wierna w najcięższych i najokrutniejszych chwilach dalszego życia.

Kiedy w listopadzie 1937 roku w dniu jej 24 urodzin kierownik szpitala, dr *Tallenberg*, który później poległ, wzniósł toast na jej cześć, była już znana w całym Benicasim. Ranni, o których dbała z matczyną czułością, dzieci z domu dziecka, wszyscy przyszli jej winszować. Nie było to niczym dziwnym, *Dora* bowiem nie tylko chętnie brała nocne dyżury za kolegów, lecz także znajdowała czas na uczestniczenie w pracach kulturalnych i społecznych w środowiskach polskim i czeskim, jak i wśród esperantystów. Niezwykle szybko opanowała język hiszpański. Ponadto założyła i prowadziła kurs dla analfabetów. Odwiedzała sieroty w domu dziecka. W Benicasim zaprzyjaźniła się także z przebywającym tam wtedy *Egonem Erwinem Kischem* i jego żoną. Ten słynny, antyfaszystowski dziennikarz i publicysta czeski najlepiej ocenił walory *Sławki*, wpisując do książki jej dedykowanej: „*Dorince*, która mogła być moją córką, a jest mi matczyną przyjaciółką". Warto dodać, że nazywano ją tam „*la Dobra*" *(la bonne, la dévouée)*.

Później, gdy front niebezpiecznie sie przybliżył i trzeba było wspomniany szpital ewakuować, nowy kierownik szpitala, dr *Jensen* chciał wysłać *Dorę* jako najmłodszą pierwszym transportem. Odmówiła i została w swej placówce do ostatniej chwili. Droga ewakuacyjna szpitala im. Jana Amosa Komenskiego wiodła do Mataró w Katalonii. Przybywszy tam, *Dora* spotkała się znowu ze swoimi chorymi. Dochodziło do wzruszających scen przy powitaniu. Znękanych ewakuacją, niepowodzeniami na froncie, ranami i chorobami, często zdenerwowanych i narzekających, *Sławka* potrafiła uspokajać swoją serdeczną wyrozumiałością i pełnym powagi podejściem lekarskim. Choć młoda, mimo grozy wojny nie poddawała się atmosferze paniki.

Z Mataró szpital ewakuowany został na północny kraniec Katalonii do Vicu. Razem z rannymi przybyli tu także chorzy na dur. *Dora* sama zgłosiła się na oddział zakaźny. Gdy sytuacja aprowizacyjna była już w tym okresie trudna, *Dora* starała się zdobyć jedzenie dla chorych, gdzie tylko się dało. Walki stawały się z każdym dniem coraz bardziej krwawe. Do szpitali w dzień i w nocy przywożono rannych towarzyszy, wśród których *Dora* spotykała swoich poprzednich chorych, ponownie rannych.

Okres ten wspomina między innymi jeden z żołnierzy brygad międzynarodowych, komunista niemiecki *Rudi Göbel*, późniejszy więzień Oświęcimia nr 9500. Został on po raz drugi ranny w hiszpańskiej wojnie domowej, w czasie ofensywy w r. 1938 podczas forsowania rzeki Ebro. W czasie nocnej potyczki postrzelono mu lewą nogę. Z placu opatrunkowego przywieziono go następnego dnia do Barcelony. W halach fabrycznych zgromadzono wielu rannych, czekających na operację. Brakowało opatrunków i środków znieczulających. Wszystkie mniej pilne przypadki wśród rannych musiały czekać dłużej na pomoc lekarską. Minęło pięć, sześć dni. *Rudi* gorączkował. Rana zaczęła ropieć. A jednak bał się operacji i zwlekał. Do *Rudiego* przychodziła młoda le-

karka, która zdecydowanie nakłaniała go do zabiegu, twierdząc, że trzeba operować nawet bez narkozy, gdyż w przeciwnym wypadku nadejdzie konieczność amputacji. Po rozmowie *Rudi* dał się przekonać. Przywiązano go mocno do stołu operacyjnego, a młoda lekarka kazała mu zacisnąć zęby i trzymać się mocno stołu. *Rudi* pamięta zmęczoną, piękną twarz przepracowanej lekarki. W ręku trzymała skalpel. Moment znieruchomienia, ostry ból. Pocisk spadł do blaszanego naczynia. Trzema klamrami wbitymi w mięsień zamknięto ranę. Bolało to bardziej niż cięcie i sonda. A jednak *Rudi* nie krzyczał i nie wyrywał się. Twierdzi, że zawdzięcza to sugestywnemu wpływowi lekarki. Czytelnik się domyśla, że lekarką tą była *Sławka Kleinowa*.

Z Hiszpanii *Dora* ze swą przyjaciółką, dr *Vlastą Veselą* wyjechała do Paryża, gdzie spotkała się ze swym mężem, *Andrzejem, z E. E. Kischem* i innymi przyjaciółmi zbiegłymi z Hiszpanii. Od razu podjęła we Francji prowadzenie pomocy na rzecz towarzyszy, przebywających w obozach dla internowanych emigrantów. Od r. 1939 pracowała jako lekarz na oddziale wewnętrznym szpitala miejskiego w Eaubonne pod Paryżem.

W maju 1940 roku wojska niemieckie uderzyły na Francję, a już w czerwcu ustały ostatnie walki. *Dora* włączyła się w zorganizowaną grupę czeskiego ruchu oporu, działającego w porozumieniu z francuskim podziemiem. W listopadzie 1942 roku Niemcy zajęli nie okupowaną dotychczas część Francji, tzw. „strefę wolną". *Dora* należała w tym czasie do FTPF (*Frances-Tireurs et Partisans Français*). W lipcu 1943 roku aresztuje ją gestapo. W czasie przesłuchiwań, jakim ją poddano, umiała zaimponować swoim spokojem, odwagą i postawą oraz właściwymi odpowiedziami.

Wkrótce została przewieziona wraz z uwięzionymi towarzyszkami z ruchu oporu do Oświęcimia-Brzezinki. Przybyła tam na początku sierpnia 1943 roku i została oznaczona numerem więźniarskim 52325. Znalazła się w bloku 10, osławionym z doświadczeń na kobietach. Znajdowało się w nim około 50 kobiet, pomieszczonych w ciasnej przestrzeni i przeznaczonych do różnych pseudolekarskich doświadczeń, których założenia nie były im znane. Panowała tam atmosfera niewypowiedzianego lęku i brutalności, spowodowana częstymi karami, głodem i szczególnie złymi dla kobiet warunkami sanitarnymi. Na domiar blok 10 sąsiadował z blokiem 11 (tzw. blokiem śmierci), gdzie dokonywano egzekucji.

Przy przybyciu do Oświęcimia *Dora* spotkała się po raz drugi ze wspomnianym już swoim towarzyszem z Hiszpanii, *Rudim Göblem*. Dostrzegł on ją pewnego dnia w grupie żydowskich kobiet, przybyłych transportem z Francji, gdy stały na tzw. alejce brzozowej (*Birkenallee*). *Rudi* jako starszy bloku musiał pełnić służbę dozorując transport. *Rudi* spotkał się z *Dorą* w starej pralni, gdzie jako nowo przybyła (*zugang*) znalazła się rozebrana. Podeszła do niego z ogoloną głową. Z trudem rozpoznał w niej *Dorę*. Postarał się o najpotrzebniejszą dla niej odzież i powiadomił o jej przybyciu innych więźniów-komunistów z Hiszpanii, a także uwięzionego tutaj *Ernsta Burgera*. W ten sposób *Dora* na samym początku swego pobytu w obozie trafiła do oświęcimskiego ruchu oporu.

Sławkę zatrudniono jako lekarkę-więźniarkę w bloku *Clauberga*. Musiała prowadzić prace laboratoryjne dla dr *Müncha* z Instytutu Higieny *SS*. Od samego przybycia *Sławka* poruszyła wszystkie możliwości, aby poprawić sytuację w bloku 10. Starała się stworzyć w nim wśród więźniarek atmosferę jedności, solidarności, wzajemnej pomocy, by osłabić strach i zwątpienie. W miarę możności wpływała na przebieg poszczególnych doświadczeń, czyniąc je bardziej znośnymi dla ofiar.

Sławkę wspomina późniejsza blokowa bloku 10, dr *Alina Brewda*. Przyjechała ona z Majdanka do Oświęcimia jako lekarz ginekolog, „zapotrzebowana" do tego bloku. Cierpiała wtedy na zapalenie płuc. *Sławce* zawdzięcza szybkie wyzdrowienie, odpowiednie lekarstwa i zorientowanie w sytuacji, w jakiej się znalazła w bloku 10. Dr *Brewda* wspomina, że razem ze *Sławką* znajdowało się tam 16 komunistek z francuskiego *Resistance*. *Sławka* walczyła o ich byt jak lwica. Już wtedy miała kontakty z więźniami Oświęcimia I, działającymi w obozowym ruchu oporu. *Sławka*, mimo że pracowała w Instytucie Higieny, troszczyła się o chore koleżanki z bloku 10. W czasie epidemii płonicy zdobywała dla nich lekarstwa, przesiadywała po nocach przy chorych operowanych przez *Clauberga, Wirthsa, Samuela* i innych. Swoją grupę 16 towarzyszek wciągnęła na listę więźniarek przeznaczonych do doświadczeń dr *Müncha*, aby nie stały się ofiarami *Clauberga, Schumanna* czy *Wirthsa*. Często w nocy pomagała przy koniecznych zabiegach operacyjnych. Zdobywała dla operowanych chlorek etylu i inne środki znieczulające. Gdy dr *Brewda* trafiła do bunkra, a następnie na trzy miesiące do Brzezinki, *Sławka* użyła wszystkich wpływów za pośrednictwem ruchu oporu, aby w grudniu 1944 roku objąć z powrotem *Brewdę* pod swoją opiekę.

Przebywając w bloku 10, *Sławka*, jak wspomniano, włączyła się natychmiast w działalność międzynarodowej grupy oświęcimskiego ruchu oporu. Jej najbliższymi przyjaciółmi byli starszy obozu, *Ludwik Wörl, Ernst Burger, Hermann Langbein, Karl Lill*, jak również więźniowie *Józef Cyrankiewicz, Tadeusz Hołuj* i piszący te słowa. Między innymi zadaniem *Sławki* było informowanie za pośrednictwem ruchu oporu polskiego podziemia o zbrodniach dziejących się w bloku 10 i o zakresie działania Instytutu Higieny. Dzięki wiadomościom przesyłanym przez nią meldunki oświęcimskiego ruchu oporu dotarły przez podziemne komórki w kraju do Londynu i ujawniły jeszcze w czasie wojny prawdę o Oświęcimiu. Raporty *Sławki Kleinowej* były ścisłe, zwięzłe i rzeczowe. Jeden z tych raportów został opublikowany w polskiej prasie podziem-

nej i znajduje się także w archiwach londyńskich pochodzących z okresu wojny. Opis bloku 10 *Sławka* przedstawiła w jednym z raportów następująco:

„Blok 10 jako blok eksperymentalny istnieje już prawie cały rok. Siedzi tu około 450 kobiet, pacjentek dr *Schumanna*, prof. *Clauberga*, dr *Wirthsa* i dr *Webera*. Pierwsze doświadczenia (eksperymenty) dokonywane były przez dr *Schumanna* głównie na młodych Greczynkach (wiek 15—18 lat). Eksperymenty polegały na sterylizacji przez naświetlania i dokonanej później operacji obustronnego wycięcia jajników (*ovariectomia*). W ostatnich miesiącach żadnych nowych operacji nie przedsiębrano. Ostatnich operacji dokonano przed trzema miesiącami na 10 dziewczętach, które przedtem naświetlano. Jedna z operowanych zmarła natychmiast (prawdopodobnie wewnętrzny krwotok) — błąd techniki operacyjnej. Z pozostałych 9 — dwie dotychczas ciężko chore, reszta musi leżeć nadal. 175 kobiet jest w tej chwili pacjentkami prof. *Clauberga*. Na pewno nie można powiedzieć, co z nimi robi. Wiadomo tylko, że wstrzykuje jemu tylko znany płyn do macicy celem napełnienia jajowodów, a następnie robi zdjęcia rentgenowskie. Jest prawdopodobne, że chodzi tu o wypróbowanie nowego środka do rentgenowskich zdjęć macicy i jajowodów, co w ogóle nie jest szkodliwe. Zabiegi te powtarzają się wielokrotnie (4—5) u tych samych kobiet w różnych odstępach czasu. *Clauberg* zatrzymuje kobiety, na których robi eksperymenty, pilnuje, aby na nich nie robiono żadnych innych eksperymentów. Nie wiadomo, jakie ma co do nich zamiary na przyszłość. Wszystkich zabiegów dokonuje sam przy pomocy niewyszkolonego personelu, który na tym się nie rozumie. Jeszcze przed czterema miesiącami dokonał dr *Samuel* operacji na zarządzenie dr *Wirthsa*: wycięcie błony śluzowej przy zewnętrznym ujściu macicy (*excisio partialis portionis vaginalis uteri*). Ma to służyć do seryjnych badań dla wczesnej diagnozy raka. Sama ta operacja jest zabiegiem lekkim, bez trwałego uszkodzenia. Powstają jednak często późniejsze krwawienia z powodu niezręcznej techniki operacyjnej. Dr *Samuel* przybrał szybkie tempo (operacyjne) (3 lub więcej na dzień), czego od niego wcale nie wymagano. Zużyte «obiekty» wysyłano najbliższymi transportami do Birkenau [...] Dr *Samuel*, aby utrzymać się na posadzie, dręczy wiele kobiet codziennym ginekologicznym badaniem i fotografowaniem (kolposkopia).

Laboratorium *Hygiene-Institut* ustalało prawie u wszystkich kobiet grupę krwi (oznaczenie testu), a przy nadających się do tego brano grupy krwi. Krew służyła do przygotowania test. serum. (Serum jest konieczne do ustalenia grupy krwi).

Próby krwi brano u 150 kobiet w ciągu 6 miesięcy. Ilość wynosiła przeciętnie 100—150 cm. Kobiety te otrzymują dodatkową zupę i jednorazowy dodatek chleba z kiełbasą. Teraz robi się inne eksperymenty: bada się ślinę celem ustalenia elementu grupowego krwi (aglutynin). Wykonuje to dr *Münch*. Polegają one na doskórnych zastrzykach rozcieńczonej toksyny streptokokowej, które mają udowodnić, czy w organizmie jest jakieś zapalne ognisko. Eksperymenty te są niewinne.

Obecnie prowadzi się dalej: a) zastrzyki prof. *Clauberga*, b) kolposkopię przez dr *Samuela*, c) doświadczenia przez *Hig.-Laboratorium*. Ze stanowiska nauki doświadczenia te nie mają żadnego sensu, wpływają jednak na stan zdrowia kobiet, a mianowicie: 1) pacjentki *Schumanna* zostają kalekami na całe życie; 2) pacjentki *Clauberga* subiektywnie nie odczuwają (poza nielicznymi wyjątkami) nieprzyjemnej natychmiastowej reakcji, nie wiadomo jednak, co z nimi będzie jeszcze później; 3) pacjentki operowane przez *Samuela* nie znajdują się więcej w tym bloku, pozostałe służą do innych eksperymentów; 4) doświadczenia przeprowadzane przez *Laborat.-Hyg.* nie pozostawiają żadnych trwałych śladów".

Zadaniem *Sławki* było także utrzymywanie łączności przez zaufane koleżanki-więźniarki między obozem męskim a obozem kobiecym w Brzezince. W listopadzie 1943 roku wskutek epidemii duru wysypkowego kontakt ten urwał się, gdyż obóz kobiecy został odizolowany. Przy pomocy *Sławki Kleinowej* i dr *Aliny Brewdy* obozowy ruch oporu zorganizował za zgodą lekarza garnizonowego *SS*, doktora *Wirthsa* kurs dla więźniarek-pielęgniarek z Brzezinki. To miesięczne przeszkolenie, odbywające się w obozie męskim Oświęcimia I, miało między innymi na celu ponowne nawiązanie kontaktów z obozem kobiecym.

Według relacji *Karla Lilla*, więźnia-komunisty nr 61356, *Sławka* współdziałała także w utworzeniu specjalnego oddziału pracy, którego celem było zbieranie ziół leczniczych na polach w pobliżu obozu. Chodziło w ten sposób o wyprowadzanie kobiet stale zamkniętych w bloku 10 i ulżenie ich doli. Dzięki temu przedsięwzięciu część najbardziej aktywnych i uświadomionych kobiet można było odciągnąć od zabiegów eksperymentalnych.

Ratując wiele koleżanek, przyszła również z pomocą *Wandzie Jakubowskiej*, skierowanej z *Gärtnerei* do karnego komanda w Brzezince. *Jakubowska* przechodząc przez obóz w Oświęcimiu I pozorowała zwichnięcie nogi. *Sławka* odważnie wyciągnęła ją z szeregu, zabandażowała jej nogę i zameldowała strażniczce konieczność przeniesienia jej do szpitala obozowego. Działo się to na polecenie *Józefa Cyrankiewicza*, który w ten sposób zainicjował plan uratowania od niechybnej śmierci działaczki obozowego ruchu oporu.

Zbliżał się dzień oswobodzenia obozu oświęcimskiego. *Sławka* wiedziała, że będzie on ewakuowany. Postanowiła razem z dr *Brewdą* pozostać z chorymi (blok 10 był już w tym czasie przeniesiony do innych baraków, na zewnątrz męskiego obozu). Obie czekały na polecenia z obozowego ruchu oporu, czy usłuchać rozkazu *SS* i wymaszerować, czy pozostać w obozie. Na wszelki wypadek zaopatrzyły się w żywność i odzież.

Sławka była w tym czasie ciężko chora. Miała różę twarzy. Nie mogła iść. Dziewczyny, jej towarzyszki, ciągnęły ją przez całą drogę. Błagała, aby jej więcej nie ratować, twierdząc, że nic już jej nie pomoże. W otwartych lorach przy temperaturze minus 8° *Brewda* wstrzykiwała jej prontosil, a koleżanki okrywały ją własnymi ciałami, grzejąc ją i zasłaniając jej twarz.

Po przyjeździe do miasta Ravensbrück *Sławka* z całą energią i poświęceniem żądała, by zostawić ją swojemu losowi. Siłą wsadzono ją na nosidła i doniesiono do obozu Ravensbrück. W czasie transportu *Sławka* nie rozstawała się ze swoją szesnastką z Francji i wraz z nią znalazła się w Ravensbrück, skąd również wszystkie ewakuowano do Neustadt-Gleve. Obóz ten wyzwolili Anglicy 2 maja 1945 r., po czym znalazł się on w radzieckiej strefie okupacyjnej. Wyzwolenie zastało *Sławkę* pracującą w rewirze obozowym.

Szybko nawiązała kontakty z komendantem oddziału radzieckiego i szpital obozowy został

przeniesiony do miasteczka. Dzięki jej łączności z Komunistyczną Partią Czechosłowacji przysłano z Pragi autobus, który zabrał chore Czeszki, Słowaczki oraz niektóre Francuzki. W szpitalu zostały dwie Polki lekarki oraz 60 chorych z Polski. Były bezradne. W tej sytuacji znowu pomogła *Sławka*, która odwiozła pierwszy transport do Pragi i znowu zjawiła się po 10 dniach z dużym autobusem i kierowcą czeskim. Chore i resztę personelu załadowano do autobusu i przywieziono do Pragi. *Sławka* pozostała w Pradze.

Wkrótce przez władze czechosłowackie została skierowana do Francji jako lekarz misji repatriacyjnej. Zajmowała się wyszukiwaniem dzieci czeskich i odsyłaniem ich do ojczyzny. W r. 1947 wróciła do Pragi, gdzie podjęła pracę lekarską jako kierownik przychodni w dużym zakładzie metalurgicznym ČKD (*Českomoravská-Kolben-Danek Praha „Sokolovo"*).

Z początkiem lat pięćdziesiątych wraz z innymi towarzyszami z Hiszpanii *Sławka* została aresztowana i uwięziona na okres czterech lat z powodu niesłusznego podejrzenia o szpiegostwo. W więzieniu przebywała od lutego 1951 roku do grudnia 1954 roku. Do Polski wróciła po wznowieniu procesu i rehabilitacji w r. 1956. Jej mały synek poznał ją dopiero wtedy, gdy szedł pierwszy raz do szkoły. W kraju przebywał już od r. 1950 jej mąż, który poprzednio pracował w Pradze jako lekarz ambasady polskiej.

Nic dziwnego, że po tych przejściach wróciła do Polski w stanie zupełnego wyniszczenia fizycznego i psychicznego, z dużą nadczynnością tarczycy. Bała się wszystkiego i wszystkich. Nie miała odwagi wrócić do mieszkania, gdzie czekał na nią mąż z synem. Przez rok bała się, że nie zdoła poprowadzić ogniska rodzinnego. Mieszkała u przyjaciółki. Dopiero objęcie pracy zawodowej 1 marca 1957 roku w Klinice Chorób Wewnętrznych prof. dr *W. Hartwiga* w Warszawie spowodowało, że uwierzyła w swoje siły i wróciła powoli do normy. Jest to dużą zasługą całego zespołu szpitala przy ul. Płockiej. W marcu 1960 roku uzyskała specjalizację w zakresie chorób wewnętrznych. Od r. 1961 była asystentem Kliniki Chorób Wewnętrznych Instytutu Gruźlicy, a w r. 1963 została starszym asystentem.

Wiosną 1964 roku dr *Lorska* została wezwana do Londynu przez sąd angielski jako świadek w procesie dr *Władysława Deringa;* chodziło o sprawę operowania kobiet z bloku 10. Precyzyjność zeznań dr *Doroty Lorskiej*, jej stanowczość i trafność odpowiedzi zaimponowały uczestnikom procesu. Ujawniła się wtedy raz jeszcze jej zdecydowana postawa. W dialogu z sędzią, zapytana: „Co by pani zrobiła, gdyby lekarz *SS* wydał pani rozkaz wycięcia jajników więźniarce?", odpowiedziała natychmiast: „Sądzę, że popełniłabym samobójstwo". Na kolejne pytanie: „A jeśli nie?", odpowiedziała, że zginęłaby jako Żydówka. Dr *Adelajda Hautval*, jej przyjaciółka, nawiązując do spotkania się z nią w czasie tego procesu, odkryła wtedy — jak podaje — jej wielką wolność wewnętrzną, która kazała *Lorskiej* zbliżać się do innych ze zrozumieniem ich odmiennej postawy i poglądów. Wiązało się to ze skromnością dr *Lorskiej*, która jako komunistka umiała jednak wczuć się w światopogląd ludzki o odmiennych przekonaniach, jak również ocenić *sine ira et studio* działalność dr *Deringa* w obozie.

Mimo ciężkich przeżyć, chorób i dużych przerw w pracy zawodowej *Dorota Lorska* nie zarzuciła pracy naukowej. Jej dorobek zawiera istotny wkład w naukę, zwłaszcza w zakresie nefrologii. Prace swe ogłaszała w języku polskim i w językach obcych. Czerpała też tematykę z przeżyć obozowych, o czym pamiętają czytelnicy jej prac w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim". Szybki postęp choroby, która przedwcześnie spowodowała jej śmierć, przerwał pisanie przez *Lorską* zaawansowanej już rozprawy doktorskiej na temat lekarskich i etycznych zagadnień wiążących się z blokiem 10.

W ostatnich chwilach swego życia, gdy traciła już przytomność, wracała myślą do swych ciężkich przeżyć. Często wtedy mówiła tylko po czesku, opowiadając o najtragiczniejszych epizodach w swym życiu, zwłaszcza o okresach pozbawienia wolności.

Ta bohaterska kobieta, ofiarna lekarka i niezwykła humanistka, wierna zawsze swoim ideowym i etycznym zasadom, nie sięgała nigdy po zaszczyty, wyróżnienia i synekury. Przeciwnie, nie unikała najtrudniejszych sytuacji, porywając się bez wahań na rozwiązywanie najcięższych problemów. Pozostawała jednak zawsze na uboczu, a swoje zasługi uważała za zwykły obowiązek.

Wysokie odznaczenia francuskie (*Croix de Guerre avec Etoiles*) i polskie (Medal za Wolność Waszą i Naszą, Order *Virtuti Militari*, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski) nie równoważą jej zasług i poświęcenia.

* *
*

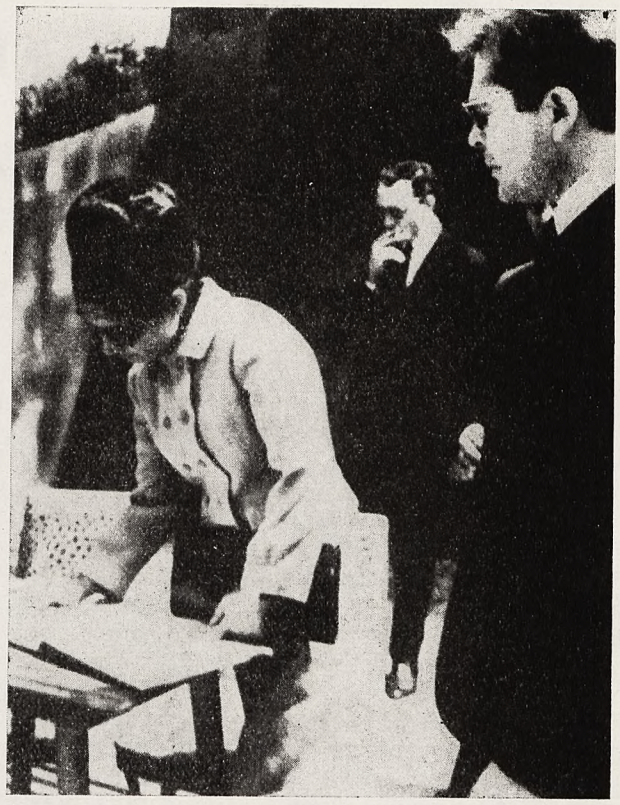
Przedstawiony szkic biograficzny jest oparty na własnoręcznym życiorysie *D. Lorskiej*, informacjach uzyskanych od jej męża, dr *Andrzeja Lorskiego*, różnych materiałach prasowych (między innymi artykuł dr *Adelajdy Hautval*), fotokopiach „grypsów", wspomnieniach własnych autora, przemówieniu pogrzebowym, wygłoszonym przez dr *Bromberg* z Instytutu Gruźlicy w Warszawie, a także na relacjach listownych do autora, które nadesłały następujące osoby: dr *Alina Brewda*, dr *Rosa Coutelle*, dr *Alice Glaznerová*, *Rudi Göbel*, *Karl Lill*, mgr *Marta Malik*, płk *Helena Petránková*, *Hclena Zavodská*. Należy im się serdeczne podziękowanie za przekazanie szczegółowych i ścisłych wspomnień.

Prace naukowe Doroty Lorskiej

1. *Bromberg S., Lorska D., Radwan L., Lustig S.*: Wskaźniki czynności nerek w przewlekłej niewydolności oddychania i ich zmiany pod wpływem tlenu. Pol. Arch. Med. Wewn., 1962, 4, 297. (Praca wygłoszona na zjeździe internistów polskich we wrześniu 1961 r.). — 2. *Lorska D.*: Przypadek pancytopenii w gruźlicy węzłów chłonnych zaotrzewnych. Gruźlica, 1963, 1, 75. — 3. *Bromberg S., Lorska D., Pichula K., Kwiek S., Stolarska A.*: Catalase urinaire dans les

maladies rénales. Presse Méd., 1964 (praca wygłoszona na Międzynarodowym Zjeździe Nefrologów w Pradze czeskiej). — 4. *Bromberg S., Lorska D., Pichula K., Kopiek S., Stolarska S.*: Metoda ilościowego oznaczania aktywności katalazowej w moczu. Pol. Arch. Med. Wewn., 1963, XII, 1369. — 5. *Bromberg S., Lorska D.*: Kliniczna ocena testu katalazowego w chorobach nerek i dróg moczowych. Pol. Arch. Med. Wewn., 1964, 7, 833. — 6. *Bromberg S., Lorska D., Radwan L.*: Wpływ diamoksu na wydalanie jonów wodorowych w moczu chorych z jedną nerką. Pol. Arch. Med. Wewn., 1964, 7, 841. — 7. *Jochweds B., Lorska D., Araszkiewicz Z., Müller J., Stolarska A.*: Bakteryjne zapalenie wsierdzia, którego jedynym objawem jest dodatni posiew krwi. Kardiologia Polska, 1964, nr specjalny, 405. (Praca wygłoszona na zjeździe kardiologów w grudniu 1963 r.). — 8. *Bromberg S., Lorska D., Wolańska A.*: Wpływ przewlekłego leczenia prednisonem na wskaźniki gospodarki lipidowej. Pol. Arch. Med. Wewn., 1965, 3, 299. — 9. *Bromberg S., Lorska D.*: Dynamika aktywności katalazowej w moczu w chorobach nerek. Pol. Arch. Med. Wewn., 1965. — 10. *Jochweds B., Araszkiewicz Z., Lorska D., Müller J., Stolarska H.*: Diagnostic de la maladie d'Osler par la seule positivité de l'hémoculture. La Presse Méd., 1964. —

11. *Bromberg S., Lorska D.*: Catalase urinaire. Exp. Med. Scand., Intern. Congr. Nephrology. 1963, 67, 19. — 12. *Lorska D.*: Blok X w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1965, 1, 99. — 13. *Lorska D.*: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr *Hans Münch*. Przegl. Lek., 1966, 1, 105. — 14. *Lorska D.*: Z pobytu w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1967, 1, 206.



Siostra szacha Iranu, księżniczka *Aszraf Pahlevi* podczas zwiedzania w dniu 19 maja 1965 r. Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. (Z archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

Dokończenie spisu treści poprzednich zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (ze str. 260)

Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie badań lekarskich stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, członków ZBoWiD (V 165).

RÓŻNE

T. Seweryn: „Wisła" na falach eteru (V 152—159). — T. Seweryn: Polskie sądownictwo podziemne (VI 212—217). — A. Kopyciński: Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu (VI 217—219). — K. Żywulska: List do Matki (V 149).

SPRAWOZDANIA

J. Nowak: Sprawozdanie z IV kongresu lekarskiego FIR w Bukareszcie (22—27 VI 1964), (V 160—161). — A. Kępiński, J. Masłowski: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy (V 161—163). — S. Kłodziński: III krajowy kongres delegatów ZBoWiD, Warszawa 24—26 IX 1964 r. Z zagadnień socjalno-medycznych kongresu (V 164—165). — Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 220—226).

SZKICE BIOGRAFICZNE

J. Aleksandrowicz: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie (III 129—134). — J. Bogusz: Dr Mieczysław Owca-Orwicz (V 171—172). — E. Brzezicki: Prof. dr Jan Miodoński w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne (IV 125—126). — W. Denikiewicz, J. Kościuszkowa, J. Kowalczykowa, J. Mostowski, E. Opoczyński, D. Pytlik, T. Szymański: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia, zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia. Mgr farm. Maria Bobrzecka. Prof. dr Marian Cieszczykiewicz. Dr Franciszek Gralla. Dr Stefania Kościuszkowa. Doc. dr Jan Kowalczyk. Dr Henryk Krause. Dr Witold Kulesza. Dr Jan Malinowski. Dr Ernestyna Michalikowa. Dr Witold Preiss. Dr Zbigniew Szawłowski. Dr Wilhelm Türschmiedt. Dr Maria Werkenthin (I 75—83). — T. Hołuj: Marian Toliński (IV 121—122). — W. Jasińska: Kilka wspomnień o dr Wandzie Starkowskiej (VI 237—238). — W. Kiedrzyńska: Dr Celina Choynacka (V 167—168). — W. Kiedrzyńska: Dr Maria Kujawska (V 166—167). — M. Kieta: Prof. dr Jan Sehn (VI 239—240). — S. Kłodziński: Dr Aleksander Smerek (V 172—174). — S. Kłodziński: Dr Ludwik Fischer, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851. (VI 229—234). — S. Kłodziński: Maria Stromberger (II 102—107). — S. Kłodziński: Rola trucizn jako „ultimum refugium" w obozie w Oświęcimiu. Dr Jan Zygmunt Robel (IV 122—124). — E. Lingens: Dr Adelajda Hautval (IV 119—121). — A. Przerwa-Tetmajer: Dr Jerzy Gromkowski-„Grzela" (V 168—170). — A. Przerwa-Tetmajer: Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie": Helena Wolf („Anka") i Janina Zachariasz-Krajewska (VI 234—236). — W. Sienicki: Dr Stanisław Kelles-Krauz (VI 227—228). — S. Szmaglewska: Sylwetki lekarzy-więźniów Oświęcimia (IV 116—119).

OCENY

A. Kępiński, J. Masłowski: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965 (VI 241—247).

BIBLIOGRAFIA

J. Masłowski: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964 (V 175—189).

O C E N Y

ELLA LINGENS
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 36088

Wiedeń

Nowy sposób oceny zbrodni hitlerowskich

Bardzo szybko po roku 1945 zaczęto w Niemczech całkowicie wypierać z pamięci to wszystko, o czym dowiedział się przerażony świat w odniesieniu do zbrodni z czasów władzy narodowo-socjalistycznej. U tych, którzy nie byli stronnikami upadłego reżimu, sprzyjało temu procesowi pragnienie, aby nie trzeba było aż do tego stopnia wstydzić się swej przynależności do narodu niemieckiego. Ponieważ rzeczywistość przekraczała granice wytrzymałości psychicznej, powstało pragnienie, aby to wszystko, co się stało, było tylko złym snem. U tych zaś „byłych", którzy w niemałej części nie są wcale „byłymi", ale jak najbardziej jeszcze „obecnymi", do tego procesu odcinania się od przeszłości przyczyniało się świadome pragnienie, aby oprócz wszystkiego nie stracić u ludności reszty kredytu moralnego. Wybrali oni sposób najprostszy: całkowite i bez reszty zaprzeczanie prawdzie. To było z kolei na rękę tym nie obciążonym winą, którzy nie mogli uwierzyć.

Taktyka ta mogła istnieć do czasu procesu *Eichmanna* i wielkiego procesu we Frankfurcie nad Menem. Cokolwiek można by zarzucić długotrwałemu i rozwlekłemu procesowi i jakkolwiek można było być niezadowolonym z niektórych jego wyroków, jedno na pewno zdziałały te dwa procesy: zasłona zapomnienia została nieodwołalnie rozdarta i w Niemczech (bardziej niż w Austrii) nikt już nie uwierzy nikomu, kto nazwie opowieści o obozach koncentracyjnych z czasów narodowo-socjalistycznych propagandą zwycięzców żydowsko-kapitalistyczno-bolszewickich. Winni musieli zmienić swą taktykę.

Nowszy i bardziej subtelny sposób, jakim winowajcy próbują się usprawiedliwić, polega na tym, aby porównywać metody prześladowań politycznych i rasistowskich stosowane przez nazistów, pomniejszając je w sposób, jak twierdzą, obiektywnie realistyczny, z innymi prześladowaniami politycznymi, przede wszystkim oczywiście z wysiedleniem *volksdeutschów*, jak również z cierpieniami jeńców wojennych, przede wszystkim żołnierzy niemieckich w obozach rosyjskich.

Potępia się to wszystko i ubolewa nad wszystkim łącznie. Potępienie, oburzenie i współczucie z ofiarami mogą niewątpliwie być szczere, ale jest w tym tendencja do traktowania wszystkiego na równi i insynuowania, że i inne narody zdolne były do najgorszego. Nie wspomina się przy tym tylko o takich np. drobnostkach, jak o tym, że komory gazowe istniały jedynie w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Przykładem tej świadomej czy nieświadomej tendencji jest książka, która przed jakimś czasem ukazała się w wydawnictwie *Nicolaische Verlagsbuchhandlung* w Herford. Jest to książka niemieckiego lekarza *E. G. Schenka* pt. „Nędza człowieka w **XX** wieku. Patografia wojennych, głodowych i politycznych katastrof Europy" (*Das menschliche Elend im 20 Jahrhundert. Eine Pathographie der Kriegs-, Hunger- und politischen Katastrophen Europas*). W pracy tej autor przedstawia w naukowo jednoznaczny, a równocześnie po ludzku zaangażowany sposób rozmiary ludzkiego cierpienia, które niewinnym ludziom wyrządzili ich bliźni, jak również wpływ tych cierpień na fizyczne i psychiczne zdrowie człowieka. Opis ten podmalowuje wielu przykładami i tabelami. Sam doświadczył jako jeniec wojenny ciężkich przeżyć w warunkach niewoli rosyjskiej, przeżyć, na które narażona była w pierwszej połowie naszego wieku olbrzymia liczba ludzi, zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej, a jeżeli chodzi o obozy koncentracyjne, to nawet przed tą wojną. Toteż nie stało się przypadkiem, że jedyna ilustracja w książce, przedstawiająca dystrofika, jakich tysiące i dziesiątki tysięcy w innych obozach żyły i umierały, pochodzi z obozu jenieckiego rosyjskiego, a nie z koncentracyjnego obozu niemieckiego.

Także i poza tym widać w książce usiłowanie, aby nie pomniejszając zasadniczo rozmiarów cierpienia ofiar prześladowań narodowo-socjalistycznych ani ich nie usprawiedliwiając, stawiać jednak na równi z nimi doznania członków *Wehrmachtu* i ludności cywilnej. Niektóre tabele, jak np. tabela umieralności w obozie sprawiają nawet wrażenie, jak gdyby była ona po roku 1945, a więc w czasie, gdy w obozach przebywali głównie cywilni obywatele niemieccy, przeciętnie o 40% wyższa, aniżeli w obozach koncentracyjnych reżimu narodowo-socjalistycznego, w których, jak twierdzi autor, miała ona wynosić najwyżej 37%. Gdyby nawet te liczby, przytoczone bez podania źródeł, miały być prawdziwe, to o jednym autor zapomina wspomnieć. Faktem jest

mianowicie, że po roku 1945 dostawali się do obozów wszyscy zatrzymani bądź wysiedleni, łącznie ze słabymi i chorymi, z dziećmi i starcami, natomiast wszystkie tego rodzaju osoby były wprawdzie również więzione przez reżim narodowo-socjalistyczny, ale jeszcze przed bramą wielkich obozów zagłady po przeprowadzeniu wśród więźniów pobieżnej selekcji dostawały się wprost do komory gazowej, tak że śmierć ich nie wpływała na statystykę zgonów w tych obozach. Gdyby więc nawet prawdą było, że tylko nie więcej niż 37% więźniów umierało w obozach narodowo-socjalistycznych, to było to w każdym razie 37% najsilniejszych. Wprawdzie autor wspomina w innym miejscu o selekcjach na rampie w Oświęcimiu, ale brak tej informacji w związku z zestawieniami umieralności prowadzi do zafałszowania ogólnego wrażenia.

Podobną, nieświadomie może zacierającą istotny stan rzeczy interpretację materiału liczbowego znajdujemy na początku omawiania ofiar obozów koncentracyjnych. Zaczyna się ono od wojny burskiej, w której przebiegu w latach 1901—1902 Anglicy internowali okrągło 200 000 ludzi. Z tego zmarło 28 000, co według obliczeń, określonych w innym miejscu przez samego autora jako niedokładne, miałoby odpowiadać odsetkowi zgonów we wszystkich niemieckich obozach koncentracyjnych. Wśród tych 28 000 było jednak 22 000 dzieci poniżej lat 16, a więc istot fizycznie słabszych, dla których życia byłyby śmiertelnie groźne nawet znacznie mniej szkodliwe warunki. Roczniki te mimo niektórych wyjątków raczej nie dostawały się do niemieckich obozów. W czasie wojny burskiej zmarło w obozach koncentracyjnych 6 000 osób dorosłych na ogólną liczbę internowanych 200 000. To stawia porównanie odsetków w omawianej książce w nieco odmiennym świetle.

Podobną tendencję można zauważyć przy porównywaniu obozowych racji żywnościowych z takimiż racjami przyznawanymi normalnym spożywcom na wolności. Dane pochodzą z akt Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (*Reichssicherheitshauptamt*). Ale normalny spożywca otrzymywał faktycznie należne mu racje aż do ostatniej chwili przed klęską. Na jaką zaś skalę esesmani, a w niewielkiej części również uprzywilejowani więźniowie dokonywali gigantycznych kradzieży środków żywnościowych, tak że zwykły więzień otrzymywał zaledwie ułamek przyznanej mu przez władze nadrzędne ilości wyżywienia, tego autor nie mógł wiedzieć z powodu braku własnego doświadczenia.

W omawianej pracy przedstawione zostały szczegółowo, rzeczowo i wnikliwie skutki przebywania w tych krańcowo szkodliwych warunkach życia w obozie, skutki, które były jednakie dla wszystkich ofiar i wywoływały uszkodzenia zarówno somatyczne, jak i psychiczne. Trzeba jednak przyznać, że gdy chodzi o szkody psychiczne, przy których omawianiu powołuje się autor na odpowiednie piśmiennictwo, została w dużym stopniu zatarta różnica między jeńcami wojennymi a więźniami obozów koncentracyjnych. Nie ma wzmianki o tym, że ci ostatni byli na nie dający się przewidzieć czas oddzieleni od swoich rodzin, że nie czuli oparcia o żadną chroniącą ich wspólnotę, że jeżeli byli Niemcami, czuli się też odepchnięci przez własny naród, że wielka część z nich miała stale przed sobą perspektywę komory gazowej i że z tych powodów ich obciążenie psychiczne było jeszcze znacznie większe niż jeńców wojennych. Autor przytacza jako przykład „utraty poczucia związków społecznych", która nie była mu nieznana, niemieckie wojsko po kapitulacji. A przecież ci ludzie właśnie w tym czasie mogli żywić pełną nadzieję szybkiego powrotu do normalnego życia, w rodzinie, wśród przyjaciół, z wyjątkiem może tych, którzy na długie lata nie mogli mieć nadziei powrotu do ojczyzny z karnych obozów rosyjskich. Podobieństwo właśnie tej ostatniej grupy z więźniami obozów koncentracyjnych, jeśli chodzi o szkodliwości somatyczne i psychiczne w porównaniu do reszty jeńców wojennych zostało w książce pominięte, mimo że inni autorzy wielokrotnie je opisywali.

Po 20 latach nie ma już jednak wielkiego sensu porównywanie bolesnych przeżyć. Nawet stosunkowo mniejsze cierpienia, gdziekolwiek by się je spotkało, urągają naszym pojęciom i opisowi. Nie można wątpić, że autor na myśl o nich odczuwał zgrozę. Można zrozumieć, że każdy, kto taki materiał opracowuje, kieruje wzrok, mimo wszelkiego starania o obiektywizm, przede wszystkim na te cierpienia, które sam naocznie poznał. To jednak nie uprawnia go do utraty wszelkiego zmysłu proporcji.



Delegacja włoska z ambasadorem *Enrico Aillaud* podczas zwiedzania byłego obozu Oświęcim-Brzezinka w dniu 25 kwietnia 1965 r. (z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

JAN MASŁOWSKI Kraków

Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z roku 1966

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *Karol Spett*)

1. Uwagi ogólne

Kontynuując przegląd wybranych pozycji z bieżącego piśmiennictwa dotyczącego zagadnień lekarskich okresu minionej wojny [1], pomija się tutaj prace ogłoszone w poprzednim (szóstym) zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", omówione już przez prof. dr *Józefa Bogusza*, który uwzględnił między innymi informacje o autorach oraz wyjaśnił genezę tych prac i zasady ich redagowania [2]. Natomiast celem szkicu jest zwrócenie uwagi na wiele publikacji, które gdzie indziej ukazały się w roku 1966. Nie sposób w jednym artykule przytoczyć pełną, bieżącą, bogatą bibliografię. Chodzi przynajmniej o uchwycenie zasadniczych, dominujących obecnie problemów. Wcześniejsze teksty uwzględniono wyjątkowo. W miarę możności zacytowano bardziej interesujące osądy i opinie, nadające niniejszemu omówieniu nieco szersze ujęcie.

Kolejno zestawione są informacje o pamiętnikach, wspomnieniach i relacjach, o utworach literackich, o poglądach rozproszonych w różnych artykułach i o enuncjacjach autorów obcych. Jednocześnie poruszono kilka wyłaniających się zagadnień, począwszy od przeżyć lekarzy pod okupacją hitlerowską, z podkreśleniem roli pamiętników i utworów literackich jako istotnego źródła wiedzy w tym zakresie, przez problem etyki w latach wojny i kwestię genezy zbrodni hitlerowskich, aż do pojawiających się ostatnio opinii autorów zachodnioniemieckich, którzy zajmują określone stanowisko wobec przeszłości nazistowskiej.

2. Wspomnienia i relacje

Spośród wydań dotyczących Warszawy wzorem dokładności i rzetelności synchronizowania przedstawianych wspomnień z materiałem źródłowo opracowanym jest książka dr *Anny Czuperskiej-Śliwickiej*, więźniarki Pawiaka [3]. Autorka uzupełniła swą relację spisem więźniarek tzw. „Serbii" (kobiecy oddział Pawiaka), podając obok nazwisk notki informacyjne. Sporządziła ona spis kobiet więzionych w szpitalu na Pawiaku w latach 1940—1944 i tam go ukryła, ale ten cenny dokument przepadł. Wszystkie inne spisy więźniów zniszczyło gestapo, likwidując tę katownię. Tym większego uznania wymaga trud autorki, która mimo to odtworzyła wykaz wspomnianych nazwisk.

Niełatwo znaleźć bardziej kompetentną ocenę książki dr *Czuperskiej* niż słowa *Haliny Krahelskiej*, również więźniarki Pawiaka: „O wrześniu, okupacji i powstaniu napisano już u nas niemało [...] Wśród tych książek, najprawdziwszych z prawdziwych, stawiam oto na honorowym miejscu książkę dr *Czuperskiej* o Serbii"; „...piękna i prosta jest oszczędność słów, z jaką dr *Czuperska* opisuje życie i walkę na Serbii, pracę personelu lekarskiego, kolumny sanitarnej, strażniczek i funkcyjnych, postawę więźniarek i niepowtarzalny klimat tego miejsca, w którym najdrobniejsza pozornie sprawa mogła nieść w sobie tragedię [...] (Autorka) potrafiła [...] uniknąć łatwizny kryjącej się w pokusie opisywania wszystkiego, a więc i tego, czego opisać się nie da [...], potrafiła nie patrzeć na wszystko przez pryzmat własnej osoby". „To [...], że autorka z racji wykonywanej funkcji miała kontakt ze wszystkim, co się na Serbii działo, że przez te cztery lata ostrego dyżuru tkwiła w samym centrum walki o ludzi i dla ludzi — i jako lekarz, i jako konspirator — sprawia, że jej relacja jest pełniejsza i wszechstronniejsza niż jakakolwiek inna" [4].

Zwłaszcza z Pawiakiem związane są te wspomnienia i relacje, które podkreślają rolę lekarzy w ruchu oporu, a szczególnie w przynoszeniu ulgi innym więźniom i ratowaniu ich. Najprościej mechanizmy tej pomocy ujął ostatnio dr *Felicjan Loth*, autor znanej relacji pt. „Byłem lekarzem na Pawiaku": „Konspiracja ocierała się o personel lekarski, sanitarny, o zaufanych więźniów i niektórych strażników. Jak to wyglądało w praktyce? Nowy więzień zgłaszał się na opatrunek i mówił mi: «Muszę wysłać meldunek na miasto, proszę o pomoc». Sprawdzałem go przez naszą siatkę i gdy informacje o nim były wystarczające, przy najbliższym spotkaniu odbierałem meldunek" [5].

---

[1] Zob. *A. Kępiński, J. Masłowski*: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 241—247.

[2] *J. Bogusz*: Słowo wstępne. Przegl. Lek., 1966, nr 1, s. 3—13. Poprzednie zeszyty Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim (z lat 1961—1965) również zawierają Słowo wstępne *J. Bogusza*. Zob. też: *J. Wilczur*: Medycyna lat okupacji. Prawo i Życie, 1966, nr 19 (271), s. 7, oraz informacje o tych zeszytach w miesięczniku Polska (1966, nr 10).

[3] *A. Czuperska-Śliwicka*: Cztery lata ostrego dyżuru. Wspomnienia z Pawiaka 1940—1944. Szkice sytuacyjne wykonał *Z. Topolewski*. Czytelnik, Warszawa 1965, ss. 368, nlb. 4.

[4] Cytaty z recenzji *H. Krahelskiej*: „...ale ducha naszego nie złamiecie" (słowa wypowiedziane przez *Stefana Starzyńskiego* we wrześniu 1939 roku). Nowe Książki, 1965, nr 24 (378), s. 1124—1125.

[5] Rozmowa z drem *Felicjanem Lothem*. Kultura, 1966, nr 13 (146), s. 6. Zob. też: „Akcja Pawiak" —

Jest to jeden z nielicznych i nie najważniejszych zresztą przykładów istotnej roli, jaką pełnili na co dzień lekarze zatrudnieni i uwięzieni w murach Pawiaka. Ryzykowali życie, współpracując z ruchem oporu. Oni właśnie cieszyli się stosunkowo większą swobodą i odpowiednio ją wyzyskiwali. Ich działalność jest już dość szeroko znana dzięki narastaniu w ostatnich latach piśmiennictwa dotyczącego tej osławionej katowni.

Z punktu widzenia chorego dużo miejsca poświęcił pawiackiemu szpitalowi między innymi *Adam Grzymała Siedlecki* w swych wspomnieniach [6]. Dzięki pomocy lekarzy dość długo przebywał on kolejno w izbie chorych, w salce chirurgicznej i „na trójce" internistycznej [7]. Był tam też świadkiem, jak więźniów ciężko chorych, nieraz nie mogących utrzymać się na nogach, zabierano na przesłuchanie do gestapo lub kierowano na wywiezienie w mroźnych wagonach towarowych do Majdanka bądź wybierano wprost na egzekucję. Widział, jak wnoszono więźniów nieludzko zmasakrowanych podczas przesłuchiwań w siedzibie warszawskiego gestapo przy Alei Szucha i jak lekarze ratowali im życie. Swoje obserwacje spisał w jakiś czas po uwolnieniu, jesienią 1944 roku, z wnikliwością literata umiejącego plastycznie odtworzyć przeżycia z tragicznych dni i psychologicznie pogłębić przedstawiane spostrzeżenia.

O ofiarności uwięzionych lekarzy polskich świadczy między innymi następujący epizod opisany przez *Grzymałę-Siedleckiego*. „Któregoś dnia wniesiono na naszą salkę uśpionego jeszcze po operacji, czterdziestoletniego, okazałego mężczyznę. Jak karta szpitalna opiewała: inżynier *Józef Taczanowski*. Wielkopolanin". Przed kilkoma godzinami został on postrzelony na ulicy przez żandarmów. „Operacja stwierdziła sześć ran w kiszkach. Stan ciężki, nawet groźny. Przed wieczorem obaj nasi lekarze, dr *Loth* i dr *Śliwicki* zrobili należne zastrzyki [...] Na noc lekarze muszą iść do swojej celi, a chorego trzeba podtrzymywać zastrzykami. W kącie naszego pokoju [...] leżał [...] doktor *Jastrzębski*. Ma lat sześćdziesiąt sześć i świeżo przebył operację przepukliny, właściwie jeszcze ma zalecone, by z łóżka nie wstawał. Ma wszelkie prawo troszczyć się nie więcej niż my wszyscy o pana *Taczanowskiego*, a jednak nie wytrzymał. Kazał sobie zostawić strzykawki, spirytus, potrzebne do zastrzyków substancje, wstał z łóżka i przez dwie noce, sam jeszcze bez sił, czuwał nad chorym, mierzył mu puls, badał serce, obmywał z potu głowę, zastrzykiwał środki wzmacniające, każdy objaw polepszenia przyjmował radośnie, jak by to o najbliższego chodziło, wreszcie trzeciego dnia posmutniał: było widoczne, że pacjenta nie ocalił. Wśród bólów inżynier *Taczanowski* zmarł. Nie umierał zapomniany i obojętny dla ludzi; lekarski instynkt opieki doktora *Jastrzębskiego* ojcowskim ciepłem otaczał jego ostatnie godziny" [8].

Zasługi pracowników warszawskiej służby zdrowia związane są również między innymi z wykradaniem osób uwięzionych przez hitlerowców. Np. odważnie uwolniono jednego z szoferów III plutonu „Parasola" w dniu 26 kwietnia 1944 r. ze Szpitala św. Jana Bożego, czy też 15 więźniów, których stamtąd odbito w dniu 29 czerwca 1944 r. [9]

Z Warszawą w latach okupacji wiążą się nadto wspomnienia dr *Stanisława Bayera* [10], który wówczas pracował w Szpitalu Ujazdowskim. Odzwierciedlają one atmosferę dni powstania i zawierają wiele cennych, konkretnych szczegółów, dotyczących m. in. lekarskiej pomocy rannym w najtrudniejszych warunkach działań wojskowych.

Relacje o postawie i działalności lekarzy przewijają się w różnych publikacjach. Fragmenty te trudno wyliczyć w jednym artykule. Część z nich wyszła spod pióra samych pracowników służby zdrowia, część zaś — to relacje o nich. Oprócz *Grzymały-Siedleckiego* również inni pisarze kreślą sylwetki lekarzy, np. *Igor Newerly*, który opisuje w swej książce poświęconej doktorowi *Januszowi Korczakowi* jego losy w getcie warszawskim [11]. Getta białostockiego, między innymi spraw lekarskich z nim związanych, dotyczą wspomnienia autorki więzionej tam aż do jego likwidacji [12].

W niektórych pamiętnikach autorzy wyodrębnili osobne rozdziały odnoszące się do polskiej służby zdrowia w katowniach hitlerowskich. Lekarzom piękne wspomnienie poświęcił prof. dr *Stanisław Pigoń*, opisując swe przeżycia i obserwacje z obozu w Sachsenhausen [13]. *Stefan Krukowski* podaje między innymi listę więźniów funkcyjnych w „rewirze" chorych w Mauthausen [14]. O tymże obozie, o ratowaniu zdrowia chorym, o szpitalu obozowym, a zwłasz-

szukanie prawdy. Wypowiedź *Bronisława Anlena* („*Bronka*" z ósemki Pawiaka) w sprawie Akcji Pawiak. Tamże.

[6] *A. Grzymała-Siedlecki*: Sto jedenaście dni letargu. Wspomnienia z Pawiaka z lat 1942/1943. Wyd. 2, Wydawn. Literackie, Kraków 1966, ss. 219, nlb. 4.

[7] Tamże, s. 132 i następne.

[8] Tamże, s. 184—185.

[9] *T. Strzembosz*: Odbijanie i wykradanie więźniów w Warszawie w latach 1939—1944. Więź, 1966, nr 7/8, s. 237—245.

[10] *S. Bayer*: Szpital polowy „Wilcza 61". (Wspomnienia lekarza z okresu powstania warszawskiego). Archiwum Historii Medycyny, 1966, z. 1/2, s. 179—189, z. 3, s. 321—334. Zob. też: *A. Marczyński*: Szpital Ujazdowski we wrześniu 1939 roku widziany oczami rannego. Tamże, z. 3, s. 335—342. — O pracy sanitariuszek podczas obrony Warszawy zob.: Okruchy wspomnień wrześniowych. Więź, 1966, z. 9, s. 88—98.

[11] *I. Newerly*: Żywe wiązanie. Czytelnik, Warszawa 1966, ss. 410, nlb. 1.

[12] *S. Nomberg-Przytyk*: Kolumny Samsona. Wydawn. Lubelskie 1966, ss. 159, nlb. 5, tabl. 4.

[13] *S. Pigoń*: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940). PIW, Warszawa 1966, ss. 75, nlb. 5 (pierwodruk w Przegl. Lek. 1966, nr 1, s. 156—171). — Zob. też: Sachsenhausen. Księga pamiątkowa II Krajowego Zjazdu Byłych Więźniów Politycznych obozu koncentracyjnego w dniach 5 i 6 listopada 1964. Red. odpow.: *V. Frančić*. Wydawn. Literackie, Kraków 1966, ss. 167, nlb. 7, tabl. 14.

[14] *S. Krukowski*: Nad pięknym, modrym Dunajem. Mauthausen 1940—1945. Książka i Wiedza, Warszawa 1966. Str. 292—297: Pamięci lekarzy.

cza o ruchu oporu w Mauthausen pisze były więzień dziewięciu obozów koncentracyjnych, Ukrainiec, *Aleksander Josilewicz* [15], z zawodu lekarz, były żołnierz Armii Czerwonej. Ukrywał on swe pochodzenie żydowskie pod nazwiskiem *Aleksandra Iwanowicza Grigoriewskiego*. Przetrwał dzięki solidarnej pomocy więźniów różnych narodowości.

Jedną z najważniejszych w literaturze światowej relacji dotyczących obozu oświęcimskiego są napisane już w r. 1946, wstrząsające i pasjonujące wspomnienia pod pierwotnym tytułem „Byłem lekarzem w Oświęcimiu" [16]. Autor, dr *Miklos Nyiszli* został wywieziony w transporcie Żydów węgierskich do Oświęcimia wraz z żoną i 15-letnią córką. Po zbrojnym powstaniu *sonderkommanda* krematoryjnego ocalał dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Jako wybitny specjalista w swoim zawodzie dr *Nyiszli* znalazł się w obozie pod bezpośrednią władzą dr *Mengelego*. Z jego rozkazu musiał w „laboratorium" tego zbrodniarza w krematorium III (w Brzezince) wykonywać sekcje zwłok setek ofiar, wśród nich wielu umyślnie zabijanych przez esesmanów dzieci i bliźniąt, preparować narządy, wycinać z ciał zamordowanych, zdrowych ludzi mięśnie potrzebne do hodowli bakterii, kąpać zwłoki kalek i karłów w roztworze chlorowanego wapna lub gotować je w kadziach, aby odpowiednio spreparowane szkielety mogły się w przyszłości znaleźć w muzeach zwycięskiej Trzeciej Rzeszy jako „dowód" rzekomej niższości i degeneracji ras niegermańskich.

Protokoły sekcyjne i opisy „doświadczeń" pieczołowicie gromadził *„kriminaldoktor" Mengele*, który się uważał za geniusza naukowego w dziedzinie „badań" biologiczno-rasowych. Dr *Nyiszli* opisał dokładnie pseudonaukową działalność *Mengelego* w tym obozie i z lekarskiego punktu widzenia uzasadnił bezsens „eksperymentów", których metodę i przebieg bezpośrednio obserwował. Ponadto dał świadectwo prawdzie jako doskonale zorientowany świadek zgładzenia milionów ludzi w krematoriach Oświęcimia.

Na wspomnieniach i relacjach oparta jest książka opisująca szczególnie trudny odcinek działalności międzynarodowej organizacji oświęcimskiego ruchu oporu, mianowicie ucieczki z obozu [17], niekiedy podejmowane w ścisłym powiązaniu z „rewirami" szpitalnymi. Znajdujemy tam między innymi opis „jednej z najbardziej nieprawdopodobnych, ryzykanckich i niezwykle szczęśliwych ucieczek z Oświęcimia", zrealizowanej przez studenta medycyny, który po „wpadce" w krakowskim zakładzie anatomii patologicznej znalazł się w obozie pod przybranym nazwiskiem *Jerzego Wesołowskiego* (*Jerzy Tabeau*, obecnie docent Akademii Medycznej w Krakowie) [18]. *Wesołowski*, wydostawszy się z obozu — podobnie jak autor książki, *Tomasz Sobański* — również utrzymał kontakty z antyfaszystowską międzynarodówką obozową, działając w okolicach Oświęcimia w zorganizowanej bojówce podobozowej. Kontakty te ułatwiała im między innymi młoda dentystka z Jawiszowic, *Danuta Bystroniówna*.

Styl tej bardzo dobrej książki, rzeczowo i zwięźle przedstawiającej poszczególne ucieczki, dramatyczne i brawurowe, jest miejscami nazbyt protokolarny, nie tak bezpośredni, jak niektóre oryginalne wspomnienia uczestników tych niebezpiecznych akcji. Warto było może zacytować w omawianym opracowaniu odpowiednie, ekspresyjne fragmenty autentycznych pamiętników, z których korzystał autor.

Spośród wznowień wyróżnia się relacja *Wojciecha Jekielka* o działalności ruchu oporu w okolicach Oświęcimia, głównie podobozowej grupy partyzantów z Batalionów Chłopskich, którzy przemycali do obozu żywność, leki itp. [19]

Uboga jest jeszcze literatura dotycząca obozu w Stutthofie. Różne wiadomości o codziennej egzystencji w tym obozie zawiera zbeletryzowana nieco relacja, niewolna od szowinizmu litewskiego, wydana w r. 1957 w Wilnie pt. „Diewu Miškas" [20], następnie trzykrotnie w przekładzie rosyjskim. Autor, *Balis Sruoga*, litewski profesor i literat, były *ehrenhäftling* (więzień honorowy) Stutthofu, zmarł w październiku 1947 roku. Barwnie, choć tendencyjnie scharakteryzował on różne typy oprawców. Najgorsi w tej książce są Łotysze; esesmani-Litwini łagodni i dobrzy. Więźniów *Sruoga* zróżnicował pod względem narodowości i pochodzenia społecznego. Obrazowo i przekonywająco przedstawił przeżycia inteligentów, których los pod jarzmem prostackich „kapów" i perfidnych esesmanów w obozach hitlerowskich z reguły był gorszy niż np. warunki fachowców-rzemieślników. Nawet umiejętność zabawiania oprawców dowcipami niekiedy ratowała życie i ułatwiała uzyskanie lepszej funkcji, natomiast np. wykształcenie humanistyczne z reguły nic nie znaczyło, a nawet narażało na szykany. *Sruoga* opisał między innymi swój okresowy pobyt w baraku szpitalnym, w którym był pisarzem rewirowym [21]. *Stani-*

---

[15] *A. Josilewicz*: Ci, co pokonali śmierć. Tłum. z ros. *T. Żeromski*. PIW, Warszawa 1966, ss. 182, nlb. 2. Rec.: *S. Wygodzki*: Mauthausen. Nowe Książki, 1966, nr 10 (388), s. 594.

[16] *M. Nyiszli*: Pracownia doktora Mengele. Tłum. z jęz. węgierskiego *T. Olszański*. Oprac. *M. E. Jezierska*. Czytelnik, Warszawa 1966, ss. 178, nlb. 2.

[17] *T. Sobański*: Ucieczki oświęcimskie. Wydawn. MON, Warszawa 1966, ss. 174, nlb. 5, tabl. 2. — Rec. *S. Zieliński*: Kultura 1966, nr 37 (170), s. 8; *S. Zieliński*: Zwycięstwo człowieka, Nowe Książki 1966, nr 18 (396), s. 1120—1121.

[18] *T. Sobański*: o. c., s. 11—23 (rozdz. pt. Przez druty cygańskiego obozu).

[19] *W. Jekiełek-„Żmija"*: W pobliżu Oświęcimia. Wyd. 2, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1966, ss. 368, nlb. 4, tabl. 1, mapa 1. Tamże m. in. rozdział pt. Pomoc w zwalczaniu epidemii tyfusu w obozie (s. 108—131). — Zob. tegoż autora: Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek. 1966, nr 1, s. 120—131.

[20] *B. Sruoga*: Las Bogów. Jęz. oryg. lit. Tłum. z ros. *S. Majewski*. Słowo wstępne napisał *T. Płużański*. Wydawn. Morskie, Gdynia 1965, ss. 271, nlb. 1.

[21] Tamże, s. 79—94.

sław Wygodzki ostro skrytykował stronniczość autora [22], patrzącego na życie obozowe z punktu widzenia więźnia uprzywilejowanego.

Cenną, dokumentarną pozycją są wspomnienia śląskiego lekarza, dr *Edwarda Hankego* [23]. Urodził się on w Bytomiu w r. 1895 w rodzinie lekarza-działacza, patrioty. Obecnie jest lekarzem w Chorzowie. Książka obejmuje lata 1903—1946. Oparta jest na zachowanych zapiskach, które autor sporządzał od lat gimnazjalnych. W „Trudach i oczekiwaniach" odzwierciedliły się zagadnienia wytrwałej walki o polskość Śląska, problemy dotyczące polskich organizacji na Śląsku w zaborze pruskim, powstań tamtejszych, plebiscytu, okresu międzywojennego, okupacji hitlerowskiej, pierwszych miesięcy odbudowy po wyzwoleniu.

Recenzenci podkreślają szczerość relacji dr *Hankego*, jej spokojny ton i powściągliwość — również w opisach własnych perypetii okupacyjnych autora. Omawiając książkę *Hankego*, *Danuta Żmij* pisze, że w jego życiu „nie ma [...] miejsca ani na bezczynność, ani na obojętność. Następstwem takiej postawy jest gotowość poniesienia dobrych i złych konsekwencji działania [...] «Trudy i oczekiwania» wywodzą się z dobrej tradycji, narzucającej wykształconym przedstawicielom wolnych zawodów obowiązek pracy społecznej i patriotycznej. Lekarz-społecznik, pomijając nawet literackie wzorce, należy do polskiego krajobrazu. Pod tym względem *Hanke* nie jest zjawiskiem odosobnionym" [24].

Z przychylnymi recenzjami spotkały się także wspomnienia porucznika-lekarza *Grzegorza Fedorowskiego* [25], pseudonim „*Gryf*", z 27 dywizji wołyńskiej AK. Autor był świadkiem partyzanckiej walki przeciw hitlerowcom oraz nacjonalistom ukraińskim spod znaku UPA. Ponieważ dotkliwe straty tej dywizji podczas wykonywania w jej rejonie planu „Burza" sięgały w niektórych kompaniach 70% stanu osobowego, autor cytowanych wspomnień miał jako lekarz jednego z oddziałów „pełne ręce roboty".

Polityczną stronę wydarzeń opisywanych przez *Fedorowskiego* omówił w przedmowie *Antoni Przygoński*, doktor *Gryf* zaś zrelacjonował swe przeżycia bez wnikania w złożony „problem akowski". Należy dodać, że część dywizji przebiła się przez front na stronę radziecką, a dr *Fedorowski* znalazł się wkrótce w I Armii WP [26]. Publikacja ta jest tym cenniejsza, że dotychczas pamiętnikarstwo medyczne dotyczące partyzanckiej służby zdrowia jest stosunkowo szczupłe. W ruchliwych oddziałach partyzanckich było bowiem stosunkowo niewielu lekarzy, felczerów, a nawet wykwalifikowanych sanitariuszy. Bardziej pożyteczni i potrzebni w większych ośrodkach i w „melinach", mieliby w partyzantce na ogół ograniczony zakres działania.

Na sondażu przeważnie nieznanych źródeł archiwalnych i wspomnień oparł swą książkę *Mirosław Cygański*, uwzględniając między innymi politykę okupanta w zakresie służby zdrowia w Łodzi [27].

W omawianym piśmiennictwie — przez cały okres powojenny zresztą — przeważają wspomnienia, relacje i pamiętniki. Co więcej, wydaje się, że liczba opracowań naukowych i dokumentarnych dotyczących zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej z biegiem czasu wzrasta coraz wolniej. Najlepsze warunki opracowywania tej problematyki istniały w pierwszych latach powojennych, kiedy pamięć wydarzeń była najbardziej bezpośrednia, a zainteresowanie okupacją największe i emocjonalnie angażujące. Obecnie czas jeszcze sprzyja głównie wspomnieniom, gdyż po upływie przeszło dwóch dziesięcioleci łatwiej jest autorom wyrzekać się komentarzy uczuciowo przejaskrawionych, a swe relacje poddawać większej dyscyplinie refleksyjnej.

Dzisiaj już jako bezsporny postulat możemy przyjąć wskazówkę, iż gromadzić należy jak najwięcej wspomnień, póki żyją świadkowie i uczestnicy okupacyjnych wydarzeń. Im obfitszy będzie materiał wspomnień, których lektura pozwala ludziom młodym zbliżyć się ku klimatowi lat 1939—1945, tym większa jest nadzieja, że następne pokolenia, już z odległej perspektywy historycznej zajmujące się pracami na temat okupacji, będą je wykonywać wnikliwiej, z lepszym wyczuciem okresu. Dlatego w wypadku okupacyjnej tematyki lekarskiej niezbyt uzasadnione wydaje się narzekanie, iż tak stosunkowo mało jest opracowań naukowych, a więcej wspomnień.

Nie można automatycznie rozciągać na omawiany zakres tematyczny tych wymagań, które się stosuje np. wobec prac laboratoryjnych. Nawet wspomnienie niezbyt ścisłe w drobnych szczegółach, ale napisane przez bezpośredniego świadka, ma zawsze swą wartość, gdyż mówi

---

[22] *S. Wygodzki*: Dwie relacje obozowe. Nowe Książki 1966, nr 5 (383), s. 268—269. — Obiektywnym i źródłowym opisem jest monograficzne opracowanie *K. Dunina-Wąsowicza*: Obóz koncentracyjny Stutthof. Wydawn. Morskie, Gdynia 1966, ss. 583. — Różne informacje w zakresie zagadnień obozowych zawiera zbiór wspomnień i relacji więźniów obozów koncentracyjnych z kwietnia i początku maja 1945 r.: Za pięć dwunasta. Przedm. *K. Rusinek*, wstęp *A. J. Kamiński*. Książka i Wiedza, Warszawa 1966, ss. 400.

[23] *E. Hanke*: Trudy i oczekiwania. Wspomnienia lekarza. Czytelnik, Warszawa 1965, ss. 398, nlb 2, tabl. 1.

[24] *D. Żmij*: Od Bytomia droga bita. Nowe Książki. 1966, nr 3 (381), s. 155—156.

[25] *G. Fedorowski*: Leśne ognie. Wydawn. MON, Warszawa 1965, ss. 291, nlb. 1.

[26] Zob. rec.: *E. Ożóg*: Zdarzenia warte pamięci. Nowe Książki, 1966, nr 3 (381), s. 163—164. — Z dziejami innego ugrupowania, mianowicie 4 pułku Armii Krajowej, wiąże się relacja pt. Szpital partyzancki w Bodzentynie (Za Wolność i Lud, 1966, nr 20, s. 12—13). W pułku tym walczyli tzw. „chłopcy od *Barabasza*"; *Barabasz* (*Marian Sołtysiak*) dowodził sławnym oddziałem „Wybranieckich" (zob. *M. Sołtysiak*: Chłopcy „Barabasza". Pax, Warszawa 1965, ss. 221, nlb. 3, tabl. 1).

[27] *M. Cygański*: Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1965, ss. 318, nlb. 2, tabl. 14. Zob. też: *F. Kafka*: Okrutne lata. Przeł. *H. Gruszczyńska-Dębska*. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1966, ss. 495, nlb. 1 (jest to powieść o getcie łódzkim, oparta na osobistych przeżyciach czeskiego autora).

o swoistości przeżyć w latach wojny i o postawie autora, uczestnika wydarzeń. Umiejętnie wpleciona anegdota ma również swe znaczenie, ponieważ wzbogaca plastyczność obrazów wydobywanych z pamięci czy rekonstruowanych na podstawie notatek, jak to zauważamy np. w odniesieniu do „Trudów i oczekiwań" *Hankego*. A dodać też trzeba, że publikacje historyczne i wspomnieniowe długo zachowują swą wartość i aktualność, przeciwnie niż pewne prace ściśle naukowe, których przydatność maleje w miarę rozwoju wiedzy.

Znaczenie pamiętników jest bezsporne, choć nie zawsze ten krąg piśmiennictwa o przeszłości odpowiednio doceniano. „Jeszcze w r. 1956 alarmowano o niewykorzystaniu pamiętników indywidualnych i zbiorowych, ba, o zupełnym zapoznaniu tej dziedziny przez ówczesne badania historyczne [...] W pamiętnikach, tak jak w literaturze pięknej, zawarta jest cała prawie [...] problematyka czasów, które są genealogią współczesności [...] O ile ideałem historii jest odbicie możliwie zbliżone do lustrzanego, osiągnięte za cenę stosowania surowych dyrektyw metodologicznych, o tyle pamiętnik zbliża nas do prawdy drogą inną [...] Ukazuje i wyraża to, o czym historia relacjonuje językiem nauki. I to jest szczególna rola pamiętnika. Bez niej nasza przeszłość, ta najżywiej nas obchodząca, jest martwa, choć odzwierciedlona jasno i precyzyjnie. Oblicze moralne ludzkich czynów z trudem chwyta jałowa terminologia nauki" [28]. „Pamiętniki, wspomnienia obozowe, ze względu na bogactwo materiału rzeczowego są jakby uzupełnieniem literatury naukowej, jej potwierdzeniem" [29]. Stanowią bezcenne źródło pod warunkiem dokonania ich krytycznej, naukowej analizy i odpowiedniej weryfikacji.

Ale relacje wspomnieniowe mają też swój ujemny aspekt. Nawet najrzetelniejszy pamiętnikarz nie zdoła po upływie pewnego czasu podać minionych przeżyć dokładnie, w ich przebiegu chronologicznym, bez luk, często dużych i istotnych. A jak wiadomo, więźniowie prześladowani przez hitlerowców nie mieli sposobności systematycznego, swobodnego prowadzenia bieżących notatek, pomocnych w późniejszym opracowywaniu wspomnień.

Przykładem jest między innymi *Adam Grzymała-Siedlecki*, wybitny pisarz, który zaraz po uwięzieniu postanowił opisać swe przeżycia i obserwacje z Pawiaka, gdy tylko żywy wydostanie się stamtąd. Planując w więzieniu napisanie takiego pamiętnika, autor ten wspomina: „maniacko [na Pawiaku] wbijałem w głowę realia doznawanych czy obserwowanych zdarzeń: nazwiska, daty etc." [30]. Dodaje też, że „o ile dalsze dni i tygodnie pobytu na Pawiaku zlały mi się w jednoimienną całość, z której tylko wyjątkowe wydarzenia wyodrębniają się w osobne wspomnienia, o tyle z pierwszych chwil każdy niemal kwadrans przeżycia ma swój wyrazisty kontur, swoje osobne odciśnięcie się w mózgu. Dzieje się to może dlatego, że w tych pierwszych dniach wrażliwość nie przeszła jeszcze w stan apatii" [31].

Wartość pamiętników polega więc przede wszystkim na odpowiednim odtworzeniu zapamiętanych fragmentów przeżyć i na ich charakterystyce. Natomiast w utworze literackim czas i następstwo przedstawianych wydarzeń są podporządkowane konstrukcji zależnej od pomysłowości autora. Dzięki temu w powieści czy opowiadaniu można skondensować istotną treść, łatwiej niż w pamiętniku wyeliminować zbędne dygresje bądź drugorzędne szczegóły, zebrać typowe realia, wyjść poza doświadczenie jednego człowieka i przedstawić wybrane problemy jakby przez soczewkę, czerpiąc potrzebne dane z różnych źródeł. Metoda ta jednak pociąga za sobą konieczność swoistego przetworzenia minionych faktów i posłużenia się fikcją literacką, ale bynajmniej nie jest to sprzeczne z przekazaniem takich wartości poznawczych, których może być pozbawiony zarówno pamiętnik, jak i praca naukowa.

3. Proza literacka

Spośród pisarzy-lekarzy [32] należy wymienić ze względu na omawianą tutaj tematykę przede wszystkim *Józefa Stompora*. Urodził się on w Mircu (Kieleckie) w r. 1922. W młodości był partyzantem na Kielecczyźnie. W r. 1952 ukończył studia lekarskie w Akademii Medycznej w Warszawie. Specjalizował się pod kierunkiem profesora *Grucy*. Jest lekarzem na Dolnym Mokotowie w Warszawie. Napisał powieści „Leśne noce" (1958), „Partyzant od Starego" (1960) i „Człowiek z lancetem" (1964), a w r. 1966 wydał osiem opowiadań, zebranych w tomiku pt. „Szpital pod jodłami" [33]. Opo-

[28] *B. Michałowska:* Konkurent literatury. Polityka, 1962, nr 29 (281). Cyt. według maszynopisu rozprawy doktorskiej *A. Glińskiej* pt. Obraz moralności obozowej w pamiętnikach polskich więźniów Oświęcimia. WSP, Katowice 1966, aneks, s. 11.

[29] *L. Rajewski:* O polskiej literaturze obozowej. Zeszyty Oświęcimskie, 1962, nr 6, s. 6.

[30] *A. Grzymała-Siedlecki:* o. c., s. 7.

[31] Tamże, s. 37.

[32] W życiu kulturalnym różnych narodów odgrywają coraz większą rolę lekarze, którzy wykonują swój zawód, a jednocześnie są pisarzami. Od kilkunastu lat byli oni zrzeszeni w Międzynarodowym Związku Stowarzyszeń Lekarzy-Pisarzy z siedzibą w Paryżu. Ostatni, IX Światowy Kongres Lekarzy-Pisarzy (Debreczyn, 26—29 sierpnia 1966 roku) poświęcono wspomnieniom o *Albercie Schweitzerze*. Na zjeździe tym przyjęto wniosek delegacji polskiej o utworzenie Światowej Unii Lekarzy-Pisarzy (*UMEM*). Z Polski uczestniczyli w kongresie m. in. doc. dr *J. Miklaszewska* z Krakowa, doktorzy *M. Łyskanowski* (lekarz przemysłowy, autor „Zapisków warszawskiego konsyliarza"), *G. Fedorowski*, prozaik, obaj z Warszawy, *T. Grochocki*, poeta, z Łomży, *A. Baron* z Wrocławia, *Z. Łapiński* z Łowicza (autor powieści „Flirt z medycyną"). Ostatnio podjęto starania o zorganizowanie Stowarzyszenia Polskich Lekarzy-Pisarzy. Ponadto, jak wiadomo, istnieje wielu pisarzy, którzy porzucili swój zawód lekarski. (Według informacji uzyskanej od doc. dr *J. Miklaszewskiej*).

[33] *J. Stompor:* Szpital pod jodłami i inne opowiadania. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1966, ss. 200, nlb. 2.

wiadanie tytułowe zostało w lipcu 1965 roku wyróżnione w konkursie filmowym Zarządu Politycznego Wojska Polskiego.

Stompor w swej twórczości konsekwentnie rozważa jeden zasadniczy problem, mianowicie postawę etyczną lekarzy w czasie okupacji, zwłaszcza w warunkach partyzantki. Zbiór opowiadań „Szpital pod jodłami" jest literacką odpowiedzią na następujące pytania: czy polski lekarz powinien „udzielić pomocy rannemu Niemcowi? Czy lekarz może użyć swej sztuki lekarskiej i zgładzić — na rozkaz dowódcy — szefa sztabu swego oddziału (jak się możemy domyślić — zdrajcę)? Czy lekarz może opuścić rannych partyzantów, i tak skazanych na śmierć, wiedząc, że sam mógłby się uratować? Czy sanitariusz powinien narażać się na pewną śmierć, ściągając z pola walki rannego Niemca, wiedząc, że to go i tak nie uratuje od rozstrzelania?" [34].

Główny konflikt narratorów *Stompora*, snujących cykl omawianych opowieści, polega na konieczności dokonania alternatywnego wyboru między nakazami etyki lekarskiej a sprzeniewierzeniem się jej, bez możliwości rozwiązań pośrednich. Autor opowiada się za obowiązkiem udzielenia pomocy lekarskiej wrogowi lub przeciwnikowi politycznemu pomimo sprzeciwu towarzyszy walki, a także własnego oporu emocjonalnego. U *Stompora* zwycięża postawa etyczna, nieraz w dramatycznych okolicznościach, w których dojście do niej bywa bardzo trudne, a z moralnego punktu widzenia zawód lekarza okazuje się ponadnarodowy i apolityczny.

Problematyka opowiadań *Stompora*, podobnie jak treść „Człowieka z lancetem", przedstawiona jest jednoznacznie i wyraziście, tym bardziej że autor utrzymał swą prozę w konwencji behawiorystycznej, rezygnując z bezpośredniego przedstawienia psychologii postaci na rzecz „reportażowości" i skondensowanego opisu wydarzeń. Stosunkowo sporo miejsca *Stompor* poświęcił opisom operacji i zabiegów chirurgicznych i obficie, ale nie przesadnie korzystał ze swej wiedzy lekarskiej, co przyczyniło się do uplastycznienia i uatrakcyjnienia narracji. Najistotniejsze jednak jest to, że umiał „pokazać dramatyzm indywidualnego wyboru, trudy i problemy partyzanckiego życia, koszmar okupacji — bez natrętnego opisywactwa, wielkich słów czy patosu" [35].

Pomimo pilniejszych potrzeb wydawniczych [36] po raz trzeci opublikowano debiut powieściowy *Marii Jarochowskiej* [37]. Jednostronnie ujęta i przejaskrawiona treść tego utworu, zwłaszcza w pierwszych rozdziałach, zasadniczo wiąże się tylko z osobistymi sprawami lekarzy, pielęgniarek, szarytek i salowych szpitala powiatowego, przywodząc na myśl plotkę szpitalną, rozwijaną z punktu widzenia niezadowolonych chorych. Pomimo że czas akcji przypada na lata okupacji, poważna problematyka tych czasów w znikomym stopniu trafiła na karty „Niemiłosiernych". Sama *Jarochowska* przyznała w przedmowie do wydania drugiego (z r. 1959), że krytyka przyjęła tę powieść bardzo nieprzychylnie, zarzucając jej pesymizm i naturalizm graniczący z pornografią. Ten błyskotliwie napisany utwór może sugerować błędną ocenę postawy, poglądów i działalności pracowników służby zdrowia podczas okupacji hitlerowskiej.

Z życzliwym przyjęciem krytyki spotkała się powieść *Seweryny Szmaglewskiej* [38]. Autorka „Dymów nad Birkenau", nigdy nie eksponująca swych osobistych doznań, „okazała się obserwatorem niezwykłym: umiała patrzeć i zapamiętywać [...] i uważnie obserwować mechanizm tortur i śmierci". Pomimo upływu 20 lat napisany niedawno „Krzyk wiatru" jest książką „tragicznie żywą, wypełnioną rytmem czasu zagłady i śmierci. Więźniowie często powtarzali, że jeśli uda im się przeżyć obóz, to przeżycia wyniesione stamtąd będą do końca życia ich przeżyciami najważniejszymi, żywymi w każdym momencie przyszłości. Przypuszczam, że fakt ten stanowi o tragicznej żywotności «Krzyku wiatru» i o tym, że książka zdaje się mówić o faktach z wczoraj". Podczas gdy np. *Tadeusz Borowski* w swej twórczości („Pożegnanie z Marią", „Kamienny świat") ukazywał stworzone przez system faszystowski sytuacje obozowe, w których człowiek „tracił poczucie moralności, godności ludzkiej i sprawiedliwości, aby tylko przetrwać, ocalić siebie", *Szmaglewska* „ukazuje świat mniej może drapieżny [...], żyjący nadzieją pomimo wszystko [...]. Pokazuje postawy pełne wiary w życie do końca, niekonformistyczne, odrzucające nieludzkie reguły obozowej walki o życie, w nadziei na wolność, lub nawet bez niej [...] Pójdzie się do komina [...], ale czy trzeba spodleć?" [39].

Recenzent, autor cytowanych słów, wyraził ponadto powierzchowny pogląd, że *Szmaglewska* w „Krzyku wiatru" „nie wniosła w zasadzie nowych elementów do swego dotychczasowego widzenia świata obozu", choć przyznaje, iż „nie jest to jednak zwykły powrót do starego, wyeksploatowanego tematu", ponieważ „ta książka jest świadectwem wielkiej, dramatycznej żywotności przeżyć obozowych i trudnej umiejętności autorki pisania o zbrodniach i przeżyciach, które słowami tak trudno wyrazić" [40].

---

[34] Cytat z recenzji: *J. Termer*: Wojenna etyka lekarska. Nowe Książki, 1966, nr 11 (389), s. 653—654.

[35] Tamże.

[36] Przykładowo można wskazać na konieczność wznowienia książki *T. Pankiewicza* pt. Apteka w getcie krakowskim (Kraków 1947). Należałoby też w osobnym tomie wydać opublikowane po wojnie w różnych czasopismach znakomite opowiadania obozowe pisarza *Bronisława Mroza-Długoszewskiego*, byłego więźnia Oświęcimia, zmarłego w r. 1960 („Gleniowa bieda", „Niepotrzebna łyżka" i inne).

[37] *M. Jarochowska*: Niemiłosierni. Wyd. 3, Czytelnik, Warszawa 1966, ss. 255, nlb. 1.

[38] *S. Szmaglewska*: Krzyk wiatru. PIW, Warszawa 1965, ss. 189.

[39] Cytaty z recenzji *A. Budzyńskiego*: Powrót do źródeł. „Kultura", 1966, nr 6 (139), s. 8.

[40] Tamże

Biorąc pod uwagę, że *Szmaglewska* przeżyła obóz oświęcimski i dała już dowody umiejętności trafnego ujmowania wspomnień i obserwacji stamtąd, należałoby się raczej spodziewać od niej dalszych relacji pamiętnikarskich aniżeli zastosowania fikcji literackiej, na której autorka oparła konstrukcję „Krzyku wiatru". Ale w powieści tej chodziło o dokładne oddanie charakteru przeżyć więźniów w ciągu kilku godzin, a nie miesięcy czy lat. Ani za pomocą jakichkolwiek metod naukowych, ani jak najsilniej nawet mobilizując wspomnienia nie można by zawsze w sposób prawdziwy psychologicznie i odpowiedni do faktów obozowych odtworzyć autentycznie i dokładnie po 20 latach przeżyć oświęcimskich z parogodzinnego fragmentu egzystencji obozowej określonego więźnia. A przecież wiadomo, że każda minuta w obozie była pełna treści przeżyć. Mogła się więc *Szmaglewska* posłużyć tylko formą powieści. Mimo to zastosowanie fikcji literackiej nie usuwa „Krzyku wiatru" poza obręb wiarygodnych źródeł o życiu w obozie, ponieważ jest to utwór byłej więźniarki, wnikliwej obserwatorki, świadka wydarzeń mających ten sam charakter i dziejących się w podobnych okolicznościach, co perypetie postaci z omawianej powieści.

Codziennemu bytowaniu kobiet więzionych w obozie Nussbaden poświęcona jest powieść *Małgorzaty Hołyńskiej* [41], w znacznym stopniu autobiograficzna. Autorka zrezygnowała z dramatyczności opisów. Z pewną dozą liryzmu charakteryzuje ona swe współtowarzyszki niedoli, przywiezione z całej prawie Europy nad Kanał La Manche, a stamtąd do Wirtembergii. *Wachmanów* i *bauerów* opisuje z subtelną, ale wyrazistą kpiną i ironią. Są w tej książce nieliczne w naszej literaturze przykłady korzystania z niewolniczej pracy więźniarek przez chłopów niemieckich.

Również autobiograficzna jest powieść *Jadwigi Radzymińskiej* [42] o przeżyciach polskich łączniczek wziętych do niewoli podczas powstania warszawskiego.

Spośród innych pozycji z kręgu prozy artystycznej można jeszcze wymienić powieść *Tadeusza Nowaka* pt. „Takie większe wesele" [43]. Autor jest znanym poetą, piszącym od r. 1962 również prozą. Żywo przyjęte przez krytykę „Takie większe wesele" — to utwór napisany z punktu widzenia człowieka trzydziestokilkuletniego, który okupację przeżył w dzieciństwie. Jak zwykle u *Nowaka*, chętnie wracającego w swej twórczości do środowiska, z którego wyszedł, tematem tej jego powieści również jest wieś, przedstawiona w kategoriach metaforycznych. Wojna jest przyczyną zła, którym przesiąkła ta wieś, a Niemcy są sprawcami „najczarniejszego nawiedzenia", dotykającego środowisko charakteryzujące się prymitywną mentalnością.

Na tym tle *Nowak* ukazał między innymi ujemny wpływ wojny i okupacji na psychikę dojrzewających, kilkunastoletnich chłopców wiejskich i ich reakcję na obserwowane zbrodnie niemieckie. Na widok mordu w nich samych budzi się chęć zabijania, choćby w odwecie. Ta fascynacja zbrodnią napotyka na wewnętrzny opór psychiczny chłopców, a zarazem dokonuje się bardzo wczesna u nich próba człowieczeństwa. Ale „wojna, to takie większe wesele; a na weselu, jeśli zacznie się bitka, trzeba się bić". Książka *Nowaka* — to jedno więcej oskarżenie hitleryzmu, swoiste i oryginalne, być może tym dotkliwsze, że przeprowadzone w subtelnej sferze doznań psychicznych. Zagadnienie to wyczerpująco omówili recenzenci [44].

Przestawienie się psychiki „wojennej" na „pokojową" jest węzłowym problemem zbioru trzech opowiadań i dołączonej do nich powieści *Przemysława Bystrzyckiego* [45], powiązanych tematyką wojenną. Jest to udana analiza literacka psychiki partyzantów przystosowujących się do normalnego życia i przezwyciężających swe obsesje wojenne.

Również w latach wojny rozgrywa się akcja trzech opowiadań *Sławomira Kryski* [46], który zajął się głównie problematyką moralną.

Środowisko maturzystów oraz pokolenie ludzi trzydziestoletnich, których los uchronił od przeżywania Oświęcimia i innych koszmarów okupacyjnych, znalazło się w polu analizy lite-

---

[41] *M. Hołyńska*: Dolina Jozafata. Czytelnik, Warszawa 1966, s. 274, nlb. 1.

[42] *J. Radzymińska*: Dziewczęta za drutami. Wydawn. Łódzkie, Łódź 1966, s. 146, nlb. 1.

[43] *T. Nowak*: Takie większe wesele. Wydawn. Literackie, Kraków 1966, ss. 220.

[44] *J. Susuł*: Takie większe wesele. Tygodnik Powszechny, 1966, nr 30 (913), s. 3. — *M. Wiśniewska*: Rzecz o „nawiedzonych". Nowe Książki, 1966, nr 9 (387), s. 524—525.

[45] *P. Eystrzycki*: Strumień. Wydawn. MON, Warszawa 1966, ss. 206, nlb. 1. — „O ludziach dotkniętych wojną jak chorobą, niosących tę chorobę w sobie, odciętych nią od dzisiejszego świata" pisze w zbiorze 11 opowiadań *R. Napiórkowski*: Długość dni. Wydawn. MON, Warszawa 1966, ss. 188, nlb. 1. Autor ten, oczywiście nie po raz pierwszy w literaturze pięknej, przedstawia, jak przeżycia z lat 1939—1945 moralnie i psychicznie kaleczyły ludzi. „Wielu z nich nauczyło się zabijać i choć zabijali w najsłuszniejszej sprawie, ta straszna umiejętność stała się dla nich ciężarem, którego nie potrafili już z siebie strząsnąć. Inni w latach wojny stali się ofiarami przemocy, strącono ich na dno upodlenia, pozbawiono atrybutów człowieczeństwa; w nowych, pokojowych warunkach nie umieli się już podźwignąć z powrotem [...]; niektórzy [...] potrafili wziąć się w karby i prowadzić pozornie normalne życie" (*J. Siewierski*: Stylizacja na tematy wojenne. Nowe Książki 1966, nr 21, s. 1291). — Na przypomnienie zasługuje, że podobne zagadnienia badano z punktu widzenia psychologii już w pierwszych latach po wyzwoleniu (zob. między innymi: *S. Baley*: Psychiczne wpływy drugiej wojny światowej. Psychologia Wychowawcza, 1948, nr 1/2, s. 6—24; *K. Jedlewska*: Jak odbiły się przeżycia i wydarzenia wojenne na psychice dzieci i młodzieży. Dzieci i Wychowawca 1947, nr 11/12, s. 7—13; *Z. Putkiewicz*: Próba badania wpływu wojny na psychikę młodzieży w Polsce. Psychologia Wychowawcza 1949, nr 2/3, s. 144—153).

[46] *S. Kryska*: Inny człowiek. Wydawn. MON, Warszawa 1966, ss. 276. — Zob. też *B. Drozdowski*: Wigwam. Wydawn. MON, Warszawa 1966, ss. 347, nlb. 1.

rackiej *Andrzeja Brychta* [47]. Świadomość, że tak przejmujący swą grozą i skrajnie tragiczny bezsens, jak hitlerowskie obozy koncentracyjne, obciąża dzieje ludzkości, jest dla „trzydziestolatków" *Brychta* niemal urazem psychicznym i znaczy piętnem pesymizmu ich pogląd na życie.

Twórczość literacka poprzedziła badania naukowe dotyczące problemów minionej wojny i szybciej przywiodła do wielu trwałych spostrzeżeń. Dość przypomnieć słynny zbiór szkiców okupacyjnych *Zofii Nałkowskiej* pt. „Medaliony", napisanych wkrótce po wyzwoleniu, a w roku 1966 wydanych po raz dziesiąty (przez „Czytelnika"). Są one analizą literacką mechanizmu zbrodni hitlerowskich i należą do najwybitniejszych pozycji naszej literatury powojennej.

Jednym z jej głównych tematów są obozy. Jak trafnie ocenia *A. Bukowska*, „w literaturze odwołującej się wciąż jeszcze do doświadczeń II wojny światowej tematyka obozowa stanowi odrębny rozdział o wymowie nie mającej precedensu w przeszłości. Niektóre z tych książek, jak *Kossak-Szczuckiej* «Z otchłani», ukazywały przeżycia obozowe jako czas wielkiej próby i przeprowadzały [raczej] sentymentalną obronę wzorca wartości, który pomógł swoim wyznawcom po ludzku przetrwać. Postawę krańcowo różną: negacji wartości idei zawartych w kulturze europejskiej, reprezentował w swoich utworach *Borowski*. Te dwa nazwiska, przywołane symbolicznie, wyznaczają jednocześnie całą gamę postaw pośrednich. *Kijowski*, komentując w jednym ze swoich szkiców koncepcje *Borowskiego*, zwracał uwagę, iż w świadomości tego pisarza obóz zyskiwał pewną paradoksalną wyższość nad normalnym ludzkim społeczeństwem, wyższość prawdy nad fałszem, ponieważ obnażał prawdziwe oblicze człowieka i zorganizowanego przezeń świata. W konwencji obozowej bowiem nie było miejsca na kamuflaż, na zamazującą rzeczywisty obraz warstwę obłudy, jaką okazała się kultura. Była to u *Borowskiego* swoista deformacja widzenia [...]. Obóz koncentracyjny był miejscem, w którym nie funkcjonował ochronny system norm etycznych. Za utrzymanie się przy życiu trzeba było płacić cenę: podporządkować się obozowej konwencji. Alternatywą była tylko śmierć. Tak właśnie widział obóz *Stanisław Grzesiuk*, który opisując po prostu, jak udało mu się przeżyć, stworzył z «Pięciu lat kacetu» jeden z najbardziej wstrząsających dokumentów «czasu pogardy»" [48].

Jeszcze jedną ważną pozycję literatury obozowej stanowi „Apel" *Andrzejewskiego*. Dla tego pisarza „głównym problemem była szansa zachowania godności w okolicznościach, kiedy pojęcie to zdaje się tracić jakikolwiek uchwytny sens, podczas gdy *Borowski* śledził, co dzieje się z człowiekiem, który — przymuszony koniecznością — marzenia o godności zawiesił na kołku, czyniąc utrzymanie własnej egzystencji prawem naczelnym. Moralność nie zanika wówczas, lecz adaptuje się do poziomu wyznaczonego przez okoliczności, rzadko się bowiem zdarza, aby funkcją systemu moralnego była samozagłada. Obóz *Borowskiego* był zarazem jedyną realnością i «światem na niby», kiedy przyzwyczajenie i adaptacja występują obok przeświadczenia o nienaturalności i tymczasowości kreatury, w jaką człowiek musi się wcielić na czas trwania piekła, choć przyzwyczajenie sprawia, że piekło — na mocy złowrogiej przewrotności — zaczyna uzupełniać się własnym niebem, obozowymi radościami i triumfami [...]. Nie było [to stanowisko] próbą stworzenia kodeksu egoisty, kierującego się dewizą «śmierć frajerom», lecz próbą rozwiązania dylematu egzystencji zbiorowej, ciążyło ku kategoriom antropologicznym, które rozsadzały objawiony i wyuczony dekalog, i to odwołując się nie do instynktów, lecz do totalnego mechanizmu przemocy, do modelu świata" [49].

Łatwo zauważyć, że rozmaite spostrzeżenia na temat obozów wnoszą zarówno lekarskie prace naukowe, znane ostatnio głównie z „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" oraz publikacje psychologów, socjologów, historyków, prawników, jak i utwory literackie. Wszystkie razem stanowią dla przyszłych badaczy materiał potrzebny do próby syntezy złożonego i trudnego zagadnienia doświadczeń ludzkich minionej wojny.

4. Wypowiedzi o problemie niemieckim

Bardzo żywe u nas zagadnienia związane z problemem niemieckim [50], jak np. kwestia genezy zbrodni hitlerowskich, ich uwarunkowania i socjopsychologicznego podłoża są częściej rozważane właśnie przez pisarzy niż przez autorów prac naukowych. Najczęściej pojawiają się sądy uwzględniające zaledwie jeden lub kilka aspektów całej sprawy, np. psychologiczny lub socjologiczny punkt widzenia. Problem ten jednak jest zbyt złożony, aby mogły zadowalać jednostronne próby jego rozwiązania.

Np. *Adam Grzymała-Siedlecki* próbuje zgłębić to zagadnienie głównie od strony psychologicznej. Opisując okres swej udręki na Pawiaku, autor ten wspomina: „Ileż to razy zastanawialiśmy się: co, jakie źródła, jakie anty-

[47] *A. Brycht*: Dansing w kwaterze *Hitlera*. Pax, Warszawa 1966, ss. 209, nlb. 3 (zwłaszcza opowiadanie: Wycieczka: Auschwitz — Birkenau).

[48] *A. Bukowska*: Inne oblicze zbrodni. Współczesność, 1966, nr 14 (216), s. 1.

[49] *A. Lam*: Ani na wozie, ani pod wozem. Nowe Książki, 1966, nr 14 (392), s. 849.

[50] Według badań podjętych w r. 1961 przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej najwyższy wskaźnik zainteresowań dotyczy sprawy Niemiec i stosunków polsko-niemieckich, mianowicie wynosi on 82% ankiet zebranych od całej zbiorowości badanych, tj. reprezentatywnej grupy 3 151 osób z polskich miast i wsi, z różnych środowisk (*A. Siciński*: Opinie o problemach międzynarodowych jako element współczesnej ideologii społeczeństwa polskiego. Studia Socjologiczne, 1966, nr 2, s. 147).

człowiecze wychowanie, jaki plemienny rys, jakie warunki upotwornienia zdolne są w człowieku wyrobić podobną monstrualność serca i obłęd mózgu. Myślę: patologiczna mistyka rasizmu, wstręt czy to do Semitów, czy do Słowian, wrodzony nerwom teutońskim jakiś specyficzny amok nordycki, wszystko to padające na duszę beznadziejnie prostacką takich *Sanderów* czy *Bürklów* [nazwiska oprawców z Pawiaka] — oto podłoże, z którego wyrastało męczeństwo naszego kraju" [51].

Cytowany nestor dramaturgii polskiej, wnikliwy obserwator warunków panujących na Pawiaku, przytacza opinię jednego ze współwięźniów, którego zdaniem nie tyle „szturchańce, kopniaki, wrzask, mordobicie, karne gimnastyki [...], niepewność losu" były źródłem największej udręki, ile „przymus obcowania z Niemcem takim, jakim go tu znamy". *Grzymałę-Siedleckiego* uderzała „potrzeba wrzasku" u Niemców, na którą, jak pisze, skarżyła się już księżna *Antoniowa Radziwiłłowa* (z domu *de Castellane*) w jednym z listów do generała *Robilanta*. Pisała, że „«Niemiec może zacząć myśleć dopiero wtedy, gdy mu krew uderzy do głowy». Było to może przesadą w stosunku do ówczesnych Niemców. Stało się prawdą w stosunku do hitlerowców".

Ponadto według cytowanego autora dokuczliwe dla więźniów było ciągłe nawoływanie do pośpiechu. „Skąd ta nerwowość? Z alkoholu. W wielu wypadkach z narkotyków. Ale skąd pijaństwo tak nieprawdopodobne, skąd narkomania? Ze zwierzęcego strachu. Każdy z nich [oprawców] wie, że zasłużył sobie stokrotnie na śmierć z rąk tajnych organizacji polskich i śmierć tę widzi na każdym kroku [...]. Nieustanną panikę zabija nieustannym okrucieństwem".

Dalej *Grzymała-Siedlecki* rozważa „organiczną ordynarność" Niemców, z którymi się stykał. Pisze, że „nawet z najniższych warstw pochodzący Niemiec ma przebytą tresurę przykazań towarzyskich, nie zapomni powiedzieć *Guten Morgen, Mahlzeit, danke, bitte etc.*, a jednak wewnętrznie zachował skrajną gruboskórność", zwłaszcza wobec „bandytów" polskich. „Dr *Gawroński* opowiadał mi, że po wyjściu na wolność spotkał w Alejach Ujazdowskich swego oddziałowego *wachmana*, ten zasalutował mu z taką atencją, jakby własnemu *hauptführerowi*: dr *Gawroński* przestał być bandytą, trzeba go traktować jako człowieka". Następnie: megalomania. „Niemiec zaciekle dobija się tego, by wyższość Niemca nad światem była pojęciem obiektywnym". I wreszcie: „maszynizm psychiki", działający jak rozpędzona lokomotywa, „dopóki się nie wykolei, to nie zboczy ani na setną część milimetra z szyn rozkazu"; nazista „dany mu rozkaz wykona ze ścisłością idealnie pozaosobową", bez „zelżenia woli, przypływu doraźnych impulsów, emocji, wahań"; „myślę, że w swoim korzeniu właściwości te działały już w tym Germaninie, którego znał np. *Tacyt*, ale dopiero bodaj nazizm doprowadził je do dramatycznego rozpęcznienia" [52].

Grzymała-Siedlecki zastrzega się, iż „zbyt prymitywnym trybem myślenia byłoby mniemać, że przykładów okrucieństwa nie znajdzie się i u innych narodów. Niestety, zarówno okrucieństwo, jak i skłonność do gnębienia słabszego — to cecha ogólnoludzka [...] Wydaje mi się jednak, że między Niemcami a innymi Europejczykami zachodzi różnica zarówno ilościowa, jak i jakościowa. Ilościowa, bo ani w narodach romańskich, ani słowiańskich czy anglosaskich nie znajdzie się tak wysokiego odsetka drapieżników. Jakościowa, bo reprezentant każdego innego narodu nie będzie uprawiał okrucieństwa tak spokojnie, tak bez kosztu nerwowego, z takim apetytem, jak to czyni przez nazizm wychowany Niemiec" [53].

Z drugiej strony literatura, nauka, technika Niemców — wyłączając np. pomysł i zastosowanie konstrukcji krematoriów Oświęcimia-Brzezinki — to istotny wkład w dorobek ludzkości. Mówi się o Niemczech jako o ojczyźnie *Goethego, Hegla, Kanta, Einsteina*. W związku z tym *Grzymała-Siedlecki* porusza problem: „Czy da się znaleźć jakieś włókienko wspólnoty psychicznej tych wielkich Niemców i tych Niemców, z którymi mamy do czynienia [na Pawiaku]?" Autor w związku z tym przypomina, że „w roku 1794 król pruski *Fryderyk Wilhelm*, jeden z najbardziej tępych *Hohenzollernów*, ubrdał sobie, że wykłady *Kanta* na uniwersytecie w Królewcu «przekręcają i poniżają wiele głównych, podstawowych nauk Pisma świętego» i zażądał od filozofa, by ten na przyszłość «nie dopuszczał się tego przekroczenia». Cóż na to siedemdziesięcioletni myśliciel, sławą europejską już otoczony, w razie konfliktu ze swym monarchą mogący liczyć na azyl i opiekę każdego innego kraju? Strażnik myśli niemieckiej w odpowiedzi «Najwyższej Osobie» broni się, co prawda, przeciwko postawionym mu zarzutom, zaznacza, że uczony ma prawo naukowego traktowania każdej sprawy, ale skoro Najjaśniejszy Pan jest przeciwnego zdania, to już nie może być dyskusji — i «jako J. K. Mości najwierniejszy poddany, niniejszym najuroczyściej oświadczam, że w przyszłości powstrzymam się od wszelkiego publicznego wygłaszania zdań dotyczących religii». Gdyby najwyższa osoba zażądała od niego poniechania wykładów logiki, to — *Befehl ist Befehl* — też by ustąpił, jako «najwierniejszy poddany»" [54].

[51] *A. Grzymała-Siedlecki*: o. c., s. 109. — Na uwagę zasługuje, że już w pierwszych latach po wojnie ukazały się następujące prace *M.* i *W. Grzywo-Dąbrowskich*: Naród niemiecki w świetle psychopatologii. Próba biologicznego i psychologicznego wyjaśnienia zbrodni niemieckich. Problemy, 1946, nr 7, s. 52—61; Okrucieństwo człowieka i okrucieństwa niemieckie. Wiedza, Warszawa 1946, ss. 85, nlb. 3; Okrucieństwa hitleryzmu. Rocznik Psychiatryczny 1949, nr 1, s. 57—59. Zob. też: *S. Batawia*: Zbrodnie niemieckie jako zagadnienie socjologiczne i kryminologiczne. Tamże, s. 60—62.

[52] Tamże, cytaty ze stron 116—120.

[53] Tamże, s. 201.

[54] Tamże, s. 123—124.

Geneza zbrodni hitlerowskich i ich mechanizm, temat wciąż żywy w literaturze pięknej, został podjęty ostatnio również w ambitnej powieści *Janusza Krasińskiego* pt. „Wózek" [55], wolnej od zabarwień emocjonalnych i od goryczy człowieka bezpośrednio prześladowanego przez hitlerowców. Pisarz ten przeprowadził literackie studium psychologiczne zarówno więźniów z obozu, pędzonych w warunkach morderczego marszu ewakuacyjnego, jak i oprawców — *„postów"* z kolumny eskortującej. Z prozy tej wyłania się myśl, że „to nie ludzie są dobrzy lub źli; to mechanizmy sytuacji powodują wyzwalanie się u nich pozytywnych lub negatywnych wartości [...] W «Wózku» chodziło przede wszystkim o ukazanie, w jaki sposób stworzony przez faszyzm system określa ludzkie zachowania i ludzką świadomość" [56].

Krasiński ujmuje problem bardzo śmiało; oto co na ten temat pisze recenzent: „Kiedy wycieńczeni do ostateczności ludzie nie mogą już kontynuować marszu lub zapadają na tyfus, należałoby ich wieźć na furmankach bądź umieścić w szpitalu, skoro jednak nie ma ani szpitala, ani środków transportu, pozostaje jedynie pozbyć się tych, którzy uniemożliwiliby dalszy marsz. Nie sadyzm tu decyduje, lecz logika sytuacji, a jedynym humanitarnym wyjściem jest wykonać możliwie dyskretnie rzeczy przykre, lecz konieczne. Na tej płaszczyźnie rysuje się coś w rodzaju ludzkiego porozumienia między ciągnącym wózek Polakiem i niemieckim *postem*: nie czynić nic, co przydawałoby ludziom cierpienia, ale też nie poddawać się sentymentom, które zagrażałyby posuwaniu się naprzód kolumny [...] *Krasiński* z wielką precyzją ujawnia tę szczególną grę, jaka powstaje na przecięciu złudzenia konieczności działania i ponadosobowego mechanizmu, wytworzonego uznaniem tej konieczności za oczywistość. Tak postawiony problem wykracza poza kategorie martyrologii i okrucieństwa" [57].

Zjawisko totalnego barbarzyństwa hitlerowskiego, którego rozwojowi kultura XX wieku nie zdołała w porę zapobiec, wiąże się również ze strukturą cywilizacji naszego stulecia. Niewątpliwie „faszyzm nie był tworem szaleńca, lecz [...] konsekwentnie wynikał z pewnych przesłanek rozwojowych naszej cywilizacji, których groźny sens istniał zaledwie w przeczuciu. Okazało się, że nowa cywilizacja XX wieku, która napawała człowieka dumą i optymizmem, może służyć z równą sprawnością życiu, co i śmierci, wolności, jak i niewolnictwu. W zbrodniach faszyzmu mają swój udział znamienne symbole czasu: masowość, planowanie i uprzemysłowienie. A przy tym wszystkim kult produkcji, w której uczestniczyli więźniowie do śmierci, a nawet i po śmierci, wytwarzającej jako produkt uboczny mydło i abażury" [58].

Źródeł faszyzmu hitlerowskiego poszukuje również *Katherine Anne Porter*, pisarka amerykańska (urodzona w r. 1896 w Teksasie), w powieści alegorycznej, pisanej dwadzieścia kilka lat, wydanej w r. 1962, a ostatnio przełożonej na język polski [59]. Akcja toczy się na niemieckim statku pasażersko-frachtowym „Vera" podczas rejsu z Vera Cruz do Bremerhaven u schyłku lata 1931 roku. Statek ten — to ujęte metaforycznie środowisko ludzkie, świat żeglujący ku złej przyszłości. Jest w tej powieści mowa o źródłach antysemityzmu i nacjonalizmu niemieckiego, o demoralizacji niemieckiego drobnomieszczaństwa, o skłonności do sadyzmu i okrucieństwa, o planach pozbycia się innych ras. „«Statek szaleńców» jest próbą docieczenia, jakie elementy, jakie cechy cywilizacji europejskiej, europejskiej tradycji kulturalnej, filozoficznej, moralistycznej zdołały zwyrodnieć do tego stopnia, by można z nich było uformować świat obozów koncentracyjnych" [60]. Jest też ta powieść potępieniem okrucieństwa, bezwzględności i podłości ludzkiej.

Jak wiadomo, masowego charakteru nabrał zanik wszelkich hamulców etycznych u hitlerowców w postępowaniu z nie-Niemcami. Nie czas jeszcze zapomnieć o tym, że najbardziej wyrafinowanym i metodycznie opracowanym udrękom poddawano ludzi i zabijano ich bez względu na stopień „winy" wobec reżimu hitlerowskiego, przynależność klasową, stanowisko społeczne i zawodowe, wyznanie, stan zdrowia, a nawet bez względu na wiek. W Oświęcimiu i innych miejscach kaźni oprócz dorosłych więziono, dręczono i mordowano niemowlęta i dzieci. W Działdowie (Soldau) zamęczono i zagłodzono na śmierć 82-letniego rządcę diecezji płockiej, arcybiskupa *Juliana Nowowiejskiego* (zginął 28 maja 1941 r.) [61]. Na Pawiaku osadzono wyczerpanego gruźlicą i chorobą serca 76-letniego księcia *Zdzisława Lubomirskiego*, odległego od wszelkiej polityki [62]. Nie miało znaczenia dla hitlerowców, że był on z ramienia austro-niemieckiego współregentem Polski w latach 1916—1918. Podobnych przykładów można wyliczyć znacznie więcej.

To wszystko znajduje swe odbicie w omawianej literaturze. Treść tej wstrząsającej lektury skłania do poruszenia niektórych jeszcze aspektów problemu niemieckiego.

Przede wszystkim zwraca uwagę stosunek Niemców do zbrodni już w czasie wojny. Nie był on jednolity. O zróżnicowaniu bezpośred-

[55] *J. Krasiński*: Wózek. Czytelnik, Warszawa 1966, ss. 137, nlb. 3.
[56] *A. Bukowska*, l. c., s. 3.
[57] *A. Lam*, l. c., s. 850.
[58] *A. Bukowska*, l. c., s. 1.
[59] *K. A. Porter*: Statek szaleńców. Tłum. z ang. *K. Tarnowska*. Czytelnik, Warszawa 1966, ss. 534, nlb. 2.
[60] *W. Sadkowski*: „Epoka pieców" amerykańskimi oczami. „Nowe Książki" 1966, nr 12 (390), s. 727.
[61] Martyrologia duchownych polskich uwięzionych w Działdowie jest szerzej znana dzięki opublikowanej w popularnym tygodniku relacji, opartej na odnalezionych przed rokiem przez Zachodnią Agencję Prasową aktach gestapo w Ciechanowie (*L. Sroka*: Zamordowanie biskupów płockich. Przekrój, 1966, nr 1092, s. 4—5, nr 1093, s. 4—5).
[62] O losie uwięzionego ks. *Lubomirskiego* pisał *A. Grzymała-Siedlecki*: o. c., s. 19—20, 26, 79, 91.

niej postawy ludności niemieckiej wobec okrucieństw hitlerowskich można wnosić między innymi na podstawie niezbyt licznych zresztą fragmentów różnych relacji świadków. Oto scena, którą znajdujemy u *Franciszka Stryja* w opisie tragicznej ewakuacji umęczonych i wycieńczonych więźniów z Ohrdruf-Krähwinkel Sonderlager do obozu w Buchenwaldzie:

W śródmieściu Weimaru „z okien kamienic wyglądają mężczyźni i kobiety. Idziemy w milczeniu [...] Mój towarzysz bez słowa pada na twarz. Chłopcy z *HJ* (*Hitlerjugend*) przyskoczyli do niego i wołają: *Fritz, komm mal her, wieder ein Hund!* [Chodź no, *Frycku*, znowu jeden pies!] *SS*-man chciał zaimponować chłopcom. Lewym butem przydusił ofiarę do ziemi i oddał strzał w tył głowy. Młoda kobieta z okna wybuchnęła spazmatycznym płaczem i runęła w głąb mieszkania. Chłopcy z *HJ* natomiast rozkoszowali się widokiem krwi" [63].

Oczywiście ci Niemcy, którzy reagowali przerażeniem na widok zbrodni albo próbowali czasem podać więźniom kawałek chleba czy kubek wody, narażając się zresztą na represje ze strony eskorty, nie mogą być stawiani w tym samym rzędzie, co oprawcy. Ale w swej masie stanowili ludność bierną, która nie występowała przeciw zbrodniom, a nawet nie dawała wiary w wieści dochodzące z obozów, więzień i katowni reżimu. Wolała upajać się mirażem zwycięstwa nad światem i hitlerowską perspektywą wspaniałej przyszłości rasy panów. Swych najaktywniejszych przeciwników, szczególnie komunistów, faszyści niemieccy, doszedłszy do władzy, zabijali lub osadzali w więzieniach i obozach koncentracyjnych [64].

Psychologicznie jest zrozumiałe, że ludzie na ogół starają się nie wiedzieć o dziejących się okrucieństwach, a od cudzych nieszczęść lubią odgradzać się autystyczną obojętnością. Nawet alianci zachodni przez dłuższy czas uważali przekazywane przez podziemie wiadomości z okupowanej Polski o metodycznym niszczeniu milionów Żydów i innych więźniów w krematoriach Oświęcimia-Brzezinki za wymysł polskiej propagandy. Dopiero wkraczając na ziemie niemieckie zetknęli się z obozami zagłady i natrafili na przerażające, materialne dowody zbrodni.

Nic dziwnego, że aby na przyszłość zapobiec ponownemu ludobójstwu, zajęto się sprawą rozstrzygnięcia losu narodu niemieckiego po wojnie. Zagadnienie, jak postąpić z Niemcami po doprowadzeniu do ich bezwarunkowej kapitulacji, było zresztą dyskutowane już od pierwszych lat minionej wojny. Kwestię tę przedstawił ostatnio *Gwidon Rysiak* [65].

Przypomniał on, że najbardziej radykalne projekty przewidywały całkowity podział Niemiec między sąsiadów. Rzecznikiem tych propozycji był m. in. amerykański polityk, *Teodor Kaufman*. Postulat podziału Niemiec *Kaufman* uzupełniał „projektem przeprowadzenia sterylizacji Niemców dla ostatecznego złamania ich potęgi. Ta ostatnia propozycja miała również zwolenników w Anglii (np. *Ivor Duncan*). Depopulację Niemiec przewidywał plan *Douglasa Millera*, b[yłego] *attaché* handlowego USA w Berlinie, proponujący ograniczenie ludności Niemiec do 40 milionów przez zastosowanie wobec niej racji żywnościowych analogicznych do tych, jakie Niemcy stosowali w krajach okupowanych. Mimo że żaden z tych planów nie zyskał poparcia rządów Narodów Zjednoczonych, ich radykalizm jest zrozumiałą i usprawiedliwioną reakcją przedstawicieli światowej opinii publicznej na zbrodnie hitleryzmu, popieranego przez naród niemiecki" [66]. Sporadyczne projekty odwetu zbiorowego zostały oczywiście odrzucone. Ostatecznie postąpiono z Niemcami nie tylko nie przekraczając granic etyki, która uwidoczniła się w Karcie Narodów Zjednoczonych, lecz nawet nie realizując w pełni postanowień układu poczdamskiego.

Oczywiście ani ta łagodność, ani pomoc amerykańska w remilitaryzacji NRF nie wywarły dodatniego wpływu wychowawczego na społeczeństwo zachodnioniemieckie, karmione na domiar propagandą planów wielkomocarstwowych i odwetowych oraz żyjące w atmosferze kultu zaborczej przeszłości cesarstwa niemieckiego i państwa pruskiego. Tego rodzaju propaganda znajduje na ogół podatny grunt w społeczeństwie niemieckim, które łatwo i biernie idzie z prądem tendencji narzuconych przez rząd.

Niepokojąca jest rewizjonistyczna działalność poważnych ugrupowań w NRF [67], popierana przez oficjalne władze. Pomimo zarysowującego się tam spadku zainteresowania tzw. organizacjami ziomkowskimi dochodzi do takich demonstracji, jak np. zjazd tysięcy byłych ludobójców, przeważnie dawnych esesmanów, w lecie 1966 roku na pogrzebie zbrodniarza wojennego, b. generała *SS*, *Seppa Dietricha*, pacyfikatora Ukrainy, z udziałem przedstawicieli *Bundestagu* i rządu NRF, bądź też całodzienna antypolska manifestacja 80 tysięcy odwetowców w Kilonii 21 sierpnia 1966 r. Prasa systematycznie donosiła o podobnych, masowych wystąpieniach. 14 maja tegoż roku odbył się 70-tysięczny wiec przesiedleńców i „wypędzonych z ojczyzny" (*Deutschland Kundgebund*) na rynku w Bonn, gdzie policja pałkami rozpędziła studentów wyższych uczelni, którzy usiłowali zorganizować kontrdemonstrację [68].

Studenci ci, to odłam młodzieży zachodnioniemieckiej, przeżywający rozterki psychiczne

---

[63] *F. Stryj*: W cieniu krematorium. Wyd. 3, Śląsk, Katowice 1965, s. 291—292.

[64] Zob. m. in.: *W. Góra, S. Okęcki*: Niemcy antyfaszyści w polskim ruchu oporu. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1966, ss. 346.

[65] *G. Rysiak*: Plany wobec Niemiec... Tygodnik Powszechny, 1966, nr 23 (906), s. 1 i 2.

[66] Tamże, przypis 8.

[67] *R. Hajduk*: Rewizjoniści w Bundestagu. Śląsk, Katowice 1966, ss. 108.

[68] Szczegółową dygresję na temat tego wiecu podał w swym artykule *W. Bartoszewski*: Czwartek w Monachium, sobota w Bonn. Tygodnik Powszechny, 1966, nr 34 (917), s. 6.

z powodu podejrzewania swych ojców o to, że ich majątek może pochodzić ze złotych zębów, wyłamywanych więźniom w obozach koncentracyjnych lub z rabunkowej eksploatacji majątku i siły roboczej Żydów i podbitych narodów. Dodatnim jednak zjawiskiem jest, że przynajmniej niektórzy studenci i młodzi robotnicy [69] w NRF jawnie próbują przeciwstawiać się polityce odwetowej. Właśnie studenci wznowili w Monachium w r. 1966 działalność grupy oporu antynazistowskiego, znanej pod nazwą „Białej Róży", która istniała nielegalnie do r. 1943. Obecnie celem tej organizacji jest zwalczanie neonazistów, skupionych wokół Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (NPD).

Postawa niektórych Niemców, zarówno dodatnia, jak i ujemna, ujawnia się wyraźnie niekiedy również podczas ich pobytów za granicą. Trafiają się nawet tak skrajne wypadki, jak zdarzenie, które opisuje dr *Michał Hanecki* (na marginesie recenzji książki dr *Józefa Sohna-Soneckiego* pt. „Byłem jeńcem Wehrmachtu"): „...jeszcze obecnie żyjący lekarz niemiecki, naukowiec, chełpił się przed kolegą, polskim lekarzem, na zjeździe lekarskim w b[ieżącym] roku [1965] w Wiedniu, że z przyjemnością brał udział w tępieniu «polskich bandytów» w Warszawie. Zastanawiające jest to zjawisko, jak można być lekarzem i jednocześnie zbrodniarzem" [70].

Na temat tego, co się zwykło nazywać psychologią narodu niemieckiego, zwłaszcza zaś znacznej liczby mieszkańców NRF, pojawiają się w niektórych publikacjach różne wypowiedzi. Podkreślić warto, że problem ten oczekuje wnikliwego, naukowego opracowania, obiektywnego i wolnego od przejaskrawionych uogólnień. Aby rewizjonistyczne Niemcy przestały zagrażać pokojowi światowemu i mogły się wdrożyć do pokojowego współistnienia ze wszystkimi sąsiadami, niewątpliwie nie wystarczą posunięcia polityczne; wskazane byłoby również poznać w sposób naukowy mechanizmy psychosocjologiczne, kierujące postępowaniem narodu niemieckiego w ciągu wieków, a głównie w czasach najnowszych.

Na takich naukowych podstawach mógłby zostać w przyszłości oparty system wychowania całego społeczeństwa niemieckiego — nie tylko jego części w NRD — w celu dogłębnego stłumienia tendencji rewizjonistyczno-odwetowych, które nie znalazły właściwego otamowania w postaci pełnej realizacji układów poczdamskich [71]. Jak wiemy, nie doszły do skutku postanowienia między innymi w zakresie ścigania i karania zbrodniarzy wojennych oraz całkowitego wyplenienia nazizmu i jego źródeł.

Trudno opowiadać się bez zastrzeżeń za mityczną tezą o immanentnych złych skłonnościach Niemców. Problem ten wciąż jest niejasny. Postawę większości społeczeństwa NRF niewątpliwie kształtowały działające od pokoleń, długotrwałe, złożone wpływy ekonomiczno-polityczne i społeczno-wychowawcze, nie opisane jeszcze dokładnie.

Rozliczanie się z hitlerowską przeszłością jest w NRF niezwykle oporne. W społeczeństwie zachodnioniemieckim wielu spośród zbrodniarzy wojennych, postawionych w stan oskarżenia przez władze wymiaru sprawiedliwości, otrzymuje kary podobne do tych, które się orzeka wobec winnych popełnienia pospolitych wykroczeń. W procesie frankfurckim [72] — według komentarza do filmu dokumentarnego *J. Kidawy* „Wizja lokalna" (w Oświęcimiu) — „zbrodnię ludobójstwa wymierzono centymetrami jak wypadek samochodowy". Nieproporcjonalne do winy, nie mówiąc już o uniewinnieniach, były też uderzająco niskie kary w stosunku do większości oskarżonych w procesie esesowskich oprawców z Tarnopola. Tak łagodnymi wyrokami proces ten zakończył się przed sądem przysięgłych w Stuttgarcie 15 lipca 1966 r. Pod koniec tegoż miesiąca podobne wyroki ogłosił sąd w Bochum, rozpatrujący sprawę niektórych morderców ludności żydowskiej. Nie bez znaczenia jest fakt, że w sądownictwie NRF pracują byli hitlerowcy, prawnicy, którzy w czasie wojny, stwarzając pozory praworządności, łatwo wysyłali niewinnych na śmierć (np. w *sondergerichtach*).

Na domiar, zbrodniarze wojenni zasądzeni w NRF na ogół przedwcześnie opuszczają więzienia pod różnymi pozorami (choroby, chwyty prawne, kaucje itp.). Spośród setek podobnych przykładów można wskazać na esesmana *Roberta Mulkę* z załogi obozu oświęcimskiego. Skazany w sierpniu 1965 roku we Frankfurcie na karę 14 lat więzienia, *Mulka* po krótkim pobycie w areszcie śledczym został zwolniony jako „niezdolny do odbywania kary". W decyzji tej III Izba Karna Sądu Krajowego we Frankfurcie wzięła pod uwagę podane przez adwokata ogólne osłabienie tego oprawcy i jego złe samopoczucie, wymagające leczenia dietą [73]. Jest to parodia wymiaru sprawiedliwości.

Dr *Hans Globke*, znany „biurokrata śmierci", dr *Joseph Mengele* oraz inni wybitni aktywiści hitlerowskiego aparatu zbrodni pozostali bezkarni i osiągnęli po wojnie wysokie stanowiska w NRF albo znaleźli azyl i dobrobyt, zwłaszcza w niektórych państwach Ameryki południowej. Przeciwnie zaś, znani, ale nieliczni uczeni, którzy sprzeciwiają się polityce NRF i nastawieniu większości społeczeństwa

[69] Wnikliwe uwagi o okolicznościach wpływających na psychikę i poglądy młodzieży zachodnioniemieckiej zawiera między innymi książka *R. Dreckiego*: Pokolenie na rozdrożu. Szkice o wychowaniu politycznym i postawie ideowej młodzieży w NRF. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1964, ss. 232, nlb. 4.

[70] Archiwum Historii Medycyny, 1965, t. 28, z. 4, s. 460.

[71] Por. *A. Klafkowski*: Polska — NRF a umowa poczdamska. Książka i Wiedza, Warszawa 1965, ss. 127, nlb. 1, tabl. 33. — *K. Kęplicz*: Poczdam — dwadzieścia lat później. Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1966, ss. 117, nlb. 2.

[72] Zob. *K. Kąkol*: Sąd nierychliwy. Frankfurcki proces oprawców z Oświęcimia. Książka i Wiedza, Warszawa 1966, ss. 341, nlb. 3, tabl. 48.

[73] Sprawa Roberta Mulki i nie tylko jego. Biuletyn Informacyjny (Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego). Warszawa 1966, nr 7/8, s. 2.

zachodnioniemieckiego, muszą szukać ochrony. Np. profesora *Fritza Fischera* z Hamburga ochraniają jego uczniowie. Prof. *Golo Mann* przebywa w Szwajcarii.

Krytyczne głosy intelektualistów w NRF należą do wyjątków. Inteligencja zachodnioniemiecka jako zbiorowość pozostaje bierna, oportunistyczna, politycznie bezradna; jej ideałem jest wygodne życie, bez przeciwstawiania się ogólnym tendencjom rewizjonistycznym [74].

Znamienne jest również, że w NRF coraz śmielej i gwałtowniej krytykuje się procesy i wyroki norymberskie.

Przykładowo przytoczone fakty świadczą wymownie o znieczuleniu sfer wpływowych i opinii publicznej w NRF wobec zagadnienia zbrodni wojennych, tudzież o zaniku poczucia propocjonalnej do nich winy. Do odosobnionych przedsięwzięć w Niemczech należy tzw. akcja znaku pokuty (*Aktion Sühnezeichen*) [75]. Natomiast w NRF działa 1200 stowarzyszeń militarystycznych i odwetowych, 20 ziomkostw, 34 związki kombatanckie *Schutzstaffel*, skupiające około 300 tysięcy byłych esesmanów oraz 123 organizacje neofaszystowskie; 300 czasopism rewizjonistycznych szerzy hasła odwetowe, nienawiść rasową i narodową [76]. Niemiecka klęska moralna przetrwała skutki przegranej militarnej. 80-letni marksistowski filozof węgierski, *Georg Lukacs*, wybitny znawca kultury i literatury niemieckiej, uzasadnił pogląd, że „Niemcy zmierzały do hitleryzmu przynajmniej od połowy XIX wieku, zaś do dziś w Republice Federalnej nie rozliczyły się ze swoją historią" [77].

Sprawy te coraz częściej pojawiają się w bieżącej literaturze, wiążą się bowiem z okresem hitleryzmu i okupacji jako jego następstwo.

5. Enuncjacje autorów niemieckich

O tym wszystkim, co powiedziano w rozdziale czwartym, nie mogą zapominać ci, którzy poruszają zagadnienia okupacyjne, choćby nawet usiłowali z założenia zajmować się wyłącznie ich lekarskim aspektem. Nic więc dziwnego, że przebywający w Bazylei profesor *Karol Jaspers*, psychopatolog, współtwórca egzystencjalistycznego kierunku w filozofii, stojący od lat na pozycjach antyfaszystowskich (jego apoteoza polityki *Adenauera* była tylko epizodem), osobną książkę poświęcił problemowi niemieckiemu, podejmując temat: dokąd zmierza NRF [78].

Zdaniem *Jaspersa*, „kto nie przeciwstawiał się Trzeciej Rzeszy, jest współwinny". „W swoich pierwszych wykładach uniwersyteckich *Jaspers* zajmował się obszernie kwestią winy i odpowiedzialności narodu niemieckiego (*die Schuldfrage*) i należał do tych nielicznych przedstawicieli niemieckiego świata nauki, którzy poparli powołanie do życia pojęcia ludobójstwa". Jednak „w swojej autobiografii *Jaspers* przyznaje się do tego, co określa mianem «*schuldvolle Passivität*» (pełna winy bierność) wobec brunatnego reżimu". *Jaspers* „powiada wprost: «Zwrotnym punktem jest, czy uznaje się, że państwo nazistowskie było państwem zbrodniczym, nie zaś państwem, które dopuszcza się również zbrodni». Takiego sformułowania nie użył jeszcze w NRF żaden uczony ani polityk. A Hiroszima? — może zapytać jakiś adwersarz *Jaspersa* w NRF. Filozof ma i tutaj gotową odpowiedź: «Hiroszimy nie da się porównać ze zbrodnią ludobójstwa [...]; był to wprawdzie akt nieludzki, ale nie była to zbrodnia przeciwko ludzkości. Zasada była inna»". *Jaspers* ostrzega NRF przed niebezpieczeństwem „stoczenia się poprzez oligarchię partyjną w ponowną dyktaturę" [79]. Swoje odosobnione stanowisko *Jaspers* podkreślił mocno, ale tego rodzaju głosy Niemców spoza NRD, chociaż nieliczne, są wyrazem trzeźwej oceny sytuacji.

Wystąpienia publiczne na terenie NRF, manifestujące podobną postawę, narażają również lekarzy na duże trudności i niebezpieczeństwo. Charakterystyczny przykład podał *Marian Podkowiński* [80]. Mianowicie ofiarą byłych hitlerowców stał się między innymi „doktor *Elmar Herterich*, który naraził się notablom swego rodzinnego miasta, demaskując hitlerowską przeszłość człowieka piastującego obecnie wysokie stanowisko w administracji Würzburga. Ten «nieopatrzny» krok wciągnął bezkompromisowego lekarza w trzyletni konflikt z kliką byłych hitlerowców, którzy działając solidarnie, zdołali ostatecznie zmusić go do emigracji. Wówczas okazało się, jak liczni i wpływowi są wśród elity miasta dawni dygnitarze hitlerowscy. Wyszło na jaw, że burmistrz, prezes trybunału administracyjnego, prezes sądu okręgowego i naczelny prokurator miasta, to nie tylko dawni członkowie *NSDAP*, ale ludzie skompromitowani zbrodniczą działalnością w hitlerowskim wymiarze sprawiedliwości" [81]. Mimo tak nie sprzyjającej sytuacji są w NRF lekarze, którzy ryzykując własną

[74] Kwestii tej poświęcił osobne studium *W. Markiewicz*: Społeczeństwo i socjologia w Niemieckiej Republice Federalnej. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1966, ss. 463.

[75] Zob. *S. Wilkanowicz*: Niemieccy pokutnicy w Oświęcimiu. Tygodnik Powszechny, 1966, nr 37 (920), s. 1 i 5.

[76] Liczby te podał wicepremier *Eugeniusz Szyr* w swoim przemówieniu 10 września 1966 roku podczas uroczystości 500 rocznicy zawarcia drugiego pokoju toruńskiego.

[77] *Pass.* (*D. Passent*): Lukacs o Hitlerze i Niemcach. Polityka, 1966, nr 13 (473), s. 9. Zob. też: *A. Szczypiorski*: NRF w oczach Polaka. Kultura, 1966, nr 23 (156), s. 1 i 7 oraz: *M. Morten*: Polska w oczach Niemca. Tamże, s. 1 i 6.

[78] *K. Jaspers*: Wohin treibt die Bundesrepublik? Tatsachen, Gefahren, Chancen. *R. Piper* & Co Verlag, München 1966, ss. 280, nlb. 8.

[79] Cytaty z eseju *M. Podkowińskiego*: Wojujący filozof. Polityka, 1966, nr 23 (483), s. 10.

[80] *M. Podkowiński*: Erhardt i co dalej? Książka i Wiedza, Warszawa 1965, rozdział pt. Donkiszot z Würzburga.

[81] *A. Krasiński*: Baczne spojrzenie na NRF. [Recenzja cytowanej książki *Podkowińskiego*]. Nowe Książki, 1965, nr 12 (366), s. 563.

pozycję społeczną usiłują przeciwstawić się koteriom byłych hitlerowców.

Na odwagę rozliczenia się z przeszłością hitlerowską zdobywają się również niektórzy pisarze niemieccy. Np. Niemiec *Johannes Bobrowski* (zmarł w r. 1965), który zresztą nie znał języka polskiego ani też nie deklarował się jako marksista, był „ostrym krytykiem rozbójniczej przeszłości swego narodu", przeciwnikiem „cywilizacyjnej misji Niemiec na Wschodzie", jak się obecnie eufemistycznie nazywa *Drang nach Osten*. „Jego powieść «*Lewins Mühle*» [...] stanowi [...] ostrą krytykę metod działania niemieckiego nacjonalizmu. Autor nie wahał się rzucić na szalę biblijnego powiedzenia o tym, że winy ojców ścigane będą aż do trzeciego i czwartego pokolenia". W wierszu „*Lettische Lieder*" napisał: „Mój ojciec jest jastrzębiem, dziad wilkiem, a praojciec żarłoczną rybą w morzu". Zachodnioniemiecki pisarz *Günther Grass* w powieści pt. „*Die Blechtrommel*", opartej na własnych wspomnieniach, bynajmniej nie sfałszował obrazu rzeczywistości z lat 1944—1945 w rejonie Gdańska, choć były to już dla ludności niemieckiej na wschodzie lata nieodwracalnej klęski.

Ale poparciem władz NRF cieszy się rewizjonistyczny nurt literatury niemieckiej, który zajmuje się głównie „exodusem" Niemców z Polski, ich rzekomym „prawem do utraconej ojczyzny" i „wschodnioojczyźnianym niemieckim dziedzictwem kulturalnym". Należą tutaj takie utwory, jak „*Das Haus am Hügel*", „*Ich schrieb es auf*" czy „*Das vorletzte Gericht*" *Ruth Storm*, która mówi kłamliwie o „okrucieństwie Polaków, a o niewinności Niemców", „*Der grosse Janja*" *Arnolda Ulitza*, czy też powojenne publikacje byłej hitlerowskiej pisarki, obecnie seniorki literatury odwetowej, *Agnes Miegel* [82].

Literaturze tej towarzyszą pseudonaukowe publikacje zachodnioniemieckie, których autorzy starają się usunąć w cień zbrodnie hitlerowskie, natomiast pomawiają o rzekome zbrodnie wojenne przede wszystkim Polskę, Związek Radziecki i Czechosłowację. W tym celu zniekształca się w NRF statystykę i preparuje tendencyjną interpretację wydarzeń wojennych. Fałsze te demaskuje książka *Stanisława Schimitzka* [83].

Od przeszłości hitlerowskiej stanowczo odcięła się literatura Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Przykładem takiego stanowiska jest m. in. powieść prof. dr med. *Friedricha Ringa* [84], rozpowszechniona u nas w polskim przekładzie z początkiem r. 1966.

Według notki informacyjnej, wydrukowanej na skrzydełkach obwoluty przekładu, autor urodził się w r. 1915 w Neuenkirchen nad Saarą. Studia lekarskie, rozpoczęte w r. 1937, ukończył w czasie wojny w r. 1942, powołany do kompanii studenckiej. Od r. 1943 do końca wojny przebywał jako lekarz wojskowy na froncie niemiecko-radzieckim. Przez cztery lata w ZSRR jako jeniec wojenny pracował w swoim zawodzie. W r. 1949 powrócił do NRD, gdzie po kilku latach otrzymał tytuł „zasłużonego lekarza ludowego". Ostatni okres życia spędził w Greifswald jako profesor medycyny wojskowej tamtejszego uniwersytetu. Zmarł w r. 1964. Wśród licznych prac naukowych opublikował „Historię medycyny wojskowej".

„*Stabsarzt dr Lauterbach*" według własnego określenia *Ringa* jest „relacją", przede wszystkim z frontu wschodniego w ostatnich latach wojny. Wiele fragmentów tej zbeletryzowanej relacji, cechującej się między innymi rozmaitością opisów z różnych środowisk, również nielekarskich, dotyczy także sytuacji w samych Niemczech i atmosfery charakterystycznej dla hitleryzmu.

Główna postać utworu, oficer, chirurg wojskowy dr *Lauterbach*, w którego postępowaniu i poglądach odczytać można *credo* autora, jest zmuszony do coraz bardziej krytycznej oceny warunków stworzonych przez militarne wychowanie adeptów medycyny i system nazistowski. W miarę kontynuowania przez hitlerowców beznadziejnej wojny, niosącej pożogę, śmierć i zniszczenie, narasta w doktorze *Lauterbachu* wewnętrzny sprzeciw, zakończony demonstracyjnym niewykonaniem rozkazu wcielenia ciężko rannych żołnierzy do oddziału *volkssturmu*.

Lauterbach nie jest ani bohaterem, ani aktywnym opozycjonistą wobec hitleryzmu, ale przeciętnym niemieckim lekarzem wojskowym. Jako „młody lekarz nie umiał znaleźć wyjścia z labiryntu wątpliwości [o sensie hitleryzmu], w które się zapędził [...]. Był ślepy jak miliony ludzi i tak jak oni nie miał odwagi proszenia innych o radę i pomoc. W Wielkich Niemczech było się samotnym i skazanym na samego siebie" [85]. „Czuł, że rok 1943 źle się zaczyna. Lecz milczał. I tak jak on myślało wielu innych. Lecz i oni milczeli. A co gorsza, byli posłuszni, zarówno na froncie, jak i w ojczyźnie" [86]. Przyczyną takiej postawy, według *Ringa*, był głównie strach: „strach przed Rosjanami, przed kacetem, przed *SS*, przed sąsiadem, przed odpowiedzialnością, przed własną przyszłością. Strach rządził uwiedzionymi [przez hitleryzm] i uwodzicielami. Był uczuciem typowym dla Niemiec" [87].

Lauterbach starał się, jak mógł, pomagać

---

[82] Ocenę ideową i artystyczną tej twórczości zawarł jej znawca, *W. Szewczyk* w eseju pt. Przez okulary z firmy Brauxel & Co (Życie Literackie, 1966, nr 25, s. 3 i 4). Cytaty pochodzą z wymienionego eseju. Zob. też: *M. Kofta*: Sondowanie przepaści. Studia nad współczesną literaturą niemiecką. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1965, ss. 278, nlb. 2.

[83] *S. Schimitzek*: Przeciwko fałszerstwom. Zachodnia Agencja Prasowa, Warszawa 1966, ss. 292, nlb. 3, tabl. 1, map 3.

[84] *F. Ring*: *Stabsarzt dr Lauterbach*. Tłum. z jęz. niem. *M. Kłos-Gwizdalska*. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1965, ss. 358, nlb. 2. Rec.: *Z. Woźniewski*, Archiwum Historii Medycyny 1966, z. 3, s. 356—357.

[85] Tamże, s. 115.

[86] Tamże, s. 131.

[87] Tamże, s. 206.

wszystkim rannym, choć instrukcja wojskowa nakazywała zajmować się tylko tymi, którzy rokowali rychłe wyzdrowienie i odejście na front, a nawet opatrywał cywilnych Rosjan, co było bardzo źle widziane. Ojciec *Lauterbacha* w rozmowie nakłaniał go do przejścia na stronę radziecką: „Spełnij swój obowiązek jak pułkowy chirurg *Fryderyk Schiller*! On także zaprzysiągł wierność swojemu panu, w porę odstąpił tyrana!" [88] Ale *Lauterbach* nie zdobył się na to. „Przysięga trzymała go w kolumnie, strach przed Rosjanami pognał go aż do Prus Wschodnich" [89]. Lawirował w swej jednostce wojskowej pomiędzy dyscypliną a nakazami deontologii, mimo że „praca lekarza w *Wehrmachcie* i postępowanie według lekarskiego sumienia stawały się z dnia na dzień coraz bardziej niebezpieczne" [90]. „Walczyła w nim wierność przysiędze przeciwko poznaniu, rozum z uczuciem, pragnienie pokoju z poczuciem obowiązku, a poza tym strach, strach przed zemstą, głuchy strach, który im wszystkim zaszczepiono" [91].

Lauterbach znajdował się w środowisku zróżnicowanym. Z jednej strony miał do czynienia z brutalnymi hitlerowcami, bezwzględnymi wobec rannych i chorych, a z drugiej otaczali go bierni, tępi wykonawcy rozkazów i nieliczni, którzy zdobywali się co najwyżej na krytyczne uwagi. Jako lekarze i sanitariusze ludzie ze środowiska *Lauterbacha* cierpieli bardziej niż regularne wojsko z powodu chaosu ciągłych odwrotów. „Polowe punkty opatrunkowe w trakcie odwrotu i innych działań wojennych nieraz ginęły właśnie dlatego, że ich dokładnie nie informowano [...], map nie posiadali [...], lekarzom nie były potrzebne" [92]. Nie zaznając smaku zwycięstwa, lecz tylko goryczy klęski, przebywając prawie zawsze wśród cierpiących rannych i widząc grozę wojny, *Lauterbach*, jak i wielu innych zwykłych Niemców, przeszedł twardą lekcję, która otworzyła mu oczy na istotę hitleryzmu i bezsens wojny.

Obecnie, gdy w NRF, głównie w propagandzie i szkolnictwie, gloryfikuje się czyny wojenne *Wehrmachtu*, podkreślając jego sukcesy i zwycięstwa, a zacierając pamięć klęsk i zbrodni hitlerowskich, książka prof. *Ringa*, Niemca z NRD, który z punktu widzenia lekarza wojskowego krytycznie opisał wojnę na wschodzie, zasługuje na szczególną uwagę.

Do tej kategorii pożytecznych książek, które wyznaczają właściwy kierunek oceny przeszłości wojennej Niemiec, należy też powieść *Günthera Hofégo* pt. „Czerwony śnieg" [93]. Autor, działacz antyfaszystowski w NRD, również uwzględnia w swym utworze tematykę lekarską.

[88] Tamże, s. 270.
[89] Tamże, s. 267.
[90] Tamże, s. 288.
[91] Tamże, s. 270.
[92] Tamże, s. 139.
[93] *G. Hofé*: Czerwony śnieg. Przeł. *E. Bielicka*. Wydawn. Poznańskie, Poznań 1966, ss. 508, nlb. 1.

6. Wnioski ogólne

Przedstawiony przegląd wskazuje na ciągły rozwój prac dotyczących zagadnień lekarskich okresu drugiej wojny światowej; przy tym narasta również problematyka socjopsychologiczna. Powoli wypełniają się przynajmniej najważniejsze luki w tej rozległej i różnorodnej dziedzinie. Ponadto autorzy pogłębiają tematykę poruszoną w latach ubiegłych. Nadal w minimalnym stopniu publikuje się źródła historyczno-dokumentarne.

Sumując uwagi zebrane w niniejszym omówieniu, którego rozmiarem nadużyto cierpliwości czytelnika, odnotować trzeba, że w zakresie prac naukowych rok 1966 przyniósł przede wszystkim dalsze wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Zostały opublikowane prace z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie, dotyczące badań psychiatrycznych (dr *Wanda Półtawska*, lek. *Andrzej Jakubik*), elektroencefalograficznych (lek. *Julian Gątarski*) i psychologicznych (mgr *Józef Sarnecki*), którymi objęto grupę tzw. „dzieci oświęcimskich". Są to dorosłe już obecnie osoby, które urodziły się lub były więzione w dzieciństwie w nazistowskich obozach koncentracyjnych i zdołały uniknąć śmierci. Wyniki badań internistycznych byłych więźniów katowni hitlerowskich ogłosili doktorzy *Stanisław Kłodziński, Janusz Kutyba* i *Jan Zielina*. Wymienieni autorzy stwierdzili różne odległe szkody na zdrowiu u prześladowanych podczas wojny. Niektóre teoretyczne problemy zbrodni niemieckich zanalizował prof. dr *Tadeusz Bilikiewicz* w rozprawie pt. „Z rozważań nad psychologią ludobójstwa". Te i inne pozycje, zawarte w poprzednim zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", znane więc jego czytelnikom, pominięto tutaj.

W zakresie wspomnień i utworów literackich otrzymaliśmy w roku 1966 szereg prac ambitnych, nie unikających tematyki trudnej i dyskusyjnej. W piśmiennictwie tym dominują opisy ciężkich warunków i dramatycznych przeżyć w zbrodniczym świecie stworzonym przez hitleryzm, niezliczone przykłady bezwzględnego okrucieństwa oprawców, będących prawie bez wyjątków bezkrytycznymi wykonawcami rozkazów w myśl dewizy *Goebbelsa*: „*Gelobt sei, was hart macht*" (chwała wszystkiemu, co czyni twardym). Nadto znajdujemy w tej literaturze relacje z działalności ruchu oporu i walk formacji frontowych przeciw okupantowi. Perspektywa czasu sprzyja refleksyjnemu ujmowaniu tej podstawowej treści.

Obok nowych, odkrywczych informacji na temat ostatniej wojny przeważają przyczynki do zagadnień szerzej niż inne poruszanych w okresie powojennym, jak np. sprawa Pawiaka czy większych obozów koncentracyjnych. Ciągle jeszcze nieliczne są pozycje dotyczące problematyki lekarskiej mniejszych obozów koncentracyjnych, różnych więzień, partyzantki i zapomnianych szpitali.

Na tle tej tematyki wyłaniają się dwa ważne zagadnienia, którymi ostatnio ambitniejsi autorzy coraz bardziej się interesują, mianowicie próba odpowiedzi na pytanie, jakie są źródła zbrodni hitlerowskich i na czym polega ich uwarunkowanie oraz drugi problem: kwestia etyki okresu okupacji. Nawet pobieżny przegląd omówionych publikacji, dokonany na bieżąco, pozwala stwierdzić, że te dwa zagadnienia, wiążące się z problematyką lekarską, zasługują na dalszą analizę.

* * *

Panu Docentowi Doktorowi Antoniemu Kępińskiemu składam podziękowanie serdeczne za cenne rady i wskazówki, zwłaszcza za konsultację w zakresie problematyki ściśle lekarskiej.

TREŚĆ POPRZEDNICH ZESZYTÓW „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO" POŚWIĘCONYCH ZAGADNIENIOM LEKARSKIM OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

Zestawił: *Jan Masłowski*

Wszystkie pozycje w tym spisie są uszeregowane tematycznie. Liczby rzymskie (I—VI) oznaczają kolejne zeszyty Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim: I = = Przegl. Lek., 1961, nr 1a, II = Przegl. Lek., 1962, nr 1a, III = Przegl. Lek., 1963, nr 1a, IV = Przegl. Lek., 1964, nr 1, V = Przegl. Lek., 1965, nr 1, VI = Przegl. Lek. 1966, nr 1. Liczby arabskie odnoszą się do numeracji stron w poszczególnych zeszytach.

* * *

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą (II 34, III 34, IV 2, V okł., VI okł.). — J. Bogusz: Słowo wstępne (I 34—35, II 35—37, III 35—41, IV 3—7, V 3—12, VI 3—13).

DZIAŁ NAUKOWY

J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w tzw. Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20 V 1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko Józefowi Bühlerowi, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG (III 103—115). — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Orzeczenie wygłoszone na rozprawie sądowej przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w dniu 10 XII 1947 r. (II 37—49). — J. Sehn: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy SS w obozach koncentracyjnych (I 35—44). — J. Sehn: Sprawa oświęcimskiego lekarza SS J. P. Kremera (I 49—61). — T. Bilikiewicz: Z rozważań nad psychologią ludobójstwa (VI 14—20). — A. Kępiński: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej (I 81—83). — A. Kępiński, M. Orwid: Z psychopatologii „nadludzi". Uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa Hössa (II 83—89). — A. Kępiński: „Anus mundi" (V 150—152). — A. Kępiński: Koszmar (VI 54—58). — J. Kowalczykowa: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 58—60). — S. Kłodziński: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (V 34—36). — J. Kościuszkowa: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 60—61). — W. Półtawska: Z badań nad „dziećmi oświęcimskimi". Uwagi ogólne (V 21—24). — W. Półtawska, A. Jakubik, J. Gątarski, J. Sarnecki: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 21—36). — J. Gątarski: Badania elektroencefalograficzne osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 37—38). — J. Sarnecki: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (VI 39—46). — E. A. Cohen: Reakcja początkowa na osadzenie w obozie koncentracyjnym (V 28—31). — V. E. Frankl: Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia w zakresie psychoterapii w obozie koncentracyjnym (V 24—28). — A. Kępiński: Oświęcimskie refleksje psychiatry (IV 7—9). — R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań. (II doniesienie wstępne), (I 64—73). — M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 9—11). — A. Teutsch: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Doniesienie wstępne (II 90—94). — A. Teutsch: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 12—17). — M. Orwid: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 94—97). — M. Orwid: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka (IV 23—29). — A. Szymusik: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Doniesienie wstępne (II 98—102). — A. Szymusik: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (IV 23—29). — R. Leśniak: Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Doniesienie wstępne (IV 29—30). — R. Leśniak: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (V 13—20). — S. Dąbrowski, H. Schramm, T. Żakowska-Dąbrowska: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych i eksperymentów pseudolekarskich (I 31—34). — S. Kłodziński, J. Kutyba: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie), (VI 47—48). — J. Zielina: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych (VI 49—52). — H. Wieliczański: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich (IV 43—45). — S. Kłodziński: Zbrodnicze doświadczenia farmakologiczne na więźniach obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (preparat 3582, rutenol, Be 1084, periston), (V 40—46). — S. Kłodziński: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą" w okresie okupacji hitlerowskiej (II 70—77). — Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej (II 77—81). — S. Kłodziński: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu (I 74—75). — J. Krzywicki: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich (V 36—37). — R. Waitz: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych (III 41—50). — F. Blaha: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym w Dachau), (IV 45—50). — W. Fejkiel: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny *SS* w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 101—105). — W. Półtawska: Operacje doświadczalne w obozie

koncentracyjnym Ravensbrück (III 90—97). — S. Kłodziński: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I (V 46—67). — S. Kłodziński: Fenol w KL Auschwitz-Birkenau (III 62—65). — S. Kłodziński: Z zagadnień ludobójstwa: „sterylizacja" i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr *Horst Schumann* (IV 105—111). — T. Szymański: Noma (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka (II 68—70). — R. Waitz, M. Ciepielowski: Doświadczalny dur wysypkowy w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie (V 68—69). — S. Kłodziński: Z zagadnień „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich (IV 91—96). — S. Kłodziński: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu (z działalności prof. dr *Augusta Hirta*), (IV 96—101). — S. Kłodziński: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (III 101—103). — A. Schweitzer: Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej (VI 58—64). — S. Kłodziński: Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem Oświęcimia (VI 52—54).

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

S. Urbańczyk: W Sachsenhausen i Dachau (w 25 rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich), (V 76—86). — E. Brzezicki: Socjopsychopatia a „Kazet-Lager" Sachsenhausen (III 77—83). — S. Skowron: Z pobytu w obozach koncentracyjnych. Refleksje biologa (III 84—88). — J. Miodoński: Kilka wspomnień o sonderaktion Krakau 1939 (III 69—77). — O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów), (IV 53—57). — F. Walter: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ (IV 50—53). — Z. Albert: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. (IV 58—77). — S. Mahrburg: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie (V 86—90). — W. Fejkiel: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (I 44—51). — S. Kłodziński: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim (I 51—57). — T. Paczuła: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia (III 50—53). — T. Paczuła: Organizacja i administracja szpitala obozowego KL Auschwitz (II 61—68). — L. Głogowski: Królik doświadczalny (V 108—109). — L. Głogowski: „Szpital" w Brzezince (V 109—114). — R. Szuszkiewicz: Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu (IV 77—80). — J. Zielina: Blok 9 szpitala obozu Oświęcim (IV 82—84). — M. Nowakowska: „Szpital kobiecy" w obozie w Oświęcimiu-Brzezince (I 61—64). — J. Kiwała: Kuchnia dietetyczna (*Dietküche*) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (IV 80—82). — J. Kiwała: „Szpital" w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—1943 (V 114—118). — J. Wolny: O organizowaniu pomocy lekarsko-sanitarnej w obozie kobiecym w Brzezince (V 118—120). — E. Lingens: Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince (VI 111—113). — D. Lorska: Blok X w Oświęcimiu (V 99—104). — D. Lorska: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr Hans Münch (VI 105—107). — T. Szymański, D. Szymańska, T. Śnieszko: O „szpitalu" w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu (V 90—99). — S. Leszczyńska: Raport położnej z Oświęcimia (V 104—106). — E. Niedojadło: „Szpital" obozowy w Bunie (V 120—122). — O. Wolken: Gdy myślę o dzieciach (V 106—107). — O. Wolken: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie-„kwarantannie" w Brzezince za okres od 20 IX 1943 do 1 XI 1944 (IV 84—87). — O. Wolken: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność), (IV 88—90). — S. Sterkowicz: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza (III 97—101). — O. Wolken: Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 113—119). — J. Bellert: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w szpitalu obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu (III 66—69). — W. Jekiełek („Żmija"): Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka (VI 120—131). — S. Rzeźnik: Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu Tadeusza Orzelskiego ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie (11 VI 1941 r.), (VI 132—138). — S. Kłodziński: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii Rzącowej i Marii Osińskiej (VI 87—89). — J. Zielina: Dzieci z Lidic (VI 138—140). — J. Włoczewski: Ursus a powstanie warszawskie. (Wspomnienia lekarza), (VI 140—142). — H. Rawska: Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa (VI 142—145). — S. Kłodziński: „Konferencja krynicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. (III 115—123). — M. Ciećkiewicz: Ubezpieczalnia Społeczna w dobie okupacji w tzw. Generalnej Guberni (III 124—129). — M. Ciećkiewicz: Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji (VI 65—86). — T. Pankiewicz: Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim (VI 89—101). J. Mostowski: Zakłady prof. Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z ruchem oporu i obozami koncentracyjnymi (III 135—137). — M. Skulimowski: Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942 (VI 101—105). — S. Kłodziński: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny (VI 146—149). — Wyrok frankfurcki (VI 150—155).

WSPOMNIENIA

A. Gawalewicz: Reszta będzie milczeniem (VI 174—182). — A. Gawalewicz: Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana (III 54—62). — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei lagrowej" (IV 30—43). — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia (V 123—134). — L. Głogowski: Kwarantanna obozu Oświęcim-Brzezinka (VI 190—194). — J. Kret: Lekarze znaleźli wyjście (VI 184—190). — A. Woycicki: Dwa oblicza „Służby Rozpoznawczej" (VI 182—184). — M. E. Jezierska: Chorować nie wolno. Wspomnienie z Oświęcimia (VI 194—198). — Z. Mączka-Patkaniowska: Zeznania z bunkra (V 135—138). — A. Kopyciński: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym (IV 112—116). — J. Olbrycht: Z przeżyć obozowych (V 139). — J. Wolny: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen (VI 198—202). — J. Markiewicz: Wspomnienia lekarza z Mauthausen-Gusen (V 144—148). — S. Pigoń: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940), (VI 156—171). — S. Kelles-Krauz: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen (III 88—90). — S. Głowa: Ewakuacja obozu w Sachsenhausen (VI 171—174). — S. Perzanowska: Gdy wracam myślami do Majdanka. I: Wspomnienia lekarki (VI 202—209). — S. Perzanowska: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku (VI 209—211). — S. Perzanowska: Pomoc lubelskich organizacji społecznych więźniom Majdanka (V 140—144).

ZAGADNIENIA ODSZKODOWAŃ I ORZECZNICTWA

I. Domańska: Akcja PCK na rzecz byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ofiar zbrodniczych eksperymentów pseudolekarskich (V 70—71). — L. Brzozowski: Uwagi dotyczące uprawnień do świadczeń rentowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 71—73). — S. Kłodziński: Uwagi dotyczące stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych w związku z orzecznictwem rentalnym (V 73—74). — A. Szymusik: Dotychczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego, dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych (V 74—75). — Zarządzenie Ministra

(Ciąg dalszy na str. 241)